





1601







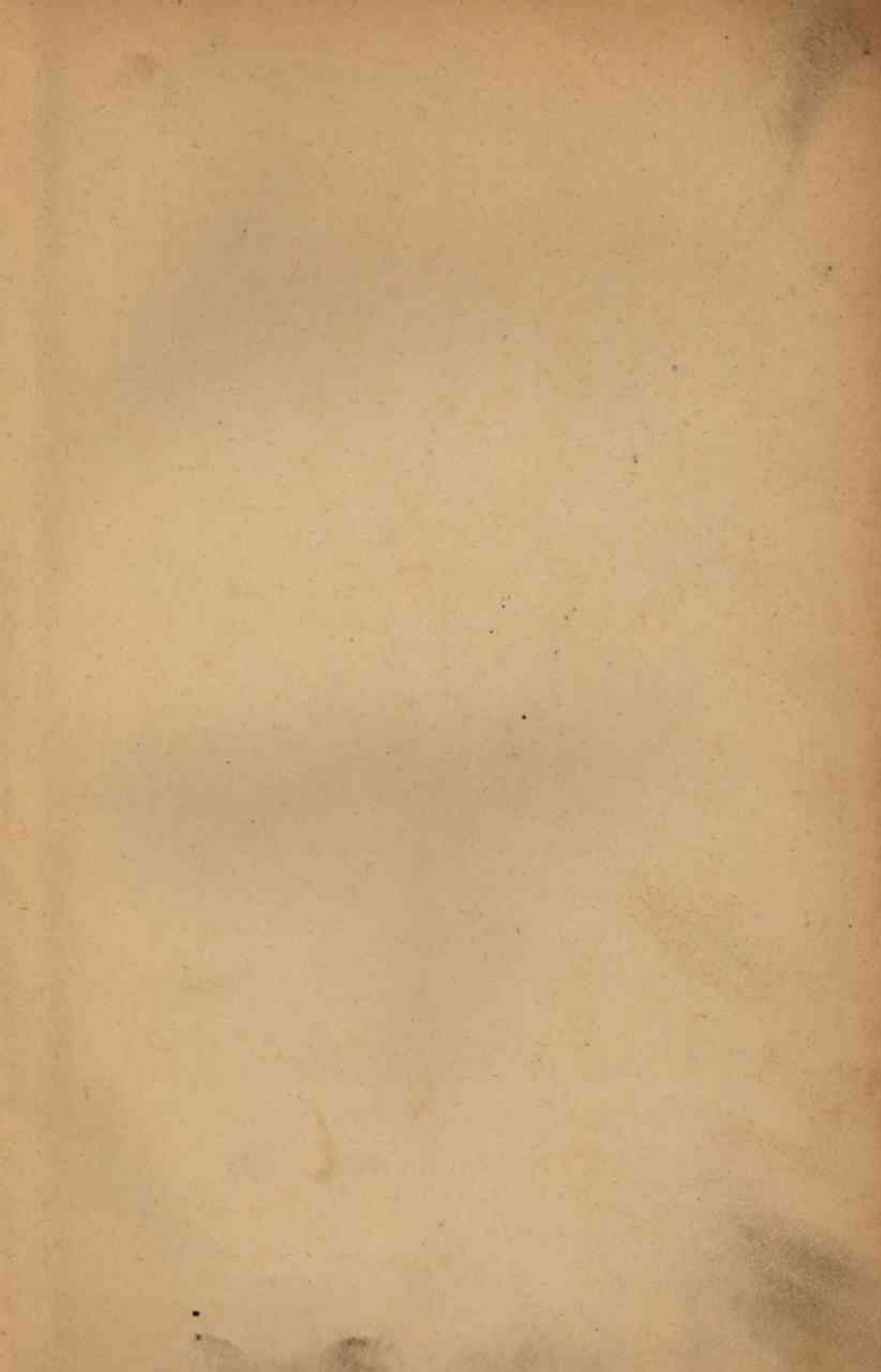
W S P O M N I E N I A

1 8 4 7 — 1 9 2 8

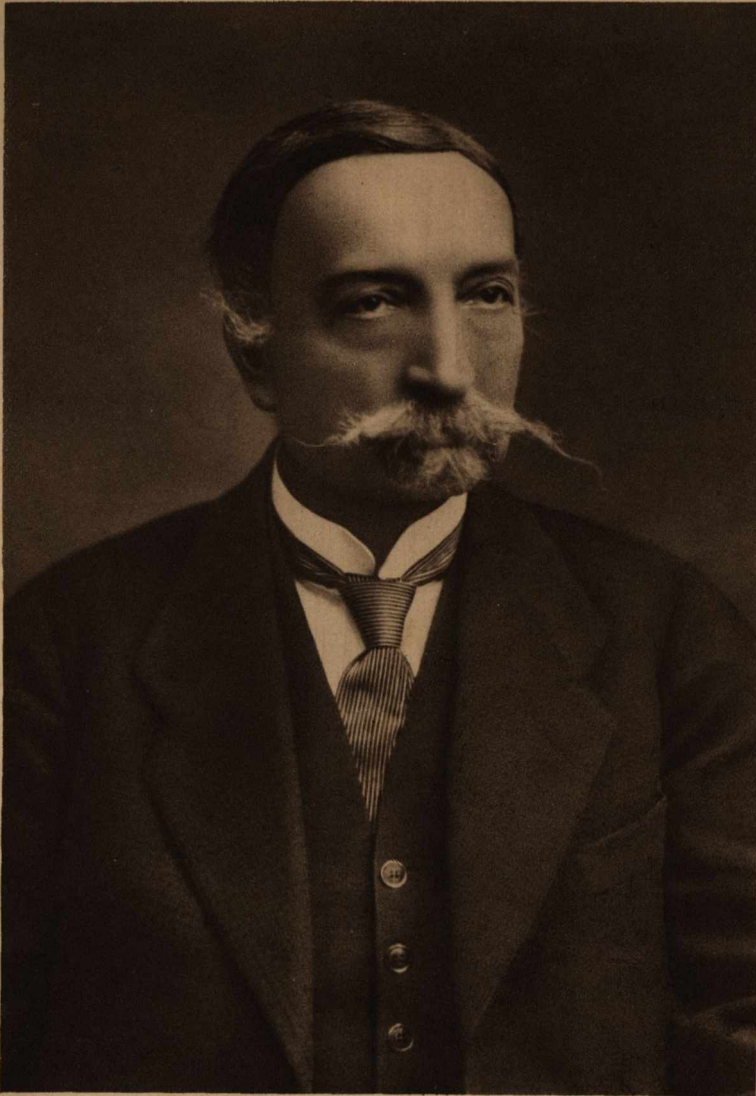
2

120041









EDWARD WOYNIŁŁOWICZ W OSTATNICH LATACH ŻYCIA

*E. Woyniłłowicz*

EDWARD WOYNIŁŁOWICZ

# WSPOMNIENIA 1847—1928

CZĘŚĆ PIERWSZA

WYDAŁ, WSTĘPEM I PRZYPISAMI OPATRZYŁ  
JANUSZ IWASZKIEWICZ

NAKŁADEM KOMITETU UCZCZENIA  
ś. p. EDWARDA WOYNIŁŁOWICZA

W I L N O · 1 9 3 1 · R.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI JÓZEFA ZAWADZKIEGO W WILNIE

B111585 1/1



1005017382

*Inst 10a*

**BIBLIOTEKA  
EMCS  
LUBLIN**

DRUK JÓZEFA ZAWADZKIEGO W WILNIE.  
ROTOGRAWURA DRUKARNI POLSKIEJ S. A. W POZNANIU.

*K 151/63/24*



*W wykonaniu ostatniej woli ś. p. Edwarda Woyniłłowicza, który testamentem przekazał pp.: J. Ponikwickiemu, M. Porowskiemu, H. Skirmunttowi i K. Zdziechowskiemu „opiekę nad wspomnieniami i obronę ich od zatury”, oddajemy do użytku powszechnego pierwszą część „Wspomnień” w drukowanym słowie.*

*Rresowe pokolenie, współczesne ś. p. Edwardowi Woyniłłowiczowi, dla którego Zmarły był sztandarem i drogowskazem, czytając te smutne karty „Wspomnień”, sięgnie do swojej przeszłości.*

*Potomni ujrzą w nich spizową postać człowieka, który*

*Rochał ziemię ojczystą ponad wszystko,  
Całe swe życie dla niej poświęcił,  
Żył prawdą, miłością i wiarą,  
Budował i walczył o Polskę Jagiellonów.*

**KOMITET UCZCZENIA PAMIĘCI  
Ś. P. EDWARDA WOYNIŁŁOWIGZA.**



## PRZEDMOWA.

„Jeśli dziedzictwo przodków strwonione nie zostało, jeśli w chwili zmartwychwstania Polska miała prawo i obowiązek dochodzić go na krańcach wschodnich, było to zasługą ludzi tej szkoły, której świętym przedstawicielem był ś. p. Edward Woyniłłowicz”. W słowach tych, wypowiedzianych nad trumną ś. p. Woyniłłowicza, jeden z najbliższych współpracowników, Roman Skirmuntt, określił najlepiej wielkie zasługi, położone dla Polski przez zmarłego. Całe długie i pracowite życie poświęcił pracy nad zorganizowaniem ziemianstwa kresowego, a tem samem nad umocnieniem polskiego stanu posiadania na kresach wschodnich.

Ś. p. Edward Woyniłłowicz urodził się 13 października 1847 roku w Ślepiance pod Mińskiem, majątku, należącym podówczas do rodziców jego matki, Edwarda i Michaliny z Moniuszków Wańkowiczów. Rodzice jego, Adam Woyniłłowicz i matka Anna z Wańkowiczów, mieszkali w powiecie słuckim w rodzinnym majątku Sawiczach. Ród Woyniłłowiczów, jakkolwiek nie magnacki, należał jednak do zamożnej szlachty. Był jednym z nielicznych, który obok Reytanów potrafił utrzymać się na ojcowiznie blisko przez trzy stulecia i nie ulec przewadze radziwiłłowskiej, tak potężnej w dawnym województwie nowogródzkim. Woyniłłowiczowie potrafili zachować swoją niezależność, być przyjaciółmi domu radziwiłłowskiego, nigdy jego sługami.

„Ród nasz—jak pisze Woyniłłowicz w swym testamencie—przed nikim nie czapkował i kiedy cała prawie szlachta dawnego województwa nowogródzkiego uzbierała fundusze z okruszyn stołu radziwiłłowskiego i z zastawników na dziedziców wyszła, myśmy ani piędzi ziemi od nich nie wzięli



## VIII

i w szerokiej okolicy Sawicze są może jedynym majątkiem nie po-radziwiłłowskim. Woyniłłowiczowie nie przyszli ani ze Wschodu, ani z Zachodu, są rdzenni, miejscowi, krew ze krwi, kość z kości tego ludu, który niegdyś grzebał się w tych kurhanach, dzisiaj na cmentarzach wiejskich i rodzinną ziemię białoruską sochą kraje”.

Nie ubiegając się o krzesła senatorskie w ciągu ubiegłych stuleci, zajmowali Woyniłłowiczowie skromniejsze stanowiska podkomorzych, chorążych, a później po rozbiorach marszałków szlachty powiatu słuckiego. W rodzinie tej tkwiła głęboko tradycja służby obywatelskiej. Dziad i stryj ś. p. Edwarda marszałkowali szlachcie słuckiej z dużym uznaniem współ-powietników, ojciec był przez długie lata sędzią granicznym. Po matce, rodzącej się z Moniuszkówny, wziął ś. p. Edward gorącą miłość ojczyzny i wielką ofiarność na cele publiczne. Wystarczy wspomnieć, że dwaj bracia jego babki Ignacy i Dominik Moniuszkowie uformowali swoim kosztem w czasie wyprawy Napoleona na Moskwę 3-ci pułk strzelców konnych. Dominik zaś Moniuszko należał do najświetlejszych, najbardziej postępowych w tym czasie obywateli, pragnących uregulować kwestję włościańską na zasadach sprawiedliwości, czego dowiódł, zapisując swe znaczne dobra Pocieczolo i Radkow-szczyznę na fundacje dla włościan.

W takich tradycjach domowych pracy, służby obywatelskiej i ofiarności dla kraju wzrastał Edward Woyniłłowicz. Liczył lat kilkanaście, kiedy nad krajem przeszła burza powstania styczniowego. Młodość jego upływała w okresie największego ucisku i prześladowań żywiołu polskiego na kresach. Był świadkiem straszliwych represyj, zastosowanych przez rząd rosyjski wobec Polaków w guberniach zabranych; patrzył bowiem na gospodarkę Murawjewa, Kaufmana i ich satelitów, tępiących zawzięcie polskość w tak zwanym „Kraju Zachodnim”. Powstanie bowiem styczniowe pociągnęło za sobą o wiele gorsze następstwa dla Litwy, niż dla Kongresówki.

Rozwiązało ręce władzom rosyjskim, upoważniło ich do zastosowania tutaj całego szeregu zarządzeń wyjątkowych, mających na celu całkowite zniszczenie słabszego względnie na tych ziemiach żywiołu polskiego. Niezaprzeczenie o wiele większe ofiary poniosła wówczas Litwa niż Kongresówka. Następstwem tego było wytworzenie się poglądu bardzo rozpowszechnionego wśród społeczeństwa polskiego na Litwie i Białorusi, że wciągnięcie ziem tych do udziału w powstaniu 1863 roku było wielkim błędem, że hasło, rzucone przez ówczesny Rząd Narodowy, rezydujący w Warszawie, iż o przyszłych granicach Polski zadecyduje krew przelana, było szkodliwe i niepolityczne. Stąd płynęła nieufność do wszelkich poczynań politycznych, idących z Warszawy, jaka cechowała wielu działaczy kresowych, a między innymi i Woyniłłowicza.

Chociaż z wykształcenia technolog, Woyniłłowicz w 27 roku życia, po śmierci ojca w roku 1874, obejmuje zarząd rodzinnych majątków, Sawicz i Puzowa. Związał się odtąd i wrósł mocno w pracę na roli, stając jednocześnie do pracy społecznej na każdym polu, gdzie tylko otwierała się potemu sposobność. Do pracy tej wciągnął się jeszcze za życia ojca, biorąc udział w sądach kompromisarskich oraz sprawując opiekę nad osieroconemi rodzinami z sąsiedztwa. Z tych zadań wywiązywał się z taką sumiennością, sprawy obywatelskie rozważał z taką skrupulatnością i bezstronnością, że opinia o nim, jako idealnym kompromisarzu, zaczęła się szeroko rozchodzić. W niedługim czasie nie było żadnej sprawy polubownej, żadnego działu familijnego w Słuczczyźnie, któryby się odbył bez udziału pana Edwarda. Zaczęto się dobijać o przyjęcie przezeń opieki. Sprawując te uciążliwe, absorbujące drogocenny jego czas, funkcje, nabrał ś. p. Edward w młodym stosunkowo wieku niezwykłego doświadczenia życiowego i znajomości wszechstronnej stosunków rodzinnych i majątkowych swych współpowietników. W tych pracach

wyrobił ten trzeźwy, jasny sąd, który pozwalał mu orientować się w najbardziej zawiłych sprawach, znajdując zawsze prostą, a nader praktyczną drogę wyjścia.

Wielce żałować należy, iż ta strona działalności Edwarda Woyniłłowicza nie znalazła należytego w jego pamiętnikach odbicia. Pomiął ją prawie zupełnie, ograniczając się jedynie do podania kilku szczegółów o sprawowaniu przez siebie opieki radziwiłłowskiej. Inny wybitny i zasłużony działacz na kresach południowych, zażywający ongiś wielkiej powagi, będący do pewnego stopnia wyrocznią dla tamecznego ziemiaństwa, głośny pamiętnikarz, Tadeusz Bobrowski, nieomieszkał opisać bardzo obszernie wszelkich załatwionych przez siebie kompromisów oraz sprawowanych opiek. Wrodzona skromność i bardzo duże wymagania, jakie stawiał pan Edward dla działaczy społecznych, nakazały mu pominąć milczeniem całą swoją pożyteczną na tem polu działalność.

Nie przedstawił też nader ważnej i zaszczytnej swej działalności na polu ratowania, zagrożonych ruiną, współobywateli. Wobec zakazu nabywania własności ziemskiej przez Polaków, majątki te musiałyby przejść w ręce rosyjskie, co powodowałoby kurczenie się własności polskiej w gubernjach zabranych. Tym osobnikom śpieszył chętnie z życzliwością, a trafną radą, oraz często z materjalną, a zawsze bardzo dyskretną pomocą, pozwalającą wydobyć się z zawikłanych interesów i utrzymać się na zagonie ojczystym.

W roku 1876 przed Woyniłłowiczem otworzyło się nowe, o wiele rozleglejsze pole pracy, został członkiem Mińskiego Towarzystwa Rolniczego, które stało się odtąd głównem polem jego pracy społecznej. Dzięki usilnej i długotrwałej pracy ziemian Polaków, w pierwszym rzędzie ś. p. Edwarda Woyniłłowicza, Mińskie Towarzystwo Rolnicze z instytucji, mającej służyć celom rusyfikacyjnym, stało się czysto polską placówką, skupiającą w swem gronie kilkuset ziemian Polaków z gubernij zabranych. Było szkołą życia publicznego i dosko-



nalenia się w zawodzie rolniczym. Z za stołu przydyjalnego poczęli znikać umundurowani i uorderowani dygnitarze rosyjscy, ustępując miejsca ogorzałym twarzom rolników miejscowych. Po zamknięciu w roku 1862 Towarzystwa Rolniczego w Warszawie, Mińskie Towarzystwo Rolnicze było pierwszym i przez dłuższy czas jedynym w zaborze rosyjskim. Nie dziw więc, że jego obrady w kraju, pozabawionym w latach osiemdziesiątych — dziewięćdziesiątych wszelkiego życia społecznego, budziły zainteresowanie powszechne, na jego posiedzenia zjeżdżali ludzie z najdalszych okolic nie tylko historycznej Litwy, ale i Kongresówki. Całą zasługę tej przemiany przypisać należy Edwardowi Woyniłłowiczowi, który od chwili wstąpienia do Towarzystwa pracował niezmiernie nad jego rozwojem. O pracy swojej w Mińskim Tow. Rolniczem pisze obszernie w niniejszych wspomnieniach, do nich więc odsyłam czytelnika. Dzięki głównie Woyniłłowiczowi, nastąpił świetny rozwój instytucji, która wysunęła się wkrótce na jedno z przodujących towarzystw rolniczych w państwie, skupiała bowiem w sobie do r. 1905 wszystkie najtęższe jednostki, pracujące na polu rolnictwa w gubernjach litewsko-białoruskich. Zebrania, odbywane cztery razy do roku, ściągaly do Mińska masę ziemiaństwa, które wówczas nadawało temu miastu charakter wybitnie polski. Wszędzie słyhać było mowę polską, w sklepach i na ulicach pełno było ogorzałych twarzy ziemiańskich. Słyhać było najbardziej rozmaite odcienie gwary kresowej.

W dużej sali Towarzystwa wrzało wówczas jak w ulu. Śród typowych charakterystycznych postaci na plan pierwszy wybijała się rasowa twarz prezesa o długich opuszczonych wąsach i pięknych mądrych oczach, postać jakby żywcem wycięta ze starego portretu z wieku XVII. Brakowało tylko delji czy kontusza. Śród zebranych ziemian sprawiał wrażenie hetmana czy wojewody, przewodniczącego obradom „panówbraci”. Wodzem był istotnie tego zgromadzenia, które bez

szemrania uznawało jego przewodnictwo. Wielkie zalety towarzyskie, szybkie orjentowanie się w różnych kwestjach zawodowych i społecznych, ogromne doświadczenie życiowe, duży takt, znajomość środowiska, lojalność wobec przeciwników pozwalały mu w sposób świetny kierować ogólnymi zebraniem, omijać niebezpieczne rafy, które mogły narazić na szwank Towarzystwo. Umiał rozbrajać zapalczywych oponentów, jakich w tak licznej zgromadzeniu nigdy nie brakło, i przeprowadzać projekty, które uważał za słuszne.

Wystawa rolniczo-przemysłowa, urządzona w roku 1901 z okazji 25-lecia istnienia Towarzystwa Rolniczego, była największym triumfem Woyniłłowicza, który mógł oglądać i cieszyć się owocami pracy polskiego ziemiaństwa. Wystawa była jednocześnie przeglądem sił i zasobów polskich w t. zw. „Kraju Północno - Zachodnim”. Dała ona możność licznie bardzo przybyłym gościom ze wszystkich prawie dzielnic polskich podziwiać żywotność elementu polskiego w Mińszczyźnie, który pomimo kilkudziesięcioletnich wysiłków rusyfikacyjnych nie dał się pognębić i wzrósł na siłach, nadając piętno polskie całej strukturze życia społecznego. Dla miejscowej ludności polskiej wystawa była zachętą do dalszej pracy, do dalszej walki w obronie swego stanu posiadania. W tym imponującym wysiłku polskiego społeczeństwa, jakim była wystawa mińska, rola główna przypadła Edwardowi Woyniłłowiczowi. Zdawano sobie doskonale sprawę, że bez jego ofiarnej twórczej pracy nie osiągnięto podobnych wyników, to też osoba czcigodnego prezesa wzbudzała wśród licznie przybyłych z dalszych stron na wystawę rodaków zrozumiałe zainteresowanie i była niejednokrotnie przedmiotem szczerych, niekłamanych hołdów i uznania.

Przez długie lata, bo przez 35 lat przeszło, był Woyniłłowicz sędzią honorowym powiatu słuckiego. Stanowisko to wysoce sobie cenił i nie opuścił żadnej sesji sądowej, chyba z powodu faktycznej niemożności. Nie będąc z zawodu

### XIII

prawnikiem, nabrał dużej biegłości w rzeczach prawnych i wyrobił w sobie to wielkie poczucie praworządności, jakie go cechowało przez całe życie. Zasługi jego na tem polu uczcił Sąd Okręgowy Nowogródzki odrodzonej Rzeczpospolitej, wybierając go na sędziego honorowego.

Był prezesem Towarzystwa Dobroczynności w Słucku, zajmując się bardzo czynnie i hojnie obdarzając istniejącą przy niem bursę, gdzie kilkudziesięciu niezamożnej młodzieży, przeważnie ze sfery drobnej szlachty lub oficjalistów rolnych, otrzymywało bezpłatnie lub za niewielką opłatą wikt i mieszkanie. W znacznym stopniu przyczynił się do założenia w Słucku średniej szkoły handlowej.

Własnym również kosztem (około 300 tysięcy rubli) wznosił wspaniałą świątynię w Mińsku pod wezwaniem św. Symeona i Heleny (imiona zmarłych jego dzieci). Świątynia ta świadczy nie tylko o hojności fundatora, lecz i o wielkiej jego kulturze artystycznej, dzięki której z pośród różnych projektów wybrał piękne dzieło Pajzderskiego. Wybierając projekt w stylu romańskim, być może, chciał podkreślić ścisły związek tego kraju z kulturą Zachodu oraz zapobiec możliwości przeróbki tego kościoła na cerkiew.

W życiu rodzinnem Woyniłłowicza trapiły nieszczęścia, raz po raz spadały nań ciężkie ciosy. W roku 1897 zmarł w dwunastym roku życia jedyny syn jego, ostatnia latorośl starego i zasłużonego rodu. Po tej strasznej stracie dzwignął się nieszczęśliwy ojciec. Religja była tą wielką dzwignią, która pozwoliła mu znieść to nieszczęście. „Prawica Boża — pisze w swym testamencie — zaciężyła nademną, zostałem jak ogniwo oderwane od łańcucha, lecz też prawica Boża mię podniosła. Bóg dał mi siły, że nie upadłem. Bóg zachował mi córkę, której zalety charakteru i umysłu były dla mnie widomym znakiem miłosierdzia Bożego nad głową moją, nie pozwalały mi upaść pod apatją i zwątpieniem”. W kilka lat później spotyka go nowe nieszczęście. W roku 1903 umiera

19-letnia ukochana jedynaczka, dziecko jego ducha. Pod wpływem tego straszego ciosu kreśli, niby drugi Hiob następujące, nacechowane rezygnacją i poddaniem się woli Bożej, słowa: „Wielki, mocny i potężny Pan Zastępów, silne ramię Jego ciosy rozdziela na swą miarę, a potem dźwiga człowieka, aby je znosił i nie upadł, a wytrzymał aż do końca, aż się zadość stanie sprawiedliwości Pańskiej. Z silnego niegdyś drzewa rodu mojego opadała gałąź po gałęzi, aż zostałem jeden jako konar, na zamarcie skazany, jako gromem rażony, którego żadna wiosna już nie ożywi. Tak Bóg chciał”.

Po roku 1905, z chwilą zaprowadzenia w Rosji ustroju konstytucyjnego, przed Woyniłłowiczem otwarły się nowe, szersze o wiele pola pracy. Wołą współziemian wyborców został powołany na członka Rady Państwa z gubernji mińskiej. Pośród przedstawicielstwa polskiego w Radzie Państwa, liczącego wielu bardzo wybitnych ludzi, Woyniłłowicz wysuwa się odrazu na plan pierwszy. Zostaje prezesem Koła Polaków z Litwy i Rusi i przewodniczącym połączonych Kół Królestwa Polskiego, Litwy i Rusi w momentach ich wspólnych wystąpień. W Radzie Państwa zajmuje również wybitne stanowisko, powołany zostaje na członka najważniejszych komisji: finansowej i naprawy ustroju rolnego, szczególnie ważnej ze względu na podniesienie i wysunięcie na plan pierwszy przez pierwszą Dumę kwestji agrarnej. Referaty jego i przemówienia w tej sprawie zwracają uwagę, poczyna uchodzić za jednego z nielicznych specjalistów. Ze zdaniem jego liczą się najwybitniejsi przedstawiciele rządu, jak premier Stołypin, lub wytrawni biurokraci, jak Durnowo, Witte, nieufnie i wrogo naogół usposobieni do nowego elementu, pochodzącego z wyborów, jaki wszedł obecnie do Rady Państwa. Zwraca na siebie uwagę gruntownością i dokładną znajomością przedmiotów, a przede wszystkim tym właściwym mu darem praktycznego ujmowania wszelkich zagadnień i wskazywania nadzwyczaj trafnej, a zarazem prostej drogi ich rozwiązywania.



Te zalety Woyniłłowicza prawdopodobnie spowodowały zaofiarowanie mu stanowiska vice-ministra rolnictwa w gabinecie, złożonym z działaczy społecznych, jaki zamierzał utworzyć. Stołypin po rozwiązaniu pierwszej Dumy.

Podczas pracy w komisjach Rady Państwa nie chciał być tytularnym tylko członkiem, lecz zawsze bardzo czynnym, nabrał wówczas doskonałej znajomości spraw państwowych, wyrobił się na prawdziwego męża stanu. Posłując do Rady Państwa, zetknął się z elitą społeczeństwa rosyjskiego, zyskując dla siebie szacunek i poważanie, a niekiedy i przyjaźń wielu wybitnych ludzi.

Z chwilą wprowadzenia w gubernji mińskiej ziemstw stołypinowskich Woyniłłowicz, wybrany na radnego ziemstwa gubernjalnego z kurji polskiej pow. słuckiego, w ciągu kilku lat bierze bardzo czynny udział w pracach tego zreformowanego samorządu ziemskiego. O pracy tej, którą potrafił uczynić owocną, w pamiętnikach wspomina tylko mimochodem, tymczasem nieliczna grupa polska, dzięki temu, że wśród niej znajdowały się tak wybitne jednostki, jak Woyniłłowicz, Skirmuntt Roman, Jastrzębski Michał, posiadała faktycznie duże znaczenie. Radni z pośród chłopów, pomimo rozbudzanych wśród nich przez duchowieństwo prawosławne i administrację nacjonalizmu i antypolskich tendencji, szli przeważnie za zdaniem Woyniłłowicza, do którego mieli ogromne zaufanie. Stosunek bowiem jego do włościan był zawsze nawskroś patryjarchalny, ojcowski, traktował ich jak sąsiadów, opiekował się nimi, dopomagał im, wchodził w ich potrzeby, interesował się ich życiem, lubił z nimi rozmawiać.

Wybuch wojny światowej, zatamowanie normalnego biegu spraw gospodarczych, wreszcie okupacja niemiecka wpłynęły do pewnego stopnia na osłabienie działalności Mińskiego Towarzystwa Rolniczego, a zarazem nasunęły nowe zadania, których Towarzystwo nie było w stanie rozwiązać. Stwarza więc Woyniłłowicz Związek Ziemian

Mińskich, staje na jego czele i podejmuje przed władzami wojskowemi obronę mienia współobywateli, niszczonego bezmyślnie przez różnego rodzaju rekwizycje. W miarę sił i możliwości starał się nieść pomoc nieszczęśliwej ludności, wysiedlanej bądź z terenów ewakuowanych, bądź objętych działaniami wojennymi. Sawicze, położone przy trakcie, idącym z Baranowicz do Bobrujska, były ciągle nawiedzane przez rzesze uchodźców, wyrządzających olbrzymie szkody w gospodarstwie.

O wiele więcej tragiczne przejście musiał przeżyć Woyniłłowicz w Sawiczach z chwilą wybuchu rewolucji bolszewickiej, kiedy majątki zostały objęte przez tak zwane komitety, złożone ze służby dworskiej i delegatów sąsiednich wsi. Wobec rozpadania się frontu coraz to który z okolicznych majątków padał ofiarą pogromu, dokonywanego przez dezertersów przy udziale miejscowych włościan. Ofiarą takiego napadu stały się Sawicze w dniach 19—21 lutego 1918 roku. Padło wówczas ofiarą bezmyślnego zniszczenia mienie kulturalne, zbierane skrzętnie przez rodzinę Woyniłłowiczów, począwszy od wieku XVII, między innymi wiele dzieł sztuki muzealnej wartości, jak piękne szafy gdańskie, septy i szkatułki różnego rodzaju, zbiór cennych rodzinnych portretów, biblioteka, licząca przeszło 5.000 dzieł; wreszcie duma i chluba Woyniłłowiczów ogromne, wzorowo uporządkowane archiwum rodzinne. Podczas trwającego kilka dni rabunku musiał Woyniłłowicz ukrywać się, ponieważ czyhano na jego życie. Dopiero okupowanie Mińszczyzny przez wojska niemieckie położyło kres tej anarchji. Wobec władz niemieckich wstawiał się za schwytanymi uczestnikami pogromu, ratując ich od śmierci. W czasie okupacji niemieckiej, pomimo nacisku, wywieranego nań z różnych stron, nie brał udziału w żadnych proniemieckich wystąpieniach, nawet w czasie największych sukcesów państw centralnych. Nie wierzył w zwycięstwo niemieckie, chociaż podczas trwania wojny niejednokrotnie



powtarzał, że front zawali się w Rosji i że Rosja pierwsza odpadnie od koalicji. Opuszczenie przez Niemców Białorusi zmusiło Woyniłłowicza, jak i całe tamtejsze ziemiaństwo, do porzucenia rodzinnego gniazda i szukania schronienia w Warszawie.

Zaraz po przybyciu do Warszawy bierze udział w założeniu związku Polaków z Kresów Białoruskich i przewodniczy na ogólnych zebraniach tego związku, liczącego wkrótce przeszło 400 członków.

Po odzyskaniu w sierpniu r. 1919 przez wojska polskie Mińszczyzny, Woyniłłowicz wraca do Sawicz, zrujnowanych całkowicie. Przez kilka miesięcy zajęty jest dzwiganie majątku, odrywany ciągle od tej pracy sprawami społecznymi i politycznymi. Trzeba było iście żelaznego zdrowia ś. p. Edwarda, żeby, mając lat przeszło siedemdziesiąt, znieść te ciągle jazdy do Mińska, Wilna i Warszawy, jakie w sprawach publicznych odbywa w warunkach niesłychanie uciążliwych. Wobec nieuregulowanego jeszcze ruchu kolejowego, przeciążonego przewozem wojsk, trzeba było niejednokrotnie odbywać końmi podróże do oddalonego o przeszło mil dwadzieścia Mińska. Woyniłłowicz nie uchylał się od żadnej pracy, kiedy tego wymagał interes publiczny. Śpieszył na każde wezwanie współziomków, narażając swe zdrowie i życie wobec panujących epidemij. Na niewygodnym wózku odbywa męczącą siedmiomilową drogę do Słucka, ażeby na zebraniu miejscowego towarzystwa rolniczego poprzeć ideę pożyczki państwowej.

W zajętego odbudowywaniem gospodarstwa w Sawiczach i Puzowie niespodziewanie ugodził nowy cios; 6 lipca 1920 r. otrzymał rozkaz niezwłoczny ewakuacji całego mienia wobec odwrotu wojsk polskich. Z niewielkim, ocalałym dobytkiem, który dało się zabrać, żegnany z płaczem ludności włościańskiej, opuszcza, tym razem na zawsze, Sawicze. Odbywa męczącą niesłychanie drogę do powiatu brzeskiego w nadziei

znalezienia tam czasowego schronienia. Rychło jednak wobec posuwania się wojsk bolszewickich trzeba było szukać innego miejsca bezpiecznego, tym razem u krewnych w Lubelszczyźnie, skąd znowu nieszczęśliwi tułacze musieli uchodzić dalej za Wisłę. Tę swoją epopeję tułaczą obszernie opisuje Woyniłłowicz we wspomnieniach.

Błąkając się po cudzych kątach, doczekał się zawarcia traktatu ryskiego. Był to cios, pod którym ugiął się ten twardy człowiek. Nie chodziło w danym wypadku o materialną ruinę tego człowieka, cały fundusz którego pozostał po tamtej stronie granicy, ale o jego klęskę moralną, o przekreślenie długoletniej ofiarnej pracy. Było to skazaniem na zagładę kilkuset tysięcy ludności polskiej na Białorusi, zniweczeniem owoców pracy pokoleń. Nie dziw więc, że z kart wspomnień bije straszna gorycz i ból, które podyktowały mu kilka bardzo ostrych wystąpień w prasie oraz rezolucję Rady Mińskiego Towarzystwa Rolniczego z dnia 29 kwietnia 1921 r., będącą jakgdyby testamentem politycznym czcigodnego prezesa tej instytucji. Był to ciężki akt oskarżenia nie tylko przeciwko ludziom, zawierającym traktat ryski, sejmowi, ratyfikującemu ten akt, ale przeciwko całemu społeczeństwu, które sankcjonowało ten nowy rozbiór kraju, odstępując bolszewikom setki tysięcy hektarów ziemi, znajdującej się w polskim ręku i kraju, w którym promieniowała polska kultura. Słusznie więc z oburzeniem podkreślał, że „przy rozstrzygnięciu losów Kresów Wschodnich żadne przedstawicielstwo tych ziem nie było powoływane, ani nawet dopuszczane w charakterze rzeczoznawcy lub doradcy”.

Traktat ryski, pozostawiając po tamtej stronie Puzów i Sawicze, pozbawił Woyniłłowicza środków do życia i skazał na tułaczkę. Mając bardzo ograniczone środki, nie chcąc korzystać z łaski krewnych, dla których los okazał się szczęśliwszy, osiadł w Bydgoszczy, gdzie tylu rozbitków kresowych znalazło schronienie. Nie przestał pracować społecznie.

Organizował w Bydgoszczy opiekę nad rodakami, których tutaj zagnały losy. Porządkował swe wspomnienia, rozległą prowadził bardzo korespondencję z dawnymi towarzyszami pracy, którzy rozproszyli się teraz po całej Polsce. Chociaż los sprowadził go do roli widza, obserwującego rozwijające się przed nim zdarzenia, widza, reagującego niekiedy bardzo silnie, zachował pomimo zbliżającej się osiemdziesiątki świeżość umysłu, trafny sąd o rzeczach i młodzieńczą wprost zdolność reagowania na wypadki, jakie miały miejsce w odrodzonej Rzeczpospolitej w latach 1921—1928. Ubolewać należy, że czynniki decydujące w Polsce nie potrafiły wyzyskać dla dobra sprawy publicznej wielkich zdolności, wiedzy i doświadczenia Edwarda Woyniłłowicza. Gruntowna znajomość z jego strony kwestji agrarnej, spraw serwitutowych, trudnych i skomplikowanych zagadnień narodowościowych i wyznaniowych na kresach wschodnich zalecała go, jako wymarzonego wprost eksperta i doradcę w tych niezwykle ważnych, a niezmiernie zawikłanych kwestjach, zamierzeniach i posunięciach rządowych. Pozostał poza nawiasem; nie danem mu było radą i doświadczeniem służyć odrodzonej ojczyźnie, tak bardzo potrzebującej ludzi o typie Edwarda Woyniłłowicza, ludzi wielkiego serca, rozległego umysłu i silnego, niezależnego charakteru. Być może ta ostatnia właściwość jego duszy była głównie przeszkodą w powołaniu go do czynnej polityki. Należał do innej epoki, do innego pokolenia, za dużo w nim było z owego dębu kresowego, wrosłego mocno w grunt ojczysty i stawiającego opór nadchodzącym burzom, nie było w nim nic z wierzby przydrożnej, uginającej się przy lada wietrze\*). Z rezygnacją niósł swój krzyż, jakiego los mu nie oszczędził. Pocieszał siebie przeświadczeniem, że „dobra myśl, dobry czyn, choćby na razie nie plonowały — może kiedyś odgrzebane zostaną,

---

\*) Por. Al. Lednicki, E. Woyniłowicz, „Świat”, 26, 1928.

jak pszenica w grobowcach faraonów i pokiękują; a wtedy przypomną tych, którzy niegdyś siew ten rzucali..." „Takie rozbitki losu, jak ja obecnie, zwykle giną w zapomnienia fali pierwej, niż nawet ze świata zejda; inne czasy innych potrzebują ludzi, więc chociaż pomimo 78 lat jeszcze może zdolnymby się okazał do jakiej pracy społecznej — wcale się dziwić nie myślę, że pozostałem poza nawiasem, bo do obecnych nastrojów trudno byłoby mi się nagiąć, a nigdy z dawnymi ideałami rozbratubym wziąć nie potrafił. A ludzie u nas jeszcze nie doszli do przeświadczenia, że nowy gmach budując, niema racji zapoznawać starych fundamentów" \*).

Jednym z rysów, charakteryzujących ś. p. Edwarda Woyniłłowicza, jako działacza społecznego był jego realizm. Nie tyle obchodziły go odległe programy i ideowe daleko sięgające założenia, co zadania bieżącej polityki i życia praktycznego, miały one dla niego, jak słusznie powiedziano\*\*), daleko mniejszą wagę od celowej i uwieńczonej powodzeniem taktyki. Był to przede wszystkim znakomity taktik, którego posunięciom na arenie życia społecznego towarzyszyło prawie zawsze powodzenie. Szczególnie uderzało to w stosunkach z władzami rosyjskimi. Znał dobrze psychologię biurokraty rosyjskiego, umiał też z nimi postępować. Bez cienia służalczości zjednał sobie takie zaufanie w sferach biurokratycznych, że nie umiano mu odmówić i że potrafił pomyślnie przeprowadzić większość swych projektów.

Do ś. p. Edwarda Woyniłłowicza dadzą się w zupełności zastosować piękne słowa Stanisława Tarnowskiego \*\*\*), wypowiedziane o innym niemniej zasłużonym działaczu: „Zmysłem rzeczywistości opatrzony, lepiej niż którykolwiek z współczesnych wiedział, że jak człowiek nie jest duchem tylko,

\*) Z listów E. Woyniłłowicza do M. Porowskiego 30. XII. 1923 r. i 2. I. 1925 r.

\*\*) Jan Lutosławski, Ś. p. Edward Woyniłłowicz, Warszawa, 1928.

\*\*\*) St. Tarnowski, przedmowa do wspomnień ks. Leona Sapiehy.



ale ciałem, tak ojczyzna nie jest ideą samą, abstrakcją, uczuciem, miłością, ale musi mieć i swoją część materjalną i materjalne życie i życia tego warunki. Wiedział, że ojczyzna musi koniecznie być materjalną także i że, chcąc dojść do tego, co być powinno, trzeba wyjść z tego, co jest: oto w dwóch słowach tajemnica jego polityki. A jej środki to praca nieustająca około korzeni drzewa. Ruszać ziemię, dodawać żywiołu, czyścić z niepotrzebnych odrośli. Kwiat i owoc da Bóg w swoim czasie, jeżeli człowiek zrobi co powinien”.

Dla dwóch pokoleń Woyniłłowicz był wzorem niedoścignionym i nauczycielem w służbie obywatelskiej i miłości dla kraju. Dla Mińszczyzny, więcej nawet dla gubernij litewsko-białoruskich był tem, czem w swoim czasie byli dla Kongresówki Andrzej Zamoyski, dla Galicji Leon ks. Sapieha, Poznańskiego generał Chłapowski, Niegolewski, i Dr. Marcinkowski, dla kresów południowych Roman ks. Sanguszko — postaci z jednej bryły, uosobienie obywatelskiej służby ojczyźnie. Było w nim wiele z tego szlachetnego kruszcu, z jakiego odlane były dusze bliskich mu pochodzeniem Rejtana i Kościuszki. Był, jak słusznie zauważył we wspomnieniu pośmiertnem Jan Lutosławski „pochodnią, która świeciła osobliwem światłem moralnem”. Był zaszczytem i chlubą ziemiaństwa kresowego.

Los, który tyłu nieszczęściami nawiedził go za życia, nie pozwolił mu nawet spocząć na kurhanie sawickim obok zwłok tak drogich rodziców i dzieci, o czem marzył i co wypowiedział w swym testamencie spisany przed laty. Kończył wówczas tę swoją ostatnią wolę następującemi słowami: „Żegnam lasy, dawne pokolenia jeszcze pamiętające. Żegnam łany potem ojców moich zroszone”. A przyszłego dziedzica swych posiadłości zaklinał, „żeby szedł drogami, przez niego i przez przodków wydeptanemi, a to w miarę sił i zdolności swoich. Jak zaś żyli dawni dziedzice tej ziemi, powiedzą

nowemu dziedzicowi tradycje miejscowe, jeśli ich zapytać się zechce, powiedzą dobrzy ludzie, wyszumią drzewa w parku sawickim, przypomni mu kurhan przed wieki na polu usypany, gdzie obecnie ojczyce tej ziemi oczekują sądu ostatecznego”.

Do spisywania wspomnień przystąpił Woyniłłowicz, jak sam przyznaje, w późnym wieku, bo po dojściu do 70 roku w czasie prawdopodobnie przymusowej bezczynności podczas wielkiej wojny. Starał się popierać i uzasadniać twierdzenia swoje dokumentami, których pokaźny zasób zgromadził. Niestety padły one ofiarą pogromu, jaki miał miejsce w Sawiczach 19—21 lutego 1918 r. Niema pewności, czy podczas tego napadu nie uległa zniszczeniu i część pamiętników, które potem zostały nanowo napisane w Bydgoszczy.

Rękopism składa się z 2 części: wspomnień, które skreślił autor, przystąpiwszy w roku 1917 do ich spisywania oraz dziennika, prowadzonego od dnia 2-go grudnia 1918 roku aż do czasu ciężkiej choroby, która powaliła go na łożo śmiertelne. Rękopism obejmuje 288 stronice ponumerowanych rozmiaru arkuszowego i 364 stronice rozmiaru handlowego, pisanych charakterystycznym wyraźnym pismem. Uzupełniają pamiętnik 4 spore pakiety odezw, wycinków z gazet, bardzo systematycznie robionych przez autora na tułactwie w Warszawie i Bydgoszczy. Przywiązywał doń autor widocznie duże znaczenie, ponieważ często się na nie w wspomnieniach powołuje.

Wspomnienia ś. p. Edwarda Woyniłłowicza są cennym przyczynkiem do dziejów gubernij zabranych w okresie popowstaniowym. Żałować wypada, że autor, świetnie znający przeszłość swego kraju, obdarzony zmysłem obserwacyjnym i wyjątkowym darem opowiadania, nie poświęcił więcej kart odmalowaniu środowiska, w którym wzrastał i wśród którego przez tyle lat pracował. Nakreślony przez niego wizerunek społeczeństwa pod względem obyczajowym byłby niezwykle ciekawy. Nie uczynił tego prawdopodobnie, ponieważ uważał,



że działacz społeczny, jakim był, winien poświęcać uwagę tylko sprawom ogólniejszym, oraz być może z powodu wrodzonej szlachetności, żeby, poruszając sprawy osobiste, nie dotknąć kogoś. Ograniczył się do rzeczowego przedstawienia swej działalności społecznej i politycznej, jednak karty, poświęcone pracy w Radzie Państwa, charakterystyce różnych działaczy rosyjskich, z którymi się stykał, pisane są żywo i posiadają ogólniejsze znaczenie.

W Bydgoszczy, gdzie spędził ostatnie lata swego życia, zyskał niezwykle poważanie. Został patriarchą licznie tam osiadłej kolonji kresowej. O czci, jaką był otoczony, świadczyły tłumy, jakie odprowadzały zwłoki na wieczny spoczynek oraz masa wieńców, jakie wieziono za jednokonnym karawanem z prostą sosnową trumną. Takiego bowiem najskromniejszego pogrzebu żądał dla siebie w testamencie Zmarły.

Zgasił po dłuższej chorobie 16 czerwca 1928 r., nakreśliwszy w końcu pamiętnika stygnącą już pod dotknięciem śmierci ręką te proste i pełne rezygnacji słowa:

W doznaniu z tą chorobą niewyjął,  
 „Wszystko poza”  
 45. Przew.  
 1928 12 S. Wujcikowski

Komitet uczczenia ś. p. Edwarda Woyniłłowicza, przystępując do wydania niniejszych wspomnień, postanowił ograniczyć się narazie do wydania pierwszego tomu, odkładając do czasu późniejszego wydanie dalszej części. Wychodzący z założenia, że należy przedstawić działalność ś. p. Edwarda Woyniłłowicza w okresie najbardziej twórczym, to jest pracy jego w Mińszczyźnie, dla tego wzięto za datę końcową traktat ryski, pozostawiający za kordonem całą jego ojcowiznę i przerywający dalszą jego działalność. Komitet był zdania, że rzeczy po roku 1921 są zbyt świeże i nadają się do publikowania dopiero wówczas, gdy czas w swym biegu nada im pewną perspektywę.

Za tym podziałem wspomnień przemawia jeszcze ta okoliczność, iż dnia 1 maja 1921 r. odbyło się w Warszawie ostatnie zebranie członków Mińskiego Towarzystwa Rolniczego. Przerwany został byt zasłużonej instytucji, którą Woyniłłowicz, rzecz można, stworzył i rozwinął, której w ciągu tylu lat przewodniczył.

W aneksach do niniejszego pierwszego tomu wspomnień dodano kilka dokumentów, jakie udało się zgromadzić, a które bliżej oświetlają pewne momenty działalności społecznej i politycznej zmarłego. Na uwagę zasługują: memoriał w sprawie duchowieństwa prawosławnego na Kresach, nakreślony z dużą znajomością rzeczy, oraz rezolucja, powzięta przez walne zebranie członków Mińskiego Towarzystwa Rolniczego na posiedzeniu dnia 29 kwietnia 1921 r. w Warszawie, będąca testamentem zasłużonej instytucji, która wskutek pokoju ryskiego musiała zakończyć swój żywot.

Wydając niniejsze wspomnienia, Komitet dbał o zachowanie swoistego języka autora z jego archaizmami i prowincjonalizmami. Poczyniono tylko niewielkie poprawki, usuwając zbyt rażące rusecizmy.

W końcu winieniem wyrazić szczególniejsze podziękowanie P. P.: M. Porowskiemu, T. Ponikwickiemu, R. Skirmuntowi i K. Zdziechowskiemu, którzy z wszelką gotowością i uprzejmością udzielali mi cennych wskazówek i pomagali w pracy redakcyjnej niniejszego wydawnictwa.

## I.

12/13 października 1917 r. skończyłem lat 70. Dziennika nigdy nie pisałem, więc i pamiętnik kreślić przytrudno, o ile brakuje materiałów chronologicznych, bo pamięć może być zawodną. Będę pisał tylko o tem, co pamiętam dobrze, o czem już ludzie wśród troski dnia dzisiejszego zapomnieli, o czem nawet niema z kim pomówić—bo naokoło już wszystko ludzie młodzi, przy rozpatrywaniu się w „status quo” mniej się zastanawiający nad sprawdzeniem, co im z własnego dorobku przyszło, a co było spuścizną zeszłego pokolenia.

Co przeżyłem, co przebolełem—Bogu to ofiaruję. Było tego wiele, może to na szali sądu ostatecznego przeważy na usprawiedliwienie moje; będę się starał nie pisać o tem. Jeżeli kiedy będę wspominał o sprawach osobistych, to tylko tyle, o ile one uprzytomniają nastrój epoki, środowiska, w którym żyłem, i wytłumaczają ten, a nie inny światopogląd piszącego; będę się starał co najwięcej opowiadać, a co najmniej sądzić, bo im sąd więcej odległy od czynu lub wypadku, tem więcej jest bezstronny. Niech więc czas spełni swe zadanie.

Urodziłem się z ojca Adama, syna Antoniego i matki Anny z Wańkowiczów 12/13 października 1847 r. w majątku Ślepianka pod Mińskiem Litewskim, własności rodziców mojej matki, Edwarda i Michaliny z Moniuszków Wańkowiczów. Ponieważ byłem spodziewany jako pierwszy wnuk w rodzinie, rodzice mojej matki sprowadzili ją na połóg do siebie, a że przyszedłem na świat w dzień imienin dziada Edwarda, odbyły się chrzciny moje z pewną okazałością, wśród liczego zebrania imiennowych gości i ojcem moim chrzestnym był, w owych

czasach bardzo popularny, Leon Osztorp\*), marszałek gubernjalny, komandor maltański, właściciel wielu majątności, jak Przyluki, Dukora i t. d.

Ponieważ wspomniałem o Ślepiance i rodzinie Wańkowiczów, nie od rzeczy będzie dodać parę bliższych wyjaśnień. Dziad mój, Edward, syn Stanisława, członek dawnej i zamożnej rodziny, ożeniony był z Moniuszkówną, córką tego Moniuszki, który swego czasu wraz z Osztorpem dorobiwszy się bardzo znacznej fortuny, ożeniony z Woyniłłowiczówną, zostawił bardzo liczne potomstwo, składające się z ludzi wysoce uzdolnionych, filantropów, lecz często, niestety, zdenerwowanych, a więc nieraz trochę zdziwaczałych\*\*). Żaden z nich prawie nie potrafił utrzymać się przy majątku i wielka fortuna moniuszkowska stała się w krótkim względnie czasie przeważną częścią i podstawą fortuny wańkowiczowskiej. Córką tego protoplasty Moniuszki była babka moja, Michalina, a jednym z wnuków—sławny muzyk Stanisław, twórca opery polskiej. Michalina Wańkowiczowa dała swemu mężowi nader liczne potomstwo, było dzieci 17-ro, z których 13-ro żyjących sam pamiętam; była to osoba niepospolitych zalet serca i umysłu, koło niej cała rodzina się skupiała, do niej w trudnych chwilach się garnęła; do ostatnich chwil późnego wieku swego interesowała się gorąco wszystkim, co się na świecie działo, szczególnie zajmowała ją przyroda i to zamięłowanie do przyrody przelała i na potomstwo swoje, z którego syn Jan, zasłynął jako znany i w świecie uczonym ceniony entomolog.

---

\*) Leon Osztorp, długoletni marszałek gubernjalny miński, próżny i ograniczony człowiek, głośny ze swej rozrzutności. Po tragicznym zgonie jego (utonął w karecie po załamaniu się mostu na rzece Świsloczy) powtarzano złośliwe wierszyki o nim satyryka mińskiego Ignacego Legatowicza: „Śmierć marszałka Osztorpa zrobi zmianę znaczną: Panowie pić przestaną, a chłopci jeść zaczną” oraz „Śmierć marszałka Osztorpa jest wielką dla dworzanstwa szkodą; Choć za życia pił wino, lecz się dopił wodą”. Por. Iwaszkiewicz, Mińsk, w wyd. „Co to jest Polska”; pamiętniki Osztorpa, rps. w posiadaniu hr. Benedykta Tyszkiewicza. p. w.

\*\*\*) O genezie fortuny Moniuszków i Osztorpów ciekawe szczegóły zawiera praca Aleksandra Walickiego „Stanisław Moniuszko”, Warszawa, 1873; por. również pracę Al. Jelskiego o Dominiku Moniuszce, głośnym swego czasu filantropie w Albumie zasłużonych Polaków, Warszawa, 1907; Rzewuski Henryk, Pamiętniki Michałowski. p. w.



W ciężkie mrozy, w grudniu, obszerną karetą zimową, do ostatnich czasów w wozowni spoczywającą, którą zdawałoby się i pociągnąć na bliską metę byłoby trudno, rodzice odwieźli mnie do majątku swego Sawicze, w Słuczyźnie, o mil 18-ie odległego od miejsca mego urodzenia. Warunki podróży odbiły się na zdrowiu mojem, bo zaraz zachorowałem na szkarlatynę, staraniom rodziców moich życie zawdzięczam. Byłem może pociechą w ich życiu, lecz sam pociechy z życia nie miałem—takie było zrządzenie Boże.

Muszę tutaj powiedzieć słów kilka o Sawiczach, albowiem tradycja majątku, atmosfera domu, otoczenie całe, zbyt poważny wpływ na usposobienie i wychowanie moje wywarły.

Majątek Sawicze wraz z folwarkami i wioskami, stanowiący niegdyś koło 5.000 dziesięcin, wchodził dawniej w skład województwa nowogródzkiego, a księstwa słuckiego; wszedł we władanie rodziny Woyniłłowiczów ku końcowi XVI wieku czy początkowi XVII-go, jako wiano Anny Telszewskiej, córki Walentego, która po śmierci 3-ch swoich mężów: Trypolskiego, Woyniłłowicza i Reytana, majątność swoją Sawicze, Puzów i t. d., zapisała dzieciom swoim z Woyniłłowiczem spółdzionym. Majętność tę można podówczas rodzina Telszewskich dzierżyła nasamprzód prawem zastawnem a następnie nabyła na własność od Zofji Olelkowiczówny\*), żony Janusza Radziwiłła, ostatniej księżniczki słuckiej, której zwłoki, prawie nieuszkodzone, spoczywają w sarkofagu w monasterze świętej Trójcy w Słucku, przez przodków jej fundowanym. Tam przechowały się portrety jej ojca i dwóch stryjów, czyli: Aleksandra, Jerzego i Symeona Olelkowiczów, tudzież pismo święte, całe własnoręcznie przez Olelkowicza pisane i pastorał (posoch) złoty z napisem łacińskim (sic) wokoło. Odnośne dokumenta (spoczywały) w archiwum sawickiem z wielu innymi dokumentami, tyczącemi się spraw ks. Olelkowiczów, jak np. działem posiadłości między ojcem ks. Zofji i jej stryjami, inwentarzami z tej epoki dóbr sawickich, z których np. wyczytać można, iż niektóre rody włościańskie

---

\*) Zofja ks. Januszowa Radziwiłłowa córka Jerzego i Barbary z Kisków ks. Olelkowiczów słuckich zmarła w roku 1613. Ks. Olelkowiczowie, słuccy potomkowie Giedymina, wygaśli w początkach XVII wieku. p. w.



nie są mniej starożytne od szlacheckich, bo niektóre nazwiska zapisane we wsi sawickiej, Bratkowie, w czasach olelkowiczowskich i dotychczas przez gospodarzy tej wsi są noszone. Wracając jeszcze do rodziny ks. słuckich, zaznaczyć wypada iż jakkolwiek obrządku wschodniego, nie stronili od wyznania rzymskiego: jeden z nich nawet, Symeon, pochowany został w katedrze lubelskiej, jak to dotychczas napis w kaplicy lewej znaczy; ofiarowany pastorał archimandrycie monasteru trojezańskiego w Słucku ma napis łaciński: „Ave Maria gratia plena, Dominus Tecum”, a jakie ich było przywiązanie do Rzeczypospolitej, może świadczyć wstęp do Pisma Świętego, własnoręcznie pisanego naprzód złotymi literami, potem czarnym inkaustem, w którym księżę zaznacza, „iż nie dlatego przestał pisać złotem, iżby go na chwałę Bożą żałował, ale że czarną farbą pisze się prędzej, a tak jest przybity rozmaitemi niepowodzeniami, które spadają na Rzeczpospolitą, iż lęka się, czy mu życia starczyłoby na dokończenie swej pracy”.

Archiwum sawickie, do porządku doprowadzone i skatalogowane przez pradziada mojego Adama, podkomorzego nowogródzkiego, przetrwało tyle wieków, przetrwało najścia Szwedów, Kozaków, Moskwy, przetrwało rozmaite rozruchy wewnętrzne, więc mam nadzieję, iż ostoi się wśród tej katastrofy niebywałej, którą obecnie przeżywamy. Dla pamięci dodaję, iż w archiwum przechowuje się między innymi i księga pamiątkowa, „Vade mecum”, pułkownika z czasów „Potopu”, Gabryela Woyniłłowicza, następnie starosty lityńskiego i krośnieńskiego, w którego chorągwi służył Wołodyjowski i inni towarzysze pancerni, bohaterowie Trylogii Sienkiewicza, u którego ta księga pamiątkowa przez parę lat się znajdowała i z której potrzebne sobie dane czerpał.

W powiecie słuckim, z wyjątkiem odwiecznych rodowych posiadłości Woyniłłowiczów i Reytanów, wszystkie prawie majątki należały do ks. Radziwiłłów, linii nieświeskiej. Wskutek marnotrawstwa ostatnich książąt, a głównie niepohamowanej fantazji księcia „Panie Kochanku”, na którą wciąż nowych środków było potrzeba, folwarki przechodziły w „zastaw” do rozmaitych oficjalistów i zauszników książęcych, którzy z biegiem czasu, już za początków rosyjskich, nabywszy te folwarki na własność, stali się posesjonatami, względnie

świeżej daty. Stąd może i pochodziła pewna przewaga rodowa Woyniłłowiczów, jako odwiecznych dziedziców, nad innymi rodami w powiecie i oddawanie im przez szlachtę powiatu urzędów: podkomorzego, marszałka i t. p. Nie miejsce tu pisać o zasługach mego rodu; kogo to interesuje, dowie się o nich z historii, w herbarzach i monografiach heraldycznych, lub wyczyta w starych pamiętnikach Paska, encyklopedjach i t. p. Ród mój na mnie się kończy. Wiadomo tylko wszystkim, że na dziedzictwie naszym żadna krzywda ludzka, żadna łza ludzka nie ciąży: moja łza chyba jedna padnie. Dla ścisłości jednak zaznaczyć muszę, że był to ród miejscowy, białoruski, herbu własnego, czyli Syrokomla odmienna, wyobrażającego w polu czerwonym strzałę jakby rozdartą (Habdank), żeleźcem w dół obróconą, mającego w hełmie trzy piórka strusie. Pisali się Woyniłłowicze dawniej przez jedno „ł”, następnie przez dwa „łł”, jak to u wielu rodów się praktykowało. Daleko nie szukając, u ks. Radziwiłłów. Widzimy w Farze nieświeskiej nagrobek młodzieńca, z Wiśniowieckiej zrodzonego, i wiele innych z jednym „ł” w nazwisku, wówczas, gdy następnie Radziwiłłowie zawsze przez dwa „łł” się pisali. W archiwum sawickim w dokumentach, na jednym i tym samym arkuszu, spotykamy nazwisko nasze nieraz w dwojaki sposób pisane. Protoplastą rodu był Woyniłło, syn jego był Stecko (Stetko), lecz pierwszy dokument piśmienny, tyżący się rodu, w archiwum sawickim przechowany z herbem i podpisem Siemiona Stetkowicza Woyniłłowicza, jest z daty 1-go maja 1559 roku. Woyniłłowiczowie wówczas wyznawali obrządek wschodni, jak to świadczą krzyże wschodnie książek do nabożeństwa na portretach prababek, jak np. teżę Anny z Telszewskich, I-o voto Trypolskiej, II-o Woyniłłowiczowej, III-o Reytanowej, tudzież imiona na chrzcie świętym nadawane: synowie Symona byli: Borys, Bohdan, Zmajło, wnukowie: Melchior, Hrehory, Iwan; potem już musieli przystąpić do obrządku rzymskiego i w XVII wieku poszli Ludwikowie, Krzysztofowie i t. p. Przez te fazy przechodziły wszystkie dawne rody ruskie, wyjątku więc i tutaj nie było.

Gdy mnie w powijkach przywieziono do Sawicz, żył tam jeszcze i mieszkał dziad mój, marszałek słucki, Antoni, obrany poraz pierwszy w 1811 roku; w roku 1812 prze-

mianowany był za czasów napoleońskich na podprefekta, następnie znowu wrócił do urzędu marszałkowskiego. Ożeniony był z Teofilą Odyńcówną, sam się zaś rodził z ojca Adama, podkomorzego województwa nowogródzkiego i Karoliny Sulistrowskiej, urodzonej z Pacówny. Ten Adam był mężem zaufania i wielkiej powagi w województwie, liczył się z nim i „Panie Kochanku”, a listy króla Stanisława Augusta, pisane do p. podkomorzego z prośbą o popieranie konstytucji 3-go maja, tudzież dyplom na order św. Stanisława, przechowywały się w archiwach sawickich.

Teofila Odyńcówna była siostrzenicą generała Morawskiego z Zausza, ożenionego z siostrą „Panie Kochanku”. Temi koligacjami chyba wytłumaczyć należy pewne aspiracje życiowe, ponad stan funduszu sięgające, które w Sawiczach ku schyłkowi XVIII i na początku XIX-go wieku wprowadzone zostały. Bo gdy przez poprzednie dwa stulecia ród nasz, wiernie służąc krajowi, ani piędzi ziemi ojczyściej nie stracił, ale ani piędzi nie przyrobił, i jak się to widzi ze starych inwentarzy, w cieniu odwiecznych drzew, olelkowiczowskie czasy pamiętających, takie lub inne siedziby z drzewa budował, na początku XIX wieku, zamiast starego dworu drewnianego o dachach mansardowych i 2-ch basztach narożnych, jak to widać z przechowywanego się w archiwum starego planu, stanął pałac murowany, w parku budowano na starych lipach altany dla orkiestry, sypano sztuczne wyspy, stawiano wiatraki holenderskie, grotty cieniste, i strzyżone labirynty, bo to wszystko było w Albie lub Arkadji... Po śmierci babki wszystko to się zaniedbało, zostały tylko długi, które następne pokolenie likwidować musiało. Babka Teofila umarła w rozterce z mężem w Słucku i tamże pochowana. O ile wiem z tradycji nie był to charakter dodatni, bo wogóle rodzina Odyńców w ostatnich z tej linii przedstawicielach była dziwnie nie zrównoważona, zdenerwowana, aczkolwiek bardzo inteligentna i silnie farmazoństwem zabarwiona.

W majątku Sawicze, przy samym parku stała i stoi obecnie cerkiew, niegdyś unicka, dzisiaj prawosławna. Nie mogę pominąć jej milczeniem — jej dzwony zwiastowały nam wszelkie święta doroczne; strzelano radośnie na rezurekcję z moździerzy, które stały u nas w wielkiej sieni pałacowej;

przy dźwięku jej dzwonów wnoszono na wieczny odpoczynek z pałacu dziedziców tej ziemi... Miała niegdyś ta cerkiew i filjalna jej kaplica w Puzowie nawet przywileje papieskie i ojciec mój zawsze wspominał, iż wyjeżdżając z domu do szkół słuckich zawsze wstępował po drodze do plebanji, leżącej o ćwierć wiorsty za parkiem, gdzie przy błogosławieństwie parocha nigdy o pierniczkach dla uczniaka nie zapominano. Ostatnim parochem był ksiądz Sawicz, po skasowaniu unji 1839 roku deportowany do monasteru w Żyrowicach. Według opowiadań ojca, podczas świąt uroczystych procesja z cerkwi wychodziła do parku, gdzie przystrajano dla niej ołtarze; dziedzice nie tylko brali udział w nabożeństwach, ale chrzcili nieraz i ślubowali w cerkwi, a niektórzy w cerkwi pod podłogą są pochowani. Może ta tradycja miejscowa wpłynęła na to, że nikt z członków naszej rodziny fanatyzmem religijnym, szczególnie względem obrządku wschodniego nie był zarażony. Bywaliśmy w cerkwi na ślubach lub pogrzebach służby naszej zwykle chętnie, otrzymując miejsce honorowe, zwykle z dywanem pod nogi i krzesłem.

W roku 1846-m babka moja już nie żyła: dziad Antoni, wdowiec, chory na nogi, zdał gospodarstwo na synów, urzędownie ich podzieliwszy i obrawszy sobie na rezydencję Sawicze, przy dochodzie rocznym z majątku Duczewa, nabytego przez dziada od Hryckiewiczów. Dziada doskonale pamiętam, umarł 12 października 1855 roku, mając lat 84. Był on główną osobą w domu, do niego się wszystko stosować musiało. Ponieważ wstawał późno, śniadanie musiało być o 12-ej, obiad o 5-ej, tak jak przywykł w mieście podczas urzędowania. Kiedy się spóźnił, kijem, bez którego nie mógł chodzić, zatrzymywał zegar, aby nigdy później jak o 12-ej nie siadać do stołu. Miał swego oddzielnego lokaja, furmana, karetkę i czwórkę bułanych z białymi grzywami koni, któremi parę razy do roku wybierał się w dalsze odwiedziny do krewnych koło Mińska, jak do Kostrowickich w Nowosiólkach, lub do Chmarów w Siemkowie. Gdy wracał, pozwalał wnukom objeżdżać w karecie gazon naokoło, i dlatego te szczegóły pozostały nam długo w pamięci. W pokoju, w którym dziad sypiał, był przy jednej ścianie rodzaj korytarzyka, po-



ręczami oddzielony, na których się opierając, dziad codziennie, głośno licząc, pewną ilość przechadzek odbywał dla ruchu, bo całymi dniami przesiadywał nad papierami swego archiwum, które mieściło się w sąsiednim pokoju wiecznie zamkniętym, a do któregośmy z wielką ciekawością dopiero raz pierwszy po jego śmierci weszli. Tam była również i biblioteka, składająca się, pamiętam, z licznych ksiąg w skórę i pergamin oprawnych, pochodząca z Puzowa, którą po śmierci dziada stryj mój, Tadeusz, marszałek słucki, jako starszy zabrał i która, niestety, wraz z jego domami w Słucku się spaliła. Dziad spał i umarł na wielkim łóżku z bronzami, wyprawnem Morawskiej, siostry „Panie Kochanku”, które się nam z Zausza w spadku dostało wraz z olbrzymią szafą gdańską i niektórymi innymi sprzętami. Pochowany został w grobie familijnym pod wielkim ołtarzem w Cimkowiczach. Dziad miał 3-ch synów: najstarszy Tadeusz (na pamiątkę Kościuszki), służył wojskowo w korpusie litewskim pod dowództwem w. ks. Konstantego; wróciwszy do domu został zaraz obrany marszałkiem powiatu słuckiego, który to urząd z górą 20 lat sprawował. Drugi syn, Adam (na intencję Czartoryskiego), sędzia graniczny powiatu słuckiego; trzeci syn, Aleksander, służył wojskowo i po wojnie tureckiej 1829 roku zginął bez wieści, co nawet przez pewien okres czasu dawało pole do zjawiania się samozwańczych figur z pretensjami do pozostałych braci.

Ojciec mój, Adam, urodzony w 1806-tym roku, po skończonych szkołach w Słucku, przez kalwinów ówczasie pod rektoratem superintendenta Wanowskiego utrzymywanych, odbył studja na Uniwersytecie Wileńskim za najświetniejszych jego czasów, mieszkając u stryja swego Jana Woyniłłowicza, członka tak zwanej „Komisji Radziwiłłowskiej” w Wilnie. Jan był ożeniony z hr. Günther v. Hildesheim\*), urodzoną z Wołodkowiczówny. Szwagier Jana, Adam hr. Günther, żonaty był z Tyzenhauzówną, stąd w domu stryja Adam spotykał całe ówczesne świetne towarzystwo wileńskie,

---

\*) Hr. Günther v. Hildesheim Adam Abraham Ignacy, prezes Sądu Głównego w Mińsku, kawaler maltański, był ojcem głośnej autorki i pamiętnikarki Gabrijeli z Güntherów Puzyniny; por. jej pamiętnik „W Wilnie i dworach litewskich”, Wilno, 1927, oraz teki Adama Günthera w bibl. Hr. Przezdzieckich w Warszawie. P. w.



DRZEWO GENEALOGICZNE RODU WOYNIŁŁOWICZÓW, UŁOŻONE  
I ZAPROJEKTOWANE PRZEZ ś. p. EDWARDA WOYNIŁŁOWICZA.

		34		35	
	29	30	31	32	33
	25	26	27	28	
	22		23	24	
17	18	19	20	21	
			15	16	
	12	13	14		
	8	9	10	11	
		5	6	7	
		2	3	4	
			1		

1) Slemion — mąż rycerski † 1563; 2) Bohdan — żona Marja Iwanówna; 3) Borys — ż. Marianna Holyńska, herbu Sas; 4) Zmaylo — ż. Pontusówna; 5) Hrehory; 6) Melchjor — ż. l-o Elżbieta Słupska, h. Topór, 2-o Krysta Kiersnowska; 7) Iwan; 8) Gabryel, pułkownik, starosta lityński i krośnieński; 9) Andrzej † 1676; 10) Ludwik, stolnik mozyrski — ż. Anna Telszewska, h. Habdank. 11) Adam; 12) Katarzyna — m. Andrzej Mirski, h. Białynia; 13) Zofja — m. Konstanty Jeleński, h. Korczak; 14) Krzysztof ur. 1649 r. stolnik mozyrski — ż. Ludwika Rossudowska, h. Roch; 15) Franciszek † 1745 podczaszy mozyrski — ż. Barbara Felkerzamb; 16) Antoni S. J. Rektor miński i grodzieński; 17) Franciszka — m. l-o Benedykt Orzeszko, h. Korab, 2-o Kazimierz Korsak, h. Lis; 18) Brygida — m. Józef Mierzejewski, h. Szeliqa; 19) Helena — m. Franciszek Chamski, h. Leszczyc; 20) Adam 1739—1803, podkomorzy nowogródzki — ż. Katarzyna Sulistrowska, h. Lubicz; 21) Dominik S. J. Mąsłojarz S-go Jana w Wilnie; 22) Jan, podkomorzy słucki 1769—1844 — ż. Fortunata Günther v. Hildesheim; 23) Antoni, marszałek słucki, podprefekt w r. 1812 — ż. Teofila Odyńcówna, h. Odyniec; 24) Florentyna — m. Michał Kostrowicki, h. Baybuza; 25) Lucjan † 1884, radca Komitetu Tow. Kred. Ziems. — ż. Helena Weyszenhoff, h. Łabędź; 26) Mikołaj, proboszcz kościoła Dominikanów w Wilnie; 27) Adam, sędzia graniczny p. słuckiego 1806—1874 — ż. Anna Wańkowiczówna, h. Lis; 28) Tadeusz, ostatni z wyboru marszałek p. słuckiego 1804 — ż. Kazimiera Jodkówna, h. Lis; 29) Michalina — m. Otton Horwatt, marszałek gub. mińskiej; 30) Marja † 1927 — m. Ksawery Bielski, h. Jelita; 31) Edward 1847—1928 — ż. Ołmpja Uziłowska h. Topór; 32) Gabryela † 1879 — m. Jerzy Mogilnicki, h. Lubicz; 33) Jadwiga — m. Wacław Kostrowicki, h. Baybuza; 34) Siemion 1885—1897; 35) Helena 1884—1903.



DRZEWO GENEALOGICZNE RODZINY WOYNIŁŁOWICZÓW

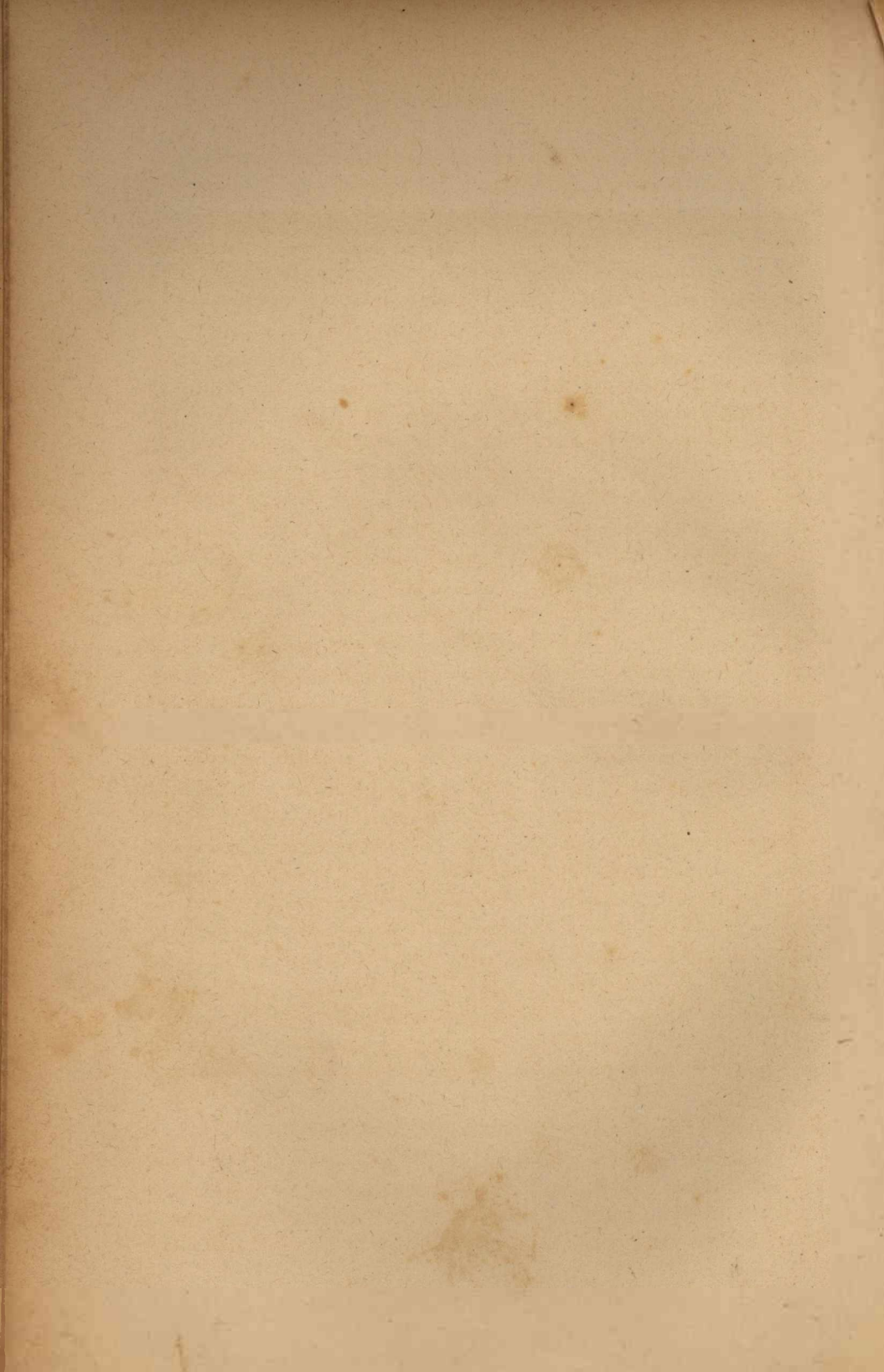
**DRZEWO GENEALOGICZNE RODU WOYNIŁŁOWICZÓW, UŁOŻONE  
I ZAPROJEKTOWANE PRZEZ ś. p. EDWARDA WOYNIŁŁOWICZA.**



**DRZEWO GENEALOGICZNE RODZINY WOYNIŁŁOWICZÓW**

1) Siemion — mąż rycerski † 1563; 2) Bohdan — żona Marja Iwanówna; 3) Borys — ż. Marjanna Holyńska, herbu Sas; 4) Zmayło — ż. Pontusówna; 5) Hrehory; 6) Melchjor — ż. I-o Elżbieta Słupska, h. Topór, 2-o Krysta Kiersnowska; 7) Iwan; 8) Gabryel, pułkownik, starosta lityński i krośnieński; 9) Andrzej † 1676; 10) Ludwik, stolnik mozyrski — ż. Anna Telszewska, h. Habdank. 11) Adam; 12) Katarzyna — m. Andrzej Mirski, h. Białynia; 13) Zofja — m. Konstanty Jeleński, h. Korczak; 14) Krzysztof r. 1649 r. stolnik mozyrski — ż. Ludwika Rossudowska, h. Roch; 15) Franciszek † 1745 podczaszy mozyrski — ż. Barbara Felkerzamb; 16) Antoni S. J. Rektor miński i grodzieński; 17) Franciszka — m. I-o Benedykt Orzeszko, h. Korab, 2-o Kazimierz Korsak, h. Lis; 18) Brygida — m. Józef Mierzejewski, h. Szeliqa; 19) Helena — m. Franciszek Chamski, h. Leszczyc; 20) Adam 1739—1803, podkomorzy nowogródzki — ż. Katarzyna Sulistrowska, h. Lubicz; 21) Dominik S. J. Mansjonarz S-go Jana w Wilnie; 22) Jan, podkomorzy słucki 1769—1844 — ż. Fortunata Günther w Hildesheim; 23) Antoni, marszałek słucki, podprefekt w r. 1812 — ż. Teofila Odyńcówna, h. Odyniec; 24) Florentyna — m. Michał Kostrowicki, h. Baybuza; 25) Lucjan † 1884, radca Komitetu Tow. Kred. Ziemsk. — ż. Helena Weyssenhoff, h. Łabędź; 26) Mikołaj, proboszcz kościoła Dominikanów w Wilnie; 27) Adam, sędzia graniczny p. słuckiego 1806—1874 — ż. Anna Wańkowiczówna, h. Lis; 28) Tadeusz, ostatni z wyboru marszałek p. słuckiego 1804 — ż. Kazimiera Jodkówna, h. Lis; 29) Michalina — m. Otton Horwatt, marszałek gub. mińskiej; 30) Marja † 1927 — m. Kaawery Bielski, h. Jelita; 31) Edward 1847—1928 — ż. Olimpia Uzlowska h. Topór; 32) Gabryela † 1879 — m. Jerzy Mogilnicki, h. Lubicz; 33) Jadwiga — m. Wacław Kostrowicki, h. Baybuza; 34) Siemion 1885—1897; 35) Helena 1884—1903.





nabierając ogłady towarzyskiej i jak wspominał, nieraz w pończoszках i fraczku po błocie przeskakiwał po kamyczkach na bale rozmaite, między innymi i na bal wydawany dla Aleksandra I-go. Skończywszy nauki, ojciec mój za powrotem z Wilna do domu rodzicielskiego odrazu został wciągnięty w zakres pracy i obowiązków obywatelskich, tudzież musiał się zaprząć do ciężkiego mozołu gospodarskiego, albowiem dziad niedomagał, a fortuna przez wypadki dziejowe, życie nad stan i wydatki, związane z urzędowaniem rodziców, była mocno nadwężona. Pilnem spełnianiem obowiązków i prawością charakteru, przy tej marce, którą Wszechnica Wileńska swym wychowañcom nadawała, zyskał Adam ogólne uznanie, wybiegające ponad sferę obywatelstwa miejscowego. Nie było sądu polubownego, któremu by Adam nie przewodniczył, a zdanie jego miało tak wielką powagę, iż gdy zaszyły nieporozumienia przy sprzedaży olbrzymich dóbr borysowskich, dokonanej przez ks. Leona Radziwiłła w roku 1857 w. ks. Mikołajowi (z powodu kontraktu dzierżawnego saskiego), ojciec mój był na kompromisarza wzywany. Praca ojca mojego w zarządzie fortuną była także nader owocną, wszystkie prawie budowle w folwarku były przez niego i według jego rozplanowania wznoszone, łąki i pola osuszane, długi po większej części spłacone, i ta praca tak pochłonęła jego młode lata, iż dopiero w 40-ym roku życia o wstąpieniu w stan małżeński pomyślał. Rok po roku błogosławił go Bóg potomstwem; zostawił umierając 22-go grudnia 1874 roku, jedyne go syna Edwarda, ożenionego z Uzłowską i cztery córki: Michalinę, za Ottonem Horwatem, marszałkiem gubernji mińskiej, Marję, za Ksawerym Bielskim, właścicielem majątku Ateczyzna w Kobryńskim, Gabryelę, za Jerzym Mogilnickim, właścicielem dóbr Filipowicze w powiecie słuckim, po skonfiskowaniu których za udział w ruchu 1863 roku i po powrocie z Syberji, nabywcą dóbr Bzowiec w Krasnostawskim, i Jadwigę, poślubioną Waclawowi Kostrowickiemu z Hryćkowszczyzny w powiecie mińskim, ostatecznie w Mińsku zamieszkałą.

Rodzeństwo, jak widzimy, było liczne, warunki materialne, jeśli nie trudne, to w każdym razie ściśle ograniczone, albowiem i matka moja z wielkiej fortuny wańkowiczowskiej tylko 10.000 rs. otrzymała. Usilnej zatem tylko pracy mojego



ojca i zaprowadzeniu ładu w domu zawdzięczać należy, iż rodzice moi mogli nam dać bardzo staranne wychowanie i córki wyposażyć, tak, że gdy nagle w roku 1874 ojciec mój życie zakończył, brakowało mi tylko 10.000 rs. dla zlikwidowania wypłat należnych matce i siostrom, co wkrótce ze sprzedaży pustek we wsi Bratkowie skutecznilem. Ponieważ, jak to wspomniałem, ojciec mój miał trudne w swej pracy gospodarczej początki, całe życie ogromnie się lękał długów i, gdy ich się pozbył, zaczął zbierać kapitał na wyposażenie córek, unikając wszelkich afer i przedsięwzięć, któreby może większy zysk od papierów rządowych dawały, ale połączone były z pewnem ryzykiem, gdybym się był i ja tej metody trzymał, bezwarunkowo dwa razy większy fundusz bym zebrał, jeżeli wogóle po tej katastrofie dziejowej cokolwiek ostać się może.

Dzieciństwo nasze upłynęło pod opieką nieocenionej piastunki naszej, Okińczycowej, ze szlachty okolicznej pochodzącej. Jej przywiązanie do dzieci, uszanowanie dla chlebowodawców, byłyby zupełnie niezrozumiałe w nastrojach doby obecnej.

Pamiętała ona doskonale wypadki 1812 roku i często nam o nich opowiadała; pamiętam jej zapytanie: „Panoczku, czy to są jeszcze na świecie Westfale?”. Bo gdy przy odwróceniu Francuzów wynosili jej faskę z masłem, a ona zaczęła krzyżeć, grozili zastrzeleniem. Nie dojadła ona, nie dospała, byleby dzieciom dobrze było; umarła bodaj w 1883 roku, już po mojem ożenieniu, w wieku lat 80; pochowano ją w Cimkowiczach — cześć jej pamięci!

Gdy dzieci trochę podrosły, dla nauki języków mieliśmy Niemkę, potem Francuzkę i jedną i drugą, następnie nauczycielkę, Julję Rewieńską, z zacnego obywatelskiego domu, z Nowogródzkiego pochodzącą. Ojciec jej, Kazimierz, żołnierz napoleoński, ożeniony 2-o voto z Woyniłłowiczówną z Puzowa, straciwszy swój majątek rodziny Piotrowicze w Nowogródzkiem, poszedł na dzierżawy, a córkę oddał do powinowatego domu na nauczycielkę. Wspominam o tem dlatego, iż wpływ p. Rewieńskiej na wychowanie nasze był nader dodatni: ogromnie była obowiązkowa i to poczucie obowiązku umiała przelać uczącej się dziatwie. Przy wielkiem poszanowaniu

tradycyji ojczystych i wielkiej szlachetności, właściwych córce oficera wojsk polskich, do końca życia lubiła czytać i kształcić się dalej i przykład ten oddziaływał na wychowanków.

Nauki nasze w domu odbywały się w językach polskim i francuskim, lecz gdy miałem już lat 12, trzeba było myśleć o przygotowaniu mnie do szkół, prowadzonych w języku rosyjskim. Wzięty był na rok pierwszy Marek Szalkiewicz, syn sąsiedniego dzierżawcy, który, skończywszy szkoły w Słucku, musiał popracować, aby sobie środki na uniwersytet zdobyć. Na drugi rok wzięty był drugi nauczyciel, w tych samych warunkach się znajdujący, Meyszutowicz, z mińskiego gimnazjum, nawet mahometanin. Kończyłem lat 13 i rodzice po tych dwóch latach nauki guwernerów powieźli mnie do Słucka, gdzie z łatwością w 1861 roku zdałem egzamin do czwartej klasy, i następnie po czterech latach w roku 1865 egzamin dojrzałości ze srebrnym medalem otrzymałem.

Z czasów nauk, jeszcze w domu rodzicielskim, przypominam wypadki, które w dziejach niemało zaważyły, a mianowicie: wojnę krymską 1854 roku i uwłaszczenie włościan.

Z wojny krymskiej zostało mi tylko wspomnienie wieczorów, spędzanych na obowiązkowym skubaniu szarpi dla rannych, kłopoty gospodarzy w dostarczaniu dla przechodzących wojsk sucharów i furazu, dostarczanie rekruta, co podówczas było obowiązkiem właścicieli majątków, a co było połączone z wielu ciężkimi przejściami, płaczem rodzin, ukrywaniem się i ucieczką poborowych, zakuwanych gwoli temu, pamiętam, w drewniane dyby w kształcie kłód. Dziedzic naznaczał rekruta, a dziedziczka nieraz go ukrywała. Pamiętam taki wypadek u nas, gdy matka nasza ku wielkiemu naszemu zdziwieniu takiego delikwenta w szafie z sukniami zamknęła, aby go przez czas poboru przechować. Zostało mi także w pamięci ku końcowi kampanji przejście przez nasz kraj tłumów, t. zw. „opołczeńców” z krzyżami na czapkach, uzbrojonych tylko w potężne topory w towarzystwie psów, z głębi Rosji z sobą przyprowadzonych. Zjawienie się tych brodatych kacapów napędzało przestraszonych w spokojnych wsiach białoruskich i wielu szkód było powodem, na które sądu

i sprawiedliwości szukać byłoby nadaremne. Zostały mi także trochę w pamięci czasy pańszczyźniane, częste sprawy między włościanami, które się o sąd dziedzica opierały, wesela włościańskie, kończące się zwykle tańcami i przyjęciem we dworze, szereg furmanek ze zbożem przed gumnem w czasie zbiorów jesiennych i t. p. Żywiej już przypominam czasy zniesienia pańszczyzny. Przyjechał, było to zimą, tak zwany „pośrednik”, bodaj p. Ignacy Pilawski, sąsiad niedaleki i, zebrawszy ludzi dworskich i włościan ze wsi naszej Bratkowa, odczytał im akt, zwalniający od wszelkiej pracy przymusowej względem dziedzica. Ojciec, wróciwszy do nas na górę, pamiętam, powiedział: „no, dziatki, jutro pójdę sam karmić konie i krowy, a wy mnie pomagajcie”. Przyszło trwożne jutro, i ani ojciec nie poszedł, ani my nie pomagaliśmy, bo wszyscy ludzie tak poszli każdy do swej roboty, jakby się nic nie zmieniło. Zmieniły się tylko warunki pracy i wynagrodzenie, lecz większość tych ludzi na swoich posiadach i obowiązkach pozostała i życie swoje w Sawiczach skończyła, a dzieci ich, wnuki dotychczas służą. Widocznie im żadna niesprawiedliwość się nie działa, albo już do zmiany warunków bytu nie starczyło inicjatywy.

Dla zabezpieczenia jednak sobie robotnika stałego, t. zw. podziennego, w dalszym ciągu ziemiaństwo okoliczne przez wysłanych ad hoc agentów i warszawskie „domy zleceń”, zaczęło sprowadzać rodziny robotnicze, przeważnie z przeludnionego, a ubogiego Śląska Austriackiego, osiedlając je we dworach lub na kolonjach (ludzie matkowi). Robotnik to był słaby i nie zawsze do roli zdatny, szczególnie jeśli z ludności miejskiej, a nie wiejskiej był werbowany, jednak narazie niejedną lukę w sile roboczej folwarku zapełnił z niejedną robotą nieznaną ludności tubylczej ją zaznajomił, jak np. do orki pługiem zamiast sochami, do sprzętu zboża kosą zamiast sierpem i t. p. Rzecz dziwna jednak, że ci przybysze z okolic piastowskich ogromnie prędko ulegli wpływowi asymilizacyjnemu ludności miejscowej i w drugim już pokoleniu mowę białoruską przyjęli.

Wielka reforma włościańska, przez ziemiaństwo opracowana, była bardzo rozważnie uplanowana. Na podstawie inwentarzy, datujących przeważnie z 1846 roku, i rozpatrzenia

pewnego status quo majątku, były naprzód sporządzone w 1862 roku tak zwane ustawne hramoty, określające nadal powinności włościan względem dziedziców, tudzież stan ich posiadania. Te powinności miały być obowiązkowe w ciągu lat dwóch, następnie miały być zamienione opłatami pieniężnymi (czynszami), które z kolei rzeczy miały być skapitalizowane i przeprowadzony plan wykupu na własność posiadanej ziemi przez włościan. Wypadki 1863 roku i poprzedzające je wrzenie w sferach ziemiańskich na tle aspiracji politycznych dały asumpt rządowi do ujęcia całej sprawy reformy włościańskiej w swoje ręce, przyspieszając jej rozwiązanie, przyczem reforma cała była z platformy ekonomicznej przeprowadzona na platformę polityczną, drogą przeciwstawienia polskiego przeważnie miejscowego ziemiaństwa ludności białoruskiej i prawie wyłącznie prawosławnej. Rychło wszystko przyjęło zabarwienie i tendencję czysto socjalistyczną; w tym kierunku poszły i następne reformy w kraju, tak nazwanym „zachodnim”, przez rząd rosyjski zamierzone.

Sprawa włościańska z rąk „mirowych pośredników”, wybieranych z początku przez miejscowe ziemiaństwo, i „zjazdów pośredników” pod prezydencją marszałka, także z wyboru, przeszła do kompetencji tak nazwanych „komisji weryfikacyjnych”, zorganizowanych przez wielkorządcę Murawjewa i składających się z ludzi, z głębi Rosji powołanych, z miejscowymi warunkami nieobeznanych, tchnących przeważnie nienawiścią do wszystkiego, co polskie, co tchnie kulturą i dawną tradycją porządku społecznego. Większości tych „diejatieli” rada była rdzenna Rosja się pozbyć, jako elementu pojęciami wywrotowemi zarażonego, aby już lepiej swoje teorie zaszczebiał „in anima vili” na gruncie „Kraju Zachodniego”, aniżeli na gruncie ruskiej macierzy. Ale „Deus mirabilis”, to co na zgubę naszego ziemiaństwa było obliczone, wyszło mu na dobre i gdyby nie ciągłe podmuchy fermentu ze Wschodu i stała nieżyczliwość rządowych organów dla naszego kraju, sprawa agrarna przechodziłaby u nas takie fazy, jak na Zachodzie, likwidując wielkie latyfundja, a zwiększając zastęp mniejszych właścicieli, bez gwałcenia praw własności i wzbudzania nienawiści klasowych. To zapatrywanie moje muszę bliżej wytłumaczyć.



Średni nadział włościański w gubernji mińskiej wynosił mniej więcej 15 dziesięcin \*). Taki sam nadział, jako pustka we wsi, dzierżawiona przeważnie przez drobną szlachtę, dawał w latach sześćdziesiątych zeszłego wieku rs. 40 dochodu i taki też dochód 36—40 rs. był określony przez „pośredników” z wyboru za pełny nadział włościański, opłacany w formie czynszu; zatem był zupełnie możebny do uiszczenia przez włościanina, bo żadne inne ciężary wówczas włościan nie obowiązywały. Przyszło powstanie, nastaly „komisje weryfikacyjne” i Murawjew dla ukarania rebelizujących właścicieli zniżył czynsz do 10—15 rs. z nadziału, co dla wielu przy obdłużeniu ziemi i specjalnie niskich ówczśnie cenach na ziemiopłody było prawie rujnujące. Włościaninowi przytem wiele ulgi nie przybyło, albowiem przyszły ciężary samorządu gminnego, ówczśnie około 25 rs. z nadziału wynoszące, co razem z czynszem wyniosło te same 40 rs., które stanowiły opłaty z wolnego najmu takiego nadziału, jak to wyżej powiedziano, zatem norma łatwa do uiszczenia. Gdyby zaś opłata na rzecz dziedzica wynosiła pierwotną cyfrę 36—40 rs. plus, opłaty gminne 25 rs., razem około 65 rs. odrazu wykoleiłyby się wypłacalność gruntów włościańskich i zjawilyby się chroniczne niedobory opłat wykupowych, jakie stanęły na porządku dziennym w gubernjach rdzennych rosyjskich. Zatem, jak widzimy, to co było obliczone na zgubę właścicieli ziemskich, zupełnie chybiło celu, albowiem zamiast wsi zubożalej, rozpitej, beznadziejnej, a zatem wykolejonej, właściciel ziemski znalazł się w sąsiedztwie włościaństwa, któremu zabezpieczony był materjalny dawał możność normalnego rozwoju pracy celowej i dorobku, jak to wszędzie dawało się zauważyć przed obecną wojną. Zwiększone zaś ciężary państwowe i opłaty samorządowe, rosące ceny służby folwarcznej i najemnika, nie mówiąc już o zadłużeniu większej własności, zniewalały nieraz dziedzica uszczuplać swą ojcowizną przez parcelację na korzyść drobnej własności lub ludności bezrolnej, i tym sposobem, bez łamania praw Boskich i ludzkich zwiększał się kontyngens drobnych właścicieli, tak pożądaný zawsze i wszędzie, bo

---

\*) Dziesięcina = 1,1 ha p. w.



uspołeczniający mieszkańców kraju. Albowiem własność, powstała przez zabiegi, pracę i oszczędność, uszlachetnia człowieka, dodaje bodźca osobistej inicjatywie — wówczas, gdy własność, nabyta przemocą nad cudzą własnością, demoralizuje, odbiera chęć do pracy i każe szukać poprawy bytu nie w pracy osobistej, a w pożądaniu cudzego mienia.

Uczęszczając do gimnazjum w Słucku, mieszkałem u stryja mego Tadeusza, długoletniego marszałka szlachty i ostatniego marszałka z wyborów powiatu słuckiego. Był wprawdzie po nim jeszcze marszałek z ziemian miejscowych, wielkiej zacności Józef Woyniłłowicz, ale już on był z nominacji Murawjewa i po nim cały szereg tak nazwanych „predwotiteli dworiaństwa” nastąpił. Stryj Tadeusz prowadził dom otwarty, gościnny, jak to dawniej szlachta od swych wybrańców wymagała; prawą jego ręką był sekretarz Szelutta. Stryj posiadał kilka domów, wprawdzie drewnianych, w mieście i piękny ogród owocowy — wszystko to na miejscu dawnego „zamku dolnego” ks. Olelkowiczów, którego fosy wciąż się zasypywały. Na wzniesieniu zaś „górnego zamku” stał wielki sobór prawosławny. Z żoną, Kazimierą Narkiewicz-Jodko, stryj miał dwie córki, obie wyszły za dwóch braci Domańskich, ziemian słuckich i wniosły im w posagu majątki Klarymonty i Karolin, czyli połowę dawnego majątku woyniłłowiczowskiego, utworzywszy dwie schedy dla zięciów. Nie mając syna własnego, oboje stryjostwo byli ogromnie do mnie przywiązani, a że stryj mój i ojciec zawsze w najlepszej zgodzie z sobą żyli, a stryjenka, jak powiadali, niegdyś się w ojcu moim podkochiwała, było mi u stryjostwa jak w domu — i wdzięczną dla nich pamięć do końca życia zachowuję. Stryj nie posiadał tego wykształcenia, co ojciec, bo wcześniej zaczął służbę wojskową w kawalerji, w korpusie litewskim, skąd wyszedł w randze porucznika i z krzyżem wojskowym. Wspominał nieraz dziwactwa w. ks. Konstantego, między innymi raz, bodaj pod Słonimem, gdy na manewrach szwadron źle się spisał, wielki książę skierował go w stronę błotnistej łąki, zakomenderował: „marsz, marsz” i wpakowawszy w błoto po uszy, zakomenderował: „stój”, dodając: „wot swinjam miasto”. Tradycja wojskowa i zasady z domu wyniesione dawały stryjowi wielkie cechy obowiązkowości i prawości;

na zupełną równość między ludźmi się nie pisał, nieraz z góry lubił traktować, ale nigdy się nie cofał przed wykonaniem tego, co uważał za swój obowiązek względem współobywateli, lub dla honoru domu. Pamiętam, kiedy wrócił z ostatnich elekcji mińskich, przywiózł z sobą walizę i buty wojskowe, gotując się do wygnania, które podówczas było udziałem większości urzędników z wyboru, którzy zamiast wzbronionego „adresu” tak nazwany „protokół” podpisali i następnie gremjalnie do dymisji się podali. Stryj przygotowywał się do wygnania zupełnie spokojnie, pomimo że groziło to konfiskatą funduszu i ruiną dla pozostałej rodziny. Do wygnania wprawdzie nie przyszło, ale stracił żonę, jedną z córek, pożar zniszczył mu wszystkie domy i nim sobie coś mniejszego odbudować potrafił, przeniósł się do ojca mojego i parę lat w Sawiczach przemieszkał, a moi rodzice byli szczęśliwi, że mogli stryjowi za opiekę w swoim czasie nademną roztozczoną czemkolwiek się odwdziaczyć. Umarł i pochowany w Słucku.

Gimnazjum słuckie, wówczas za jedno z najlepszych w kraju uchodzące, do którego wstąpiłem, było niegdyś fundowane przez ks. Radziwiłłów, dyssydentów i przez nich kalwinom oddane. Synod kalwiński z Wilna niem się opiekował, utrzymywał przy nim konwikt dla 60-iu uczniów kalwinów, zebranych z całego kraju, z których, wybierając najzdolniejszych, wysyłał na uniwersytet do Królewca lub Dorpatu, kierując na nauczycieli tegoż gimnazjum w przyszłości. Przez długie lata prefektami byli ojciec i syn Wannowscy — pastorem, z tej rodziny wyszedł następnie i był minister wojny rosyjski, ale ten był już zupełnie zruszczony. Superintendentem był podówczas pastor Lipiński z Wilna, który przyjeżdżał na rewizję gimnazjum i innych interesów kalwińskich do Słucka, ale to trwało niedługo. Przyszedł rok 1863 — część nauczycieli i uczniów wzięła udział w powstaniu, rząd objął gimnazjum, nauczycieli rozpędził, przysłał swoich, tak że kiedy w klasie 4-ej słuchałem jeszcze wykładów języka polskiego i miałem religję po polsku, w klasie 6-ej i 7-ej miałem już nawet katechizm wykładany po rosyjsku i w tym języku egzamin ostateczny z religji składać musiałem. Podczas mego pobytu w gimnazjum 1861 — 1865 r. zaszły wypadki, które wpływ

poważny na życie całego kraju wywarły: będę o nich mówił o tyle, o ile one specjalnie w mojem otoczeniu się odbijały. O ile w obecnym kataklizmie dziejowym 1914—1918 udział kobiet i młodzieży jest prawie żaden, o tyle niewątpliwie w latach 1861—1863 był przeważający. Te struny w ustroju społecznym najwięcej były czułe na wszelkie odgłosy z Warszawy, do naszej prowincji dochodzące. Kobiety i młodzież kierowały jeśli nie organizacją wewnętrzną, to w każdym razie demonstracją zewnętrzną aspiracji narodowych. Nic zatem dziwnego, że i młodzież gimnazjalna, wówczas przeważnie polska, bo do 300 uczniów w gimnazjum licząca, bardzo często od swoich obowiązków się odrywała dla rozmaitych demonstracji, tak w kościele, jak i poza kościołem, jak np. dla wyprzężenia koni i ciągnięcia demonstracyjnie przez całe miasto powozu z prałatem Białobrzeskim, wywożonym z Warszawy w głąb Rosji i t. p. Dyrektor gimnazjum, Rosjanin, Łubkin musiał patrzeć na te wybryki przez palce, skoro nieraz nauczyciele sami hasło uczniom podawali. To też każdy z nas niezawsze umiał lekcje, ale miał szpilkę z orzełkiem w krawacie i spinki u koszuli z fotografjami Kościuszki, Zamoyskiego, Kronenberga lub Hiszpańskiego, którymi nas hojnie zaopatrywał handel i przemysł warszawski. Czytaliśmy nocami „Strażnicę” i ze starych pilników fabrykowaliśmy krwiożercze pugiwały lub piki, aż wszystko przeszło—i zamiast 80-iu kolegów, których miałem w 4-ej klasie, stanęło do ostatecznego egzaminu w 7-ej klasie tylko siedmiu! Nie dlatego, aby tak wielu poszło do powstania, może takich znalazło się 20—30, ale warunki bytu wielu rodzin się zmieniły, co naturalnie musiało wpłynąć na możność wychowania dzieci. Kobiety, jako wrażliwsze, zawsze ofiarne i gorące patriotki, we wszelkich demonstracjach przodowały i młodzież za sobą pociągały, więc pierwsze intonowały „Boże, coś Polskę!” i „Z dymem pożarów” w kościołach, przemycały literaturę nielegalną, przechowywały broń a niekiedy i samych powstańców, a że przytem urozmaicały „żałobę narodową” efektownymi kontusikami, konfederatkami, kokardami narodowymi i wielkimi krzyżami na piersiach, to trudno im to mieć specjalnie za złe. Jedno co miałem wówczas za złe i obecnie mam nie do darowania, to że ogół był tak niewyrobiony, czy zahyponotyzowany,

iż zbyt mało reagował na te rządy niewieście. Kobiety, pociągnawszy młodzież, decydowały o wszystkim: dawały np. palmę zasług obywatelskich agitatorom i demonstrantom, a stawiały pod pręgierzem opinii publicznej ludzi głębiej myślących i dalej patrzących, niż emisariusze „Rządu Narodowego”, nieraz bardzo domniemani. Mogę zacytować przykłady: hr. Emerykowi Czapskiemu, fundatorowi Muzeum Czapskich w Krakowie, a ówczesnemu dyrektorowi departamentu leśnego, pobito okna. Szwagier mój, Jerzy Mogilnicki, zesłany na katorgę, nie miał miru u twórczyni opinii publicznej, które i dalej popijały herbatkę z obwarzankami, gdy mu majątek skonfiskowano. Pamiętałem to wszystko i ta niesprawiedliwość wpłynęła zapewne na to, że zbyt może lekceważyłem opinię publiczną i nie ubiegałem się nigdy o popularność. Tym trybem tworzyła się opinia publiczna, której zaczęli ulegać ludzie wbrew swoim najgłębszym przekonaniom, i nieśli swe życie i mienie w ofierze, rozumiejąc nawet całą bezowocność swego poświęcenia. Więc wchodzili w szeregi „organizacji”, otrzymując mandaty od rządów anonimowych; tworzyli oddziały powstańcze z kilkunastoma nawet zaledwie ludźmi, otrzymując hasło z Warszawy, iż: „gdzie krew polska się przeleje, tam będą zakreślone granice ojczyzny” i t. p. A tymczasem rząd nie tracił czasu i korzystał z niezakończony reformy włościańskiej, aby walkę interesów klasowych wprowadzić na teren antagonizmu narodowościowego, którego u nas nigdy się nie wyczuwało między dziedkiem a włościaninem, pomimo różnicy wyznaniowej. Dla ilustracji nastroju przytoczę przykład osobisty: miałem szczęście mieć matkę, której miłość dla mnie była bezbrzeżna i pamiętam, jak mnie 15-letniego jedynaka namawiała, abym, gdy przyjdzie chwila, stanął w szeregach ówczesnych domniemanych obrońców ojczyzny. Chwila ta przyszła — na moje szczęście nie byłem w domu, kiedy przyszła do Sawicz partja słucka pod dowództwem zacnego pułkownika Wład. Maszewskiego, osób kilkanaście, zabrali moją fuzję, zabrali 6 koni cugowych i pisarza prowentowego, którego matka błogosławiła i wyprawiła. Manewrowali niedługo, zostali rozbici na granicy powiatu ihumeńskiego: Maszewski był zabity, Napoleon Obuchowicz ranny. Spotkałem ich w Słucku, prowadzonych do więzienia,



a pisarz prowontowy tak wszystko dokładnie komisji śledczej wyśpiewał, iż rodzice moi zostali niezwłocznie aresztowani i do Słucka przywiezieni, a majątek pod sekwestr wzięty. Wraziło się to mnie w pamięć: było to już lato, ja na wakacjach w domu, rodzice zatrzymani w Słucku wezwali nauczycielkę z siostrami do siebie, zostałem jeden na gospodarstwie. Najechał pijany urzędnik, Winogradow, ze znanym prowodyrem, popem Możejką z Cimkowicz, kozakami i z zastępem tak nazwanych „ratników”, chłopów. Otoczyli dwór strażą i zaczęli objęcie majątku od opisywania ruchomości domowych, dziwiąc się, że nie znajdują pieniędzy, o których posiadanie ojca mego podejrzewali. Chłopi rozpierali się na kanapach, trzęśli owoce w ogrodzie, urzędnik pił wódkę. Trwało to dni kilka, przyjechał raz dla dodania mnie otuchy nasz powinowaty, sąsiad z Kukowicz, Erazm Petrozolin i naturalnie musiał z niczem odjechać. Stryj mój Tadeusz jeszcze wówczas marszałkował. Okazuje się, iż przed wyjazdem do Sawicz Winogradow, otrzymawszy nakaz od ówczesnego wojennego naczelnika w Słucku, pułkownika kozackiego Astachowa, zameldował się do stryja w nadziei może jakiego okupu dla pobłażliwego traktowania sprawy sekwestru, jednakże stryj potraktował go z góry i coś jeszcze ofuknął, na co Winogradow się uskarżał. To też, gdy po dniach kilku urzędowania w Sawiczach udało się stryjowi otrzymać od wojennego naczelnika polecenie wstrzymania sekwestru aż do wyroku w sprawie rodziców moich i ten rozkaz przez konnego posłańca był do Sawicz wysłany, Winogradow w pasję wpadł, wołając: „eto dziełał wasz marszałok” i wyniósł się zlorzecząc. Zatrzymuję się nad tym napozór nieznaczącem zdarzeniem dlatego, iż całe to przejście wpływ decydujący na dalsze moje wychowanie i na całe życie wywarło. W chwili tego sekwestru z młodzieńca, mogącego liczyć na dostatnią szlachecką fortunę, ujrzałem się w pozycji człowieka bez dachu, bez chleba; przejrzałem, iż trzeba tak się postawić, abym własnymi siłami mógł dać sobie radę na świecie. Słowem, zamiast wychowania ogólnokształcącego, które chciał mi dać mój ojciec, zamiast munduru cywilnego lub wojskowego, na który, jako sam ex-wojskowy, zgodziłby się od biedy mój stryj, odrazu postanowiłem wybrać jakiś zakład specjalny,



dający mnie fach do ręki, co i urzeczywistniłem po wyjściu z gimnazjum.

Aby już więcej do Słucka nie wracać, kilka jeszcze o niem słów, na tem miejscu napiszę. Miasto to w okolicy urodzajnej, ale w miejscowości niskiej i błotnistej położone przy kanale, prostującym łożysko rzeki Słuczy, należy do najstarszych w kraju\*). Bezwarunkowo wchodziło w początkach swych w sferę wpływów Turowa i Kijowa, łącząc się z tym ostatnim drogą wodną przez Słucz, Prypeć, Dniepr, i mnisi z Peczerskiej Ławry musieli nieraz czajkami dojeżdżać do pokrowskiego monasteru św. Trójcy. Pamiątek przeszłości Słuck prawie nie posiada, albowiem był cały drewniany. Modrzewiową była sławna „Słucka Fara”, według przysłowia „starsza niż kalwińska wiara”, którą jeszcze dzieckiem pamiętam przy ulicy obecnie Nowopolnej, między ulicą Szosową, a pozostałą jeszcze od niej dzwonnica. Fundowana ona była w roku 1410 przez Zygmunta Kiejstutowicza. Nazewnątrz, pod krużgankiem od ulicy, zawieszona była, czczona, jako cudowna, figura Zbawiciela na krzyżu, znakomitej roboty z cechami wszelkimi szkoły Wita Stwosza, która ocalała. Udało mi się ją zdobyć i w mińskim kościele ŚŚ. Symeona i Heleny zawiesić. Gdy Fara ta groziła już upadkiem, za staraniem stryja mego, ówczesnego marszałka, z drzewa tego modrzewiowego po rozebraniu Fary została trochę bliżej od plebanji wzniesiona kapliczka. Gdy chodziłem do gimnazjum, śladu już dawnych zamków, jako również drewnianych, to jest górnego i dolnego, nie było. Gdziegdzie sterczały jeszcze resztki wałów ziemnych, obronnych i zarastały sitowiem stare fosy, które niegdyś wstrzymywały napady Tatarów, Glińskiego, Kozaczyzny i Moskwy pod ks. Trubeckim, któremu silny odpór dało miejscowe, aczkolwiek prawosławne, mieszczaństwo z przedmieści Trojczan i Ostrowia. Na końcu ulicy „Szerokiej” zachowany był bardzo dobrze bastjon ziemny, obecnie zrównany i zabudowany, nad brzegiem Słuczy, naprzeciw którego w 1812-m roku przeprowadziła się

---

\*) O Słucku: Al. Jelski, Bibl. Warsz., 1890; Stahl bar. Wspomnienia o Słucku, Gniezno, 1905; Reyten St. Hieronim Radziwiłł, Dziennik Literacki we Lwowie, 1856, 88, 89.

armja Napoleona w odwrocie i dla tego to miejsce rzeki nazwało się „ucieczka” \*). Za moich czasów była tam zwykła kąpiel uczniowska. Przy zasypywaniu fos i równaniu wałów znalezione były, chociaż uszkodzone, cztery większe i jedna mała armaty. Zawiezione na podwórze policyjne wrosły tam prawie w ziemię — udało mi się stamtąd je wydobyć, przewieźć i ustawić przed domem w Sawiczach, jako niegdyś dziedzictwie olelkowiczowskiem. Oprócz monasteru na Trojczanach z soborem murowanym i sarkofagiem ostatniej księżniczki słuckiej „Olgierdowego plemieni”, jak głosi napis, Słuck posiadał około dziesiątka cerkwi drewnianych, z których jedna, „Woskresieńska” nie musi być młodszą od „Słuckiej Fary”, kościół kalwiński gotycki przy gimnazjum i kościół murowany z byłym klasztorem Bernardynów i sławnymi „berami bernardyńskimi” w ogrodzie. Była też kościół luterański, drewniany, ale zgorzała i tylko plac i teraz luterańskim się nazywa. Pisząc o Słucku, byłoby grzechem nie wspomnieć o „persjarni” — fabryce pasów. Gdy wstępowałem do szkół, istniały jeszcze stare budowle drewniane, naprzeciw konwiktu kalwińskiego, w których warsztaty się mieściły. Obecnie na tym placu wzniesione domy Towarzystwa Dobroczynności, gdzie się mieści „Ziemska Uprawa”. Dłużej o Słucku pisać nie będę, obszerniejsze i ściślejsze szczegóły znajdują się w „słownikach geograficznych” i t. p. źródłach; dodać tylko muszę jeden szczegół, wyróżniający system rządów ks. Olelkowiczów od późniejszego w tym kraju rządu ks. Radziwiłłów. Ks. Olelkowicze z włości swoich wybierali ludzi zdaniejszych do rzemiosła wojennego i posług zamkowych i osiedlali w wioskach koło Słucka, zwalniając ich od pańszczyzny. Stąd powstały koło miasta wsie tak nazwane (i po dzisiaj) „wybranieckie”, jak Branowo, Łuczniaki i t. p. — te ostatnie świadczą nawet o pewnej specjalizacji posług. Że taka specjalizacja istniała i tradycje jej pozostały, dowodem może służyć fakt, iż, spełniając przez lat blisko 40-ci obowiązek sędziego

---

\*) Autor się myli, przez Słuck cofały się tylko drobne oddziały. Być może wtedy przeprawiała się cofająca się w lipcu r. 1812 armja rosyjska Bagrajona. p. w.

pokoju honorowego i słysząc różne nazwiska, byłem raz zaciekawiony nazwiskiem „Powerzak”. Był to włościanin ze wsi wybranieckich, którego przodek przy armacie zamkowej, przez Niemców komenderowanej, był „pulwersackiem”, czyli podawał przy nabijaniu działa woreczek z prochem. Włościanie tych wsi wybranieckich spełniali też służbę posłańców zamkowych, nieraz w bardzo dalekie strony komenderowanych, i to tak weszło w ich tradycje, że i dotychczas na rynku w Słucku stają furmanki wybranieckie, zajmujące się w różne strony w drogę. Gdy z wianem ostatniej księżniczki słuckiej księstwo słuckie i kopylskie przeszło w dom radziwiłłowski, życie prowincji zaczęło się skupiać koło zamku ordynackiego w Nieświeżu, wokół którego ordynaci w inny sposób, więcej odpowiedni ustrojowi Rzeczypospolitej, zaczęli gromadzić elementy, mogące w razie potrzeby i zamek bronić i wpływ możnowładczego rodu na sprawy publiczne zapewnić. Więc w obszernych włościach i na trzebieżach osadzano szlachtę herbową w tak nazwanych „zaściankach”. Niektóre zaścianki miały ściśle określoną powinność, np. konia z rzędem i jeźdźcem dawać na potrzebę wojenną, z zamku ogłoszoną, a wszystkie bez wyjątku stanowiły partję czyli klientelę radziwiłłowską, posłuszną wojewodzie wileńskiemu nietylko na sejmikach, ale w razie potrzeby i na Woli pod Warszawą; albowiem nie każdy szlachcic umiał czytać, ale każdy z karabelą, chociażby na sznureczku zawieszoną, o prawa swoje się upominał. Tym więc trybem koło Nieświeża w szerokim promieniu powstały liczne osady szlacheckie, specjalną postać krajowi nadające i rozmaitemi przywilejami od ordynatów uposażone, jak np. prawem wrębu do lasów i t. p. — była to pewnego rodzaju kolonizacja. Szlachta ta, przez rządy rosyjskie w przywilejach stopniowo uszczuplana, przy braku odnośnych dokumentów przepisywana w stan włościański, lub tak zwanych „odnodworców”, przechowała jednak przeważnie wiarę katolicką, przyswajając jednak w wielu okolicach język potoczny białoruski, co nie przeszkadzało modlić się z ksiązek polskich w kościele i śpiewać polskie pieśni nabożne. Pewna swoboda nauczania w języku narodowym, która nastąpiła po ukazach 1906 roku, rozbudziła w zaściankach pewne poczucie narodowościowe, dalej już samorzutnie się rozwijające.

Po wypadkach 1863 roku nastąpiły w kraju liczne konfiskaty i sekwestry majątków osób, w ten lub inny sposób do ruchu zamieszanych. Konfiskaty rozstrzygały sprawę bezpowrotnie; majątki zaś sekwestrowane podlegały przymusowej sprzedaży, co przy ukazie 10 grudnia 1865, zabraniającym katolikom nabywać ziemię, mało co od konfiskaty się różniło, albowiem przy braku konkurencji Rosjanie nabywali majątki za 1/10 część wartości. Wprawdzie rzadko który z nich przy majątku długo się utrzymał, zwykle wycinał las w pień, a następnie majątek parcelował, ale właściciel uprzedni już w progi swoje nie wracał; i tym sposobem wiele polskich placówek kulturalnych z przestrzeni białoruskich ubyło bezpowrotnie.

Większy jednak wpływ na postać kraju wywarł ukaz najwyższy 14 marca 1887 roku o cudzoziemcach, przez nacjonalistyczny rząd Aleksandra III wydany, według którego, cudzoziemiec, dziedziczący dobra, powinien był, albo otrzymać poddaństwo rosyjskie, albo w przeciągu 3-ch lat sprzedać te ziemie. Ukaz ten spowodował sprzedaż przymusową olbrzymich, bo w samej mińskiej gubernji 750.000 dziesięcin obszaru zajmujących dóbr po-wittgenstejnowskich. O powstaniu tych dóbr kilka słów tutaj powiedzieć należy. Gdy ostatni ordynat nieświeski, ks. Dominik, spadkobierca olbrzymich dóbr po ks. „Panie Kochanku”, po katastrofie 1812 roku cofając się z uformowanym przez siebie pułkiem, ranny 30 października 1813 pod Hanau koło Frankfurtu, w Lauterecken 11 listopada 1813 życie zakończył, zostawiwszy jedyną córkę Stefanję, losy dziedzictwa były rozstrzygane pod Paryżem między cesarzem Aleksandrem I, a jego sprzymierzeńcem, królem pruskim Fryderykiem Wilhelmem III. Aleksander chciał ręką i wianem księżniczki\*) nagrodzić syna feldmarszałka Wittgensteina — król zaś pruski chciał zwiększyć fortunę skoligaconej z Hohenzollernami gałęzi domu radziwiłłowskiego, w osobie ks. Antoniego, ożenionego z księżniczką pruską Luizą. W obozie Chaumont 8 marca 1814 roku stanęło na tem,

---

\*) Ks. Ludwik Sayn-Wittgenstein, syn feldmarszałka, generał rosyjski w roku 1828 zaślubił księżniczkę Stefanję Radziwiłłównę. O losach ks. Dominika por. Iwazkiewicz, Z dziejów wielkiej fortuny. Bibl. Warsz., 1911. p. w.



iż dobra ordynackie miały przejść do ks. Antoniego, uznanego przez Aleksandra za ordynata nieświeskiego, dobra zaś tak nazwane „alodjalne” miały pozostać wianem ks. Stefanji. Dla rozpatrzenia dokumentów i rozdziału dóbr na te dwie kategorie była naznaczona „Komisja Radziwiłłowska” \*), w Wilnie zasiadająca, która tylko nieznaczną część 1/15 — 1/16 dóbr uznała jako ordynackie, resztę zaś otrzymała ks. Stefanja, z rezydencją w Werkach, pod Wilnem, po śmierci której został dziedzicem tej ogromnej połaci kraju, większej od wielu księstw niemieckich, jedyny syn, ks. Piotr Wittgenstein. Ks. Piotr wciąż prawie przebywał zagranicą, przeważnie w Paryżu, przyjeżdżając tylko na łowy do dóbr swoich litewsko-białoruskich, ale cenił głęboko tradycje, z posiadaniem tej olbrzymiej fortuny połączone. Majątki przechodziły dzierżawą z ojca na syna, z dziada na wnuków, rzadko kto wiedział, iż tam siedzą nie dziedzice a dzierżawcy. W leśnictwie siedziała odwieczna szlachta, z ostępami i przesmykami zwierza, o co głównie księciu chodziło, doskonale oznajmiona. Administracja kluczków i prowincji była w ręku miejscowych ludzi, adnotacje w kalendarzu starczyły za kontrakta dzierżawne największych folwarków, słowem stosunki całkiem patryarchalne. Ale księżę Piotr, podobno morganatycznie z Francuzką ożeniony, zmarł bezpotomnie, zostawiwszy jedyną siostrę Marję za kanclerzem niemieckim ks. Hohenlohe\*\*). Olbrzymi spadek — ale prawo 14 marca 1887 roku? Przy ówczesnych stosunkach Petersburga z Berlinem otrzymanie poddaństwa dla ks. Marji nie byłoby trudnem, ale Hohenlohowie, będąc księżętami Rzeszy mediatyzowanemi, uważali starania o poddaństwo dla siebie za ubliżające, zwlekali, drożyli się. Lata upływały, ks. Marja zmarła, synowie jej już gotowi byli ugiąć karku, ale cesarz Aleksander III, nacjonalistycznie

---

\*) Tak zwana „Komisja Radziwiłłowska”, utworzona w roku 1814 — miała na celu oczyszczenie z długów sukcesji po ks. Dominiku Radziwille oraz oddzielenie dóbr alodjalnych od ordynackich. p. w.

\*\*) Ks. Chlodwig Hohenlohe-Schillingfürst 1819 — 1901, ambasador niemiecki w Paryżu 1874 — 1885, namiestnik Alzacji i Lotaryngji 1885 — 1894, kanclerz państwa 1894 — 1900. Ks. H. czynił w l. 1888 — 1889 bezskutecznie zabiegi w celu uzyskania naturalizacji rosyjskiej dla syna. Por. Hipolit Korwin Milewski, Siedemdziesiąt lat wspomnień. Poznań, 1930, 146 sq. p. w.



usposobiony, już przyjąć ich do poddaństwa się nie zgodził. Na prośby dworu berlińskiego, termin sprzedaży przedłużył, ale sprzedać musieli. I tutaj zaczęła się formalna orgja nabywczą: miejscowe ziemiaństwo kupować nie miało prawa; Rosjanie, z tym krajem mający stosunek, urzędnicy kupować chcieli, ale nie mieli pieniędzy. Ależ na to były lasy — lasy nieprzebrane. Żydzi dali kapitały, Rosjanie dali firmę, uderzono w topory; po zniszczeniu lasów, poszła parcelacja, ale bezplanowa, byleby grosz ukuć. Całe liczne zastępy dawnych dzierżawców, oficjalistów, leśników zostały wykolejone, a ogromna przestrzeń kraju i wygląd i ustrój swój zmieniła. Powstały za to olbrzymie fortuny spekulantów leśnych, starozakonnych, z biegiem czasu właściciele olbrzymich kamienic i domów bankierskich w Mińsku.

Chociaż sekwestr z majątku ojca został zdjęty przez ówczesnego gubernatora wojennego w Mińsku, generała Zabłockiego, dzięki po części staraniom jego adjutanta Henrycego, jednak, trwając ciągle w zamiarze odbycia specjalnego wychowania, udałem się do Piotrogradu i zapisałem się w poczet studentów Technologicznego Instytutu w końcu wakacji 1865 roku, mając zaledwie 17 lat. Otrzymałszy medal z gimnazjum uwolnił mnie od konkursowego egzaminu, co było wielkim przywilejem, wobec masy zapisujących się słuchaczy. Instytut ten, założony przez ministra finansów Kankryna, był zakładem ultra-demokratycznym. Wszystkie wyższe zakłady naukowe dawały kończącym pewne rangi czyli przywileje służbowe, przy wstąpieniu na urzędy państwowe. Kankryn rangi w zakładzie skasował, aby kończąca nauki młodzież nie zwiększała szeregów biurokracji, ale owszem szukała pracy w zakresie przemysłu ojczyztego. Toteż cisnęła się do instytutu młodzież, biorąca rozbrat ze wszelkimi przywilejami, usposobiona demokratycznie, zazwyczaj nawet socjalistycznie, co też było powodem, że wszelkie ówczesne wypadki i wstrząśnienia polityczne zawsze żywy oddźwięk w zakładzie znajdowały, albo może i stamtąd pochodziły. Więc częste, jak np. po zamachu 4 kwietnia Karakozowa na życie cesarza Aleksandra II, bywały u studentów rewizje, aresztowania; rozpędzano tak nazwane u nas „schodki” (wiece studenckie), na których zwykle występowali mówcy namiętni, krańcowi. Głosili oni

teorje, nie dające się pogodzić z tradycjami szlacheckimi, które z domu rodzicielskiego wywiozłem, ale miało to tę dobrą stronę, że się z tym nowym kierunkiem zacząłem oswajać, w niektórych razach przyznawać mu słusność, a w każdym razie nauczyłem się wszystkich ludzi uważać za równych sobie, za tak równych przed prawem, jak są równi przed Bogiem. Znajomości poza sferą studencką miałem bardzo niewiele, brakowało na to czasu i pieniędzy, albowiem ojciec mój, potrzebując zebrać posagi dla 4 córek, dawał na moje wydatki tylko tyle, wiele na życie pracującego, a nie bawiącego się studenta było konieczne; więc trzeba było bardzo się wyliczać, aby raz lub dwa na miesiąc móc wysłuchać z paradyżu włoską operę, albo pójść do Michajłowskiego Teatru na przedstawienie francuskie. Bywałem u Henryka Jodki, młodego urzędnika kontroli państwa, a syna Tomasza, kolegi i przyjaciela mego ojca; bywałem u p. Izydora Odrowąża, urzędnika ministerjum komunikacji, który się następnie ze znaną śpiewaczką Büdel ożenił; bywałem w domu pp. Walerjanostwa Jodków. On sam pierwiej służył w gwardji, później został naczelnikiem t. zw. rewiru Admiralicji, ona — córka znanego finansisty Halperta, mieli 2-ch synów i trzy ładne córki. Bywałem u profesora Włodzimierza Spasowicza, ówczesnie za kurs prawa kryminalnego z urzędu profesorskiego usuniętego, i tę znajomość w Piotrogradzie zawartą, wciąż podtrzymywałem do śmierci jego w 1906 roku w Warszawie.

Praca moja w Instytucie była bardzo usilna, albowiem oprócz wykładów, prowadzonych przez najlepsze siły naukowe stolicy, jak np. profesorów Mendelejewa i późniejszego ministra finansów Wyszniegradskiego i innych, mieliśmy obowiązkowe ćwiczenie praktyczne: chemicy w laboratorjach, a mechanicy, do których i ja się zaliczałem, w warsztatach stolarskich, kowalskich, odlewniach, istniejących przy samym zakładzie, przyczem częste były zwiedzania pod kierunkiem profesorów znaczniejszych fabryk w okolicach stolicy i w Kronsztadcie.

Życie koleżeńskie, szczególnie między studentami Polakami, było bardzo rozwinięte, mieszkaliśmy całemi kolonjami: w pewnych uprzywilejowanych domach, stołując się u pewnych

gospodyń, zawsze Polek. Ja np. parę lat przemieszkałem u pewnej p. Nowickiej, bratowej kanonika z Mińska, której syn Józef, także technolog, główny współpracownik hr. Wittego w organizacji monopolu spirytusowego, był przez ministra wielce wyróżniany i przez długie lata stanowisko vice-ministra finansów zajmował. Dobrym moim kolegą i przyjacielem był sąsiad mój Szymon Mierzejewski, Jaś Jodko, Ignacy Jasiukowicz, późniejszy organizator metalurgii naddnieprzańskiej i wielu innych. Od czasu do czasu kolonja taka zbierała się u jakiego kolegi, który miał obszerniejsze mieszkanie, na tak zwaną „bibę”, przyjęcie składkowe, kończące się zwykle zawziętem śpiewaniem rozmaitych hymnów patriotycznych i znanych pieśni studenckich i wyprawami na łódkach kanałami aż na Newę. Naturalnie podczas takich zebrań w rozprawach i dysputach zruszaliśmy z posad świat stary i zwracaliśmy rozwój ludzkości na nowe tory.

W roku 1869 skończyłem nauki jako jeden z pierwszych i otrzymałem zaraz posadę w fabryce szyn, pancerzy okrętowych i pocisków „Putilowskiej”, z płacą miesięczną przy gotowem mieszkaniu 50 rs. Wydało mi się to wówczas bardzo wiele, bo chociaż z domu, jako student nie mniej otrzymywałem, ale musiałem mieszkanie opłacać. Praca w fabryce była dosyć uciążliwa, albowiem przy piecach bessemerowskich do wytapiania stali, działających bez przerwy, dyżury służbowe były przez tydzień dzienne, przez drugi nocne, co było ciężkiem. Jednak pewno bym tam pozostał i prędzej awans otrzymał, albowiem byli ze mnie zadowoleni, gdyby nie wyraźne życzenie mego ojca, abym koniecznie dla dalszego kształcenia się zagranicę wyjechał. Wyjechałem więc na rok cały, i, wciąż trwając w zamiarze kształcenia się specjalnego, zamierzałem wstąpić do fabryki lokomotyw „Borsiga” w Berlinie, lecz że tam niechętnie praktykantów z Rosji przyjmowano, wstąpiłem jako prosty robotnik na fabrykę lokomotyw znanego wówczas szeroko dr. Stroussberga, na przedmieściu „Linden” w Hannoverze. Pracowano wtedy głównie dla dróg żelaznych w Rumunji i tam w niebieskiej bluzie, pilnując się ściśle świstka fabrycznego od 6 rano do 6 wieczór z krótką przerwą obiadową, przebyłem do jesieni 1870 roku.

Nie wiem, jakbym tam długo pozostał, gdyby nie wypadki wojenne. Ojciec mój, wyobrażając sobie, jak i większość współczesnych, że wojska Napoleona III wejdą prędko w granice niemieckie, zniewolił mnie do wyjazdu do Belgji, jako kraju neutralnego. Przejechałem most w Kolonji przy odgłosie śpiewów „Wacht am Rhein” i po pierwszych już potyczkach pod Saarbrücken znalazłem się w Liège, gdzie uzyskałem pozwolenie jeżdżenia przy maszyniście na lokomotywach, których budowę w Hannoverze zbadałem. I tak, jako robotnik, poznałem doskonale malowniczą, a pod względem prowadzenia parowozów, tak trudną drogę od Brukseli do Akwizgranu, śpiąc nieraz na szynach, pod tendrami, przy dłuższych postojach na stacji. Dawały się nieraz słyszeć strzały armatnie wielkiej wojny francusko-pruskiej, a widzieć przewożenie rannych Francuzów, między którymi wówczas „turkosi” wielką ciekawość stanowili. Ludność miejscowa śledziła z wielkiem zaciekawieniem wszystkie przejścia wojenne z niekłamanem współczuciem dla Francji, aż klęska sedańska kres wszystkiemu położyła.

Zbadawszy w pewnej mierze lokomotywę w ruchu, uważałem za wskazane wystudjować jej remont, gdy niezdatna do służby się okaże, i po długich korowodach, za wstawieniem się ówczesnego posła rosyjskiego w Brukseli, bodaj że hr. Błudowa, otrzymałem pozwolenie pracowania w „Arsenal des Chemins de fer de l'Etat” w Malines, miasta położonego niedaleko od granicy holenderskiej i flamandzkimi obyczajami żyjącego, jak np. myciem ulic i domów, nawet nazewnątrż, w soboty i t. p. Nie wiem, jakbym tam długo siedział, gdybym nie był otrzymał od ojca mego wezwania powrotu do kraju, nie tyle może z powodu ślubu mej siostry Bielskiej, ile z powodu innych kombinacji rodzinnych, które na przyszłość moją wpływ stanowczy okazać miały.

Ojciec mój, chociaż do tej pory nie przeszkadzał mi w mym zamiarze wyspecjalizowania się w moim fachu, owszemłożył przeciw na to koszta bez szemrania, ale jako właściciel posiadłości ziemskiej, od tyłu wieków w rękę rodziny przechowywanej, chciał w gruncie rzeczy, abym szedł w kierunku pracy przodków moich, to jest, pracy na roli i służenia krajowi na tej ziemi, na której się urodziłem.



Rodzina zaś chciała mnie widzieć więcej wszechstronnie wykształconego i więcej obytego w salonie niż warsztacie, o co najwięcej chodziło stryjowi memu Lucjanowi, o którym pora coś powiedzieć.

Dziad mój, marszałek Antoni, miał rodzonego brata Jana, podkomorzego powiatu słuckiego, więcej w Wilnie, niż w majątności swojej Puzowie przebywającego, jako członka Komisji Radziwiłłowskiej, o czym już wyżej wzmiankowałem. Jan miał dwóch synów, starszego Mikołaja, który po świetnem skończeniu Uniwersytetu Wileńskiego, majątek swój przehulał i w pięćdziesiątym roku życia został księdzem, i czas jakiś był nawet proboszczem przy kościele po-dominikańskim w Wilnie, założonym w roku 1679 przez przodka jego Michała Woyniłłowicza, jak to świadczy napis w lewej nawie tegoż kościoła. Ksiądz Mikołaj życie zakończył w Wilnie i tam pochowany. Drugi syn Jana, Lucjan\*) (1817 — 1894), we wczesnym bardzo wieku, bo 1839 roku wstąpił na służbę publiczną w Warszawie, do wydziału administracji ogólnej, pod przewodnictwem Ignacego Bade-niego, i tam w domach pokrewnych poznał córkę znanego generała wojsk polskich Jana Weysenhoffa z Samokłesk Helenę, z którą, się połączywszy węzłem małżeńskim w roku 1843, zamieszkał początkowo w rodzowym swym majątku Puzowie, gdy w roku 1857 jedyny brat Heleny, Włodzimierz Weysenhoff, sprowadziwszy do siebie siostrę i szwagra, w wilję prawie ślubu z M. Bielską, życie sobie w Samokłeskach odebrał. Stryjostwo musieli się przenieść do Królestwa, w Lubelskie, raz dla zarządu dobrami, które im w spadku się dostały po ś. p. Włodzimierzu, powtóre jako bezdzietni, a życie miejskie lubiący, chcieli zawsze zimę spędzać w Warszawie. Ciągnęły ich tam stosunki rodzinne, towarzyskie i obowiązki urzędowe, albowiem stryj Lucjan swoją prawością i sumiennością zdobył prędko uznanie miejscowego obywatelstwa i do końca życia pełnił z wyborów urząd radcy, naprzód Dyrekcji Głównej, następnie Komitetu Głównego

---

\*) Sekretarz Komisji Spraw Wewnętrznych w roku 1842 otrzymał dymisję. Był pod dozorem politycznym z powodu utrzymywania stosunków z przestępcą politycznym Szmitem, zesłanym do Chersonia. p. w.

Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego z gubernji lubelskiej. Włodzimierz Weysenhoff przed smutnym swym końcem napisał bardzo szczegółowy testament, w którym spadkobierców licznymi legatami zobowiązał i pewien porządek dalszego spadkobrania określał. Stryjostwo święcie tę wolę spełniali. Jako jeden z wyników tych rozporządzeń pozostała śliczna kaplica gotycka z lewej strony kościoła kapucyńskiego w Lublinie, powstała staraniem narzeczonej M. Bielskiej i kapucyna, w owym czasie bardzo znanego Ojca Prokopa, którzy z zapisanej sobie przez Włodzimierza sumy część na ten pomnik ekspjacyjny obrócili. Dobra zaś Samokłęski z pewną sumą na prowadzenie gospodarki, zostały po śmierci stryja oddane przezemnie, jako egzekutora testamentu, Józefowi Weysenhoffowi, tak chlubnie w literaturze naszej zapisanemu.

Stryj Lucjan, będąc bezdzietnym, lecz nader przywiązanym do nazwiska i gniazda rodzinnego, powziął zamiar przekazania mi, jako jedynemu potomkowi z linii męskiej, swego majątku Puzowa, jeszcze w tymże stuleciu od Sawicz oddzielonego, co też wskutek pewnego układu z Ojcem moim w 1865 dopełnionem zostało. Odtąd, pomimo, iż miałem rodziców, stryjostwo oboje szczególną opieką mnie otaczać zaczęli. Zaczęła się z nimi bardzo regularna korespondencja, zacząłem ich częściej odwiedzać w Warszawie, gdzie, mając bardzo rozległe stosunki w świetnym wówczas towarzystwie warszawkiem, zaczęli i mnie tam wciągać, a mając, że się tak wyrażę, dynastyczne zadania na celu, zaczęli dla mnie rozmaite projekty matrymonialne tworzyć, aczkolwiek miałem dopiero 23 lata i zupełnie jeszcze myśleć o ożenku nie chciałem. Wciąż uznając, iż wybrałem specjalność nie odpowiednią dla „dobrze urodzonego” i chcąc mnie widzieć więcej wszechstronnie wykształconego i z zapasem zdrowia w szranki życiowe wstępującego, wpłynęli stryjostwo na ojca mojego, aby mnie na dłuższą podróż z nimi wyprawił. Tak się też stało i odtąd życie moje w innym kierunku iść zaczęło. Jednak zastanowiwszy się, całej tej mojej pracy uprzedniej, tych lat, spędzonych w bluzie robotniczej, tych lat nauki specjalnej, za stracone wcale nie uważam: owszem zdobyłem dorobek poważny, bo nauczyłem się pracować sam

i pracę innych cenić, nauczyłem się rozumieć psychologię ludzi pracujących, podwładnych i zależnych i zatem lepiej rozumieć obowiązki pracodawców, do szeregu których sam wkrótce stanąć miałem.

Ku jesieni 1871 roku wyjechaliliśmy ze stryjostwem za granicę przez Wiedeń, Innsbruck, Brenner do Meranu, gdzieśmy kurację winogronową odbyli i gdzie zawarłem bliższą znajomość z mało co starszym odemnie Adamem hr. Sierakowskim z Waplewa, krewnym przez hr. Sołtanów stryjenki mojej, któremu nawet później, z woli stryja po jego śmierci, odesłałem portrety stryjostwa, portrety Sołtanów i żółte lakowe chińskie biurko starożytne. Z Meranu przez Wenecję, udaliśmy się do Rzymu. Było to świeżo po zajęciu tego miasta przez wojska królewskie. Jeszcze w okolicach „Porta Pia” widniały napisy na cześć lub na pohybel bądź Piusa IX, bądź Wiktora Emanuela, przez ich stronników na murach kreślone. Chociaż papież skazał siebie na ścisły régime „więźnia z Watykanu” i niechętnie posłuchania dawał, dzięki stosunkom powinowatych naszych, pp. Hieronimostwa Kieniewiczów, stałe w Rzymie zamieszkałych, udało się nam otrzymać specjalną audjencję u Jego Świątobliwości i Mszy Jego w kaplicy sykstyńskiej wysłuchać. Po dłuższym pobycie w Rzymie wracaliśmy przez Florencję, gdzie nam ciceronował, zamieszkały tam, rzeźbiarz-poeta, Teofil Lenartowicz, i serdecznie powitał zacny Jan Zawisza z Warszawy, który ówczesnie z dwiema swemi córeczkami, późniejszemi Michałową ks. Radziwiłłową i Magdaleną hr. Ludwikową Krasińską, podróżował.

Nie będę tutaj opisywał wrażeń, z pobytu we Włoszech odniesionych: zbyt wielu tam podróżowało, i nie jeden pewnoby lepiej odemnie to uczynił. Wiem tylko, że przed wyjazdem poszedłem się napić wody z fontanny „Trevi”, co jakoby miało zapewnić powrót jeszcze drugi raz w życiu do wiecznego miasta. Tęskniłem wciąż do tego, lecz przeszło od tego czasu z górą lat 50 i chyba to pozostanie do grobowej deski mojem nieziszczonem marzeniem, szczególnie obecnie, kiedy kataklizm mnie nie tylko „circenses”, ale i „panem” pozbawia. Sił by trzeba na to większych, a przedewszystkiem środków, na które się chyba nie zdobędę. Ale, jeśliby się udało jeszcze

przed śmiercią stanąć wśród ruin „Colosseum”, więcej byłbym do nich dostrojony, niż przed 50 laty, bo wtedy byłem pełen życia i nadziei, a teraz stanąłbym poważny wobec przebytych cierpień. Zima się zbliżała, więc stryjostwo zamierzali z powrotem do Warszawy; o ile pamiętam rozstaliśmy się w Insbrucku z żalem, bośmy się przez tę podróż żyli z sobą. Szczególnie stryjenka, wielkiego serca i umysłu, nieodrodna córka zacnego generała Weyssenhoffa, serdecznie mnie pokochała, co wdzięcznym sercem odczuwałem. Świeć, Panie, nad jej duszą.

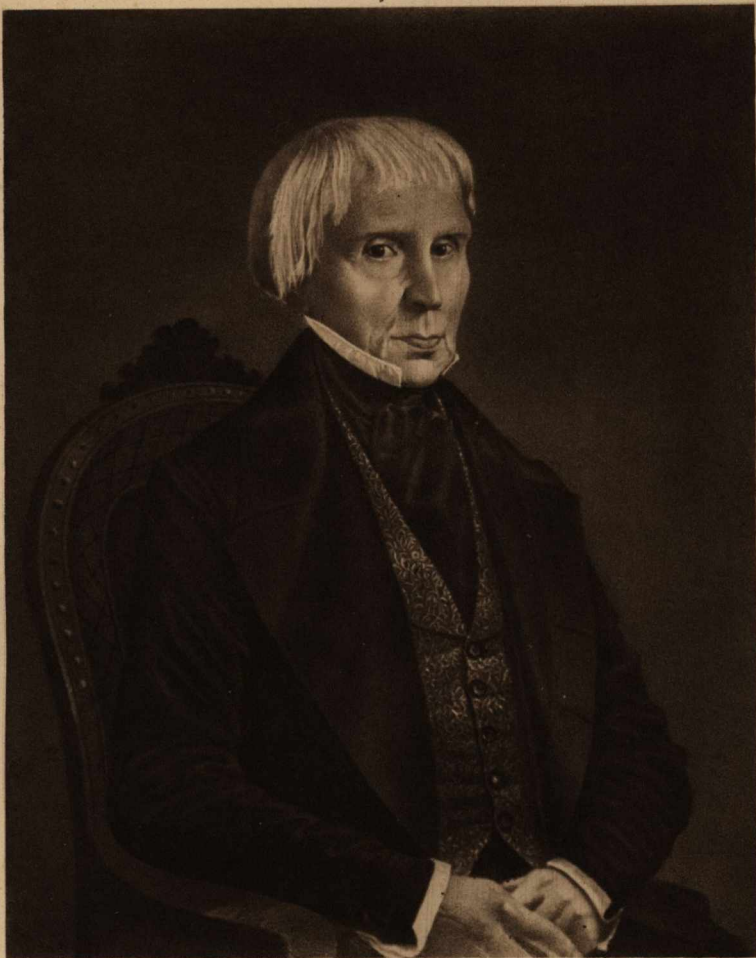
Z Insbrucku, przez świeżo zabrany Francji Strassburg, udałem się już sam do Paryża. Po drodze, w Nancy, sterczały jeszcze pikelhauby okupacyjnych wojsk niemieckich, a w Paryżu dymły się jeszcze zgliszcza po komunie i kolumna Vendôme rozbita leżała na bruku. Zamieszkałem w „Quartier Latin” i nie mając innych znajomych, prócz schorowanego bibliotekarza z Hôtel Lambert, Bronisława Zaleskiego\*), zacząłem pilnie korzystać z lekcji w Sorbonie i w „Collège de France”, studując głównie ekonomję polityczną, wieczory tylko spędzając zwykle w „Comédie Française”, a czasami i w weselszych teatrach. I nie wiem, jakbym długo jeszcze gościł nad Sekwaną, skutkiem wyjątkowo surowej zimy nawet lodem ściętą, gdyby nie rozwijająca się wciąż choroba nóg ojca mojego i wola jego wyraźna, abym przed powrotem do domu, gdzie mnie oczekiwały obowiązki ziemianina, odbył gdzieś naukę i praktykę agronomiczną. Z nowym więc rokiem 1872 wyruszyłem z Paryża, przez Kolonję do Hannoveru, gdzie święto pierwsze spędziłem w gronie znajomych moich z pobytu tam na fabryce. Następnie przez Drezno udałem się do Pruszkowa pod Opolem na Śląsku, gdzie zostałem przyjęty w poczet słuchaczy sławnej podówczas Akademji Rolniczej pod dyrekcją znanego zootechnika Settegasta; wykładali tam Wollny i inni znani w literaturze rolniczej profesorowie.

Akademja mieściła się w starym, bodaj czy nie piastowskim jeszcze zamku, gospodarstwo obejmowało 10.000 mórg obszaru rolnego i lasów, do korony pruskiej należących. Była także wzorowo prowadzona pomologia. Słuchacze składali

---

\*) Bronisław Zaleski, rodem ze Słuczczyzny, zesłany w r. 1846, redaktor i wydawca Roczników Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu. p. w.





ANTONI WOYNIŁŁOWICZ  
Dziad autora

BIBLIOTKA  
UMCS  
LUBLIN





TADEUSZ WOYNIŁŁOWICZ  
Stryj autora







się albo z młodych ludzi, sposobiących się w przyszłości na administratorów dóbr i lasów, albo z przyszłych dziedziców ziemskich. Takich, którzyby, jak ja, już studja wyższe mieli za sobą, nie było wcale, co mnie pewną powagę nadawało. Z za kordonu było nie wielu, oprócz Marjana Jaksy-Chamca z Wołynia, nikogo obecnie sobie nie przypominam. Większość była z Poznańskiego i Prus Zachodnich. Polaków było daleko mniej niż Niemców. Polacy trzymali się osobno, mieli swoje związki „Bratniej Pomocy”, „Samokształcenia” i uspołecznienia ludu. Pamiętam, że mojemu kółku była poruczona wielka wieś „Lgota”, niedaleko Pruszkowa, do której trzeba było jeździć i mieć odczyty w „kółku rolniczym”. Lud miejscowy źle mówił po polsku, księża bodaj jeszcze gorzej, ale swoją odrębność narodową dobrze rozumiał. W niedalekiem Opolu, do którego akademików chętnie dowoził dorożkarz, zwany „Baronem”, można było znaleźć książkę polską, pomodlić się w kościele z nagrobkami Piastowskimi. Na święta Wielkanocne jeździłem z kolegą swoim Prądyńskim ze Skarpy do Wałdowa, większej majątności jego stryja, w którym 1 dzień świąt hucznie i gwarnie obchodzono tańcami, w czasie których, rzecz niebywała w tej porze roku, powstała wielka burza z groźnymi piorunami. W drodze do Prądyńskiego przejeżdżałem koło wspaniałej rezydencji w Komierowie, nie przeczuwając naturalnie, że mój siostrzeniec Bielski stamtąd kiedyś żonę pojmie.

Po skończonym semestrze z otrzymanem świadectwem Akademii i dyplomem honorowym członka instytucji polskich w Pruszkowie, za poradą tegoż Prądyńskiego, udałem się w okolice Bydgoszczy na praktykę rolniczą, do majątku „Mochelu”, własności p. Speichert, którą administrował wytrawny agronom Göldner. Aczkolwiek Niemiec, wcale nie był hakatystą i z robotnikiem miejscowym, aby lepiej być zrozumianym i posłuchanym, inaczej jak po polsku nie rozmawiał.

Praktyka w Mochelu nie była łatwą: szczególnie, że jeden z folwarków opuścił rządca, trzeba więc było jego czynności zastępować. Już o 5 rano byłem po kawie i na koniu, z którego prawie dzień cały nie zsiadałem. Ludność miejscowa w gospodarstwie była wyłącznie polska, względnie mało

opłacana, w wielkim rygorze trzymana, dziewczęta przeważnie zdemoralizowane. Pomimo, że latem wychodzono na robotę o g. 4 rano i pracowano do zachodu, uważałem jednak, iż wydajność pracy nie była wcale większa, niż na Białejrusi, gdzie dzień roboczy zaczynał się u najemnika między g. 8 rano. Widocznie człowiek nad siłę wziąć nie może, a robota wydzielona jest zawsze przyjemniejsza i dla pracującego i dla dozoruującego, byleby jej wartość była sprawiedliwie obliczona. Stosunek mój z Göldnerem był jak najlepszy, dowodem czego, iż gdy mój ojciec w roku następnym znalazł się na kuracji w Ciechocinku, p. Göldner przyjechał go tam odwiedzić, aby poznać ojca swego praktykanta.

---

## II.

Po odbytej praktyce, późną jesienią 1872 r., wróciłem do domu, gdzie znalazłem ojca coraz to więcej zapadającego na nogi, co nas wszystkich wielce niepokoiło, albowiem i dziad nasz Antoni i pradziad Adam, podkomorzy nowogródzki, tak samo na nogi chorowali. Ojciec już nie wyzdrowiał, wyjechał, leczył się długo w Warszawie i 22 grudnia 1874 r., wróciwszy do domu, w czasie mojej zaledwie parodniowej nieobecności, nagle życie zakończył. Pochowany został w grobach rodzinnych, w podziemiach kościoła cimkowickiego. Później, gdy znalazłem w testamencie ojcowskim wyrażoną wolę, aby być pochowanym w wielkim kurhanie przedhistorycznym, na polach majątku Sawicze, wystarałem się o pozwolenie w ministerjum i zwłoki ojca tam przeniosłem, nie przeczuwając wcale, że wkrótce kurhan ten zaludni się tymi, którzy powinni byli być przyszłością moją. — „Tak Bóg chciał”.

W dzień śmierci mojego ojca, miałem dopiero 27 lat, ale już oddawna w pracę społeczną byłem wciągnięty w tym niewielkim zakresie, w jakim ona na prowincji za rządów rosyjskich istniała. Zaczęło się to od tego, iż ojciec mój, będąc stałym pośrednikiem w rozmaitych sprawach sąsiedzkich i opiekunem rozmaitych małoletnich, wskutek swego niezdrovia często musiał się mną wyręczać. Gdy umarł, niektóre sprawy niepokojące, jakby w spadku, do mnie przeszły i tak weszło to już w zwyczaj, że bezemnie rzadko co, pierwaj w bliższej, a następnie i w dalszej okolicy, się odbywało. Sądów polubownych, działów familijnych, w których zwykle bywałem superarbitrem, ani spamiętać, ani dzisiaj zliczyć bym nie potrafił: jedną z największych spraw, które sądziłem, była sprzedaż lasu z Berezyny Ludwikowi Słotwińskiemu przez Augusta hr. Potockiego dokonana. Bardzo często także regulowałem sprawy pograniczne, wynikające

między ordynacją Nieświeską a sąsiednimi właścicielami, co mnie w bliższą styczność z rodziną książęcą wprowadziło, i objęcie opieki nad ordynacją spowodowało, gdy następnie ks. Jerzy, syn Antoniego, ożeniony z Marją hr. Branicką, umysłowo zachorował, i gdy sam ks. Antoni życie zakończył.

Bardzo czynna praca koło roli, następnie rozmaite obowiązki obywatelskie, tudzież prace w rozmaitych komisjach rządowych, do których stale byłem powoływany, tak mnie życie absorbowały, że raz tylko w roku 1878 pozwoliłem sobie wyjechać zagranicę na wielką wystawę w Paryżu, wspólnie z wujem moim, Janem Wańkowiczem. Wznosiłem się wielkim balonem, uwięzionym nad Sekwaną, zwiedzałem wszystko i używałem wszystkiego, co Paryż przedstawiał dla cudzoziemca ciekawego, wreszcie z przemęczenia zachorowałem i prawie miesiąc przeleżałem w „Maison Municipale de Santé” doktora Dubois; zupełnie jeden, albowiem Jan Wańkowicz musiał wcześniej wracać do kraju. Wróciwszy do domu, tak się dalej codzienną swoją pracą zaprzętnąłem, iż już potem 30 lat zagranicę nie wyjeżdżałem, bo nie mogę liczyć za wycieczkę odwiezienie w 1904 roku chorej żony mojej do Nizy, nie wysiadając z wagonu od samej Warszawy, zabawienia na miejscu tygodnia — i takież powrót do Warszawy.

Lata 1877 — 1878 były to lata kampanji tureckiej. Przy przejściu Dunaju szefem sztabu cesarza Aleksandra II był wuj rodzony mego teścia, generał Artur Niepokojczycki, ze Słuczyzny pochodzący.

Oprócz poboru koni i ludzi, małośmy innych niepokojów z racji wojny doznali. Pochód na Konstantynopol z początku zapowiadał się bardzo pomyślnie, lecz nastąpiło zatrzymanie na Szypce, niepowodzenie pod Plewną i opuszczanie wilajetów bułgarskich, tak już zdawało się niepowrotnie zajmowanych, iż już nawet dla nich wielkorządcę w osobie znanego w Kongresówce działacza, ks. Czerkasskiego\*), naznaczono.

Ex re tego ostatniego muszę zacytować anegdotkę, której autorem był ks. Leon Radziwiłł, adjutant cesarski,

---

\*) Ks. Czerkasskij członek Komitetu Urządzącego w Kr. Polskiem po r. 1864, jeden z najgorliwszych rusyfikatorów. p. w.



umyślnie sprowadzony pod Plewnę dla rozerwania umysłu cesarza Aleksandra, zbyt niepowodzeniem wojennem przygnębionego. Biedny książę musiał w Radziwiłłmontach, pomimo wieku, uczyć się dosiadać konia, aby w świecie cesarskiej paradować i, chcąc nie chcąc, znalazł się w obozie wojennym pod Plewną, gdzie zwykle stanowił partję w grze karcianej Najjaśniejszego Pana w namiocie, w którym ten dla przykładu innym zamieszkał. W obozie znajdował się także osiołek, nie wiem już gdzie zabrany, bardzo swojski, którego cesarz polubił i pozwolił wchodzić do namiotu. Otóż, kiedy podczas robra osiołek raptem wsunął się do namiotu i, zbliżywszy się do grających, mordą coś w kartach na stoliku zamieszał, cesarz się zirytował, lecz ks. Leon zaraz go rozbroił następującem powiedzeniem: „Wszystkim tu trudno—używanie ma tylko ten osioł i ks. Czerkasskij”. Czerkasskij, bowiem nie mogąc doczekać się chwili objęcia zarządu prowincji, był, jak to rosjanie nazywają dosadnie, „prazdnoszatajuszczymsia” (próżniakiem).

Pomimo nalegań matki mojej, usilnie popieranych przez stryjów moich, Tadeusza i Lucjana, oczekujących odemnie przedłużenia drzewa genealogicznego, bardzo nieprędko, bo dopiero w 35 roku życia o małżeństwie pomyślałem, biorąc 18 lipca 1882 roku ślub z sąsiadką moją Olimpią Uzłowską, córką jedynaczką ś. p. Marka i Matyldy z Woyniłłowiczów Uzłowskich, a gdy po dwóch latach pożycia, rodzice mojej żony oddali mnie gospodarstwo w rodowym swym majątku Borki, o mil trzy od Sawicz odległym, praca moja jeszcze się więcej natężyła, tem więcej, iż spory ten majątek od wieków chodził dzierżawą i przedstawiał smutny obraz opuszczenia budowli i roli. Moc tam włożyłem energii, pracy i kapitału, i nie na moją korzyść to poszło, tak Bóg chciał.

Ale wracajmy do spraw ogólniejszej natury. Kraj nasz po wypadkach 1863 roku przechodził ciężkie przesilenie, nietylko polityczne, ale i ekonomiczne. Pamiętam, gdym do szkół chodził, marszałkiem był Woyniłłowicz, skarbnikiem powiatowym Rossudowski, prezydentem sądu Okołów\*), sędzią

---

\*) Leonard, ojciec znanego ziemianina i czynnego członka Mińskiego Tow. Rolniczego Konstantego Okołowa. p. w.

Czerniawski, członkiem opieki Ryntowt, sprawnikiem Skrodzki, pośrednicy włościańscy, wszystko to byli Polacy. Jeśli między urzędnikami wyjątkowo znajdował się jaki prawosławny, był to człowiek miejscowy, doskonale miejscowe potrzeby i nastroje rozumiejący. Gdy wskutek niefortunnego hasła, rzuconego przez „Rząd Narodowy”, wszyscy urzędnicy Polacy podali się do dymisji, wyobrażając, że w ten sposób rząd rosyjski w kłopot bez wyjścia wprowadzą, napłynęła na nasz kraj nieszczęśliwa cała zgraja, po większej części wyrzutek społeczeństwa rosyjskiego, jak na żer gotowy, obejmując urzędy, nie tylko z nominacji obsadzone, ale nawet z wyborów pochodzące. Między tymi, jak sami siebie nazywali „diejatielami”, znajdowali się i ludzie ideowi, ale to bodaj byli najszkodliwsi, albowiem starali się zaszczepić wśród ludności zarazek nihilizmu i socjalizmu, przyniesiony ze Wschodu, na co nasze społeczeństwo kresowe było do tej pory odporne. Cała rzesza i mniejszych i większych funkcjonariuszów została poza nawiasem. Żaden katolik nie mógł znaleźć posady rządowej; a jeśli kto i pozostał, to tylko na szczeblu najniższym, przenosząc rozmaite poniewierki i upokorzenia dla kęsa chleba. I tak cała sprawa reformy włościańskiej, przez najlepsze siły naszego kraju zapoczątkowana, do przeprowadzenia której stanęli najwięcej uspołecznieni i dobrymi chęciami ożywieni ziemianie, jako „mirowi pośrednicy”, w zarodzie swoim już wypaczona została. Tylko dziwić się wypada i zapisać na dobro charakteru ludu naszego białoruskiego, tudzież tego porządku społecznego, który, pomimo zaboru kraju, w jego tradycjach pozostał, iż tak długo lud ten teorjom wywrotowym się opierał i obecnie nawet mniej im, niż to w innych okolicach się zdarza, ulega.

Szlachta nasza, od wszelkiego udziału w życiu społecznym i urzędowym po wypadkach 1863 roku usunięta, musiała chcąc nie chcąc zwrócić się do roli lub też szukać chleba w zawodach niezależnych i trzeba zaznaczyć, iż okazała w tym wypadku dużo sił żywotnych. Powoli, powoli, po mału, pomimo, iż wypadki polityczne zeszyły się w kraju z przewrotem ekonomicznym, spowodowanym przez uwłaszczenie włościan, zaczęły się majątki z długów oczyszczać i ziemiaństwo w dobrobyt wzrastać. Nawet ukaz 10-go grudnia

1865 roku, wzbraniający katolikom nabywać ziemię, umacniał tych, którzy na tej ziemi siedzieli, bo każdy rozumiał, że kto się tej ziemi wyzbędzie, już do niej nie wróci. Wyzbycie się ziemi lub wyzucie z niej ziemianina, uważało się za grzech antynarodowy, zdarzały się wypadki, że ludzie całkiem nawet niezamożni, woleli tracić pożyczone sumy, niż zmuszać dłużnika do sprzedaży, choćby kilku dziesięcin ojcowizny.

Było to życie, że się tak wyrażę, „chleba powszedniego“, bez dalszych aspiracyj, bez żadnej pracy zbiorowej, bez organizacji nawet wspólnej obrony bytu ekonomicznego i tę apatię ogólną przerwało powstanie Towarzystwa Rolniczego w Mińsku. „Towarzystwo Rolnicze Mińskie” nie powstało z inicjatywy miejscowego ziemiaństwa, dla zorganizowania jego pracy, ale odwrotnie: Tow. Roln. Mińskie miało na celu zespolenie pracy i wpływów przybyszów na mińską ziemię nowych obywateli rosyjskich, właścicieli pokonfiskowanych majątków, aby wspólnymi siłami wyprzeć z majątków ojców tej ziemi, przez powstanie 1863 roku, uwłaszczenie, wyjątkowe prawa i kontrybucje zrujnowanych. Ale stało się inaczej.

Mińskie Towarzystwo Rolnicze zostało założone przez ówczesnego ministra spraw wewnętrznych, L. S. Makowa, 20 sierpnia 1876 roku, który otrzymał skonfiskowany majątek Błonie (Marjengórkę) i Nowosiółki, w powiecie ihumeńskim, o dwie stacje drogi żelaznej od Mińska odległe. Minister, chcąc być pionierem kultury rosyjskiej w Mińszczyźnie, w statucie towarzystwa się zastrzegł, że tylko osoby „rosyjskiego pochodzenia”, utarta w owych czasach nomenklatura, mogą być członkami towarzystwa. Że jego ekscelencja był inicjatorem, więc każdy, kto tylko nosił mundur, czuł się w obowiązku zapisywać się na członka. Raz, dwa razy do roku zwoływano ogólne zebranie, wnoszono na salę brzoję drewnianą i sochę, aby dać pozór rolniczy świetnemu towarzystwu, z prezesów i członków rozmaitych „pałat” i „prysutstwij” złożonemu. Panowie ci nic o rolnictwie nie myśleli, ani wiedzieli, wiedzieli tylko, że Lew Sawicz Makow tego chce i że W. I. Pawłow, marszałek gubernjalny z nominacji, prezyduje — to wystarczyło. Jak zwykle, składki członkowie nie wnosili, opłacać nawet paręset rs. rocznie

sekretarzowi nie było z czego, Towarzystwo chyliło się ku zupełnemu upadkowi. Zważywszy to W. I. Pawłow, większy sam przez się właściciel ziemski z gubernji tambowskiej, aczkolwiek swą karierę służbową rozpoczął w Wilnie, przy boku Murawjewa, jednak uprzedzeń nacjonalistycznych nie mający, uznał, że tak dalej iść nie można i że nie można pracować korzystnie w kraju, ignorując siły krajowe, co rozważywszy, wezwał kilku obywateli miejscowych na członków towarzystwa. Wobec restrykcji statutowych, o których wyżej wspomniałem, wezwani wahali się początkowo przyjąć wezwania, lecz uczucie konieczności jakiejś organizacji, jakiegoś zrzeszenia, jakiejś pracy społecznej przemogło, i po wspólnem porozumieniu, wezwani zostali członkami Mińskiego Towarzystwa Rolniczego. Wezwanymi początkowo byli: Leon Wańkowicz, były marszałek miński z nominacji, Wiktor Świda, Aleksander Skirmuntt, doktor Zygmunt Święcicki i ja. Stało się to w 1878 roku, we dwa lata po utworzeniu Towarzystwa.

I tak pierwsze lody zostały przełamane, odnośny paragraf, tyjący się pochodzenia narodowościowego członków, przy przedrukowywaniu statutu został opuszczony, mundury zaczęły stopniowo znikać, a na posiedzenia zjawiały się coraz śmieiej ogorzałe twarze prawdziwych gospodarzy wiejskich i liczba członków wciąż wzrastała. Bo gdy w roku 1878 liczyło się ich wszystkich 64, w roku 1901 było już 675.

Historja pierwszego 25-ciolecia istnienia Towarzystwa została z powodu obchodzenia tego jubileuszu, bardzo sumiennie opracowana przez jednego z wybitnych członków Towarzystwa, p. Bolesława Grabowskiego, w 1901 roku, do niej więc ciekawych odsyłać należy \*). Wspominać zatem dalej będę tylko o szczegółach i wypadkach z życia Towarzystwa, bądź w broszurze p. Grabowskiego nie wspomnianych, bądź po 1901 zaszłych.

Pod koniec panowania Aleksandra II, gdy pod wpływem konieczności dziejowej pewien nawrót z kierunku reakcyjnego

---

\*) Niestety broszura p. B. Grabowskiego zaginęła i wszelkie dotychczasowe poszukiwania były daremne. p. w.



nastąpił i liberalne ministerjum hr. Loris-Melikowa\*) ster państwowy ujęło, zaczęto pomyślać o skryształowaniu w nebulozie społecznej pewnych elementów ustroju konstytucyjnego, o którym, to tam, to ówdzie zebrania ziemskie w Rosji przebąkiwać zaczęły. Więc powoli, ostrożnie kazano powołać do życia „zjazdu okręgowe”, mające radzić narazie choćby o potrzebach rolnictwa w państwie. Okręgi te tworzone nader przebiegle, aby ich granice w żadnym wypadku nie były zgodne z pewnemi autonomicznemi tradycjami prowincji. I tak, Litwa właściwa była dołączona do gubernji nadbałtyckich ze zjazdem w Rydze — gubernje zaś: mińska, mohylowska, smoleńska i kałuska (sic) były połączone w okręg V ze zjazdem w Smoleńsku. Do takiego zjazdu, tak nazwane ziemskie gubernje wysyłały po dwóch delegatów, że zaś mińska i mohylowska ziemstw nie posiadały, polecono dokonać wyborów w towarzystwach rolniczych. Było to w styczniu 1881 roku. Pomimo, że wówczas liczba członków Rosjan była jeszcze przeważająca, ale że cała ta impreza trąciła pewnym liberalizmem i „prohonow”\*\*) nie dawano, z gubernji mińskiej wybrano Wiktora Świdę i mnie. Rosjanie mundurowi wcale jechać nie mieli ochoty.

Wybór ten bardzo mnie pochlebił; miałem dopiero 33 lata i w tym wieku zjawić się na zjeździe, jako przedstawiciel jednej z większych gubernji, było wielce zaszczytne. Otwarcie zjazdu było naznaczone na 25 stycznia 1881 roku. Zajechałem w drodze do Smoleńska do Hlewina, majątku p. Świdy, nad Berezyną, ale p. Świda nie pojechał. Zjawiłem się zatem w Smoleńsku sam jeden, pamiętam, było to wieczorem. Wyczytawszy na afiszu „Rewizora”, zaraz udałem się do teatru. Uwagę moją zwróciła łoża z fotelami, mitrą ozdobionemi. Królowała w niej synowa najzaciejszego generał-gubernatora piotrogrodzkiego Suworowa\*\*\*), księcia

---

\*) Loris-Melikow, minister spraw wewnętrznych, zwolennik zaprowadzenia w Rosji ustroju konstytucyjnego, usunięty niezwłocznie po wstąpieniu na tron Aleksandra III. p. w.

\*\*) Djet służbowych.

\*\*\*) Suworow Aleksander, wnuk słynnego wodza, generał-gubernator Petersburga w l. 1863 — 1864, obrońca i protektor Polaków, wysyłanych na Syberję, wielu dzięki niemu odzyskało wolność lub złagodzenie kary. p. w.

Italji, hrabiego Rymnika etc. Urzędował on w Piotrogradzie jeszcze przed zamachem Karakozowa. Rzadko który z wygnańców, o ile był przewożony przez stolicę, nie doświadczył jego opieki. Miałem kolegów, zamieszanych w powstaniu, tropionych przez policję, którzy szli, spowiadali się przed nim z przewinień swoich, i ksiązę, wzięwszy od nich słowo, że spiskować przestaną, brał ich na służbę do swojej kancelarji, co im zupełne bezpieczeństwo zapewniało i oni zawsze słowa dotrzykali. Księżnie bardzo ulegle asystował w łożówczesny prezydent miasta i prezes towarzystwa rolniczego A. Engelhardt, krzesła były przepelnione delegatami i członkami zjazdu, który ogromnie społeczeństwo miejscowe elektryzował. Nazajutrz rano wyszedłem oglądać miasto, malowniczo na obu brzegach Dniepru rozłożone, w otoczeniu starych murów Borysa Godunowa, tak szerokich, że po nich czwórką koni obok możnaby jeździć, z pewnemi wspomnieniami panowania polskiego, tak np. jeden plac zadrzewiony w mieście nazywa się „Błonie”, drugi podobny: „korolewszaja krepost” (\*), a o kraju, za Dnieprem na zachód położonym, mówi się: „w Polsce”. Gdy przyszły godziny wizyt, musiałem się meldować miejscowym członkom zjazdu, których spis mnie do hotelu przysłano. Zacząłem od gubernatora Tomazy, typowego biurokraty, marszałka gubernjalnego, księcia Srebrnego-Owczyna-Oboleńskiego, bardzo sympatycznego staruszka, typowego dżentelmena i prawdziwego arystokraty i t. d. i t. d. Członków zjazdu było zgórą 30, z których większość była z nominacji, zatem prawomyślność postanowień zjazdu była z góry zapewniona. Uderzył mnie jeden szczegół: masa nazwisk pochodzenia niemieckiego, tak naprz. ojciec i syn Engelhardtowie, marszałek smoleński, Herngross, a dalej Horn, Tilen, Ernroth, Ziegel, Bartolomei i t. p. Tłómaczono mi, że to są rodziny zupełnie już miejscowe, ale pochodzące z czasów Iwana Groźnego i późniejszych wojen z Inflantami i stamtąd przesiedlone.

Członkami zjazdu z wyborów towarzystw rolnicznych byli: ze Smoleńska — p. Engelhardt i W. B. Hulewicz; z Mohylowa — Al. Sianożęcki i I. Mężyński; z Kaługi — N. Sucho-

---

\*) Królewska forteca.

dolski; z Mińska — E. Woyniłłowicz. Na pierwszym posiedzeniu, odbywającym się w sali domu szlacheckiego, udekorowanej obrazem patriotycznym z oblężenia Smoleńska 1812 roku, była przez p. A. Engielhardta podjęta kwestja: „iż ponieważ sprawy rolnicze ściśle są związane z ustrojem państwowym, a zatem pyta, czy można będzie przenieść debaty i na grunt ogólnych niedomagań państwowych?” Co naturalnie z oburzeniem przez przewodniczącego gubernatora i delegata ministerjum, Titowa, było odparte. Engielhardt przeciwko temu zastrzeżeniu zaprotestował, przestał bywać na posiedzeniach i z księżną do Piotrogradu wyjechał.

Na zjeździe tym pierwszy raz się zetknąłem, już nie z biurokacją rosyjską, jak w kraju u siebie, ale z przedstawicielami ziemstwa rosyjskiego, i najzupełniej dodatnie z tego zetknięcia wrażenie wyniosłem. Nad innemi górował Platon Engielhardt, człowiek już starszy, wyrobiony i wysoce wykształcony, pojęć liberalnych, któremi ta rodzina, wielkiego miru w Smoleńszczyźnie używająca, się odznaczała. Powtarzali mi wciąż ci „ziemcy”: „proszę nas nie sądzić z tego zastępu urzędników, którzy pracują u panów, porządny człowiek na cudze łzy nie pojedzie”. I sam na sobie ich życzliwości doświadczyłem, albowiem, gdy z polecenia towarzystwa rolniczego Mińskiego zacząłem referować sprawę kredytu hipotecznego i sprawę serwitutową, a gubernator zaprotestował, iż to są sprawy czysto miejscowe i programem zjazdu nie objęte, wobec czego głos mi odebrał, oburzyło to wielu moich kolegów z wyborów, i zaczęli wołać, iż przedstawiciel gubernji mińskiej nie winien, iż rząd połączył jego gubernję z okręgiem, nic wspólnego ze sprawami Mińszczyzny nie mającym, i że zatem delegat miński musi być wysłuchanym. Powstała wrzawa, gubernator musiał przerwać posiedzenie, za pośrednictwem ks. Oboleńskiego mnie przeprosił i do głosu po przerwie dopuścił. Obrady były publiczne, ale że wiadomem z góry było, iż rezultatem zjazdu smoleńskiego miało być wybranie 2 delegatów na wszechrossyjski zjazd takich przedstawicieli w Piotrogradzie, który opinja ówczesna chciała uważać jako początek konstytuanty, więc chociaż niby mówiono o rolnictwie, nic w tej materji poważnego nie uchwalono, albowiem każdy o czem innem myślał i na co innego się oglądał. Siedzieliśmy

w Smoleńsku dni 8—10. Wobec tego nastroju najwięcej nas interesowały wybory delegatów; wybranymi zostali: p. Engielhardt i I. Mężyński, na ich zastępcę w razie niemożności jechania: E. Woyńłłowicz.

O Engielhardcie już mówiłem. Mężyński, zruszczony Polak, prawosławny, cyniczny, człowiek niepospolitej inteligencji, wielkiej pracowitości i przedsiębiorczości, po polsku jednak mówiący, zaprosił mnie w powrocie ze Smoleńska do swego majątku, koło Orszy. Widziałem tam w pokoju jadalnym kontuszowe portrety jego przodków, widziałem ogromne gospodarstwo postępowe: fabryki gwoździ, młyny walcowe, krupiarnie i t. d. Z żoną nie żył, miał dwie córki, bardzo starannie i zacie wychowane, jedną wydał za hr. Wł. Zamoyskiego, drugą za hr. Leona Żółtowskiego w Poznańskim.

W Smoleńsku nie obyło się naturalnie bez obiadów, wycieczek, jak np. marszałek Oboleński woził nas do majątku jednego z Engielhardtów, niedaleko od Smoleńska, gdzieśmy oglądali słynną stadninę „rysaków” (kłusaków), jeden z nich był niedawno premjowany w Paryżu.

Rozjeżdżaliśmy się ze Smoleńska w nadziei prędkiego spotkania się już w charakterze delegatów w Piotrogradzie, na wielkim zjeździe, zamierzonym jakoby już w końcu marca. Tymczasem niespodziewanie zaszedł tragiczny wypadek 1 marca 1881 roku. Ministerjum Loris-Melikowa zasnęło wraz ze śmiercią Aleksandra II, i otrzymałem niebawem urzędowy papier z dnia 19 marca 1881 r. od gubernatora Tomazy, iż „wskutek wstrząsających wypadków w stolicy”, zjazd delegatów okręgowych odłożony na czas nieokreślony, i zatem, abym do Piotrogradu się nie wybierał. Prawdziwie „l’homme propose, Dieu dispose”. Jakby to wszystko inaczej poszło, gdyby zamierzona reforma konstytucyjna już od roku 1881 rozwijać się i porządkować sprawy państwowe zaczęła.

Ale nie same tylko rozwiane złudzenie przywiozłem ze Smoleńska, przybyła i jedna korzyść realna: przypatrzyłem się tam bliżej sprawom drobnego kredytu. Zabrawszy ze Smoleńska statut towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowego, postanowiłem otworzyć taką instytucję w swoich okolicach. Dzięki stosunkom osobistym z ówczesnym gubernatorem mińskim A. I. Pietrowem, późniejszym pomocnikiem



warszawskiego generał-gubernatora, i następnie senatorem, otrzymałem bez wielkiego kłopotu po drodze ze Smoleńska, w Mińsku, pozwolenie na założenie takiej instytucji w Klecku. Słowa „zabiegi i stosunki” wydają się dzisiaj nie na miejscu, ale ówczasie, gdy każda akcja zbiorowa już przez to samo wydawała się podejrzaną, bez tego nic się nie robiło. Wróciwszy, uprosiłem mego sąsiada Michała Mierzejewskiego, aby jeszcze pojechał do Wilna i w Werkach bliżej się zapoznał z prowadzeniem tych interesów w takimże towarzystwie pożyczkowo-oszczędnościowym, bodaj przez p. Jamontta \*) tam założonem, następnie zaś, zebrawszy sąsiadów u siebie, forsuszując 3.000 rs. jako sumę początkową, takie towarzystwo, nazywane u nas potocznie „Bankiem Kleckim”, otworzyłem. Pracować w tym banku, nigdy nie pracowałem, bo i na jazdy do Klecka czasu nie miałem i nigdy buchalterji się nie uczyłem. Wszystko to objął i prowadził na początku mój zacny sąsiad i przyjaciel Romuald Rymśza. Ja swoje 3.000 rs. prędko, bez żadnej straty otrzymałem. „Bank Klecki ” coraz szersze koła swego wpływu zataczał i bywały lata, gdy operacje jego 800.000 rs. sięgały, co na taką mięscinę było bardzo wiele. Ja tylko „honoris causa” liczyłem się wciąż prezesem rady nadzorczej banku, sprawozdania podpisywałem i na ogólnych zebraniach przewodniczyłem. Wpływ jednak tej instytucji w sferze drobnych oszczędności był bardzo poważny, te oszczędności uprzednio albo wcale się nie zbierały, albo marnowały w wysoko oprocentowanych, lecz niepewnych pożyczkach. Po otwarciu tego banku, rzadko który, nawet z drobnych pracowników rolnych i służby, nie uważał za wskazane mieć kapitał na książeczce w banku i posag dziewczyny mniej był fikcyjny, gdy był książeczką bankową stwierdzony. I spotkała nas niespodzianka, ludność pracująca składała oszczędności, a ziemiaństwo miejscowe przeważnie pożyczowało. Później zaczęło pożyczać i włościanstwo na kupno ziemi, ale że według statutu nie pożyczano bez pewnego poręczycielstwa, chcąc przyjść z pomocą potrzebującym, a z drugiej strony ożywić operacje banku, ręczyłem chętnie wszystkim. Były chwile, że miałem

---

\*) Maciej Jamontt głośny działacz wileński, urzędnik w zarządzie dóbr ks. Witgensteina. p. w.

poręczeń na 30.000 rs. i muszę się pochwalić, iż straciłem względnie niewiele.

Bank był czynny raz na tydzień, w poniedziałek, dzień targowy w Klecku. Włościanstwo zbierało się na rynku, panowie w banku, co dawało możliwość omawiania wielu spraw bieżących i tworzenia nawet innych stowarzyszeń, jak np. wzajemnego ubezpieczenia paszy od pożaru, przy obowiązkowem dostarczaniu poszkodowanemu słomy i siana w naturze i t. p. Stworzył się punkt zborny w okolicy, każdy wiedział, że chcąc sąsiadów spotkać, naradzić się, lub porozumieć, trzeba jechać w poniedziałek do banku w Klecku. Obecnie, od lat wielu kierownikiem i duszą tej instytucji jest zacny mój sąsiad Stefan Czarnocki.

Jesienią, 21 października 1881 roku otrzymałem wezwanie od mińskiego gubernatora A. I. Pietrowa, abym się stawił na posiedzeniu „najwyżej zatwierdzonej komisji żydowskiej”, zorganizowanej w Mińsku pod jego przewodnictwem, jako przedstawiciel od ziemiaństwa. Pojechałem i z małemi przerwami prawie 6 tygodni tam przesiedziałem, albowiem przy końcu posiedzeń byłem tam wybrany do komisji redakcyjnej. Rezultatem tej komisji, po rozważeniu prac jej w Piotrogradzie, były prawa 3 maja 1882 roku dla żydów wydane i bardzo dla nich uciążliwe. Nie moja była w tem wina, albowiem zawsze stałem na gruncie równouprawnienia wszystkich stanów, wyznań i narodowości; uważałem, że żydzi byli istniejącymi ograniczeniami nieraz pokrzywdzeni, ale z drugiej strony, trzeba było uznać, że mieli i przywileje, których nietylko katolicy, ale i prawosławni wówczas nie posiadali, jak np. samorząd, że tak nazwę, parafjalny, swobodę zebrań w synagogach, dla omawiania spraw bieżących, władzę swoją wyłączną w kahałach, prawo nauczania w rodowitym języku bez żadnej prawie kontroli państwowej, swobodę nauczania domowego i nawet możność egzekutywy przez władze państwowe swych postanowień, co do podatku koszerneho i świecowego. Dla zrównoważenia zatem sił we współzawodnictwie ze społeczeństwem chrześcijańskim należałoby według mnie i temu ostatniemu te przywileje zapewnić, co naturalnie, w owych czasach reakcji, wcale sferom rządowym za dopuszczalne się nie wydawało.

Był to mój pierwszy udział w dłuższej i poważniejszej pracy rządowo-społecznej. Komisja składała się ze 30 co najmniej osób, głównie z przedstawicieli sądownictwa i administracji. Przedstawiciele Polaków od ziemian było tylko 3: Józef Woyniłłowicz z Mokran, były marszałek słucki, ale już z nominacji, człowiek wielkiej dobroci i zacności, Aleksander Skirmuntt z Porzecza, luminarz naszej prowincji, statysta, członek komisji redakcyjnej przy uwłaszczeniu włościan, człowiek w sprawach społecznych wielce wyrobiony, mąż wielkiej odwagi cywilnej i Edward Woyniłłowicz. Jako najmłodszy, bo 33 lata liczący. Uczyłem się, patrzałem na Skirmuntta jako na wzór obywatela. Powróciwszy z posiedzenia, a mieszkając w hotelu na jednym z nim korytarzu, wciąż z nim konferowałem i zawarłem z nim stosunek najprzyjaźniejszy, którym się szczyciłem aż do jego śmierci. I ten stosunek trwał dalej w drugim pokoleniu, przeszedłszy na syna jego Romana, vice-prezesa tow. roln. Mińskiego i znanego szeroko posła do I Dumy państwowej. W komisji żydowskiej przedstawicielem ludności miejskiej był między innymi dr. Zygmunt Świącicki, ze sprawami żydowskimi bardzo obznajmiony i drugi S. Dymiński, z urzędu akcyznik, ale erudyta, hebraista i talmudzista znakomity, oni nam wszystkie kwestje rytualne tłumaczyli. Gubernator Pietrow zaczął swą karierę w Królestwie, był komisarzem włościańskim w Skierniewicach, gdzie wówczas przemieszkiwał ksiązę Bariatyńskij\*), ten go zaprotegował do Siedlec na vice-gubernatora, gdzie niestety, był czynnym w sprawie unickiej, co mu dało awans do Mińska. Był to człowiek zdolny i nadzwyczaj pracowity. Zetknąłem się z nim bliżej podczas prac redakcyjnych w komisji żydowskiej, był dla mnie podówczas i następnie bardzo życzliwy, odwiedził mnie w Sawiczach i wiele spraw, na które władze ówczesne bardzo drażliwie się zapatrywały, pomyślnie zawsze dla mnie rozstrzygał. A były to sprawy, tyżące się przeważnie obrządków religii katolickiej, do których władza rządowa

---

\*) Bariatyńskij Aleksander, jenerał feldmarszałek, zdobywca Kaukazu, przyjaciel i faworyt Aleksandra II w roku 1870 otrzymał w dożywotnie władanie Skierniewice. p. w.

wciąż wtrącać się zaczynała. Demonstracje patriotyczne przed powstaniem 1863 roku wprowadziły, że się tak wyrażę, politykę do kościoła. Skorzystał z tego rząd w dobie powstaniowej, szczególnie na Białejrusi, i przez te otwarte drzwi, wzięwszy sobie za teren doświadczeń Mińszczyznę, zaczął się wtrącać do spraw nabożeństwa, tak zwanego dodatkowego, w kościołach naszych, to jest do kazań i śpiewów kościelnych w języku polskim odprawianych. Popierany przez smutnej pamięci duchownych - odszczepieńców księży Sęczykowskich, Kułakowskich, Jurgiewiczów & comp. zaczął wprowadzać język rosyjski do tej właśnie części nabożeństwa, rozumiejąc bardzo dobrze, że lud prosty, nie zagłębiający się w znaczenie dogmatów, a przywiązujący wagę do cech zewnętrznych kultu, bardzo łatwo z kościoła, gdzieby wtargnął język urzędowy przejdzie do takiejże cerkwi.

Miałem właśnie nieszczęście mieć w swojej parafji w Cimkowicach księdza „rytualistę” (bo tak nazywano wówczas księży, którzy przyjęli nabożeństwa dodatkowe w języku urzędowym) Kułakowskiego, a że właśnie w tym czasie spotkały mnie i bardzo radośne i bardzo ciężkie przejścia w życiu, w których kościół z błogosławieństwem lub pociechą przychodzi, a nie chcąc zadawalniać się aktem tylko cywilnym, udawałem się otwarcie do gubernatora Pietrowa, który mnie zawsze pozwalał sprowadzać porządnego księdza z innej parafji, pozwolił także po skasowaniu klasztoru i kościoła w opactwie Św. Krzyża pod Nieświeżem, zabrać stamtąd płytę grobową prapradziada mego Franciszka, zmarłego w połowie XVIII wieku, pochowanego przed ołtarzem kaplicy, w prawej nawie kościelnej. Nagrobek ten na kurhan w Sawiczach przenieśliśmy, wspominam o tych sprawach mniejszej wagi i czysto osobistych, dla scharakteryzowania czasów ucisku religijnego, który przeżywaliliśmy na Białejrusi.

Ponieważ wspominałem o udziale moim w pracach wielu komisji urzędowych, między innymi, dla pamięci młodego pokolenia, opowiedzieć muszę o tak zwanej „komisji kontrybucyjnej”, albo mówiąc językiem urzędowym, o komisji „po rozkładzie procentnego sбора s lic polskiego proischozhdienja”.



Kontrybucja, początkowo nazwana „wremiennyj procentnyj sbor”, była wprowadzona przez wielkorządcę Murawjewa; początkowo była pobierana zupełnie dowolnie, czasem raz, czasem dwa razy do roku, czasem od wszystkich, czasem od niektórych tylko, czasem wносиła się do kas powiatowych, czasem do policji lub władz wojennych, zależnie od rozkazu. Wysokość tej kontrybucji była także dowolnie normowana: to według ilości posiadanych dziesięcin, to według domniemanej zamożności płatnika; zdarzały się wypadki sprzedaży inwentarzy, lub nawet majątku, gdy ten podatek był niepomnierny: i jak wszystko co w Rosji było „czasowem”, „wremiennym” trwało to bardzo długo, bo opłata ta została skasowana dopiero ukazem najwyższym 27 marca 1897 roku. Nieokreśloność tej opłaty ciągnęła się do roku 1869, gdy 3 marca wydane zostały przepisy, określające wysokość kontrybucji, pobieranej z mińskiej gubernji, na 225.000 rs. tudzież sposób repartycji i poboru, do uregulowania których byli pociągnięci sami kontrybuenci. W tych że przepisach warunkowana została i chwila ustania tej opłaty, co mogło nastąpić tylko wówczas, gdy  $\frac{2}{3}$  własności ziemskiej znajdzie się w ręku Rosjan i liczba tych właścicieli będzie przewyższała liczbę właścicieli Polaków: tak, że, na przykład, jeśliby jeden Rosjanin wykupił  $\frac{2}{3}$  obszaru gubernji, reszta właścicieli polskich od kontrybucji nie byłaby zwolnioną. Nota bene, apanaże i ich właściciele do tego obrachunku nie wchodzili. Wskutek tego prawa zostały mianowane: komisja gubernjalna do repartycji tej opłaty między powiatami i komisja powiatowa dla określenia sumy, na każdy majątek przypadającej. Komisje te, jak to było we zwyczaju, składały się z pewnej liczby członków zasiadających z urzędu i z obywateli, przez gubernatora powoływanych, po jednym z powiatu do gubernjalnej, i po kilku do powiatowych komisyj. Byłem powołany na członka obu tych komisyj. Prace w powiatowej masę czasu pochłaniały, bo trzeba było dla każdej jednostki płatniczej opodatkowanie obliczyć, i następnie rozmaite podania sprawdzać i rozmaite zażalenia rozpatrywać, a ponieważ ogólna suma poboru była z góry określona, szło więc o to, aby repartycja była przeprowadzona o ile można najsumienniejszy, bo ciężar zdjęty z jednego, spadał na drugiego.

Dosyć prędko, bo 31 grudnia 1870 r. suma kontrybucji, odtąd tytułująca się „procentnym sborom”, była przepołowiona i wynosić miała z gubernji 112.450 rs. Gdy następnie „ukaz najwyższy” 3 lutego 1874 roku polecił przerwać konfiskaty majątków i niektóre majątki wróciły do dawnych swych właścicieli, ministerjum, cyrkularzem z dnia 13 stycznia 1876 r., poleciło te majątki do opłaty pociągnąć, nie podwyższając normy poboru z gubernji. Z drugiej zaś strony następowało uwolnienie niektórych majątków od opłaty, nie tylko z racji ich przechodzenia w ręce rosyjskie, ale z innych powodów, np. majątki małoletnich i umysłowo chorych, opłacały tylko  $\frac{1}{4}$  naznaczonej na majątek sumy, uwalniały się majątki rano-nych na wojnie i zajmujących niektóre urzędy państwowe, co powiększało opodatkowanie innych, albowiem naznaczona kwota bezwzględnie musiała być pobrana z gubernji, aż pokąd cyrkularz ministra z daty 30 czerwca 1880 r. tej praktyki nie przykrócił, i niedobory powstałe wskutek powyższych uwolnień z ogólnej sumy, na gubernję naznaczonej, skreślić nie polecił.

Jako osobliwość podkreślić należy, że podatkowi temu podlegał tylko stan szlachecki; włościanie i mieszczenie, aczkolwiek katolicy, chociażby posiadali dobra ziemskie, podatku nie płacili; kalwini uważani byli za Polaków, luteranie odpadali. Pomimo wszelkich zaprzeczeń rządowych, polskość określała się nie pochodzeniem, a religją i znane mi są przykłady, iż jeden brat katolik płacił kontrybucję, a drugi rodzony, ale prawosławny, był od niej zwolniony.

Jak wyżej było zaznaczone, zniesienie kontrybucji albo „podochoдного sбора z lic polskago proischoźdjenja” nastąpiło na skutek najwyższego manifestu z dnia 27 marca 1897 roku. Chcąc wyzyskać tę chwilę zmniejszonej presji dla wznowienia nieistniejących już od 1862 roku zebrań szlacheckich, czyli elekcji, Aleksander Skirmuntt i ja podaliśmy 21 kwietnia 1897 r. prośbę do marszałka gubernjalnego, aby pozwolono zebrać się szlachcie, pod jego przewodnictwem, dla ułożenia podania i dziękczynnego adresu do najjaśniejszego pana. Do tej naszej prośby przyłączyli się: Adam Jelski, hr. Karol Czapski, Otton Bohdaszewski, Jan Kukiewicz. Jednakże gubernator zadecydował, że ponieważ zebrania szlacheckie są skasowane w naszej

gubernji od 1862 roku, zatem on pozwolić na to nie może, szlachta zaś swoje dobre chęci oświadczenia swej „wiernopoddańczej wdzięczności” może wyjawić za pośrednictwem marszałka gubernjalnego; co zostało wykonane za 50 podpisami 23 maja 1897 roku, wykorzystując chwilę liczniejszego zjazdu szlachty na posiedzeniu Towarzystwa Rolniczego. Wspominam o tym fakcie tylko dla tego, iż niejednokrotnie staraliśmy się korzystać z każdego pretekstu, aby na drodze legalnej wejść w posiadanie praw, utraconych po wypadkach 1863 r. i zawsze nas spotykała odmowa i niechęć administracji krajowej. Przyszły następnie ukazy „wolnościowe”, przyszły obrady izb prawodawczych, przyszła rewolucja 1917 roku i jednak prawa te nigdy szlachcie naszej wrócone nie zostały.

Jako deputatowi szlachty powiatu słuckiego, przez lat z górą 30, wspomnieć mi wypada o likwidacji praw wyborczych tego stanu, tudzież o losach własności ruchomej i nieruchomej w Mińsku, należącej do stanu szlacheckiego.

Jak wyżej zaznaczyłem, ostatnim marszałkiem słuckim z wyboru był brat mojego ojca Tadeusz Woyniłłowicz. W roku 1863, gdy wszyscy urzędnicy z wyborów podali się do dymisji, i on się podał, wraz z innymi marszałkami. Ostatnie wybory, o ile mnie pamięć nie zawodzi, odbywały się w Mińsku późną jesienią, 1862 roku, w nastroju bardzo podniosłym, w przeczcuciu gotujących się wypadków. Szlachta mińska, korzystając z przysługującego jej prawa podawania podczas elekcji petycji do tronu, zachęcona do tego przykładem podolskiej i twerskiej gubernji i pewnemi wskazówkami z Warszawy, gotowała i redagowała adres poddańczy, proszący głównie o połączenie gubernji mińskiej z Królestwem Polskiem. Władze gubernjalne, kierując się wskazówkami, z generał-gubernatorstwa wileńskiego i z Piotrogradu otrzymanymi, zagroziły zamknięciem elekcji, co i nastąpiło, ale przed tem szlachta umyśliła zamiast adresu, który ewentualnie mógłby spocząć pod suknem biura gubernatorskiego, zostawić ślad, zdawałoby się wieczysty, swych aspiracyj w „protokóle”, wyraziwszy w nim cel zebrania, motywy adresu i zamknięcie elekcji wskutek „force majeure”, co też uczyniwszy, rozjechała się do domów.

Ten sposób wyjścia ogromnie się rządowi nie podobał i, gdy nastąpiły rządy Murawjewa, postanowił on te ślady

nieprawomyślności szlachty mińskiej z jej archiwów usunąć, lecz nie drogą gwałtu fizycznego, ale niby legalną. Wysłany został przez niego do Mińska generał Czewatti, człowiek bardzo zręczny, który zwoławszy podpisanych, zniewolił ich do podania prośby o usunięcie tego „protokołu” z archiwów. Z Murawjewem żartów nie było: szlachta przeważnie godziła się na usunięcie protokołu, z małemi względnie wyjątkami „opornych”, głównie ze sfer „pośredników mirowych”, z wyboru pochodzących, których za to, przetrzymawszy jakiś czas w areszcie w domu szlacheckim, wywieziono na Syberję a majątki kazano przymusowo sprzedać. Taki był rezultat ostatnich wyborów szlacheckich w Mińszczyźnie.

Ponieważ więzienia mińskie w owych czasach były przepełnione więźniami politycznemi, „pośredników” umieszczono w ogromnej sali domu, nabytego niedawno na wybory szlacheckie, jak to wyżej wspomniałem, a że regulamin nie był ścisły, pozwolono nie tylko rodzinom, ale i obcym odwiedzać aresztowanych, tak, iż utworzył się tam rodzaj klubu, złożonego z ludzi wybitnego charakteru i wyrobionych przekonań, kierującego stamtąd po części opinią miasta i całej gubernji, co trwało aż do zupełnego rozproszenia jego członków. Wybory szlacheckie odbywały się ostatniemi przed tem laty w domu Hausmana, sekretarza marszałka gubernjalnego, który w tej myśli wspaniałą kamienicę na skwerze postawił, a środki ku temu dostarczyły mu sprawy wywodowe szlachty, przeważnie „chodackowej” rozmaitemi ukazami nękaney, którą w braku papierów legitymacyjnych przypisywano do ludzi „stanu podatkowego”, co groziło poborem rekruta i innemi ciężarami. Każdy więc zbierał grosz ostatni i cisnął się do kancelarji deputacji wywodowej\*), aby udowodnić szlachectwo swoje, a Hausman umiał zawsze w archiwach wyszperać, albo do zatwierdzonych już w szlachectwie rodów delikwenta dołączyć. Pragnąc mieć siedzibę swoją własną, szlachta nabyła wielki dom na rogu ulic Podgórnjej i Dominikańskiej (Petro-pawłowskiej), na skwerze, na wprost teatru, wówczas nieistniejącego. Pierwszy raz tam szlachta weszła nie jako wolny stan szlachecki, dla obrad nad swemi zadaniami, ale, jak to

---

\*) Załatwiającej sprawy wyrabiania szlachectwa.



wyżej zazaczyłem, jako więźniowie stanu. Na dole umieszczono tam archiwa wywodowe szlacheckie, jedne z najbogatszych i najlepiej uporządkowanych w kraju. Na górze część domu zajęli nowi marszałkowie gubernjalni, przez rząd mianowani; zaś wielka sala z chórami górnemi i ubikacje przyległe zostały przez nowych marszałków wynajmowane na teatr rosyjski i rozmaite przedstawienia i zebrania, nic wspólnego z interesami szlachty niemające. Zasługa jednak jednego z marszałków, W. I. Pawłowa, że wszystko to z sali szlacheckiej usunął, i pierwszy raz szlachta weszła w posiadanie tej sali wydając 26 czerwca 1888 r. obiad dla w. ks. Włodzimierza, gdy ze swą małżonką, Marią Pawłówną, do Mińska zawitał. Obiad był wspaniały, sprowadzony z Moskwy restaurator z „Miedwiedia” przygotował ucztę, na chórach kompozytor, obywatel miejscowy Jakób Jodko, dyrygował orkiestrą przy wykonaniu marsza, własnego utworu. Do śniadania przed obiadem podano sławną starą Ordy z Pińszczyzny, którą w. książę znany znawca, zakosztował i tak upodobał, że, zakorkowawszy butelkę, nie dał pić nikomu, ale odesłał do swego wagonu. Toastów wznosić nam nie pozwolono, z obawy aby jaka sprawa drażliwa nie była poruszona; były zwykłe oficjalne toasty, wznoszone przez w. ks., gubernatora ks. Trubeckiego i marszałka Pawłowa. Po obiedzie odbyło się zwykle u dworu „cercle”, podczas którego wielka księżna mnie zainterpelowała, co do przestrzeni mińskiej gubernji. Wiedziałem, że jest bardzo wielką, a pamiętałem z geografji szkolnej, że jedna z gubernji (wołogodzka) równa się obszarowi Francji, więc odparłem: „plus ou moins l'étendue de la France”, co najzupełniej uszło. Mniej uprzejmie było wysłuchane moje zaznaczenie wielkiemu księciu, że szlachta, dzięki jemu, już nie jako więźniowie, ale jako gospodarze domu, mają zaszczyt go podejmować, na co żadnej nie było odpowiedzi. Pawłow skorzystał ze sposobności, aby prosić w. księcia o przyjęcie protektoratu nad Towarzystwem Rolniczem, na co ten chętnie się zgodził i pozostał nim aż do swej śmierci. Nie było to czczą tylko formalnością, albowiem instytucje, pod protektoratem wielkich książąt pozostające, mają ten cenny przywilej, że nie mogą bez ich zgody być zamknięte jednym pociągnięciem pióra przez gubernatora, co w owych czasach samowoli administracyjnej było rzeczą ważną; tudzież

przy wszelkich staraniach w odpowiednich ministerjach o rozmaite zmiany statutów, lub innych potrzebach, można było otrzymać poparcie wysokiego protektora. Cała ta bytność w. ks. nosiła charakter wysoce oficjalny i w. ks. starannie unikał dotykania wszelkich spraw miejscowych, a wysoce żywotnych. Podczas swojej bytności w. ks. odwiedził jeszcze gimnazjum realne, założone przez szlachtę na upamiętnienie 25-ioletnia panowania Aleksandra II w domu, przez szlachtę nabytym i funduszem 50.000 rs. uposażonym. Tam byłem także obecny wraz z drugim deputatem szlachty, Janem Kukiewiczem, w charakterze kuratorów tego zakładu w imieniu szlachty; trzecim takim kuratorem był znany działacz Aleksander Jelski. W. ks. założył jeszcze kamień węgielny pod budowę nowego teatru przy skwerze i odjechał. Dodać należy, iż w. ks. przyjechał do Mińska z Nieświeża, gdzie był podejmowany w zamku przez bawiących tam ówczesnie księstwa Antoniostwa Radziwiłłów. Ks. Antoni był podówczas adjutantem najbliższym cesarza Wilhelma, a ks. Antoniowa, jako dama dworu, szperonowała tam niegdyś w. ks. Marji Pawłównie, jako jednej z licznych księżniczek niemieckich. W Nieświeżu w. ks. odbył rewję konsystującego tam pułku kawalerji, pod dowództwem pułkownika Henrycego, ożenionego z moją kuzynką Petrozolinówną z Kukowicz. Rewja i obiad w zamku opóźniły wyjazd na pociąg i u ks. Antoniego padł koń w zaprzęgu, aby tylko w. księcia w porę do Horodzieja dostawić.

W obiedzie dla w. księcia brali udział niektórzy z obywateli, pamiętający dawniejsze czasy, jako uczestnicy balu, który przed reformą włościańską, szlachta dla cesarza Aleksandra II w Mińsku wydawała, między innymi Aleksander Skirmuntt. Według ich opowiadania, a głównie ze sprawozdania szwagra mojego Ottona Horwatta, ówczesnego marszałka gubernjalnego, powtórzę niektóre szczegóły, wyróżniające odmienność nastrojów i całego „mise en scène” w 1888-ym i w 1857-ym latach.

Ponieważ innych większych i nadających się ku temu domów ówczesnie w Mińsku nie było, bal był wydawany w domu „gubernjalnych urzędów”, na placu obok soboru. Przy wejściu do sali przyjmowała najjaśniejszego pana mar-

szalkowa gubernjalna, Ludwika z Osztorpów Horwattowa, pierwsza żona mego szwagra, która podawszy rękę cesarzowi, przeprowadziła go przez szereg komnat, do gabinetu, w którym wisiały dwa, ubrane kwiatami, wielkie olejne obrazy, bodaj pędzla Damela: jeden przedstawiał cesarza Pawła, wyprowadzającego Kościuszkę z więzienia, drugi, cesarza Aleksandra I podpisującego konstytucję Królestwa Polskiego. Nie uważano zatem wówczas tych aluzyj za zbyt drażliwe. Obrazy te pochodziły bodaj z Ostrohlad, majątności ówczesnej Prozorów, i trzebaż wypadku, że po ruinie ich fortuny, spotkałem się z nimi w Piotrogradzie na wystawie sztuk pięknych, przy ulicy Morskiej. Dosyć już były zniszczone, bo przez ileż rąk lichwiarskich przejść musiały! Na ten bal zakupiono masę sreber, porcelany, mebli. Wszystko to następnie zostało złożone w domu szlacheckim, spotykały się niedobitki w mieszkaniach nominowanych nowych marszałków i które z biegiem lat ulatniały się wraz ze wspomnieniami zawiedzionych nadziei. Dla ścisłości dodać muszę, że ostatnim marszałkiem gubernjalnym z wyboru był Łappa, z bobrujskiego, wywieziony na Sybir. Po nim był jeszcze Polak Eustachy Pruszyński, ale ten już z nominacji. Wielka zaś sala szlachecka służyła następnie na zebrania posiedzeń ziemstwa, na miejsce wyborów do Dumy i Rady Państwa, na teatry i koncerty, a również bale dobroczynne, nie sądzono jej było tylko służyć na to, na co wybudowaną została.

Po skasowaniu elekcyj w naszym kraju sprawy szlacheckie przeszły, jak to niejednokrotnie zaznaczałem, pod zawiadywanie marszałków z nominacji, „predwoditielej dworianstwa”, z których niektórzy nawet szlachcicami nie byli: przytem z każdego powiatu był nominowany „deputat”. W sprawach ważniejszych marszałek gubernjalny wzywał marszałków powiatowych i deputatów na posiedzenia, które miały zastępować zebrania szlacheckie. Deputaci oprócz tego podpisywali dekreta, przyznające prawa szlacheckie, poczem sprawa była odsyłana do departamentu heroldji w Piotrogradzie. Przy obecnych aspiracjach, jak „rady białoruskiej”, tak i bolszewików do zagarnięcia tego domu, wielka jest obawa, aby te bogate archiwa szlacheckie, mogące tyle materiałów dostarczyć badaczom historii, nie uległy rozproszeniu i zniszczeniu.

Wielką ma zasługę deputat miński, p. Ludwik Uniechowski, że czyni wszelkie możebne usiłowania, aby temu zapobiec.

Oprócz tego wielkiego domu, szlachta jeszcze posiadała na drugim rogu tej ulicy olbrzymi plac i zabudowania, czasowo ustąpione tak nazwanemu „pryjutowi” (domowi sierot i podrzutków), którego prawie z urzędu wszystkie gubernatorowe są patronkami. Wskutek niedbałości, graniczącej ze złą wolą, marszałków z nominacji we władaniu tej posesji, nastąpiło przedawnienie i posiadłość ta dla szlachty jest prawdopodobnie już straconą. Były też i poważne sumy, z górą 200.000 rs., do szlachty należące, które z biegiem czasu i pożądlivością na gotówkę wciąż malały, rozpraszając się na rozmaite „dobrowolne” ofiary, to z powodu rocznicy, to urodzin, to wstąpienia na tron i obecnie prawie nie istnieją. Pozostały jeszcze tylko stypendja w korpusie kadetów w Połocku i w zakładach naukowych w Mińsku, któremi deputacja szlachecka jeszcze rozporządza.

W roku 1883 13 maja otrzymałem z ministerjum sprawiedliwości nominację na honorowego sędziego pokoju, który to urząd do obecnych czasów przez 34 lata piastowałem, podpisując wyroki naprzód: „w imię jego cesarskiej mości”, a obecnie w 1917 r.: „w imię rządu tymczasowego”. Dzisiaj już prawa, sądy i urzędy nie istnieją.

Czynności tego urzędu sprawowałem sumiennie, nie opuszczając nigdy swoich kadencji sądowych, a że byłem ze sprawami miejscowemi obeznany i chętny, bardzo często miałem wyjazdy dla zbadania sprawy na miejscu, szczególnie w nieporozumieniach granicznych, tudzież dla intromisji i t. p. Często także mi wypadało zastępować 3-go członka sądów okręgowych przy kadencjach wydziału kryminalnego łącznie z sędziami przysięgłych na prowincji.

Wrocić jednak należy do spraw Tow. Rolniczego, które mnie coraz to więcej pochłaniać zaczęły, szczególnie gdy w roku 1888 zostałem prawie jednogłośnie wybrany na vice-prezesa, a faktycznie na prezesa Towarzystwa: urzędowym albowiem prezesem, aż do śmierci swojej, liczył się z urzędu gubernator miński, ks. M. M. Trubecki. Towarzystwo Rolnicze, zbierające się dotychczas w domu szlacheckim, będącym w zawiadywaniu marszałka z nominacji, postanowiło, aby się



uniezależnić od władz, mieć lokal swój własny na kancelarję i posiedzenia, ku czemu dążąc, wynajęło mieszkanie na ulicy Zacharzewskiej w domu Pawłowskiego, prawie naprzeciw swojego własnego domu w przyszłości. Przy sali posiedzeń było parę niewielkich pokoików, które zajmował nauczyciel szkoły realnej Lebediew, i za te mieszkanie nam sekretarzował, sumiennie i dokładniej, niż niektórzy jego, choć drogo opłacani następcy. Przy tem mieszkaniu był rodzaj szopy, w której członkowie Lewin i Cybulski otworzyli spółkowy skład maszyn rolniczych i gdzie się odbywały od czasu do czasu na małą skalę wystawy roślin i nasion. Były to wszystko zapoczątkowania, z których z biegiem czasu miały powstać wielkie „składy Syndykatu” i wielka jubileuszowa wystawa 1901 roku.

W tym lokalu pracowało Towarzystwo aż do 1898-go r., w którym mnie się udało kupić dla Towarzystwa wielki dom od hr. Karola Czapskiego, dzięki pożyczce, zaciągniętej przez Towarzystwo od siostry mojej Jadwigi Kostrowickiej, przy zahipotekowaniu naturalnie i w Tow. Kredytowem Miejskiem.

Wydaźność pracy każdego stowarzyszenia zależy głównie od zarządu, albowiem ogólne zebrania zazwyczaj tylko przetwarzają materiały uprzednio zebrane. Przedewszystkiem zatem przypomnieć tutaj należy członków Tow. Rolniczego doby ówczesnej. Na pierwszym planie postawić muszę, obecnie już nieżyjącego hr. Karola Czapskiego, prezydenta miasta Mińska, człowieka niepospolitych zdolności, energii, inicjatywy, szerokich poglądów, człowieka pracy i sił niezwykłych. Nadużywał tych darów bez miary i dlatego przedwcześnie życie zakończył: na wszystkie strony się rozrywał. Po wesoło spędzonej nocy w klubie, o świcie siedział na koniu i pędził do rodzinnych dóbr „Stańkowa”, o mil 5 od Mińska odległych, aby napędzać tam rządcę do większej energii i zaraz wracał do miasta, aby jeszcze trafić w porę na posiedzenie zarządu miejskiego i przeprowadzić tam projekty, które w przyszłości rozwój i dobrobyt miasta zapewnić miały. Brakło mu dobrych współpracowników: więc mogła droga dojazdowa z dworca do miasta być za wąska, ale on ją wybrukował; mogła maszyna do oświetlenia miasta lub do wodociągów być za słaba; mógł tramwaj nieprawidłowo funkcjonować, ale już miasto nie

wróciło do drogi faszyną słanej i do oświetlenia naftowego, do wożenia wody beczkami i omnibusów rozklekotanych. Jemu zawdzięcza miasto i Tow. Kredytowe Miejskie, i rzeźnię, i przytułki położnicze, słowem wszystko, co w większym mieście jest wymaganem. I zaczął nawet pracować nad sporządzeniem planu kanalizacyjnego, ale go śmierć porwała i sprawa cała stanęła. Udzielał więc hr. Karol i Tow. Rolniczemu tyle tylko czasu, na wiele go starczyło. Przyszedł, dobrą myśl rzucił, z apatji obudził, a już inni w czyn jego inicjatywę wprowadzić musieli.

Przeciwwągą zbyt wybujałym zamiarom hrabiego był rozważny, spokojny, a w pracy wytrwały Michał Łęski; zamiary brał według sił i co zaczął, przeprowadził; nie odzywał się na ogólnych zebraniach prawie nigdy, ale wszyscy wiedzieli, co on myśli. Pełen szlachetnego zapału i gorącego zamiłowania do rolnictwa był Melchjor Wańkowicz: \*) nie wierzył w niemożliwość wykonania jakiegokolwiek zamiaru, skoro był dobry i taką swą wiarą innych do czynu pociągał.

Gdy przemawiał dr. Zygmunt Świącicki, każdy wiedział, że sprawę rozważył, dokładnie przestudjował i w obliczeniu się nie myli.

Kazimierz Abłamowicz, aczkolwiek sprawami majątkowymi zakłopotany, nie żałował ani czasu, ani fatygi, aby dla Towarzystwa coś załatwić, w czemś dopomóc.

Otton Bohdaszewski, niespracowany kierownik dostaw zbożowych dla intendentury, prowadzonych przez Tow. Rolnicze, a następnie szef biura ubezpieczeń ogniowych.

Mówię tu tylko o zmarłych członkach Rady Tow. Rolniczego; zasługi żyjących każdemu są w pamięci, zasługi zaś tych zmarłych są bardzo wielkie. Poczci ich długi, bodaj że jeden tylko ich przeżyłem, więc wdzięczną pamięć za ich współpracownictwo tylko tutaj zaznaczam.

Każdy okres w działalności Tow. Rolniczego miał swoją myśl przewodnią, swoje zadania, którym swą pracę poświęcał: podczas posiedzeń, jeszcze w domu Pawłowskiego, główną troską stowarzyszonych było wejście w bezpośrednie stosunki

---

\*) Dziedzic m. Kalużyc g. mińskiej, ojciec znanego dzisiaj literata i wydawcy Melchjora Wańkowicza p. w.

producentów z konsumentami, dla uniknięcia kosztownego, zazwyczaj starozakonnego, pośrednictwa; ku temu najczęściej zdawały się nadawać dostawy zboża dla intendenty, które były tembardziej pożądane, iż ceny rynkowe były nader niskie, a produkcja z dniem każdym drożała.

Przy zawarciu umów rządowych pracowała najczęściej głowa hr. Czapskiego; wykonaniem umowy kierował Otton Bohdaszewski, moja kieszeń musiała składać kaucje, kontraktami rządowymi wymagane. Było to pierwsze zorganizowane przedsiębiorstwo zbiorowe, za którym z biegiem czasu poszły i inne. Nie zawsze wszystko szło gładko, bo wyrwanie interesu ze szponów dawnego konsorcjum, które trzymało monopol dostaw do intendenty, nie było sprawą łatwą, ale powoli stosunki się układały i wyrabiała się pewna etyka ziemiańska, wręcz odrębna od dotychczasowych praktyk przy dostawach rządowych. Towarzystwo Rolnicze, udzielając swą firmę grupie ziemian-dostawców, za dobre imię Towarzystwa czyniło ich odpowiedzialnymi i dla honoru swego sztandaru nie pozwalało nikomu uchybić w umowie, nawet jeśliby niedotrzymanie umowy było z góry przewidziane w kontrakcie i tylko pewną karą określone. Tak, na przykład, gdy w 1891 roku z powodu nieurodzaju ceny nagle i gwałtownie podskoczyły i Towarzystwo miało prawo, według kontraktu, stracić tylko zadatek, zrzekając się wykonania, które o wiele drożej miało kosztować, postanowionem zostało, nie zważając na powyższe straty, umowę dotrzymać. Dzielnym hr. Czapski wziął się do wykonania dostawy i ja, jako prezes Towarzystwa musiałem też zaryzykować, ale szczęście posłużyło: dostawa została dokonana i moje 30.000 rs. hrabia w całości mnie zwrócił, bez żadnego uszczerbku dla kogokolwiek.

Ale nie w tem rzecz, nie w tem także, iż gdy ten fakt w „sprawozdaniu najpoddąszem” gubernator podkreślił, cesarz na marginesie zanotował: „istino błagorodnyj postupok”, ale w tem, iż nauczono się szanować siebie, szanować dobre imię instytucji, której członkowie i w dalszych swych zobowiązaniach i czynnościach do tej opinii dostrajać się musieli. Samo zaś Towarzystwo zyskało dobrą markę w ministerjum i poszanowanie u wszelkich władz rządowych i społecznych, do których się zwracać kiedykolwiek zdarzyło. Po kilku

latach wprawdzie przestaliśmy podejmować się tych dostaw, albowiem praktyka intendenty kazała szukać innych dostawców, więcej się kierujących od dawna wyrobionemi w intendenturze tradycjami; jednakże, pierwsze lody ogólnej apatii zostały przełamane i akcja zbiorowa uzyskała prawa obywatelstwa.

Drugą sprawą, podjętą przez Tow. Rolnicze, było przeprowadzenie zasady wzajemności w ubezpieczeniach ogniowych i w kredycie długoterminowym.

Wobec rozmaitych ustępstw, proponowanych swoim klientom przez agentów licznych towarzystw ubezpieczeń ogniowych, Towarzystwo Rolnicze doszło do przedświadczenia, iż, uformowawszy pewne grupy zrzeszonych członków Towarzystwa, może wejść w pertraktacje z zarządami towarzystw akcyjnych, dla uzyskania dla tych grup jeszcze więcej uprzywilejowanych warunków ubezpieczenia, niż te, które dają poszczególni agenci. W tym kierunku poszły zabiegi, które się skończyły zawarciem 8 lutego 1890 roku umowy w Moskwie z Morozowym, jako głównym dyrektorem Północnego Towarzystwa Ubezpieczeń. Układy prowadził niezmordowany hr. Czapski i pomimo, że nasze aspiracje szły w kierunku konwencji z Warszawskiem Towarzystwem Ubezpieczeń, Północne zwyciężyło, bo dało nam warunki dogodniejsze niż wszystkie inne towarzystwa akcyjne. W tym czasie wszystkie towarzystwa ubezpieczeń związane były konwencją, określającą normę taryfy ubezpieczeniowej, więc i Północne zmniejszyć nam taryfy nie mogło w zasadzie, ale, że prawa na to są pisane, aby ich nie wykonywać, więc Tow. Rolnicze zyskało niby główną agenturę od Tow. Północnego na cały, tak nazwany, Kraj Północno-Zachodni i na koszt operacji otrzymało pewne procenta, których repartycja między agenturą, a ubezpieczonymi najzupełniej już od nas samych zależała i pewną dywidendę dawała. Głównym dyrektorem zarządzającym naszej agentury został Otton Bohdaszewski, który umowę z Północnem Towarzystwem perjodycznie odnawiał, zyskując coraz to dogodniejsze dla nas warunki dzięki przychylnemu dla naszej akcji usposobieniu głównego inspektora Tow. Północnego, zacnego Aleksandra Bąkowskiego z Warszawy, który wciąż na zebrania naszego Tow. Rolni-



czego do Mińska przyjeżdżał. Gdy zaś po zaznajomieniu się bliższem stowarzyszonych z prowadzeniem spraw ubezpieczeniowych powstała w sferach Tow. Rolniczego myśl założenia własnego tow. ubezpieczeń, opartego na zasadach wzajemności, Bąkowski nie tylko, pomimo współzawodnictwa, nam nie przeszkadzał, ale owszem do końca dawał nam potrzebne wskazówki i krokami naszymi kierował.

Sprawa zatwierdzenia statutów towarzystwa nie była łatwą. Trudności były dwójakiego rodzaju: trzeba było usunąć pewne, że się tak wyrażę, parafjalne współzawodnictwo między oddzielnymi gubernjami z jednej strony, a z drugiej zwalczać nieufność rządu do każdej akcji zbiorowej społeczeństwa ziemiańskiego na kresach.

Gubernja kowieńska, w kulturze rolniczej wyżej od innych gubernij północno-zachodnich stojąca, przytem przez lud katolicki zamieszkała, na moralność którego duchowieństwo większy wpływ wywierało, miała daleko pomyślniejszą od sąsiadów statystykę wypadków pożarowych, szczególnie od podpalenia i dla tego wymagała dla siebie przywilejów i pewnego wydzielenia autonomicznego.

W tych aspiracjach stanowiło wyjątek Tow. Rolnicze Rosieńskie, które wciąż w najbliższych stosunkach z Tow. Rolniczem Mińskiem pozostawało i wszelkie nasze dążności najszczerzej popierało, a przedstawiciel i prezes Towarzystwa, wielce szanowny Bronisław Gruzewski z Kielm bardzo często na nasze zebrania przyjeżdżał.

Niejednokrotnie dla pertraktacji przyjeżdżali do Mińska delegaci kowieńscy. Ustępstwa dopuszczalne i bezsprzeczne z główną zasadą „wzajemności”, na której się mińskie koncepcje opierały, były im przedstawiane, ale skończyło się na tem, że chociaż gubernja kowieńska weszła według statutu w okres terytorjalny naszych operacyj, powstało tam jednak specjalne Kowieńskie Tow. Ubezpieczeń Ogniwych.

Trzeba wiedzieć, iż panowie Litwini przysyłali nam dla pertraktacji nie byle kogo: przyjeżdżał do Mińska Aleksander Meyszutowicz, w przyszłości prezes zarządu Banku Ziemskiego Wileńskiego i członek Rady Państwa, człowiek niepospolitej energii i wyrobienia politycznego, stałości przekonania i orjentacji w interesach krajowych, w przyszłości mecenas naszych

spraw wyznaniowych i narodowościowych w izbach prawodawczych. Przyjeżdżał także jako przedstawiciel ziemiaństwa kowieńskiego, obszarńnik kowieński i marszałek gubernjalny z nominacji, sam Piotr, syn Arkadiusza, Stołypin, z którym pierwszą znajomość wówczas zawarłem. Prezesem Tow. Rolniczego Mińskiego był z urzędu gubernator miejscowy generał-lejtenant, książę M. M. Trubecki, podrujnowany arystokrata, nacjonalista, administrator twardej ręki, żonaty z córką byłego kijowskiego generał-gubernatora Bezaka \*). Więc, jako nominalny vice-prezes Towarzystwa, przed każdym posiedzeniem do niego zachodzić musiałem, referując o porządku dziennym zebrania i o kierunku pracy naszej. Zawsze, o ile byłem pytany, mówiłem mu prawdę i przez to zyskałem ufność księcia tak, iż ani razu przez te kilkanaście lat gubernatorstwa księcia, Tow. Rolnicze żadnej nieprzyjemności od niego nie doznało, owszem, w możliwych przy ówczesnym regimie warunkach, zawsze podtrzymywaniem swych dążeń się cieszyło. Jedną córkę swoją książę wydał za A. B. Nejhardta, ówczesnego marszałka szlachty gubernji niżegorodzkiej, a późniejszego twórcę partji nacjonalistycznej w Radzie Państwa, a że z siostrą tegoż Olgą był żonaty p. A. Stołypin, więc, gdy ten ostatni przyjeżdżał do Mińska, bawił w gościnie u gubernatora. Zdarzyło się kiedyś, że kucharz gubernatorski zachorował, więc książę polecił mi wydać obiad dla Stołypina. Przyjęcie to odbyło się w klubie miejscowym, obficie oblane, z przemowami, w których Stołypin siłę swego słowa i swej argumentacji potrafił wykazać, nazwał mnie przed gubernatorem „mińskim Bismarkiem”, ale sprawa się naprzód nie posunęła, konferencje się przedłużały, ale do żadnych kombinacji nie doszło i gubernja kowieńska już i wówczas swych separatystycznych tendencji się nie wyrzekała. Był to początek moich późniejszych stosunków ze Stołypinem.

W staraniach o zatwierdzenie statutów „Mińskiego Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń Rolnych” mieliśmy zawsze zamiar objęcia wszystkich 9-ciu gubernij zachodnich, lecz pomimo, iż w Kijowie mieliśmy rzecznika bardzo poważnego,

---

\*) Bezak Aleksander od r. 1866 — 1868 generał-gubernator kijowski, głośny rusyfikator i prześladowca Polaków. p. w.

A. I. Koscicza, byłego ministra wojny w Bułgarii, następnie dowódcy korpusu wojsk w Mińsku i Kijowie i członka honorowego naszego Towarzystwa, członka później Rady Państwa, człowieka światłego i liberalnych przekonań, jednak generał-gubernatorstwo kijowskie odmówiło nam swego „placet” i musieliśmy ograniczyć teren swej działalności do 6-ciu gubernij litewsko-białoruskich, a nawet z 3-ma litewskimi nie przyszło tak łatwo, bo wszelkie zrzeczenia nie były mile widziane przez ówczesną administrację kraju. Musiałem w tej sprawie niejednokrotnie jeździć do wileńskiego generał-gubernatora, generała Trockiego i starać się o jego zgodę, co wreszcie nastąpiło. Tutaj podkreślić muszę zasługi w tym względzie ówczesnego członka Rady Towarzystwa Rolniczego A. K. Śnitki, którego siostra była za późniejszym generałem, ówczesnym pułkownikiem i urzędnikiem do specjalnych poleceń przy generał-gubernatorze, Żyrkiewiczem \*). Ten mnie audjencje u Trockiego wyrabiał i przychylnie do moich zabiegów usposabiał. Ojciec Andrzeja Śnitki, Konstanty, był katolikiem i nawet marszałkiem szlachty z wyborów, właścicielem dużej posiadłości ziemskiej „Karlsberg” koło stacji Radoszkowicze, widocznie ożeniony był z prawosławną, skoro A. K. Śnitko był wyznania panującego. P. Andrzej był bardzo zdolnym i pożytecznym członkiem Rady Tow. Rolniczego, ale mówił tylko po rosyjsku, zawziętym był nacjonalistą, był jednym z założycieli i kierowników muzeum przy gmachu archijerejskim, mającym na celu gromadzenie okazów i materiałów, tyjących się przeszłości rosyjskiej naszego kraju. Szwagier jego Żyrkiewicz stał się autorem wydawnictw antypolskich \*), rehabilitował działalność znanego odstępcy ks. Sęczykowskiego i t. p. I jeden i drugi jednak w tym wypadku wielką usługę Towarzystwu Rolniczemu okazali i Żyrkiewicz na członka honorowego został nawet wybrany. Zaznaczyć jednak należy, że wybór ten miał miejsce jeszcze przed epoką jego działalności nacjonalistycznej.

Po długich korowodach udało się nakoniec otrzymać zatwierdzenie statutu Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń w ministerjum, co nastąpiło 17 lutego 1900 roku. Nie mała

---

\*) Żyrkiewicz był autorem apologii ks. Sęczykowskiego: „Iz za jazyka”, wydanej w Wilnie w r. 1908 p. w.

była w tem zasługa mecenasa Stanisława Kostrowickiego, stale mieszkającego w stolicy, bezinteresownego rzecznika i opiekuna spraw naszego Towarzystwa. Rok cały przeszedł na pracach organizacyjnych i dopiero od 1 stycznia 1901 r. Towarzystwo Wzajemnych Ubezpieczeń pożyteczną swą działalność rozpoczęło. Według obliczenia dla przystąpienia do operacji trzeba było złożyć 50.000 rs. kaucji, które dostarczyć musiałem, ale wszystko poszło tak pomyślnie, że te pieniądze wkrótce do mnie wróciły. Zostałem wybrany na prezesa Rady Nadzorczej, prezesem zarządu został Witold Łopot, członkami zarządu Zygmunt Węclawowicz i Wojciech Iwanowicz, ten ostatni na specjalne życzenie Tow. Rolniczego Rosieńskiego. Towarzystwo rozwija się pomyślnie, i pomimo ciągłych ulg dla stowarzyszonych, zebrało już spory kapitał rezerwowy, co daj Boże i nadal!

Druga sprawa, sprawa utworzenia towarzystwa wzajemnego długoterminowego kredytu ziemskiego, zapoczątkowana jeszcze w 1893 r. nie przeszła tak pomyślnie.

Ciężkie położenie dłużników banków ziemskich akcyjnych, wysokie dywidendy ich akcjonariuszów, daleko łatwiejsze warunki oprocentowania i amortyzacji w Banku Szlacheckim, świetny rozwój Tow. Kredytowego Ziemskiego w Królestwie, zresztą możliwość stworzenia jeszcze jednej organizacji, kraj nasz kresowy obejmującej, wszystko to razem wzięte nie dawało spokoju Towarzystwu Rolniczemu. Była to kwestja „nieustająca”: to w tej, to w drugiej koncepcji, zjawiała się na porządku dziennym obrad Towarzystwa, ze zmienną energją podejmowana, zależnie od animuszu inicjatora. Stałych ona miała rzeczników w osobach dr. Święcickiego, Eugenjusza Kowalewskiego, hr. Leona Łubieńskiego, W. Iwanowicza i t. p. Zjawiali się sporadycznie ludzie zdolni, gorącą chęcią poparcia tej sprawy ożywieni, jak p.p. Medeksza, ksiądz Puzyna, Józef Karpowicz (w przyszłości zdolny dyrektor Banku Wołżsko-Kamskiego w Warszawie) jak hr. W. S. Tatiszczew, wówczas marszałek z nominacji powiatu mińskiego, następnie prezes wielu instytucyj kredytowych i nawet chwilowy kandydat na ministra finansów i wielu innych. Opracowaliśmy statuty, z którymi niejednokrotnie, bo w latach 1893, 1899, 1900, 1902 jeździłem z deputacją Towarzystwa do wszechpotężnego



wówczas ministra finansów hr. S. J. Witte, do szanownego dyrektora jego kancelarii Bolesława Maleszewskiego, zasięgnano opinii naszych gubernatorów i generał-gubernatorów, kołotaliśmy do wpływowych w owym czasie osobistości w stolicy, jak np. do głośnego generała Bohdanowicza, autora szeregu rozpowszechnionych broszur narodowo-patriotycznych i członka Rady, Ministra Spraw Wewnętrznych; byliśmy u A. Suworyna, redaktora poczytnego „Nowego Wremieni”, który kierował opinią sfer miarodajnych stolicy i t. p. Wszędzie przyznawano naszym staraniom zupełną słuszność, wszędzie aprobowano projekt naszego statutu, zapraszano na herbaty i śniadania i wszędzie, ostatecznie, nic nie zrobiono. Jedni przypisywali to zakulisowym zabiegom banków akcyjnych, drudzy niechęci rządowej stworzenia w kraju naszym tak potężnej z czasem organizacji, jak Towarzystwo Kredytowe Ziemskie w Kongresówce, inni liczeniu się ministerjum finansów ze zbyt czynnem przeładowaniem w owej chwili rynku pieniężnego rozmaitemi walorami, podczas gdy rząd sam emisję nowych papierów zamierzał; zapewne to wszystko, jedno z drugim, składało się na niekorzyść naszą. Była chwila, kiedy już wszystko było tak nakierowane, że jednego tylko podpisu ministra finansów brakowało na statucie, aby dobić sprawę. Hr. Witte zażądał nieznaczącej tylko zmiany w jednym z paragrafów statutu, na którą, mając zupełne pełnomocnictwo od Towarzystwa, chętnie się zgodziłem. Lecz na nieszczęście, zawiśła wówczas na włosku wojna z Japonją i gdy poszedłem do hr. Wittego, ten oświadczył, że z powodów wojennych cała sprawa musi być odłożoną i odłożyła się „ad calendas graecas”. Udało się tylko po tylu pracach i zabiegach wyjednać pewną zmianę w statutach banków akcyjnych, iż uprzednio  $\frac{3}{4}\%$  szło na administrację, a  $\frac{1}{4}\%$  na amortyzację, a obecnie  $\frac{1}{2}\%$  miało iść na jedną, a drugie  $\frac{1}{2}\%$  na drugą pozycję; i w tem zacny nasz mecenas Stanisław Kostrowicki nie małą miał zasługę. Jak już wspominałem wyżej Tow. Rolnicze wiele jemu zawdzięcza: weszliśmy zaś z nim w kontakt przez kolegę jego, a członka Rady Towarzystwa Rolniczego, mecenasa Ignacego Witkiewicza, stałego od lat wielu, skarbnika naszego Towarzystwa; pracował on na tem stanowisku nietylko bezinteresownie, ale nieraz i przyplacić musiał.

### III.

Wszedłszy raz na drogę zrzeszenia i pracy zbiorowej, Towarzystwo Rolnicze szło dalej w tym kierunku. Z inicjatywy prezydenta miasta hr. Karola Czapskiego powstały w Mińsku rzeźnie miejskie, na przedmieściu miasta, w kierunku Łoszycy zbudowane. Chcąc wyzwolić handel mięsny z rąk spekulantów starozakonnych, hr. Czapski zaproponował Tow. Rolniczemu wzięcie w dzierżawę eksploatacji rzeźni i targowiska, na którem zatrzymywało się bydło na rzeź przeznaczone i przypędzone przez handlarzy. Utworzyła się grupa członków Tow. Rolniczego, udziałowców, którzy na ten interes poszli pod przewodnictwem Ksawerego Jelskiego, człowieka nader obrotowego i ze sprawami handlowymi obeznanego. Tow. Rolnicze dało temu przedsiębiorstwu swoją firmę, a zatem sumienne wykonanie warunków dzierżawy było pod stałą kontrolą Rady Tow. Rolniczego i wszelkie nieporozumienia między kontrahentami Rada Towarzystwa bezapelacyjnie rozstrzygała; sprawozdania zaś roczne szły pod aprobatą ogólnych zebrań Towarzystwa; albowiem raz na zawsze było powiedziane, jak to przy dostawie zboża do intendentury i było wykonane, że firma Tow. Rolniczego musi być bez zarzutu i skazy. Towarzystwo dzierżawiło rzeźnię od 1 maja 1891 r. do 1 maja 1910 r., przez ten czas były niejednokrotnie czynione próby ujęcia handlu mięsnego w swoje ręce. Były próby pojedynczych właścicieli bydła opasowego przy gorzelnianach spieniężania towaru przez rzeźnię miejską. Korzyści bezpośrednich to prawie nigdy nie dawało, pośrednio może tylko wpływało na usunięcie zbytniego wyzysku handlarzy starozakonnych, wobec świadomości, iż w krytycznym wypadku może towar mięsny w swojej rzeźni spieniężyć. Jednak przeważnie subtelności handlu mięsem koszernem stawały zazwyczaj tym usiłowaniom zarządu rzeźni na przeszkodzie. Z tych samych przyczyn nie

opłacały się próby założenia własnych jatek, utrzymywanych jednak dosyć długo przez rzeźnię miejską dla zrównoważenia cen mięsa w sklepach prywatnych. Sprawiedliwość każe w tem miejscu wspomnieć o zarządzającym rzeźnią p. Baldwin-Ramułcie, początkowo skromnym pracowniku instytucji, który dzięki swej pracy i uzdolnieniu dobił się tego stanowiska. Między innymi p. Baldwin-Ramułt, chcąc wykorzystać ciepłik, który się marnował przy suszeniu krwi, kiszek i innych manipulacjach rzeźniczych, zapoczątkował suszenie warzywa: kartofli, kapusty i t. p. Konserwy te zyskały szeroki popyt w wojsku, szły np. aż do Taszkientu i dawały możliwość korzystnego zbytu produkcji ogrodów warzywnych okolicy. Dla ciekawości przytoczę cyfry uboju w pierwszym i ostatnim roku eksploatacji:

Rok	Bydło step.	Bydło miejsc.	Cielęta	Owce	Nierogaczna
1891	5.720	11.700	11.909	3.522	4.165
1910	2.361	19.990	19.483	2.165	24.857

Z zestawienia tych cyfr uwidoczni się wypieranie bydła stepowego przez produkcję miejscową, zmniejszenie się ogromne hodowli owiec i ogromny rozwój hodowli nierogaczny. W roku 1910 konsorcjum członków Towarzystwa Rolniczego musiało się odmówić od dalszej dzierżawy, albowiem już zarząd miasta przeszedł w ręce, mniej dla ziemiaństwa życzliwe. Zaczęły się prace zakulisowe kontrahentów starozakonnych i postawione przez zarząd miejski warunki były możebne do przyjęcia przez osoby prywatne, liczące na możebność ich modyfikacji, ale nie dla Tow. Rolniczego, zbyt drażliwego na niepokalaność swej firmy.

Zachodzi zatem pytanie, czy była jaka korzyść dla Tow. Rolniczego z umowy dzierżawnej na rzeźnię? Bezwarunkowo była: jedna, trudna do obliczenia, jak nabieranie wprawy do przedsiębiorstw zbiorowych, jak dostarczenie pracy i zarobku dla tej kategorii ludzi, którzy jako katolicy byli wszelkich praw do służby państwowej pozbawieni, jak regulowanie, chociażby w sposób doraźny, sprzedażnych cen mięsa i t. p. Druga korzyść już mogła być zupełnie ściśle w cyfry ujęta: wydatki budżetowe Towarzystwa wciąż rosły; sekretarze Towarzystwa Rolniczego, którzy początkowo spełniali

swe obowiązki za mieszkanie przy sali posiedzeń, z paru pokoików złożone, zaczęli być opłacani tysiącami, a dochody Towarzystwa stanowiły tylko 10-cio rublowe opłaty członkowskie; w dodatku dom był kupiony na imię Towarzystwa Rolniczego bez grosza własnego kapitału i dochód nie wystarczał na opłatę procentów; trzeba więc było szukać innych źródeł dochodu, a że większość udziałów w przedsiębiorstwie rzeźniczym stanowił mój udział osobisty i udziały bliskich mnie osób, więc na ogólnem zebraniu udziałowców można zawsze było utworzyć większość, zgadzającą się na poważne odliczenie dywidendy na korzyść Tow. Rolniczego i tym sposobem wyrównać pozycje budżetowe, co też ogólne zebranie Tow. Rolniczego, szemrząc niby na ustrój kapitalistyczny, jednak chętnie aprobowało. Gdy następnie dzierżawa rzeźni się urwała, deficyty budżetowe stały się pozycją z roku na rok wykazywaną.

W porządku chronologicznym zaznaczyć wypada, że w r. 1900 ogólne zebranie uczyniło mnie zaszczyt, wybierając na członka honorowego Towarzystwa Rolniczego i składając przy Tow. fundusz mego imienia w sumie 7.000 rs. na stypendja naukowe lub inny cel, według mego uznania. Pozwoliłem sobie tę sumę zaokrąglić do 10.000 rs., lecz zastrzegłem, że pierwiej niż pozwalać sobie na tworzenie funduszków użyteczności publicznej, należy wypełnić swoje zobowiązania, zapisawszy więc 10.000 rs. na rachunek Towarzystwa trzeba je na razie użyć na częściowe spłacenie długu, dom Towarzystwa obciążającego, co też przyjętem zostało.

Przy ciągłym rozwoju działalności Towarzystwa, naturalnie skład narzędzi rolniczych, przez p.p. Cybulskiego i Lewina zapoczątkowany, nie mógł wystarczyć, a przykład Lipawskiego „Consum-Vereinu” był zbyt zachęcający, abyśmy utworzenie czegoś podobnego u siebie spróbować nie mieli. Zachęcał nas do tego w odczycie swoim I. Witkiewicz, referowałem i ja. Została więc wybrana komisja dla wypracowania statutu; pracował w niej członek E. Kowalewski, lecz głównym autorem statutu, zatwierdzonego 30 grudnia 1896 roku, był Emanuel Obrąpalski, który następnie został wybrany na dyrektora zarządzającego tak nazwanego popularnie „Syndykatu”, a urzędowo: „Oddziału Handlowego przy Mińskim Tow. Rolniczym”.



W komisji, opracowującej statut, przeważały wpływy antykapitalistyczne: lękano się, aby sprawy Syndykatu nie skupiły się w ręku jednostek, więcej dbających o wysokość dywidendy, niż o korzyść dla stowarzyszonych rolników, wskutek tego w § 3 uczyniono zastrzeżenie, iż ogólne zebranie może w każdym czasie ustanowić „maximum” udziałów członka w kapitale przedsiębiorstwa. Widocznie już wówczas prądy socjalistyczne zaczynały nurtować niektóre warstwy społeczne, lecz rezultat był ten, którego się należy i obecnie spodziewać, jeśli się zechce postawić granice pracy warsztatowi i przedsiębiorczości jednostek. Zebrał się kapitał tylko 50-ciu tysięcy rs., stanowczo za mały na tak wielkie przedsiębiorstwo. Brak sumy obrotowej wciąż ciążył na interesach Syndykatu, do określenia „maximum” nigdy nie doszło i trzeba było od początku zwracać się do kapitałów prywatnych. Musiał część kapitału swego uwięzić dyrektor zarządzający, musiałem, jako prezes Tow. Rolniczego włożyć swoich 30-ci tysięcy, które mi dopiero po 20 latach istnienia Syndykatu zwrócone zostały.

Początki „Syndykatu” były trudne, a wymagania od niego niepomierne, albowiem członkowie Towarzystwa chcieli w Syndykacie mieć „panaceum” na wszelkie trudności obrotu gospodarczego; więc musiał Syndykat i dostawy do intendencji prowadzić, i handel jęczmieniem browarnym, ówczesznie bardzo poszukiwanym, ująć w swoje ręce, i maszyny tanie, dobre i na kredyt dostarczyć i t. p., a na wszystko brakowało pieniędzy. Wszystkie te zadania zwalczał zarząd w osobach E. Obrąpalskiego, jako prezesa, i członków: Ignacego Czczotta i księcia Hieronima Druckiego - Lubeckiego. Pełnię swojego rozwoju osiągnął Syndykat dopiero pod kierownictwem obecnego swego prezesa Mieczysława Porowskiego, człowieka niepospolicie zdolnego i pracowitego. Obroty w 1913 roku już przewyższały w bilansie 1.000.000 rs., a w towarach 842.000 rs.; dywidenda rosła, przeszacowanie towarów na składzie było zawsze nadzwyczaj ostrożne, narzędzia rolnicze, nasiona, nawozy sztuczne zawsze wyborowe, przy stałem wciąż dążeniu do ujęcia handlu produktami rolnictwa w swoje ręce, jak np. sprzedaż krochmalu, zakup w Bessarabji kukurydzy do gorzelni i t. p. Wypadki wojenne, zacząwszy od 1914 r., wstrzymały

normalny bieg interesów Syndykatu, lecz przezorność zarządu pozwala czekać spokojnie powrotu do zwykłego biegu rzeczy.

Jednym z najdotkliwszych niedomagań własności ziemskiej w kraju naszym, na które od początku swego istnienia Towarzystwo Rolnicze zwracało uwagę, było prawo serwitutowe, pozostawione jako przeżytek czasów pańszczyźnianych przez rząd rozmyślnie dla ciągłego jątrzenia stosunków między dworem, a wioską. Nienormalność warunków i szkodę pod względem gospodarczym rozumiał doskonale sam twórca tych stosunków, wielkorządca wileński Murawjew, skoro w majątkach skonfiskowanych i nadanych osobom pochodzenia rosyjskiego, jednym pociągnięciem pióra wszelkie służebności kasował, dodając do nadziału włościańskiego wzamian po 3 dziesięciny na własność. W dalszym ciągu rząd ówczesny pomimo chęci ciągłego gnębienia własności ziemskiej polskiej, nie mógł nie widzieć, jak dalece serwituty zgubnie oddziaływały na drzewostan w lasach, na kulturę pól i łąk, słowem na bogactwo krajowe. Dla uregulowania tej sprawy zaczął więc powoływać rozmaite komisje, rezultatem czego zjawily się rozmaite, początkowo względnie dosyć udatne, projekty likwidacji serwitutów. Więc pracowała komisja gubernatora Steblin-Kamieńskiego i generał-gubernatora Orzewskiego w Wilnie. Przedstawiał tam swoje memorjały marszałek gubernjalny z nominacji hr. Adam Plater. Z polecenia ministra pracował „Urząd do Spraw Włościańskich” w Mińsku. Pracowały, niejednokrotnie komisje w Tow. Rolniczem w Mińsku, z których jedna pod prezydencją urzędnika do spraw włościańskich Massalskiego. Nakoniec wypracowany został przezemnie szczegółowo projekt uregulowania praw serwitutowych, który na ogólnem zebraniu Tow. Roln. został przyjęty i wybrana „ad hoc” deputacja pojechała dla popierania tego projektu w stolicy. Wszystkie te projekty mało się różniły w ostatecznym wyniku, chociaż na rozmaitych zasadach się opierały i wszystkie się znalazły jako materiały w komisji, powstałej w r. 1908 w Piotrogradzie, pod przewodnictwem towarzysza ministra spraw wewnętrznych Łykoszyna, z którym z tego powodu, już jako członek Rady Państwa miałem stosunki. Członkiem tej komisji był kolega nasz z Rady Państwa, przedstawiciel połtawskiej gubernji Leontowicz, człowiek zacny i nam przyjazny, do którego wciąż z hr. Olizarem

chodziliśmy dla informacji i należytego oświetlenia sprawy. Śmierć P. A. Stołypina przerwała wszystkie jego zamiary zasadniczych reform agrarnych, a wojna i rewolucja niewiadomo dokąd ludzkość doprowadzi.

Referat mój wyszedł z druku w oddzielnej broszurze, więc powtarzać swoich poglądów tutaj nie będę. W rezultacie uważałem, że dodanie jeszcze na własność włościanom  $\frac{1}{8}$  części posiadanego przez nich obszaru, w większości wypadków byłoby dostatecznym wynagrodzeniem za ich prawa serwitutowe.

Jednym z ważniejszych, a przynajmniej głośniejszych epizodów w życiu Tow. Rolniczego była wielka jubileuszowa wystawa 1901 roku, zainicjowana z powodu 25 lat istnienia Towarzystwa. Bywały i przed tem wystawy nasion i płodów rolnictwa, w składach i salach Towarzystwa, w domu Pawłowskiemu urządzone. Była jedna większa wystawa, urządzona w podwórzach domu szlacheckiego, w której już okazy hodowli poczesne miejsce zajmowały, ale dopiero wystawa 1901 roku miała wykazać nie tylko stowarzyszonym, ale całemu krajowi dorobek Towarzystwa za całe ćwierć wieku.

Ponieważ zwykle wystawy pewien deficyt kasowy dawały, a Tow. Roln. specjalnych środków nie posiadało, system zaś subsydij rządowych nie był wówczas rozwinięty i był przeze mnie specjalnie pomijany dla rozwinięcia w gronie ziemiaństwa zasady samowystarczalności i samopomocy, grono członków Tow. Roln., zamożniejszych lub większą ofiarnością ożywionych, złożyło fundusz gwarancyjny, któryby kasę Towarzystwa od wszelkiej odpowiedzialności uwalniał.

Wybrany był komitet wystawy z hr. Jerzym Czapskim na czele i komisarzem wystawowym Michałem Wołłowiczem. Dzięki darowi organizacyjnemu i pracy niestrudzonej tych panów zawdzięczać wypadało, że porządek na wystawie panował wzorowy i wystawa, zamiast deficytu przyniosła kilka tysięcy rs. zysku. I ten kapitał nie miał utonąć w kasie Towarzystwa, ale został przeznaczony na organizację wystaw w przyszłości.

Ponieważ Mińskie Tow. Rolnicze w owym czasie było prawie jedynem i jednoczyło większość sił, na tem polu w kraju pracujących, wystawa była obficie obesłana, frekwencja była

ogromna: w mieście mieszkań dla przyjezdnych zabrakło. Na wystawie grmiała orkiestra pułku preobrażeńskiego, ze stolicy sprowadzona, a wieczorem, w mieście, kapela Namysłowskiego. Na cyklodromie Towarzystwa Cyklistów, otoczonym łozami, oprowadzano okazy premjowane, popisywały się zaprzęgi i rozmaite „concourc hippiques”, mijaly się „wesela krakowskie” i t. p., przyczem o mało co ciężkim wypadkiem nie przyplaciła tego rodzina hr. Jerzego Czapskiego, gdy taki wóz drabiniasty, wskutek rozbiegania się koni, z dziećmi hrabiego w całym pędzie się przewrócił.

Nie obeszło się naturalnie bez balu, który wydał dla gości wystawowych prezydent miasta hr. Karol Czapski. Był wielki obiad wystawowy składkowy z toastami i mowami zwykłymi w takich razach i zakończyło się wszystko ceremonją rozdania nagród w obecności gubernatora, znanego hydrotechnika poleskiego, generała Żylińskiego, ordynata nieświeskiego, ks. Antoniego Radziwiłła i t. p. Zaznaczyć należy, iż ówczesny prezes z urzędu Tow. Rolniczego, gubernator ks. Trubecki, zrozumiał swoje li tylko urzędowe stanowisko w Towarzystwie i zupełnie się na stronę usunął, zostawiając mnie zaszczyty i obowiązki przedstawicielstwa.

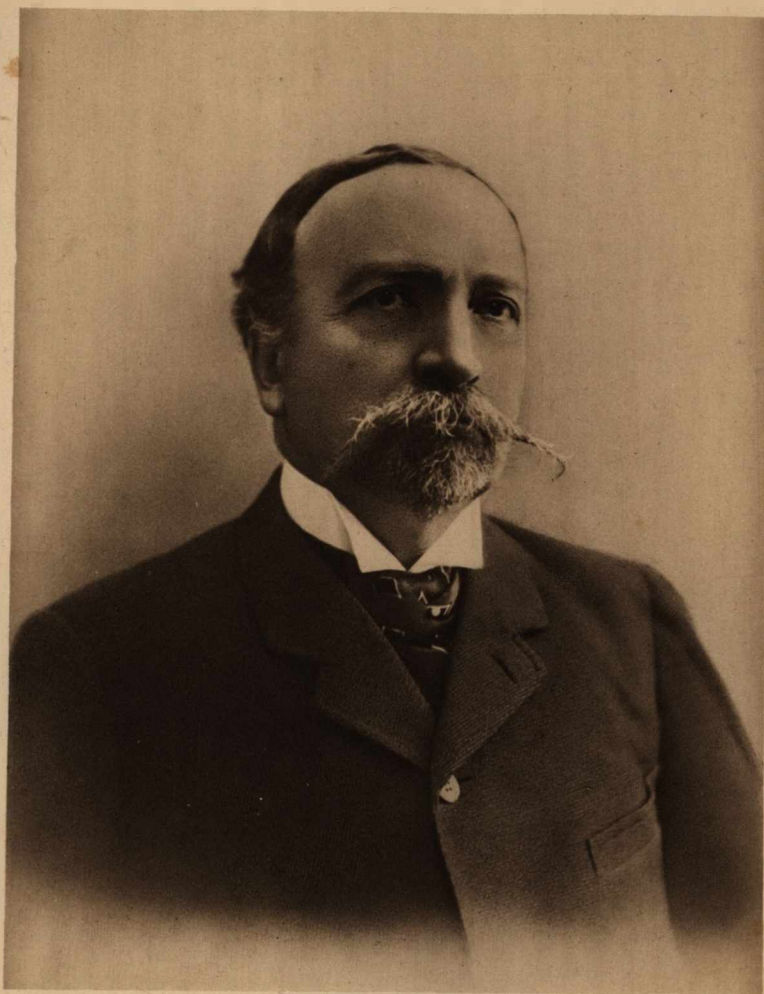
Odbyło się naturalnie również „galowe” zebranie Tow. Rolniczego z udziałem delegatów od innych tow. rolniczych, istniejących na zachód od Dniepru i Dźwiny. Z za Dniepru tylko Starodubskie Tow. Rolnicze z czernichowskiej gubernji przysłało przedstawiciela, któregośmy specjalnie honorowali.

Na początku posiedzenia prezydent miasta Nieświeża, a jeden ze zdolniejszych i pracowitszych członków Towarzystwa, Bolesław Grabowski, odczytał sumiennie i treściwie opracowaną historję Tow. Rolniczego za ubiegłe ćwierć wieku, potem nastąpiły powitalne mowy delegatów i uroczystość się zakończyła dłuższem mojem przemówieniem \*), w którym

---

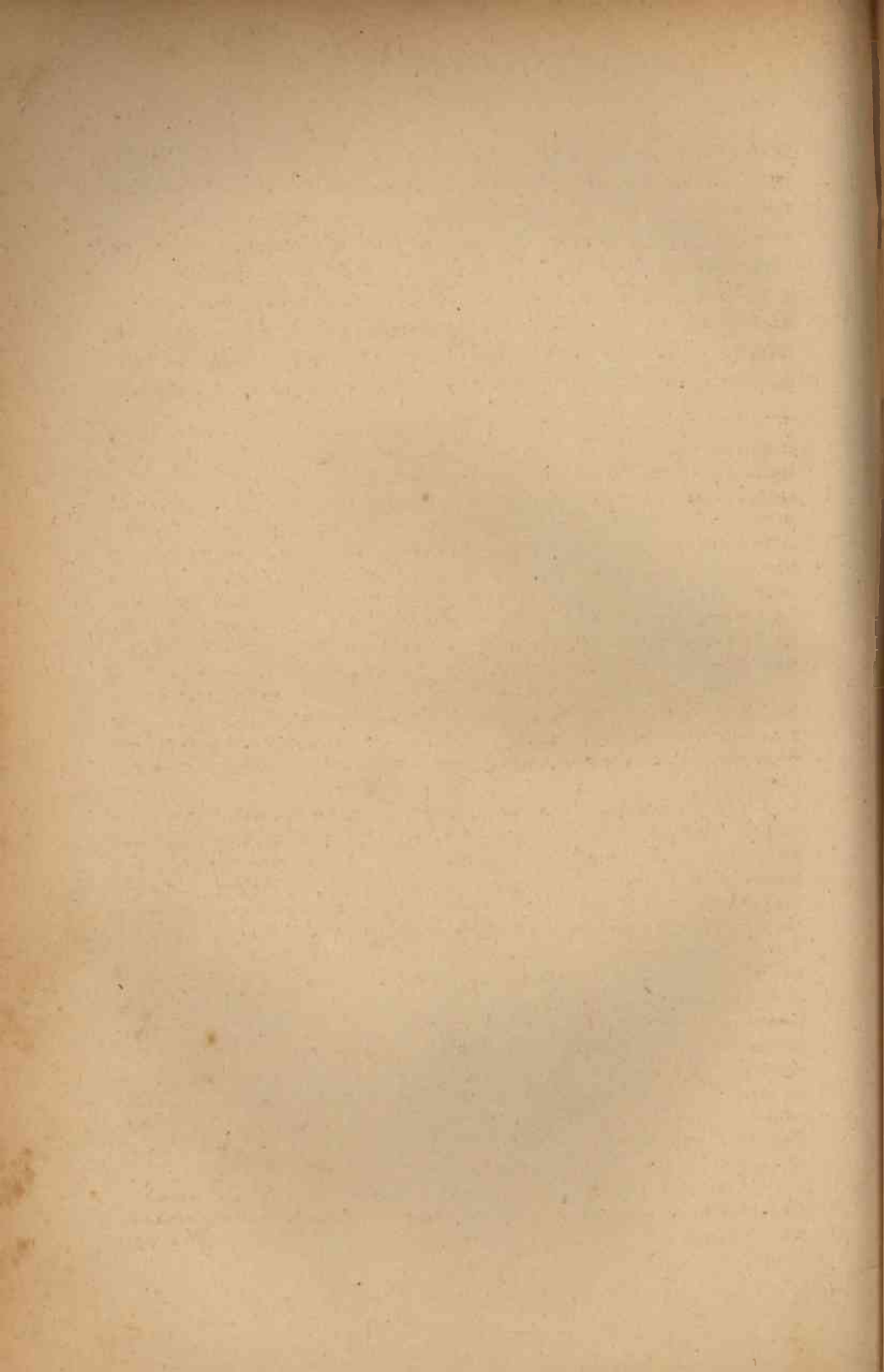
\*) Mowę ś. p. Edwarda Woyniłłowicza dajemy podług obszernego streszczenia, jakie ukazało się w ówczesnym „Kraju” petersburskim: „Lew Sawicz Makow (były minister) miał na celu, ustanawiając Mińskie Towarzystwo, zgrupować ściśle ze sobą nowych nabywców posiadłości ziemskich w kraju północno-zachodnim. W latach 1860 — 1870 ziemia z rąk do rąk przechodziła wielkimi obszarami. W okolice nasze przybywali ludzie, nie mający nic wspólnego z rolnictwem. Były to po większej części osobi-





EDWARD WOYNILŁOWICZ

*Edward Woynilłowicz - 1903. R.*



podkreśliłem wybitne chwile z życia Towarzystwa i wpływ jego doniosły na uspołecznienie klasy ziemiańskiej i rozwój rolnictwa krajowego. Na owe czasy wszystko to było wypowiedziane zbyt śmiało, gubernator strzygł uszami, ale żadnej nieprzyjemności z tego powodu od niego doznałem.

Nie tu miejsce na wyszczególnienie eksponatów, któremi niewątpliwie nie jedna wystawa krajowa poszczycićby się mogła, podkreślę tylko, że na tej wystawie zjawiała się niespodziewanie i od razu wielkie zainteresowanie i ogólne

---

stości, zajmujące w miastach gubernjalnych, w stolicach, w departamentach służbowe posady. Mniemał L. S. Makow, że Mińskie Towarzystwo Rolnicze zachęci tych nowonabywców do pracy na roli, że nauczy ich gospodarzyć. W tym celu Towarzystwo założył. Wyraźnie zaznaczonem jest w ustawie, że Mińskie Towarzystwo Rolnicze ustanowionem zostało początkowo dla Rosjan-ziemian. Ale L. S. Makow, jako doświadczony mąż stanu rozumiał doskonale, że niema sposobu pracować dla dobra kraju tego, ignorując jego starą kulturę oraz żywioly miejscowe i przeto nie zamknął dostępu do Towarzystwa ani granicą wyznania, ani granicami gubernji, lecz zależnem je uczynił od światłego wyboru.

Początkowo jednak stosowano rozwinięcie § 3 z wielką ostrożnością. Na sesje Towarzystwa, mające bardziej cechy posiedzeń zjednoczonych gubernjalnych dykasteryj, niżeli narad ziemiańskich, poczęto na razie powoli dopuszczać ziemian miejscowego pochodzenia, potem coraz swobodniej i liczniej.

Od tej daty w ciągu lat dwudziestu pięciu nastąpiła kompletna zmiana dekoracji. Zamiast 50—70 członków, liczy dziś Towarzystwo nasze siedmiuset; zamiast ludzi, zapisujących się do Towarzystwa jedynie, aby dogodzić zwierzchnikowi swemu, wstępują dziś doń wysoko i najwyżej postawione osoby, aby popierać pożyteczne dzieło; miejsce schodzącego z widowni biurokratyzmu zajęła żywa działalność i pomimo to skład Towarzystwa naszego z roku na rok stawał się świetniejszym. J. c. w. w. ks. Włodzimierz jest naszym dostojnym protektorem, ministrowie i dyrektorowie departamentów są honorowymi członkami naszego Towarzystwa; prezesem jest j. e. gubernator miński. Dość przejrzeć spisy członków, aby przekonać się, ile zapisało się na nich osób wysoko postawionych, uszanowawszy pracę naszą owocną i legalną; zapisało się, przekonawszy się, że interesy nasze wspólne, że wspólna nam troska o rozkwit i dobrobyt własności ziemskiej, bez względu na to, czy rodzinna ona, czyli też nabyta. Zapisywali się oni wszyscy, albowiem zaszczytem jest już dziś być członkiem Mińskiego Towarzystwa Rolniczego.

Któż wywołał tę zmianę dekoracji, o której tylko co wspominałem? Czyliż panowie, spisujący za zielonym stołem protokoły dawnych posiedzeń? Nie. Dokonali tej przemiany ludzie, instynktownie garnący się do porzuconej

uznanie wzbudziła rasa czerwonego bydła białoruskiego, wprowadzona bez żadnego wspólnego porozumienia hodowców, z 2 różnych okolic gubernji przez Florjana Świdę z Hlewina w Borysowskim i przez Wilhelma Jelskiego z Ilnatycz pod Mińskiem.

Jeżeli zabiegi Towarzystwa Rolniczego w sprawie organizacji towarzystwa wzajemnego kredytu ziemskiego długoterminowego, bądź wskutek zabiegów banków akcyjnych, bądź wskutek nieprzychylności władz rządowych, nie mogły

---

ongi gdzieś w kącie sochy i brony, a którzy potem nie zrażeni okolicznościami, o sochę tę i bronę troszczyli się nieustannie, co, odłożywszy na stronę wszelkie politykowanie, wzięli się orać rodzinną glebę, dobywając z niej skarby, włożone w nią przez zesze z widowni pokolenia. Pobłogosławił Bóg szlachetnej pracy naszej. Ziarna dobra i prawdy, przez przodków naszych wrzucone w ziemię, wzeszły i wydały piękny plon — pomyślność powszechną.

Dziś wydaje się to wszystko jasnym i prostym. Nie, panowie. Nie z łatwością osiągnięty został rezultat taki. Osiągnięty został dlatego, że: 1) Towarzystwo nasze nie wyszło ani razu z granic ustawy swojej i żadnych nigdy obcych jej zadań nie miało; 2) brało się do prac i zadań nie przerastających siły; 3) ześrodkowywało siły swe i prace, a zaczęło decentralizować się tylko dopiero ostatnimi czasy, gdy już krzepkiem się stało i dużem i 4) zawsze i w każdej okoliczności uważało siebie za przedstawiciela ziemiańskiego stanu w kraju zachodnim i za obowiązek sobie miało, nie narazić nigdy na szwank godności i honoru tego stanu. Zarozumiałością byłoby twierdzić, że Towarzystwo spełniło już wszystkie zadania, które spełnić możność miało. Bynajmniej, „Nasz organizm silny i żyć musi...”.

Silni jesteśmy naszą szczerością, dumni przeszłością naszą. Towarzystwo Rolnicze było dla nas szkołą przygotowawczą społecznego życia. Ani razu w ciągu ćwierci wieku nie wyszliśmy z granic programu, a nauczyliśmy się wiele. Nie sędzę, aby ktobądź wątpił już dziś o dojrzałości naszej dla stojących przed progim instytucyj ziemskich, na zasadzie równouprawnienia ufundowanych; nie sędzę, aby ktokolwiek wątpił o legalności naszych dążeń i prac. Mamy już dziś na co powołać się, na ćwierćwiekową działalność Mińskiego Towarzystwa Rolniczego. Pośrednia to, ale być może największa nasza zasługa.

Niewielu z nas doczeka drugiej chwili, jak dzisiejsza — za lat nowych dwadzieścia pięć. Do młodzieży zwracam się, do tej, co nasze miejsca zajmie. Niech pamięta, jakeśmy pracowali, cośmy przeżyli. Przekazujemy wam, panowie młodzi, zasady honoru, pracy i prawdy, którym służyliśmy przez ćwierć wieku. Bez nich terażniejszość gnuśna i odrodzenie niemożliwe”.



być uwieńczone pomyślnym rezultatem, nie można zwać wina na innych, gdy chodziło o sprawę organizacji krótkoterminowego wzajemnego kredytu. Była sposobność ku temu, stracona dobrowolnie wskutek podporządkowania interesów dobra publicznego nepotyzmowi i interesom prywatnym.

W gronie członków Rady Towarzystwa Rolniczego, staliśmy się ze względów „błagonadziejności” mieć i Rosjan, po pierwsze, aby wobec podejrzliwości władz ówczesnych nie nadawać Towarzystwu cechy narodowościowej, powtóre, aby pociągnąć do wspólnej pracy, już dosyć liczny zastęp właścicieli ziemskich Rosjan, z którymi przyszła praca w ziemstwie już była wówczas brana pod uwagę. Jednym z takich członków Rady był Al. Bielajew, którego udział w pracach Towarzystwa nie tylko z powyższych względów, ale ze względu na zdolności i stanowisko zajmowane, był bardzo cenny. Bielajew był bardzo zdolnym i pracowitym dyrektorem Banku Państwowego w Mińsku; jako członek Rady Towarz. Rolniczego, wszedłszy w bliższy stosunek z miejscowem ziemiaństwem, pociągnął jego członków do udziału w czynnościach tegoż oddziału Banku Państwa, jak np. w komitecie dyskontowym, w wydawaniu zaliczek na produkta rolne i t.p., tudzież sam przyjmował wielce kompetentny udział we wszystkich prawie komisjach Towarzystwa Rolniczego, jak np. przy układaniu rozmaitych statutów i t. p.

W owej dobie istniało w Mińsku stare, bardzo solidne, lecz równocześnie zbyt rutyną przesiąknięte Tow. Wzajemnego Kredytu, a którego zarząd i członkowie prawie wyłącznie z ziemian polskich się składali. W powiatach towarzystwa wzajemnego kredytu prawie nie istniały, lub w ręku działaczy starozakonnych się znajdowały. Z drugiej strony, jak to było wyżej zaznaczonem, wskutek zalegania klientów w wypłatach, brak gotówki tamował pożądany rozwój obrotów Syndykatu Rolniczego. Bielajew powziął zamiar zaradzenia obustronnie tym niedomaganiom, przedstawił więc na ogólnem zebraniu Tow. Rolniczego projekt organizowania krótkoterminowego wzajemnego kredytu przy Tow. Rolniczem, z centralą w Mińsku i oddziałami na prowincji. Tym sposobem sprawy krótkoterminowego kredytu, byłyby ujęte w ręce nasze, ziemiańskie, przez co regulowanie zaległości w Syndykacie odbywałoby

się bardzo łatwo, za pośrednictwem oddziałów filjalnych, tak kredytowych, jak i składów rolniczych w powiatach.

Istniejący podówczas Zarząd Mińskiego Tow. Wzajemnego Kredytu naturalnie nie mógłby sprostać temu zadaniu i trzeba byłoby wielce szanownego pana X., bardzo zacnego pana Y. i bardzo kochanego pana Z. zmienić, na co większość skoli-gaconych z nimi, lub przywykłych do partji winta, stowarzy-szonych zgodzić się nie chciała, a że w dodatku Bielajew był znanym nacjonalistą, więc cały projekt był traktowany przez opozycję, jako antypolski i jako taki był pogrzebany, czego dotychczas odżalować nie mogę, albowiem, przy urze-czywistnieniu, mielibyśmy w swoim ręku „nervus rerum” całej prowincji, mielibyśmy organizację, któraby cały kraj siecią swoją pokryła i przytem wieluby pracownikom środki do życia zapewniła.

W tym że roku wystawowym, 1901, zacna właścicielka majątku Tuhanowicze, w Nowogródzkim, upamiętnionym pobytem Mickiewicza, jego twórczością i miłością do Maryli, przechowując z największą czcią pamiątki i wspomnienia z tej epoki, WP. Józefa Tuhanowska\*), pragnąc, aby i po jej śmierci ukochane przez nią Tuhanowicze pozostały na zawsze muzeum pamiątek po wieszczu narodowym, tudzież przypomnieniem dla okolicznych zaścianków szlacheckich tradycji „Dobrzyń-skich”, postanowiła, po długich ze mną pertraktacjach w tym przedmiocie, zapisać Tuhanowicze Mińskiemu Tow. Rolniczemu, zachowując tylko sobie dożywocie. Ale to były czasy, kiedy nawet i dobrze zrobić nie było łatwym: prawa wyjątkowe nie pozwalały katolikom ani legować testamentem, ani naby-wać przez kupno dóbr ziemskich nieruchomości. Pomogły mi tutaj moje dobre stosunki z gubernatorem ks. Trubeckim. Na podstawie poglądu, że Mińskie Towarzystwo Rolnicze nie jest wyłącznie instytucją polską, albowiem pewien 0/0 jest członków Rosjan, udało mi się wyrobić u gubernatora pozwo-lenie kupna Tuhanowicz dla Tow. Rolniczego, co i dopełnionem zostało, naturalnie fikcyjnie, albowiem był to w istocie akt darowizny ze strony W. P. Tuhanowskiej, z zastrzeżeniem

---

\*) Córka Konstantego i Zofji z Wereszczaków Tuhanowskich, zasłu-żona działaczka społeczna i filantropka, zmarła dn. 24 grudnia 1930 r. p. w.

tylko praw dożywocia, co różnemi kontraktami, weksłami i t. p. koncepcjami obwarowanem zostało. Towarzystwo Rolnicze uważało za punkt honoru, aby dziedziczka nigdy nie poczuła, że straciła tytuł własności, a P. Tuhanowska pozwoliła w folwarku tuhanowickim „Nowy Świat” założyć Towarzystwu Rolniczemu stację doświadczalną, rozwój której obecnymi wypadkami wojennymi został nie tylko wstrzymany, ale same (Tuhanowicze,) jako leżące przy samym froncie, w strefie ognia działowego, zostały z ziemią zrównane, dziedziczka na bruk miński wyrzucona, ledwo z majątku z życiem ująć zdołała. Jaki będzie dalszy los Tuhanowicz, czy ulegną bolszewickiemu dekretowi o wywłaszczeniu, trudno przesądzać. Dla ścisłości dodać należy, iż Tuhanowicze leżą o wiorst 20 od stacji kolei mosk. - brzeskiej „Pohorelce”, niedaleko miasteczek Horodyszczce i Cyryn. Miejscowość urocza, pełna owych „pagórków leśnych i łąk zielonych” nad rzeką Serweczą, w parku starożytnym z altaną „Maryli”, z „murowanką”, w której mieszkał i tworzył Mickiewicz. Tak było przed wojną...

Obecnie często można się spotkać z twierdzeniem, że Tow. Rolnicze Mińskie, wzmagając się w siły i rozwój do 1900 roku, następnie jeśli nie uległo rozkładowi, to w każdym razie wstąpiło w pewien okres zastoju lub apatii; jak zwykle, tak i tutaj, prawda leży po środku.

Trzeba wiedzieć, że Tow. Rolnicze Mińskie, jako najstarsze i przez czas długi jedyne w kraju zachodnim (Towarzystwo Rolników Witebskich powstało o parę miesięcy wcześniej, ale, że Witebsk leżał daleko od wielkiej drogi ze wschodu na zachód, mniej na stosunki krajowe oddziaływało), jednoczyło wszystkie lepsze siły krajowe we wspólnej pracy organizacyjnej. Mieliśmy członków ze wszystkich dzielnic naszych; przyjeżdżali do nas uczyć się i przypatrywać pracy naszej wszyscy, którzy podobną instytucję stworzyć u siebie zamierzali. Nie mówiąc już o sąsiadach bliższych i dalszych z Litwy i Białejrusi, miewaliśmy jako członków, a na ogólnych zebraniach jako gości, ziemian z Królestwa, z Siedlec, Lublina, Suwałk, Warszawy, którzy Mińskie Tow. Rolnicze za swą macierz uważali i gdy okoliczności miejscowe pozwoliły im otworzyć swoje Tow. Rolnicze, naturalnie działalność

swoją w ojczyście strony przenieśli, przyczem, rzecz prosta, samo przez się liczba członków Tow. Rolniczego Mińskiego, zmalała. Przytem, w pierwszej połowie swego istnienia, Tow. Rolnicze było jedynym przejawem jakiegokolwiek pracy społecznej, nie było jeszcze ziemstw, które w mniej lub więcej udatnej formie zaczęły się opiekować sprawami miejscowemi, nie było życia politycznego, które wprawdzie na krótko, ale żywo przy wyborach do pierwszych izb prawodawczych zadrgało. Jednem słowem, całe życie prowincji w Tow. Rolniczem się ogniskowało i dla tego to, była w Tow. Rolniczem faza tworzenia tych wszystkich instytucji, które w miarę swego rozwoju i dojrzewania od pnia ojczyściego odpadać musiały, aby żywot samoistny prowadzić. Nastąpiła, że się tak wyrażę, pewna parcelacja dorobku macierzystemi siłami Towarzystwa utworzonego. To też i Tow. Rolnicze musiało się z tem liczyć i pracę swoją skoncentrować, że tak powiem, ściślej, w zakresie zadań, statutem Towarzystwa określonych: więc nastąpił rozwój różnych sekcji i oddziałów specjalnych, które, chwała Bogu, tak się wzięły ostatniemi czasy gorliwie do pracy, że nieraz posiedzenie sekcji więcej wzbudzało interesu niż ogólne zebrania, które często ograniczały się do uprawomocnienia tylko postanowień sekcji i urzeczywistnienia ich postulatów na terenie wyższych lub miejscowych instytucji rządowych. Zasługi przewodniczących w sekcjach: agronomicznej Z. Rewieńskiego, hodowlanej L. Jodki, gorzelniczej B. Lubańskiego, a następnie M. Ciundziewickiego, leśnej Fl. Świdy, a następnie p. P. Wańkowicza, muszą być tutaj podkreślone. Każda z tych sekcji występowała w swoim czasie z mniej lub większą żywotnością, zależnie od potrzeb chwili bieżącej. I tak np. sprawy przemysłu gorzelniczego, więcej dotyczyły mińskiej gubernji niż ościennych, albowiem była ona po estlandzkiej 2-gą w państwie co do produkcji spirytusu: liczba gorzelni dochodziła do 200, co dawało ogromny zarobek ludności przy uprawie kartofli, przygotowaniu drew, dostawach spirytusu i pracy w samych gorzelniach. Obfitość lasów, warunki klimatu i gleby przy uprawie kartofli, dawały gorzelnictwu mińskiej gubernji te same znaczenie, które miało cukrownictwo w południowych gubernjach i w Kongresówce, bo płodozmiany niemożliwe bez okopowych. Po wprowadza-



dzeniu monopolu wódczanego w naszej gubernji 1 lipca 1897 r. nastąpił zakaz otwierania nowych gorzelni z produkcją wyższą ponad 200.000, co było równoważące z zabronieniem, albowiem  $\frac{1}{2}$  od kapitału budowy gorzelni, koszta administracji i produkcji pochłaniały cały zysk przedsiębiorstwa przy konkurencji z większemi gorzelniami, w których te koszta rozkładały na większą masę towaru. Tutaj wypadło walkę toczyć, na dwa fronty: z jednej strony z zakazem rządowym, z drugiej z właścicielami istniejących większych gorzelni, w interesie których nie było tworzenie zastępu nowych konkurentów. 12 grudnia 1897 r. opracowany przezemnie memoriał w tej sprawie zreferowałem na ogólnem zebraniu Tow. Rolniczego, które go przyjęło i poleciło przeprowadzić przez aprobatę ministerjum, o co starania niezwłocznie rozpocząłem. Już 28 lutego 1899 r., jak mnie donosił zacny nasz mecenas Kostrowicki, minimalna produkcja gorzelni którą rząd miał bezpośrednio zabierać, podwyższoną została do 400.000<sup>0</sup>, zaś ponad tę normę, przewyżka w produkcji gorzelni nowych, podlega ogólnym prawidłom, przez rząd dla gorzelni rolniczych ustanowionym. Te zmiany przepisów spowodowały powstawanie nowych gorzelni i ja sam bardzo nie w porę, bo zaledwie w 1904 r. postawiłem gorzelnę w Sawiczach na to, aby po 6-ciu zaledwie latach działania była zamkniętą, aparaty miedziane przez rząd zabrane, i kapitał włożony został zatracony bezpowrotnie.

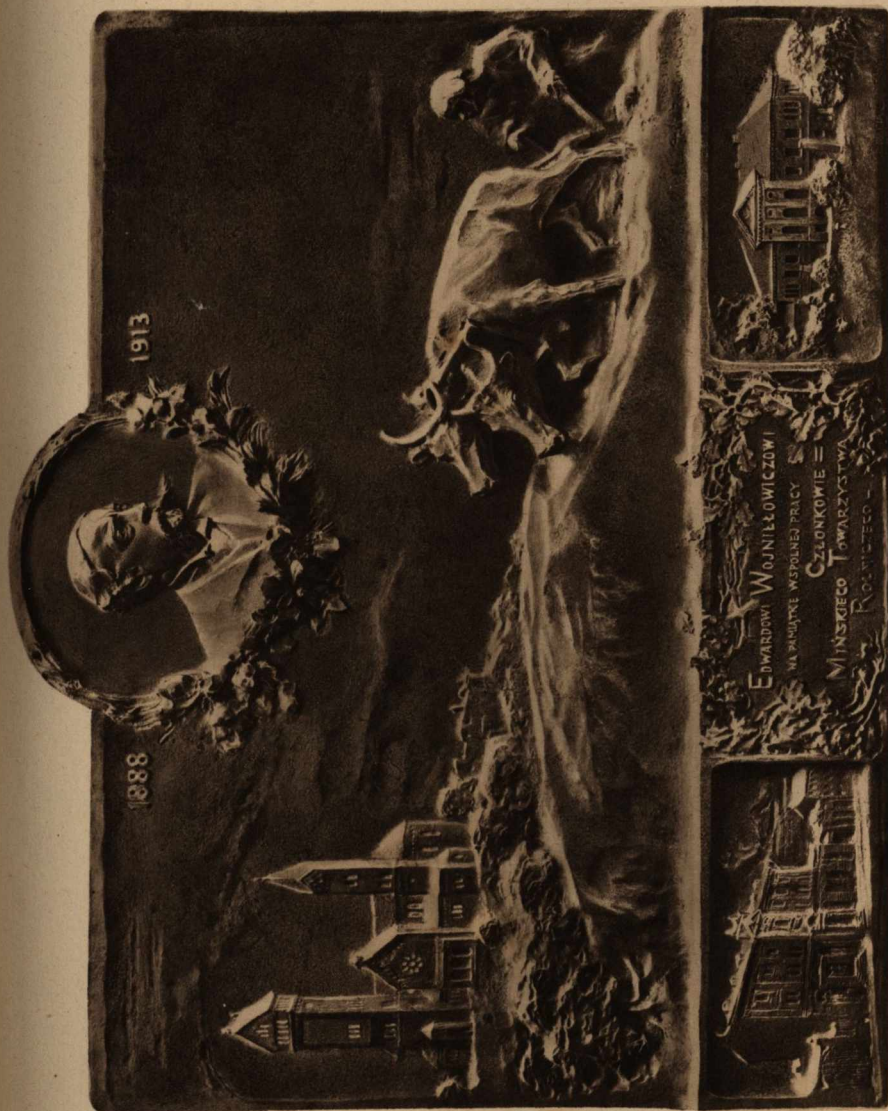
Mówiąc o rozmaitych sprawach, na ogólnych zebraniach Tow. Rolniczego podejmowanych, pominąć nie można sprawy kas emerytalnych dla pracowników rolnych, niejednokrotnie przez hr. Leona Łubieńskiego referowanej, lecz która do żadnych konkretnych rezultatów niestety nie została doprowadzona, pomimo wyznaczonych komisji do opracowania statutów. Oprócz organizacji poszczególnych sekcji, o których wyżej było wspomnianem, Tow. Rolnicze wstąpiło w okres zakładania filij powiatowych i, idąc dalej w kierunku decentralizacji, chciało tworzyć mniejsze kółka rolnicze, któreby miały swę centralę w tow. powiatowem, a te ostatnie w gubernjalnej macierzy. Byłaby to organizacja całą gubernję obejmująca i jednocząca interesy wszystkich klas ziemiaństwa. Była wybrana komisja dla zmiany i dopełnienia statutu Mińsk.

Towarzystwa Rolniczego w zamierzonym kierunku, lecz niestety, nie leżało to w orientacji ówczesnej administracji kraju; projekty sankcji rządowej nie otrzymały.

Wypadki wojenne, doniosłości których na razie najsmielsze domysły nawet nie przypuszczały, znalazły Towarzystwo Rolnicze na właściwym stanowisku — i znowu okazała się w całej pełni praca i żywotność instytucji.

Po pierwszych spustoszeniach majątności rolnych w Królestwie, członkowie Mińskiego Towarzystwa Rolniczego na jednym z pierwszych posiedzeń zorganizowali pod prezesurą Mieczysława Porowskiego „Komitet Pomocy Ofiarom z Królestwa”. Komitet ten w bardzo krótkim czasie zebrał głównie wśród ziemian poważną na owe czasy sumę 106.000 rubli; sumę tę chciano wręczyć miejscowemu oddziałowi Centralnego Komitetu Obywatelskiego, ponieważ jednak instytucja ta, operując podówczas rządowemi zapomogami, narazie miała ich dosyć, wolano ofiarę zachować na później i w porozumieniu z władzami C. K. O. złożono ją tymczasowo na bieżącym rachunku w Towarzystwie Wzajemnego Kredytu w Mińsku, gdzie ją inwazja bolszewicka zastała. Fakt ten ofiarności ziemian mińskich podkreślam dlatego, iż żadne inne towarzystwo rolnicze w tym czasie na to się nie zdobyło.

Gdy zaczęła się ewakuacja z Królestwa, Tow. Rolnicze podjęło wszelkie możliwe starania, aby przechować obory zarodowe z Kongresówki i w dalszych od frontu okolicach je umieścić. Następnie, gdy się zaczął pochód uchodźców i wojsk za nimi odstępujących, gdy padały ofiarą całe łąny niezbranego zboża, gdy rzesze uciekające niszczyły posiewy jesienne, paliły ogrodzenia dworskie i rozbierały zabudowania gospodarskie, gdy, rozpalone na skraju lasów, a nieraz wśród zabudowań dworskich, ogniska oświecały swą łuną ciemne wieczory jesienne, Rada Tow. Rolniczego, nie mając możliwości z powodu przerwanych komunikacyj zbierać ogólnych zebrań, zaczęła działać samoistnie, korzystając z marki, którą Tow. Rolnicze przez swoją działalność u władz wyrobiło. Nie chwaląc się, miljonowe straty ominęły gospodarstwa krajowe, dzięki zabiegom i wstawiennictwu Rady Tow. Rolniczego u głównodowodzącego frontem, generała Ewerta. Dosyć



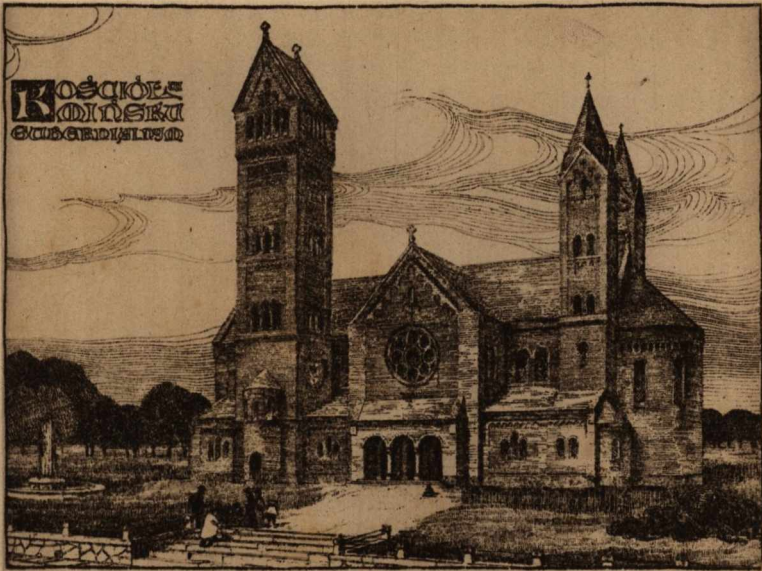
PLAKIETA OFIAROWANA E. WOJNIŁOWICZOWI W DNIU JUBILEUSZU  
 PRACY W MIŃSKIM TOW. ROLNICZYM







DWÓR W SAWICZACH



КОСЦІОЛЪ ПОДЪ ВЕЗВАНІЕМЪ СС. СЫМЕОНА І ГЕЛЕНА ВЪ МІНСКУ ЛІТЭВСКОМЪ



wspomnieć o prawie wjazdu i wrębu w lasy prywatne, które przez nieporozumienie władz było wszystkim potrzebującym opału dozwolone; dosyć wspomnieć o rekwizycji „wszystkich” zdatnych do pociągu koni, która była przez generała Rauscha von Traubenbergą zaordynowana; dosyć wspomnieć o unormowaniu ilości sprzężaju i dochodowego inwentarza na pewną jednostkę obszaru rolnego, wolną od rekwizycji i t. p. Słowem Rada Tow. Rolniczego „a bien merité de la patrie”, a wszystko co zrobiła, co wypracowała, oddziaływało nietylko na gubernję mińską, ale na cały front zachodni, którego władze naczelne w Mińsku rezydowały. Nigdy nie wychodziłem od generała Ewerta bez uwzględnienia przezeń potrzeb i spraw Towarzystwa i zawsze u niego sprawiedliwą ocenę naszych postulatów znajdowałem, a następnie, co było rzeczą bardzo ważną, udało się Radzie Towarzystwa wyrobić u władz wojennych udział przedstawicieli Towarzystwa we wszelkich instytucjach i komisjach, dla potrzeb czasu wojennego wyznaczonych, którzy z wielkiem poświęceniem interesów rolnictwa bronili i pilnowali. Nakoniec, za przykładem wszystkich zawodów i stanów, które jednoczyły się w związki dla obrony praw swoich, z Rady Tow. Rolniczego wyszła inicjatywa utworzenia „Związku Ziemiaków” i „Biura prawniczo-informacyjnego” dla poszukiwania strat, okolicznościami wojennymi spowodowanych. Że następnie wszystko to, co Towarzystwo starało się wzmocnić i obronić i jako zabytek dawnej kultury następnym pokoleniom przekazać, przez ruch bolszewicki zmiecione zostało, to już nie wina Towarzystwa. Dla ścisłości zaznaczyć tutaj należy, że ruch uchodźczy już nosił wtedy zadatki tego kierunku anarchistycznego i socjalistycznego, który w dalszym ciągu charakteryzował pierwsze chwile odradzającej się Polski. Rzesze uciekinierów, mając wybite drogi i szerokie trakty, najchętniej jednak tratowały łąny i zasiewy, skoro to były „dworskie”, omijając starannie sznury i siedziby włościańskie. Chęć niszczenia dobytku dworskiego była tak wielką, że gdy dla rozpalenia ognisk dostarczono im drwa gotowe i suche, wołały łamać ogrodzenia dworskie lub palić materiały leśne, jak deski, dyle, na okólnikach dworskich złożone, a przy rozpaleniu ognisk w lesie, rąbać za każdym razem nowe sosny, zamiast korzystać z pni i gałęzi przez poprzedzające

tabory wycięte; a nie było żadnej organizacji, żadnej władzy, do której odwołaćby się można było.

I w tym wypadku zarzucano Towarzystwu, że jako instytucja, jednocząca lepsze siły społeczne kraju, nie wzięło w swoje ręce kierunku spraw wygnańczych i pomocy ofiarom wojny. Że Towarzystwo odczuwało wszelkie potrzeby chwili bieżącej i do obowiązków społecznych się poczuwało, najlepszy dowód w złożonych w pierwszej chwili 100.000 rs. na rzecz ofiar wojny, a że to ustąpiło miejsce powstałym „Centralnemu Komitetowi Obywatelskiemu” i „Polskiemu Tow. Pomocy Ofiarom Wojny”, to w tym wypadku Towarzystwo Rolnicze dało dowód wielkiej rozwagi. Zacząwszy od tego, iż Towarzystwo tak poważne i takimi środkami rozporządzające, jak Centralne Towarzystwo Rolnicze w Królestwie, skąd szły właśnie wygnańcze fale, także ustąpiło miejsce C. K. O. i że żadne inne towarzystwo rolnicze na tę arenę nie wstąpiło, widocznem się staje, iż była gdzieś głębsza przyczyna tej abstynencji. A rzecz tu prosta. Z falą wygnańczą szła fala nastrojów demokratycznych. Towarzystwa zaś rolnicze, składające się z ziemian, nosiły charakter więcej konserwatywny; przytem, jako z ludzi miejscowych złożone, nie zawsze mogły odczuwać orientacje przybyszów; w razie zajęcia się temi sprawami mogłyby nastąpić rozmaite scysje, podrażnienia i najlepsi przyjaciele w nieporozumieniu byłiby się rozeszli. Czemu chyba nikt zaprzeczyć nie zdoła, skoro instytucje duchem pokrewne i złożone przeważnie z inteligencji miejskiej i z przymusowych lub dobrowolnych uchodźców, najzupełniej modnym poglądom hołdujące, rzadko gdzie bez dyssonansów pracować potrafiły. Ziemiaństwo miejscowe pracowało jako jednostki w rozmaitych Oddziałach Komitetu Obywatelskiego lub Polskiego Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny. Tow. zaś Rolnicze, jako instytucja zbiorowa, nigdy w żadną konkurencję ani polemikę z temi organizacjami nie wstępowało i to się chwali, a tylko przytułek i gościnność w swych murach rozmaitym instytucjom dawało, abdykując ze swych praw tak dalece, że nieraz korzystający z gościnności zapominali o pewnych względach w stosunku do gospodarza i nie poczuli się do pewnych względem niego obowiązków.



Na tem zakończyć wypada wspomnienia moje, tyczące się spraw Tow. Rolniczego. Nieraz może wypadnie w dalszym ciągu do nich się zwrócić, albowiem Towarzystwo, ogniskując w sobie wszystkie żywotne siły krajowe, we wszystkich wypadkach żywszego tętna w życiu prowincji udział brało, nieraz niem kierowało, i zawsze stanowczo w tym, czy innym kierunku się wypowiedziało. Ale jeszcze ten obraz byłby nie pełny, gdybym zapomniał powiedzieć o obiadach podczas zebrań Towarzystwa, które się odbywały u siostry mojej Jadwigi Kostrowickiej. O sobie piszę tylko o tyle, o ile osoba moja nawet obcych obchodzić może, więc i o siostrze możeby pisać nie wypadało, gdyby jej udział w życiu Tow. Rolniczego nie był tak wybitny.

Nadzwyczaj inteligentna, życiem społecznem wciąż zajęta, gościnna, stworzyła w Mińsku podczas ogólnych zebrań Towarzystwa „obiady polityczne”, na które przybyłych na posiedzenia tych lub innych delegatów, tudzież wybitniejszych członków Towarzystwa, w jej imieniu zapraszałem.

Trudno wyliczyć tych wszystkich, którzy przez jej salony przechodzili, niema sprawy, któraby podczas tych obiadów poruszaną nie była, aby później na ogólnem zebraniu otrzymać decyzję formalną. Szły debaty ożywione, żadne względy wypowiedzenia przekonań nie stawały na zawadzie. Starka i wino przy wrodzonym dowcipie gospodyni, ożywiały biesiady, na które być zaproszonym za wielki zaszczyt się uważało, a mnie, jako prezesowi ogromnie ułatwiało przeprowadzenie należytej orientacji w kierunku pracy zbiorowej, wyrównania nieraz rozbieżności w poglądach i t. p. Zaslugę ogromną w tym względzie siostrze swojej przypisuję i jej za współpracownictwo na tem miejscu dziękuję.

Obrady w Towarzystwie Rolniczem i na posiedzeniach Rady prowadzone były w języku urzędowym i w tymże języku protokołowane. Jednakże, opierając się na aktach epoki, tak nazwanej wolnościowej, na fundamencie najwyżej zatwierdzonego postanowienia Komitetu Ministrów z dnia 1-go maja 1905 roku, ogólne zebranie 6 grudnia 1905 roku otworzyłem w języku polskim, zastrzegając swój obowiązek przetłumaczenia swego przemówienia dla nierozumiejących na język urzędowy. Tego tłumaczenia nikt nie zażądał; wrażenie

na sali było ogromne, ale wkrótce otrzymaliśmy ostrzeżenie od gubernatora i wytłómaczenie z ministerjum, że Towarzystwo Rolnicze, jako instytucja zależna od ministerjum i tam swe sprawozdania z urzędu przesyłająca, musi obradować w języku urzędowym. Po przerwie lat prawie 12, albowiem po wypadkach końca lutego 1917 r., a mianowicie na zebraniu 5 marca 1917 roku zaczęliśmy znowu obradować po polsku, niewiadomo, na jak długo?

---

#### IV.

Po wielu wahaniach i rozmaitych koncepcjach ministerjalnych, aby, o ile możliwości, żywiol ziemiański miejscowy od udziału w pracach samorządowych usunąć, przyszła wreszcie kolej i na mińską gubernję, ujęcia spraw finansowych, ekonomicznych i kulturalnych przez elementy tak nazwane „ziemskie”. Przychodziło to z wielkiem ociąganiem, albowiem rząd „prawomyślność” naszego ziemiaństwa wciąż stawiał pod znakiem zapytania i prawa wyjątkowe chciał w kraju utrzymać. Ponieważ od samego początku, czyli od 1903 r. aż do końca, bo do rewolucji 1917 r. byłem radnym ziemstw powiatowego i gubernjalnego, z małą, bo tylko 3-letnią przerwą, kiedy pracowałem w Radzie Państwa, uważam za wskazane, cały przebieg tworzenia instytucyj ziemskich w gubernji naszej przedstawić.

Przed wydaniem prawa 2 kwietnia 1903 r. „położenia ob isprawlenji ziemskiego choziajstwa” i przeprowadzeniem jego 1 czerwca 1903 roku w mińskiej gubernji, przyjeżdżał specjalnie do Mińska, ówczesny wszechpotężny minister spraw wewnętrznych W. K. Plehwe, ze swoim towarzyszem N. A. Zinowjewym, późniejszym członkiem Rady Państwa, urzędnikiem do specjalnych poleceń Lubimowym, późniejszym gubernatorem warszawskim. Były to już czasy niespokojne, kiedy już polowano na ministrów; więc minister wjeżdżał do miasta ze dworca okólnymi drogami, z podniesionymi oknami w karecie i zajechał prosto do gmachu urzędów gubernjalnych, gdzie na ogólnej sali byli zebrani przedstawiciele rozmaitych instytucyj a zatem i prezydjum Rady Towarzystwa Rolniczego, których po skończonej prezentacji wezwał do swego gabinetu, oznajmiając im o zamiarach rządu wprowadzenia u nas samorządu ziemskiego, ale na specjalnych, do naszego kraju zastosowanych, warunkach. Zapytał, czy ziemiaństwo miejscowe zechce

przyjąć udział w tych nowych instytucjach? Odpowiedziałem mu, że wszelkie prawa wyjątkowe uważamy za krzywdzące dla naszego ziemiaństwa, zawsze współpracującego wszędzie, gdzie tylko bywa przez władze powoływane, zawsze sumiennie wywiązującego się ze swych obowiązków, i nie dającego zatem rządowi żadnych powodów do nieufności. Wskutek tego żądamy równo prawnienia z ziemiaństwem gubernij wewnętrznych Rosji; ponieważ jednak przyjęliśmy za zasadę brać udział w każdej pracy krajowej, więc, podkreślając nasze zażalenie, udział w nowopowstającej instytucji weźmiemy.

Minister odpowiedział, iż nie należy tych nowych ustaw uważać jako prawa wyjątkowe i nas krzywdzące, albowiem w tym samym kierunku jest zamiar zreformowania ziemstw w całej Rosji, a przykład celowości tych zamiarów ma być przeprowadzony w gubernji mińskiej. Na tem posiedzenie się skończyło. Zatrzymuję się na tych szczegółach dla podkreślenia, jaki reakcyjny kierunek już wówczas zaczął panować, szczególnie jeżeli uwzględnimy, że według prawa 2 kwietnia 1903 roku wszystko się miało koncentrować w ziemstwach gubernjalnych. Powiatowych zebrań ziemskich wcale nie miało być, a w gubernjalnem ziemskim zebraniu przeważać mieli liczebnie członkowie wiryliści, a przedstawiciele powiatów miało być po dwóch z każdego i to przez rządznaczonych.

Nie można powiedzieć, aby takie stopniowe przejście od rządów „gubernskiego razporaditelnago komiteta” do ziemstwa, chociażby w zakresie prawa 1903 roku nie było pożyteczne. Zupełnie usunięci od lat wielu od wszelkiego udziału w sprawach ekonomicznych i kulturalnych kraju, pamiętam, jak podczas pierwszych posiedzeń byliśmy jak w lesie, jednak dosyć prędko zorientowaliśmy się, ujęliśmy byka za rogi i pomimo, że liczba członków z urzędu, oglądających się wciąż na zdanie przewodniczącego gubernatora, była przeważającą, jednak siłą argumentacji i niezaprzeczonem dążeniem, nie do celów ubocznych, ale do dobra publicznego, zdobyliśmy sobie markę i najczęściej swoje przeprowadziliśmy.

Ponieważ wszyscy uważali prawo 2 kwietnia 1903 roku jako przejściowe, członkowie z urzędu pragnęli co najspieszniej zlikwidować kapitały ziemskie, licząc, że wprowadzeniem stanu chronicznego zadłużenia, jak w Centralnej Rosji, także Miń-



skiego Ziemstwa, już spełnią swe zadanie; my, przedstawiciele ziemiaństwa, odwrotnie dążyliśmy do przechowania tych kapitałów, aż będziemy się mogli doczekać równouprawnienia i lepszych czasów; myśleliśmy jeszcze wówczas, że w Rosji możebny jest rozwój i postęp na prawach ludzkich i Boskich oparty. I lepszych czasów nie doczekaliśmy się, kapitały ziemskie się rozproszyły. Dla pamięci tylko wypiszę wiele kapitałów było na dzień 1 czerwca 1903 roku: kapitału drogowego 1.799.324 rs.; ubezpieczeń dobrowolnych 1.112.366 rs.; ubezpieczeń przymusowych 1.125.554 rs.; instytucji opiekuńczych (przykaz obszczestwiennago przyzrenja) 381.831 rs., razem 4.419.075 rs. A teraz, gdzie są one? A wiele milionów długu już zaciągnięto, a na dobrobycie i uporządkowaniu kraju wcale się to nie zaznaczyło.

Hermafrodytyzm tych ziemsko-biurokratycznych instytucyj rozumiał doskonale sam rząd, lecz wobec przewagi w kraju zachodnim inteligencji polskiej w ziemstwie, nie chciał dać tej pełni praw, z której korzystały ziemstwa Rosji Centralnej i długo pracował i przemyślał, nim nakoniec prawa z dnia 14 marca 1911 roku, kontrasygnowane przez Stołypina, rozkazem najwyższym wprowadzone zostały.

Pomimo, że te prawa przeszły na zasadzie § 87 praw zasadniczych państwa, to jest w czasie przerwy w posiedzeniach izb prawodawczych, jednak na samą koncepcję miały wpływ przeważny partje nacjonalistyczne: w Radzie Państwa grupa Nejhardta, a w Dumie partja Bałaszowa, i jak to nieraz rządzeniem Opatrzności bywało, nie wyszło to na złe tym, przeciwko którym ostrze było zwrócone. Ziemiaństwo polskie otrzymało stałą liczbę reprezentantów w ziemstwie, chociaż przez tendencyjną statystykę okrojoną, ale w każdym razie od swoich tylko wyborów zależną, wówczas gdy ziemiaństwo rosyjskie zupełnie od wyborów kurji włościańskiej uzależnione zostało. Tak że posłom naszym w izbach prawodawczych wypadało walczyć przeciwko prawu 17 marca 1911 roku dla zasady, jako przeciw prawu wyjątkowemu, a w rzeczy samej zniesienie w prawie 14 marca odrębnej kurji polskiej mogłoby nas zupełnie od udziału w prawach ziemskich usunąć. Ziemstwa, tak zwane stołypinowskie, istniały aż do czasów ostatnich, ostatnie posiedzenie odbyło się w Mińsku 24 czerwca

1917 roku w domu gubernatorskim i to już w składzie tak nazwanym „demokratyzowanym”, bo oprócz dawnego składu członków byli jeszcze nowi członkowie, dorywczo, przez tak nazwane „komitety gminne” delegowani. Głównem zadaniem tego zebrania było wydobyć grosz przez zaciągnięcie pożyczki, chociażby z funduszów, tak zwanych „nietykalnych”, albowiem pomimo wymyślań „burżujom”, nie tylko oni, ale i „towarzysze” i to głównie ci ostatni żadnych podatków płacić nie chcieli, zatem i kasy ziemstwa były puste. Potem, już do ziemstw były zarządzane nowe wybory radnych w gminach, w których żaden ziemianin już nie przeszedł, a tylko przeszli krzykacze bolszewicy i amatorowie dobrze opłacanych urzędów ziemskich, to też i budżet, np. słuckiego powiatu z pół miliona rs. w roku 1917 urósł do niewykonalnej sumy 3.000.000 rs. na rok 1918.

Ziemstwa „stołypinowskie” mało co się różniły od uprzednich instytucji „po diełam ziemskago choziajstwa”, tylko zamiast jednego, jak dawniej, zebrania gubernjalnego, o potrzebach miejscowych stanowiły i zebrania powiatowe, odznaczające się ciąglem, a zupełnie usprawiedliwionem dążeniem do autonomji powiatów, i zatem do więcej zrównoważonego stosunku pobieranych z powiatu podatków, do zadośćuczynienia potrzebom tegoż powiatu. Przewagę liczebną w zebraniach tak powiatowych jak gubernjalnych, mieli przy tym ustroju wciąż członkowie z urzędu zasiadający, do których zdania zwykle przychylali się i włościanie, w dawnych tradycjach poszanowania dla władzy jeszcze wychowani, chociaż bywały wypadki i odwrotne. Głos ziemian polskich, zwykle poważnie brzmiący, a prawdą i sprawiedliwością tchnący, jednak wiele ważył na sali.

W zebraniach gubernjalnych, z liczby radnych polskich, pierwsze skrzypce trzymał radny z powiatu rzeczyckiego, zamożny ziemianin Michał Jastrzębski; bardzo biegły w buchalterji i sprawach finansowych, był wielką powagą w komisji finansowej i budżetowej, przytem bystro się orjentował w sprawach najzawilszych; Roman Skirmuntt, radny z Pińszczyzny, jak zwykle siłą wymowy i dowodów przykuwał uwagę zebrania i często zwycięstwo odnosił. Jeżeli ustępowaliśmy, to zarzuceni gałkami, ale nie argumentami.

Członkowie z urzędu, jak np. marszałkowie z nominacji, prezesi „uprawy” i t. p. zwykle się kierowali wskazówkami, otrzymanymi z kancelarii gubernatorskiej, członkowie zaś od włościan, o ile w powiecie dawali sobie nieraz wytłómaczyć istotne potrzeby miejscowe, o tyle w gubernji szli za zdaniem przeważającym u władzy administracyjnej, w nadziei otrzymania marki „błagonadziejnej” i wywalczenia sobie, wobec przeważnego wpływu władz na wybory, kandydatury na posła do „Dumy”, co wobec poważnych djet poselskich, było marzeniem każdego włościanina, bo oprócz powagi w okolicy, dawało jemu możność za zaoszczędzone djety nabyć spory kawałek ziemi.

W roku 1903 do innych moich zajęć przybyła opieka nad ordynacją nieświeską i klecką ks. Radziwiłłów; z początku była ona tylko nominalną, bo tyczyła się tylko osoby i interesów umysłowo chorego ks. Jerzego, na co otrzymałem mandat 20 lipca 1903 roku. Następnie, wskutek śmierci ks. Antoniego, otrzymałem mandat 11 grudnia 1904 roku objęcia opieki nad całym funduszem i pozostałymi wnukami, wspólnie z ks. Marją z Branickich Radziwiłłową, małżonką ks. Jerzego. Ks. Antoni, fligel adjutant i przyjaciel osobisty cesarza Wilhelma I, ordynat nieświeski, klecki i dawidgródecki, generał artylerji niemieckiej, mieszkał stale w Berlinie, ale zawsze, przyjeżdżając na letnie miesiące wraz ze swoją małżonką Marją hr. Castellane\*), wnuczką Talleyranda, do Nieświeża, stale mnie odwiedzał, chętnie próbując przy śniadaniach „starke” lub wytrawnego węgryzna i wówczas, jak z rękawa sypał konceptami i anegdotami, przypominającemi humor „Panie Kochanku”. Blisko z dworem berlińskim spowinowacony i w wielkim zachowaniu tam będący, spełniał nieraz dyplomatyczne misje. Z tego powodu dwory europejskie były mu znane i nie było chyba orderu, którego by nie posiadał.

Był ojcem czworga dzieci: najstarszy Jerzy, domniemany ordynat nieświeski i klecki, ożeniony z Branicką; drugi Sta-

---

\*) Ks. Marja Antoniowa Radziwiłłowa była córką margrabiego Henryka de Castellane i jego żony Pauliny z ks. de Talleyrand-Perigord, była wnuczką słynnej ks. de Dino, więc była właściwie prawnuczką słynnego dyplomaty. p. w.

nisław, ożeniony z ks. Radziwiłłówną, córką ks. Dominika z Balic; córka Elżbieta za hr. Romanem Potockim z Łańcuta i najmłodsza córka Helena za hr. Józefem Potockim z Antonin. Obaj synowie, jako pruscy poddani, jeszcze w swoim czasie, służbę wojskową odbywali w Berlinie, jako oficerowie gwardji i dopiero później poddaństwo rosyjskie przyjęli, co było dla nich koniecznem dla dziedziczenia ojczystych dóbr na Białej-rusi. Przyjęcie to poddaństwa odbyło się w przyspieszonym tempie, dzięki ówczesnym stosunkom dworów berlińskiego i petersburskiego i osobistym stosunkom ordynatowej Antoniowej z wszechpotężnym podówczas ministrem hr. Witte, inaczej, musiałby ks. Jerzy mieszkać pięć lat w Nieświeżu, zanim by przysięga na poddaństwo przyjęta została. Ks. zaś Stanisław, wstąpiwszy jako ochotnik do kozaków zabajkałskich podczas wojny japońskiej, „ex nunc” otrzymał rangę oficerską i akceptację do poddaństwa. Ks. Jerzy Radziwiłł, z żony Marji, córki Władysława hr. Branickiego z Białej-cerkwi, miał sześcioro dzieci: trzech synów, Albrechta, Karola i Leona i trzy córki: Różę za ks. Ludwikiem Światopełk-Czetwertyńskim, Teresę za Hubertem ks. Lubomirskim z Równego i Elżbietę za ordynatem Alfredem hr. Tyszkiewiczem. Z latami rozwinęła się u ks. Jerzego choroba nieuleczalna umysłowa, paraliż postępowy. Staraniem ojca, ks. Antoniego, badany był w Wiedniu i jako uznany za umysłowo niepoczytalnego, tamże w Wiedniu, w oddzielnej willi, ze specjalnym doktorem i służbą z Nieświeża przysłaną, był umieszczony, gdzie i życia dokonał.

Ks. Antoni, chcąc mieć sprawę następstwa po sobie według swej woli uregulowane, za życia wystarał się w ministerjum w Piotrogradzie o ustanowienie opieki nad funduszem, osobą i dziećmi biednego syna i mnie do przyjęcia opieki pociągnął, na co zgodzić się musiałem, nie tylko ze względów na stosunek mój osobisty z ordynatem, ale i dla tego, że fortuna radziwiłłowska, obejmująca wówczas trzy wyżej wspomniane ordynacje, co razem jakie 400.000 dziesięcin stanowiło (nieświeska i klecka koło 135 tysięcy, a dawidgródecka koło 300 tysięcy) była tak poważnym kawałkiem kraju i z bytem tyłu pracowników administracji, dzierżawców i szlachty zaściankowej związana, iż nie uważałem siebie w prawie



odmówienia, skoro wnosilem, iż mogę i ludziom i krajowi, w tym zakresie, być użytecznym. Wchodząc w poważniejsze i ściślejsze stosunki z rodziną ks. Radziwiłłów, nie chciałem tego uczynić bez zgody decydujących w tej rodzinie czynników, więc uprzednio otrzymałem listowną o to prośbę ks. Antoniowej, a dla porozumienia się z ks. Jerzową i zjednania jej dla zamiarów teścia jeździłem umyślnie do Białejcerkwi, gdzie nader gościnnie i życzliwie przez hr. Marję z Sapiehów Branicką, przez kilka dni podejmowany, wyprawę z pomysłem skutkiem zakończyłem.

W pierwszym roku, opieka moja była tylko formalna, albowiem ordynat ks. Antoni żył i jako ojciec, według swej woli wszyskciem zarządzał, przy udziale pełnomocnika ordynacji, zacnego p. Michała Świdy, ale bardzo prędko, bo już 4 grudnia 1904 r. życie w Berlinie zakończył. Od 11 grudnia 1904 r. opieka przeszła na mnie i na matkę małoletnich księżąt Marję z hr. Branickich, lecz, gdy tylko najstarszy syn ks. Albrecht dosięgnął 21 lat, zaraz poczyniłem starania o powołanie jego do udziału w opiece, nie chcąc być jednym odpowiedzialnym za zarząd tak licznych i poważnych interesów. Sprawowałem opiekę do dnia 28 grudnia 1914 r.

Żona ks. Antoniego przeżyła swego męża, przebywając stale w Berlinie i utrzymując stałe ze dworem niemieckim stosunki. Zatrzymała do końca życia dawne mieszkanie, Pariserplatz Nr. 5, pobierając przeznaczoną testamentem męża rentę i dochody z wielkich swoich, po Talleyrandzie, dóbr „Kleinitz” na Śląsku. Do Nieświeża parę tylko razy zjeżdżała na pogrzeb swego męża i podział fortuny między synów.

Pogrzeb ks. Antoniego był bardzo świetny z racji stanowiska, które nieboszyk zajmował. Obecni byli generał Drenteln, jako przedstawiciel cesarza rosyjskiego i generał hr. Alvenleben, jako przedstawiciel cesarza Wilhelma. Więc i etykieta musiała być zachowaną. Zjazd był liczny rodziny i znajomych, honory wojskowe oddawał przysłany „ad hoc” oddział kawalerji przy asystencji na nowo umundurowanej licznej straży leśnej z dóbr książęcych. Pamiętam, gdy dane było hasło do obiadu, na którym gospodynią już była młoda ordynatowa Jerzowa, nie wiedząc, któremu przedstawicielowi dać pierwszeństwo, wywiązała się wezwaniem „Messieurs

les Empereurs avancez” przyczem pierwszy wszedł generał Drenteln, jako przedstawiciel panującego w kraju monarchy.

Podział tak wielkiej fortuny był następnie dokonany w obecności wdowy ks. Antoniowej, na podstawie testamentu ks. Antoniego, dziwnie zgodnie i prędko. W ciągu paru godzin, wszystko zostało omówione i podpisane: z jednej strony przez ordynata dawidgródeckiego ks. Stanisława, z drugiej strony przez opiekunów ordynacji nieświeskiej i kleckiej i nigdy z powodu działu między stronami żadne nieporozumienie nie wynikło, co z przyjemnością tutaj podkreślić muszę.

Ks. Antoniowa, dama dworu i tradycjami stosunków domu radziwiłłowskiego względem Hohenzollernów przejęta, pomimo swego cudzoziemskiego pochodzenia, ogromnie wiele dla utrzymania splendoru ordynacji uczyniła. Nie mówiąc już o kierowaniu związkami małżeńskimi swych dzieci, wskutek których olbrzymia fortuna białocerkiewska, jako wiano ks. Jerzowej w dom radziwiłłowski weszła, a drugi syn ks. Stanisław był zaręczony z hr. Chotek, siostrą następczyni tronu austriackiego, ale odrestaurowanie zamku nieświeskiego, urządzenie parków, albiańskiego i zamkowego, uporządkowanie archiwum, odnawianie portretów i obrazów historycznych, wykończenie wielkiej sali jadalnej, wyłożonej boazerją, z klasztoru włoskiego pochodząca, nakoniec wydobyć ze zbiorów Ermitażu piotrogrodzkiego części skarbcza zamkowego, niegdyś przy rabunkach porozbiorowych zabranego, wszystko to było dziełem ks. Antoniowej. Umarła ona w Berlinie, podczas wojny obecnej i z całej rodziny książęcej tylko córka hr. Romanowa Potocka mogła być na pogrzebie, jako w kordonie austriackim zamieszkała. Dobra jej „Kleinitz” miały przejść na młodszego syna Stanisława, lecz ponieważ książę służył w wojsku rosyjskim, więc przez rząd pruski w sekwestr wzięte zostały.

Wszystkie sprawy, dotyczące się opieki, rozstrzygały się przy czynnym udziale współopiekunki ks. Marji z hr. Braniczich Radziwiłłowej. Wydana bardzo wcześnie za mąż, jako pełna wdzięku dziedziczka olbrzymiej fortuny, w sprawy materialne mało wtajemniczona, jednak, gdy zaszła tego potrzeba, najzawilsze kwestje zawsze bardzo prosto i łatwo obejmowała swoim zdrowym rozsądkiem; przejęta miłością

kraju i obowiązkami swego stanowiska zawsze stawała na wysokości swych zadań. Pracowaliśmy zawsze zgodnie, nigdy z jej strony nie doświadczałem najmniejszej przykrości lub nieufności, chociaż czasami bywały przejścia nie łatwe, jak np. przy dokonanej przez ówczesnego pełnomocnika niefortunnej sprzedaży osinowego drzewa w lasach deniskowickich: w lesie zabrakło materiału sprzedanego kupcom, trzeba było zatem odkupić kontrakt za ogromną podówczas sumę 250.000 rubli. Stratę tę pokryła ks. Jerzowa z własnej szkatuły. Po tej nieudanej imprezie głównym pełnomocnikiem ordynacji ponownie został szanowny p. Michał Świda, wypróbowany przyjaciel domu radziwiłłowskiego, rutynowany pracownik jeszcze z czasów, gdy ks. Maciej Radziwiłł z Połoneczki ordynacją zarządzał. Ten nowych dróg nie szukał, ale starego porządku rzeczy się pilnował, co w zarządach opiekuńskich zawsze jest wskazane.

Zmarły ks. Antoni był pierwszym ordynatem nieświeckim i zarazem klecko-dawidgródeckim; tę ostatnią ordynację za najwyższem zezwoleniem objął po ks. Leonie fligieli-adju-tancie\*) cesarza Aleksandra II z linii nieborowskiej, odumarłego przez rodziców młodym chłopakiem, wychowanym w korpusie paziów i następnie z pewnym naciskiem, ożenionego, z księżniczką Urusow, znaną z bliskich stosunków z cesarzem Mikołajem I. Podczas balu dworskiego, gdy młody oficer gwardji ks. Leon Radziwiłł, przetańcował z ks. Urusow, podszedł do niego cesarz i odezwał się: „widzę, że ks. Urusow bardzo się tobie podoba, ja będę swatał”. Ks. Leon zaskoczony, tłumaczył się, że niema dostatecznych dochodów, aby myśleć o ożenku, bo dobra zadłużone i mało dają dochodu, ale cesarz odpowiedział, że kupi od niego „Stary Borysów”, dobra na Białejrusi położone, obszaru prawie wyłącznie leśnego, koło 200.000 dziesięcin nad Berezyną i sprawę długów rozpatrzyć każe.

Z Mikołajem I nie można było żartować i Borysowszczyznę cesarz kazał zarządowi dóbr państwa oszacować

---

\*) O ks. Leonie i jego pobycie w Stambule, dokąd był wysłany z listem Mikołaja I, żądającym wydalenia emigrantów polskich por. ks. Zygmunt Szczyński Feliński. Pamiętniki, I, passim., Giller IV. p. w.

i według tego szacunku kupił dla syna swego Mikołaja, a naznaczona „ad hoc” komisja zawyrokowała, że według statutów ordynackich, ordynacja mogła być odłużoną tylko  $\frac{1}{4}$  części swej wartości, zatem wydzieliła (niby) czwartą część majątków, których dochody miały iść na likwidację długów ojca ks. Leona, Ludwika i dziada jego, Józefa \*). Ta niby  $\frac{1}{4}$  część i  $\frac{1}{16}$  nawet funduszu nie stanowiła. Wierzyciele usunięci z majątków, które wprawdzie za bezcen, ale prawem zastawnem trzymali, musieli się zadowolnić nadzieją, że może ich wnuki, należność swoją otrzymają, tem więcej, że przy wydzierżawieniu majątków, tak nazwanej „czwartej części” jak i przy wypłatach należności działy się gorszące nadużycia, wobec czego, należność na ordynacji, można było nabyć za  $\frac{1}{5}$  —  $\frac{1}{10}$  część wartości, skoro ktoś nie mógł czekać na wypłatę.

Ks. Leon dzieci z żoną nie miał, więc nie powstała żadna nowa prawosławna gałąź domu radziwiłłowskiego; z żoną prędko się rozstali, księżna zamieszkała w Paryżu, pobierając aż do śmierci, bodaj 18.000 rs. rocznej renty z funduszu męzowskiego, książę zaś dalej robił karierę dworsko-wojskową, zbaczając od czasu do czasu do swej rezydencji w Radziwiłłmontach, dla urządzania świetnych polowań na grubego zwierzca. Zawziętym albowiem był myśliwym, a puszcze deniskowicka i hreska nigdy nie zawodziły. Znany był z niepowściągliwości, według opowiadań zastrzelił raz jamszczyka \*\*), który go nie chciał wieść dosyć prędko, według rozkazu. Podstarzały i schorowany, za zgodą najwyższą, znowu za wpływami dworu berlińskiego ustąpił za określoną opłatę dożywotnią, bodaj 30.000 rs. na rzecz ks. Antoniego ordynację klecką i dawidgródecką wraz z licznymi dobrami allodialnymi, jak Hresk, Pociejki, Stołowicze i hrabstwem cimkowickiem i zachowaniem tylko prawa polowania. Już jako nowy dziedzic, urządzał ks. Antoni wielkie polowanie w lasach deniskowickich dla ówczesnego następcy tronu, obecnie Wilhelma II, ilustrowane wspaniałemi akwarelami

---

\*) Autor się myli: dziadem ks. Leona był ks. Michał ostatni wojewoda wileński p. w.

\*\*) Jamszczyk woźnica pocztowy p. w.



Fałata. Wdzięczną pamięć o gościnności na zamku nieświeskim cesarz zachował i, gdy niemieckie wojska Nieśwież zajęły, Wilhelm, kilkakrotnie depešzami polecał władzom okupacyjnym mieć w swojej pieczy zamek w Nieświeżu i groby ordynatów pod Farą.

Dłuższy epizod poświęciłem sprawom radziwiłłowskiem, albowiem dobra ich zajmowały poważną część mego powiatu i masa rodzin bądź dzierżawców, bądź leśników i oficjalistów, bądź szlachty zaściankowej miała byt od tych spraw zależny; a zaścianków tych było bardzo wiele, Radziwiłłowie, jak to już zaznaczyłem, chętnie je tworzyli, mając w osiadłej szlachcie obowiązkową pomoc w wojennej potrzebie i zapewnienie kreski na sejmikach. Gdy potem te potrzeby ustały i obowiązek dostarczenia jeźdźca i konia z rzędem z nadziału musiał być zrównoważony odpowiedniami opłatami, powstały liczne zatargi i procesy, które, z małym wyjątkiem, zostały zlikwidowane prawami agrarnemi 1886 roku (czynszownicy) i 1893 roku (prawosławni dzierżawcy).

Miasto Mińsk w czasach przedpowstaniowych posiadało oprócz katedralnego jezuickiego kościoła, jeszcze świątynie przy zakonach: Dominikanów, Bernardynów, Bernardynek i Benedyktynek, nie licząc kościoła parafjalnego, za miastem na tak zwanej „Złotej Górcie”. Po kasacie zakonów i zabranii kościołów po 1863 roku została jedna tylko świątynia, dawna katedralna, nie mogąca nawet wówczas pomieścić wiernych, a cóż dopiero po 40 latach, gdy ludność wzrosła. To też, w dniu świąt dorocznych, nawet w najsilniejsze mrozy i zamiecie, widziano tłumy, zalegające podczas nabożeństw plac, położony między katedrą a tak zwanym domem gubernatorskim i soborem.

Nieodzowność drugiej świątyni, specjalnie w kierunku dworca brzeskiego, w którym miasto rozszerzać się silnie zaczęło, była widoczna nie tylko dla władz duchownych, ale i dla miejskich oraz dla wyższej administracji kraju, niechętnie patrzącej na te zewnętrzne objawy pobożności katolickiej. W celu wybudowania nowej świątyni, lub pozyskania zabranej w latach powstaniowych, był wybrany w mieście komitet, pod przewodnictwem Michała Wołłowicza, ale wszystko się rozbijało o brak środków i możności uzyskania pozwolenia

na budowę nowego kościoła, ale Bóg zarządził inaczej. Wskutek ciosów, które z woli Najwyższej na mnie spadły, postanowiłem uczynić ofiarę błagalną przez wybudowanie świątyni, pod wezwaniem patronów zmarłych dzieci moich, Św. Św. Symeona i Heleny i na to miejsce Mińsk wybrałem, jako miejsce, w którym największą część mojej pracy społecznej położyłem i w którym budowa drugiej świątyni była potrzebą najbardziej naglącą. Przytem chciałem, aby Mińsk posiadał świątynię, któraby stanowiła pewną odrębność na tle różnobarwnych kopuł nowszych formacji, a przypuszczałem, iż nie może być, aby w tłumie modlących się na nowem miejscu, nikt nie przypomniał sobie o fundatorze i za mnie i za moich zmarłych, ostatnich potomków starego miejscowego rodu „Anioł Pański” nie zmówił.

Zatem w 1904 r. wniosłem podanie do komitetu budowy, iż jeżeli miasto plac pod budowę przeznaczy, swoim własnym kosztem wzniosę świątynię pod tym warunkiem, że będzie pod wezwaniem wskazanych przezemnie patronów i że nikt do budowy, wyboru stylu i t. p. wtrącać się nie będzie.

Miasto i komitet, naturalnie bardzo chętnie na moją propozycję przystali. Była wybrana delegacja, z którą pojechałem natychmiast do Petersburga. Podaliśmy prośbę do ówczesnego ministra spraw wewnętrznych ks. Światopełk-Mirskiego. Pozwolenie na budowę zostało wydane stosunkowo prędko i 19 maja 1905 r. otrzymałem zawiadomienie komitetu, iż plac, ofiarowany przy zbiegu ulic Zacharzewskiej i Trubnej, od wszelkich będących tam zabudowań, jest oczyszczony i mogę przystąpić do budowy.

Zacząłem się więc oglądać za wzorami i rozmaitemi architektonicznymi koncepcjami. Nie chciałem się zatrzymywać na stylu gotyckim, po pierwsze zbyt spospolitowanym przez zamierzone wówczas budowy świątyń katolickich w Rosji, powtórnie zbyt odróżniającym się od stylu świątyń obrządku wschodniego, istniejących w kraju naszym i zatem jakby podkreślającym rozbrat w wierzeniach klas społecznych, albowiem przeważna część włościaństwa była prawosławna, a ziemiaństwo katolickie i dlatego zatrzymałem się na stylu romańskim, rozkwitłym w epoce, kiedy kościół wschodni był jeszcze w jedności z Rzymem.

W tym czasie, wpadła mi w ręce ilustracja z wizerunkiem kościoła w Jatrosinie w Poznańskim, wzniesionego przez ks. Czartoryskich według planów architekta Pajzderskiego. Pojechałem zaraz do Warszawy, gdzie Pajzderski, ożeniony ze znaną autorką Hajotą, był wówczas profesorem w szkole sztuk pięknych, i przestudjowawszy plany jatro-sińskiego kościoła, porównawszy z wizerunkami istniejących w kraju naszym bardzo nielicznych pomników budownictwa romańskiego, a głównie ze świątyniami nadreńskimi, przy pewnych moich reminiscencjach z podróży włoskich, stanęliśmy z artystą na pewnym typie, który z pomocą Bożą, w ciągu następnych lat paru wykonany został i poświęcony przez prałata Jego Świątobliwości, zacnego mego kolegę z ławy petersburskiej ks. Witolda Czeczotta \*). Pamiętna na zawsze zostanie dla mnie ta chwila, gdy oprócz mnie, mojej rodziny i celebującego duchowieństwa, nikogo jeszcze w kościele nie było. Przy dźwięcznym echu pieśni „Twoja cześć Chwała, Przedwieczny Panie”, otworzyły się podwoje świątyni i tłum ludu runął do wnętrza, wtórując kapłanom... myślałem, iż być nie może, aby tyle modłów, wznoszonych do Pana Zastępów, niczego nam nie uprosiły... a teraz nie wiem, czy nawet śmierć da nam Bóg spokojną.

Budowę kościoła z początku prowadził sam Pajzderski, ale że formalnego na to prawa, jako obcy poddany (poznańczyk) nie posiadał, zastępował urzędowo go inżynier Święcicki, a gdy w trakcie budowy Pajzderski życie zakończył, doprowadził dzieło do końca architekt Gay z Warszawy.

Wzory wszelkich szczegółów, aż do zawias i klamek u drzwi dawał sam Pajzderski i według tego wszystko się wykonywało, aby jednolitość stylu i charakter budowy w czystości utrzymać. Co tylko było można, robiło się siłami miejscowemi, aby dać ludziom miejscowym zarobek i budową samą świątyni zainteresować. Wielki tylko był kłopot z cegłą fasonową i licówką, którą przeważnie wypadło w pakach

---

\*) Ks. Witold Czeczott b. proboszcz kościoła Św. Katarzyny w Petersburgu utracił parafję za kazanie patrijotyczne z powodu zgonu Kornela Ujejskiego, znany publicysta katolicki, był przez czas pewien proboszczem w katedrze mińskiej p. w.

sprowadzać aż z Częstochowy, a dachówkę z Włocławka i t. p. Poświęcenia kamienia węgielnego dokonał w 1906 roku 6 września ks. prałat Michalkiewicz, późniejszy administrator djecezji wileńskiej, w obecności niezliczonego tłumu ludu, odprawiwszy mszę pod namiotem, podczas której, ówczesny gubernator Erdelli przykładowie klęczał i następnie akt erekcyjny po nas podpisał.

Wspomniałem architektów i kierowników robót, ale nicby się nie zrobiło, i nicby nie stanęło, gdyby nie opieka i praca nad budową zacnego Witolda Łopotta, członka Rady Tow. Roln. i dyrektora zarządzającego Tow. Wzajemn. Ubezpieczeń Rolnych, a najlepszego mego przyjaciela, który od pierwszego dnia budowy kasę i kierunek przedsięwzięcia objął i nie spoczął, aż wszystko do końca doprowadził. Dla zachowania jednolitości stylu, wszelkie prace kamieniarskie i rzeźbiarskie wewnątrz kościoła, jak ołtarze, bronzy, ambona, balaski, posadzka i t. p. oddane były w jedne ręce wielce uzdolnionego artysty Zygmunta Otto, z Warszawy. Ambonę, balaski i posadzkę ofiarowała do kościoła żona moja Olimpja, córka Marka i Matyldy z Woyniłłowiczów Uzłowskich, herbu „Topór” i dlatego ten herb obok mojej tarczy herbowej nieraz w ornamentacji kościelnej się spotyka. Zresztą żadnych ofiar na rzecz budowy kościoła nie przyjmowałem, chcąc widzieć w nim własną swoją tylko ofiarę, a już po skończonej budowie, złożyłem na ręce komitetu rs. 1.000 ofiarowane przez mego przyjaciela Aleksandra Bołtucia na dzwony i od niejkiej Szantyrówny rs. 200 na organy. Umieściłem także ze stosownem epitafjum starożytny obraz Matki Boskiej, ofiarowany przez rodzinę Skirmunttów z Porzecza, oraz rzeźbiony z drzewa, ze wszelkimi cechami Wita Stwosza, cudowny krucyfiks, pochodzący ze słuckiej Fary, będącej fundacją jeszcze Zygmunta Kiejstutowicza.

Aby mieć tę świątynię jeszcze odpowiednio wewnątrz dekorowaną, zawarłem umowę ze znanym artystą krakowskim Franciszkiem Bruzdowiczem, który według kartonów, przeze mnie aprobowanych, rozpoczął polichromję, robotę wypadkami obecnej wojny przerwana. Rusztowanie stoi, roboty malarskie do połowy doprowadzone, ale artysta, jako obcy poddany, internowany w Charkowie. Gdy wróci, nie wiem, czy będę



żył, czy wystarczą mi środki na wykończenie, Bogu tylko wiadomo? W najgorszym razie, proboszcz gorliwy ks. Żołądkowski jest tak dbały o upiększenie świątyni, że z pomocą Bożą i parafjan pewno rąk nie opuści. Przy świątyni, w rodzaju kapliczki, z boku, postawiłem wykonaną w zakładzie „Braci Łopieńskich” brązową kopję Matki Boskiej, stojącej na mogiłach rodzinnych kurhanu sawickiego, która się stała przedmiotem szczególnej czci ludności nabożnej.

Na frontonie krużganku umieszczone są podobizny niby moje i mojej żony z napisem łacińskim: „A. M. D. G. Templum hoc piae memoriae liberorum suorum Simeonis MDCCLXXXV † MDCCCXCVII ET Helenae MDCCCLXXXIV † MCMIII c. Olimpia Uzłowska coniuge procreatorum dedicat vovetque Eduardus Woyniłłowicz A. D. MCMVII”.

Niech wszystko będzie Bogu na chwałę!

---

## V.

Wielkie reformy panowania Aleksandra II, jak uwolnienie włościan, reforma sądownictwa, powszechna służba wojskowa, ziemstwa i t. p., pomimo, że kierunek ich liberalny ku końcowi tego panowania i następnym panowaniem Aleksandra III wielce wypaczonym został — jednak zrobiły swoje. Przysypane popiołem reakcji zarzewia myśli swobodnej wciąż w cichości tlały, aż wichur wojny japońskiej zwał zimne przykrycie i żywiej jeszcze spowite aspiracje rozdmuchał. Przewidywali to, nieliczni niestety, mężowie stanu rosyjscy i starali się prądowi wolnościowemu ująć w pewne łożyska, aby ruchem tym kierować i nie dać wybrzeżać. Robota ta była wprawdzie nieco spóźnioną, ale byłaby może skuteczną, gdyby w dobrej wierze była przez władzę najwyższą przyjętą i wykonaną. Dla ścisłości jednak sam fakt tych usiłowań zaznaczyć należy. Jednym z takich usiłowań było niewątpliwie, z inicjatywy hr. Wittego powstałe i 22 marca 1902 r. najwyżej zatwierdzone, tak nazwane „osoboje sowieszczanje o nuždach sielsko-choziajstwiennoj promyszlennosti” — z programem nadzwyczaj obszernym, w którym przy dobrej woli uczestników a pozwoleniu władzy, można byłoby umieścić wszelkie sprawy życia ekonomicznego, społecznego, a nawet politycznego, całego imperjum. Takie „narady” utworzone były w każdej gubernji; odnośne rezolucje miały być uogólniane w naradzie centralnej w stolicy i następnie przeprowadzone być miały pewne zmiany prawodawcze, mające zaspokoić potrzeby krajowe. Słowem miało to być coś w rodzaju wznowienia dawnego projektu Loris-Melikowa, o którym wspominałem wyżej „ex re” zjazdu smoleńskiego w roku 1881. Program był tylko obszerniejszy i aspiracje obradujących daleko śmielsze i dalej sięgające. Ale widocznie Rosji nie było sądzonem iść drogą ewolucji, a tylko rewo-

lucji. Projekty Loris-Melikowa przerwane były katastrofą marcową na Jekatieryńskim kanale — projekty hr. Wittego rozwiąła burza wojny japońskiej.

W „Kraju Zachodnim” rady takie gubernjalne składały się z masy b. licznego grona członków, wyznaczonych z urzędu, zapewniających większość rządową, ale i przedstawicielstwo ziemian, wezwanych przez gubernatora, było dosyć liczne, a że 10 czerwca 1902 r., byłem wezwany jako viceprezes Towarzystwa Rolniczego na te obrady, zatem opracowanie wszystkich punktów mogłem przeprowadzić równolegle: i w obradach gubernjalnych i w Tow. Rolniczem, co też bardzo sumiennie w łonie Towarzystwa dokonane zostało. Prace te były wydrukowane i stanowiły sporą broszurę, świadczącą pod każdym względem pochlebnie o zdolności do podobnych opracowań naszego Towarzystwa. Sprawy poruszane były zbyt żywotne, ludzie wierzyli jeszcze, że z tej pracy coś pomyślnego dla kraju przyszłość dać może, więc gorąco wzięli się do dzieła. Była to może chwila najwięcej intensywnej pracy w łonie Towarzystwa. Praca Tow. Rolniczego, była bezpośrednio przedstawiona do stolicy, a pojedyncze jej rozdziały dostarczyły materiału do narady gubernjalnej.

Pierwsza narada w gubernji odbyła się 25 lipca 1902 r., ale było to tylko posiedzenie organizacyjne: główne prace i posiedzenia zaczęły się w Mińsku dopiero 16 stycznia 1903 r. i ciągnęły się dni dziesięć pod przewodnictwem gubernatora hr. Musin-Puszkina. Rezultaty tych obrad, odbywanych jednocześnie w całej Rosji, muszą zalegać w departamentach stolicy półki, pokryte pyłem zapomnienia. A jednak te prace, mniej lub więcej intensywnie przeprowadzane w całym państwie, budziły z uspienia siły społeczne i przyjęte za podstawę reform, mogły wprowadzić nieodzowne przeobrażenia w ustroju państwowym. Możeby to się i stało udziałem Rosji, gdyby wskazane reformy były poszły normalną drogą, ale jednakże wybuch wojny japońskiej, wykazawszy zupełną zgniliznę całego ustroju, dodał nowego bodźca aspiracjom wywrotowym.

Pamiętam, bawilem w Warszawie, kiedy przyszła wiadomość o wypowiedzeniu wojny przez Japonję w 1904 roku

i prawie w tym samym dniu o zatopieniu przez Japończyków 2-ch potężnych pancerników rosyjskich „Retwizan” i „Carewicz” podczas uczty, wyprawianej przez ówczesnego naczelnika „Namiestnika Dalekiego Wschodu”, admirała Aleksiejewa.

Wojna ta od początku popularną nie była. Zaczęta, wskutek niepomiarnych apetytów prywatnej kompanji, eksploatującej nieprzebrane bogactwa leśne w korycie rzeki Jalu, w Korei, przyczem nazwisko Bezobrazowa, jako inicjatora, było pocichu łączone z imionami członków rodziny panującej, była prowadzona na najwięcej odległych kresach obszernego państwa. Wobec przewagi olbrzymiej Rosji pod względem terytorjalnym i ludnościowym, zdawało się początkowo, że musi skończyć się prędko i z tryumfem. Zacierali ręce generałowie i ministrowie, żądni odznaczeń i dotacyj — zacierali ręce przedsiębiorcy, rachujący obfite zyski, a naród dopiero zaczął się uczyć geografji dalekich kresów i dowiadywać się, jak poważne ma interesy, tam, daleko, nad brzegami Oceanu Spokojnego.

Przebieg działań wojennych nie może naturalnie być przedmiotem obecnych notatek. Z dnia na dzień stawały się więcej widocznymi bezład w mechanizmie państwowym, nieprzygotowanie do wojny, przekupstwa w administracji, bitność żołnierza, niezdarność dowództwa i beczka Danaid, w którą się sypały i nikły fundusze narodowe. Zaczęły się szemrania w wojsku, niezadowolenie w narodzie. Nie oddziaływały już, jak dawniej, częste podróże cesarza po państwie, błogosławienie w obozach wojennych obrazami wysyłanych na Wschód posiłków. Widocznem coraz to więcej się stawało, że autorytet władzy już maleje, a aureola pomazańca Boskiego już z czoła samodzięrcy znika.

Podczas jednego z takich przejazdów przez stację Baranowicze kazano się zebrać obywatelstwu i włościanstwu. Już sama ilość wojska, rozstawionego dla ochrony toru kolejowego i ostrożności przedsiębrane na stacji, świadczyły o braku zaufania rządzącego do rządzonych. Pociąg się zatrzymał, cesarz wysiadł przy dźwiękach hymnu narodowego i okrzykach „Hura”, kierowanych przez ziemskich naczelników w grupie włościańskiej. Podawał rękę stojącym w szeregu na peronie ziemianom, nic nie przemówił, przyjął raport



i odjechał na południe wyprawiać wojska posiłkowe. W podobny sposób powtórzyła się ta sama ceremonia niebawem i w Mińsku, gdzie nas zbierano na stacji kolei Libawo-Romeńskiej, z tą tylko różnicą, iż marszałek gubernjalny z nominacji, w imieniu szlachty ofiarował zebraną sumę, o ile pamiętam, 20.000 rb. na potrzeby wojenne. Cesarz znowu nic nie przemówił; wprawdzie i horyzont wojenny nie był wesół: na parę godzin przedtem otrzymano depeszę o upadku Port-Artura.

Mukden, Cuszyma, zmusiły nakoniec rząd rosyjski zastanowić się głębiej nad sytuacją; było to już trochę zapóźno, bo zdemoralizowane wojska, odstępując po przegranej, tworzyły po drodze rozmaite republiki syberyjskie, a w państwie całem odbywały się rozmaite zjazdy i zebrania, przelicytowujące wciąż jedne drugich, coraz to dalej sięgającymi aspiracjami. Postulaty formułowane w „osobych sowieszczaniach”, o których pisałem, już były niewystarczające, albowiem fale odśrodkowe zataczały coraz to szersze i głębiej nurtujące kręgi. Do ruchu tego przystępowały i zaczęły nawet w nim górować coraz to więcej demokratyczne, a raczej anarchiczne warstwy społeczne — i jak zwykle bywa, inicjatorowie ruchu „Ziemcy” ujrzeni się wyprzedzonymi przez tych, których oni do udziału w ruchu na początku powołali.

Specjalność tego ruchu tem się wyróżniała od innych, że nie był on, że się tak wyrażę, narodowościowym, ale państwowym. Nie powstawał, jak zwykle dawniej bywało, na kresach, narodowościowo odrębnych i zatem do wszelkiego fermentu pochopnych wskutek niezadowolnienia swych aspiracyj autonomicznych, ale przeciwnie, ruch ten szedł z głębi Rosji, samorządem ziemskim zorganizowanej, i pociągającej swoje kresowe prowincje do wspólnego protestu przeciwko istniejącemu porządkowi rzeczy. To też obserwowano zjawisko niebywałe: na zjazdach „Ziemców” w Rosji, widziano przedstawicieli nietylko kresów, ale i przedstawicieli Królestwa, dotychczas zazwyczaj odrębność swej kultury i praw politycznych od reszty ziem państwa podkreślających i w ruchach rosyjskich udziału dotąd nie przyjmujących. Rozprawiano, obiecywano bardzo wiele, ale gdy przyszła możebność wcielenia szumnych toastów w życie, w pierwszym

okresie działania izb prawodawczych, te wszystkie „fata morgana” autonomji — ówczesne maximum aspiracji — prysły na widnokręgu, wciąż i zawsze nacjonalistycznie zabarwionym.

Na tych zjazdach „ziemców” ani razu nie byłem, nie tyle z racji braku wiary w realną siłę wygłaszanych obietnic, ile raczej dlatego, że w tej sferze „ziemskiej” następnie wyłonił się kierunek konstytucyjno-demokratyczny, „kadeckim” potem nazwany, który dla zyskania popularności i rozszerzenia swych wpływów, ogłosił zasadę 4-ro przymiotnikowego głosowania i reformę agrarną na przymusowem wywłaszczeniu oparł. Zarówno zaś jedno, jak i drugie, tak się sprzeciwiało i kierunkowi mojej pracy dotychczasowej i moim przekonaniom, iż zrozumiałem, że tam nic nie mam do roboty. Wiedziałem, że tam nikogo nie przekonam i sam przekonany nie zostanę. Wiedziałem, że czteroprzymiotnikowe głosowanie i przymusowe wywłaszczenie, to cios ostateczny dla własności ziemskiej polskiej w naszym kraju, dla tego stanu posiadania, któregośmy z takim zaparciem się wszelkich dążności egoistycznych, wbrew wszelkim ukazom i cyrkularzom, przez tyle lat bronili. Bo przecież każdy właściciel ziemski, przy wciąż rosnących cenach na ziemię, mógł, spieniężywszy swą posiadłość, otrzymać ekwiwalent w gotówce, stokroć więcej procentujący, niż posiadana nieruchomość i mógł z tem osiąść tam, gdzie mu żadne prawa wyjątkowe nie ciążyły.

Ponieważ całe życie prowincji wówczas ogniskowało się w Tow. Rolniczem, jako jedynej prawie organizacji zbiorowej inteligencji ziemiańskiej, naturalnie, że te nowe prądy już to przez prasę, już to przez sprawozdania uczestników zjazdów ziemskich, nie mogły się nie odbić na nastroju zebrań ogólnych Towarzystwa, na dezyderatach przedstawianych od czasu do czasu przez członków Radzie Towarzystwa, która, jako strażnica legalności zebrań i przepisów statutowych, musiała nieraz powstrzymywać zapędy mówców i projektodawców, aby nie narażać istnienia samego Towarzystwa, wciąż jeszcze pod śrubą miejscowej administracji będącego. Z drugiej zaś strony, nie liczyć się z nastrojem chwili nie było możliwości, wskutek tego zadanie prezydującego zebraniom nie należało do najłatwiejszych. Dodać jeszcze trzeba, że wskutek rozszerzenia się ruchu wolnościowego w Króle-

stwie, sporo osób z tamtych stron było przez władze rządowe wysiedlonych, które, osiadłszy w Mińsku, z właściwą koroniarzom w stosunku do kresów preumpcją uważały siebie za powołanych do kierowania życiem naszej prowincji, pomimo, że nie znali warunków jej bytu i nie rozumieli pewnych odrębności ustroju społecznego, tak różnego w Królestwie i Mińszczyźnie, gdzie wieś zazwyczaj jest innej mowy i innej wiary niż dwór. Przytem większość tej przymusowej emigracji składała się z przedstawicieli inteligencji miejskiej, z wolnych zawodów, a którzy po części już na miejscu trochę socjalizmowi hołdowali. Panowie ci chętnie zapisywali się w poczet Towarzystwa Rolniczego, i, nie zawsze opłaciwszy wpisowe, mieli w ogólnych zebraniach Tow. Roln. wolną arenę dla wszelkich enuncjacyj, wówczas „wolnościowemi” nazywanych i nieraz szumnie brzmiącemi frazesami pociągali za sobą, mniej przez życie i pracę społeczną wyrobionych członków Towarzystwa. Oddać jednak sprawiedliwość należy zdrowemu rozsądkowi zebrania, iż pomimo nieraz burzliwych posiedzeń, nigdy Tow. Rolnicze nie wyniosło z sali postanowień sprzecznych z tradycjami przeszłości swego kraju i z możliwością jego kulturalnego rozwoju w przyszłości. Pamiętam naprzykład, po pierwszym wielkim strajku kolejowym i pocztowym, który latem 1905 roku całem państwem wstrząsnął i dopiero dał poznać siłę organizacyj wywrotowych, w jesieni tegoż 1905 roku, gdy zebrało się Tow. Rolnicze w Mińsku, zaczęły kursować zapowiedzie nowego strajku, lepiej jeszcze zorganizowanego, mającego już nasze wsie i miasteczka nawiedzić i akcją pogromową, na wzór Rosji, się zaznaczyć. Niektóre objawy zdawały się już grozną akcją zapowiadać, w przeciwstawieniu się którym, uwolnione z wojny japońskiej rozmaite sotnie osietyńskie, kaukaskie i t. p. ofiarowały swoje usługi właścicielom ziemskim, jako ochronę ich własności. Był to sposób w wielu miejscowościach, szczególnie na południu Rosji praktykowany. Pamiętam z owych czasów fotografię, przedstawiającą jednego z największych obszarników Chersońszczyzny, Falz - Feina, czyniącego rewję będących na jego żołdzie sotni osietyńskich. Zebrane w Mińsku ziemiaństwo propozycje analogiczne z oburzeniem odrzuciło, wyniósłszy decyzję, że między dwo-

rem i wsią na Białejrusi, żadne obce żywiły stanąć i porządek zaprowadzać nie powinny. I byłaby w tem racja i dalej, gdyby między wsią a dworem nie zaczęły pracować obce żywiły wywrotowe, przynosząc hasła, na obcej niwie powstałe i nie wspólnego z duchem ludu białoruskiego nie mające, aż ducha tego zatrwały.

Pamiętam podczas wieczornego posiedzenia Tow. Rolniczego, koło 8-ej wieczorem, podchodzi do krzesła prezydalnego sekretarz i szepce mi na ucho: — „Strajk naznaczony na jutro rano, niech Sz. Pan wyprawia zaraz żonę ostatnim pociągiem do domu”. Posyłam niezwłocznie odnośne rozporządzenie do żony — sam prezyduję dalej, nie chcąc wzbudzać ogólnego popłochu. W tem przynoszą mi papier od ówczesnego gubernatora Kurlowa, głośnego później vice-ministra do spraw policji za czasów Stołypina, wzywający mnie, jako Prezesa Towarzystwa Rolniczego na posiedzenie na godzinę 12-tą w nocy. Kończę posiedzenie, jadę do gubernatora. W przedpokoju dzwonią telefony: policmajster słucha, że jakoby już jakieś nieporządki na dworcach wileńskim i warszawskim się zaczęły. Wchodzę do sali posiedzeń: zebrani wyżsi urzędnicy, przedstawiciele prokuratury, sądu, izby skarbowej i t. p., na stole olbrzymia mapa, ponatykana szpilkami i niebieskimi i czerwonymi chorągiewkami. Niebieskich barw trochę koło Borysowa, Bobrujska i Nieświeża — na reszcie przeważa barwa czerwona. Gubernator tłumaczy: te niebieskie barwy, to miejsca postoju wojsk rządowych, względnie kawalerji, a czerwone smugi — to miejscowości, w których zachodzi obawa ewentualnych ekscesów. Perspektywa nie wesoła. Jako środek zapobiegawczy gubernator proponuje sprowadzenie, na żołąd ziemian, osietyńców, którzy po upływie 6—8-iu tygodni mogą już stanąć u nas na miejscu, co mało jest pocieszającym dla tych, którychby przed ich przybyciem już nie stało. Wszystkie oczy zwrócone na mnie. W imieniu ziemiaństwa odrzucam propozycję i zaznaczam, żeśmy postanowili, bądź co bądź, wracać do domów i wpływem osobistym przeciwdziałać wszelkiej akcji anarchicznej. Zebrani ironicznie winszują nam tego postanowienia. Wychodzę — na ganku gubernatorskiego domu, w ciemnościach, ktoś do mnie podchodzi i oznajmuje: „Proszę prezesa



być spokojnym — my pana jeszcze jutro do domu przepuścimy”. Był to agent nowego zarządu kolejowego. Wyjeżdżam rano, na dworcu robota idzie jakoś mdło, z oczekiwaniami jakichś wieści, mianowicie — wieści z Moskwy, jak idzie walka na ulicach Moskwy, bo tam admirał Dubasow, na czele pułku Siemionowskiego, topi w morzu krwi rewolucję uliczną. I utopił — i na całe dziesięć lat zatrzymał wypadki doby obecnej. Spotykałem go następnie, jako kolegę w Radzie Państwa, nie żądał dla siebie żadnej ochrony osobistej (chyba może miał jaką tajną koło siebie), ale wysokiego wzrostu, z podniesioną głową, opierając się tylko na lasce, kroczył spokojnie po Newskim Prospekcie. On to bodaj, podczas wojny tureckiej 1877 r. podpłynął łódką pod pancernik turecki i miną go w powietrze wysadził. Kurłowa, spotkałem następnie w Piotrogradzie, już nie jako cywilnego dygnitarza, ale w generalskim mundurze, jako naczelnika głównego zarządu więziennego, następnie, jak wspominałem, jako naczelnika policji i ochrony państwowej i w tym charakterze został pociągnięty do odpowiedzialności za niedbalstwo podczas zabójstwa P. A. Stołypina w Kijowie. Był to urzędnik nadzwyczaj zdolny, sprytny, jeżeli padający, to tylko jak kot, na cztery nogi. Podczas urzędowania jego w Mińsku, obwiniano go o strzelanie do tłumu, manifestującego koło więzienia w Mińsku i następnie przy dworcu wileńskim, gdzie padł adwokat Jentys\*). Sam Kurłow otrzymał raz bombą w głowę, gdy brał udział w pogrzebie miejscowego wojskowego dygnitarza. Lecz tak szczęśliwie wyszedł z tej imprezy, że bomba, uczyniwszy tylko bliznę na głowie, stoczyła się po pelerynie płaszcza i, upadłszy na miękki śnieg, wcale nie eksplodowała. Widziałem go w kilka godzin po tym wypadku, przeglądającego spokojnie korespondencję urzędową, jakby nic nie było. Zamach ten był zorganizowany przez spisek, na czele którego stała córka miejscowego generała Izmajłowicza\*\*).

---

\*) Adam Jentys, znany adwokat i działacz społeczny, zamordowany dn. 31. X. 1905 r. w zdradziecki sposób przez stójkowego. p. w.

\*\*\*) Bombę rzucił uczeń szkoły realnej Pulichow, który został stracony. p. w.

W stosunku do spraw miejscowych, Kurlów, zbytnio złej pamięci w Mińsku nie zostawił, szczególnie w sprawach wyznaniowych okazywał możebną tolerancję, i gdzie można było, folgował. Pamiętam, uwięziony był adwokat miejscowy, K. Petruszewicz, przekonań lewicowych. Przyszli do mnie jego koledzy z palestry, prosząc, abym się wstawił za nim do Kurlowa. Zażądałem obietnicy za uwięzionego kolegę, że więcej narażać się władzom żadną propagandą nie będzie, poszedłem do Kurlowa, i gdy oświadczyłem, że biorę Petruszewicza „na porękę”, zaraz Kurlów przez telefon polecił uwięzionego wypuścić. Spotykałem Kurlowa potem w Piotrogródzie, między innymi raz na raucie u Stołypina, i zaraz mi swoją gotowość pomocy oświadczył.

Nie łatwo, co prawda, było wówczas być gubernatorem w Mińsku. Naprzykład podczas demonstracyj strejkowych młodzieży w Mińsku był wypadek, iż ówczesny gubernator hr. Musin-Puszkina, dla zażegnania burzliwych ekscesów, sam poszedł wraz z demonstrującą młodzieżą (16 luty 1905 r.), aby utrzymać względny spokój i porządek, za co później posadę stracił. Ale przejdźmy do spraw ogólnej natury.

Niepowodzenie wojny japońskiej, zjazdu „Ziemców”, postanowienia i narady zebrań ziemskich i szlacheckich, rozruchy robotnicze, zmusiły wreszcie rządy ówczesne do zastanowienia się, że tak dalej iść nie może, że reformy są nieodzowne. To też w dosyć szybkim tempie zaczęły wychodzić rozmaite manifesty „wolnościowe”: 6-go sierpnia 1905 r., 17 kwietnia 1905 r., 26 lutego 1906 r.

Największe wrażenie naturalnie wywarł ukaz 17 kwietnia 1905 r., dający swobodę wyznań. Pamiętam, był to pierwszy dzień Wielkiejnocy, kiedy przed zamkiem w Sawiczach zatrzymała się bryczka pocztowa, z przyslaną do mnie umyślnym posłańcem radosną wiadomością z Mińska. Ukaz ten wywarł wrażenie większe od wielu innych: naprzód dlatego, iż tyczył się najdrażliwszej sprawy w życiu każdego człowieka, bo jego sumienia; powtóre, iż gdy inne ukazy musiały być jeszcze odnośniami okólnikami w życie wprowadzane, każdy, w tym wypadku, miał siebie za jedyne go aktora i sędziego. Chociaż następnie i w tej dziedzinie zawód się okazał, jednak narazie, gdym zaraz pojechał na nabożeń-

stwo do kościoła parafjalnego w Cimkowiczach i o tem proboszczowi i zebranej licznie szlachcie zaściankowej oznajmił, nie było końca radości i tegoż dnia już kilka osób, przymusowo do wyznania panującego przypisanych, przynależność swą do kościoła katolickiego zaświadczyło u proboszcza, a formę odnośnego podania zaraz na plebanji ułożyłem, aby już gotową, wydrukowaną podawać zainteresowanym. Następnie ta forma była podana metropolicie hr. Szembekowi, który latem tegoż roku Mińsk i Nieśwież wizytował. Metropolita tę formę zatwierdził i duchowieństwu zalecił.

Zaznaczyć wypada, że z ukazu 17 kwietnia 1905 r. skorzstała doraźnie duża część ludności, pozostająca w warunkach nienormalnych przymusowej wyznaniowości. Ale gdy się to na razie uregulowało, przejściowa ta fala ucichła i życie poszło dawnym trybem, bez zamącenia stosunków między ludnością, do różnych obrządków należąca. Jedno tylko dało się zaznaczyć, to większa dbałość i gorliwość w sprawach nabożeństwa i świetności obrządków u ludności prawosławnej, uprzednio na przywilejach wyznania panującego i opiece prawno-policyjnej zbyt polegającej.

Wrócić muszę do wspomnianej wyżej bytności J. E. metropolity hr. Szembeka w Mińsku, albowiem była ona wypadkiem wielkiego znaczenia w naszej prowincji.

Djecezja Mińska powstała 15 listopada 1798 r. na podstawie rozporządzenia Piusa VI i zgody na to cesarza Pawła I-go. Pierwszym biskupem mińskim i założycielem w Mińsku Tow. Dobroczynności, był Jakób Dederko\*), krewny nawet naszej rodziny, z którego daru kielichy do kaplicy domowej sawickiej dotychczas się przechowują. To też dłuższy czas w presbiterjum katedry mińskiej wisiały portrety cesarza Pawła I-go i biskupa Dederki, nie wiem, z jakiego powodu obecnie usunięte. Następnie, po wypadkach 1863 roku, a mianowicie w roku 1869 ostatni biskup Adam Woytkiewicz był wywieziony i djecezja przez rząd skasowana. Kasata ta jednak nigdy przez Stolicę Apostolską nie była uznana, tak iż każdy metropolita mohylowski, otrzymując nominację na metro-

---

\*) Biskup Dederko, gorący patriota, za popieranie w r. 1812 sprawy Napoleona został odsunięty od zarządu djecezją. p. w.

polję, musiał dodatkowo otrzymać „Exequatur” na djecezję mińską. Zatem, po 50-ciu latach prześladowań, po rządach w parafjach i dekanatach takich Kułakowskich, Jurgiewiczów, Sęczykowskich „et tutti quanti”, przyjazd do Mińska metropolity i biskupa mińskiego był wielkim ewenementem, a osoba i prezencja hr. Szembeka, najwięcej do tej wizytacji była odpowiednia.

Było to w roku 1905, pociąg podjechał na dworzec wileński, pokoje reprezentacyjne dworca zostały „ad hoc” otworzone, w nich oczekiwały deputacje od miasta i prowincji. Metropolita w szkarłatach, w długim powłóczystym płaszczu wszedł, błogosławiąc klęczących zebranych. Powitany przemnie krótką przemową wszedł do odkrytego lando, przejechałem z nim do katedry, przez główne ulice miasta, na których wciąż błogosławił zebraną publiczność, witającą dostojnika tego wyznania, którego samo istnienie przez długi szereg lat zaledwie tolerowane było. Nazajutrz odbył się uroczysty „ingres” do katedry i naturalnie obiad z przemówieniami i całym szeregiem oficjalnych wizyt i rewizyt, jak to zwykle w takich wypadkach bywa. Postawa, wychowanie, takt, stosunki, powaga metropolity, wielkie wrażenie na świat urzędowy w Mińsku wywarły. Duchowieństwo, przez tyle lat przewodnictwa pozbawione, powagę władzy duchownej odczuło, a ludność się uspokoiła świadomością obrony swych praw wyznaniowych przez takiego niepośledniego orędownika, jakim był hr. Szembek. Niestety prędko śmierć przeciąć pasmo jego życia miała.

Nie mniej wspomniałem, a może nawet więcej uroczystym, był wkrótce potem odbyty wjazd metropolity do Nieświeża, gdy przyjazd swój zastosował do uroczystości pogrzebowych ś. p. ordynata ks. Antoniego, zmarłego w Berlinie 4/16 grudnia 1904 r., czasowo złożonego w Przygodzicach w Poznańskim, by następnie latem być przewiezionym do grobów ordynackich pod Farą w Nieświeżu.

Metropolita na stacji kolejowej Horodziej (Zamirze), odległej o 2 mile od Nieświeża, był spotkany przez konną banderę z miejscowej szlachty zaściankowej złożoną, która pod dowództwem drugiego z rządu syna, ks. Jerzego Karola Radziwiła, na dzielnych koniach towarzyszyła aż do Nieświeża.



Niedaleko od kościoła, niegdyś O.O. Bernardynów, obecnie cerkwi, ustawiona była brama tryumfalna, u której, na ogólne żądanie, przemową powitałem metropolitę, przybranego już w szaty pontyfikalne i przy biciu dzwonów, doprowadziłem do Fary, po odbyciu w której odpowiednich modłów, udał się na mieszkanie do zamku. Ale tutaj zapadł na zdrowiu, tak że w uroczystościach pogrzebowych ś. p. ks. Antoniego już udziału brać nie mógł. Był to początek ostatecznej choroby metropolity, z której podźwignąć już się nie miał. Złamała ona człowieka jeszcze w sile wieku, a tak potrzebnego dla przywrócenia kościołowi w państwie należnej powagi, niezależności i poszanowania przez władze piotrogrodzkie, którym potrafił zaimponować wykształceniem swoim, tytułem hrabiowskim, taktem i stosunkami; podwładne zaś duchowieństwo ujął w karby karności, wskutek braku władzy pasterskiej przez okres dłuższy, dosyć rozluźnionej.

Wypadki zaczęły odtąd w państwie iść szybkim krokiem, zapadł ukaz, naznaczający wybory do izb prawodawczych, to jest do Dumy i do Rady Państwa, których otwarcie było zapowiedziane na 27 kwietnia 1906 roku. Gubernja mińska miała wysłać do Rady Państwa tylko jednego członka, bezpośrednio wybranego przez zjazd właścicieli ziemskich, mających cenzus ściśle prawem określony, do Dumy zaś gubernja wysyłała 9-ciu posłów, z których 8-miu od ludności, bez różnicy stanu, a jednego specjalnie od włościan. Wybory do Dumy odbywały się w mieście gubernjalnem, nie bezpośrednio, ale przez prawyborców, uprzednio na zebraniach w powiatach wybieranych.

Ponieważ Tow. Rolnicze przedstawiało organizację, całokształt stosunków w sferze ziemiańskiej obejmującą, a pierwsze prawo wyborcze oddawało, prawie wyłącznie, wybory w ręce klasy ziemiańskiej, rzecz prosta, że w kołach członków Tow. Rolniczego, aż się zakotłowało. Zaczęły się zjazdy, obrady, w gubernji i powiatach, powstały komitety wyborcze, i jak zwykle, wilją stanowczej chwili zebrało się liczne towarzystwo, z osób wpływowych złożone, w salonach pani Kostrowickiej, aby przed ogólnym zebraniem przedwyborczem, główne zasady całej akcji położyć. Nie tylko

bowiem szło o wskazanie kandydatów, ale o „principium”. Jedni chcieli przeprowadzić wybory, udzielając odpowiednie przedstawicielstwo każdej narodowości i każdej klasie społecznej, drudzy byli tego zdania, że w walce wyborczej każdy powinien wyzyskać swoją siłę i przewagę, i szermierzami swych poglądów zgromadzenie prawodawcze obsadzić. Opinie ścierały się ostro. Zasada pierwsza, którą się starałem w życie wprowadzić, zwyciężyła jednym tylko głosem, który, z kolei ostatni zapytany, podał zacy p. Aleksander Skirmuntt. Było zatem postanowione oddać głos jeden w Dumie ziemianinowi pochodzenia rosyjskiego, o co głównie chodziło, ponieważ zastęp tych ziemian w gubernji, dzięki wyjątkowym prawom grudniowym, był już dosyć poważny, i zatem ignorować ich prawa, nie zdawało się wskazanem. Jednak nazajutrz, na ogólnem zebraniu przedwyborczem, inaczej się kreski ułożyły i, dla zapewnienia przewagi w głosowaniu ostatecznem, wypadło wejść w blok z partją starozakonnych i z miejską, zapewniając głos Rozenbaumowi i mecenasowi Janczewskiemu. Zatem przy głosowaniu urzędowem w sali szlacheckiej, pod przewodnictwem marszałka z nominacji A. S. Dołgowo-Saburowa, wyszły, jako posłowie do Dumy następujące osoby: z przedstawicieli większej własności — Roman Skirmuntt, ksiązę Hieronim Drucki-Lubecki, Eustachy Lubański i Wiszniewski; z małej własności Marjan Massonius; z inteligencji miejskiej mecenas: Aleksander Lednicki i Wiktor Janczewski; od starozakonnych adwokat Rozenbaum; od włościan Hołowczyc.

Partja włościańska, prowadzona przez późniejszego działacza nacjonalistycznego, a ówczesnie pisarza gminnego Grudzińskiego, kilkakrotnie przychodziła do mnie, chcąc połowę przynajmniej głosów sobie zapewnić, ale to narazie nie było wskazanem; była to bowiem partja, działająca pod błogosławieństwem miejscowego archijereja, nacjonalistyczno-socjalistycznie nastrojona, jak to się okazało, gdy przy wyborach do 2-ej Dumy pierwsze skrzypce w swoje ręce ujęła; nie było więc żadnej racji względem niej ze swoich praw abdykować. Kandydował też do Dumy, gorąco popierany przez profesora Marjana Zdziechowskiego, Mikołaj Brzeski, dyrektor departamentu w Ministerstwie Skarbu, niewielką

własność w powiecie borysowskim posiadający, Polak prawosławny i z również prawosławną Polką, bardzo przystojną, ożeniony — człowiek wielkich zdolności, pracy i miłości kraju. Pomimo wysokiego stanowiska, wyznania i urzędu, dom polski w Piotrogradzie prowadził, w którym następnie zdarzało mi się bywać w stolicy, jak również i na ślicznej „daczy”\*), którą posiadali w Terjokach; ale Brzeski, chociaż mógł być wielce kompetentnym pracownikiem w dumskich komisjach, musiał ustąpić miejsca więcej znanym na prowincji i więcej popularnym kandydatom do krzeseł poselskich.

Podczas wyborów występowała wówczas na arenę polityczną, trzymając pierwsze skrzypce partja „Kadetów”, której radykalny program agrarny miał zdobyć licznych adherentów wśród ciemnej masy włościańskiej. Program ten nie mógł podobać się klasie ziemiańskiej, przewagę przy wyborach mającej, a jednak kilku zdeklarowanych kadetów, gubernja mińska wysłała. Janczewski i Rozenbaum byli wybrani na skutek kompromisu z miastem i gminą starozakonnych, więc o nich mówić nie potrzebujemy, ale zastanowić się wypada nad wyborem p. Al. Lednickiego, tem więcej, że nazwisko jego wskutek działalności i stanowiska, zajętego w ostatnich latach wojny obecnej, nabrało szerokiego rozgłosu.

Aleksander Lednicki, urodzony w Mińsku i tam nieruchomości posiadający, która mu prawo wyborcze dawała, był już naonczas w 1906 r. bardzo znanym i znakomitym adwokatem w Moskwie, gdzie w radzie adwokackiej i partji kadetów dominujące stanowisko zajmował i szeroką popularnością w sferach kolonji polskiej się cieszył. Podczas kampanji przedwyborczej dał się bliżej poznać wśród ziomeków swych mińskich na obiadach politycznych u siostry mojej Kostrowickiej, które grono osób wpływowych gromadziły i ujął swoją wymową i szerokością wygłaszanych poglądów. A że wówczas Tow. Rolnicze wpływ decydujący na wybory wywierało i głos przewodniczącego miał znaczenie, więc zapytałem otwarcie p. Lednickiego, czy uważa za możebne stawiać swoją kandydaturę, nie wyrzekając się zasad kadeckich w kwestji agrarnej, wręcz przeciwnych zapatrywaniom

---

\*) Willa.

kurji ziemiańskiej, tem więcej, że wywłaszczenie ziemiaństwa, równałoby się odpolszczeniu Kresów? Interpelowany p. Lednicki powiedział: „Panie prezesie, zaręczam Sz. Panu, że nigdy za przymusowem wywłaszczeniem ani przemawiać, ani głosować nie będę”. Obietnicę tę nieraz spotykany w kularach Dumy powtarzał i przez cały czas trwania swego poselstwa dotrzymał. Zamieszkał wówczas z żoną w Piotrogradzie, utrzymując wciąż bliskie bardzo stosunki z J. E. biskupem wileńskim Edwardem Roppem.

Wybory do Rady Państwa odbyły się w jednym czasie, jak i do Dumy. Oddawna byłem na to stanowisko przez opinię publiczną przeznaczony, o czem nie mogę powiedzieć, iż nie wiedziałem; ale jednak, kiedy na ostatecznem zebraniu przedwyborczem słowo decydujące wyrzeczone zostało, padło to na mnie, jakby uderzenie pioruna. Czułem, że, przewodnicząc od lat tylu ziemiaństwu, nie miałem prawa wymawiać się od tego obowiązku nader ciężkiego, który na mnie wkładano, ale oderwać się od domu, od roli, od rodziny, od pracy krajowej, że tak powiem, u podstaw, było dla mnie zbyt ciężkiem. Nie wiedziałem, czy potrafię zadość uczynić wymaganiom szerokich horyzontów i, przyjmując tak zaszczytny dla mnie obowiązek, w przemówieniu swoim, odrazu się zastrzegłem, „że równie będę niezależny od wpływów z nad Newy lub Moskwy, jak i od wskazówek z nad Wisły, że żadnych mandatów „imperatif” nie przyjmuję, że będę jak dotychczas szedł w kierunku, wskazanym tylko przez własne sumienie i własne pojęcie o potrzebach tego kraju, który mnie wysyła. Jeżeli takiego chcecie — to jestem gotów”. Oklaski były odpowiedzią i nazajutrz stu głosami przeciw dwóm, zostałem wybrany. Podczas wyborów z przyjemnością zauważyłem, że i obywatele rosyjscy przyjmowali udział w głosowaniu i zaufaniem swoim mnie obdarzali.

Wyszedłem z sali wyborów jakby odurzony, a tu bardzo prędko, bo już na 29 kwietnia było naznaczone otwarcie izb prawodawczych. Cały czas przebyłem w nastroju, jakby jakimś odurzeniu, regulując moje sprawy majątkowe i domowe i jakby biorąc rozbrat z całym mojem dotychczasowem życiem, pracowicie w swoim otoczeniu spędzonem. Tak było aż do wyjazdu.



W Mińsku, po wyborach nie obeszło się naturalnie bez obiadu. Urządzono go w znanej i popularnej w tym czasie restauracji Saulewicza. W ogromnej sali przy dźwiękach orkiestry przyjmowały udział „wszystkie stany”, mów było bez końca, bratanie się, rozczulanie, ale, nie wiem czemu, nie czuło się w tych objawach szczerości, widocznie jej nie było w uczuciach.

Przyszła dzień wyjazdu z domu. Przez Horodziej podążyłem do Baranowicz, aby zdążyć na kurjer kijowski, w którym jechało już wielu „przedstawicieli narodu”. Zamknąłem się w swoim „coupè” i przez okna żegnałem krajobrazy swojskie. Pomimo, że to było 25 kwietnia st. st. upał był formalny i na piaskach koło Niemna, żyto już kłósować poczyniło. I tak los zrządził, że przez trzy lata zgórą mierzyć musiałem tę przestrzeń, między stacją Lachowiczami a Piotrogiem, zużywając swe zdrowie i siły, targając swe nerwy i rozpaczliwie borykając się z przeciwnościami, w nadziei wyrobienia nad Newą lepszych warunków bytu dla krajów, nad Niemnem i Prypecią położonych.

Przyjechawszy do Piotrogiu, dzięki zamówionemu uprzednio mieszkaniu, znalazłem miejsce w „Hôtel de France” na Morskiej, tuż obok arkady generalnego sztabu położonego, w którym następnie większą część swego „trienium” spędziłem. Stolica była przepełniona przyjazdem posłów, ich rodzin, i wogóle obywateli państwa, ciekawie śledzących za pierwszymi krokami izb prawodawczych, nie mówiąc już o cudzoziemcach i reporterach dziennikarskich.

Na przyjazd każdego posła oczekiwał rozesłany, wydrukowany ceremoniał „najwyższego wyjścia” w pałacu Zimowym przy otwarciu izb prawodawczych, porządek dojazdu do pałacu Zimowego i następnie do Taurydzkiego. Naturalnie, jako członkowi Rady Państwa, wypadało jechać kareta. Umowa konfidencyjna między posłami do Rady Państwa z wyborów była taka, aby wszyscy stawili się we frakach bez mundurów i dekoracji. Stąd odrazu nasi koledzy z nominacji w mundurach, szytych złotem i obwieszanych wstęgami orderów nazwali nas „amerykańcami”.

Rada Państwa miała naznaczony podjazd od strony Newy, pod ganek, bodaj nazwany „Jordańskim”, albowiem

przez ten ganek, zda się, cesarz wychodził na paradę święcenia wody, na Trzy Króle. Przez paradne wschody, weszliśmy do rodzaju przejściowej galerji, łączącej Ermitaż ze skrzydłem pałacu Zimowego. Było to obok ogrodu Zimowego, upamiętnionego przed paru laty zamachem na rodzinę panującą. W galerji tej znaleźliśmy się odrazu w gronie naszych kolegów z nominacji, z ciekawością przyglądających się temu nowemu elementowi, który, z wyborów powstały, zaraz wspólnie z nimi obradować zaczęli. Myśmy też mieli sposobność oglądać bliżej osobiście tych, o których dotąd czytaliśmy tylko w gazetach. Albowiem każdy z nich miał już za sobą wielką przeszłość swego zawodu, jak np. hr. Witte, świeży medjator pokoju w Portsmouth i inspirator obecnego wielkiego przewrotu rządów w Rosji, jak p. N. Durnowo, którego twardą rękę, jako ministra spraw wewnętrznych, Rosja jeszcze odczuwała, jak Aleksiejew ex-namiestnik „Dalekiego Wschodu”, jak admirał Dubasow, wielki pogromca Moskwy, i t. d. i t. d. Tam też na razie zamieniłem słów kilka i pierwszy uścisk dłoni ze Stołypinem, nie wiedząc nawet, że już wilją nominację na ministra spraw wewnętrznych otrzymał. Czekaliśmy nie długo, urzędnik dworski wskazał nam drogę dalszego przejścia i zaraz za komnatą, w której, ku wielkiemu naszemu zdziwieniu, spostrzegliśmy w pełnym uzbrojeniu oddział gwardji bodaj preobrażeńcy z oficerem na czele, jako najbliższą ochronę tronu, weszliśmy do olbrzymiej sali, wspaniale przybranej, gdzie wskazano nam miejsce na podwyższeniu z prawej strony tronu, w pobliżu, gdzieśmy stanęli, mając naprzeciwko siebie z lewej strony tronu, członków senatu, a dalej za senatem, członków Dumy, a za nimi przedstawiciele rozmaitych instytucyj państwowych, cywilnych i wojskowych, których nawet końca widać nie było. Środkiem sali biegł szeroki chodnik szkarłatny, rozdzielający salę na stronę prawą i lewą i kończący się u podniesienia, na którym stał złocisty tron, pojedynczy, z przewieszonym przez poręczę płaszczem ze złotogłowiu, wyszytym w herby państwowe i gronostajami podobnym.

Nie będę wyliczał porządku pochodu osób, mających urzędy dworskie, regalja niosących, między którymi poznałem tylko hr. Adama Platera, marszałka wileńskiego i nie będę

wspominał szeregu dam dworskich głęboko wydekoltowanych niezależnie od wieku i klejnotami, jakby jakie ikony obwieyszonych. Muszę tylko wspomnieć o wrażeniu, jakie na mnie dwie cesarzowe wywarły: cesarzowa matka szła z miną, jakby zagniewana, zdawało się myśli: „gdyby mój mąż żył, nie byłoby tych nowych porządków i wieluby tych „przedstawicieli ludu” z pałacu precz wyrzucić kazał”. Cesarzowa zaś panująca Aleksandra Teodorówna, szła ogromnie wzruszona. Każdemu się zdawało, że myśli o swym synu, że w chwili obecnej rozstrzygają się losy jego przyszłego panowania, zależnie od obrotu, jaki nowy ustrój państwowy w Rosji przyjmie; porównywaliśmy ją do Marji Antoniny w epoce zebrania „Etats généraux”. To też nasze sympatje, towarzyszyły jej, jako matce i rozumieliśmy trwogę jej serca. Obie cesarzowe zajęły miejsca stojące obok tronu, w pewnym jednak od niego oddaleniu, tuż przed Radą Państwa.

Zabrzmiały dźwięki hymnu narodowego i zaczął iść przez salę cesarz, poprzedzany przez wysokich urzędników, niosących sztandar i miecz państwowy—berło i jabłko samodzielnawne: blade, wzruszony, usiadł na tronie, podano mu odezwę, którą wstawszy przeczytał. Myśmy ją dokładnie słyszeli, reszta, stojąca dalej, pewnie niezupełnie. Jedno nas zastanowiło, że przemawiając do całego narodu, podkreślał specjalnie sprawę „drogich sercu memu włościaw” wówczas, gdy żadnymi innymi epitetami inne stany nie oznaczał. Takie kokietowanie przez władcę, rzadko pożądany skutek odnosi, to też po odczytaniu manifestu zabrzmiało hura! ale niezbyt doniosłe, bo przeważnie tylko przez starszawków z Rady Państwa, Senatu i t. p. zainicjowane i ze zrozumieniem doniosłości chwili, kiedy karta historii państwa bezpowrotnie się przewraca, a więc z pewnym wzruszeniem. Otóż te „hura” nie było prawie zupełnie przez członków Dumy, złożonych przeważnie z tych „drogich włościaw” podtrzymywane. Później dowiedzieliśmy się od naszych posłów z Dumy, że przejście tych świetnych orszaków bynajmniej posłom do Dumy nie zaimponowało. W złocistych dekoracjach widzieć chcieli „krew i pot ludu”, a wdzięki dam dworskich były w sposób zbyt cyniczny komentowane, aby to powtarzać tu było można. Po okrzykach „hura” zabrzmiały znów trąby wojenne hymnem

„Kol sławien”. Cesarz i cały orszak w odwrotnym kierunku wyszedł z sali. Kiedy stałem jeszcze w zamyśleniu podszedł do mnie Stołypin i zapytał, jakie wrażenie wyniosłem. Odpowiedziałem mu, że „byłem zdziwiony, iż z tego środowiska, o którym najjaśniejszy pan najserdeczniej się odzywał, żaden okrzyk prawie, na jego cześć nie powstał, a ci, o których specjalnie nie wspominał, ci jedni go podtrzymali”. Stołypin ruszył ramionami i powiedział: „Jedźmy do Dumy, zobaczymy jak tam przejdzie”? Pamiętam, te same wrażenie odniósł też Witte, bo po upływie kilku tygodni potem, pytając mnie: „co pan myśli, czy z tej Dumy coś wyjdzie”? Pośpieszył odpowiedzieć: „Nic z niej nie będzie, bo tylko miłość jest twórczą, a tego uczucia nie widziałem u tych ludzi, dla których najjaśniejszy pan tyle uczynił i tyle jeszcze uczynić zamierza. Widziałem u nich tylko nienawiść do tego wszystkiego, co nad tłum ten się wywyższa”.

Z pałacu Zimowego do Dumy, w Taurydzkim pałacu, kawał drogi nie mały; jechać trzeba było bardzo powoli, albowiem im bliżej celu, tem tłumy były więcej zwarte, a na Szpalernej ulicy już było tak ciasno, że karety ledwo się przesuwały i gęsto rozstawiona straż konna policyjna i wojskowa nie zawsze już mogła być panem sytuacji.

Im bliżej było Taurydzkiego pałacu, tem głośniejsze były okrzyki tłumu: „Amnestja, Amnestja”. Trzeba albowiem wiedzieć, że od czasów procesyj haponowskich aż do ostatnich czasów masa ludzi było deportowanych lub uwięzionych za rozmaite demonstracje i knowania polityczne.

Jadących członków Rady Państwa tłum w niektórych karetach rozpoznawał i witał owacyjnie; drugie jechały ze spuszczonej firankami u okien w obawie wrogich demonstracji.

Pałac Taurydzki, dźwignięty w pośpiechu wszechpotężną wolą Katarzyny, dla przyjęcia Potiemkina, wracającego z wyprawy na Krym, mniej okazały nazewnątrż, ładne ma bardzo sale wewnątrz w stylu ówczesnej epoki zbudowane i udekorowane. Powiadali tylko, że budowa nie jest dosyć solidna wobec krótkości czasu, danego przez imperatorową architektom, na wykończenie. Twierdzono, że kolumnady wewnętrzne są z drzewa, tylko stiukiem pokryte. Jednak przestał



prawie półtora wieku, bo opadnięcie sufitu, które później nastąpiło, miało miejsce w sali już ostatnimi czasy, na posiedzenia Dumy restaurowanej, a zatem mogło się tyczyć robót nowoczesnych i mogło być na karb nieudolności współczesnej zapisane.

Przyjechawszy do pałacu i wchodząc do łoży, przeznaczonej dla członków Rady Państwa, znów się spotkałem ze Stołypinem, który, otwierając drzwi do łoży i wchodząc równocześnie ze mną, rzekł: „No wchodząc przeżegnajmy się i podajmy sobie ręce do wspólnej pracy”. Czyżby on już wówczas miał na myśli te propozycje, które miał po 3 miesiącach bliżej określić?

Sala była przepelniona, a taki stan naprężenia dawał się odczuwać, że zdawało się dosyć najmniejszego incydentu, aby wybuch spowodować. Ponieważ prezes Rady Państwa, zniedołężniały hr. Solski, był niezdrów, na krześle prezydjalnem zasiadł wice-prezes Frisz. Odczytał orędzie cesarskie i polecił zgromadzeniu przystąpić do wyborów prezesa Dumy Państwowej. Z powodu manipulacji oddawania i obliczania głosów, sprawa ta przeciągnęła się dosyć długo, chociaż każdemu było wiadomo, że kadeci, będący w Dumie panami sytuacji, na to miejsce już zgóry nazaczyli Muromcewa, adwokata z Moskwy, człowieka ze wszech miar odpowiedniego na to zaszczytne stanowisko. Po dokonanych wyborze, rzeczywisty radca tajny Frisz ustąpił miejsce Muromcewowi, który przy frenetycznych oklaskach, zajmwszy fotel prezydjalny, podziękował za zaufanie i zaszczyt, któremi został obdarzony i zaproponował „wygłosić „hura” na cześć naszego konstytucyjnego monarchy”. Użycie tego terminu, nigdzie urzędowo nie uwzględnionego i nie aprobowanego wywarło burzę oklasków i grzmiące „hura”, które bez tego zaznaczenia, czy może wybiegu, bardzo słabem echem na sali by się odbiło. Jednocześnie na trybunę wskoczył jeden z braci Petrunkiewiczów \*) i krzyknął słowo „amnestja”, które nowy huragan wywołało. Poczem Maromcew zaraz odroczył następne posiedzenie, aby stosownie do regulaminu, zaraz jechać

---

\*) Petrunkiewiczowie głośni działacze ziemscy z gub. Twerskiej posłowie do Dumy z partji kadeckiej. p. w.

do Carskiego Siola przedstawić się najjaśniejszemu panu. Nota bene, podczas obliczania głosów, gdy już sprawa wyboru prezesa była poniekąd przesądzoną, ówczesny prezes Rady Ministrów Goremykin, typ zastarzałego na wysokich urządach biurokraty, wziął pod rękę Muromcewa i udał się z nim za trybunę, do półokrągłej części sali posiedzeń, aby z nim niektóre sprawy bieżące, niecierpiące zwłoki, omówić. Narada ta najmniej godzinę trwała i zwróciła ogólną uwagę.

Otwarcie Rady Państwa miało miejsce w wielkiej sali szlacheckiej, przy placu Michajłowskim, albowiem tak nazwany „Pałac Maryjski” nie był jeszcze odpowiednio przerobiony. Odbyło się to naturalnie bardzo spokojnie, ceremonjalnie z molebieniami najwyższego duchowieństwa stolicy i z cudownymi śpiewami kapeli dworskiej.

I tak zaczęło się w państwie niby życie nowe, wprawdzie więcej obawami niż nadziejami brzemiennie, albowiem rząd nigdy nie chciał iść szczerze w kierunku zapowiedzianych manifestami reform, których spełnienia posłowie się wciąż dobijali, zapominając, że sami pomimo nastroju, niby wolnościowego, wzbraniali się spełnić wobec kresów przyrzeczeń, tak ostentacyjnie manifestowanych podczas zjazdów „ziemców” i kierunku nacjonalistycznemu wciąż hołdownali.

Po skończonych uroczystościach inauguracyjnych trzeba było pomyśleć o stałym mieszkaniu, co nie było rzeczą łatwą, wobec nagłego przeludnienia stolicy. Jednak udało mi się znaleźć odpowiedni do zajmowanego stanowiska apartament umeblowany ze służbą i wszelkimi wygodami na „Sapernym” Nr. 19, który mnie ustąpiła baronowa Graewenitz, matka byłego marszałka powiatu pińskiego z nominacji, a ówczesnego gubernatora gdzieś w Noworosji. Sama wyjechała zagranicę. Mieszkanie to było prawie na połowie drogi między Dumą, a Radą Państwa, więc z tego względu bardzo wygodnie położone. Tam też przemieszkałem przez cały czas istnienia I i II Dumy. Podczas kadencji III Dumy mieszkałem z początku na Morskiej Nr. 56 obok kirchy, lecz najdłużej w „Hôtel de France”.

Przdstawicielstwo polskie w Radzie Państwa i I-ej Dumie było liczebnie dosyć poważne, albowiem przy 412 posłach do Dumy z całego państwa, Królestwo Polskie miało 36-ciu

posłów, przy tem tak zwany urzędowo „Kraj Zachodni” dał do I-ej Dumy zgórą 20 posłów. W Radzie Państwa było Polaków 18, z których 7-iu z Kongresówki, 9-iu z Kraju Zachodniego (po jednym z gubernji), a 2-ch przygodnie wybranych w sferach przemysłu rosyjskiego, a mianowicie: St. Glezmer z Piotrogradu i Wincenty Poklewski-Kozieł z Uralu. Tak liczne przedstawicielstwo, bo 36-iu, Królestwo zawdzięczało umiejętnemu wzięciu się do sprawy u władz zwierzchnich w Warszawie posła do Rady Państwa Eustachego Dobieckiego. Niestety, nie trwało to długo; rząd się spostrzegł, że głosy polskie zbyt poważnie ciążą na postanowieniach Dumy i przy następnych wyborach liczbę posłów do Dumy z Królestwa do 6-ciu zredukował. Z drugiej strony posłowie z Królestwa, mało się orientując w atmosferze sfer rządzących, zachowaniem się swoim nie mało się do tej redukcji przyczynili, o czem będzie niżej.

Skład członków Rady Państwa, Polaków, z 9-ciu gubernij zachodnich był następujący: z kijowskiej St. Syroczyński; z podolskiej Wacław Jełowicki; z wołyńskiej hr. Jan Olizar; z wileńskiej Hipolit Korwin-Milewski; z grodzieńskiej Dymitr Korybut-Daszkiewicz; z kowieńskiej Aleksander hr. Tyszkiewicz; z mohylowskiej Aleksander Wykowski (kadet, prędko z Rady Państwa wystąpił i na jego miejsce był wybrany Władysław Woynicz-Sianożęcki); z witebskiej St. Łopaciński; z mińskiej Edward Woyniłłowicz. Posłami do Rady Państwa z Korony byli: Eustachy Dobiecki, baron Leopold Kronenberg, Józef hr. Ostrowski, Ant. Napiórkowski, Konst. Przewłocki i Stanisław Gawroński i od miasta Warszawy Stanisław Rotwand. Z powodu opóźnienia wyborów, posłowie ci przybyli do stolicy z pewnem opóźnieniem.

Przed przyjazdem posłów z Królestwa, zbieraliśmy się początkowo w gościnnem mieszkaniu kolegi hr. Tyszkiewicza na narady prywatne. Następnie, gdy się wszyscy posłowie zjechali, otworzył nam swój apartament baron Kronenberg na Mochowej Nr. 14 i tam z małemi wyjątkami, przez cały prawie czas istnienia izb prawodawczych, miały miejsce narady posłów do Rady Państwa.

Masę czasu zajęła nam redakcja regulaminu naszego koła w Radzie Państwa. Wiedząc z praktyki, że biurokracja

rosyjska zawsze bardzo podejrzliwie zapatruje się na wszelką solidarność wschodnich kresów z Koroną i zresztą sami będąc przekonani, że czasem może się zaznaczyć odrębność interesów tych obu dzielnic, postanowiliśmy jednomyślnie, że mają istnieć dwa koła, każde ze swoim prezesem, zsolidaryzowane tylko jednym regulaminem i osobą jednego wspólnego prezesa. To była strona formalna sprawy; w rzeczy samej pracowaliśmy i szliśmy zawsze solidarnie. Parę razy może do roku zdarzała się konieczność obrad poszczególnych tego lub drugiego koła, i wówczas decyzję odnośnego koła prezes wynosił na „forum” wspólnych obrad zjednoczonych kół, które były obowiązane popierać siebie wzajemnie solidarną akcją na plenarnem posiedzeniu Rady Państwa.

Każdy, który miał możność śledzenia obrad w izbach prawodawczych, rozumie, jaką ważną rolę odgrywa regulamin i dlatego z wielką rozważą wzięliśmy się do ułożenia swego regulaminu. Doświadczenie przedstawicielstwa polskiego w Wiedniu i Berlinie, poparte materiałami i uwagami, dostarczonemi przez takich statystów jak J. Ostrowski i E. Dobiecki, ułatwiło nam zadanie i po wielu debatach został przez nas opracowany i przyjęty „regulamin związku kół Królestwa Polskiego i krajów Litwy i Rusi w Radzie Państwa w Petersburgu”, który w oryginale, w przypisach jest dołączony. Przyznać trzeba, iż regulamin ten był bardzo twardy, indywidualizm posłów bardzo krępujący, ale narazie okazał się bardzo pożyteczny, albowiem zespół posłów naszych na początku nie był jeszcze dostatecznie wyrobiony ani politycznie, ani parlamentarnie. Może dzięki temu regulaminowi, udało się przedstawicielstwu naszemu uniknąć kroków fałszywych i wyrobić sobie zaszczytną powagę w Radzie Państwa\*).

Po wypracowaniu regulaminu nastąpiły wybory, naprzód w oddzielnych kołach: na prezesa posłów do Rady Państwa z Królestwa wybrany został Józef Ostrowski, a na prezesa posłów z Litwy i Rusi Edward Woyniłłowicz. Następnie jednogłośnie na wspólnego prezesa obu kół Edward Woyniłłowicz, a na wice-prezesa Józef Ostrowski, sekretarzem został Kon-

---

\*) Por. Korwin-Milewski, 233 sp.



stanty Przewłocki. Prezesostwo to piastowałem przez kadencję I i II Dumy; gdyśmy się zebrali na III Dumę, {prezesem obu kół został wybrany Eustachy Dobiecki, a prezesem z Litwy i Rusi hr. Olizar. Tak było do końca kadencji naszej, która zamiast 3 lat, cztery lata się przeciągnęła.

Prezesostwo to było wielce zaszczytne, ale pełnienie obowiązków prezesa wcale łatwym nie było: po pierwsze, miało się do czynienia z ludźmi, którzy wszędzie w swojej prowincji, stanowisko przodujące zajmowali, wszędzie byli „prezesami”, a zatem przyzwyczajonymi do uległości innych, a nie do ulegania samym; powtóre, większość miała wyrobione i naprzód powzięte przekonanie, że „Woyniłłowicz wszystkich za nos wodzi”, więc trzeba jemu pokazać, że tutaj arbitralnym być nie pozwolimy. Zresztą było to w tradycjach szlacheckich oddawna króla wybrać na Woli, a potem jemu życie możliwie ciężkiem na tronie uczynić. Musiałem więc bardzo siebie i drugich pilnować, aby żadnem nieporozumieniem solidarności Koła nie zamącić i nie dać miłego obcym widoku niesnasek naszych. Czy mi się to udało, powiedzą o tem koledzy moi.

Nie będę tutaj o nich wspominał, a raczej nie będę ich charakteryzował; wielu z nich żyje jeszcze, są to ludzie zbyt znani w społeczeństwie naszym, aby świadectwa mojego potrzebować mieli. Muszę tylko zaznaczyć, że w trudnych wypadkach zawsze znajdowałem życzliwą i doświadczoną poradę, wieloletnią pracą na niwie społecznej uzasadnioną, u kolegów moich z Królestwa: Dobieckiego i Kronenberga, tudzież pozostała mi pamięć wdzięczna o niezmałym niczem stosunku przyjaznym z kolegami moimi z kresów: hr. Olizarem, Jełowickim, hr. Tyszkiewiczem i Korybut-Daszkiewiczem. Ponieważ według praw zasadniczych państwa wszelkie sprawy prawodawcze musiały być uprzednio rozpatrywane w Dumie, zanim przejdą na „forum” Rady Państwa, zatem w początkowych paru tygodniach, zanim materiał z izby niższej nie nadszedł, posiedzenia plenarne Rady Państwa były względnie rzadkie i tyczyły się przeważnie koło układania swego regulaminu. Poza tem zbierano się często nieoficjalnie w pałacu Maryjskim dla debatowania o sprawach bieżących i poznawania siebie wzajemnie, przyczem odrazu zarysowały się nie partje, bo tych w Radzie Państwa nie było, ale trzy grupy: prawica, centrum

i lewica. Prawica, liczebnością swoją mało co centrum przynosząca, ale więcej jednolita, składała się przeważnie z członków z nominacji, ludzi starszych, wytrawnych, z długą przeszłością służbową i doświadczeniem administracyjnym, z wielką rutyną biurokratyczną, nie mogących się pogodzić z nowym porządkiem rzeczy. Centrum, składające się przeważnie z członków z wyboru, marszałków szlachty, ziemców i liberalniejszego odłamu wyższej administracji. Nakoniec lewica, zaledwie kilkunastu członków licząca, składała się z profesorów uniwersytetów i lewicowych ziemców. Poza tem było jak zwykle kilku „dzikich”.

Według spisu członków Rady Państwa z roku 1908, wszystkich „członków zasiadających” (prysutstwujuszczych) było 194, z których połowa zasiadała z nominacji, a połowa z wyborów. Z tej liczby 80—100 było zapisanych do grupy centrum, zatem przewaga przy głosowaniu powinna byłaby zawsze być na stronie centrum, ale że centrum nie było partją, a tylko grupą i regulamin do solidarności przy głosowaniu na posiedzeniu plenarnem nie obowiązywał, i że przytem część członków w duszy ciążyła ku prawicy, więc nie zawsze postanowienia grupy centrum o losach noweli prawodawczej przesądzały na ogólnych zebraniach. Z biegiem czasu w Dumie i w Radzie Państwa zaczęły się ujawniać tendencje nacjonalistyczne. W dumie na czele nacjonalistów stanął Bałaszew, wielki właściciel ziemski z Rusi, jednocząc koło siebie przeważnie rosyjskich „diejatielej” z kresów zachodnich państwa. W Radzie Państwa odłam taki uformował szwagier Stołypina A. B. Nejhardt; ten odłam, z kilkunastu zaledwie członków złożony, w gruncie ku prawicy silnie ciężący i wyzyskujący za kulisami często swe stosunki z wszechpotężnym premierem, najczęściej był tą wskazówką, która o przechyleniu się szali w tę lub drugą stronę stanowiła i często najwięcej zasadnicze sprawy rozstrzygała.

Członków Rady Państwa było daleko więcej, niż wspomniana liczba 194, godność członkowska z nominacji była dożywotnia. Co roku, w grudniu, rząd ogłaszał spis tych członków, którzy z woli najwyższej w ciągu roku zasiadać mieli i korzystał z tego przywileju, aby usunąć z listy tych, którzy w roku ubiegłym nie według jego życzeń głosowali.

Tym sposobem większość rządowa w Radzie Państwa była poniekąd zawsze zapewniona.

Sprawa amnestji, że się tak wyrażę, przez ulicę na porządku dziennym Dumy postawiona, naturalnie musiała być poruszoną naprzód na nieoficjalnych posiedzeniach członków Rady Państwa, nim pod obrady plenarne wniesiona została. Na jednym z takich posiedzeń w pałacu Maryjskim, bodaj pod przewodnictwem ks. Piotra Trubeckiego, pierwszy raz głos zabrałem, dowodząc w swem przemówieniu, że amnestja może tylko obejmować przekroczenia przeciwko prawu publicznemu, a nie prywatnemu; powoływałem się na uprzednie wszystkie manifesty, wydawane z powodu rozmaitych radośnych wypadków w państwie, lub rodzinie panującej, w których najjaśniejszy pan przebaczał występki polityczne, zakłócenie spokoju publicznego, sprawy propagandy lub prasy, ale nie mógł darowywać naruszenia praw osobistych poszczególnego obywatela i t. p. Żadnych przemówień swoich nie przechowywałem na piśmie, więc i tu ani powtarzać, ani przechwalać swego przemówienia nie będę, a jeżeli tutaj o tem wspomniałem, to dla tego, że to przemówienie pewien wpływ na całe moje osobiste stanowisko w Radzie Państwa wywarło, jak często drobna okoliczność większy wpływ na bieg wypadków wywiera, niż program od dawna obmyślany. Gonczarow, który wówczas organizował prawicę, przysłał mi zaproszenie na ich zebranie organizacyjne, myśląc, że do nich wstąpię. Minister dworu hr. Fryderyks i nacelnik kwatery cesarskiej gen. Rychter podeszli ze mną się zapoznać. Hr. Witte przysiadł się do mnie na dłuższą rozmowę i zaprosił, abym zachodził do niego, z czego naturalnie, nie nadużywając, korzystałem i pewien, że się tak wyrażę, stosunek zaufania się zawiązał. Pamiętam, odwiedzał mnie w hotelu. A gdy nawet raz zaszła konieczność w spóźnionej porze zasięgnąć jego rady, zapytany przez telefon przyjechał samochodem do mnie o g. 1 w nocy, co wielki efekt w hotelu sprawiło. Bo aczkolwiek hr. Witte, równocześnie z otwarciem izb prawodawczych podał się do dymisji, ale każdy go miał za człowieka, który jeszcze swego ostatniego słowa nie wypowiedział i jeszcze może się zjawić jako człowiek opatrnościowy w nagłej potrzebie państwowej.

Takie zebrania nieoficjalne były bardzo pożyteczne; ludzie z tak odległych krańców państwa zebrani, musieli koniecznie zapoznać się z sobą i zastosować się po części do tej atmosfery dawnej Rady Państwa, która przecież z dnia na dzień przeistoczyć się nie mogła. Na jednej z takich sesyj były minister rolnictwa A. S. Jermołow, ks. P. N. Trubeckoj i ludzie z nimi jednomyślni postanowili zorganizować tak nazwaną „grupę centrum”, ku czemu program gotowy przynieśli. Program ten wydał się mnie zupełnie możliwym do przyjęcia. Zresztą rozumiałem, że do prawicy, odrzucającej wszelką konstytucyjność, zapisać się nie możemy, z lewicą zaś dzieli nas kadecki program agrarny, zawisnąć zaś między niebem a ziemią nie może być nigdy wskazaniem. Interpelowany przez inicjatorów, odrazu zgodę wyraziłem i na liście organizatorów tej grupy, jeden z pierwszych swój podpis położyłem, bo nie zawsze wahać się i zwlekać jest pożyteczne. Byli tem trochę zgorszani koledzy moi, gdy im to w parę godzin po fakcie na zebraniu u hr. Tyszkiewicza oznajmiłem, podkreślili, że krok taki poważny uczyniłem bez porozumienia się z nimi, ale to odrazu nasze stanowisko w Radzie Państwa określiło i ustaliło i chyba nikt tego później nie żałował.

Na prezesa grupy centrum powołany został prawie jednomyślnie książę Piotr, syn Mikołaja, Trubeckoj, marszałek szlachty gubernji moskiewskiej, brat przyrodni znanego profesora Eugenjusza Trubeckiego, pan olbrzymiej fortuny, dającej mu stanowisko niezależne wobec rządu, ten sam, który w swoim czasie wraz z innemi wybitnemi osobistościami zjawił się w Carskiem Siole i miał odwagę cywilną konieczność reform, w duchu konstytucyjnym zapoczątkowanych, cesarzowi przedłożyć. W stosunku do spraw koła naszego ks. Trubeckoj był zawsze zupełnie „correct”, a dla mnie specjalnie najżyczliwszy, tak, że wielokrotnie bytność swą w Sawiczach zapowiadał. Zginął tragicznie, zabity w coupé wagonowem na południu Rosji z powodu zejść na tle romantycznym\*).

Jeżeli wstrzymałem się od charakterystyki kolegów swoich z „Koła Polskiego” w Radzie Państwa, to żadne względy mnie

---

\*) Trubeckoj zginął zabity przez swego siostrzeńca W. Kristi. p. w.



nie krępują, co do wybitniejszych moich kolegów Rosjan, bądź z nominacji, bądź z wyboru, a z którymi bliżej zejść się musiałem. Wogóle wyznać trzeba, że stosunek ich do nas szczerzy, czy nieszczerzy, ale był zawsze prawie „correct”, i jeżeli nie liczbą, to solidarnością, tudzież kulturalnością poglądów wzbudzaliśmy dla siebie poważanie.

Naturalnie, pierwsze miejsce zająć w tym szeregu musi początkowo tylko minister spraw wewnętrznych, ale w niedługim czasie już premier, Piotr, syn Arkadiusza, Stołypin. Bezwarunkowo była to osobistość niepospolita, jednostka idąca wciąż drogą swoich przekonań, jasno określonych, nie zważająca na warunki, wśród których tę drogę torować wypada i usuwająca bez wahania to wszystko, co jej na tej drodze zawadzało. Nacjonalista nieubłagany, który już pomiataną na ulicy władzę podjął i ożywił, a ustrój biurokratyczny, chyba po raz ostatni, jako silnik w pracy państwowej użył. Miał odwagę targnąć się na wspólnotę wsi rosyjskiej, i w przeprowadzeniu kolonizacji (chutory) i zcaleniu gruntów włościańskich widział rozwiązanie głównych niedomagań agrarnych. Gdyby nie ulubione i wciąż powtarzane przekonanie „naprzód porządek, a później reformy”, możeby dokonał swego zadania i nie miał tak tragicznego końca.

Syn porządnej i ustosunkowanej rodziny szlacheckiej, fatalista, co mu ogromnej odwagi w trudnych okolicznościach życia dodawało, początkowe wychowanie otrzymał w Wilnie, jako syn urzędującego tam biurokraty. Może stosunek z kolegami, przeważnie Polakami, zadrasnął w czem jego uczucia narodowe, że stał się zawziętym nacjonalistą. Zresztą jest to pewnik psychologiczny, że zawsze nie lubimy tych, względem których mamy sobie coś do zarzucenia, więc np. cały zastęp partji nacjonalistycznej w Dumie, rekrutował się prawie wyłącznie z tych Rosjan, których przywileje służbowe na kresy sprowadziły, którzy fundusze tam porobili lub donacje otrzymali i których uczucie krzywdy, przez ludność rdzenną ponoszona, nieprzychylnie względem tejeż ludności usposobiło. Było w tem uczuciu zrozumienie tego pewnika, że niechże ta ludność równouprawnienie otrzyma, przywileje ich przez to samo istnieć przestaną. Stąd też i Stołypin wzrastał w usposobieniu nieprzychylnem dla kresów zachodnich i dla przed-

stawicieli inteligencji polskiej na Kresach, z którą się wówczas jedynie liczono. Nie była zapewne bez wpływu i ta okoliczność, że Stołypin był żonaty z Olgą, córką Borysa Neidhardta, siostrą Aleksego, członka Rady Państwa, organizatora i przywódcy partji nacjonalistów swego imienia w Radzie Państwa.

Karjerę swoją urzędniczą zaczął Stołypin od marszałkostwa, najprzód powiatowego, a potem gubernjalnego, naturalnie z nominacji, w Kowieńszczyźnie, gdzie duże dobra posiadał. Następnie został gubernatorem grodzieńskim, potem w trudnych już okolicznościach głodowych zaburzeń, został gubernatorem saratowskim, skąd, krocząc szybkimi krokami stanął na piedestale premjera, po ustąpieniu hr. Wittego i po krótkim urzędowaniu zniedołężniałego już Goremykina.

Partja kadetów, rej wiodąca w Dumie, pierwszy raz się spotkała w osobie Stołypina z ministrem, z którego osobą i argumentami liczyć się poważnie trzeba było. Zwykle z łoży ministerjalnej występowali na mównicy w Dumie ludzie, którzy poza tem, co głosił katechizm biurokratyczny, nie wiele co nowego powiedzieć mogli, to też porządek dzienny, naznaczony przez prezesa Dumy, kadeta, zawsze był uprzednio starannie przedyskutowany na Potiemkińskiej ulicy, w lokalu kadeckim, którzy, mając zapewnioną większość w Dumie, już z góry lekceważyli wszelkie wyjaśnienia, które z debatów wypłynąćby mogły i pisali gotową formułę do głosowania lub do przejścia do porządku dziennego, który miał proponować prezes Izbie. Aż tu na drodze stanął Stołypin. Pamiętam, miałem naznaczoną godzinę bytności u szanownego profesora Petrażyckiego, wówczas na Mojce zamieszkałego; przychodzę, czekam długo, profesora niema; wraca nareszcie zmęczony, zaaferowany i prosi, abym przyszedł w inny dzień, albowiem nawet minuty wolnej nie ma. Musi bowiem dla przewodniczącego przeredagować inną formułę, albowiem ta, która była wypracowana, po pierwszym przemówieniu w Dumie Stołypina, już nie wystarcza. A zatem zjawił się na trybunie minister, z którego wywodami już się liczyć trzeba i którego, przyznać trzeba, zawsze z największą uwagą słuchano. A mówić umiał, jak nie wielu, bo i postawę miał dobrą i głos doniosły i pewien ton lekceważenia przeciwnika i odwagę fatalisty.

Pamiętam np. dzień opadnięcia sufitu w Dumie. Wybierałem się właśnie na posiedzenie, otrzymuję w tej chwili telefoniczne zawiadomienie od życzliwej mi osoby, abym do Dumy nie jechał, bo „tam coś niedobrego” się dzieje. Naturalnie, ta wiadomość jeszcze więcej zachęca. Podjeżdżam do podjazdu, gdzie było wejście dla członków Rady Państwa, znajduję tam kolegów: Trubnikowa (z kazańskiej) i Rodziankę, który następnie przeszedł do Dumy i był jej ostatnim prezesem. Drzwi zamknięte, nikogo nie przepuszczają, nie podając żadnego powodu. Jedziemy razem do głównego ganku, z którego wejście dla członków Dumy; żądają od nas biletu, naturalnie nie mamy, posyłamy nasze bilety do prezesa Dumy, Gołowina—puszczają. Cała pierwsza okrągła sala i następna, tak zwana sala „Katarzyny”, przepelnione członkami Dumy, w największym podnieceniu tłoczących się, gestykujących. Co się stało? Powiadają: „Rząd, chcąc się jednym zamachem pozbyć przedstawicielstwa narodowego, urządził katastrofę, cały sufit z sali posiedzeń z deskami, opadł i pokrył jakby jednym pomostem miejsca, które za godzinę miały być przez posłów zajęte, fotele zmiażdżone, żywa dusza by nie uszła”. Takie zdanie przeważa u posłów, stąd ten nastrój nerwowy, zdaje się, jedna iskierka i wybuch gotowy.

Śpieszymy na miejsce katastrofy, na salę posiedzeń; na pomoście, powstałym z leżącego na fotelach sufitu, chodzą pojedynczy posłowie, pytam jednego z frakcji muzułmańskiej, czego szuka? Szuka swego miejsca w Dumie, bo chce wiedzieć, gdzie to jego śmierć spotkać miała i wskazuje na część sali, zajmowanej przez skrajną prawicę, któraby wypadkowi nie uległa, bo róg sufitu nad nią nieopadnięty pozostał. Naturalnie, to jeszcze więcej utwierdza posłów w przypuszczeniach organizowanego zamachu i nikt nie chce zwrócić uwagi, że i ponad skrajną lewicą, takież sam róg sufitu nieopadnięty pozostał, więc to był naturalny wynik budowy sufitu, a nie uplanowana zbrodnia.

Dzwonek przewodniczącego wzywa posłów na posiedzenie do sali okrągłej. Ciasno, o siedzeniu niema mowy, wszyscy się tłoczą stojąc, huczy jak w ulu i wtedy, przez ten tłum wzburzony, dyszący podejrzaniem i zemstą, przesuwają się Stołypin z teką pod ramieniem. Stanąwszy obok prezy-

dującego, chce czytać swą znakomitą, historyczną deklarację, mającą się kończyć temi słowy: „a kiedy zechcecie powiedzieć rządowi ręce do góry, ja odpowiem, nie zastraszyście”. Chce czytać, gdy jak wspomniałem, nastrój był taki, że jednej iskry starczyło, aby wstrząsnąć atmosferą zebrania, kiedy jedno pchnięcie nożem, przy przeciskaniu się przez tłum rozmaitych socjal-rewolucjonistów, przerwałoby pasmo jego żywota, ale on zapowiedział na dzień dzisiejszy swą deklarację i on się nie cofa.

Na szczęście prezesowi Gołowinowi i innym członkom prezydium udało się przekonać Stołypina, że deklaracja jego, w obecnych warunkach, nie może być wysłuchana z należytą rozważą, ani zrozumianą dostatecznie i że proszą w imieniu Dumy o odłożenie na dzień inny. Stołypin ustępuje i znów błądy, ale spokojny, przesuwają się przez ten tłum i odjeżdża, a Duma wyznacza „ad hoc” komisję dla zbadania przyczyny katastrofy i określenia czasu na odbudowę i rozchodzi się po klubach i zebraniach partyjnych. Dla ścisłości zaznaczę, że dla przyspieszenia odbudowy sufit miał być tylko deskami podbity, a Duma odbyła następne posiedzenie w sali szlacheckiej, w której zasiadała Rada Państwa. Byłem obecny w łoży, co nawet możnaby sprawdzić na zdjętej wówczas, w chwili otwarcia posiedzenia, fotografii. Gdy Stołypin wstąpił na trybunę, cała grupa socjalistów-rewolucjonistów rzuciła się w tę stronę i otoczyła trybunę; i on im przy końcu mowy rzucił prosto w twarz: „Wam potrzebna anarchja, a nam wielka i potężna Rosja” i zakończył historycznemi słowy, które już uprzednio przytoczyłem.

Aby skończyć z charakterystyką tego jedyne go w owym czasie męża stanu, muszę wspomnieć o moim osobistym do niego stosunku. Poznałem go naprzód w Mińsku, jak to w swoich wspomnieniach już zaznaczyłem, a odnowiłem znajomość przy pewnym odcieniu życzliwości z jego strony, przy otwarciu izb prawodawczych. O ile przypominam, podczas kadencji I Dumy wcale go nie odwiedzałem; dopiero, gdy Duma została rozwiązana, a Rada Państwa tylko odroczone, uważałem za stosowne pojechać go pożegnać. Było to już latem, Stołypin mieszkał w „daczy ministerskiej” na wyspie „Aptekarskiej”. Dom wielki, piętrowy, ale drewniany, nad



brzegiem odnogi Newy, zasadzonym lipami. U brzegu kołysał się parostatek, wciąż w pogotowiu, by od płynąć do Peterhofu, gdzie ówczasie dwór cesarski rezydował. Przedpokój willi obszerny, pełny rozmaitych szwajcarów, kurjerów, żandarmerji, dalej niewielki przejściowy pokój, w którym siedział stale udekorowany starszy urzędnik, o ile pamiętam, Jabłoński i młodziutki, widocznie uzdolniony do swych obowiązków, oficer żandarmerji, który niby nic nie widział i nie słyszał, tak był zaczytany w dzienniku „Nowoje Wremia”. Za tym pokojem była wielka sala posiedzeń, ze zwykłym szeregiem foteli i długim stołem, tradycyjnym zielonym sukniem pokrytym. Za salą obszerny gabinet premiera. Spotkany nader uprzejmie, powiedziałem, iż przyjechałem go pożegnać przed wyjazdem na ferje. Stołypin dziękował, że o nim pamiętałem i że w dobrą porę go odwiedziłem, albowiem potrzebował koniecznie ze mną się porozumieć. Więc zatrzymał mnie na dłuższą rozmowę i zaczął od tego, iż, ponieważ sprawa agrarna dominuje nad wszystkimi innymi żywotnymi zamierzeniami rządu i państwa, zatem do pracy przy jej rozwiązywaniu musi szukać ludzi nie wśród biurokracji, a między ludźmi, którzy pracowali w tej dziedzinie i zdobyli taką kompetencję jak Sz. Pan. Prosi abym wybaczył, że nie może mi odrazu proponować teki ministerjalnej, co ma na widoku, ale ma nadzieję, iż mu nie odmówię przyjęcia stanowiska vice-ministra rolnictwa, zapewnia, że kandydatura moja była omawiana w Carskiem Siole i otrzymała najwyższą aprobatę, że powinienem dla dobra sprawy poświęcić swój czas i zdolności i t. p.

Była to dla mnie taka niespodzianka, że zostałem jakby ogłuszony. Odpowiedziałem, że nawet, usunąwszy na stronę sprawy moje majątkowe i rodzinne, które jednak ostatecznie w rachubę wchodzić muszą, nie czuję się uzdolnionym do zajęcia tak odpowiedzialnego w obecnej dobie stanowiska, że nigdy nie służyłem, zatem nie posiadam żadnej wprawy biurokracyjnej; że nie byłem nawet „stołonaczelnikiem”, a pan chce ze mnie zrobić ministra. Lecz Stołypin przerwał powiedzeniem: „właśnie takich ludzi nam potrzeba”. Zresztą powiedziałem, że nie jestem człowiekiem „karjery”, a człowiekiem zasad, więc muszę wiedzieć, dokąd iść zamierzamy i w jakim składzie gabinetu miałbym ewentualnie pracować. Stołypin odpo-

wiedział: „Nie umieszczę pana w złem towarzystwie, prowadzę pertraktacje z Guczkowem, Lwowem, Stachowiczem, baronem Hejdenem i t. p. i Pan musisz w tak ciężkich warunkach, w jakich się państwo znajduje, oddać mu swoje uzdolnienie i swoje doświadczenie”. Ja wciąż odmawiałem, przytaczając między innymi i ten argument, iż postawienie Polaka na tak odpowiedzialnym stanowisku, w tak drażliwej chwili, wszelkim zarządzeniom w dziedzinie reform rolnych, już przez to samo wszelką popularność odejmię i tendencyjność przypisze. Zmęczony całą tą przeprawą, wstałem, aby się pożegnać. Stołypin przeprowadził mnie aż do wyjścia, wciąż powtarzając, że mojej odmowy za ostateczną nie uważa i bierze odemnie obietnicę, iż gdy mnie podczas feryj wezwie do stolicy, nieomieszkam przyjechać. Przyrzekłem i oszołomiony wszystkiem, co mnie tak niespodziewanie spotkało, wprost uciekałem do siebie, nie widząc po drodze ani ludzi, ani domów, nie wiedząc, jakimi ulicami dorożkarz mnie wiezie. W każdym razie, postanowiłem narazie nie wspominać o tem przed nikim, uważając sprawę za tajemnicę gabinetową, między mną a premierem.

Jakież było moje zdziwienie, gdy nazajutrz, zszedłszy się na umówione śniadanie u Donona z Józefem Ostrowskim, usłyszałem od niego wymówkę, że czemu o tem, co wczoraj zaszło, nic nie powiedziałem swoim kolegom z „Koła”. On sam jeździł bowiem z pożegnaniem do Stołypina i ten mu opowiedział o swojej rozmowie ze mną, narzekając, jak mu wszystko trudno idzie, że ze starym gabinetem pracować nie może, a ludzie odpowiedni nie chcą mu podać ręki, jak np. Woyniłłowicz, chociaż jego odmowę, jeszcze za ostateczną uważać nie chce. Odpowiedziałem Ostrowskiemu, iż uważałem propozycje Stołypina za tajemnicę gabinetową, lecz skoro inicjator rozmowy sam ją zdradził, jako prezes Koła powołuję się na regulamin i żądam, aby Ostrowski, jako vice-prezes zebrał posiedzenie, aby „Koło” zasadniczo w tej materji się wypowiedziało, jednakże ostateczną decyzję sobie rezerwuję\*).

Ostrowski zupełnie słusznie zauważył, iż sprawa jest zbyt wielkiej wagi, aby ją rozstrzygnąć przy nielicznym

---

\*) P. w. Hipolit Korwin - Milewski, 251.

składzie „Koła”, albowiem już niektórzy posłowie na ferje się rozjechali, więc dopiero w Warszawie ich zgromadzi i po naradzeniu się jeszcze z innymi poważnymi ludźmi, przyśle mi do Sawicz decyzję. W rzeczy samej otrzymałem depeszę od Ostrowskiego, uważającą wstąpienie moje do ministerjum za pożądane, ze wskazaniem porozumienia się mojego z partją „mirnago obnowlenja” i dodatkiem, iż list podaży za depeszą. W liście zaś, z daty 25 lipca (7 sierpnia) 1906 r., Ostrowski podkreślając, że decyzja została wydana jednogłośnie przez posłów z Królestwa, plus hr. Olizar i Jełowicki, podaje szczegółowo motywy decyzji, warunkując przyjęcie stanowiska ministerjalnego tytułu niezależnemi od kontrahenta okolicznościami, iż raczej musiałem dojść do przekonania, że wstąpienie do ministerjum Polaka, uważa się za przedwczesne. List ten do przypisków dołączam.

Zaraz po przerwaniu I kadencji lzb prawodawczych został ministrem rolnictwa książe B. Wasilczykow, właściciel wielkich posiadłości ziemskich, między innymi i w Kowieńskim, wielki pan i gentleman. Od niego, w parę tygodni po powrocie do domu, otrzymałem list, wzywający mnie w imieniu Stołypina do przyjazdu do stolicy; zrozumiałem, co ten list znaczy, i chociaż odmowę miałem w zasadzie postanowioną, ale, ponieważ dałem obietnicę stawienia się na wezwanie, wyruszyłem. W Wilnie zatrzymałem się na dzień jeden, wezwawszy uprzednio depeszą kolegów moich z Rady Państwa od Litwy i Białejrusi. Zjechali się tylko hr. Tyszkiewicz i Korybut-Daszkiewicz, którzy, gdy przełożyłem całą sprawę, stanowczo zażądali, abym przyjął propozycję premjera, uważając, że udział choćby jednego Polaka w gabinecie, również i dla kraju będzie wielkim pożytkiem.

Zatrzymanie się w Wilnie na dzień jeden uratowało mnie życie, albowiem w drodze już do stolicy, w Dźwińsku, dowiedziałem się o strasznym wybuchu w willi na wyspie Aptekarskiej i o cudownem prawie ocaleniu Stołypina i całej jego rodziny, albowiem syn przyszedł do zdrowia po 2-miesięcznej kuracji i tylko córka parę lat przecierpiała, nim do możliwego zdrowia wróciła. Spotykałem ją pierwiej wynoszoną na leżakach do parku, a ostatni raz spotkałem, jeżdżącą konno koło peronu pałacowego na wyspie „Jełagin-

skiej” późniejszej letniej rezydencji Stołypina (dawniejszym pałacu Pawła I). Gdybym się nie był zatrzymał w Wilnie, właśnie w chwili wybuchu byłbym na audjencji i uległ losowi tych 50 — 60 osób, które zginęły przy wybuchu i których nazwiska są wypisane na samotnym obelisku, stojącym obecnie na miejscu, „ubi dacza fuit”.

Dodać muszę dla ilustracji wypadku i wpływu przeznaczenia, że ten sam urzędnik Jabłoński i oficer żandarmerji, siedzący w niewielkim pokoju, przy jednym stoliku, o czym wspominałem, rozmaitemu ulegli losowi: Jabłońskiego spotkałem w poczekalni Stołypina, gdy mieszkał już w Zimowym pałacu, wyszedł zdrów i nieporuszony z katastrofy. Oficera narazie śladu nie zostało, tylko w kilka dni później znaleziono na lipie na wybrzeżu kawałek jego nogi z butem i ostrogą, po których los właściciela stał się wiadomym. Dwoje dzieci Stołypina stało na balkonie narożnym nad gabinetem ojca i na tym rogu nienaruszonym ocalały. Z gabinetu ocalała także ikona, w srebrnej szacie, która następnie premiera nie opuszczała i którą zwykle widywałem leżącą na biurku, przy którym pracowałem. Podczas tego wybuchu, znajdował się w poczekalni kolega mój z Rady Państwa i przyjaciel graf Reütern baron Nolken. Uczuł on jakby jaką kontuzję. Gdy dymy opadły, pierwszy oprzytomniał i pobiegł do sąsiedniego posterunku policyjnego o ratunek. Dopiero tam, zwrócono jego uwagę, że noga krwią broczy. Nie wiem, co by ze mną było \*).

Przyjechawszy do stolicy, wobec tragizmu wypadku i twogi ojca o los poranionych dzieci, postanowiłem nie iść do Stołypina, a rozmówić się z ks. Wasilczykowym, z którym odmową z mojej strony łatwiejby pójść mogła, albowiem, już z postanowieniem odmowy przestąpiłem progi ministerjum rolnictwa. Umocniła mnie w tej decyzji jeszcze wiadomość, że utworzenie gabinetu z działaczy społecznych nie doszło do skutku, a bardzo życzliwy dla mnie sekretarz państwa, baron Uekskül, do którego po drodze zaszedłem, także potwierdził, że wejście Polaka w skład gabinetu uważa za przedwczesne.

---

\*) Por. Korwin-Milewski, 249 sq. p. w.



Gdy ks. Wasilczykow powtórzył mnie propozycję Stołypina i wyraził od siebie chęć wspólnej pracy, powołałem się na pewne różnice poglądów, które powstawały między nami w pracy w komisji agrarnej, z grona członków grupy centrum wyłonionej, zaznaczając zarazem, że od swoich poglądów, jako człowiek nie karjery, ale zasad, odstąpić nie mogę. Ks. Wasilczykow uspokoił mnie, że teraz się ze mną zgodzi, że ma polecenie przyjąć wszelkie postawione przezemnie warunki pensji i praw służbowych (nota bene przed samym moim wyjazdem do stolicy przysłano mnie rangę „radcy stanu”, przeskakując dwie uprzednie rangi), że nawet, jeślibym nie chciał ustąpić z zaszczytnego dla mnie stanowiska posła do Rady Państwa z wyborów i zamienić na urząd vice-ministra z nominacji, to zapewne Stołypin potrafi tę sprawę w sposób pożądanym dla mnie załatwić i t. p. robił mnie awanse. Odpowiedziałem jednakże stanowczo, iż gdy lepsi ludzie rosyjscy, wobec stanowiska zajętego przez rząd względem izb prawodawczych, odmówili swego współpracownictwa w gabinecie, jakaż byłaby moja pozycja, jako Polaka, gdybym wszedł do rządu? Na to książę nie znalazł żadnej konkretnej odpowiedzi. Dziękowałem więc księciu raz jeszcze za chęć wspólnej pracy, prosiłem o podziękowanie Stołypinowi za dowód zaufania, którym mnie zaszczycił, prosiłem o wyrażenie współczucia z powodu katastrofy na wyspie Aptekarskiej i z lekkim sercem opuściłem stolicę. Powiem otwarcie, że nigdy tego postanowienia nie pożałowałem, bo przyjąwszy mogłem bardzo łatwo okazać się nie na wysokości zadania, a odmówiwszy, urosłem ogromnie w oczach Rosjan, kolegów moich z Rady Państwa. Albowiem takich, którzy chętnie by się ubiegali o teki ministerjalne, było między nimi bardzo wielu, a takich, którzyby odmówili, nie łatwo byłoby wskazać; a byli i tacy, którzy myśleli „a może on jeszcze wyskoczy”.

Co się tyczy stosunku mojego do premiera, stał się on jeszcze więcej niezależny od wszelkich pobocznych kombinacji, przy wzajemnym szacunku dał mi zawsze wolny wstęp do niego i wiarę w szczerość wypowiedzianego przezemnie poglądu. Przyjmując stanowisko, byłbym uzależniony, nie przyjmując, górowałem niezależnością przekonań i względami tylko na własne sumienie.

Wywiązał się nawet oryginalny stosunek; bo, nie nadużywając znajomości, bywałem u niego tylko kilka razy do roku, mówiliśmy sobie zawsze dosyć ostro prawdę w oczy, ale zawsze rozchodziliśmy się dobrymi przyjaciółmi i nigdy nie mógł Stołypin narzekać, abym coś niedyskretnie kolportował z tego, co w gabinecie jego usłyszałem. A gdy przy końcu mojej kadencji w Radzie Państwa, z polecenia Koła wystąpić mi wypadło przeciwko przemówieniu Stołypina w Dumie, tyżącego się projektu wyborów do Rady Państwa z Kraju Zachodniego, Stołypin, siedząc w łoży ministerjalnej, gorączkowo notował. Czekałem ostrej repliki, ale, gdy skończyłem, głosu nie zabrał, a podczas przerwy uściśnął mi rękę i powiedział: „To co pan mówił, chociaż przeciwko mnie wymierzone, było tak prawdziwe i tak spokojnie wypowiedziane, że nie mogłem protestować”. Odpowiedziałem, że był to mój śpiew łabędzi, bo trienium się kończy i do Rady Państwa prawdopodobnie nie wrócę. Zaczął dowodzić i przekonywać, że wrócić muszę, że wrócić powinienem i t. p., wypadło jednak tak, że nie wróciłem i z nim się więcej nie spotkałem, bo został w Kijowie zamordowany w teatrze, na przedstawieniu galowem.

Wybitne stanowisko w ówczesnej hierarchji państwowej zajmował Sekretarz Państwa, baron I. A. Ueksküll von Hildenbandt, choć jeszcze luteranin, ale z baronami niemieckimi z nadbałtyckiej prowincji łączności prawie nie mający, albowiem majątków tam nie miał, a szedł karierą służbową; człowiek bardzo prawy i szlachetny, z którym nie wiem już jakim sposobem znajomość bliższą zawiązałem i nie została ona zerwaną nawet po mojem ustąpieniu z Rady Państwa. Stosunek ten był dla naszego Koła nader pożyteczny, albowiem baron, wiedząc zawsze dokładnie o panujących prądach w sferach dworskich, które pomimo powstania izb prawodawczych, zawsze przeważający wpływ na sprawy państwowe wywierały, był zawsze dla nas człowiekiem dobrej rady. A stosunek ułożył się taki, że kiedy wypadło raz z naszego Koła podawać adres do cesarza, śmiało przyniosłem mu swoją redakcję do rozpatrzenia i aprobaty. Cesarz, czytając nasz adres, ani mógł przypuszczać, że sekretarz państwa, pióro swoje w tej sprawie umoczył. Ueksküll mieszkał wówczas

w domu państwowym na Litiejnym Prospekcie, z rodziną, dwie ładne córki ożywiały towarzystwo, a sama pani była dla mnie życzliwą i leczyła mnie nawet raz od lekkiego przeziębienia. Zdarzało mi się bywać u nich na obiadach, zwykle w nielicznym gronie biesiadników. Po wyjściu mojem z Rady Państwa, mieliśmy zwyczaj, parę razy do roku zamieniać ze sobą listy, aż póki rewolucja marcowa i okupacja niemiecka stosunków z Piotrogradem nie przerwała. Jako sekretarz państwa, baron do żadnej partji lub też grupy nie należał, a nawet gdy następnie został zmieniony na tem stanowisku przez vice-ministra spraw wewnętrznych Kryżanowskiego, bezpartyjnym członkiem Rady Państwa pozostał.

Jedną z wybitnych osobistości w Radzie Państwa był wszechpotężny niegdyś minister spraw wewnętrznych P. M. Durnowo, prezes prawicy w Radzie Państwa, człowiek obdarzony niepospolitym zdrowym rozsądkiem i stałością przekonań, niezachwiany w potępieniu wszelkiego parlamentaryzmu, lecz za to mniej nacjonalistycznie usposobiony od wielu pseudo-liberalnych członków Rady Państwa. Zdarzało się mi bywać u niego, a że w wielu sprawach godziłem się z nim w poglądach, zawsze wyrażał ubolewanie, że nie należę do pravicowej grupy. Kiedy miałem przemawiać „contra lex Pichno” i projektowi Stołypina o wyborach do Rady Państwa z Kraju Zachodniego, zaś od prawicy jako oponent, był wyznaczony vice-prezes prawicy p. Kobylański, Durnowo wpłynął, aby nikt z prawicy mnie nie oponował, co mnie sam Kobylański, gdym wchodził na mównicę, z uściskiem ręki oświadczył.

Wogóle trzeba przyznać, że prawica więcej, od innych grup, posiadała mężów stanu, silnych tradycją i praktyką służbową i w wielu wypadkach nie trudno byłoby naszemu Kołu iść z nią ręką w rękę, gdyby nie poglądy zasadnicze, na które nigdy nie mogliśmy z nią się zgodzić, mianowicie negacja początku doby konstytucyjnej w państwie. P. M. Durnowo uważano za jednego z najbogatszych i najczęściej dbających o własne interesy członków Rady Państwa. Miał bardzo wielkie niezabudowane place miejskie na „wyspach”, których wartość co roku olbrzymio wzrastała i wciąż miał zatargi z zarządem miejskim, który je wciąż wyżej opodatkowywał.

Ponieważ większość ówczesnych dygnitarzy rozpoczynała swą karierę służbową, podczas, gdy on był ministrem, traktował Durnowo tych panów dosyć protekcyjnie, ku czemu i powinowactwo z prezesem Rady Państwa M. G. Akimowym nie miało upoważniało. Pamiętam, gdyśmy w komisji finansowej rozpatrywali budżet kancelarii Warszawskiego General-Gubernatora i referentem był ówczesny wice-minister spraw wewnętrznych Kryżanowski, biurokrata z krwi i kości i nacjonalista czystej wody, Durnowo, który nie lubił Stołypina (premier był zarazem ministrem spraw wewnętrznych), zaczął dowodzić, jakim to na nic nie potrzebnym trybikiem w mechanizmie państwowym są towarzysze ministrów, że kiedy, będąc ministrem, brał czasami urlop i cesarz go zapytywał, komu ze swych towarzyszy (vice-ministrów) urząd swój poleci, on zawsze odpowiadał że żadnemu, bo towarzysze ministrów zwykle o niczem pojęcia nie mają, ale są dyrektorowie departamentów i na tych odpowiedzialność za porządek włoży. Ponieważ to mówił w nos Kryżanowskiemu, lękaliśmy się jakiegoś niebywałego incydentu w Radzie Państwa. Kryżanowski czerwieniał, potniał, ale słuchał cierpliwie. Gdy Durnowo skończył, Kryżanowski, poprosiwszy o głos, powiedział: „o zasadzie świadczą wyjątki, takim wyjątkiem w swoim czasie był wice-minister Durnowo, bez którego wiedzy i woli, nic się w ministerjum nie działo”. Tym razem Durnowo się zarumienił, a obecni zazdrościli zimnej krwi i umiejętności znalezienia się Kryżanowskiego.

O stosunkach moich z hr. Wittem, twórcą monopolu wódczannego i waluty złotej, już parę słów nadmieniałem. Że to był jeden z najzdolniejszych mężów stanu ówczesnej Rosji, to nie ulega wątpliwości. Ustąpił z władzy w chwili, kiedy zaprojektowane przez niego reformy w życie wchodzić zaczynały. Czy przeczuwał ich kruchość, czy nie wierzył w szczerą wykonania, trudno orzec. W każdym razie można było wyczuć, że władzę lubi, że wcale z niej na zawsze nie zrezygnował, że wrócić do niej może, co też rozumiała większość członków Rady Państwa i z pewną oględnością go traktowała. Dawało się słyszeć w kuluarach niejednokrotnie takie zdanie: „Nie daj Boże, aby Witte był jeszcze Rosji potrzebny”, bo to byłoby dowodem, że w Rosji bardzo źle,



jeśliby się zwrócono do hrabiego o ratunek, ale jak czasami ludzie zwracają się do lichwiarza, gdy inaczej już rady dać nie mogą. Zarzucano mu zawsze dwulicowość. Charakterystyczny epizod opowiadał mi raz w klubie przy śniadaniu były minister handlu Timirazjew temi słowy: „Panowie na prowincji myślicie, że manifesty piszą bogowie, my w stolicy wiemy nie tylko, że to piszą ludzie, ale i jacy ludzie. O manifestcie 17 października dowiedzieliśmy się z porannych dzienników, wiadomem było, że manifest—to robota Wittego. Tegoż dnia naznaczone było posiedzenie Rady Ministrów pod przewodnictwem Wittego. Śpieszymy z ciekawością, jak się ten nowy ustrój konstytucyjny zaznaczy. Hr. Witte zaczyna swe przemówienie od słów: „Mój monarcha samodziernawy i t. d. i t. d.” spojrzeliśmy tylko po sobie... oto masz pan hrabiego Witte.

Przemówienia hr. Witte w Radzie Państwa były zawsze wypowiedane z pewną „sans façoneryją”, jak by on sobie, z tej Rady nie wiele co robił. Zwykle mówił bez przygotowania, ale zawsze rzeczowo. Słuchano zawsze z uwagą i komentowano w prasie. Zachodziłem czasami do niego; mieszkał w oddzielnym własnym pałacyku na Kamiennostrowskim Prospeckie, przyjmował we wspólnym gabinecie. Pokazywał mi portret Wilhelma II z własnoręczną dedykacją, pokazywał miejsce, w którym trzyma brauning i gdzie jest guzik elektryczny z sygnałem o niebezpieczeństwie, albowiem wciąż były rzeczywiste, czy symulowane obawy, czy próby zamachów. Gdy sprawa autonomji Królestwa na porządek dzienny się wysuwała, zwolennikiem jej nie był, a, wiedząc o propozycjach, które otrzymałem od Stołypina, którego nie lubił, znajdował, że miałem rację się uchylać, bo: „Widzisz pan, gdyby mnie powiedziano, że Stołypin jest dobrym marszałkiem szlachty z nominacji, powiedziałbym: niezaprzeczenie; gdyby mnie powiedziano, że jest bardzo dobrym gubernatorem, powiedziałbym: a cóż, możebne, ale gdyby mnie powiedziano, że jest na razie odpowiedzialnym mężem stanu, powiedziałbym: niezdatny (nie goditsia). Wie Szanowny Pan, po śniadaniu lubię przejażdżkę automobilem, to jedyna moja rozrywka, miałem doskonałego szofera, myślałem, co ja pocznę, gdy on zechce mnie porzucić. Wtem zaszło między nim, a moją żoną

jakieś nieporozumienie, tak poważne, że żona nawet bez mojej wiedzy go rozliczyła; siadam do automobilu, nowy szofer, waham się nawet, czy jechać? Ale nie chcę urządzić żadnego incydentu, jadę, jeżdżę już trzeci dzień i myślę, jak to ja się mogłem tym uprzednim przez tyle lat zadawałniać? Tak będzie i z Rosją, gdy szofera Stołypina nie stanie”.

Nie doczekał się hrabia przewrotu obecnego, lecz jestem przekonany, że kongres pokojowy bez jego udziału by się nie obył.

Jednym z głównych inicjatorów utworzenia grupy centrum w Radzie Państwa był A. S. Jermolow. Był to człowiek już trochę przeżyty, więc nie mógł dać coś więcej żywotnego zgromadzeniu, przytem, ponieważ czasami wpływała jego domniemana kandydatura na prezesa ministrów, był więc bardzo ostrożny w swych wystąpieniach, aby nie narazić się partji, kierującej nawą państwową. Kiedy zaś powstał projekt zmniejszenia przedstawicielstwa z Kongresówki do Dumy Państwowej, projekt ten gorąco popierał wbrew nawet zasadom, które redagował w regulaminie grupy Centrum.

Lękając się, aby głosy polskie w decyzjach Dumy nie mogły dawać niepożądaney dla dobra państwa przewagi, twierdził, iż: „nie wskazaną jest rzeczą, aby polska kropla rosyjski kielich przelewać mogła”.

W sprawach agrarnych pracował wiele w swoim czasie, ale w warunkach obecnych nie zawsze się orjentował.

N. S. Tagancew, znany profesor prawa kryminalnego, człowiek liberalnych przekonań, patrijota, nie wielu miał podobnych sobie kolegów w Radzie Państwa. Nie mniejszych zalet A. F. Koni, wstąpił już do Rady w końcu mego pobytu w stolicy i z wielką życzliwością przemówienie moje w sprawie wyborów do Rady Państwa z „Kraju Zachodniego” wysłuchał i winszował, że w tak spokojną formę było ujęte. Rektor uniwersytetu piotrogrodzkiego, D. D. Grim, bardzo rzeczowo przemawiał w imieniu lewicy, ale grupa ta była zbyt słaba liczebnie, aby na decyzji zaważyć mogła. Hr. D. A. Ołsu-fiew, chociaż wówczas prawicowiec, ale zwykle przemawiał w duchu programu centrum i prezes nasz ks. Trubecki wciąż obiecywał, że go do grupy centrum przeciągnie. Jednym z najwybitniejszych członków Rady Państwa był A. A. Sa-

burow \*), typ męża stanu raczej angielskiego niż piotrogrodzkiego, mąż wielkiej zacności i stałości przekonań, zawsze dążenia naszego Koła popierał i szczerze był nam życzliwy; już po moim powrocie do domu, przysłał mnie swoją fotografię z listem bardzo pochlebnym.

Nie mogę nie wspomnieć o nader życzliwym do nas stosunku przedstawicieli z nadbałtyckich gubernij, baronów: Tyzenhauzena, Dellinghauzena, Budberga i hr. Reutern barona Nolkena (dwa nazwiska i podwójny tytuł). Byli to ludzie kulturą zachodnią i pojęciami ogromnie do nas zbliżeni i gentlemeni w każdym wypadku. Niewzruszeni w poszanowaniu tradycji i stanowiska swoje w prowincji ogromnie szanujący, z usposobieniem tylko krzyżackim względem rdzennej ludności łotewskiej i estońskiej, którąby nie tylko krzyżem, ale i mieczem rządzić chcieli. Przy pierwszym spotkaniu baron Tyzenhauzen, powitał mnie jako kolegę z „Potopu” w którym Sienkiewicz oba nasze nazwiska wspomina. Baron Dellinghauzen, marszałek gubernjalny rewelski, wstąpił po bójstwie przez chłopów poprzednika swego barona Budberga i zawsze wszelkie postulaty Koła naszego gorąco popierał, a gościnnie i towarzyski Reutern-Nolken, marszałek gubernjalny kurlandzki niezwykle był dla mnie przyjazny i na obiadach u niego nieraz spotykałem przyjezdnych nadbałtyckich baronów, którzy opowiadali jak ich synowie wstępowali dobrowolnie do oddziałów karnych, posyłanych na uśmierzenie agrarnych zaburzeń łotewskich względem Niemców — baronów. Tam słyszałem np. o wypadku, ilustrującym dosadnie niemieckie „j’y suis, j’y reste” nad Bałtykiem, a mianowicie: przy tych rozruchach łotewskich, został zniszczony i z ziemią zrównany pewien zamek z XIII-go jeszcze wieku, jeśli się nie mylę, należący do barona Kajserlinga; był to majorat, a baron miał tylko jedynaczkę, która, jako córka, tylko majątek ruchomy dziedziczyć mogła. Baron za posag córki zniszczony zamek odbudował, wolał własne dziecko skrzywdzić, niż ulec przemocy i wzbudzić nawet przypuszczenie, że ślady niemieckiego posiadania z ziemi zniknąć mogą.

---

\*) Saburow Andrzej były kurator okręgu dorpackiego i minister oświaty za Aleksandra II, † 1916. p. w.

Wszyscy ci baronowie byli członkami grupy centrum, ale pozostawali w stałych stosunkach z Niemcami, należącymi do prawicy i do lewicy — i nam zawsze powtarzali: „czemu Panowie weszliście wszyscy do jednej grupy, należało wam mieć przedstawicieli i w innych grupach, jak my; byliście zawsze poinformowani o nastroju innych i zawsze byłibyście nie bez wpływu na ich decyzje“. Ale któżby z posłów naszych, po jednym tylko z gubernji wybranych, miał tyle odwagi cywilnej, aby, nie lękając się narazić swym wyborcom, wszedł do prawicy, która wszelkie znaczenie izbom prawodawczym odjąć chciała, albo do lewicy, która ziemię właścicielom odebrać zamierzała? Niewątpliwie ukamienowanoby nowego Wallenroda.

Nie zawsze bywał na posiedzeniach, ale zjawiał się w chwilach przełomowych Rady Państwa i głosem tubalnym wykuwał swoje argumenta profesor M. M. Kowalewski, sięgając wprawdzie nieraz po przykłady historyczne aż do Faronów, za co czasami był przywoływany do porządku przez prezesa Akimowa. Raz, gdy się udało centrum wspólnie z lewicą przegłosować prawicę przy wyborach prezesa komisji finansowej, co się bardzo rzadko zdarzało, Maksym Kowalewski i profesor Wasiljew zaproponowali mnie pójść wspólnie wypić szampańskiego, lecz zamiast do Cubat lub Donona — zaprowadzili mnie na Koniuszenną do zakładu lactobaciliny Miecznikowa — i tam musiałem miseczkę tego preparatu spożyć, i wskutek wyobraźni, iż spożywam same bakterje, doznałem takiego zawrotu głowy, że pamiętam, z trudnością mogłem potrzebną mi na razie depeszę napisać. Z innych członków Rady Państwa wymienić jeszcze muszę S. S. Manuchina, byłego ministra sprawiedliwości w gabinecie Wittego. Człowiek był to zdolny i bardzo z kodeksami obeznany, ale bardzo się oglądający, z której strony wiatr wieje, albowiem nie chciał jeszcze dać za wygraną karierze służbowej. Po kilku latach pobytu mego już na wsi, wyczytałem w gazetach, że był wysyłany na Syberję dla zbadania i zdania sprawy z osławionych wypadków, powstałych w kopalniach złota nad Leną.

Bardzo dodatnim pracownikiem, zawsze bezstronnym i zrównoważonym, był stale wybierany na prezesa komisji



finansowej, I. M. Romanow i nieustępujący jemu w zaletach M. D. Dmitriew, czego chyba powiedzieć nie można o D. I. Pichno z Kijowa, który uosabiał wojujący nacjonalizm z zawziętością, właściwą wszystkim „diejatielom” z kresów, człowiek bezwarunkowo zdolny i z prawem obeznany. Jeżeli komu kłuło w oczy, że 9 gubernij zachodnich dało do Rady Państwa 9-ciu posłów ze sfery ziemiaństwa polskiego, to Pichnie to sen odejmowało i z otwartą przyłbicą zaczął pracować nad nową ustawą wyborczą, któraby Polakom wszelką nadzieję przedstawicielstwa w Radzie Państwa odejmowała i przeciwko której, w imieniu Koła, występować musiałem. Narazie udało się to wstrzymać i jeszcze po mojem ustąpieniu z Rady Państwa, kresy nasze w Radzie były przez Polaków reprezentowane, aż, tak nazwane „stołypinowskie” ziemstwa wszystko to zmieniły i przy końcu egzystencji izb prawodawczych tylko trzy, nie ziemskie gubernje: wileńska, kowieńska i grodzieńska wysłały swoich przedstawicieli z grona polskich ziemian, w osobach: Al. Meysztowicza, K. Skirmuntta i S. Łopacińskiego.

Do pary z Pichno możnaby postawić W. F. Dejtrycha. O ile Pichno był zawzięty na gubernje zachodnie, o tyle wszelkie autonomiczne reminiscencje Finlandji spokoju Dejtrychowi nie dawały. Nie wiem, czy dożył uznania jej niepodległości.

Z przedstawicieli krajów kresowych wymienić jeszcze muszę, jako ludzi zupełnie bezstronnych i nacjonalizmem nie zatrutych, N. P. Bałaszowa i B. I. Chanenko. Pierwszy z nich, sam przez się bodaj najbogatszy właściciel ziemski w Rosji, a w dodatku jeszcze spadkobierca olbrzymiej fortuny paskiewiczowskiej w Homlu, pomimo, iż syn jego był przywódcą partji nacjonalistów w Dumie, bez żadnych zupełnie uprzedzeń do spraw naszych się odnosił i, jako wielki dziedzic podolski, zasługi naszego ziemiaństwa na kresach należycie oceniał. Chanenko zaś był wielkim naszym przyjacielem i chętnie nam swemi stosunkami i swym podpisem przy interpelacjach służył. Bliżej się z nim poznałem i zaprzyjaźniłem na obiadach klubowych, po których nieraz jeździliśmy na wyspy odetchnąć świeżem powietrzem. Będąc w Kijowie, zaszedłem do jego pałacu, gospodarza nie było w mieście, ale pałac zwiedziłem. Był on jakby muzeum przedmiotów

sztuki, umiejętnie po całym świecie, a przeważnie we Włoszech, zbieranych, — pozwalała mu na to fortuna osobista: był on przedstawicielem cukrownictwa i był ożeniony z siostrą króla cukrowników Tereszczunki.

Dwaj przedstawiciele kraju dońskiego A. A. Doniecki i W. I. Denisow — pierwszy z nich adwokat z zawodu, drugi właściciel ogromnej fortuny i marszałek gubernjalny, zawsze stali wytrwale, broniąc interesów kozaczyzny wymownie i rzeczowo. Denisow prowadził dom otwarty, aż do chwili rozstania się z żoną i samobójstwa syna, to drugie było wynikiem pierwszego.

Z baronem P. L. Korffem pracowałem długo w komisji agrarnej, zawsze w najlepszej zgodzie. Był on wybrany z gubernji piotrogrodzkiej i z baronostwem bałtyckiem już wszelki związek stracił. Z A. N. Kułomzinem, późniejszym prezesem Rady Państwa, bliżej się poznałem w komisji szkolnej, której był prezesem. Karjera biurokratyczna, którą obrał od lat najmłodszych, dała mu dużo erudycji urzędniczej. Pamiętny kierunku, który za czasów Tołstoja, Pobiedonoscewa & Comp. panował, nie łatwo dawał się sprowadzić na „manowce” szkoły narodowej lub swobody nauczania, na które go wprowadzić usiłowałem. Zadanie to było ponad siły, tem więcej, że drugi członek komisji, przywódca nacjonalistów w Radzie Państwa i szwagier samego Piotra Arkadjusza, Aleksy Nejhardt czuwał stale, aby komisja z utartego przez ministerjum oświaty gościńca nie zbaczała. A. B. Nejhardt, człowiek zdolny, pracowity, stosunkami zbrojny, więcej od innych był nam nieprzyjazny. Z Kułomzinem, pomimo rozbieżności poglądów, pozostały dobre stosunki i, gdy wyszedłem z Rady Państwa, jeszcze mnie na wieś prace komisji szkolnej przysyłał, chociaż już do niej „ipso facto” nie należałem. Zacności człowiekiem był poseł marszałek połtawski I. M. Leontowicz, szczerzy nasz przyjaciel, liberalny, wielki autorytet w sprawach przesiedleńczych, wzywany był przez vice-ministra Łykoszyna do rozpatrzenia spraw serwitutowych, o czem już wyżej wspominałem.

Generał A. I. Kosicz, były minister wojny, swego czasu, w Bułgarii, niegdyś dowódca korpusu konsystującego w Mińsku i biorący nawet udział w sprawach Mińskiego Tow. Rol-

niczego, stały nasz przyjaciel, niedługo był członkiem Rady Państwa. Nie liczący się wcale z nastrojem sfer najwyższych, nie krępujący się w przemówieniach, wkrótce jako członek z nominacji został przeniesiony w stan spoczynku. Zapraszał mnie czasami do siebie na śniadania na Kiroczną Nr. 24, gdzie bezdzietni, z żoną, zamieszkiwali. Przeszarżały, do pracy natężonej już nie był zdolny. Jeżeli w następnej kadencji przeszli z Rady Państwa do Dumy M. A. Chomiakow i książe M. S. Wołkoński, aby zająć tam wielce wybitne stanowisko, to zawiódł zupełnie nasze oczekiwania M. A. Stachowicz, który odwrotną przebył transplantację i z wybitnego członka Dumy stał się bardzo tuzinkowym członkiem Rady Państwa i wypłynął tylko następnie jako generał-gubernator Finlandji. A. A. Naryszkin\*), arystokrata ultraprawicowy, ale gentleman kompletny, przekonania przeciwników zawsze szanujący, zdawał się cenić naszą kulturę i nasze zachowanie się w Radzie Państwa. W. M. Kokowcew, ówczesny minister finansów, uczeń Wittego, chociaż trochę z mistrzem poróżniony, człowiek pracowity i zdolny, chociaż lubił mówić nieco za długo, sam się przysłuchując kaskadzie słów swoich. Pomimo zrównoważenia, wymknęło mu się raz w Dumie historyczne powiedzenie: „Chwała Bogu, u nas niema parlamentu”. Po katastrofie ze Stołypinem zostawszy premierem, nie potrafił jednak dojść do wpływu, jaki poprzednik w izbach prawodawczych wywierał. Zamilczeć nie mogę i o Mikołaju, arcybiskupie chełmskim i warszawskim, z którym się bliżej poznałem. Mieszkał na ulicy Wielkiej Podjaczewskiej w tak nazwanem „Monastyrskim podworju”, nad łóżkiem wisiał u niego obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, jak opowiadał, подарowany mu przez głośnego w swoim czasie przeora O. Rejmana. Opowiadał o swoim duszpasterstwie w Ameryce i następnie w Krymie, gdzie jakoby Tatarzy jego tolerancję wdzięcznie wspominają; czy tą samą tolerancją odznaczał się w Królestwie, inni muszą lepiej odemnie to wiedzieć. Ofiarował mi wydanie swoich kazań, z których jedno, w Częstochowie wygłoszone, specjalnie tolerancją odznaczać się miało.

---

\*) A. A. Naryszkin, towarzysz ministra rolnictwa, członek Rady do spraw rolnictwa, senator.

Dodatnim elementem w Radzie Państwa był baron E. I. Nolde\*), z urzędu reprezentant namiestnika kaukaskiego, księcia I. I. Woroncowa-Daszkowa i szlachetny jego obrońca w Dumie, czego sam byłem świadkiem. Gdy lewicowi posłowie, którymi Kaukaz obfitował, zaczęli tendencyjnie szarpać dobre imię namiestnika, człowieka niewątpliwie zacnego, baron Nolde, z łoży ministerjalnej wstąpił na trybunę i w uniesieniu miał nieostrożność się wyrazić: „Ci panowie, co tak szkalują namiestnika, nie są nawet godni rozwiązać rzemyka u nogi jego”. Podjął się hałas nieopisany, za znieważenie niby przedstawicieli narodu. Prezydujący Chomiakow musiał przerwać posiedzenie. Sprawa oparła się aż o Carskie Sioło i skończyło się na tem, że prezes Dumy oświadczył na posiedzeniu, iż baron Nolde wytlómaczył się, że nie miał zamiaru obrazić oponentów, jako członków Dumy, a tylko miał na widoku osoby prywatne, nie szanujące dobrej sławy jego naczelnika i przyjaciela. Czy baron Nolde otrzymał naganę w Carskiem Siole — wątpić należy.

Wreszcie scharakteryzować muszę prezesa Rady Państwa, najwyżej mianowanego, M. G. Akimowa, gburowatego samowładcy, obcinającego skrzydła każdemu mówcy, któryby chciał się wznieść na wyższy trochę horyzont niż krużganki pałacu Marijińskiego. Akimow, Bułygin i Durnowo — to była trójca z potężnymi wpływami w Carskiem Siole. Osobiście na stosunek z prezesem narzekać nie mogę i bywałem nawet przez niego zapraszany na narady konwentu seniorów.

---

\*) E. I. Nolde zarządzał kancelarją Komitetu Ministrów, później był pomocnikiem namiestnika Kaukazu.



## VI.

Teraz z kolei rzeczy powiedzieć wypada o stosunku posłów do Rady Państwa, do posłów do Dumy w ogólności i o stosunku posłów do Dumy z Kraju Zachodniego, do posłów do Dumy z Kongresówki. W początkach prac prawodawczych z posłami do Dumy z Królestwa spotykaliśmy się rzadko, może parę razy do roku. Zwykle miawało to miejsce w bibliotece kościoła S-tej Katarzyny, jak np. dla omówienia udziału naszych posłów w konferencji międzyparlamentarnej w Londynie i t. p. wypadkach, wychodzących poza sferę bezpośrednich warunków pracy prawodawczej. Częściej posłowie z Rady i z Dumy, pochodzący z 9-ciu gubernij zachodnich, zbierali się dla wzajemnego porozumienia. Na czele tych posłów do Dumy stanął, jak to i ze stanowiska jego wypadło, biskup wileński Edward Ropp, człowiek inicjatywy i świadomie do wytkniętego celu dążący. Ale nie można powiedzieć, aby to miało wynik dodatni. Naprzód biskup Ropp chciał przeprowadzać swój pewien program, że się tak wyrażę: socjalno-katolicki, który nie każdemu przypadał do gustu; powtórę, samo stanowisko jego, jako księcia kościoła i zatem pewna powaga, którą posłowie jako przeważnie katolicy, uznawać musieli, odejmowała swobodę rozpraw i opozycji. Zebrania te, odbywające się w mieszkaniu posła do Dumy Bolesława Jałowieckiego, trwały niedługo, może początki do tego się przyczynił brak własnego lokalu, lecz najprawdopodobniej jeszcze więcej, pewna rozbieżność zapatrywań i następnie usilna praca, jak jednych posłów, tak i drugich, w odnośnych komisjach obu izb prawodawczych, w których, trzeba przyznać, nasi posłowie poważny udział brali. Zastrzec się tutaj muszę, że jak w tem, co wypowiedziałem wyżej, tak i w tem co następnie wypowiadam, poglądy najzupełniej osobiste, może w nich się myłę, inni niech sprostują, wypowiadam się w każdym razie w dobrej wierze.

Od samego początku, bądź w zebraniach prywatnych Koła, bądź w wystąpieniach urzędowych w Dumie, dał się wyczuwać pewien rozdźwięk między zapatrywaniami przedstawicielstwa Litwy i Rusi i przedstawicielstwa Kongresówki. Zresztą inaczej być nie mogło. Wchodziła tu w grę sprawa posiadania i nie wyzbywania się ziemi, postawiona jako artykuł zasadniczy katechizmu politycznego Litwy i Rusi, sprawa, na ołtarzu której, jak to wspominałem, ziemiaństwo polskie Kraju Zachodniego kładło wszystko, co miało najdroższego, byleby swój stan posiadania, pomimo wszelkich praw grudniowych, utrzymać; ziemia, któraby się tam z rąk polskich wysunęła, jużby więcej do nich powrócić nie mogła. Sprawa ta dla posłów z Kongresówki miała zupełnie drugorzędne znaczenie pod względem narodowościowym. Albowiem, gdy w Królestwie jaki Podfilipski rozparcelował gniazdo rodzinne, to zamiast jego osiadali tam Wojtki, Maciusie i inne „Ślimaki”, potomkowie tegoż samego kołodzieja, od którego i były dziedzic pochodził, lecz z ręki których, już wiadomo, że ziemia nigdy się wysunąć nie mogła, a wychowanie i samopoczucie narodowe mogło wyrobić jeszcze lepszego obywatela kraju niż pan Podfilipski. To też program kadecki, stawiający rozmaite liberalne horoskopy i z początku ukazujący pewne fata morgana autonomji Królestwa, był dla koroniarzy niewątpliwie zachęcający, więc też w orbitę kadecką wpadli. Koło polskie w I-szej Dumie, mogło zbierać się dziesięć razy dla obradowania nad porządkiem dziennym Dumy, lecz każdemu było wiadomem, że „le mot d'ordre” wypracowuje się nie w Kole, a w klubie kadeckim. Przeciwnie dla posłów Litwy i Rusi, kadeci byli zmorą, której porażka oddalała widmo przymusowego wywłaszczenia, tak, że reprezentacja Litwy i Rusi, więcej ku pałdziernikomcom (rosyjscy realiści) zdawała się ciążyć.

Drugą sprawą, wpływającą na odmienność inklinacji obu Kół, były dążenia zasadnicze chwili bieżącej w polityce obu dzielnic Rzeczypospolitej. Dla Litwy i Rusi (zarówno Białej, jak i Małej) marzeniem ówczesnem było równouprawnienie z innymi gubernjami państwa. Wyrobione i zahartowane, w ciężkich warunkach praw wyjątkowych, ziemiaństwo tamtejsze czuło się na siłach wypracowania lepszej doli dla

swojego kraju, nawet przy istniejącym porządku państwowym. Przedstawicielstwo zaś Korony, powołując się na traktat wiedeński, na statut organiczny, na reformy z doby wielkiego księcia i Wielopolskiego, uważało szeroki ustrój autonomiczny za jedynie możebne rozwiązanie sprawy polskiej, a w zebraniach prywatnych samego Koła szło się coraz dalej w kierunku odrębności i debatowało już o barwach przyszłego wojska, o prawie starozakonnych na szkołę żargonową i t. p. Te różnice w poglądach przejawiały się nie tylko na posiedzeniach prywatnych, ale uwidoczniły się dla wszystkich w przemówieniach posłów obu dzielnic na posiedzeniach plenarnych Dumy. Przypomnieć muszę, jak na posiedzeniu prywatnem poseł Wł. Grabski bardzo misternie tłómaczył, że wywłaszczenie nie jest wcale rzeczą nienormalną, że we wszystkich istnieje ono prawodawstwach w wypadkach użyteczności publicznej, jak drogi, kanały i t. p., a zresztą uwłaszczenie włościan ostatniej doby najbliższym jest tego przykładem. Zapominał o olbrzymiej różnicy w tych kombinacjach, iż z wywłaszczenia pod kolej lub kanał korzystać może nie tylko ogół, ale i sam wywłaszczony, wówczas gdy z niwy, odebranej od Podfilipskiego, korzysta tylko Ślimak, który nie tylko dawnego dziedzica, ale i sąsiada Maćka z niej kłonicą przepędzi. Przykład zaś „uwłaszczenia” włościan już, jak sama nomenklatura wskazuje, był w gruncie tylko nadaniem tytułu czy dokumentu własności tym, którzy tę ziemię faktycznie posiadali i wiecznie za swoją uważali. Wówczas, gdy „wywłaszczenie” podkopuje najcenniejszy nabytek kultury: prawo własności; odbiera się pole lub łąkę Janowi, aby je oddać Pawłowi dlatego tylko, że Paweł ich potrzebuje lub pożąda bez żadnych innych praw ku temu, gdy przeciwnie Jan ma wszelkie tytuły kupna lub dziedziczenia i faktycznie swą własnością władał, więc użytkował, pracował na niej i kulturę, a zatem i produkcję z niej podnosił.

Zdarzyło mi się zupełnie przypadkowo być w Dumie na znanem przemówieniu posła Steckiego. Tak jak żydzi, pomimo, iż zapadają na cholere, lękają się tego słowa wymówić, tak samo poseł Stecki, nie używając słowa „wywłaszczenie”, tak jednak lawirował, iż każdy się domyślał, że sama rzecz nie jest jemu wstrętna, a że to przemówienie

nie tylko ja jeden tak zrozumiałem, mogę się powołać na fakt, iż siedzący obok mnie w łoży bodaj Durnowo, zapytał mnie: „Ten poseł z Polski, to widocznie kadet”. A gdy mu odrzekłem, że nie, bo Polacy oddzielne Koło formują, interpelator zauważył: „Jeżeli on nie kadet, to kadietstwujuszczyj”. To, co wspomniałem o Wł. Grabskim, było wypowiedziane na posiedzeniu prywatnem, ale przypuszczam, iż p. Grabski mnie nie zaprzeczy. Przemówienie posła Steckiego znaleźć można w stenogramach Dumy, z którego można się przekonać, czy należycie ująłem orientację p. Steckiego i czy Durnowo miał rację. Zresztą w kraju tak to przemówienie rozumiano: czytaj artykuł Jeziorańskiego w „Słowie” z 14/27 sierpnia 1907 roku.

Takie przemówienie, takie lekceważenie naszego stanu posiadania na kresach, takie rezygnowanie dla miłości kadetów z polskości kresów, które tyle cierpiały za solidarność swą z Koroną, które beznadziejnie rzuciły się w walkę powstańczą 1863 roku, byleby krwią przelaną dawne granice Rzeczypospolitej zaznaczyć, które narodowi dały: Kościuszkę, Reytana, Mickiewicza, Słowackiego, Syrokomlę, Odyńca, Moniuszkę, Weyssenhoffa, Korzona, Spasowicza i t. d., do głębi serca oburzało wysłańców Kraju Zachodniego podczas obrad I-ej Dumy. Panowie ci z Korony nie przyznawali się do tego grzechu, dowodząc, że my czytamy między linjami to, czego tam nie ma, i że względy taktyczne zniewalają ich do zabierania w ten, a nie inny sposób głosu. Ale my rozumieliśmy, że względami taktycznymi zawsze się tłómaczą ci, którzy na dwóch stołkach uważają za wygodne zasiadać. Podczas kadencji II-ej Dumy, wytrawny prezes Koła posłów z Korony p. Roman Dmowski, zupełnie jasno kwestję postawił, przyznając, iż „prowincje zachodnie”, bo tak wówczas kresy wschodnie nazywano, uważać trzeba za stracone dla Polski, że Polska w nich przyszłości swojej upatrywać nie może i niech te prowincje same o sobie radzą. Takie poglądy zaczęły oddziaływać potrosze i na posłów naszych do Dumy z Kraju Zachodniego, przywykłych zdawna słuchoać hasel, z Warszawy pochodzących; zaczęli powoli przebąkiwać, że „ziemia jest Bożą i lud jest Boży”, zatem jedno do drugiego należećby mogło. Nie krył się tylko z obroną praw własności



hr. Józef Potocki, poseł Wołynia, ale ostatecznie śmiało i dobitnie zagrział z trybuny dumskiej głos posła mińskiego Romana Skirmuntta z Porzecza w obronie tych zasad, bez których żadne społeczeństwo, żadne państwo, żadna kultura istnieć nie mogą, i od Wisły aż do oceanu Spokojnego przeniosło się echo: „jeszcze własność nie zginęła”.

Drugi podobny fakt rozdzwiewu między koncepcją posłów z Korony a posłami z Kresów miał miejsce już podczas kadencji II-ej Dumy. Posłowie z Królestwa, kokietując z kadetami, zarówno tak jak i oni nie chcieli głosowaniem potępić „terroru”, który zaczęły praktykować stronnictwa lewicowe. Jeden tylko poseł Stanisław Wańkowicz z Mińszczyzny, wbrew postanowieniu Koła, przeciw temu zaprotestował, podnosząc tym sposobem etykę, strąconą na poziom ulicy, do poziomu właściwego ciału prawodawczemu.

Rozdzwiew ten podkreśliłem na zebraniu w Warszawie, które się odbyło w sali Techników, podczas przerwy między kadencjami izb prawodawczych. Przemawiali wówczas R. Dmowski i ordynat hr. A. Krasiński; były to jakby preliminaria, zaznaczające odrębność stanowiska Korony i jej dawnych kresów. Poglądy te jednych dziwiły, drugich raziły, ale się, może za prędko, z tem oswojono. Już podczas wojny obecnej, zaszedł do mnie w hotelu Europejskim Roman Dmowski, z którym, na zebraniach Koła, jako z przewodcą partji endeckiej, w Piotrogradzie nieraz kopje kruszyłem, ale zawsze jego wielkie zdolności i wyrobienie polityczne, tudzież poszanowanie zdania przeciwnika, wielce ceniłem. Zaczął mi opowiadać o memorjałach, które, prawie jednocześnie z hr. Z. Wielopolskim, w sferach wyższych złożyli, przy czem zaznaczył, iż przy składaniu był on zainterpelowany, czemu w memorjale zupełnie nie wspomniał o prowincjach zachodnich, wówczas gdy zawsze, a tak niedawno, bo w pertraktacjach 1863 roku te prowincje były główną kością niezgody między przedstawicielami Królestwa a rządem. Dmowski miał odpowiedzieć, „że wówczas uważano, że kraj jest taki, jaka jest jego inteligencja”, w kraju zachodnim inteligencja była polską za tem Polska rościła prawa do tego kraju, poparte kilku wiekami wspólnego istnienia państwowego; obecnie świat się zdemokratyzował: kraj jest takim, jakim

jest jego lud; lud w kraju zachodnim nie jest polskim, więc dla tego w memorjale o Litwie i Rusi niema mowy". Nie mówię o tym wypadku, w którym wpływ inteligencji na lud i urobienie jego samookreślenia narodowego zbyt były przez szanownego prezesa lekceważone, ale wogóle, po rozmowie z p. R. Dmowskim, wyniosłem te przeświadczenie, że od czasu I-szej Dumy, przez następne lata poglądy partji endeckiej tak się zmieniły, że pod wielu jej memorjałami można byłoby niekiedy swój podpis położyć.

Rozbieżności takiej między poglądami posłów do Rady Państwa z Korony i Kresów wcale nie było, dzięki być może większemu wyrobieniu politycznemu przedstawicieli tych dzielnic, dzięki temu, że przedstawiciele z Korony wszyscy prawie należeli do więcej umiarkowanej partji realistów, lub z nią sympatyzowali; w każdym razie praca w Kole naszym w Radzie Państwa szła zgodnie, co z przyjemnością podkreślam.

Gdy zaczynałem pisać swoje wspomnienia, miałem na myśli tak z dnia na dzień przedstawiać nasze prace w Radzie Państwa, jak to z roku na rok przedstawiłem z życia Towarzystwa Rolniczego; nie byłoby to dla mnie zbyt trudne, albowiem zbierałem i posiadałem uporządkowane wszystkie odnośne dokumenty. Pogrom, któremu to wszystko, wraz z domem moim w Sawiczach uległo, jest przyczyną, że tylko zapisuję luźne „Wspomnienia”, albowiem pisząc historję, trzeba albo pisać wszystko dokładnie, albo nie mieć pretensji do pisania.

Protokóły posiedzeń „Kół Królestwa Polskiego i krajów Litwy i Rusi” prowadził bardzo dokładnie nieoceniony sekretarz Koła prezes Konstanty Przewłocki. Gdy rozjeżdżaliśmy się, jak wspominałem, zabierał je poseł Rotwand i przechowywał w filji Banku Wawelberga w Piotrogradzie, aby je zwrócić sekretarzowi po wakacjach. Nie wiem gdzie się obecnie znajdują, ale jestem przekonany, iż nie zginęły i wiele spraw z tego źródła należyte oświetlenie kiedyś otrzyma. Postaram się tutaj jeszcze dodać to, co mi w pamięci z życia stolicy pozostało. Chociaż sprawa agrarna nie weszła na porządek dzienny izb w pierwszej kadencji, ale że koło niej wszystko się kręciło i że najwięcej wpływowa partja kadetów temi hasłami operowała, tak podczas wyborów, jak i w czasie

kadencji, postanowiono opracowywać ją w komisjach, chociażby nie oficjalnych, obu izb prawodawczych, jednoczących w swym składzie najpoważniejszych przedstawicieli różnych kierunków.

Komisja agrarna, wyłoniona z grupy centrum Rady Państwa, do której miałem zaszczyt należeć, najczęściej obradowała w sali klubu „Działaczy Społecznych” na Mochowej, w pałacu hr. Strogonowych. Prezydował tej komisji Mikołaj syn Aleksego Chomiakow, eks-dyrektor departamentu w Ministerjum Rolnictwa, obszarnik z gubernji smoleńskiej, który następnie, przeszedłszy do Dumy, był tam wybrany na prezesa. W skład tej komisji wchodził przeważnie członkowie z wyboru: marszałkowie gubernjalni, prezesowie samorządów, baronowie nadbałtyccy, paru działaczy jeszcze z doby wielkiej reformy włościańskiej, jak np. Siemionow, były minister rolnictwa Jermołow, i przyszły minister ksiązę Wasilczykow. Debaty były zawsze bardzo rzeczowe i pouczające; nieraz schodziliśmy się z członkami takiejże komisji w Dumie, dla wymiany zdań i uniknięcia zbyt wielkiej rozbieżności poglądów. Zawsze ucześnie bardzo pilnie na te posiedzenia i często głos zabierałem. W głównych zarysach stałem zawsze na tym punkcie wyjścia, iż gdyby w Rosji całej przeprowadzić te wszystkie prawa agrarne, które w kraju zachodnim wprowadzić nie w celach gospodarczych, ale ze względów politycznych były przeprowadzone, jak np. uwłaszczenie czynszowników w 1886 r., dzierżawców w 1893 r. i t. p., większość aspiracji agrarnych otrzymałaby zadośćuczynienia i cała sprawa na swoim zaostreniu by straciła. Bardzo wielu się nie zgadzało z temi memi poglądami, uważając je za zbyt liberalne. Między innymi ks. Wasilczykow i Koło nasze w Radzie Państwa opracowanego przezemnie w tej sprawie memorjału podać oficjalnie nie upoważniło, co, wobec ścisłości naszego regulaminu, było dla mnie obowiązującym, ale co nie przeszkodziło, że potem poleciło mnie przeprowadzać ten sam mój pogląd, który z debatów klubowych w komisji transpirował do sfer wyższych i prawdopodobnie spowodował zaszczytną dla mnie propozycję Stołypina.

Wspominałem o klubie na Mochowej, tak nazwanym „politycznym”, albo klubie „obszczestwiennych diejatelej”.

Założony jeszcze przed otwarciem izb prawodawczych, przez grono działaczy społecznych, szukających terenu do wymiany zdań i poglądów, odegrał on poważną bardzo rolę w życiu stolicy: główny skład członków dostarczyli „październikowcy”, uważający ukaz 17 października 1905 r. za główną podstawę odrodzenia państwowego. Zbierali się tam posłowie obu izb, wyżsi urzędnicy kancelarii Rady Państwa i rozmaitych ministerstw, dziennikarze i wogóle działacze społeczni, jak to w samem założeniu, zaznaczone było. Spotykano tam i przyjezdnych przedstawicieli rozmaitych prowincyj, nie tylko własnego państwa, ale i obcych ze Słowiańszczyzny.

Wieczorami bywały odczyty na temat spraw bieżących w izbach poruszanych, lub z życia politycznego wziętych i tym sposobem posłowie obu izb, spotykali się bądź z krytyką opinii publicznej swej działalności, bądź ze wskazówkami na przyszłość. Zdarzały się też rozprawy na tle religijnem, którym asystowali także filary cerkwi panującej, jak Antoniusz wołyński, Eulogjusz chełmski, Tichon wołogodzki. Musieli wysłuchiwać cierpliwie zarzuty czynione kościołowi urzędowemu, który już nie wystarczał narodowi, szukającemu zadośćuczynienia swych aspiracyj religijnych w rozmaitych wierzeniach i sektach, coraz to więcej mistycznych lub zwyrodniałych. Skarżył się taki prelegent, że gdy szukał uspokojenia w swych wątpliwościach wiary i sumienia i zaszedł do archijereja, jako zastępcy apostołów; czekał kilka godzin, po upływie których wyszedł do niego urzędnik konsystorza, w vice-mundurze z Anną na szyi i zapytał: „czto wam ugodno”? Radzono długo nad zwołaniem „Soboru cerkiewnego wszech Rosji”; ku czemu nawet zdawało się skłaniać i „Najświętobliwszy Synod”. Różnica cała polegała w tem, że Synod chciał dopuścić jako uczestników tylko duchowieństwo i to przeważnie zakonne, wierni zaś domagali się udziału w soborze również świeckich wybrańców z parafji. Rozprawy te żywo mnie zajmowały, albowiem, dostrzegając ogromny brak patrijotyzmu tak w sferach rządowych, jak i sferach rządzonych, z drugiej strony rozumiejąc, że państwo, zajmujące  $\frac{1}{4}$  część kuli ziemskiej i posiadające półtora miljonów mieszkańców, zginąć przecież nie może, wnosilem, że tylko



w odradzającej się i otrząsającej się z więzów urzędowych cerkwi może zaczerpnąć siłę nowego bytowania.

Na tych zebraniach klubowych, zwykle prezydował M. W. Krassowski, z gubernji czernihowskiej do Rady Państwa wysyłany; człowiek zdolny, pracowity, umiejętnie lawirujący i nie zawsze w swych przekonaniach niewzruszony.

W poniedziałki bywały zawsze uroczyste obiady klubowe, nieraz bardzo liczne i ożywione, zwykle szampanem oblane, na których się miało zręczność spotykania z ludźmi, z którymi się inaczej zapoznać nie udało. Do tego klubu wszyscyśmy się zapisali i sam byłem stałym jego gościem. Lokal klubowy był bardzo świetny, sala jadalna wyłożona boazerją z klasztoru włoskiego wraz z kominkiem marmurowym, przez hr. Strogonowych sprowadzoną, sala posiedzeń przestronna, masa ubikacyj dla posiedzeń gabinetowych, czytelnia i kancelarji, wanny i t. p. urządzenia komfortowe. Przy końcu 3-chlecia nie wiem z jakiej przyczyny, klub został przeniesiony na Pantielejmonowską, gdzie już mniej dogodnie było.

Oprócz zwykłych, ze stanowiskiem związanych, zajęć i posiedzeń plenarnych i w komisjach, członkowie nasi z Rady Państwa zasypywani bywali rozmaitemi poleceniami i petycjami z prowincji, częściej prywatnej, ale nieraz i publicznej natury. Wyborcy zwykle uważali posłów, jako swych mecenasów w stolicy, zatem trzeba było często w rozmaitych urzędach i departamentach zbierać informacje, odszukiwać dokumenty, albo zbierać materiały dla przemówień poselskich potrzebne. Koło nasze w Radzie Państwa zawsze miało takiego pracownika, z instytucjami stolicy mniej lub więcej obeznanego, który te obowiązki brał na siebie. Jednym z najwięcej ku temu uzdolnionych był szanowny mecenas i literat Bohdan Kutylowski, zabierający, gdy była potrzeba, głos i w prasie stołecznej. Jeżeli mowa o prasie, to dzienniki poczytne i na opinię stołeczną oddziaływujące ceniły sobie zbyt wiele, abyśmy subsydjami na ich ton wpływać mogli. Próby zaś zawiązania stosunków bliższych z niektórymi, jak np. „Słowem” M. M. Fiodorowa, jak się okazało w chwilach najwięcej wskazanych, zawodziły.

Praca moja w stolicy była bardzo usilna i wyczerpująca szczególnie, gdy przez ostatnie dwa lata byłem wybrany

na członka komisji finansowej Rady Państwa, albowiem, dosłownie, nie było ani jednej sprawy w izbie wyższej referowanej, któraby bez konkluzji komisji finansowej mogła wejść na porządek dzienny. Materiały dostarczano nam pudami. Trzeba było zawsze coś przepatrzeć, aby zupełnie nieświadomemu na posiedzenia nie przychodzić; wszystko było bardzo ciekawe i pouczające, zresztą samo obcowanie z ludźmi, którzy tyle w życiu państwa w swoim czasie znaczyli, musiało wpływać na pewną wprawę w orjentowaniu się w zadaniach komisji; ale te posiedzenia od rana do wieczora, przeciągające się nieraz w białą noc podbiegunową przy ciągłym naprężeniu umysłu, przy niepokoju o to, co się w domu pozostawiło, trwożne wieści o zaburzeniach z różnych stron państwa nadchodzące, tak oddziaływały na ustrój nerwowy, że pamiętam raz, gdy nas zwolniono na wakacje, czułem, że nie mogę w takim rozstroju wracać, a że bezmyślny ruch fali zawsze bardzo uspokajająco na mnie oddziaływał, przez dni kilka przed wyjazdem, jeździłem wciąż parostatkiem to do Kronsztatu to do Szlisselburga, aby się uspokoić, co też od razu nastąpiło.

Podczas jednej takiej podróży, postanowiłem zwiedzić fortecę w Szlisselburgu, przez skazańców politycznych wówczas przepełnioną. Forteca, zamieniona na więzienie, leży na wyspie, a raczej na skale w miejscu, gdzie Newa wypływa z jeziora Ładogi, a spadek wody jest w tem miejscu tak wielki, a nurt tak silny, że żadne wiosłowanie nie pomoże i przewoźnik, który łódkę od przystani na brzegu do fortecy wiosłuje, musi miejscami rzucać wiosło i chwytać łańcuch, czy linę, w wodzie pograżoną i trzymaniem się i naciąganiem liny, jak na promie, ułatwiać sobie przepłynięcie. Wogóle Ładoga, wiecznie wzburzona, bez brzegów i końca, wywiera wrażenie większe i potężniejsze od wielu mórz, które się widzieć zdarzało, siła zaś falowania zupełnie morskiej nie ustępująca.

Jako członkowi Rady Państwa, naczelnik więzienia uprzejmie pokazał cele, wspomnieniami historycznymi ciekawsze, z wyjątkiem pawilonów, zajętych narazie nowemi ofiarami. Przewrotność losu zaznaczała się nieraz tutaj niezatartemi zgłóskami. Pawilon główny budował jakoby Piotr III dla swej

małżonki Katarzyny, Katarzyna przeznaczyła go dla Piotra; Ostermann przeznaczał celę dla Münicha, Münich tam więził Ostermanna i t. p. Ciekawą była dla mnie cela, w której nieszczęsny aspirant do tronu, Joan Antonowicz, kilkanaście lat życia przepędził, mając jedyny widok przez okno, na obmurowany dokoła kwadrat kilkusetletniowy świata i światła, zamiast olbrzymiego państwa i marny komin dla ogrzania celi podczas ośmiomiesięcznej zimy. Nie mówię naturalnie o warunkach innych cel i kazamatów, sławnych martyrologją tytułu ludzi idei i poświęcenia, ofiar przedwczesnych porywów ku prawdzie i wolności, nie mogących się pogodzić z regimem istniejącym. Tych cel mnie nie pokazywano, były zajęte...

Chcę w tem miejscu jeszcze dodać kilka szczegółów z ówczesnego życia w stolicy, które mnie jeszcze w pamięci zostały. Oprócz stosunków urzędowych z kolegami z Rady Państwa, były jeszcze domy polskie, z którymi stosunki towarzyskie nas łączyły. Z liczby posłów, jeden tylko Wincenty Poklewski-Koziół posiadał dom własny na Nowo-Isaakiewskiej, wspaniale urządzone; ożeniony z rodaczką z Mińszczyzny, Hattowską, a w dodatku, mając dorastającą córkę, dom otwarty prowadził, słynący z gościnności. Baron Kronenberg, jak już wspominałem, otwierał swoje salony na posiedzenia Koła naszego, które nieraz nadużywało gościnności, przeciągając swe posiedzenia do późnej nocy; zapraszał nieraz na obiady, skoro ktoś wybitniejszy bądź z Warszawy, bądź ze stolicy do niego zawitał.

Z mieszkańców stałych stolicy otwierali nam gościnne swoje podwoje PP. Maleszewscy. Sama pani, podolanka, pomimo lat 40 była bardzo jeszcze przystojną kobietą, zawsze pięknie się ubierała i lubiła gromadzić gości w swoich apartamentach, wprzód na wybrzeżu Admiralicji, następnie na Morskiej. Mąż, pan Bolesław, wszechpotężny przez czas długi dyrektor kancelarji kredytowej, jednocześnie profesor matematyki w Akademji Górniczej, a w końcu senator, pomimo wysokiego stanowiska urzędowego, wciąż się myślą zwracał do ogrodu w nabytym przez siebie majątku Bartodziejach w Kieleckiem, czuł się szlachcicem polskim i umierając większą część funduszu na instytucje narodowe przeka-

zał\*). Podobnymi uczuciami był zawsze ożywiony uczony oficer marynarki, profesor Jacyna, następnie znany generał w Warszawie, u którego, gdy mieszkał na Mojce, zdarzało mi się bywać i zawsze uprzejme przyjęcie od niego i jego nadobnej małżonki spotykać. Sama pani była córką znanego chemika-technologa, a mego niegdyś kolegi, Ossowieckiego z Moskwy. Ja specjalnie miałem jeszcze dom powinowatego, inżyniera Jana Petrozolina, ale zamieszkałego daleko od miasta, bo aż na szosie szlisselburskiej nad Newą, którego, wskutek tego, rzadko kiedy odwiedzać mogłem. Podczas pobytu mego nad Newą przyjeżdżała, dla interesów ks. ordynatowa Jerzowa Radziwiłłowa, i druga także wdowa ks. Michałowa Ogińska, zawsze dla mnie bardzo życzliwe i gościnne. Mieszkali także na Mochowej hr. Feliksowie Platerowie, ona Potocka z domu, rodząca się z Niezabytowskiej, chętnie Polaków w swoim domu przyjmowali, a sama pani, zawsze ożywiona, przyśpieszywała Dobieckiemu wesołe krakowiaki, a mnie tęskne białoruskie śpiewki. Odwiedzałem też dawnego swego kolegę, prałata Witolda Czczotta, który wówczas był proboszczem u św. Stanisława na Kołomnie. Ale, wogóle, stosunkom towarzyskim nie mogłem poświęcać zbyt dużo czasu, albowiem posiedzenia Koła, posiedzenia w Centrum, posiedzenia plenarne tyle czasu zajmowały, iż zaledwie zostawał czas na jakiegokolwiek opracowania w domu.

W gruncie jeden był tylko salon, że się tak wyrażę polityczny polski, to hrabiostwa Józefostwa Potockich z Antonin. Po skończeniu kadencji I Dumy, w której hrabia był posłem z Wołynia, hrabiostwo wrócili do stolicy już podczas III Dumy i zajęli wprzód świetny pałac hr. Kleinmichel na Siergiejewskiej, a następnie wspaniały apartament po tureckiej ambasadzie, na wybrzeżu Newy, tuż przy moście Mikołajewskim. Hrabiego bliżej poznałem podczas I Dumy, hrabina, Helena z domu Radziwiłłówna z Nieświeża dobrze mi była znaną jeszcze jako panna. Oboje byli dla mnie nader życzliwi i serdeczni, nieraz z ich gościnności korzystałem, bądź w ścisłym kółku domowym, bądź na obiadach wysoce oficjalnych,

---

\*) Poczył znaczne zapisy na Bibliotekę Publiczną w Warszawie oraz 22 tys. rubli na kasę im. Mianowskiego. p. w.



które wydawali. Dom prowadzili na stopie wielkopańskiej, w otoczeniu licznej służby i kozaków nadwornych, w ciągłych stosunkach z wielkimi książętami i korpusem dyplomatycznym. Na jednym z takich obiadów, wydawanym dla posła francuskiego, bodaj Bonpara, wspomnieć muszę o usłyszanem zdaniu o najjaśniejszym panu, wypowiedzianem przy czarnej kawie przez ówczesnego prezesa Dumy M. A. Chomiakowa, który, jak wiadomo odznaczał się trafnymi uwagami, z dowcipnem zacięciem zwykle wypowiedzianymi, co mu nieraz ułatwiało trudne przejścia nawet na krześle prezydjalnem. „Nie pierwszego już widzę cesarza”, powiedział Chomiakow, gdyśmy przy małym stoliczku przy likierach zasiedli „każdy miał w otoczeniu nadwornem swoich doradców, pewne znaczenie i powagę w kraju i przy dworze posiadających. Teraz, gdy wyjeżdżam z Carskiego Sioła, zawsze myślę o najjaśniejszym panu: „ach ty biedny sierota, nie masz nikogo, na kim byś mógł się oprzeć” \*). Chyba, że Chomiakow miał rację, jak to i następne wypadki okazały. Ale nie mogło to być bez winy głównego czynnika. Ci, co częściej bywali u dworu, zawsze wyjeżdżali w niepewności, jaki wpływ jest dzisiaj panujący, czy cesarz do jutra nie zmieni zdania, czy ten, którego dzisiaj przyjmował najlaskawiej, nie miał już podpisanej dymisji na jutro. To też przy upadku tronu w dobie marcowej, dziwić musiało niepomalu, że nie znalazła się żadna partja, żaden pułk, żaden minister, któryby stanął przy osobie cesarza. Podczas pierwszej kadencji Rady Państwa, widocznie sfery dworskie jeszcze się nie mogły oswoić z nowym porządkiem rzeczy, iż nie tylko ex - ministrowie, ex - ambasadorowie, ex - generał-gubernatorowie, mogą być członkami Rady Państwa, ale mogą tam zasiadać ludzie z wyboru społeczeństwa pochodzący. Dwór ich zupełnie ignorował, i kiedy, który z członków z wyboru potrzebował starać się o najwyższą audjencję, to zapisywał się nie z tytułem członka Rady Państwa z takiej lub innej gubernji, ale, jako kamerjunkier, kamerher, marszałek, prezes samorządu i t. p. Podczas II Dumy nastąpił pewien zwrot i z Carskiego Sioła przyszło oznajmienie,

---

\*) Por. trafne określenie przez tegoż Chomiakowa, Mikołaj II „nie kłamie, ale i nie mówi prawdy”. Gołowin, Zapiski „Krasnyj Archiw”, 19. p. w.

iż członkowie Rady Państwa z wyboru, mają się w dniu naznaczone prezentować u dworu. Aby więc nikomu nie ubliżyć w pierwszeństwie, wyznaczono kolej według alfabetu, a że litera W. jest jedna z pierwszych w urzędowym alfabecie, zatem na 1-szą kolej trafiłem, wraz z kolegą z Koła Wojnicz-Sianożęckim (na miejsce Wykowskiego wybranym), Arsenjuszem, arcybiskupem pskowskim i porchowskim, z S. E. Brazolem, W. A. Butlerowym i jeszcze paru innymi. Na parę dni przed tem, na obiedzie u barona Kronenberga spotkałem vice - mistrza ceremonji Dworu Jewreinowa, który mnie zapytał, czy nie chcę także mieć „szczęścia”, (nie mówi się „zaszczytu”), być przyjętym przez cesarzową, w takim razie on, jako będący w Ministerjum Dworu, gotów mnie to ułatwić. Naturalnie uprzejmie podziękowałem i Jewreinow zaczął zaraz zanotowywać rozmaite szczegóły rodowe i biograficzne, które zwykle przedstawiają się najwyższym osobom, aby wiedziały kogo mają przed sobą przy audjencjach, i o czym z nim mają rozmawiać. Przyczem uprzedził, że samemu rozmowy prowadzić nie wolno, a tylko odpowiadać na zapytanie, iż pewno najjaśniejsza pani poda rękę, więc trzeba ją pocałować, że ponieważ zapewne zechce rozmawiać po francusku, więc nie należy ją tytułować, a tylko nazywać „Madame“ i t. p.

Audjencja w Carskiem Siole była naznaczona na 11-stą zrana. Prysłano nam karty wstępu na pokoje cesarskie dworca kolejowego, skąd linją, specjalnie dworską, i takim że pociągiem wyfrakowani, ruszyliśmy w drogę. Zastanowiło nas, że przy wjeździe na dworzec i siadaniu do pociągu nie żądano od nas żadnych legitymacyj. Wytlómaczono, że cała służba kolejowa i żandarmi na dworcu, to „agenci ochrony” i pewno fotografie wszystkich nas są u nich w portfelu. Po przyjeździe do Carskiego Sioła urzędnik dworu wywoływał nazwiska, i według spisu, po 2 sadzano nas do karet dworskich, i odwieziono do pawilonu, gdzie dano nam kawę z ciastkami. Następnie przewieziono do głównego pałacu, w którym przez szereg komnat zaprowadzono do bawialnego pokoju samej cesarzowej w stylu angielskim, z ilustracjami angielskimi na stołach, sztychami na ścianach i t. p. Na jednej tylko ścianie był wielki obraz olejny, przedstawiający wyjazd

na stepie kozaków na wojnę, przypominający ogromnie „powitanie stepu” Brandta.

Z salonu otwarte były drzwi do szerokiego korytarza, na które wychodziły drzwi gabinetów cesarza i cesarzowej, strzeżone przez Maurów w strojach malowniczych. Na zapytanie moje, zwrócone do mistrza ceremonji hr. Hendrykowa, czemu to czuwanie nad najcenniejszem dla Rosji życiem, powierzone jest nie swoim poddanym, np. lejbn-kozakom, siemionowcom i t. p., a obcym i na zapytanie, dosyć naiwne, Arsenjusza „czy ci Maurowie są sprowadzeni, czy też miejscowej produkcji” (sic), usłyszeliśmy odpowiedź, że ci Maurowie są podarowani najjaśniejszemu panu przez cesarza Abisynji, że bardzo prędko się oswiają z miejscowemi warunkami, dowodem czego, iż jeden z nich śmiertelnie się zakochał w służącej cesarzowej i mają z tem kłopot, bo ta się lęka mieć czarne dzieci, i że wogóle ogromnie są wierni i przywiązani do najwyższych osób. Po krótkiem oczekiwaniu, ponieważ sam tylko miałem mieć audjencję u cesarzowej, zostałem wezwany do jej gabinetu. Maur otworzył podwoje. Cesarzowa stała na środku gabinetu przy stole w jasnopopielatym kostiumie „taylor”, wyglądała bardzo dobrze, rasowo, podała mnie rękę do pocałowania, i wobec słonecznego dnia marcowego zaczęła pytać, jaki klimat mam u siebie, czy dawno majątek w ręku mojej rodziny, o mało co nie palnąłem, że „dawniej, niż Romanowowie na tronie”, czy mam dzieci i t. p. A gdy na wszystko odpowiedziałem i z pewnem wzruszeniem wspomniałem o nieszczęściach, któremi Bóg mnie dotknął, znowu podała mi rękę ze słowami „eh bien, Vous êtes bien à plaindre, Monsieur”, a ja nie pomny na etykietę, powiedziałem „puisse le bon Dieu Vous éparher, Madame, les malheurs, que j'ai éprouvé”, i znowu podała mnie rękę do pocałowania. A ja to mówiąc, nie mogłem nawet przypuszczać, że to życzenie mogło być tak realne, wobec tego, co rodzinie panującej w tej porze groziło, lub mogło grozić w przyszłości. Historia sąd swój wypowie o Aleksandrze Teodorównie. Na mnie zrobiła wrażenie osoby inteligentnej i dobrego serca. Przypomniałem, z jakim wzruszeniem, może przeczuciem, była obecną 27 kwietnia 1905 roku przy odczytywaniu aktu, ustanawiającego izby prawo-

dawcze. Wówczas jeszcze wpływy Rasputina nie były tak głośne u Dworu.

Gdy wróciłem do pokoju bawialnego, wkrótce, już nie pojedynczo, ale w całym komplecie byliśmy wezwani do gabinetu cesarza. Gabinet cały wyłożony mahoniem, nawet sufit belkowany przedstawiał niby kajutę okrętową: pośrodku stał bilard, w rogu stół, na którym, jak mi potem opowiadał baron Ueksküll, był podpisany akt 17 października i przez barona, jako sekretarza państwa, kontrasygnowany. Adjutant dyżurny nas ustawił i wskazał kierunek, w którym po skończonej audjencji każdy miał ustępować. Cesarz wyszedł w mundurze strzelców w amarantowej jedwabnej koszuli, kroju narodowego. Każdemu z kolei podawał rękę i rozpytywał głównie o porządek panujący w gubernji każdego i o rozruchy agrarne. Gdy podszedł do mnie, pytał o pracach meljoracyjnych generale Żylińskiego. Opowiedziałem o meljoracjach w naszym powiecie w majątku Regiela, a gdy mnie zapytał o warunkach egzystencji u nas na wsi i o nastrojach agrarnych, powiedziałem, iż „pomimo wszystkiego ziemiaństwo siedzi u nas na wsi, pracuje i że żylibyśmy zupełnie spokojnie, gdyby można było ustawić granicę i zaprowadzić kwarantanę od środkowych gubernij rosyjskich, skąd cała zaraza przychodzi”. Gdy to mówiłem, koledzy obok stojący, zaczęli mnie ciągnąć za poły od fraka w obawie, że się zagalopuję, ale cesarz podał rękę i powiedział „niewątpliwie tak”. Audjencja się skończyła, zaproszono nas na śniadanie, wydane przez ministerjum dworu, ale ja się odmówiłem bo miałem tego dnia jakieś ważne posiedzenie i odjechałem bez żadnych trudności na pociąg, albowiem każdy miał swoją karetę i swego kamer-lokaja, który wyłącznie nim się opiekował i wszystko załatwiał. Notabene napiwki zupełnie się praktykują, nawet tak nazwani kamer-furjerzy, którzy w pończoszках i beretach ze strusiem piórami otwierają szeregi podwoi, napiwkami się nie brzydzą. Wracając, przechodziłem przez pokój zabaw dziecinnych, w jednym z pięknych desek fornierowych była urządzona góra, na wzór lodowych gór, wznoszonych podczas karnawału koło Letniego ogrodu: dziatwa wchodziła po schodach na górę, siadała na poduszkach i hura w dół. Przykre robiły wrażenie to warty z bag-



netami wciąż obchodzące pałac i patrole konne w parku, jakby w obozie wojennym, a których zabrakło w stanowczej chwili marcowej.

Zdarzało mi się jeszcze nieraz potem być w Carskiem Siole, np. na imieninach cesarza, na nabożeństwie z cudownymi śpiewami chórów dworskich i słynnem „Wierzę” kompozycji Czajkowskiego. Śpiewacy w pończoszках, malinowych frakach i upudrowanych perukach. Cesarz stał cały czas, cesarzowa siedziała na krzeselku, postawionem na dywanie. Potem powinszowania i zapraszanie na śniadanie, podane w olbrzymiej sali na okrągłych stołach, mniej więcej po sześć osób z winami tylko krajowych produkcji. Ale drugi raz już zetknąć się bezpośrednio bliżej z cesarską parą nie miałem sposobności.

Jak to już wzmiankowałem, posiedzenia Rady Państwa przez dwie kadencje odbywały się w sali szlacheckiej na placu Michajłowskim. Naokoło sali znajdowały się łoże, w których za bardzo specjalnem pozwoleniem, mieściła się publiczność, mniej zresztą zaciekawiona niż w Dumie, albowiem incydentów nieparlamentarnych w tak wysokiem zgromadzeniu nigdy zdarzyć się nie mogło, a batuta przewodniczącego z nominacji, a nie z wyboru, despotycznie możliwe dysonanse usuwała. Niedaleko od wejścia była łoża dziennikarska; reporterzy mieli tam wszystko gotowe pod ręką, materiały piśmienne, papier, ołówki; portfelów, binokli ochrana przynosić z sobą nie pozwalała ze względów ostrożności, co jak się pokazało, nie było zbyt cenne, albowiem wkrótce został wykryty spiszek na Stołypina, kierowany przez dziennikarza, który otrzymał wstęp dzięki nieostrożności którejś z ambasad. Dzięki tej protekcji miał przywilej portfela, będącego, nie wiem już jakim sposobem, łącznikiem w eksplozji, której miał ulec Stołypin, ale z nim razem i znaczniejsza część członków Rady Państwa. A ponieważ każdy miał miejsce stale oznaczone, znaleziono nawet plany z podkreśleniami tych ofiar, któreby ewentualnie uległy katastrofie, z żartobliwymi notatkami, tak np. koło miejsca vice-prezesa I. I. Gołubiewa, „żał starika”, a przy innym „nie mieszajet” i t. p. Przy tej sposobności dowiedzieliśmy się, że za wielką kotarą przy wejściu z lewej strony wciąż mieliśmy straż wojenną dla

bezpieczeństwa postawioną, a ponieważ posłowie polscy, niedaleko od łoża dziennikarskiej siedzieli, przechodząc mimo, drażniliśmy strażników prośbą o łaskawe względy dla naszych osobistości przy nowym zamachu.

Wszelkie sprawy, bądź z inicjatywy samej Dumy podjęte, bądź przez rząd wnoszone, musiały zawsze pierwiej przechodzić przez Dumę, nim stanęły na porządku dziennym Rady Państwa. Więc i pierwsze najgorętsze utarczki tam, w Dumie się odbywały, i przeciwne prądy się ścierały. Z inicjatywy Rady Państwa podjęta była podczas moich kadencji tylko jedna sprawa, przez szeroką publiczność mniej doceniana, ale ogromnej wagi, to reforma Senatu, tej najwyższej władzy kasacyjnej, ogłaszającej i interpretującej prawa. Dotychczas na formowanie listy senatorów największy wpływ wywierał minister sprawiedliwości, czyli kontrolujących wybierał sam kontrolowany. Stąd Senat stracił wszelką niezależność, którą się szczycił i której naród ufał. Szło więc o to, aby nie skazić myśli twórcy senatu i wrócić mu dawną niezależność. Naturalnie, że reforma ta, godząca w jądro obecnego ustroju biurokratycznego, nie mogła być po myśli rządowi, a że rząd, według praw zasadniczych państwa miał prawo podjąć się sam opracowania odnośnej noweli prawodawczej, więc i tym razem z tego prawa skorzystał, aby przez zwłokę samą myśl pogrzebać lub zaostrenia jej uniknąć. Drugą sprawą, która drzemiące wody Rady Państwa wzburzyła i o mało co nie spowodowała upadku ministerjum, była sprawa, tak zwanych „etatów morskich”. Według praw zasadniczych państwa, cesarz jest dowódcą sił zbrojnych lądowych i morskich, lecz z drugiej strony izby prawodawcze wotują wszelkie kredyty, zatem, nie zawotowawszy kredytów, mogą wszelkie reformy i postanowienia o wojsku i marynarce unicestwić. W Dumie prawica uznawała naturalnie tylko kompetencję wodza najwyższego, lewica odwrotnie; lecz, co rzecz dziwniejsza, rząd stanął po stronie lewicy i w takim zabarwieniu sprawa ta przeszła do Rady Państwa, gdzie wzbudziła wielkie namiętności i gdzie wspomniana wyżej, wszechpotężna trójca: Akimow, Durnowo i Bułygin, a powiadają, że i Trepow, stanęli na stanowisku samowładztwa cesarza we wszystkim, co się tyczy armji i floty.

Ale rząd, rzecz to niewytłómaczona, trwał przy początkowym swym poglądzie. Akimow tę sprawę to stawiał na wokandzie, to ją zdejmował, kierując się obecnością tych lub owych członków izby, chcąc zapewnić zwycięstwo swym kombinacjom. Nadszedł dzień stanowczy; Nejhardt, tak bliski Stołypinowi, dowodził, chcąc skaptować nasze głosy, że „dzisiaj jeszcze w nocy rezolucja rządowa leżała na stoliku przy łóżku najjaśniejszego pana, który wciąż obstaje przy orientacji rządowej”. Jednak widocznie musiało zajść coś nowego, albowiem ci, którzy zawsze przy oddawaniu swych głosów bardzo się oglądali na Carskie Sióło, oddali swe kartki kontra, i projekt upadł. Poszły gawędy, że Stołypin, któremu polecono bronić projektu rządowego, a następnie zmieniono orientację i tym sposobem narażono na kompromitację, podał się do dymisji. Nastąpiły pewne tarcia w gabinecie, załagodzone prawdopodobnie jakąś łaską dworską, i powoli wszystko wróciło do dawnego porządku.

Jak nadmieniałem wyżej, przez dwie kadencje byłem członkiem najważniejszej komisji w Radzie Państwa, bo komisji finansowej; że zaś z finansami szło ciężko i, zatwierdzając każdy wydatek budżetowy lub operację kredytową, trzeba wciąż było zastanawiać się, jak sprawę sfinansować, jak amortyzować i na jaki obiekt podatkowy oprocentowanie nałożyć, widocznem się stawało, że istniejący porządek rzeczy nie odpowiada wcale ani potrzebom, ani aspiracjom narodowym. Nie mogąc tego zaznaczyć w innej formie, Rada Państwa w 1909 roku postanowiła wyłonić z finansowej komisji, jeszcze podkomisję, która niby „ex re” zatwierdzenia budżetu miała sięgnąć głębiej do samego sedna wadliwości ustroju. Podkomisja ta nosiła tytuł „o dźwignięciu sił wytwórczych państwa” (wzostanowienie proizwoditelielnych sił strany), a że podczas rozpraw budżetowych wychodzą zawsze na jaw wszelkie niedomagania ustroju państwowego, bardzo liczone na to, że ta komisja w formie bardzo spokojnej, ale zarazem rzeczowej, właściwej w gruncie wszelkim opracowaniom z Rady Państwa wychodzącym, ujmie wszelkie kwestje palące i zapobiegawcze środki wskaże, pamiętając na sławny aforyzm: „faites nous de la bonne politique, et nous ferons de bonnes finances”, o którym niestety obecne rządy bądź zapomniały, bądź zupełnie nie słyszały.

Do składu tej komisji wybrani zostali: Durnowo, Karpow, Pichno, prezes Romanow, Rotwand, Czerewański\*), v. Ekespare i Woyniłłowicz.

Przedstawiając swoje poglądy w memorjale z daty 21 marca 1909 r., kładłem główny nacisk na rozmaite przy czyny prawno-polityczne, tamujące normalny rozwój sił ekonomicznych i społecznych państwa, co naturalnie nie mogło się podobać innym członkom tej komisji, przeważnie z żywiołów pravicowych złożonej, a gdy dotknąłem w dziedzinie zrównania praw wszelkich narodowości w państwie, sprawy zniesienia wszelkich granic w strefie osiedlenia żydów, głos mój został zagłuszony hałasem. Ale że stanowisko moje w tej komisji stało się wiadome w prasie, zacząłem otrzymywać sążniste depeze dziękczynne od rozmaitych zrzeszeń żydowskich w kraju, tak, że hr. Olizar zaczął ze mnie żartować, iż, gdy zjawię się w Warszawie, w „Nowościach”, żydzi urządzą mi publiczną owację w teatrze. W „Nowościach” byłem, bez owacji się obeszło, memorjał mój wydrukowany i członkom Rady Państwa rozesłany, w tej części przynajmniej, ogólnej aprobaty nie uzyskał.

Jak wiadomo pierwsza Duma po kilku miesięcznej pracy, nie przeprowadziwszy żadnej poważniejszej sprawy, rozwiązana została i akt 3 czerwca 1906 r. ustanowił nowe prawo wyborcze, dzięki któremu kurja włościańska i właściciele Rosjanie w naszym kraju, otrzymawszy ogromną przewagę, żadnego Polaka do izby prawodawczej nie dopuścili.

Wybory w Mińsku odbyły się 14 października 1907 r., przed którymi wyborcy-włościanie, podejmowani w domu archijereja i przez niego i jego zauszników nauczeni, zwartą ławą zjawili się na sali, naznaczonych z góry kandydatów przeprowadzali, a w tej liczbie znakomitego Gustawa Szmida, wielkiego, jak to zwykle u Niemców bywało, rosyjskiego nacjonalistę, niegdyś morskiego oficera, sążzonego za zdradę stanu w Kronsztacie, pozbawionego ongi praw i wróconego z Syberji dzięki rozmaitym manifestom, wydawanym w różnych czasach z powodu pomyślnych wypadków w rodzinie

---

\*) Czerewański b. towarzysz kontrolera państwowego, powieściopisarz, znawca wschodu. p. w.



cesarskiej. Wprawdzie wybór ten był przez komisję, sprawdzającą prawomocność wyborów w Dumie, 19 stycznia 1908 r. unieważniony i Szmidt, zasiadając jakiś czas w Dumie, tłukł się jak Marek po piekle, nie przyjmowany do żadnej partji, ale sam wypadek możliwości takiego wyboru świadczy o nastrojach, które w sferach miarodajnych wówczas panowały, i dlatego uważałem za wskazane wspomnieć o tym epizodzie. Dla ścisłości dodam, że ten Szmidt był znanym polakożerczym redaktorem dziennika „Minskoje Słowo”, subsydjowanego przez władze gubernjalne.

Nastroje te z prowincji przechodziły i do stolicy wraz z wybranymi w imię tych haseł posłami. Wszystkich kłuło w oczy, że z mińskiej gubernji przeszli do Dumy sami Polacy, a gdy prawo 3 czerwca 1906 r. temu nadal zapobiegło, zostało pomimo wszystkiego, zawsze jeszcze 9-ciu posłów Polaków w Radzie Państwa, z 9-ciu tak zwanych zachodnich gubernij, których, pomimo ich lojalności i dobrych z nimi osobistych stosunków, przedstawiciele nacjonalizmu rosyjskiego strawić nie mogli. Doszło do tego, iż poseł z Kijowa D. J. Pichno, wziął na siebie całą akcję uniemożliwienia na przyszłość takiej ewentualności przy niewątpliwem porozumieniu się ze Stołypinem.

Stołypin poruszył tę sprawę naprzód w Dumie, a gdy wraz z odnośnem opracowaniem Pichny stanęła ona na wokandzie Rady Państwa, Stołypin sam zjawił się dla poparcia, a Koło nasze poleciło złożenie protestu, co wobec stosunków moich uprzednich z premierem było dla mnie przejściem trochę drażliwym, ale usłuchać musiałem. Całe to przejście opisałem przy charakterystyce Stołypina i mojego z nim stosunku, więc tutaj powtarzać nie będę. Pomimo wszystkiego, reprezentowanie 9-ciu zachodnich gubernij wyłącznie przez Polaków, tak jątrzyło nacjonalistów w obu izbach, że w Kole naszym, ściśle z „Litwy i Rusi” postanowiliśmy pójść na jakąś kombinację, któraby ten nastrój złagodziła, dać jeden, ewentualnie nawet dwa głosy, przedstawicielom ziemian rosyjskich do Rady Państwa z gubernij zachodnich, przyczem uważaliśmy za właściwe dać jeden mandat Rosjaninowi z 6-ciu gubernij litewsko-białoruskich, a jeden z Rusi południowej (3-ch gubernij), i tym sposobem usunąć perspektywę takiej noweli

prawnej do wyborów ziemskich, jak ta, nad którą Pichno pracował i która żywił polski z wpływów na wybory ziemskie miała usunąć i tym sposobem, pośrednio, zapewnić wysłanie do Rady Państwa właścicieli Rosjan z gubernij zachodnich, co też później nastąpiło przy wprowadzeniu u nas ziemstw, tak nazwanych „stołypinowskich”.

Przed samem naszym rozjechaniem się, niektórych posłów nawet już nie było, czyli przed końcem naszych kadencyj wyborczych, zebraliśmy się w gronie tylko posłów z Litwy i Rusi do Rady Państwa i zapadło postanowienie, które tutaj w całości wpisuję:

„Roku 1909 11-go czerwca, na zapytanie p. Syroczyńskiego, jako przedstawiciela gubernji kijowskiej, czy wskazany jest wybór do Rady Państwa, przy współdziale Polaków, pewnej ilości Rosjan z gubernij zachodnich w roku 1909-tym, niżej podpisani członkowie Rady Państwa wyrażają pogląd, że powierzenie Rosjanom kilku mandatów może być dla kraju pożyteczne, o ile takowi są przedstawicielami bezstronnego odłamu społeczeństwa rosyjskiego i zwolennikami równouprawienia. Bliższe określenie liczby i miejsca wyboru według nas nastąpić winno przez porozumienie Polaków wyborców rzeczonych gubernij”. Podpisali: Olizar, Woyniłłowicz, Orłowski, hr. Tyszkiewicz i Korybut-Daszkiewicz. Syroczyński nie podpisany, jako interpelujący, a Korwin-Milewski już był złożył swój mandat. Dalej było napisano: „Powyższy pogląd podzielamy: Dobiecki, Kronenberg, Napiórkowski, Rotwand”. Ponieważ ta decyzja zapadła w „Kole Litwy i Rusi”, przedstawiciele z Królestwa podpisali ją tylko jako sympatyzujący.

Z tą uchwałą bodaj 29-go sierpnia 1909 r. zebraliśmy się w Wilnie, w mieszkaniu posła do Dumy, Józefa Montwiłła. Dać mandat Rosjaninowi z litewskich gubernij, gdzie ziemian Rosjan było mało, uważaliśmy za niewłaściwe, byłoby to zbyt sztuczne. Wskazaniem było wybrać którąś z białoruskich gubernij, z przeważającą własnością ziemską rosyjską, a zatem z mohylowskiej lub witebskiej, ale gdy posłowie Łopaciński (witebska) i Sianożęcki (mohylowska) ku ustąpieniu się nie skłaniali, w myśl uchwały Koła z dnia 11 czerwca, przyjąłem na siebie obowiązek przeprowadzenia tej kombinacji w gu-

bernji mińskiej na wyborach, które miały się tam odbyć 10 września 1909 r., mając na myśli 2-ch kandydatów: hr. K. A. Butieniewa-Chreptowicza \*) ze Szczors i M. M. Kirjakowa, właściciela ze Słuczczyzny, pułkownika gwardji w dymisji. Hrabiego Butieniewa-Chreptowicza nie znałem osobiście, ale panowie Roman Jodko i prof. Marjan Zdziechowski, z rozmowy z zięciem hrabiego, ks. Grzegorzem Trubeckim \*\*) wyrozumieli, że hr. Butieniew-Chreptowicz chętnieby mandat przyjął, co zresztą hrabia listem z daty 21 sierpnia 1909 r. potwierdził. Pułkownika zaś Kirjakowa znałem osobiście, a ponieważ hrabia sam na wybory do Mińska nie przyjechał, więc na zebraniach przedwyborczych kandydaturę M. M. Kirjakowa sam popierałem gwałtownie wbrew wszelkim wymaganiom wyborców, abym swojej kandydatury osobistej nie cofał. Zebranie z tego powodu było bardzo burzliwe, poważna część wyborców, nie widząc możliwości porozumienia, wyszła z sali Towarzystwa Rolniczego już o bardzo spóźnionej porze, i dopiero nazajutrz dowiedzieliśmy się, że na tem zebraniu otrzymał propozycję i przyjął mandat od pozostałych na sali ks. Hieronim Drucki-Lubecki. Kandydatura ta przeszła następnie w przedwstępnem głosowaniu na sali szlacheckiej 129-ciu głosami na 234 głosujących, co potem i przez urnę wyborczą potwierdzonem zostało. Nawoływanie moje, że przez ten wybór, a raczej przez niedopuszczenie z dobrej woli reprezentanta Rosjanina do Rady Państwa zepsuje nam sprawę ziemstwa, zostało głosem wołającego na puszczy, co miało się sprawdzić w bardzo krótkim czasie, bo nowe prawo wyborcze po krótkiej kadencji ks. Lubeckiego, po rzeczeniu się mandatu przez Romana Skirmuntta i wejściu jego zastępcy Karola Niezabytowskiego zostało tak zredagowane, iż przy następnych, po roku wyborach członka do Rady Państwa, już nie przez zjazd ziemian, ale przez zebranie ziemskie gubernjalne mógł przejść tylko Rosjanin, to też aż do wypadków marcowych 1917 roku reprezentował mińską

---

\*) Hr. Konstanty Chreptowicz - Butienjew, prawnuk po kądzieli ostatniego kanclerza litewskiego Joachima Chreptowicza. p. w.

\*\*) Trubecki znany publicysta, redaktor czasopisma „Moskowskij Jeżenedielnik”.

gubernję istinno-ruski G. A. Łaszkarew, pułkownik w dy-  
misji, ziemianin bobrujskiego powiatu. Centrum Rady Państwa,  
na 1-szem swem posiedzeniu 16 września 1909 r. wyraziło  
ubolewanie, że mnie w swoim gronie nie posiada. A według  
sprawozdania naszych posłów do Rady Państwa, kiedy przed-  
stawiali się, jako nowo wybrani Stołypinowi, usłyszeli od niego  
ubolewanie, że mnie między nimi nie widzi. Taki był epilog  
mojej pracy w Radzie Państwa.

Naganka nacjonalistów rosyjskich na Polaków w ogól-  
ności, a specjalnie na przedstawicielstwo polskie w izbach  
prawodawczych, chociaż w części odzwierciadlała się i w sfer-  
ach poselskich, ale głównie szła z prowincji; inspirowana  
niewątpliwie ze stolicy, ale kierowana na miejscu przez  
archijerejów i podwładne im duchowieństwo. I tak w maju  
1909 roku zjawiała się i przyjęta i wysłuchana była deputacja  
z Wilna z przedstawieniem najjaśniejszemu panu, „że zie-  
miaństwo polskie w Kraju Zachodnim usposobione jest  
antypaństwowo i działa tylko na szkodę interesom mo-  
carstwa”.

Ponieważ o tem pojawiły się sprawozdania w prasie,  
doszliśmy do przekonania, że trzeba tą samą drogą reagować  
i był przezemnie, przy łaskawym współdziałaniu zacnego barona  
Ueksküll zredagowany i przez 8-miu posłów do Rady Państwa  
z 8-miu gubernij podpisany odpowiedni adres, wydrukowany  
wraz z odpowiedzią cesarską w gazecie „Слово” (Słowo)  
z dnia 19 czerwca 1909 r. Nr. 831. Cesarz ówczasem wyjeżdżał  
na podróż morską, bodaj do Rewla i nie mógł nas przyjąć  
osobiście, jak to uczynił z wileńską deputacją. Dzięki  
stosunkom osobistym hr. Ks. Orłowskiego, posła podolskiego  
zamiast Jełowickiego, będącego dobrze z ministrem dworu  
bar. Frederyksem, adres został na jachcie cesarzowi doręczony,  
i tą samą drogą odpowiedź „najmiłościwsza” nadeszła.

Wogóle, kilkuletnia praca w Radzie Państwa i doświad-  
czenie niejednokrotne upewniły, że wpływy dworskie i uspo-  
sobienie indywidualne panującego, ogromne miały jeszcze  
znaczenie w sprawach państwowych Rosji i niedostateczne  
liczenie się z temi czynnikami było nie małym błędem przed-  
stawicielstwa naszego w Dumie, wywołując nieraz odruchy  
niepożądane. Kiedy np. przy odczytaniu w II Dumie najwyższej



odpowiedzi na adres przez Dumę podany, skrajna lewica nie chciała powstać przy słuchaniu i posłowie nasi za jej przykładem poszli, zaraz znaleźli się dobrzy ludzie, którzy o tem cesarzowi donieśli, i opowiadał mi to Stołypin, iż pomimo, że zaraz po posiedzeniu Dumy pojechał do Carskiego Sioła i myślał, że jeszcze ten incydent nie jest tam znany, już go cesarz z zażaleniem na ten postępek posłów polskich spotkał, i odpowiednie wrażenie tam na dłuższy czas pozostało\*).

Pomimo, iż zmiany w ustroju państwowym otrzymywały inicjatywę zgóry i były wyrazem woli najwyższej, były „oktrojowane”, a nie wywalczone przez sam naród, jednak wciąż się zaznaczały dążności, jakby reakcyjne, a w każdym razie hamujące wszelkie popędy, zupełnie normalne w państwach konstytucyjnych, a w pałacu Taurydzkim nietolerowane przez sfery rządzące. Nie wspominając już o słynnem wyrzeczeniu Kokowcowa: „Chwała Bogu, u nas niema parlamentu”, które mogło być zapisane na karb osobistego zapędzenia się w przemówieniu, niezaprzeczenie było znamieniem wniesienie na porządek dzienny pierwszego posiedzenia Dumy, na pierwszym planie, noweli „o urządzeniu pralni przy uniwersytecie w Dorpacie” (sic), na posiedzenie tej izby prawodawczej, na którą Rosja wieki całe czekała, na którą wszystkie umysły narodu były zwrócone, od której oczekiwała rozwiązania wszelkich bolączek i niedomagań państwowych. Zaiste trudno o więcej ironiczne zapoczątkowanie pracy prawodawczej.

Rząd w pierwszej redakcji praw wyborczych zupełnie świadomie dał przewagę klasie włościańskiej, wyobraziwszy, że ona w swem sercu wciąż nosi te hasła, które niegdyś były wypisane na czapkach opołczeńców wojny krymskiej „za wieru i caria”, i że posłowie z tej sfery dadzą prawomyslną przeciwwagę liberalnym aspiracjom przedstawicieli inteligencji. Tymczasem posłowie od włościan przyszli z hasłem „ziemi i woli”, ziemię rozumiejąc, jako własność do odebrania od „pomieszczyków”, a wolę taką, jaką głosił niegdyś Steńka Razin lub Pugaczew na Włodze. Patriotyzm, jak jednych tak drugich, wyraził się tylko w ucisku wszelkich narodowości, w obrębie państwa byt swój mających. Żaden Pożarski lub

---

\*) Por. Korwin-Milewski, 260. p. w.

Minin nie znaleźli się w Rosji, gdy Niemiec deptał ziemię rosyjską aż prawie po Wołgę, a wypisujący coraz to więcej drakońskie prawa dla żydów, naród znalazł się, jakby przez ironję, pod władzą samodzierżawną Bronszteinów i Nachamkésów, od której trudno przewidzieć kiedy się otrząśnie. Następne prawa wyborcze dały już III Dumie kontyngens, pod batutą rządową kornie kroczący, ale już złoty róg był stracony i gdy po zamachu kijowskim jedyne go człowieka, który miał jeszcze odwagę chwycić cugle państwa, zabrakło, a szeroko obmyślane zamiary zniesienia gminnego władania i przejścia ludności małorolnej na „chutory” nie miały dosyć czasu na złagodzenie aspiracyj agrarnych, nieudolność rządowa nie mogła znaleźć już oparcia nawet w tak konserwatywnych sferach, jak w Radzie Państwa, do której duch opozycyjny z posłusznej Dumy bodaj że przeszedł. Musiały nastąpić dnie marcowe.

---

## VII.

Ale wróćmy do objawów życia społecznego w kraju naszym, na Litwie i Rusi.

Pomimo tego, iż na ogół posłowie nasi do izb prawodawczych wymawiali sobie podczas wyborów zupełną niezależność poglądów, i nigdzie prawie „mandats impératifs” nie przyjmowali, jednak czuli się zobowiązani zdawać sprawę przed wyborcami ze swoich „modus praecedendi” i swej działalności poselskiej, podczas feryj parlamentarnych, i debaty, które się na tej materji wywiązywały, dawały możność wyborcom oddziaływać na swych przedstawicieli. Ku temu służyły zjazdy, które się odbywały w ważniejszych środowiskach krajowych.

Pierwszy taki zjazd odbył się w Wilnie, drugi w Kijowie, następny miał mieć miejsce w Mińsku, ale już nie doszedł do skutku, albowiem wskutek nowych praw wyborczych, już Białoruś i Ruś południowa pozbawione były przedstawicielstwa polskiego w izbach prawodawczych przez wybory z ziemstwa, a tylko trzy gubernje litewskie: Wilno, Grodno, Kowno, jako nie ziemskie, jeszcze mogły Polaków do stolicy wysyłać.

Na tych zjazdach zaznaczały się zawsze dwa, zupełnie odrębne kierunki: jeden, że się tak wyrażę „wszechpolski”, otrzymujący swe hasła od partji narodowo-demokratycznej w Królestwie; drugi, że tak nazwę „krajowy”, liczący się z miejscowymi warunkami bytu i odrębnością narodowościową kresów, zbliżony ideowo raczej z partją „realistów”, „ugodowców” z Królestwa. Większość posłów do Dumy hołdowała pierwszemu kierunkowi. Większość bardzo przeważna posłów do Rady Państwa szła w kierunku drugim. Więc naturalnie i rezolucje tych zjazdów musiały być albo kompromisowe, albo bardzo nieznaczącą większością głosów przechodziły, zatem nie miały decydującego znaczenia ani na bieg rzeczy,

ani nawet na prasę prowincjonalną, zwykle subwencjonowaną przez odnośną partję i biegunowo różną. O trudności zaś oddziaływania na prasę rosyjską w stolicy już wspominałem uprzednio.

W Wilnie odbył się w gruncie nie jeden, ale dwa zjazdy jeszcze przed otwarciem izb prawodawczych. Jeden był zainicjowany przez ludzi z prezydjum Wileńskiego Banku Ziemskiego: Józefa Montwiłła, Edmunda Bortkiewicza i Pawła Kończę, mający na celu wypracowanie pewnej orientacji dla przyszłych posłów; drugi, więcej partyjny, przez ówczesnego biskupa wileńskiego Edwarda Roppa, zebrany z nieudaną myślą zorganizowania pewnej partji, że się tak wyrażę, socjalno-katolickiej. Uczestnikami tych zjazdów byli po większej części domniemani posłowie do izb prawodawczych, omawiały się sprawy organizacyjne komitetów wyborczych, powstających w każdej gubernji, układały się programy polityczne. Podobne zjazdy następnie miały miejsce i w każdej poszczególnej gubernji.

Następne zjazdy odbywały się już z udziałem posłów do izb prawodawczych. Główną sporną kwestją tak w Wilnie, jak w Kijowie była „obowiązkowa”, lub też „fakultatywna” solidarność kół polskich „Litwy i Rusi” z Kołem Polskiem Królestwa. I to głównie w Dumie, albowiem, jak to już wzmiankowałem, w Radzie Państwa stosunek ten od razu bez żadnych scysyj się ułożył i regulaminem wspólnym objętym został.

Zjazd wileński 6—7 grudnia 1906 r. solidarność obu kół „Litwy i Rusi” z kołem „Korony” w § 6 swej decyzji zalecił; zjazd zaś kijowski 1 września 1907 r. swobodę w tym kierunku swoim posłom zupełnie pozostawił, z pewnem tylko zastrzeżeniem co do tego posłów wileńskich, a po części i kijowskich.

Ponieważ większość posłów do Dumy z Kraju Zachodniego hołdowała programowi endeckiemu, nie zawsze zgodnemu z interesami kresowych prowincyj (jak to najdobitniej się wykazało przy rokowaniach w Rydze), zaczęła się wyłaniać w gronie poważniejszym ziemiaństwa myśl zorganizowania partji „krajowej”. Program takiej partji w Wilnie na zjeździe 1907 r. został wypracowany i był podpisany przez grono



organizatorów lub zwolenników. Niezależny od tego, drugi taki projekt został opracowany i podpisany w Kijowie podczas zjazdu 1907 roku, a następnie w Wilnie, na zjeździe 13 lutego 1908 r. przyjęty został projekt „zasady organizacji stronnictwa krajowego Litwy i Białejrusi”.

Zaznaczyć należy, iż stronnictwo krajowe, przez prasę endecką okrzyczane, przez administrację miejscową niemile widziane, przez powstające z obu stron prądy nacjonalistyczne, w zaraniu swej działalności poderwane zostało i znikło bez poważniejszych śladów swego istnienia, aczkolwiek zasady, przez nie postawione, zjawiały się stale na porządku dziennym w każdej tragiczniejszej chwili życia społecznego na kresach.

Od chwili wstąpienia do Rady Państwa „istinno-ruskawo” Łaszkarewa od gubernji mińskiej, wszelki stosunek naszej prowincji z przedstawicielstwem w izbach prawodawczych się rozluźnił, bo ci, którzy byli tam z Białejrusi wysłani, nic wspólnego z historją i tradycjami tej ziemi nie mieli i w życiu społecznem udziału żadnego nie przyjmowali. Mińscy popi w Dumie słuchali wskazówek archijereja, przesadzając się w objawach fanatyzmu, jak np. podjęta przez posła mozyrskiego, protojereja Jakubowicza, sprawa rzekomego przed wielu laty polowania na lisy w cerkwi, dokonanego notabene, przez Niemca, Knobelsdorfa, którego ad hoc przerobiono na polskiego pana. Włościanie zaś robili oszczędności na dje-tach poselskich, aby, wróciwszy do domu z kapitałem, dokupić sobie ziemi, a że wybór ich na posłów zależał zupełnie od dyrektyw administracyjnych, głosowali zawsze tak, jak chciało „naczałstwo”, aby zapewnić sobie ewentualnie powtórny wybór na nową kadencję, albo jakie „ciepłe” miejsce urzędnicze po powrocie do stron rodzinnych. A gdy na czele rządu zabrakło silnej ręki i podniesionego czoła Piotra Stołypina, cały prawie zakres prac prawodawczych, od zamachu w Kijowie aż do początków wojny wszech europejskiej, przechodził w bezbarwnem zmaganiu się przedstawicielstwa narodowego, pozbawionego wybitnych przywódców, z epigonami biurokratycznymi Stołypina, szukającymi nadaremnie realnego poparcia w idei monarchicznej, wobec upadającego autorytetu samowładztwa i dynastji, podkopanych przez wpływy awan-

turników i mistycznych rozpuśników w rodzaju Heljodorów, Wostorgowych, Rasputinych i t. p. Marazm ten udzielał się i krajowi, a szczególnie tym jego prowincjom, w których, dzięki prawom wyjątkowym, brakowało nawet tych warunków rozwoju życia samorządowego, z których korzystała rdzenna Rosja.

Względnie jeszcze niezłe pracowały instytucje samorządowe w powiatach, jako mniej przeładowane członkami z nominacji (wirylistami), przedstawicielami różnych instytucyj rządowych, albowiem przedstawiciele od włościan, bliżej zaznajomieni z przedstawicielami ziemiaństwa, lepiej w sedno potrzeb miejscowych wnikali i zwykle wspólnie z ziemiaństwem głosowali. Zato w ziemstwach gubernjalnych wszechpotężnymi były wpływy zakulisowe gubernatora, według niewidzialnej batuty którego głosowali prawie wszyscy urzędnicy, dbający o karierę i awans służbowy i włościanie, pragnący się odznaczyć uległością dla władzy, aby przy jej nacisku uzyskać mandat poselski do Dumy, co było marzeniem każdego „radnego” ze sfery włościańskiej.

Przedstawiciele zatem ziemiaństwa miejscowego, w niewielkiej liczbie, bo zaledwie 13-stu, wspólnie już z przedstawicielami miasta, wobec mniej więcej 70-ciu członków gubernskiego zebrania ziemskiego, mogli coś zaważyć tylko wielką pracą, znajomością rzeczy, i wielką bezstronnością poglądów. I tutaj znowu, po trzyletniej przerwie w udziale moim w pracach samorządowych przyjemnie było spotkać się z tak wybitnymi siłami, jak radni M. Jastrzębski i R. Skirmuntt i pracować z nimi w komisjach samorządu ziemskiego.

W Towarzystwie Rolniczem, po pewnych wstrząśnieniach, wywołanych ogólnym nastrojem lat wolnościowych 1905 — 1907, główna praca przeszła z ogólnej sali zebrań do poszczególnych wydziałów, do sekcji agronomicznej i hodowlanej. Stąd znowu zawrzcć miała na sali ogólnej przy nadeszłych wypadkach 1914 r. Na prowincji, wioska, zawiedziona w swych agrarnych aspiracjach, nieziszczonych w pierwszych Dumach, starała się wtłoczyć swe życie w ciasne ramy istniejącego ustroju. Dwór nie uważał sprawy agrarnej za bezpowrotnie pogrzebaną, lecz w cofaniu nieustannem, zdawało się już zdobytych praw wolnościowych,

przy bezplanowym gospodarstwie państwowem, nie widział dążenia do dalszego racjonalnego rozwoju bytu stanu włościańskiego, zapoczątkowanego przez Stołypina w jego noweli prawa kolonizacyjnego (chutory).

Wprawdzie w krótkim czasie, niektóre okolice pokryły się mozaiką siedzib chutorowych, wprawdzie w krótkim czasie uwidoczniły się dobrodziejstwa scalenia gruntów koło siedziby, a nawet zapanował inny jakby światopogląd w umysłach kolonistów i może kto wie, całe zaostrenie sprawy agrarnej złagodniałoby przez scalenie gruntów i racjonalnie przeprowadzoną parcelację. Normalny wszakże bieg wypadków został przerwany i wszystko stanąć musiało wobec wybuchu wielkiej wojny wszechświatowej, której przewlekłego trwania i doniosłych następstw najśmielsze nawet przepowiednie przewidzieć nie mogły.

Pamiętam doskonale noc dn. 18-go lipca 1914 r., gdy mnie przebudzono i wręczono kopertę z czerwoną wewnątrz „powiestką”, głoszącą o nakazanej mobilizacji, z wezwaniem, abym się stawił niezwłocznie do miasta powiatowego Słucka, jako przewodniczący w komisji mobilizacyjnej do przyjmowania koni, wozów i t. p. przynależności taborowych.

Zbiory były przerwane, ludzie powołani pod chorągwie, wozy, uprząż, konie, wszystko, prosto z pola, poszło do powiatu. Miasto przybrało pozory obozu wojennego raczej, niż spokojnego grodu, napełniło się przytem rzeszą ludności wiejskiej, żegnającej z ubolewaniem i zawozeniem bądź swych mężów i synów, bądź bardziej jeszcze żałośnie rekwirowany dobytek gospodarczy. Przeplatało się to wszystko dzikimi śpiewami na pół pijanych poborowych, pomimo, iż był wydany surowy zakaz sprzedaży monopolowej trunków, ale czego to nie dostać za pieniądze? W tem piekle wypadło mi pracować dni 10. Wróciłem do domu, a że konie miałem wyłącznie swojej hodowli, zatem doskonale, więc prawie wszystkie zostały u mnie zarekwirowane, razem z równie porządną uprzężą i wozami — tak, że znalazłem na polu wszystkie snopy, jak je zostawiłem wyjeżdżając, bo nie było czem, ani na czem zwozić.

Nie miałem nawet czasu się obejrzeć, gdy otrzymałem wezwanie telegraficzne, które mi przysłano przez umyślnego

posłańca z nieświeskiego zamku, podpisane przez kilku wybitnych obywateli z Mińska, abym przyjechał i stanął na czele pewnej działalności politycznej, ówczesnymi okolicznościami wskazanej, a związanej bezpośrednio ze znanym manifestem W. Ks. Mikołaja Mikołajewicza, jako naczelnego wodza.

Wrażenie, które wywarł manifest było wprost odurzające: nikt oddawna tak nie przemawiał, myśleć nawet tak nie było dozwolonem. Każdy zupełnie słusznie rozumiał, że taka odezwa nie mogła być wydana bez najwyższej sankcji. Widocznem się stało, iż ważyć się muszą sprawy zbyt wielkiej doniosłości, kiedy się takie karty na stół kładą.

Po nacytaniu się tak poważnego dzieła, jak Blocha, o wojnie, który trwanie wielkiej wojny europejskiej, maximum obliczał na 3—4 miesiące, każdy wybiegał myślą naprzód i zadawał sobie pytanie, w jakich to warunkach rok nowy obchodzić będzie? — A nikomu ani się śniło, że siedem lat przeminie i świat ze swych posad zruszony, jeszcze do równowagi nie wróci i że wszyscy jeszcze w niepewności jutra marnieć będą.

Jednocześnie z wypowiedzeniem wojny kazano wysiedlać w głąb Rosji poddanych państw wojujących. Pamiętam, jechałem na pociąg miński przez Nieśwież, nocowałem w Zamku i razem ze mną przededniem wyjeżdżał doktor z Wiednia, niegdyś opiekujący się umieszczonym tam umysłowo chorym ordynatem, ks. Jerzym. Zmrok był ponury, ciągnęły chmury kruków, jakby żer czujących, a za nimi płynęły myśli nasze: doktora, w bezbrzeżne obszary Rosji, dokąd go ewakuowano, a moje w przyszłość, pełną obaw wojny, lecz razem z poczuciem, że coś starego umiera, a coś innego się rodzi.

W Mińsku znalazłem sporo osób, oczekujących mojego przybycia, jako prezesa Towarzystwa Rolniczego, jedynej wówczas instytucji, jednoczącej siły inteligentne społeczeństwa polskiego na prowincji. Przed moim przyjazdem już się była skryształizowała myśl przewodnia, iż w takiej chwili historycznej należy się ziemiaństwu, jako klasie przodującej, wypowiedzieć się wobec tronu.

Zaraz po przyjeździe, udałem się do mieszkania dzielnego prezesa naszego syndykatu rolniczego M. Porowskiego, gdzie zebrani ziemianie i przedstawiciele inteligencji miejskiej, posta-



nowili podać adres do najjaśniejszego pana. Kilku z nas wzięło na siebie redakcję, która miała być odczytana i uchwalona na wieczornem zebraniu tegoż samego dnia. Przyjętą została moja redakcja, a że ówczesnym gubernatorem cywilnym był Girs, synowiec Ministra Spraw Zagranicznych, a świeżo naznaczony wojennym generał-gubernatorem był baron Rausch von Traubenberg, trzeba było uprzednio z nimi się porozumieć, azali adres zaaprobują i kto ma ten adres podpisać? Albowiem zwlekać nie należało, więc nie można było zwołać ogólnego zebrania Towarzystwa Rolniczego, a szlachcie zbierać się i występować urzędowo było zabronione.

Władze zażądały dnia zwłoki, widocznie, aby otrzymać odnośne wskazówki zgóry. Po upływie tego dnia otrzymaliśmy dość oryginalną wskazówkę. Adres miał iść opatrzony tylko jednym moim podpisem, bez żadnych tytułów, jak np. były poseł do Rady Państwa, lub prezes Towarzystwa Rolniczego i t. p. Otrzymawszy na to upoważnienie od zebranych w sali Towarzystwa Rolniczego ziemian 30 lipca 1914 roku, podpisałem i wręczyłem Rauschowi i we dni kilka już za powrotem do domu, otrzymałem najmiłościwszą odpowiedź najzupełniej w duchu podania i prawie w tych samych wyrazach skreśloną. Oryginał z zaświadczoną przez Girs'a kopją był mnie wręczony i przechowywałem go jako dokument historyczny, wraz z kopją adresu w mojem archiwum, ale przy pogromie mego dworu w 1918 roku uległo wszystko zagładzie. Nie może być, aby u kogo innego obie te redakcje się nie przechowały i nie odnalazły; na wszelki jednak wypadek zaznaczam, iż w adresie powoływałem się na bitwę Grunwaldzką, wygraną przez połączone polsko-litewsko-ruskie drużyny, która wstrzymała falę germanizacyjną, zalewającą słowiańszczyznę i dała możność narodom słowiańskim rozwijać się samoistnie. Również i teraz narody mają prawo spodziewać się tego samego od najjaśniejszego pana po zwycięstwie wroga. Prawie dosłownie tak samo brzmiała odpowiedź cesarza \*).

Rozpoczęły się dni i noce pełne wrażeń, wywoływanych codziennymi wiadomościami z terenu wojennego. Wszędzie na ścianach porozwieszane były mapy, nakłute chorągiewkami,

---

\*) Tekst adresu i odpowiedź w aneksach.

oznaczającymi posuwanie się lub cofanie wojsk, i szło dobrze i pomyślnie z początku, powiadam pomyślnie, albowiem wszędzie dziwnie zgodnie wypowiedziało się poczucie narodowe przeciwko Niemcom, zatem za koalicją i idącą z nią w szeregu Rosją, od której oczekiwano przebudzenia się uczucia sprawiedliwości i spełnienia obietnic w odezwie wielkiego księcia zawartych. Z drugiej zaś strony odezwało się wrogie uczucie każdego słowianina względem Niemca, uczucie pielęgnowane od zarania dziejów naszych, uczucie nieklamane, niewyrozumowane, ale jakieś bezwiedne, piastowskie, ujęte w „Rocie” Konopnickiej, którem żył cały lud w Królestwie, które stroiło kwiatami bagnety piechoty w Alejach Ujazdowskich, które przywodziło wojsko, idące na front pod dowództwem barona Rauscha, jak mnie sam to opowiadał. Wprawdzie, gdy miesiące płynęły, a w postępowaniu władz rządowych żadna zmiana w duchu odezwy wielkoksiążęcej nie następowała, przychodziła refleksja, stygł zapał, szczególnie, gdy mocarstwa koalicyjne stale się upierały (traktować sprawę polską jako wewnętrzną sprawę Rosji, a sprawność niemiecka tak ciężką stopą zaczęła oddziaływać na zachodnim froncie, zaś początkowe zwycięstwa Rosjan okazały się bez głębszej podstawy. W gruncie rzeczy narazie innego wyjścia nie było, jak trzymanie się na uboczu, jako raczej widzowie, a nie uczestnicy zapasów.

Daty sobie nie przypominam, ale mniej więcej w tym czasie pojechałem do Warszawy dla lepszego rozejrzenia się w sytuacji. Wielkorządcą w Królestwie był wówczas książę Jengalyczew. Warszawa zbierała się, radziła, orjentowała, starała się wykorzystać nastroje rządowe dla przeprowadzenia pożądanых reform, podawała memorjały. Podawał Wielopolski hr. Zygmunt, podawał R. Dmowski, jak to już uprzednio wspominałem. Memorjały, chociaż z innych obozów pochodzące, nie przeczyły sobie wzajemnie, ale raczej dopełniały, bo już nastąpiło pewne przesunięcie na szachownicy nastrojów społecznych: prawica poszła ku lewicy, a lewica ku prawicy. [W Warszawie wówczas z przedstawicieli rozmaitych partij formował się Komitet Narodowy. Przedstawiciele z kresów wschodnich (już nie było Kraju Zachodniego, ale Kresy Wschodnie) nie mieli być do niego powoływani, aby nie

dawać sferom rządowym powodu do alarmu i zresztą już abstynencja od idei jagiellońskiej zaczęła powoli przenikać w mózgi polityczne działaczy warszawskich, jak to już zaznaczyłem przy wspomnieniu o Dmowskim. Jeszcze podczas jego pracy w Dumie, jak to on sam powtórzył, podczas rozmowy ze mną w Hotelu Europejskim, którą przytoczyłem i której to koncepcji pozostał on wiernym i nadal, gdy jako prezes Komitetu Narodowego w Paryżu wytykał linię graniczną na wschodzie, obejmując tylko te powiaty litewsko-białoruskie, w których ludność polska, albo przynajmniej katolicka pewną poważną liczebność przedstawiała, pozostawiając resztę zaś Białejrusi na pochłonięcie przez ogrom rosyjski.

Wyrzeczenie się kresów nie miało jeszcze tak określonej orientacji, w jaką następnie wejść miało. Więc, aby mieć możliwość wzajemnego porozumienia się Korony z Kresami, postanowiono wybrać przedstawicieli z każdej dzielnicy przez komitety wyborcze, pozostałe jeszcze na miejscu z tej doby, gdy się wybory do Dumy i Rady Państwa z odnośnych gubernij organizowały. Przedstawicielem Rusi południowej został hr. Jan Olizar, Białej Rusi Edward Woyniłłowicz. Litwa, wobec wielkiej tam rozbieżności kierunków, nie mogła się zgodzić na jednego przedstawiciela i dała 2: Aleksandra Meysztowicza i hr. Wawrzyńca Puttkamera, którzy jednak w naradach tych 3 prowincyj tylko jeden głos stanowić mieli. Przy obliczaniu większości ci przedstawiciele mieli zwoływać, każdy w swojej prowincji, zjazdy i wnosić dycyzję w chwilach przelomowych, a następnie zjeżdżać się dla uogólnienia postanowień.

Takich zjazdów odbyło się parę w Mińsku, lecz zbyt szybko postępujące wypadki wojenne i przerwa jakiegokolwiek komunikacji kres wszystkim położyła i każda gubernja zaczęła żyć odrębnie.

Mniej więcej ten sam los miał spotkać i Komitet Narodowy, który się formował w Warszawie. Gdy wojska niemieckie zaczęły się zbliżać ku miastu, część działaczy społecznych z przedstawicielami izb prawodawczych, z hr. Z. Wielopolskim na czele, wyjechała do Piotrogradu i Moskwy i została w ten sposób po zajęciu Warszawy odcięta od kraju. Inni rozmałą drogą przedarli się do Lozanny, a następnie do Paryża, gdzie

uformował się Komitet Narodowy z R. Dmowskim, ordynatem hr. M. Zamoyskim, Er. Piltzem, powiększony następnie drogą kooptacji. Jediną drogą porozumienia pozostała okrężna droga via Stokholm. Po rewolucji rosyjskiej i rozwiązaniu izb prawodawczych przedstawicielstwo polskie w Piotrogrodzie, ipso facto, rozwiązało się i wróciło do kraju; komitet zaś paryski rósł w znaczenie i zaważył w stosunkach międzynarodowych.

Nie jest zadaniem mojem pisać historję wojny, rozpoczętej w 1914 roku. Materiały, które zbierałem, zginęły podczas pogromu majątku. Przypomnę tylko na tem miejscu niektóre epizody, które do prasy nie dochodziły, lub specjalnie odbiły się na życiu mojej okolicy.

Jak wiadomo, głównodowodzącym został stryj cesarski w. ks. Mikołaj Mikołajewicz, który założył swą główną kwaterę w Baranowiczach, leżących na skrzyżowaniu dwóch głównych magistrali kolejowych: Moskwa-Warszawa i Piotrogród-Kijów-Odesa. Nominacja ta przez opinię publiczną bardzo przychylnie przyjętą została, albowiem wielki książę uchodził za człowieka bezstronnego, wpływom kliki dworskiej nie ulegającego i jednostajnie surowo wymagającego, zarówno od żołnierzy, tak i od generałów.

Wódz naczelny ze sztabem zamieszkał w pociągu, odpowiednio urządzonego, z lokomotywą wciąż rozpaloną, gotową w każdej chwili do przenoszenia się z miejsca na miejsce, chociażby z Prus Wschodnich do Galicji Wschodniej według potrzeby.

Podczas sesyj ziemstwa gubernjalnego w Mińsku, w poście 1915 roku postanowione zostało wysłać do niego deputację ze złożeniem życzeń i ofiarowaniem, jak to się wówczas praktykowało, ikony „quasi” cudownej Matki Boskiej Mińskiej, przechowywanej w mińskim soborze.

Wielki książę deputacyj wogóle żadnych nie przyjmował, bo miałby ich tyle z całej Rosji, że nie miałby minuty wolnej na zajęcie sztabowe, ale dla Mińszczyzny zapowiedziany był wyjątek, jako że w. ks., będąc właścicielem „Borysowszczyzny” ongi Radziwiłłowskiej, o czem wyżej była wzmianka, był jednym z największych właścicieli ziemskich w gubernji i zatem nas jako ziomków, „ziemlaków”, traktował. Sporządzona



zatem była u znakomitych specjalistów w Moskwie, złocista kopja ikony „Matki Boskiej Mińskiej” i wybrana deputacja od ziemstwa w osobach marszałka gubernjalnego z nominacji Dołgowo-Saburowa, E. Woyniłłowicza i przedstawiciela od włościan, albowiem deputacyj liczniejszych w Baranowiczach nie przyjmowano. Naturalnie gubernator miał nas wszystkich prezentować. Dzień przyjęcia byłznaczony na przewodnią niedzielę. Wilją dnia tego dano nam specjalny wagon z Mińska, a ponieważ był to pociąg nocny, odczepiono wagon na dworcu w Baranowiczach, w którym, przenocowawszy trochę, z rana zapięliśmy się w mundury i stosownie do otrzymanych wskazówek mieliśmy naprzód wysłuchać nabożeństwa w cerkwi polowej, poczem dopiero mieć posłuchanie u wielkiego księcia. Pojechaliśmy zatem przysłanemi po nas samochodami do cerkwi obszernej, ale zbudowanej w sposób przenośny tak, że nie trudno ją rozebrać, przewieźć i postawić na innym miejscu. W cerkwi, przepełnionej tylko wojskiem, ustawionem w szeregi, leżał rozesłany dla nas dywan. Celebrował ojciec Szawelski „protoproswiter” całej armji w towarzystwie świetnego chóru dworskiego. W. ks. stał na uboczu za pewnego rodzaju przepierzeniem. Zbierano składkę dla rannych. Po nabożeństwie i modłach o pobicie wroga zawieziono nas temiz samochodami do młodego lasu sosnowego, porośłego na piaszczystych wydmach. Wśród niego dymił pociąg kwatery głównej, „Stawki”, jak ją nazywano. Od pociągu szły dziesiątki drutów do niewielkiej chatki, też dziesiątkami drutów telegraficznych osiatkowanej. Dyżurny generał wprowadził nas do poczekalni wagonu-salonu, uwieszzonego mapami wojennemi, w którym odrazu wpadł w oczy jeden jedyny obraz, reprodukcja Grünwaldu matejkowskiego. Takie „mise en scène” zdawało się dobrze świadczyć o intencjach głównodowodzącego. Wkrótce wpadł adjutant, prosząc, abyśmy wyszli z wagonu i spotkali wielkiego księcia, wracającego z cerkwi. Spotkanie nastąpiło pod krzakiem leszczyny.

Wielki książę, mężczyzna ogromnej postawy, przyjął nas uprzejmie podaniem ręki, wysłuchał krótkiej z wielkiem drżeniem i płątaniem się wypowiedzianej przemowy marszałka, pocałował ikonę i odrazu zaprosił nas na śniadanie do wagonu restauracyjnego, gdzie nas umieszczono przy najbliższym od

niego stoliku, przy którym siedział on sam, szef sztabu generał Januszkiewicz i ojciec Szawelski. Śniadanie było bardzo zwyczajne, wina stawiano sporo, wódki żadnej, albowiem sprzedaż i użycie „monopolki” było surowo zakazane. Kilku starym generałom przyniesiono po czarce za receptą rzekomo doktora, przy końcu śniadania podano kawę i ku mojemu zdziwieniu koniak. Więc ruskiej wódki nie można, a francuską wolno. Dla wielkiego księcia podano coś specjalnego w kieliszku. Gdy po śniadaniu wielki książę, zamieniwszy z każdym z nas po kilka słów uprzejmych, nas pożegnał, podszedłem do O. Szawelskiego i generała Januszkiewicza na krótką rozmowę, podczas której zapytałem, co to specjalnego wielki książę używa po kawie, i, dowiedziawszy się, że to „stara wódka”, którą książę wielce ceni, powiedziałem, że mam specjalnie wyśmienitą butelkę starki w wagonie i chętniebym wielkiemu księciu ofiarował z tem, że kiedy wejdzie na czele zwycięskich wojsk do Berlina, to dostanie i drugą, a kiedy nie wejdzie, to nigdy już takiej wódki nie poprobuje. Ogromnie to rozbawiło moich interlokutorów i zachęcili mnie, abym ten prezent wielkiemu księciu ofiarował, co można skutecznie, przesyłając butelkę przez sierżanta, który mnie w automobilu do wagonu towarzyszyć będzie. Tak się też i stało. Dodając butelkę, załączyłem przy zawijaniu bilet do dobrego mego znajomego, jeszcze ze zjazdu kijowskiego hr. Adama Zamoyckiego, który wówczas w świcie wielkiego księcia się znajdował. Na tym bilecie powtórzyłem warunki ofiary, zastrzegając, iż kiedy wielki książę nie wejdzie do Berlina, to nigdy tej starki nie powącha. Otrzymawszy butelkę i widząc jej przeznaczenie, hr. Zamoyski nie rozwijając poniósł ją do wielkiego księcia, przy rozwijaniu wypadł mój bilet, który wielki książę kazał sobie odczytać i przetłómaczyć. Uśmieł się, kazał podać korkociąg, odkorkował, skosztował i powiedział: „warto iść do Berlina”. Jak wiemy z historii, wojska rosyjskie do Berlina nie weszły; więc wielki książę drugiej butelki nie otrzymał. Wskutek rozmaitych kombinacyj wielki książę przemieszony został na Kaukaz, a naczelne dowództwo objął sam cesarz.

Ku jesieni główna kwatera z Baranowicz ku Dnieprowi, do Mohylowa, cofnąć się musiała, po klęskach poniesionych

w Galicji i Królestwie, po wzięciu Warszawy i Brześcia, gdy naprzód szeregi cofającej się armji, a jednocześnie z nią i tłumy uciekinierów z Królestwa zaczęły deptać nasze łany, siejąc wszędzie trwogę i spustoszenie. Nie mogę przesądzać o kraju całym, ale w mojej okolicy spustoszenia czynione przez uciekinierów, były daleko dotkliwsze i postępowanie ich daleko więcej demoralizowało ludność miejscową, niż zachowanie się cofających się wojsk. Te ostatnie szły ponuro, nie niszcząc bez potrzeby tego, co im bezpośrednio potrzebnem nie było, wówczas gdy uchodźcy z pewną satysfakcją jechali przez łany zasiane, przez pola niezżęte, z uczuciem zupełnej bezkarności, odpowiadając na wszelkie rekryminacje: „my nie tyle straciliśmy”. To też dwory i folwarki drżały na widok zbliżających się długich wozów z charakterystycznymi obręczami na ohłobicach, pokrytymi brezentami lub płótnem. Takie tabory, dążące bezwiednie na wschód, zatrzymywały się tam, gdzie jeszcze cokolwiek dla żeru było, jak szarańcza, pozostawiała za sobą pustynię. Dla charakterystyki zaznaczę, że w jednym z moich folwarków, gdzie w szopie miałem do 600 wozów siana, zostało mnie na zimę dla mego inwentarza 2—3 fury karmu, zboże w snopach było wyciągnięte ze stodoły, zóraw od studni spalony na ognisko, a słoma ze strzechy poszła na osmalenie zabijanych wieprzów.

Prawda, że i los tych biednych uchodźców był ze wszech miar godny politowania. Pierwsze ich szeregi były przez odstępujące wojska rosyjskie poniekąd zniewolone do opuszczania zagród rodzinnych, następne szły już tylko owczym pędem. Za nastąpieniem jesieni wczesnej na Białejrusi zaczęły dokuczać wygnańcom chłody, słoty, panować choroby zakaźne, a miejscami i cholera, co prawda prędko, więcej z łaski Boga, niż przez zapobiegliwość władz przykrócona, ale która w niektórych okolicach sporo ofiar zabrała. Pamiętam, przyjechawszy o kilka mil odemnie do majątku żony, spotkałem z pod ganku domu mieszkalnego wynoszonych siedem trumien zmarłych. Na początku, póki we dworach były zapasy desek, wrota i t. p. grzebano w trumnach, potem zakopywano bez trumien, a bywały często wypadki, że przykrywano nieco nieboszczyka ziemią

przy drodze, lub trochę narzucano mchem w lesie, a kłopot lepszego pogrzebu pozostawiano miejscowej ludności, naturalnie tylko przy usilnym nacisku władzy spełniającej te obowiązki. Szereg mogił przydrożnych, jak za dawnych czasów, znaczył te szlaki, przez które rzesze uchodźcze ciągnęły, zajmujące coraz to szersze przestrzenie, aby znaleźć przeżywanie dla siebie i licznych swych inwentarzy. Między szeregami furgonów gospodarzy wiejskich plątały się i fornalki dworskie, o ile pod przewodnictwem rządcy lub dziedzica, to we względnej karności utrzymywane. Lecz wiele zdarzało się fornalek i nawet powozików dworskich, pochwyconych samowolnie przez służbę dworską, która w śpieniu swej zdobyczy szukała zysków nieprawnych, tłumacząc się przed władzami na drodze, że działają za pozwoleniem swych chlebodawców.

Trzeba też przyznać, że administracja rządowa zupełnie się o potrzeby uchodźców nie troszczyła, nic dla nich po drodze przygotowanem nie było. Z początku starczyły zapasy dworskie przy drodze, lecz później się wyczerpały i ofiarność nawet zmalała, wobec braku na własne potrzeby i wobec bandyckiego zachowywania się samych uchodźców. Potem zorganizowały się siły państwowe i społeczne, którym trzeba przyznać rząd udzielał wszystkiego, rzecz można bez miary i zaczęła się orgja w przeciwnym kierunku; uchodźcy mieli wszystkiego więcej niż nawet ludność miejscowa, i wzięwszy swoją część (pajok) w jednej instytucji, szli po takiż „pajok” do drugiej lub trzeciej, emulujących wzajemnie co do ilości zaopatrywanych osób. Uchodźcy, nabrawszy nieraz co się dało, odsprzedawali nawet miejscowej ludności, karmili nierogaczną i t. p. Zaroilo się naraz od „Wsierosyjskich Ziemskich Sojuzow”, „Sojuzow Gorodow”, „Czerwonych Krzyżów”, które nie wszędzie miały chorych, nie wszędzie potrzebujących opieki, ale wszystkie miały dobrze odżywione i wybujałe „siostryce” i całe falangi urzędników. W licznych oddziałach Centralnego Komitetu Obywatelskiego i Polskiego Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny za dużo było dobrze opłacanych kierowników, zastępców, instruktorów, pomocników i t. p. szeregi funkcyjnarjuszów i to bodaj był początek tego rozpasania biuro-



kratycznego, tego braku poświęcenia swej pracy i osoby, a tylko przewartościowania swych posług, które przeszły do powstającego następnie ustroju rządowego polskiego i przeszczepiły tę zarazę biurokratyczną, nurtującą nasze społeczeństwo.

Ziemiaństwo miejscowe w Mińszczyźnie, patrząc z trwogą na całą tę tragedję „exodusu”, jednak gorąccze jej nie uległo, wszyscy postanowili zostać na miejscu, pomimo nawet pewnych nalegań ze strony cofających się oddziałów rosyjskich; powtarzano powszechnie, że kiedy ginąć, to lepiej pod własnym płotem niż pod cudzym. Niektóre bojaźliwsze panie uciekały z dziećmi do miasta, reszta upatrywała schroniska na miejscu. W parku, naprzykład, moim konsystujący czasowo żołnierze artylerji za pozwoleniem i wskazaniem oficera urządzili nam okopy i ziemianki, w których zamierzaliśmy się ukryć, w razie przeniesienia terenu walki na dwór i budowle dworskie. Przykład ziemian oddziałał i na wioski, niejeden z gospodarzy miał wóz z budą przygotowany, ale widząc, że dziedzic się nie rusza, siedział w domu i za przykładem dworu, pole obsiewał, polecając przyszłe zbiory opiece Bożej. I w tym wypadku dwory swą powinność bezwarunkowo spełniły i z wyjątkiem miejscowości, leżącej bezpośrednio przy froncie, ludność gorąccze emigracyjnej nie uległa. Wreszcie i ustępowanie wojsk się wstrzymało i front się zarysował w okolicy tych samych Baranowicz, w których na początku wojny była „stawka” wielkksiążęcego wodza wzdłuż rzeki Szczary; i tak trwało aż do końca, póki nie nastąpiło zajęcie całego kraju po Dniepr i Dźwinę przez pokojową okupację niemiecką. Oprócz ludności wiejskiej, której część pewna osiadła w naszych okolicach, lecz przeważna powędrowała sobie na wschód, roily się nasze dwory i miasta od uchodźców ze sfery ziemiańskiej. Mińsk zaczął przybierać pozory na wpół polskiego miasta. Nieśwież w murach zamkowych gromadził skoligaconych gości. Była chwila, że prawie wszyscy ks. Radziwiłłowie byli tam zebrani, a że z powodu opieki pozostały bliższe z zamkiem stosunki, miały Sawicze zaszczyt gościć szanownego prezesa Koła Polskiego w Berlinie ks. Ferdynanda, ks. Dominika z Balic, ojca domnianego (była i taka koncepcja), króla polskiego

Hieronima, ożenionego z córką arcyksięcia Stefana z Żywca, ks. Konstantego z Paryża, prezesa Centralnego Tow. Roln. Warszawskiego ks. Seweryna Czetwertyńskiego z bratem Ludwikiem i szwagrem Żółtowskim i wielu innych. Wszystko to z rodzinami i często z całym dworem wyczekiwało ewentualnych zmian w sytuacji strategicznej i politycznej i powrotu do własnych domów. Wszyscy się tego prędkiej lub później doczekali, za to ci, co ich ugaszczali, musieli potem porzucić progi rodzinne i znaleźć się bez dachu nad głową. Chociaż Sawicze były odległe od Baranowicz w prostej linii o jakie wiorst 50, jednak przy silnych atakach artylerji, szyby w pałacu się trzęsły, czasami nawet słabsze drzwi się otwierały, a samoloty nieprzyjacielskie przelatywały nad lasami i łąkami dworskimi, z początku szerząc trwogę i ciekawość, a następnie ludność tak się z tem oswoiła, że nawet nie odwracała się od swych robót na polu. Idąca przez sam dwór, między domem a stacją, droga komunikacyjna, doprowadzona do wojennego porządku za pomocą jeńców austriackich, prowadząca z Baranowicz, via Kleck, Cimkowicze — Słuck — Bobrujsk na wschód daleki, była powodem ciągłych niepokojów we dworze z powodu stałego ruchu taborów wojennych, przemarszu oddziałów wojskowych, ale powoli i z tem się wszyscy oswoili; albowiem szkody od tego były stosunkowo małe, a wojsko rosyjskie kupowało wszystko, co tylko było do zbycia i płaciło dobrze; a że z powodu wybitnego stanowiska, które mnie dawało prezesostwo w Tow. Rolniczem i była karjera urzędowa w Radzie Państwa, musiałem się znać z wyższemi władzami wojskowemi, miewałem niejednokrotne wizyty władz wojskowych. W ich liczbie nie mogę nie wspomnieć generała Daniłowa, dowódcę frontu baranowickiego, który mnie często odwiedzał ze swoimi adjutantami, baronem Benkendorffem i Dowborem-Muśnickim, bodaj synowcem generała. Wpadał zawsze niezapowiedziany, naprzód z Sawejek, a potem z Iwania, gdzie była jego kwatera. Miałem jeszcze wówczas dobrą starkę, którą ci panowie cenili, i niejednen gąsiorek węgryzna wysączony został podczas gawędy przy kominku, albowiem byli to wszystko ludzie dobrego towarzystwa; sam generał był profesorem akademji wojennej, Benkendorff uprzednio był przy amba-

sadzie w Berlinie i ustosunkowany ze wszystkimi baronami nadbaltyckimi, znał i moich kolegów baronów w Radzie Państwa. Dowbora-Muśnickiego spotkałem potem niespodziewanie w tramwaju w Warszawie, ale już jako oficera wojsk polskich.

Rekwizycje wojsk rosyjskich nie były zbyt uciążliwe, z wyjątkiem rekwizycji materiałów leśnych, które się bez potrzeby marnowały dla wyściełania całych traktów bierwionami, lub marnowaniem na faszynę młodych sadzonek leśnych; ale i w tych wypadkach można było znaleźć jakieś zadośćuczynienie u głównodowodzącego całym frontem białoruskim generała Ewerta w Mińsku, do którego zawsze dostęp miałem i na brak posłuchu nie mogłem narzekać, gdy w imieniu Tow. Rolniczego występowałem.

Towarzystwo Rolnicze oddało niespożyte usługi krajowi, przez cały czas władzy wojskowej rosyjskiej, a następnie niemieckiej, łagodząc wszelkie niedomagania, wybryki samowoli i straty, przy stanie wojennym nieuniknione. Jednakże wobec tego, że Rada Towarzystwa Rolniczego składała się przeważnie z członków zamiejskowych, prezes mieszkał o 120 wiorst od Mińska i komunikacja wszelka przy Niemcach była przetrwana, albo niemożliwie utrudniona, w dodatku, podczas rządów Kiereńskiego powstały możliwe i niemożliwe „związki”, „sojuzy” wszelkich zawodów, pracowników, rzemieślników, profesyj i t. p., a jedna tylko klasa ziemiańska organizacji podobnej nie miała, w łonie Rady Tow. Rolniczego przy energicznym udziale biegłego w interesach ziemianina, Ludwika Uniechowskiego, powstała myśl utworzenia związku, mającego specjalnie na celu obronę tak małej jak i większej własności ziemskiej. Zwołano więc ogólne zebranie Tow. Rolniczego, wypracowano statut i powstał „Związek Ziemian Gubernji Mińskiej”, którego prezesem został hr. Jerzy Czapski, wówczas stale w Mińsku mieszkający, a vice-prezesem i główną sprężyną Ludwik Uniechowski.

Mieliśmy ten zaszczyt, że w tym kierunku byliśmy raczej pierwszymi, a nie ostatnimi, bo gdy na zebranie nasze przybył wysłany z Moskwy delegat tamecznego centralnego związku ziemian, dla zorganizowania u nas podobnej instytucji i wciągnięcia nas do współdziałania, znalazł już

u nas wszystko gotowe i pracujące. Zanim nastąpiła okupacja niemiecka, przedstawiciele nasi chętnie jeździli na obrady wspólne do Piotrogradu i Moskwy, gdzie byli życzliwie przyjmowani i we wszelkich dezyderatach podtrzymywani, albowiem związek centralny był dobrze zorganizowany, a przytem rozporządzał poważnemi wpływami i środkami pieniężnemi.

Po wypędzeniu bolszewików działalność związku odnowiła się przy okupacji niemieckiej i bodaj najusilniej pracowała, albowiem Niemcy bardzo się z tą organizacją liczyli, mając u siebie podobną: „Verein der Landwirthe”, z drugiej strony motywów do reagowania nie brakowało. Rządy Kiereńskiego i jego epigonów wprowadziły bowiem do zarządów ziemskich elementa wywrotowe, ultra lewicowe, które nakładaniem wygórowanych podatków i powinności ziemskich specjalnie na obszary dworskie i zrównaniem opodatkowania lasów i ziemi użytkowej, dążyły do zrujnowania własności większej, w czem nader pomocne im były nieznane dotąd samorzady gminne, wyłącznie z włościan złożone i na własność dominjalną nader pożądlive. Zatem wypadło Związkowi Ziemiaków bronić swego stanu posiadania i szukać sprawiedliwości u władz okupacyjnych z rozmaitem powodzeniem. Zebrani, jako uchodźcy w Warszawie 1918—1919 r. odnowiliśmy nasz związek na gruncie warszawskim, jako przedstawicielstwo ziemian kresowych pod rządami polskimi. A gdy w jesieni 1919 r. wróciliśmy do kraju, zaczęliśmy znów swą pracę w Mińsku pod prezesostwem tegoż samego zarządu, niestety nie na długo, gdy powtórna nawała bolszewicka znowu nas z naszych stanowisk kresowych w lipcu 1920 r. wypędziła.

Po wycofaniu się wojsk rosyjskich z Kongresówki, jak to już zaznaczyłem, główne dowództwo z rąk w. ks. Mikołaja przeszło w ręce cesarza. Główna kwatera była przeniesiona do Mohylowa gubernjalnego, a komunikację kolejową z Piotrogradem ustanowiono przez Orszę i Witebsk. Nadzieje, do których dawała z początku asumpt odezwa w. ks., topniały powoli wobec nieprzejednanego stanowiska władz państwowych do wszystkiego co polskie, szczególnie na kresach i wobec zachowywania się władz rosyjskich okupacyjnych w Galicji, gdzie wielkorządca hr. Bobryński uwięził i wywiózł



do Rosji metropolitę hr. Szeptyckiego i kopuły cerkiewne zaczął przemalowywać na zielono, aby ucieszyć oko sprowadzonego z Chelma, osławionego archijereja Eulogjusza.

Z Warszawą wszelka komunikacja była przerwana; dochodziły zrzadka wieści o brutalności władz niemieckich, ale i u nas ku lepszemu nic nie szło. Działy tylko wciąż usilnie w kraju rozmaite organizacje, bądź oświatę ludu miejscowego („Oświata”), bądź sprawy uchodźców i wogóle „ofiar wojny” mające na celu. Na działalności jednej z tych organizacyj zatrzymać się muszę, a mianowicie na „Towarzystwie Pomocy Ofiarom Wojny” z powodu być może dalej idących aspiracji, które prezes centrali moskiewskiej Aleksander Lednicki, miał zda się na celu.

Z powodu rozmaitych praw wyjątkowych i prześladowań żywiołu polskiego na miejscu, w Kongresówce i w Kraju Zachodnim, tudzież niedawania Polakom jakichkolwiek stanowisk urzędowych w ich własnym kraju, gubernje rosyjskie od Dniepru i Dźwiny aż do Władywostoku, przepelnione były żywiołem polskim, szukającym chleba i pracy bądź na służbie państwowej, bądź w wolnych zawodach. Oprócz potomków dawnych wygnańców, którzy dla jakichkolwiek bądź powodów do kraju wrócić nie mogli, oprócz nowych zesłańców, których też nigdy nie zabrakło, wielu Polaków, ze względów ówczesnej polityki państwowej, jak urzędnicy, kolejarze i t. p. byli systematycznie usuwani z kraju i przenoszeni w głąb Rosji. Wielu również udawało się tam z własnej woli, szukając szerszego pola dla swych zdolności i energii. Ale cała ta dobrowolna czy przymusowa emigracja z małemi bardzo wyjątkami musiała być rejestrowana do księgi strat krajowych. Bowiem, gdy Niemców na obczyźnie jest tylko trzech, to ci organizują co najmniej cztery „Vereiny”, zaś emigracja polska żyła luźnie, w rozproszeniu, tracąc stopniowo z biegiem czasu poczucie solidarności narodowej, ulegała wpływow literatury rosyjskiej, życia klubowego w miastach powiatowych, rozmaitych organizacyj społecznych, związków małżeńskich i t. p., co prawda wносиła tam najczęściej pierwiastki dodatnie, ale sama ginęła dla ojczyzny.

Wielki napływ uchodźców z ludu i inteligencji z powodu inwazji niemieckiej, podziałał otrzeźwiająco, uświadamiająco

i powołał do obowiązków narodowych rozproszone rzesze emigracji polskiej. Zaczęły się tworzyć wszędzie związki, niosące pomoc uchodźcom, i niemi, jakby siecią cała Rosja się pokryła. Ale, że jeszcze działały bez ogólnego planu i solidarności, więc znany w szerokich kołach rosyjskich i polskich mecenas Aleksander Lednicki, ożywiony zawsze duchem inicjatywy i organizacji, powziął myśl chwalebną zogniskowania w Moskwie działalności tych wszystkich związków polskich na obczyźnie i nadania im jednolitego kierunku i poczucia siły przez solidarność działania nazewnątrz.

Zjazd przedstawicieli związków miał miejsce w Moskwie. Pojechali wezwani tam i delegaci związków z Kraju Zachodniego, znaleźli tam wszystko doskonale obmyślane i zorganizowane, powstała centrala moskiewska, wybrany był zarząd, z prezesem Lednickim na czele i, gdy się rozjechali, nie byli już odosobnieni w swej działalności, ale zrozumieli, że są jakby każdy ogniwem tego ogólnego łańcucha, który jednoczy wszystkich Polaków na obczyźnie wschodniej. We wszelkich wątpliwościach zwracać się mogli do centrali moskiewskiej, z której znowu jedno pociśnięcie guzika dawało jednolity kierunek pracy i jedno hasło aspiracji dla wszystkich organizacji polskich, jeżeli nie od Wisły, to przynajmniej od Bugu do Władywostoku.

Takie to były zamysły pana Lednickiego. W dzienniku, wydawanym w Moskwie, wydrukowany był regulamin bardzo ostry, obowiązujący nie tylko członków, ale stawiający pod pręgierzem każdego Polaka, któryby do tej organizacji nie należał, lub jej władzę lekceważył i naznaczonego przez nią podatku narodowego nie opłacał. Mieli być naznaczeni kontrolerzy, mający prawo zatrzymywania przechodniów i wymagania okazywania legitymacji dobrego lub złego Polaka, w postaci opłaconego lub zaległego podatku. W dziennikach można było wyczytać, iż w tych zjazdach moskiewskich przyjmowali udział przedstawiciele „Koła Polskiego” w izbach prawodawczych, Centralnego Towarzystwa Rolniczego Królestwa, Centralnego Komitetu Obywatelskiego i t. p. tak, iż wyglądało, że, zgadzając się na wyniesione ze zjazdu rezolucje, tym sposobem jakby podporządkowywali kompetencję swoich instytucyj kompetencji tego „zjazdu zjazdów”.

Zakrawało to już na jakiś „Rząd Narodowy”. Tego już dla mnie było za wiele, szczególnie jeśli uwzględnić moje zapamiętania, wyrażone o Rządzie Narodowym i o uległości jemu opinii publicznej w 1863 roku, zatem obawę, iżbyśmy znowu na tę samą drogę samozwańczych i konspiracyjnych organizacji nie weszli.

Biłem czołem przed zmysłem organizacyjnym p. Lednickiego i, jeśliby jemu stawiano pomnik za tę wielką i niespożytą zasługę zjednoczenia w związek „pomocy ofiarom wojny” wszystkich Polaków na emigracji rosyjskiej, chętniebym na to i swój grosz położył. Ale tutaj sprawa była przeholowana. Winien był pan Lednicki iść od Władywostoku, ale zatrzymać się nad Dnieprem i Dźwiną, za którymi już były nie zastępy emigracyjne, ale ziemie od wieków kulturą polską zdobyte, silne stanem posiadania ziemiaństwa polskiego i inteligencji miejskiej, które już same rządzić się i organizować umiały.

Emigracja nigdy z korzyścią dla kraju rządzić krajem nie może, bo wynosi z kraju nastroje tylko tej chwili, w której kraj opuszcza, a nie trzyma ręki na pulsie, który w danej chwili bije i według którego orjentować się należy. Uleganie postanowieniom zjazdów moskiewskich byłoby wyrzeczeniem się prawa kraju rdzennego, stanowienia samemu o sobie, albowiem przedstawiciele kraju byłiby zawsze w poważnej mniejszości, rozporządzając 9 głosami z 9 gubernij zachodnich wobec co najmniej 70 gubernij centralnych państwa, reprezentowanych tylko przez przedstawicieli emigracji, t. j. przez jednostki z innych sfer społecznych pochodzące i z ziemią wcale nie związane, a przecież władanie ziemią przez ziemiaństwo polskie stanowi główną ostoję polszczyzny na Kresach. Przyjęcie dyrektywy z centrali moskiewskiej mogłoby doprowadzić do takiego „absurdum”, że inżynier z Wiatki, cyrulik z Saratowa, kolejarz z Tyflisu lub fryzjer z Charkowa decydowałiby o tem, jak w ziemi mińskiej, wileńskiej lub wołyńskiej żyć należy, co przypuszczalnie te ziemie lepiej same określić potrafią.

Twierdzenie adeptów tej organizacji, iż decyzje moskiewskie były wynikiem zjazdu wszystkich organizacji polskich w państwie, były też błędne, albowiem jeżeli uczestnikami

tych zjazdów byli członkowie, bądź Koła polskiego, bądź Centralnego Towarzystwa Rolniczego, to oni przyjmowali udział w naradach jako osoby prywatne, a nie jako upoważnieni mandatarjusze swych organizacji, które wcale swej autonomji względem centrali moskiewskiej się nie wyrzekały, co w prezydjach tych organizacji stwierdzone zostało.

Wszystko to zważywszy i mając za złe, iż w czasie wypadków 1863 roku nikt nie miał odwagi cywilnej kontestować samowładności „Rządu Narodowego”, postanowiłem nie mieć tego zarzutu na swoim sumieniu obywatelskiem, skoro, według mego przekonania, na to samo się zanosilo. Skorzystałem więc chętnie z wezwania do Piotrogradu na posiedzenie polityczne od hr. Z. Wielopolskiego otrzymane, aby tam pojechać i moje obawy i zapatrywania przedłożyć.

Daty oznaczyć, wobec pogromu moich notatek, nie umiem. Pamiętam tylko, że znalazłem tam jeszcze dawnego kolegę i przyjaciela E. Dobieckiego, wybierającego się do Stockholmu, znalazłem przedstawicieli już jedynych z kraju naszego: A. Meyszowicza i K. Skirmuntta i oprócz tego delegatów z Rusi, tudzież przedstawicieli kolonji naszej w Moskwie: Grabskiego, ks. Sew. Czetwertyńskiego, ks. Mac. Radziwiłła i wielu innych. Piotrogród odznaczał się wielkim brakiem elementu wojskowego, zwykle nadającego pewną cechę stolicy, ale hotele tak były przepelnione, iż, gdyby nie nocleg, ofiarowany mnie w czytelnim hotelu Francuskiego, pomnego moich lat tam spędzonych, musiałbym pomimo zimy nocować chyba na ławce skweru Isaakiewskiego.

Zapatrywania moje na ewentualne skutki zjazdów moskiewskich, (jeśliby pewne granice kompetencji zapadłych tam postanowień, omówionemi dokładnie nie zostały), po pewnych debatach zostały podzielone przez większość obecnych. Więc z poczuciem spełnionego obowiązku wróciłem do domu, co nie bardzo było łatwe, albowiem bilety kolejowe już wówczas albo były przepłacane, albo przez wielką protekcję zdobywane. Mnie ułatwił to zacny mój powinowaty Jan Petrozolin, jako zajmujący wybitne stanowisko w zarządzie kolejowym.

Niedługo posiedziałem w domu; pomimo marcowych roztopów i braku komunikacji kolejowej, korzystając, że mam po drodze dom przyjazny i pokrewny hr. Marji Krasickiej



w Starzycy, końmi dobrałem się do Mińska, aby ostrzec na miejscu uczestników zjazdu, zebranego tam przez adeptów koncepcji moskiewskiej, na który się stawił, komenderowany przez prezydium z centrali, członek zarządu Mrozowski\*), który w swem przemówieniu nieomieszkał przedstawić organizacji moskiewskiej jako najwyższej instytucji narodowej, mającej prawo rządzić, opodatkowywać i uszczęśliwiać kraj cały. Przeciw czemu wystąpiłem z stanowczym i ostrym protestem, ku niemałemu oburzeniu sali. Przed głosowaniem podtrzymany byłem przez dobitne jak zawsze przemówienie R. Skirmuntta, lecz za mną powstała jeszcze tylko jedna trzecia jednostka: Pawlikowski, były prezes komitetu wyborczego mińskiego. Bynajmniej mnie to nie zraziło i nawet nieprzyjemnego nastroju dla siebie na sali nie wyczułem, albowiem, kiedy opuszczając salę, wypowiedziałem, że pomimo wieku, bezdroży i przewidując, że swoim przemówieniem wywołam zgrzyt na sali, jednak śpieszyłem spełnić to, co uważałem za swój obowiązek, uwierzono widać w czystość moich intencji, zostałem bowiem pożegnany oklaskami publiczności.

O moich zapatrywaniach i mojej kontrakcji wypowiedziałem otwarcie Lednickiemu, gdy znaleźliśmy się razem na warszawskim bruku podczas emigracji 1918—1919 r., lecz nie zachwiało to moich z nim stosunków wobec wzajemnej dobrej wiary w czystość intencji oraz wobec przekonania, że żadnym z nas nie kierowała prywata, ale odmienne zrozumienie dobra publicznego.

---

\*) Mrozowski Jan obecnie delegat Rządu Polskiego do Komisji Odszkodowań. p. w.

## VIII

W końcu lutego 1917 roku naznaczone było w Mińsku zebranie gubernjalne ziemstwa, w którym z urzędu udział wziąć musiałem. Szło ono trybem normalnym, gdy wtem nadeszła piorunująca wiadomość o dokonanym 1 marca przewrocie w Piotrogradzie, potwierdzona przez przybywające ze stolicy osoby. Upadek caratu nikogo tak dalece nie smucił, ale rozklejane w stolicy odezwy przywódcy socjalistów Chrystalowa - Nosara obok plakatów Rodzianki, ówczesnego prezesa Dumy, dawały dużo do myślenia. Gubernator miński ks. Drucki-Sokoliński przestał się pokazywać, władze wojskowe z początku starały się fakt przewrotu ignorować, w przypuszczeniu, że może jaka część wojska oprze się rewolucji, pozostanie wierną cesarzowi i wszystko pójdzie po dawnemu. Po abdykacji cesarza za siebie i za swego następcę, zapowiedziano nam nawet jednego dnia, że mamy iść do soboru, przysięgać na wierność bratu cesarskiemu, wielkiemu księciu Michałowi. Wybrał się nawet już archijerej, ale rozporządzenie cofnięte zostało i zgromadzenie ziemstwa zostało rozwiązane. Z okien tylko ujrzeliśmy na ulicach miasta pochody z czerwonymi, czarnymi i żydowskimi sztandarami, kroczące z muzyką i władzami miasta, pod przewodnictwem prezydenta B. Chrzęstowskiego na czele. Przeważnie szło żydostwo w kierunku placu katedralnego, na którym z trybuny przemawiało naczelne dowództwo wojskowe, zachęcające do porządku i jedności wobec stojącego na froncie wroga, ale inni powołani i niepowołani mówcy wygłaszali płomienne nawoływania, bolszewizmem tchnące.

I zaczęły się rządy Kiereńskiego, oparte głównie na „niesprzeciwianiu się złemu”, i trąd anarchji zaczął powoli podkopywać, chociaż marny, ale zawsze jaki taki porządek społeczny.

Cały przebieg tej rewolucji jest powszechnie znany, końca jeszcze jej nie widzimy, a mieszkając na prowincji, nie mógłbym być jej ścisłym historjografem. Jedna tylko rzecz szczerze dziwiła każdego, to łatwość, z jaką padł ten wielowiekowy i przed chwilą jeszcze, zdawało się, potężny carat oraz ten drugi fakt, iż nikt nie stanął w jego obronie, nawet z grona tych, którzy jemu zawdzięczali całą swoją karierę, nawet ta gwardja, tak pieszczona i niby wierna, ta biurokracja i klika dworska, od stóp do głów złotem szyta, to duchowieństwo, które nie tylko za cara, ale nawet do cara przywykło się modlić. Oprócz niepowodzeń wojennych, które na głównym planie postawić należy, do tego upadku przyczyniła się niemało nikła osobistość cara i rosnące wciąż u dworu znaczenie Rasputina „et tutti quanti”.

To, co na miejscu caratu powstawało, nie obiecywało wiele i nie wzbudzało w umysłach głębszych żadnej otuchy, albowiem powstawało i trzymało się tylko schlebaniem najniższym instynktom tłumu, żadnego życia i używania wszystkiego bez pracy i zasługi osobistej.

Spółczeństwo mińskie, a zwłaszcza przeważnie inteligencja miejska i rzesze uchodźcze, któremi Mińsk był przepełniony, przeważnie uległy temu nastrojowi, który w Piotrogradzie panował. Wspomnieć muszę o licznej zebraniu w sali Tow. Wzajemn. Kredytu, pod przewodnictwem szanownego mecenasa Witkiewicza, które się odbyło po tym mińskim pochodzie. Przyszedłem tam z R. Skirmunttem dopiero około północy, z drugiego zebrania, białoruskiego, na którym Skirmuntt przyzydował. Słyszając rozmaite przemówienia, upatrujące w wypadkach piotrogrodzkich nową erę odrodzenia i pomyślności dla naszych kresów i nawołujące do podania ręki rewolucji rosyjskiej, zaprotestowaliśmy obaj, dowodząc, że winniśmy utrzymywać kontakt z przedstawicielstwem nowej władzy, aby zło, które wypłynąć może z anarchji, uczynić dla naszego kraju mniejszem, lecz, że zasady socjalistyczne i 4-ro przymiotnikowe głosowanie usunie u nas przewagę żywiołów kulturalnych, porządek społeczny podkopie i stan posiadania polskiego na kresach uszczupli. Zostaliśmy narazie przehałasowani, lecz jako protest, nie weszliśmy w poczet członków „Polskiej Rady Ziemi Mińskiej”, która się niezwołocz-

nie zorganizowała z zacnym Hieronimem Kieniewiczem, jako prezesem na czele.

Podobne „Rady polskie” uformowały się w gubernjach mohylowskiej i witebskiej; zaczęły się od czasu do czasu zwoływać zjazdy przedstawicieli tych rad i, gdy w końcu 1918 r. większość ziemian musiała przed bolszewikami uchodzić do Warszawy, zjawili się oni tam już pewną organizacją zespoleni.

Przewidywania moje co do kierunku, w którym pójdzie rewolucja rosyjska, niestety, aż nazbyt prędko się ziściły. Nastąpiły rządy Kiereńskiego w stolicy, a Iwanowa, Ostrowskiego „et tutti quanti” w Słucku; wszystko to pod batutą synów Izraela, zorganizowanych w efemeryczne związki, wilją wiecowania powstałe i delegatów swoich, na głosowanie i wybierania funkcjonariuszów wysyłające.

Zaczęły się rozruchy agrarne, z początku tolerowane przez władzę, a później już nawet przez nią organizowane, które doprowadziły do sławnego „dekretu o ziemi”, wyłączonego ziemian z ich gospodarstwa i oddającego zarząd majątków w ręce „komitetów majątkowych”, składających się z parobków i delegatów sąsiednich wiosek, którzy, w drugiej bodaj połowie 22 października 1917 r., klucze od śpichrzów i wszelkich zabudowań gospodaczych odemnie odebrali, zaczęli gospodarować na swoją rękę, sprzedawać zebrane przezemnie plony, pozwalając mi, po długich korowodach, kupować z własnego zasieku zboże na chleb oraz kaszę. Delegaci gminni z dziewczkami rozjeżdżali mojemi końmi cugowemi na wieczorynki, pozwalając łaskawie czasem pojechać na Mszę właścicielowi.

Wszystko to, co do tego miejsca we wspomnieniach mego życia wypisanem było, poparte było dowodami niezbitymi, datami, a nieraz numerami odnośnych dokumentów; wszystko to bowiem miałem uporządkowane w przypuszczeniu, że ja sam, albo kto inny po mnie z tego skorzysta dla skreślenia obrazu życia społecznego na Białejrusi w końcu XIX i XX wieku. Odtąd wszystko się zmienia, rzadko już kiedy twierdzenia swoje dokumentem potwierdzę; więcej już na pamięci tylko opierać się będę, a ta w 70-ym roku życia czasem zawodna bywa. Jeżeli się omylę, nie będzie to w złej



wierze, poprawią to inni. Będą to już wspomnienia z XX-go wieku, zatem z czasów późniejszych, mających więcej ludzi współczesnych między żyjącymi. Zresztą większy już zastęp ludzi był w tych czasach do pracy społecznej powoływany, więc łatwiej tutaj być w relacji wyręczonym i sprostowanym.

Brak materiałów nastąpił wskutek pogromu, któremu uległ mój dwór, a głównie mój dom w Sawiczach w dniach 6/19 — 7/20 — 8/21 lutego 1918 roku i w którym zginął dorobek kulturalny 11-tu pokoleń, zginęło wszystko, cośmy zbierali od połowy XVI wieku w sprzętach, portretach, przedmiotach sztuki i t. p., a głównie w dokumentach, uporządkowanych i skatalogowanych tak, jak chyba tylko w znanych krajowych archiwach to bywa, i chociaż zapowiadałem od początku, że jak najmniej poruszać będę w mych wspomnieniach sprawy osobiste, jednak to, co zaszło w Sawiczach w dniach 6, 7, 8 lutego st. st. było tak typowe, że może dać pojęcie o pogromach, którym kraj cały w dobie ówczesnej ulegał.

Mniej więcej w połowie listopada 1917 roku wskutek tak nazwanych „dekretów o ziemi”, przez Kiereńskiego wydanych, a przez Lenina przeprowadzonych, wszystkie majątki w państwie, o ile nie były objęte okupacją niemiecką, były zajęte przez tak nazwane „komitety”, składające się ze służby dworskiej i delegatów sąsiednich wiosek, a właściciele od zarządu i używania swego dobra, tak ruchomego jak nieruchomości, zostali usunięci. Jak zwykle bywa w takich wypadkach, kiedy rządzą tłumy, na powierzchnię wypływają szumowiny, to też w skład „komitetów” weszli ludzie najwięcej sfanatyzowani propagandą bolszewicką, prowadzoną w okopach, w rozmaitych organizacjach, „sojuzach”, mitingach i t. p. Weszli ludzie nic nie mający do stracenia, a wszystko do zabrania. Propaganda prowadziła się oddawna, jeszcze za carskich czasów, przy jakimś apatycznym zapatrywaniu się na nią władz miejscowych, króre wobec ogłoszenia manifestów, tak nazwanych „wolnościowych”, straciły wszelką orjentację.

Dla ilustracji przypomnę, że kiedy raz, podczas pobytu mojego w mieście powiatowem w Słucku na kadencji sądowej, jakiś mówca miał orację do zebranej gawiedzi, zakończoną okrzykiem „hura, hura, ubjom caria”, przysłuchiwali się temu najspokojniej przedstawiciele policji, a gdy o tem ze zdzi-

wieniem opowiadałem prokuratorowi, ten mi odpowiedział, że policja nie miała prawa, wobec proklamowanej swobody słowa, aresztować anarchisty. Komitety weszły do naszych majątków, jak do ziemi obiecanej, bo w jesieni po całym znoju letnim, wszystko leżało zebrane w stodołach, okopowizna zasypana w kopcach, tylko bierz i używaj, a ceny stały niepomrotnie wysokie. W jednych majątkach zajęcie gospodarstwa przez komitety odbyło się spokojniej, w drugich drastyczniej, w jednych stosunek komitetów do dawnego właściciela był możebny, w drugich odmawiano nawet prawa kupna własnego zboża na chleb powszedni, odmawiano kwarty mleka, drzewa na opał, koni na wyjazd do kościoła lub doktora; wszystko to zależało od dobrej woli komitetów i składu członków. Członkowie ci zmieniali się dosyć często, bo każdemu się chciało mieć swoją kolej jeżdżenia pańskimi końmi, gospodarowania w pełnych śpichrzach, pańskich oborach, stodołach, a rzecz główna, pobierania dochodów bez żadnej kontroli, w najgorszym wypadku zażegnanej dopuszczeniem wyższych instancji, bo „komitetów gminnych”, do udziału w zyskach. Właściciele ziemscy pozostawali jednak na miejscu, znosząc wszystko, albowiem tak u nich, jak i w komitetach panowało poczucie, że ten stan długo trwać nie może, zresztą, że niedługo potrwa i sam obiekt wyzysku, bo gospodarskie zasoby dworów wyczerpywać się zaczynały. Ale że nie każdemu starczyło cierpliwości doczekać się, aż kolej jego gospodarzenia we dworze nadejdzie i może już znaleźć wszelkie zapasy wymiecione, więc zawiął podmuch inny, głównie przez powracających z głębi Rosji żołnierzy podniecany, aby w kraju naszym urządzić raj, o którym przez gazety dochodziły nam wieści z za Dniepru i z nad Wołgi. Zaczęły się więc pogromy, pogromy nietyle będące w zależności od zamożności dworu, lub stosunku jego z sąsiednią wioską, ile raczej od nastroju, który w wiosce lub między służbą dworską zdolni agitatorowie wzbudzić potrafili.

Już na parę miesięcy przed pogromem siedziby mojej, zaczęły się pogromy, szły one jakoby pewna fala od okopów w Baranowiczach ku Wschodowi. Fala ta coraz bliżej następowała i, zatrzymawszy się o 2 wiorsty przedemną, jakby

uległa i przeszedł cały miesiąc, nie mówię w spokoju, bośmy niejedną noc bezsenną strawili, ale w oczekiwaniu, które przeszło w pewien stan apatii.

Zrana wstawaliśmy, dziękując Bogu, że nam jeszcze tę noc w łóżku spędzić pozwolił, wieczorem, kładliśmy się spać po modlitwie, by nas przez noc nadchodzącą jeszcze ta klęska ominęła, aż wreszcie zaczęło się u nas utrwalac przekonanie, podtrzymywane również przez rozmaite uboczne gawędy, że w Sawiczach pogromu wcale nie będzie. Tem łatwiej mogłem w to uwierzyć, że od dzieciństwa w majątku zamieszkały, poczuwający się do wspólności pochodzenia z ludem miejscowym, w każdym wypadku, radą, pomocą, ludowi temu śpieszący, nie spotykając w okolicznej ludności prawie nikogo, któryby mnie tem czy owem nie był obowiązany, wnosić zaczynałem, że może ten stosunek i ta cała praca życia mojego w danym kierunku oceniona zostanie i że ogólnemu losowi Sawicze nie ulegną. Przytem, doświadczwszy w życiu zawodu we wszelkich swoich nadziejach i przewidywaniach, doszedłem do przekonania, że los każdego człowieka jest zgóry gdzieś wyżej zapisany, że nic nie pomoże, co musi się stać, to się stanie. A że archiwum nasze rodowe, zawierające tyle dokumentów, nie tylko rodzinę naszą, ale kraj cały obchodzący, przetrwało przez tyle wieków wojny moskiewskie, szwedzkie i tatarskie i żaden świstek nie zginął, wnosiłem, że może sądzonem mu będzie przetrwać i kataklizm obecny i dla tego nigdzie go zawczasu nie ewakuowałem. Tem więcej, że wszelkie zabiegi ewakuacji najlepiej obmyślane, często odwrotny rezultat dawały, jak np. ewakuacja części zbiorów zamku nieświeskiego do Moskwy, w obawie inwazji niemieckiej, bez przecucia terroru bolszewickiego. Tymczasem sązione widocznie było, aby to archiwum zagięło jednocześnie z jego dziedzicami, bo i ja ostatni z rodu jestem, a że mam lat 70, nie na długo tę stratę przeżyję.

Przystępuję do opisu samej katastrofy. Nie przeczuwając jej zupełnie pojechaliśmy z żoną na obiad do siostry mojej marszałkowej Horwattowej, zamieszkałej o milę w majątku Puzowie, także do mnie należącym. Puzów był zajęty oddawna przez drużynę transportu wojskowego, ze sztabem, zupełnie już zrewolucjonizowanym, którego komitet właśnie zasiadł

w sąsiedniej sali na dole i obradował nader hałaśliwie, podczas gdyśmy obiadowali. Nagle wszystko ucichło i wielki ruch wychodzących „towarzyszów” zwrócił naszą uwagę. Wtem wpada do sali jadalnej ogrodnik mojej siostry, Niemiec, z okrzykiem: „Niemcy już są w Sieniawce”. Sieniawka, miasteczko i stacja kolei mil 4 od Puzowa odległe. Wiadomość ta była powodem wielkiego popłochu i ucieczki „towarzyszów”, co się zaś nas tyczyło, to chociaż zawsze byliśmy antyniemieckiej orientacji, ale wiadomość ta wniosła pewne uspokojenie, że nakoniec panowanie bolszewików się skończy i jakieś praworządne stosunki zapanują.

Po obiedzie, przy kominie zaczęliśmy omawiać zaszłe wypadki i wieczorem, wróciwszy do Sawicz, dowiedzieliśmy się, że nietylko Niemcy są w Sieniawce, ale już żołnierze z okopów uciekają, a że trakt główny z Baranowicz przez Słuck do Bobrujska prowadził przez sam dwór sawicki, między domem a stacją, więc jeszcze przed naszym powrotem, uciekająca partja maruderów, grożąc rewolwerami i bagnietami uprowadziła najlepszą czwórkę koni cugowych.

Zrozumieliśmy odrazu, że to nie przelewki i że już przysła ostatnia godzina likwidacji wypadków na sawickim gruncie.

Noc była jasna, księżycowa, mróz około 15°. Stanąwszy w oknie, przed wieczerzą jeszcze, spostrzeżliśmy ogromny szereg wozów wojskowych, pomieszanych z piechotą i kilku konnymi, przejeżdżający przez dwór. Nagle tabor się zatrzymał i podbiegła do niego z cieniu garstka ludzi, członkowie „Komitetu”. Była to zapewne umowa o przeprowadzenie pogromu. Po kilku minutach tabor ruszył dalej, odetchnęliśmy trochę, nie przeczuwając, że zatrzyma się o pół wiorsty dalej, za parkiem, w wiosce też „Sawicze” zwanej, lecz w żadnym stosunku, tak w czasach pańszczyźnianych, jak też i następnych z dworem nie będącej.

Po krótkiej wieczerzy dla formy tylko niby spożytej, udaliśmy się na spoczynek, ale postawiwszy przy łóżku długie buty i krótką lisiurę w zapasie. Po krótkim zaśnięciu, koło 12-tej, obudziło nas lekkie pukanie do drzwi sypialnego pokoju i głos zacnego naszego pisarza prowentowego, Dymitra Szkućko, oznajmiający: „proszę panów wstawać, bo



przyszli ci, co mają nas rabować”. Poczem sam zbiegł szybko na dół. Ubrawszy się co tchu, i wypuściwszy żonę przez schodki prywatne, jakie w starych domach bywają, na dół i do ogrodu, przez drzwiczki uboczne poleciałem jej udać się do domu ogrodowego, do mieszkania praczki i tam, nie oglądając się na mnie całą katastrofę przesiedzieć. Sam zaś, już na dole, dowiedziałem się od pisarza, że, zaniepokojony tym taborem i tą konferencją na dworze z ludźmi komitetowymi, po krótkim spoczynku z fuzją na ramieniu, w starym kożuszku, niby stróż nocny, wyszedł na podwórze, gdzie na drodze koło śpichrza, przyskoczyło do niego z pod szopy 2-ch, a następnie dalszych 2-ch uzbrojonych ludzi z zapytaniem, co on tu robi? Pisarz powiedział, że jest stróżem nocnym i sprawdza porządek we dworze, a pyta zarazem, czego oni sami chcą? Żołnierze oświadczyli, że przyszli po owies, który muszą mieć, chociażby w nocy, bo muszą niezwłocznie w dalszą ruszyć drogę. Pisarz zaproponował im iść do członka komitetu, który rządzi dworem; ci usłuchali i póki się tam prawowali, skorzystał z chwili, aby do nas dobiec i nas obudzić. Wypuściłem pisarza z domu znów na podwórze i postanowiłem czekać dalszych wypadków na miejscu w domu, wnosząc jeszcze, że, kiedy napadać będą nie żołnierze, a miejscowi włościanie, nic mi złego, osobiście stać się nie może. Lecz prawie w tej chwili spostrzegłem biegnących pod drzwiami główne 12-15 uzbrojonych żołnierzy, przez te same drzwi uboczne, przez które wypuściłem żonę, sam się wymknąłem z domu do parku w stronę tego domu w ogrodzie, w którym moja żona znajdować się była powinna, a który chciałem wciąż mieć na oku.

Nim dobiegłem do pierwszych drzew, które mnie w taką jasną noc od rabusiów skryć miały, już posłyszałem szalone wrzaski, strzały, wycie tłumu, który wpadł do domu. Zaświeciły okna, zaczął się rabunek, który następnie z domu przeniósł się do stajni, wozowni i dopiero po paru godzinach ustał. Przez cały ten czas, nie czując nawet mrozu, pozostałem między dwoma lipami, nie spuszczać wzroku z miejsca schronienia mej żony i słysząc cały krzyk i łoskot w domu. Gdy ucichło, wychyliłem się, zobaczywszy idącego pisarza, który mnie uprzedził, iż zjawiała się znowu druga partja

żołdactwa w towarzystwie chłopów ze wsi sawickiej, krzyżująca na chłopów, aby szukali dziedzica, bo wszystko wtedy ujdzie bezkarnie, gdy dziedzic będzie zgładzony. Radził więc mi pisarz od siebie i z polecenia mej żony, abym się broń Boże nie pokazywał, a uchodził ze dworu, co też i uczyniłem i resztę nocy, aż do wieczora dnia następnego prze-ważałem się po lesie, śledząc za tem, co się we dworze działo. Słyszałem zatem wciąż strzały karabinowe i wybuchy jakiegoś potężniejszego; widziałem co raz to nowe szeregi odstępującego bezładnie wojska, a raczej maruderów, ciągnące się sznurem fury włościańskie i moje własne wozy, przez ludzi dworskich pochwycone, przesuwane się tam i napowrót po zrabowane sprzęty; widziałem pędzone bydło i konie, widziałem kłócących się i bijących o zdobycz i pomimo chłodu i głodu, i lekkiego ubrania przy silnym mrozie stan podniecenia nerwowego sprawiał to, że zimno słabo odczu-wałem i dopiero wieczorem dnia następnego odważyłem się wstąpić do sąsiedniego folwarku „Małe Sawicze”, do Czarnockich należącego, gdzie dziedzice byli nieobecni, ale gdzie znalazłem mą żonę pod opieką rządcy pozostającą, gdzie się posiliłem i siedząc nierozebrany w fotelu i strzygąc oczyma, czy kto po mnie nie przychodzi, noc w ciepłym pokoju pod dachem spędziłem. Pogrom ten trwał jeszcze dwa dni, a my przesiedzieliśmy u obcych tak cały tydzień, nie pokazując się ludziom na oczy i otrzymując tylko od przyjaznych nam ludzi dworskich wiadomości o tem, co się we dworze naszym dzieje, jak mnie tam wciąż poszukują i resztki jeszcze nie zabrane chwyatają. Dopiero 13/27 lutego przysłano po mnie z oznajmieniem, że przyszedł oddział wojska niemieckiego, Sasi, pułk Nr. 100 i mnie wzywają.

Pojechałem, znalazłem ludność dworską zebraną na ganku przed pałacem, na słupie kompasowym ustawiony kulomiot i dwu najgorszych bolszewików ze służby dworskiej pod strażą, gotowych do powieszenia, a ze 20-tu żołnierzy z naczelnikiem, chodzących po pokojach i zdziwionych dokonaniem zniszczenia, które jednak ludzie są w stanie dokonąć bezmyślnie i bez potrzeby innej, jak dla zaspokojenia instynktów barbarzyńskich. Dosłownie nie było ani jednego stołka w domu, ani jednego ćwieka w ścianie, ani jednych

drzwiczek w piecach, a wiele drzwi i okien nietylko że zostało pobitych, ale nawet wywiezionych. Wskutek wyrwanych rur kanalizacyjnych i wodociągowych podłogi na górnym piętrze i sufity na dole zalane, a co zostało z archiwum i z biblioteki, liczącej skatalogowanych górą 5000 tomów, wszystko porwane w kawałki, obrazy i portrety antenatów porzniete na pasy lub postrzelane.

Wyprosiłem u Sasów, aby tych aresztowanych nie wieszali, że im wybaczam pod warunkiem, że oni wraz z 4-ma najgorszymi rodzinami nazajutrz ze dworu się wyniosą, co też przeprowadzonym zostało. Nie wielka stąd wyszła pociecha jednak, albowiem osiedli w wioskach o 1-2 wiorsty odległych i prowadzą tam propagandę. Ze smutkiem jeszcze konstatować mi wypada, że najgorszymi okazali się ludzie, których nie tylko ojcowie, ale nawet dziadowie we dworze się porodzili i całe życie spędzili na służbie mojej rodziny, których wnukowie odemnie pomoc w wychowaniu otrzymywali, o zabezpieczeniu losu których na wypadek mojej śmierci wciąż przemyślałem i którym ufać miałem najzupełniejsze prawo. Wprawdzie pozostało mi sporo ludzi, którzy w najtrudniejszych warunkach bytu, wciąż przy mnie stali i los mój dzielić zawsze byli gotowi; do rzędu tych zaliczyć muszę, w pierwszym rzędzie, syna dawnego naszego furmana, a wówczas rządcę, Dymitra Szkućkę, ochmistrzynię, pisarza, kucharza i lokaja.

Po wprowadzeniu mnie przez Sasów do majątku, jako dziedzica i gospodarza, jeszcze parę tygodni u siostry w Puzowie przemieszkiwać musiałem, nim, choć kilka pokoiów, z południowej strony domu, do stanu mieszkalnego doprowadzone nie były; ale zarząd majątku zaraz objąłem i ci sami ludzie, członkowie komitetu, którzy tak niedawno dokazywali, okazali się potulnymi i posłusznymi, jak daj Boże zawsze, i trzeba przyznać otwarcie, że jeżeli nie łatwo im tego zapomnieć, to z drugiej strony trudno mieć słuszny żal do nich, jeżeli się uwzględni, że od rozbioru kraju, czyli przez cztery pokolenia, rząd, wciąż przez swoich urzędników, popów, przez cały szereg ustaw prawodawczych i plan reform agrarnych, w sądzie, w gminie i szkole, wciąż tylko pracował nad tem, aby wioskę ze dworem poróżnić i waśń klasowo-narodowościową wznie-

cię. Zaznaczyć z przyjemnością muszę, że włościanie wsi dawnej dworskiej „Bratkowa” z początku żadnego udziału w pogromie brać nie chcieli i dopiero zjawili się na dzień drugi wobec wypowiedzianej pogróżki, iż kto w pogromie udziału nie przyjmie, ten przy rozdziale ziemi dworskiej pominięty zostanie.

Zatrzymałem się dłużej nad tym epizodem osobistego życia mojego, aby dać obraz tego, co się podówczas w całym kraju działo: było to jakby najście chmury gradowej, która w jednym miejscu wszystko zniszczy, a w drugim, niewiadomo dlaczego, wszystko w całości zachowa, pomimo, że horyzont zakrywa i wszędzie złowrogo huczy. Nie szukając daleko przykładu, majątek Puzów, zamieszkały przez moją siostrę, zupełnie na ten raz pominięty został. Miała ona bolszewików na herbacie porannej, żadna nawet łyżeczka nie zginęła i jej i powierzonych jej opiece siostrzenic, oraz żadna krzywda się nie stała, prawdziwy cud Boży.

Wskutek tego pogromu pozbawiony nadal zostałem wszelkich notat i dokumentów, co uwzględnić należy przy możebnej w niektórych relacjach nieścisłości. Ale, jak zaznaczyłem już wyżej, zlej woli z mej strony nie będzie.

W Sawiczach zakończyło się to wszystko pogromem dnia 6/19 lutego 1918 r., przebieg którego uprzednio już opisałem, a w kraju nastąpiły rządy okupacji niemieckiej, o których kilka słów powiedzieć należy.

Najbliższym punktem, zajętym przez wojska niemieckie, był Nieśwież. Wjechało kilku kawalerzystów w dzień targowy na rynek, zapelniony licznymi furmankami z okolicy, oficer i paru „gemeinów” weszło do ratusza, oznajmili, że odtąd władza w ich ręce przechodzi i już bez żadnego oporu i protestu zaczęli wymierzać „sprawiedliwość”, wydawać przepisy obowiązujące, obliczać na marki i fenigi i naznaczać pobory.

Pierwszym wielkorządcą w Nieświeżu, na szerokiej przestrzeni, bo sięgającej po za Słuck i aż pod Mińsk był pułkownik v. Tetlau, junkier pruski, którego imienniczka, frejlina przy dworze pruskim, była nawet przez kronprinza, późniejszego Fryderyka II, mile wyróżniana. Zamieszkał w zamku, jakby we własnym domu, otoczony sztabem, w którym znajdowali się oficerowie, doskonale po rosyjsku mówiący i dłuższym



pobytem w Rosji, w charakterze niby agentów handlowych, do przyszłych obowiązków przygotowani. Po kilkutygodniowym kołataniu udało mi się wyjednać u pułkownika pozwolenie na wyjazd do Mińska dla wyekwipowania się, albowiem byłem przez pogrom 6/19 lutego zupełnie odzienia wszelkiego pozbawiony. Miałem wielką ochotę dopełnić to w Warszawie i v. Tetlau starał się u Besselera wyrobić konsens na mój przyjazd. Wiem, że szepnął za mną kilka słów u władzy, dawny mój kolega z Rady Państwa, a ówczesny członek regencji J. Ostrowski, ale bodaj ta ostatnia protekcja mnie raczej zgubiła niż pomogła. Niemcy uważali mnie bowiem za działacza politycznego, przesiąkniętego orientacją antyniemiecką i przez cały czas swojej okupacji w obcowaniu ze mną, będąc bardzo „correct”, jednak wciąż, jak to dawało się wyczuwać, z oka mnie nie spuszczała.

Główny zarząd okupacyjny, w miarę posuwania się Niemców coraz głębiej na wschód został z Nieświeża przeniesiony do Słucka, gdzie rezydował Bawarczyk, generał v. Weber, jednakże niezależnie od osobistości system niemiecki poważniejszym zmianom nie ulegał. Niemcy więcej eksploatowali dwory niż wioski; naznaczali daniny z jaj, masła, ptactwa, rekwirowali ziarno i furaz tudzież konie i bydło, płacąc wprawdzie akuratnie, ale śmiesznie minimalne ceny. Istniejące urzędy zatrzymali prawie bez zmiany, naciskając śrubę podatkową, zdawało się wówczas bez litości. A że to były czasy powodzenia wojennego na zachodnim froncie, władze okupacyjne zdawały się coraz więcej utrwać, szczególnie, gdy Mińsk został przeznaczony na kwatery główną generała v. Falkenheina, ex-ochmistrza dworu cesarskiej, ex-ministra wojny, ex-szefa sztabu kronprinza podczas oblężenia „Verdun”, następnie przeniesionego na front rumuński, a ostatecznie na miński.

Po ucieczce Kiereńskiego i nastaniu rządów bolszewickich, a szczególnie po traktacie brzeskim, nastąpiła na kręśach białoruskich silna orientacja ku stronie niemieckiej; nie dlatego aby w społeczeństwie naszym sympatja ku Niemcom wzrosła i zachłanność ich na wszystko, co jest słowiańskie stała się mniej widoczną, ale po prostu widziało się w nich obrońców porządku społecznego i stróżów bezpieczeństwa

publicznego, wobec rozwieleniającego się coraz to więcej bolszewizmu w Rosji i utajonej, ale wciąż nurtującej pracy jego adeptów na Białejrusi.

Te kombinacje były powodem 2-ch zebrań ziemiaństwa w Mińsku, których daty tu nie wymieniam, bo notatki moje zaginęły. Jedno takie zebranie miało miejsce na początku okupacji niemieckiej, drugie miało miejsce ku końcowi i jedno i drugie w czasie wielkorządztwa v. Falkenheina. I w jednym zebraniu i w drugim przyjmowałem udział wskutek wymagań mych współobywateli i wskutek tego, iż Niemcy, poinformowani o stanowisku, jakie przed ich okupacją w kraju zajmowałem, bądź jako członek Rady Państwa, bądź jako tyloletni prezes Towarzystwa Rolniczego, mego udziału i podpisu na odnośnych memorjałach wymagali, jak mnie o tem świadczyli organizatorowie tych zjazdów. Nie mogę przedstawić tekstu naszych memorjałów, bo nie ja je redagowałem, raczej starałem się zawsze usuwać z nich zbyt filogermańskie koncepcje, bruljony zaś u mnie zaginęły. Zaznaczyć jednak mogę, że pierwsze podanie było więcej zrównoważone, niż drugie; pierwsze miało nie iść dalej jak przez sztab Falkenheina, do głównej kwatery, wówczas w Koronie będącej. Była tam tylko mowa „o wdzięczności dla okupantów za przywrócenie porządku społecznego, o chęci wyodrębnienia się od bolszewji i współżycia z narodami zachodu, przy oparciu się o silne państwo niemieckie”. Drugie podanie było doręczone wówczas, gdy wskutek umowy w Brześciu stanęło na porządku dziennym cofanie się Niemców od wschodu i w pewnych określonych terminach oddawanie bolszewikom pewnych stref terenów białoruskich „aż do Berezyny i po za Berezynę”. Pierwszym powiatem oddawanym przez Niemców sowdepji, miał być powiat sieński gubernji mohylowskiej, przy czem Niemcy ofiarowywali pewną straż wojenną i dawali wagony uchodźcom dla przewiezienia ich dobytku na zachód. Boleliśmy wszyscy nad losem zacnego ziemianina Karola Świackiego, który miał rozpocząć ten „exodus”, nie przeczuwając, iż zazdrościć mu wypadnie, że odbył tę drogę wygnańczą pod opieką władzy i w wagonach, wówczas, gdy my wszyscy, pod strachem rozstrzelań bolszewickich i w tłoku panicznym uchodzić z progów rodzinnych będziemy wkrótce zniewoleni. Te oddawanie

strefami Białorusi bolszewikom było taką dla stanu posiadania polskiego na Białorusi katastrofą, iż, powołując się nawet na tradycje historyczne, żądaliśmy nawet utworzenia Wielkiego Księstwa Litewsko-Białoruskiego pod kuratelą niemiecką i prosiliśmy v. Falkenheina o zakomunikowanie naszych aspiracji cesarzowi Wilhelmowi.

To ostatnie podanie, tak było przeciwne mojej linii politycznej, tak dla mnie wstrętne, że przez trzy doby walczyłem, nie chcąc położyć mego podpisu, a wśród tego „senioren Conventu”, złożonego blisko z 30-tu osób, jeden tylko, najmłodszy, zacny Zygmunt Rewieński, za mną się oświadczył. Lecz w końcu zmuszony byłem, zaklinany na „salus reipublicae suprema lex”, wprowadzić już nie na pierwszym miejscu, jak na pierwszym podaniu, ale przecież swój podpis położyć. Mój protest został przez sumiennego sprawozdawcę M. Porowskiego zaprotokółowany z wyjaśnieniem, iż zgodziłem się podpisać tylko wobec zdania zebranych, i jakoby insynuacji zakulisowych, iż brak mego podpisu odjąłby należyty autorytet całej akcji. W każdym razie, kiedyśmy poszli do v. Falkenheina, nie ja, ale hr. Jerzy Czapski stanął na czele deputacji, wówczas, gdy na pierwszym podaniu pierwszy podpis był mój i całą tę deputację v. Falkenheinowi przedstawiałem. Jako osobliwość zaznaczyć należy, iż w tej deputacji przyjmował udział i swój podpis położył zastępujący miejsce nieobecnego marszałka gubernjalnego, marszałek borysowski, Burnaszew, występujący w charakterze urzędowym.

V. Falkenheim, odpowiadając na przemówienie hr. Czapskiego, zaznaczył, iż ustępowanie strefami Białorusi było zastrzeżone przez traktat brzeski, któregooby on, jeśliby był tam delegatem, pewnoby nie podpisał, ale obecnie ślepo wykonywać musi. Co się zaś tyczy aspiracji naszych politycznych utworzenia pewnego państwa buforowego między Niemcami a Rosją, to postara się zakomunikować o tem głównej kwaterze cesarskiej. Nie przewidywaliśmy wówczas, że wskutek niepowodzeń wojennych na zachodzie, Niemcom wypadnie ustępować prędzej niż zamierzali z Białejrusi i to nie strefami, a odrazu.

Chcąc scharakteryzować rządy niemieckie na Białorusi w kilku słowach, powiem, iż sposób ich postępowania, był zawsze twardy, nieugięty, ale w pewne formy kulturalne

ujęty. Naznaczane daniny, odsyłane co tydzień do Vaterlandu, z biegiem czasu, zupełnieby kraj ogolociły, pozbawiłyby dochodowego inwentarza i sprzężaju, ale zawsze odznaczały się pewnem stopniowaniem w repartycji, ścisłością w odbiorze, sprawiedliwej wadze i wypłacie, co prawda śmiesznie małej, ale natychmiastowej, chociaż w swoich ost-markach, zrównanych przymusowo z dawnym rublem carskim. Łapownictwo w formie gotówki rzadziej było praktykowane, ale w formie produktów bardzo się rozwinęło i chętnie było przyjmowane, a nieraz nawet delikatnie wymagane. Wszelka polskość i jej znaczenie w okupowanym kraju, była nietylko nietolerowana, ale manifestacyjnie usuwana, grano natomiast chętnie na dudce białoruskiej, w widocznym przeświadczeniu, że łatwiej ją według swego kamertonu nastroić. Tutaj, z biegu rzeczy należy i sprawę białoruską omówić.

Poważną część ziemiaństwa polskiego na Białorusi, obejmującej część gubernji wileńskiej, większość grodzieńskiej i całość mińskiej, mohylowskiej i witebskiej, stanowią autochtoni, szlachta miejscowego pochodzenia, niegdyś wyznająca obrządek wschodni, lecz naogół w XVII wieku już katolicka i spolszczona. Poczowała się ona do wspólności krwi z ludem miejscowym, a przytem znała jego język, obyczaje i bynajmniej nie dążyła do jego polszczenia, ale owszem, współczuła przejawiającym się już w 2-giej połowie XIX w., wprawdzie bardzo słabym, ale istotnym, odruchom narodowościowym, którego pierwszymi pionierami byli ziemianie polscy, jak Czczott, Zan, Syrokomla, Dunin-Marcinkiewicz i wielu innych, tego ostatniego najwięcej znany utwór sceniczny „Hapon” ujrzał nawet światło kinkietów teatralnych w Mińsku podczas elekcyj szlacheckich.

Władając językiem białoruskim równie dobrze jak polskim, i używając go stale w stosunkach z pracownikami rolnymi w swoim gospodarstwie, od kilku dziesiątków lat byłem w stałym kontakcie ze wszystkimi objawami ruchu białoruskiego najprzód w Mińsku, gdzie spotykałem się z Łuckiewiczem i Kostrowickim (ułomnym), następnie w Wilnie i Piotrogradzie z Iwanowskim, Szypillem \*) i t. d. Ze stowarzyszeń

\*) Epimach-Szypillo, bibliotekarz biblioteki uniwersyteckiej w Piotrogradzie, znany działacz białoruski.



białoruskich zawsze, biorąc w nich jaki taki materialny udział, na końcu się usuwałem, albowiem rozpoczęta w nich praca początkowo w kierunku samopoznania i odrodzenia się narodowego („Łuczynka”, „Socha”, „Zahlanie słońce i w nasze okonce” i t. p.) zwykle, ku końcowi przybierała hasła i kierunek socjalistyczny, któremu, wbrew swym przekonaniom, hołdować nie mogłem. Szowiniści polscy czynili mnie nawet z powodu moich sympatyj białoruskich zarzut, że nie jestem Polakiem, ale Białorusinem, co już na odpowiedzialność autorów tej koncepcji pozwałam sobie pozostawić, ale w każdym razie pewną markę w tym względzie musiałem mieć wyrobioną, skoro pewnego wieczora zimowego w spóźnioną porę, zjawił się u mnie w Sawiczach, bodaj ex-jezuita, następnie bazylijanin z brodą, w cywilnem ubraniu, ks. Łomnicki, który dopiero nazajutrz mnie charakter swój duchowny wyjawiał i, przez dni parę bawiąc w Sawiczach, starał się wybadać, o ile z jednej strony unja kościelna w naszym kraju znalazłaby grunt podatny, jako niedawno, bo dopiero w roku 1839-ym skasowana, o tyle z drugiej strony, czy ja sam zgodziłbym się być jej propagatorem i ewentualnym prozelitą.

Ks. Łomnicki, człek nadzwyczaj świątły i zręczny, już przed tem był w Piotrogradzie i Moskwie, gdzie z wielu osobistościami wpływowemi miał kontakt i msze według swego obrządku odprawiał, konferował bodaj z samym Pobiedonoscewym i, jako na materiał podatny dla swojej misji, nawet niektóre seminarja duchowne w Rosji wymieniał. Wiele nam rzeczy ciekawych o stosunkach galicyjskich opowiadał, o których słabe mieliśmy pojęcie, wszystko to było silnie sympatjami rusińskimi zabarwione, ale odjechał z niczem. Albowiem pomimo manifestu o swobodzie wyznania, wiedząc z doświadczenia na Podlasiu i Chełmszczyźnie, jak się to ta swoboda w Rosji rozumie, wypowiedziałem ks. Łomnickiemu, iż, gdyby kto, chcąc się wyrzec prawosławia, przyszedł do mnie prosić o radę, rzekłbym jemu raczej przyjąć katolicyzm, jako wyraźniej odbijający od prawosławia, niż unję, w której oczyszczania od rzekomych naleciałości rzymskich kończyły się zwykle nawracaniem na prawosławie.

To samo powtórzyłem w Mińsku J. E. metropolicie hr. Szeptyckiemu, gdy przyszedł do mnie także w cywilnem

ubraniu, w towarzystwie bodaj tego samego Łuckiewicza \*) i w tym samym, co ks. Łomnicki — zamiarze.

Ruch białoruski, jak powiedziałem wyżej, życzliwie przez polskie ziemiaństwo powitany, został w Mińsku przy współudziale przedstawicieli tegoż ziemiaństwa wznowiony podczas ostatnich posiedzeń ziemstwa w 1917 roku. Głównym inicjatorem był p. Smolicz, pracownik ziemstwa, przy patronacie R. Skirmuntta, który ówczesnie pracował w aprowizacji, jako wojskowy, przez mobilizację powołany. W zebraniach białoruskich brałem udział tylko dorywczy, będąc przyjezdnym tylko członkiem. Przewodnią myślą naszą było rozbudzenie samopoczucia narodowościowego u Białorusinów, aby wyodrębnić ich od Moskwy i uwolnić spokojny, zdrowy w pojęciach swoich lud białoruski od anarchji, która już wówczas w rdzennej Rosji, coraz to głębsze korzenie zapuszczała. Zebrania te nosiły przeważnie charakter protestu przeciw dopiero co upadłemu reżymowi carskiemu. Brali w nich udział i księża, wśród których ruch ten zyskiwał licznych adeptów, a jednym z najwięcej szowinistycznych członków stała się ks. Magdalena Radziwiłłowa, dwukrotnie wdowa, po hr. Ludwiku Krasińskim i ks. Mikołaju, synie Wilhelma, Radziwille z linii nieświeskiej, jako urodzona Zawiszanka, dziedziczka olbrzymich obszarów w Mińszczyźnie, w dobrach Kuchceice, Żarnówki, i t. d., zakładająca szkoły ludowe białoruskie i funduszami swemi hojnie ruch białoruski wspierająca.

Ruch ten, jak wszystkie zresztą inne organizacje białoruskie, podjęty w celach narodowościowych, zaczął powoli przybierać hasła socjalistyczne, co naturalnie żywiły ziemiańskie musiało odstręczać, a owszem u ówczesnych rządów Kiereńskiego markę i poparcie zdobywało. Potrzebne były środki; społeczeństwo białoruskie, składające się z elementów mało narodowościowo uświadomionych i na ogół niezamożnych, nie mogło ich dostarczyć, trzeba było zwrócić się na wschód, tam, gdzie pieniądze drukowano w dowolnej ilości, i gdzie patronowano wszelkiej działalności wywrotowej, pod warunkiem jednak podporządkowania się pewnym dyrek-

---

\*) Łuckiewicz Jan zmarły przed kilku laty, znany działacz białoruski. p. w.

tywom centrali. Zwołany w grudniu 1917 r. wielki zjazd białoruski, składający się z osobników wcale nieuświadomionych, ale posłusznych, mających koszta podróży i pobytu w Mińsku opłacone, wybrał „Radę Białoruskiej Republiki Ludowej”, która miała nieostrożność wspomnieć o swej suwerenności. Bolszewicy, zwolennicy wszędzie „jedynoj i niedielimoj Rosji” Radę tę rozpędzili, która przy okupacji niemieckiej, znowu się samorzutnie już skleiała, zajęła w swe posiadanie dom gubernatorski i na balkonie chorągiew białoruską, biało-czerwonobiałą, wywiesiła i ponownie miała nieostrożność Radę za rząd krajowy ogłosić, ale że jednocześnie z prawicowych więcej odłamów prowodyrów ruchu białoruskiego powstał „Komitet”, który z „Radą” był w pewnej emulacji, a że Niemcy wogóle nie rozumieli rządu w rządzie, jednego pięknego poranku wszedł feldfelbel z befelem i z kilku gemeinami i zebraną Radę rozpędził. Dom ten następnie dla generała v. Falkenheina oporzędzonym został.

Trzeba wiedzieć, iż Niemcy pomimo uznania elementu ziemiańskiego, jako jedynej siły kulturalnej w kraju, jednak wszędzie i zawsze występowali przeciwko polskiemu charakterowi tego ziemianstwa, wszelkie wpływy polskie starannie usuwali, a Białorusinów, jako element, zarówno protestujący przeciw Polsce, jak i przeciw Rosji, popierali pod warunkiem zupełnej uległości nastrojom władz okupacyjnych. Wskutek tych warunków sprzyjających Rada Białoruska znowu ożyła, lecz, zrozumiawszy, że nie potrafi sprostać swym zadaniom z powodu braku inteligencji w swych szeregach i, że tak powiem, walki na dwóch frontach, polskim i moskiewskim, postanowiła przerwać swe odosobnienie i wciągnąć do współdziałania wszystkie klasy społeczne. Więc, nie pamiętam podczas którego posiedzenia Tow. Rolniczego w 1918 r., które zawsze większą liczbę przyjezdnych do Mińska ściągało, urządzono wielkie zebranie białoruskie, jak zwykle w domu obecnie „Ludowym”, a dawniej „Jubileuszowym” na gruntach archierejskich, na które otrzymali zaproszenie przedstawiciele wszystkich organizacji społecznych, więc: miasta, Tow. Rolniczego, gminy żydowskiej, bractwa prawosławnego i t. p. w ilości przez Białorusinów z góry zastrzeżonej. W liczbie wezwanych byłem i ja.

Dom ten był zbudowany na pamiątkę 300-letniego jubileuszu panowania Romanowych. Zebranie było liczne, na ścianie, za prezydującym wisiała ogromna mapa Białorusi, sięgającej z jednej strony aż wgłąb Podlasia, a z drugiej strony dążącej aż za Smoleńsk i Czernihów hen, ku wschodowi.

Przewodniczył „prezes ministrów” Łosik, na bocznej ławie zasiedli „ministrowie”. Po ogłoszeniu ukonstytuowania się rządu „Niepodległej Białorusi”, postanowiono zakomunikować o tem ościennym państwow, naturalnie tylko środkowej Europy, ponieważ działo się to podczas okupacji niemieckiej 1918 r. Do Papieża i patriarchy moskiewskiego Tichona miały być wyprawione tylko depesze, do Berlina, Wiednia i Szwajcarii postanowiono wysłać delegacje. Wyliczone były, nie wiem już na jakiej zasadzie, koszta misji, bodaj że na 29.000 rb., lecz, gdy zapytano o stan kasy ministra finansów, ten oświadczył, że posiada w gotówce bodaj tylko 7 rb. 50 kop.; spaliliby wszystko na panewce, gdyby Niemcy nazajutrz potrzebnej sumy nie asygnowali, albowiem, trzymając się zasady „divide et impera”, jak powiedziałem, ruch białoruski w pewnych ramach popierali. Należy zaznaczyć, że w skład delegacji weszli nie pamiętam już kto z Białorusinów, przytem R. Skirmuntt i ordynat nieświeski, na którego związki międzynarodowe wiele rozliczano. Ale, że panowanie Niemców miało się już ku końcowi, misja ta nie dała żadnych konkretnych rezultatów.

Jak już wspomniałem, rząd bolszewicki, który po Niemcach nastąpił, nie był życzliwie dla odrębności białoruskiej usposobiony, stojąc wciąż na gruncie „jedynoj niedielimoj” niegdyś carskiej, a obecnie „sołdacko-robotniczej” Rosji. Organizacje białoruskie rozpadały się na prowincjonalne odłamy: miński, grodzieński, wileński z rozmaitem, mniej lub więcej, czerwonym zabarwieniem, w zależności od tego jak te prowincje w orbitę rządów polskich wchodzić zaczęły. Przedstawiciele białoruscy orjentowali się prędko. Jeżeli na uprzednim zjeździe wspomnienie „legjonów” wywoływało protesty największego oburzenia; to zimą 1918—1919 r. zjawiać się zaczęli i do najwyższych sfer rządzących w Warszawie dobijać delegaci białoruskich organizacyj z naleganiem, aby „legjony” szły coraz dalej ku Dnieprowi i Dźwinie, zajmując pod znaki Orła i Pogoni cały kraj białoruski.



Po zajęciu Mińska przez wojska polskie i ustanowieniu tam władz cywilnych, zebranie białoruskie w tym że Domu Ludowym 13 listopada 1919 roku dało już zespół samych socjal-rewolucjonistów, którzy pod przewodnictwem tegoż Łosika przyszedli już z czerwonymi kokardami i zaczęli wymyślać od „polskich żandarmów” i w podobnym nastroju drukować artykuły w dzienniku białoruskim, notabene, przez władze polskie nieopatrznie subsydjowanym. Miało to jednak ten skutek, że nastąpiły rewizje w redakcji i aresztowania niektórych członków, wobec czego nastąpił pewien może tylko pozorny rozłam w ich orjentacji. Jednocześnie z tem znany działacz białoruski Pauluk Aleksyuk stanął na czele biura werbunkowego i pod egidą władz polskich i przez nie subsydjowany starał się w Mińsku formować wojsko białoruskie, na które Białorusini otrzymali „placet” od Piłsudskiego koło 28 lipca 1919 roku, co im dało asumpt do pochwalnych przemówień na cześć Naczelnika Państwa na bankiecie 28 lipca 1919 r. w hotelu Europejskim. Dalszy ciąg wypadków wskaże, o ile ta linja wytyczna była lub mogła być utrzymana.

Nie jednego zdziwić może, że sprawa legjonów polskich była we wspomnieniach moich prawie zupełnie przemilczana. Miało to miejsce naprzód dla tego, że notowałem przeważnie tylko [te wypadki, w których sam bezpośredni udział brałem, lub na przebieg których wpływ wywierać mogłem, żadnego zaś udziału w sprawie legjonowej, oprócz poważnych opłat\*) nie przyjmowałem. Powtóre, ten odruch naszego społeczeństwa, aczkolwiek w przyszłości miał stanowić zawiązek wojska polskiego, był uważany wówczas przezemnie jako ryzykowny i niezupełnie zrozumiały. Ryzykowny — albowiem lękałem się, iż legjony, składające się z jednostek nie zawsze na wysokości powołania stojących, mogą w swej działalności bądź ujemną pamięć po sobie zostawić w swem sprawowaniu się podczas postojów, jak to i bywało, również jak i w imprezie bojowej, lub mogą być z umysłu przez zawsze dla nas obce naczelne dowództwo wystawione na kompletne zniszczenie, coby nasze społeczeństwo pozbawiło najwięcej przedsiębior-

---

\*) Prawdopodobnie mowa tu o ofiarach, składanych na korpus jen. Dowbora-Muśnickiego. p. w.

czych jednostek. Z drugiej strony nie rozumiałem i dotychczas nikt mnie nie wytłómaczył tej koncepcji. Legjony, jakby się tam nie mówiło, formowały się pod patronatem mocarstw środkowej Europy, więc nie mogłem dopuścić, aby mogły z czystym sumieniem występować przeciwko mocarstwu Zachodu, bo walcząc przeciw Rosji, sprzymierzonej jeszcze z koalicją, walczyłyby po stronie niemieckiej, przeciw Anglii, Francji i Włochom, co z dobrej woli Polak jeszcze nie zrobił. Prawda, ryzyko wyszło na chwałę i pożytek państwu polskiemu i tradycje legionowe nie mało się przyczyniły do utrzymania ducha i karności w przyszłym wojsku polskim, ale i dotychczas nie mogę tego zrozumieć. Wyodrębnianie się pewnych bojowych jednostek polskich miało miejsce jeszcze w wojskach carskich. Pamiętam dzielny oddział ułanów polskich, stojących kwaterą w Swojatyeczach, za Kleckiem. Przyjeżdżali stamtąd do Sawicz pułkownik Obuch-Woszczatyński z dzielnym chorążym ks. Stanisławem Radziwiłłem i ułanami ks. Karolem Radziwiłłem, Niemcewiczem i drugimi. Zapisał się do nich zaraz i syn mego ekonoma Adamowicz. Rewizytowałem ich wspólnie z ordynatem w Swojatyeczach, urządzili na naszą cześć musztry, branie przeszkód, defilady ze śpiewami i orkiestrą; spełniłem ich zdrowie z życzeniem, aby niepokalaną cześć legionów bez skazy przechowali, aby nigdy nie przelewali krwi swej przeciwko wolności ludów, jak na St. Domingo i w Hiszpanji i aby nigdy nie byli zmuszeni bić się z braćmi swymi, choćby w innych mundurach chodzących. Na tem kończę „wspomnienia” i zacznam dziennik wrażeń przeżywanych.

---

## IX.

2 grudnia 1918 roku wyjechaliśmy z żoną z Sawicz o godzinie 11 rano, opuszczając, kto wie, może na zawsze gniazdo rodzinne, w którym tyle pokoleń naszego rodu przez lat z górą 300 żyło i pracowało. Przebywać dłużej było niepodobieństwem. Okupacyjne siły niemieckie już były wyszły z sąsiedniej placówki Cimkowicz od dni kilku, a słyhać już było, że bandy czerwonej gwardji już były zajęły Bobrujsk i posuwały się ku Słuckowi. Miejscowe elementy bolszewickie, które przy pojawieniu się Niemców przycichły całkowicie, zaczęły zjawiać się, jak żaby po deszczu, podnosić głowy i szerzyć agitację. Obawy rządów anarchicznych kazały drżeć o życie i mienie u jednych, wzbudzając nadzieje bogacenia się kosztem zamożniejszych, u drugich. Chciałem jeszcze dzień jeden przebyć w domu, lecz, uprzedzony przez życzliwych mi ludzi, że już nocy ubiegłej knował się zamach na moją osobę, zdecydowałem nie odkładać wyjazdu. Wyjechaliśmy saniami, niby na parę dni do Nieświeża, żegnając tylko pojedynczo oddanych nam ludzi, chociaż trudno było przypuścić, aby reszta nie domyślała się naszego wyjazdu. Dokąd i na jak długo? — nie wiedział nikt, bo nie wiedzieliśmy sami. Ponieważ w Nieświeżu stały jeszcze wojska niemieckie i ciężko nam było porzucić strony rodzinne, postanowiliśmy przesiedzieć w gościnnym zawsze dla nas Zamku tak długo, aż póki Niemcy nie wyjdą. W mieście domy zajezdne pełne były bliższych i dalszych sąsiadów naszych, osiadłych z temi samymi zamiarami. Stan ten oczekiwania nie trwał długo i po dwóch nocach, przespanych z komfortem w Zamku, wraz z ustępującymi Niemcami przededniem wyjechaliśmy z Nieświeża, dążąc do stacji kolei Horodzieja w nadziei przedostania się do stacji Baranowicze, jako węzła kolejowego, skąd mieliśmy się udać tam, dokąd bilety nam wydadzą, ewentualnie do Wilna lub

Warszawy. Tymczasem majątki nasze obejmowały w zarząd „komitety”, składające się z miejscowej służby folwarcznej i szumowin rozmaitych, z sąsiednich wiosek i miasteczek pochodzących. Gdzie właściciel w porę nie umknął, nie zawsze uchodziło mu to bezkarnie. Jeszcze w Nieświeżu doszła do nas smutna wiadomość o zamordowaniu w Naczy, zacnego naszego sąsiada Michała Czarnockiego z synem: szli otwierać śpichrze dla zdania „komitetem” prowentu. Bez żadnego zatargu padli ugodzeni siekierami znienacka ztyłu. Pan Czarnocki znany był ze swoich przyjaznych stosunków ze służbą i ludnością wiejską.

W Baranowiczach otrzymaliśmy po pewnych trudnościach bilety do Brześcia w kierunku Warszawy. Jechaliśmy w mroź w wagonach z pobitemi oknami, przepełnionych uchodźcami i tak brudnych, że pomimo mrozu i długich butów, w których jechałem, nogi mnie przemokły od błota na podłodze. Zdobywając szturmem miejsca w pociągu z Brześcia, dotarliśmy do Międzyrzecza, ostatniej placówki, zajętej jeszcze przez Niemców. Tam już droga żelazna była przerwana i do Łukowa można było tylko się dostać, przepłacając furmanki, już oczekujące na podróżnych przy dworcu. W mroźny dzień zimowy, po strasznej grudzie, ciągnęliśmy się cały dzień do Łukowa długim taborem. Kto tylko pozostał w tyle, rzadko uchodził bez szwanku; jednemu z naszych współtowarzyszy, który zamarudził, chłopci, napadłszy na drodze, odebrali walizkę, w której miał jakoby 6.000 rs.

W Łukowie rzekomy porządek utrzymywała niby milicja, już polska, z ciekawością ujrzeliśmy pierwszych agentów nowego porządku rzeczy. Pozór był mało wzbudzający zaufanie; uzbrojeni w karabiny, po większej części bez umundurowania, fizjognomje w większości takie, że niechętnieby się chciało z nimi spotkać w nocy na cztery oczy — tak wyglądali stróże bezpieczeństwa publicznego.

Zamiast po normalnych 13 godzinach dopiero po trzydniowej podróży z rana, dojechaliśmy do Warszawy, głodni, niewyspani. Zostawiwszy swe ręczne pakunki, bo innych zresztą i nie było, na dworcu Wiedeńskim, poszliśmy z żoną każdy w inną stronę, szukać mieszkania w przepełnionem uchodźcami mieście. Ledwo ku wieczorowi udało się zdobyć



jeden pokój w Alejach Jerozolimskich, gdzieśmy się umieścić musieli, zanim przyjaźni nam zawsze i życzliwi pp. Antoniostwo Pułjanowscy zaproponowali nam ustąpić parę pokoiów ze swego mieszkania na Smolnej 32, gdzie, znalazłszy wszelkie wygody, w życzliwym i inteligentnem otoczeniu zaczęliśmy trochę odpoczywać po przebytych wrażeniach i dolegliwościach podróży.

W Warszawie nie byłem blisko już 4 lata; uderzył mnie przedewszystkiem wielki brak dorożek i w ogóle zaprzęgów, ruch na ulicach mniejszy, tramwaje tylko przepełnione. Magazyny świecące wszystkiem, o czem tylko zamaryć można, jak za dawnych dobrych czasów, ceny tylko bajeczne. Wesołości na twarzach żadnej, a raczej wielkie przygnębienie, i u tych, którzy ulegli, i u tych, którzy górę wzięli. Wszędzie uczucie jakiejś tymczasowości i jakby beznadziejność przyszłości, każdy wyglądał, jakby po spełnieniu jakiegoś przewinienia.

6-go grudnia 1918 roku. Na Mazowieckiej 7, w sali „Budowy Państwa Polskiego” z inicjatywy Mirosława Obiezińskiego, Konstantego Gordziałkowskiego & Comp. odbyło się pierwsze zebranie organizacyjne „Związku Polaków z Kresów Białoruskich”, na którem spotkałem zebraną całą Mińszczyznę, wyrzuconą z domów, wykolejoną, bez jutra. Postanowiono dla opracowania statutu wybrać komisję, do której ja powołany zostałem, a 9 grudnia na Karowej, w sali Towarzystwa Higjenicznego, odbyło się walne zebranie, złożone z 400 — 500 osób pod mojem przewodnictwem, na którem statut został przyjęty i zaraz zgórą 200 osób na członków się zapisało, wnosząc składkę po 1 marce rocznie i wpisowe po 60 marek.

Po tem ogólnem zebraniu, ponieważ miałem wielki pokój, przez kilka dni odbywały się u mnie narady osób świeżo przybyłych z Mińszczyzny, w ściślejszem kółku 14-18 osób dla wspólnego zorientowania się w sytuacji politycznej Królestwa, a głównie dla powzięcia decyzji, o ile jest możebnem i wskazanem, przyjęcie udziału w gwarantowaniu funduszków na zamierzaną wyprawę korpusu generała Iwaszkiewicza na kresy litewsko-białoruskie. Geneza tej imprezy była następująca. Przedtem jeszcze, z inicjatywy księcia Eustachego Sapiehy z Grodzieńskiego i pod jego przewodnictwem uformował się w Warszawie

„Komitet Litewski” \*), mający na celu sprawy 3-ch gubernij litewskich. Następnie do tego komitetu weszli przedstawiciele „Rad Polskich” z gubernij białoruskich, i z tej organizacji wyłonił się „Komitet Obrony Kresów” \*\*) przed naciskiem bolszewizmu. Z Mińszczyzny początkowo, póki stanowisko urzędowe go nie odwołało, najwięcej tam się okazał czynnym i gorliwym uzdolniony adwokat miński, Edmund Iwaszkiewicz, wielce popularny nie tylko w sferach lewicowych w Mińsku, ale i w narodowych, który, swojego czasu po rewolucji marcowej, po usunięciu gubernatorów i zastąpieniu ich przez tak nazwanych „komisarzy” był pomocnikiem pierwszego komisarza mińskiego, B. N. Samojlenko, i obecnie wraz z innymi uchodźcami z Mińska, znalazł się na bruku warszawskim. Otóż, ten „Komitet Obrony Kresów” (K. O. K.) powziął myśl utworzenia pewnej samoobrony, ewentualnie pewnej siły zbrojnej, mogącej obronić od nawały bolszewickiej niezajęte jeszcze pewne strefy kresów wchodnich, z czem się zwrócił do Naczelnika Państwa Piłsudskiego i, otrzymawszy od niego konsens, zajął się gorliwie formowaniem oddziału zbrojnego, czy też korpusu ekspedycyjnego, pod dowództwem generała Iwaszkiewicza, chlubnie znanego z odwrotu z głębi Rosji, aż do Bobrujska, dla połączenia się z legjonami polskimi. Generał Iwaszkiewicz \*\*\*) urodzony na Syberji, jako syn wygnańca z 1863-go roku, był nawet

---

\*) Komisja Litewska nie Komitet Litewski. p. w.

\*\*) Komitet Obrony Kresów składał się z następujących członków, z Kowieńszczyzny: Stanisław Michał hr. Kossakowski, z Mińszczyzny: Ignacy Witkiewicz, Władysław Raczkiewicz, Edmund Iwaszkiewicz, Czesław Krupski, Marjan Parafjanowicz, z Mohylewshczyzny: Mirosław i Michał Obiezierscy, Olgierd Gordziałkowski, Waclaw Wasilewski, Mieczysław Boguszewski, z Wileńszczyzny: prof. Władysław Zawadzki, z Grodzieńszczyzny: Antoni hr. Jundziłł, Czesław hr. Krasiecki, Władysław hr. Pusłowski i Eustachy ks. Sapieha. Prezesami K. O. K. byli kolejno: Eustachy ks. Sapieha, hr. Kossakowski, Waclaw Wasilewski. Największą zasługą K. O. K. było wystawienie dywizji litewsko-białoruskiej; od 20. XII 1918 r. do 9. VIII 1919 r. zwerbowano i wcielono do oddziałów dywizji litewsko-białoruskiej 16.996 ochotników. p. w.

\*\*\*) Generał Waclaw Iwaszkiewicz † 1922, był synem Witalisa Iw., zesłanego za udział w powstaniu r. 1863 na Syberję. p. w.

dalekim powinowatym mecenasa Iwaszkiewicza. Na formowanie takiego oddziału, składającego się chociażby tylko z 4.000 ludzi, potrzebne były niemałe środki materialne, potrzebne były miliony. Rząd uzbroić i umundurować mógł, a może i chciał, ale tylko niedostatecznie. Po długich więc i mozolnych staraniach, zdecydował się dać wprawdzie 20 milionów, ale w papierach „pożyczki państwowej”, której wobec autorytetu i kierunku rządowego, nikt tak bardzo zrealizować nie śpieszył. Trzeba więc było szukać innego sposobu; „K. O. K.” wpadł na myśl, więcej świadcząca o jego uczuciach patriotycznych, niż o koncepcjach finansowych, przedstawienia pewnych gwarancji realnych w ziemi, posiadanej przez zainteresowanych w tem przedsięwzięciu uchodźców, chociaż znajdujących się już nie w jednym wypadku w ręku bolszewików i oparciu na tej ziemi długu, zaciągniętego w sferach finansowych, na tę imprezę wojenną. Według planu K. O. K. każdy właściciel z kresów miał zadeklarować pod zastaw (hipotekę) nie mniej  $\frac{1}{4}$  swej posiadłości nieruchomości, przyjmując przytem solidarną odpowiedzialność za dług względem kapitalisty. Należy oddać sprawiedliwość uczuciom obywatelskim naszych ziemian, potrzebna wartość odpowiedzialności hipotecznej była wkrótce zebrana, przyczem lwią część odpowiedzialności przyjęli na siebie ks. Sapieha, Pusłowski, Henryk hr. Grabowski, L. Czetwertyński, ks. Albert Radziwiłł z Połoneczki i t. p. Była zdawało się, chwila, że ten zapal miał być sfinansowany przez „Bank Związku Spólek Zarobkowych w Poznaniu”, ale naturalnie, musiało spalić na panewce, albowiem żadna poważna instytucja finansowa nie mogła ryzykować na realności, nie będące we władaniu nie tylko prawem, ale i faktycznem właścicieli, i które jeszcze orężem zdobyte być miały. Było to coś w rodzaju Portugalji i Niderlandów, ofiarowanych ongi przez Zagłobę.

Sprawa proponowanych gwarancji była jednym z głównych tematów zebrania u mnie, o których wyżej wspominałem. Wszyscy prawie obradujący wynieśli decyzję negatywną, czyli od „akcesu” się usunęli, a to z powodów następujących: 1-o, na Białoruś wciąż dochodziły wieści, że w Kongresówce źle się dzieje, lecz dopiero po przyjeździe do Warszawy

przyjrzał się każdy, iż bolszewizm, którym się zaraziły rzesze uciekinierów z Królestwa, kolportowany przez reemigrację, puścił już zbyt głębokie korzenie na gruncie stosunków ekonomicznych Królestwa. Fabryki stanęły, nie mogąc zadośćuczynić wymogom klasy robotniczej, strajki służby folwarcznej zabijały produkcję rolną i doszły np. w niektórych miejscowościach Lubelskiego do objęcia zarządu majątkowego przez fernali, „tout comme chez nous”, słowem, zaczęły się powtarzać warunki, wprowadzone na Białorusi w jesieni 1917-go roku przez rewolucję rosyjską, warunki, zdawało się, protegowane przez rząd Piłsudskiego pod kierunkiem Moraczewskiego, Thugutta & comp., którzy tym sposobem starali się zjednać sobie wyborców przy zbliżającym się 26 stycznia 1919 roku głosowaniu do Sejmu Ustawodawczego, a że przekroczenie granicy przez korpus ekspedycyjny „Obrony Kresów” generała Iwaskiewicza mogło nastąpić tylko za pozwoleniem rządu, więc dziwnem się wydawało, iżby rząd, protegujący bolszewizm na własnym gruncie, miał z nim walczyć na gruncie litewsko-białoruskim. I rząd w rzeczy samej takiego pozwolenia odmawiał, pomimo przez 3 tygodnie powtarzanych przez generała Iwaskiewicza przedstawień, iż ogromne zapasy obuwia, umundurowania i innych zasobów wojennych leżą w Białymstoku, któreby, wobec ustępowania Niemców można otrzymać bez wystrzału, a które, jak się to potem i stało, mogą wpaść w ręce bolszewików; 2-o, oddział ekspedycyjny, gdyby nawet dosięgnął cyfry 4.000 ludzi, mógł odegrywać pewną rolę tylko chyba względem miejscowej bolszewickiej partji, ale nigdy nie mógłby stawić czoła tym bolszewickim zastępom, które z głębi dla objęcia Białejrusi już dążyły. Oddział taki, nie poparty rezerwami, po pierwszej porażce byłby na zgubę skazany, a ci, co go formowali, to jest ziemiaństwo polskie gardłami swemi imprezę tę by zapłaciło; 3-o, wszystkich najwięcej odstraszała solidarność dłużników względem instytucji finansowej, nie dająca jednostajnego ryzyka wszystkim subskrybentom, albowiem kredytor uzyskiwałby zawsze od tego dłużnika, któryby najpewniejsze dawał gwarancje, lub względem którego procedura byłaby najłatwiejsza, a tenby już musiał poszukiwać od stowarzyszonych, co z wielu trudno-



ściami i przykrościami było połączone. Wszystko to razem wzięte, a głównie niechęć rządu wysyłania korpusu ekspedycyjnego, nie mówię już na Białoruś, objętą już przez bolszewików, ale nawet na Litwę, mogącą być obronioną, odejmowała ochotę do tego przedsięwzięcia, które „K. O. K.” mógł tylko opłacać, ale nigdy kierować, nie mówiąc już o tem, że większość uchodźców z Białorusi wyjechała nagle, zachwyciwszy z sobą środki egzystencji ledwie dla siebie i dla swej rodziny, kto na rok, kto na miesiąc tylko, nie licząc nawet potrzeb zdrowia, wychowania dzieci i t. p., w czem przecież ani na grosz współczucia i pomocy w kołach rządowych i społecznych Królestwa nie znalazła. O warunkach, w których się znajdował oddział gen. Iwaszkiewicza w Łapach, słyszałem od niego samego na kolacji, którą dla niego wydał ordynat nieświeski w hotelu Europejskim i mnie na nią zaprosił. Generał słusznego wzrostu i dobrej tuszy, nie płynnie władając polszczyzną, opowiadał, iż rząd nie tylko pozwolenia zdobycia materiału wojennego w Białymstoku odmawiał, ale nawet część danego uprzednio uzbrojenia odebrał; nie pozwolił werbować ochotników w Królestwie, a tylko wśród ludności kresowej, której nawet mniejsze lub większe garstki czekały na kresach przekroczenia korpusu przez linię graniczną, aby się z nim połączyć, i nie doczekawszy się, topniały pomału, a żołnierz, w bezczynności trzymany, gnuśniał, przejadając zebrane fundusze. Generał tą podwójną grą rządu tak był zrażony, że nosił się z myślą podania się do dymisji, co możeby i nastąpiło, gdyby nie został powołany do zaszczytnej misji obrony Lwowa. Jak widzimy, finansowanie obszarów białoruskich nie dało się przeprowadzić, ale środki się znalazły w inny sposób. Szeroko reklamowana pożyczka państwowa, wycisnęła resztki z niezasobnych kieszeni ziemian kresowych na rachunek zrealizowania tych 20.000.000 obligów rządowych; co nie starczyło, a zabrakło dużo, dopełnił „Bank Związku Spółek Zarobkowych”, kupując resztę obligacyj. Z tej sumy poszło przeszło 13.000.000 na korpus ekspedycyjny litewsko-białoruski, a zgorą 6.000.000 marek dało możność „K. O. K.” prowadzić dalej swą akcję kulturalną i ekonomiczną na kresach w miarę swego rozumienia.

Na jednym z następnych zebrań „Polaków z Kresów Białoruskich” był wybrany i zarząd związku, według klucza po 3-ch z każdej gubernji, którzy między sobą mieli wybrać prezesa. Z mińskiej gubernji wybrani zostali: Konst. Okołów, Józef Świącicki i Heronim Kieniewicz, ten ostatni został wybrany następnie na prezesa związku. Ogólne zebrania miały być zwoływane w miarę potrzeby, ale postanowieniem zostało, aby ziemianie mińscy dla ciągłości kontaktu ze sobą i orjentowania się w sytuacji obecnej, zbierali się co tydzień, we czwartki, o godz. 7 wiecz., w najętym przez związek lokalu, w tak zwanym „pasażu Simonsa” przy zbiegu ulic Bielańskiej i Długiej. Na tych zebraniach, na których zawsze byłem wybierany na przewodniczącego, wysłuchiwalismy sprawozdań członków zarządu, każdy się dzielił posłyszaniem nowinami i z wielką ciekawością słuchalismy wiadomości, przynoszonych chociaż z rzadka z kraju. Pierwszą wiadomość o zajęciu Mińska przez bolszewików, przynieśli nam ks. proboszczowie z kościoła ŚŚ. Symeona i Heleny i ze „Złotej Górki”. Żołądkowski i Majewski, którzy, skazani na śmierć przez bolszewików, za pozwoleniem biskupa swoje parafje opuścili. Bolszewicy wkraczali przez ulicę Zacharzewską od strony dworca: na samym przodzie jechały sanie czerwone, zaprężone przez konia także czerwoną kapą (jak w zaprzęgach pogrzebowych) zupełnie pokrytego, w saniach stało 2-ch czerwonogwardzistów, także w zupełnej czerwieni; za temi saniami dopiero kroczyło wojsko. Według opowiadań księży na sto bolszewików, wchodzących do miasta, 90-ciu było żydów. Między działaczami partyjnymi, niestety, znaleźli się i Polacy, którzy nawet w tak żydowsko-moskiewskim mieście, jak Mińsk, w tej chwili potrafili zorganizować wiece polskie. Zaczęło się branie tak nazwanych zakładników z tej niewielkiej liczby właścicieli, którzy dla tej lub owej przyczyny dalej odjechać nie zdążyli lub nie mogli. Od aresztowanych brano wielkie okupy, które dawały środki na tworzenie oddziałów „czerwonej gwardji”, składającej się z przymusowego powołania ludności od 18 — 45 lat. Do tych szeregów ludzie porządni i stateczni szli naturalnie niechętnie, ale proletarjat miejski i wiejski, ex-żołnierze i zdeprawowana młodzież zapisywali się licznie, bo to dawało bezkarność i możność

pohulania za cudze pieniądze; zaczęły się już pojedyncze mordy i zbiorowe egzekucje. Za wojskiem bolszewickim szły grupy, tak zwanej „biedoty”, jak kruki za padłem rzucały się na resztki cudzego mienia, rzuconego z rabunku. To powiększało zastępy bolszewików i zjednywało im mir u miejscowych wyrzutków społeczeństwa.

Wszystkie te wieści z kraju, nastrój widoczny rządu warszawskiego i obojętność społeczeństwa polskiego dla spraw kresowych, traktowanie wszędzie kresowców jak ubogich krewnych, dla których wypada być grzecznymi, ale miło pozbyć się co najprędzej, to wszystko ogromnie oddziaływało deprymująco na rzesze naszych uchodźców. Co się tyczy kierunku rządowego, to ten mógł się zmienić przy oczekiwanej z dnia na dzień zmianie rządu, ale wielkim smutkiem napełniła nas deklaracja zjednoczonych stronnictw, obejmujących niemal całość narodu, zapadła 22 grudnia 1918 roku, w której ani słowa o kresach nie było, o tych kresach, które w epoce porozbiorowej wydały Kościuszkę, Reytana, Śniadeckich, Mickiewicza, Słowackiego, Odyńca, Syrokomlę, Korzona, Moniuszkę, Spasowicza, Siemiradzkiego i t. p. i bez których kultura polska zeszłego wieku nader bladoby wyglądała. Przekonaliśmy się, że chyba cud Boży, w woli mocarstw zachodnich przejawiony, potrafi nas zbawić i dać możliwość powrotu pod strzechy rodzinne. Cały ten nastrój, tak dla kresowców niezycliwy, tak na mnie oddziaływał, iż postanowiłem nie mieć najmniejszej styczności z rządem obecnym, który uważałem za rząd krajowy, ale tylko partyjny, na zgubę państwowości, a nie na jej odrodzenie pracujący, a w razie przeprowadzenia swego programu na kresach, niweczący wiekową pracę polskiego ziemiaństwa nad utrzymaniem tam polskiego stanu posiadania. Pomimo więc wielostronnego nalegania ani w Belwederze, ani w Zamku, nad którym powiewała czerwona chorągiew, noga moja nie powstała.

W tym czasie bawił chwilowo w Warszawie profesor St. Grabski, wysłany przez Komitet Narodowy z Paryża dla doprowadzenia do porozumienia sfer rządowych, przeważnie z partyj socjalistycznych się rekrutujących, z resztą narodu. Sprawa ta była błędna w założeniu; godzić społeczeństwo z tymi, którzy pracują nad jego wywrotem, więc naturalnie

musiało być fiasco, ale i sam Grabski uczynił na mnie wrażenie raczej doktrynera i polemisty, niżli męża stanu. Gdym był u niego w hotelu Bristol, aby się dowiedzieć, jak w komitecie paryskim, ewentualnie w koalicji, stoi sprawa kresów wschodnich, Grabski napadł na polskie ziemiaństwo kresowe, że ono niby dążeniem do pewnej autonomji prowincjonalnej, do pewnego popierania ruchu białoruskiego zamiast dążenia do bezpośredniego zlania się z Polską, samo sobie nogi podcięło. Tłumaczyłem mu, przypuszczam nadaremnie, że dążenie autonomiczne i budzenie poczucia odrębności białoruskiej miało na widoku nie oddalenie się od Polski, ale wyodrębnienie się od zachłanności Rosji centralnej i odcięcie od bolszewizmu, miało na celu zachowanie kraju dla dobrodziejstw kultury zachodniej, która tylko przez Polskę przyjść mogła i to przez taką Polskę, jaką nosiliśmy w sercach naszych, za którą krew przelewaliśmy w powstaniach, o której marzyliśmy w kopalniach nerczyńskich, a nie taką, jaką znaleźliśmy po przybyciu do Warszawy, Polskę Thuguttów, Moraczewskich & Comp., zdeprawowaną przez zasady wywrotowe ze wschodu przywiezione, a starannie przez Niemców szczepione i pielęgnowane, aby „duch narodu był zatruty”... Rozstaliśmy się obaj nieprzekonani.

Bez wielkich nadziei, a raczej z pewnem współczuciem przyglądaliśmy się na ulicach Warszawy nielicznym przedstawicielom siły zbrojnej polskiej. Wojsko musi być narodowe, albo rządowe, a w kraju, w którym rząd idzie wbrew ideałom i interesom narodu, w którym człowiek uczciwy z rządem iść nie może, żołnierz same sprzeczności w swym tornistrze nosić musi i ładunki, które ustawicznym strzelaniem na wiatr zużywają się na ulicy, a nie na granicy Ojczyzny, zarazę a nie wolność szerzą. Nadzieja cała, że w chwili stanowczej zadrgają może echa pobudek z pod Grünwaldu i Raclawic. Pomimo tych smutnych nastrojów ulice pełne, wystawy sklepowe świetne, teatry, kinematografy przepelnione, a im droższe restauracje i cukiernie, tem trudniej docisnąć się do stolików. Wciąż ciśnie się pytanie, skąd ludziska tutaj pieniądze na te zbytki biorą?

30 grudnia 1918 roku. Byłem bardzo rad, że niedomagający ks. prałat Chełmicki zaprosił mnie dzisiaj do



siebie na kolację; stary to był mój znajomy i przyjaciel a w ostatnich czasach spełniał obowiązki sekretarza stanu przy byłej Radzie Regencyjnej. Chodziło mi bardzo o wyświecenie całego przejścia władzy z rąk Regencji do komendanta Piłsudskiego, a wiedziałem, że tu znajdę źródłowe materiały. Pokazał mi prałat dwa dokumenty w oryginale: jeden z daty 11 lutego 1918 roku, w którym Regencja składa dowództwo naczelne sił zbrojnych w ręce Piłsudskiego „aż do czasu, gdy się utworzy Rząd Narodowy”, dokument podpisany przez wszystkich członków Regencji i Piłsudskiego, co świadczy o jego zgodzie na tę kombinację i drugi dokument z dnia 14 listopada 1918 roku, w którym Regencja całą władzę cywilną i wojskową przelewa na Piłsudskiego. Jako motywy tego drugiego dokumentu i jego konieczności, podaje ks. prałat tę okoliczność, iż nazajutrz po objęciu komendy wojskowej Piłsudski, przekraczając swoją kompetencję, własnym podpisem ujętą, polecił Daszyńskiemu utworzenie ministerjum. Zatem Regencja stanęła w obliczu faktycznie dokonanego zamachu stanu, popartego popularnością Piłsudskiego wśród wojska. Przełamać ten zamach, na podobieństwo w swoim czasie dymisji Świeżyńskiego, nie widziała się w możności, wobec nastroju chwili, niepewności garnizonu, tem więcej, że nie chciała wojną domową i przelewem krwi na ulicach Warszawy piętnować pierwsze chwile odradzania się Ojczyzny, zatem postanowiła wydać powyższy dokument z dnia 14 listopada i ustąpić. Czy była w tem racja, osądzi historia, albowiem ks. Chełmicki zapewnia, że wszystkie dokumenta, tyjące się rządów Regencji, ma w porządku i w całości opublikuje, skoro się namiętności trochę uspokoją. Na jedno tylko moje zapytanie: czemu została rozwiązana Rada Stanu, która mogłaby dać pewną przeciwwagę orjentacjom Moraczewski & Comp., nie dał mnie ks. prałat zadawalniającej odpowiedzi. W ciągu dalszej rozmowy, podkreślał dyplomatyczne zdolności ks. Janusza Radziwiłła, jakoby uznane przez wszystkie gabinety państwowe, z którymi pertraktując, wyprowadzał rozmaite kombinacje, niczem się sam nie wiążąc, ani wypowiadając. Sąd o stanowisku i działalności Al. Lednickiego był mniej pobłażliwy.

31 grudnia 1918 roku. Coraz to więcej przybyszów spotyka się na ulicy, dążą do Warszawy ci, którzy jeszcze tak niedawno w Kijowie lub Wilnie względnie bezpiecznymi się czuli. Nie wiem jak Warszawa te nowe rzesze pochłoniąć zdoła. St. Grabski wyjechał, widocznie nic nie wskórał, skoro zostawił list z daty 27 grudnia, piętnujący rząd za zamiar zrzeczenia się Gdańska. Oczekiwany jest wciąż Paderewski, może on będzie szczęśliwszy; w każdym razie pobyt jego w Poznaniu upamiętniony został wypędzeniem z tego miasta Niemców przez ludność polską dnia 28 grudnia. Daj, Boże, aby tylko była możność utrzymania tej zdobyczy.

1 stycznia 1919 roku. Rok nowy zaczynamy na emigracji w Warszawie w beznadziejności powrotu do kraju. W ubiegłe lata, w tym dniu zbierali się niemal wszyscy z powiatu na obiad do Sawicz, szły życzenia, toasty, przemowy, a dzisiaj... Wieczorem o godz. 12 przyjechał Paderewski, witany przez tłumy, jak jaki zwycięzca. Pociąg się spóźnił, lud zalegał ulice już od godz. 9; straż porządku utrzymywała wzorowo sama ludność, okna i balkony były przepelnione, nie obeszło się bez wypadku: na Nowym Świecie w domu hr. Kossakowskich oberwał się balkon, kalecząc stojących na balkonie i pod balkonem. Powiewały sztandary, jaśniały pochodnie, szły oddziały wojska z muzyką, na samym przedzie niesiono chorągiew z Matką Boską Częstochowską. Paderewski zajechał do hotelu Bristol w towarzystwie delegatów armij koalicyjnych.

4 stycznia 1919 roku przyjechała Liza Mogilnicka na stały pobyt w Warszawie: porządki panujące na wsi, rządy fernali w majątkach, uczyniły pobyt jej w Bzowcu niemożliwym. Wieczór spędziłem na posiedzeniu dawnych realistów, w mieszkaniu hr. Stanisława Łubieńskiego na Mazowieckiej, który chociaż sam poza granicami kraju, gościnnie lokalu udzielał przez swego pełnomocnika, mecenasa Tallien-Wilczewskiego. Zebrało się osób 30 — 35. Przez grzeczność zaprosili mnie na przewodniczącego, ludzie wszystko poważni i znani w szerokich kołach społecznych, ale większość już przestarzała, mało młodszych i do inicjatywy zdolniejszych. Morawski, członek delegacji polskiej w Lozannie, zdawał sprawę ze stanowiska Komitetu Narodowego w Paryżu i o roli

dominującej, którą tam sobie wyrobił Erazm Piltz, znany mi dobrze z czasów Spasowicza i „Kraju”. Piltz został delegatem Komitetu Narodowego przy rządzie francuskim i jakoby więcej miru pozyskał niż prezes komitetu Roman Dmowski. Francuzi jakoby zarzucali komitetowi, że składa się z ludzi mniej więcej jednej partji, i dla tego, według zdania Morawskiego, byłoby pożądane dla większego autorytetu komitetu wprowadzenie do jego składu socjalistów i ludowców. Przemawiałem dłużej, tłumacząc zebrany powody powstania koncepcji białoruskiej w kraju naszym i zarzucając Koronie zupełne zaniedbanie spraw kresowych przy pertraktacjach ze sferami miarodajnymi w chwili obecnej. Słuszność zarzutów moich niby uznano i jakoby odtąd przy „Dzienniku Powszechnym”, przez realistów wydawanym, ma co tydzień wychodzić dodatek sprawom kresowym poświęcony.

5 stycznia 1919 roku. Koło godziny 2-iej w południe przyniesiono wiadomość o nieudanym zamachu stanu, zorganizowanym podobno przez ks. Sapiechę, Dymowskiego, Jerzego Zdziechowskiego, pułkownika Januszajtysa, rzekomo i ks. Oraczewskiego. Piłsudskiego i gen. Szeptyckiego nie udało się wcale pochwycić, a uprowadzeni ministrowie: Moraczewski, Thugutt i Wasilewski, po przetrzymaniu ich w garażu „Rozwój” przez 12 prawie godzin, zostali uwolnieni. Paderewski po nieudanej próbie porozumienia się z Piłsudskim wyjechał wczoraj z Grabskim do Krakowa; krążą wieści, że po tym nieudanym zamachu posłano depesze, aby z drogi wrócił. Sprawcy zamachu byli zaaresztowani, ale następnie przez Piłsudskiego, podobno na słowo, uwolnieni do domów jakoby oprócz ks. Oraczewskiego. Na ulicach gęste strzały i ruch wojskowy: zbierają się wciąż tłumy, domagając się uwolnienia aresztowanych, na rogach ulic rozklejone plakaty. Miałżeto być kryzys tego nieudolnego i zgubnego dla spraw narodowych rządu?

6 stycznia 1919 roku. W nocy ciągle strzały i wybuchy: zrana dowiedzieliśmy się, że to była utarczka wojska z białą i czerwoną gwardją, wspólnie się broniącą od rozwiązania w gmachu Staszycza; skończyło się kapitulacją. W razie udanego zamachu, lub próby jego powtórzenia socjaliści straszą, że zamkną ruch tramwajowy, gazownię, elektryczność, wodociągi, aby miasto do uległości zmusić.

8 stycznia 1919 roku. Zamach, chociaż nieudany, jednak oddziaływa; do Paderewskiego został wysłany samochodem generał Szeptycki do Krakowa; Paderewski wrócił i konferuje z Piłsudskim. Sprawcy zamachu jakoby wyjechali do Krakowa, oprócz ks. Sapiehy, jakoby przewiezonego do Cytadeli. Wciąż rozrzucają odezwy, nagłące ludność do interwencji na rzecz spiskowców. Ks. Sapieha podał się do dymisji z prezesostwa w „Komisji Litewskiej” i „Głównej Radzie Opiekuńczej”, trochę to za późno, należało to uczynić przed zamachem, aby te instytucje nie czynić odpowiedzialnymi za orientację przewodniczącego. Rozeszła się wieść nader smutna, że Wilno, zajęte przy odstępowaniu Niemców przez wojska ochotnicze pod dowództwem gen. Weytki, po daremnie kołataniu o pomoc do Warszawy, musiało się poddać przeważającej sile bolszewików, a korpus gen. Iwaszkiewicza, niby dla obrony kresów sformowany, stoi beczynnie w Łapach, Zambrowie i t. p., bo rząd nie daje konsensu na przejście Bugu. Akcja bolszewików wciąż się prowadzi przy cichej pomocy Niemców, wiodących grę podwójną, a nieżyczliwą dla sprawy polskiej. Jeżeli rząd nie stanie otwarcie po stronie koalicji i jej pomocy sobie nie zapewni, dojdą Bolszewicy i do Warszawy, coraz to silniej w stronę bolszewizmu się przechylającej. Idzie silna agitacja przedwyborcza. Zapisaliśmy się na listę wyborców, ponieważ przyjechalśmy do Warszawy jeszcze w ostatni dzień prekluzyjny 6 grudnia.

13 stycznia 1919 roku. Odwiedził mnie dzisiaj niespodziewanie Jerzy hr. Moszyński, znany działacz społeczny i autor licznych broszurek o kierunku katolicko-zachowawczym. Usłyszałem od niego po raz pierwszy, że chłop polski (on sam z Sandomierskiego) marzy tylko o tem, aby znowu wrócił rząd carski, i że często daje się słyszeć westchnienie, „aby nasi tylko wrócili”. To się chyba daje tłumaczyć rekwizycjami niemieckimi i austriackimi, przez które kraj przechodził, a więcej jeszcze może tą anarchją, która na wsi panuje i której chłop-gospodarz współczuć nie może. Dzisiaj w gazetach opublikowany został dekret rządu, usuwający z Warszawy z powodów aprowizacyjnych całą ludność, przybyłą do miasta po 1-ym lipca 1918 roku, a zatem cały zastęp ziemiaństwa kresowego. Nie może być, aby się nie



znalazła jakaś furtka, przez którąby się te istnie drakońskie i wstecz obowiązujące rozporządzenie obejść nie dało. Jakoby także rozporządzenie wydało miasto Piotrków, mogą wydać i inne, więc gdzie się ci biedni uchodźcy schronić mają? Jest to jeden jeszcze więcej dowód bezwzględności Korony dla Kresów i wdzięczność za to, co prowincje nasze przed pół rokiem jeszcze dla wygnańców z Korony świadczyły, z tą tylko różnicą, że z Korony wielu uchodziło takich, którzy i na miejscu doskonaleby pozostać mogli, wówczas gdy z Kresów uchodzili ludzie nie przed fikcyjnym niebezpieczeństwem, a przed nawałą bolszewicką. U nas kraj cały pokrył się organizacjami, opiekującymi się uchodźcami z Korony, tutaj żadne pisma nie chcą zachmurzać czoła czytelników wzmianką o bezdomnych z Litwy i Białorusi i nikt złotówki im nie da.

14 stycznia 1919 roku. Był u mnie ks. Maciej Radziwiłł, aby wciągnąć do zaprojektowanej w pewnych sferach „Rady Narodowej”, mającej niby pracować przy rządzie obecnym i w zjednoczeniu z tym rządem, po pewnym jego zreformowaniu. Nie wydało się to mnie zupełnie wskazanem, albowiem prowadziłoby to do wzmocnienia autorytetu tego rządu, a zmniejszenia powagi Komitetu Narodowego w Paryżu i to w chwili, gdy tam rozpoczynają się prace kongresu pokojowego i gdyśmy tam wysłali hr. Leona Łubieńskiego od Białorusi i Józefa hr. Potockiego od Ukrainy dla współpracownictwa z tymże Komitetem w kierunku uwzględnienia aspiracji kresowych przez kongres pokojowy. Odbyło się z tego powodu posiedzenie w „Związku Ziemiaków” w hotelu Europejskim, ale wobec rozchwiania się zamiaru organizacji tej „Rady Narodowej”, w której i Kresy miały mieć swych przedstawicieli, do żadnych konkretnych postanowień nie doszło.

15 stycznia 1919 roku. Zaszedł do mnie wieczorem Fortunat Zdziechowski, z Mińszczyzny pochodzący, obecnie nawet zamożny i wielkiej powagi w sferach Tow. Kredytowego Ziemskiego używający, z wiadomością, że dzisiejszej jeszcze nocy zapadnie decyzja utworzenia nowego rządu z Paderewskim, jako prezesem ministrów na czele. Byłaby to poważna karta rzucona, bo jako delegat Komitetu Naro-

dowego w Paryżu i zarazem „persona grata” koalicji, musiałby zacząć od akcesu w imieniu Polski do mocarstw koalicji, i wtedy masa spraw nagłych i zasadniczych byłaby rozstrzygnięta. Mielibyśmy w Warszawie przedstawiciele tych mocarstw, do których moglibyśmy się zwracać z potrzebami naszymi, a armja nasza znalazłaby się pod komendą Focha.

16 stycznia 1919 roku. Wobec zmian zapowiadanych wojsko nawet było skonsygnowane w koszarach, ale narazie spaliło na panewce. Do zmiany rządu jeszcze nie przyszło, chociaż w gazetach zjawiały się nawet nazwiska domniemanych aspirantów do tek ministerjalnych. Wieczorem odbyło się zwykle tygodniowe, pod mojem przewodnictwem, posiedzenie Związku Polaków z Białorusi. Mamy już 300 członków, którzy opłacili wpisowe. Piłsudski rzekomo zażądał przedstawienia 12 kandydatów na posłów do przyszłego sejmu: na mińską gubernję miało wypaść 6, na mohylowską 2, na witebską i Inflanty polskie 4. Kandydatów tych nie miał wybierać „Związek Polaków z Kresów Białoruskich”, ale „Rady Polskie Kresowe”, które twierdziły, że jako wybrane jeszcze w kraju, słuszniej od innych organizacyj mogą pretendować na jego przedstawicielstwo. Moznaby o tem było wiele powiedzieć, ale nie było wskazanem na emigracji rozpoczynać „niewczesne swary” i nikt przeciwko temu nie protestował. Obrani posłowie mieli podkreślić swoje wytyczne postulaty: 1-o łączność Kresów z Polską; 2-o łączność zupełną z koalicją; 3-o dążność do reform w sprawach społecznych i socjalnych. W uzupełnieniu p. 3 kładziono głównie nacisk na uprzemysłowienie kraju, pokrywając milczeniem najżywniejsze dla kresowców sprawy agrarne. Zgromadzenie jednak nie żądało bliższych wyjaśnień, rezerwując sobie tylko zawczasu prawo kontrolowania i dyrektywy w razie, gdyby sprawa agrarna weszła na porządek dzienny.

17 stycznia 1919 roku. Nakoniec mamy nowy rząd pod prezydencją Paderewskiego, z ministrów, niby bezpartyjnych fachowców złożonego. Polska partja socjalistyczna udziału w nowym rządzie odmówiła. Czekamy niecierpliwie deklaracji nowego gabinetu, a rzecz główna, jego przystąpienia do mocarstw koalicji. Socjaliści tem silniej popierają agitację

przedwyborczą w nadziei powrotu do władzy przez sejm ustawodawczy.

18 stycznia 1919 roku. Cały dzień gorączkowo zajęty: zrana o 10-ej miałem bardzo ważną naradę u Henryka hr. Potockiego z przedstawicielem misji amerykańskiej, kapitanem Foster, któremu polecono zreferować następnie w Paryżu sprawę wschodnich granic Polski. Przyszedł z mapami, na których Al. Meysztowicz oznaczał granice Litwy, a ja z Karolem Niezabytowskim granice Białorusi. Aspirowaliśmy po Dniepr i Dźwinę, obejmując za Dźwiną Inflanty Polskie, a na południu od Ukrainy, ograniczając się granicami gubernji mińskiej. Kapitan wyraził obawę, czy zapędzając się tak daleko na wschód, nie kierujemy się instynktownie imperjalizmem. Powoływałem się na granice indywidualnego i gminnego władania ziemią, cechujące odmienność światopoglądu Rosji centralnej i Białejrusi, i najzupełniej się zgadzające z historycznymi granicami 1772 roku i z naszymi aspiracjami. Główny nacisk kładłem także na niemożliwość stosowania w tym wypadku zasady Wilsona samookreślenia narodowościowego, wobec zanarchizowania kraju nęcącymi teorjami bolszewizmu, któreby za związkiem z Rosją w ciemnych masach przeważały. Argumenty te zdawały się trafiać do przekonañ kapitana Fostera, zresztą sympatycznego i wykształconego człowieka, dobrze władającego językiem francuskim, co bardzo rozprawy ułatwiało. Na 1-szą godzinę tegoż dnia byłem proszony na śniadanie do ks. Macieja Radziwiłła, od którego wyszedłem dopiero o 6-ej. Byli tam przeważnie przedstawiciele „Stronnictwa Pracy Narodowej” (dawni aktywiści) i przedstawiciele Galicji: hr. A. Skrzyński i prof. Starzyński. Z opowiadań ich wywnioskować mogłem, że stosunki właścicieli ziemskich ze służbą folwarczną i wioską mało co mniej zamaćone w Galicji, niż na Białorusi, i że właściciele gotowi by tam nawet iść na pewne ustępstwa ze swych praw własności przy sprawiedliwej normie odszkodowania. O 7-ej wieczorem był wielki wiec w Filharmonji w sprawie obrony Kresów, zaszczycony obecnością nowego prezesa ministrów Paderewskiego, owacyjnie witanego w swej łoży przez publiczność. Przemawiali różni: najgorętszą i najwięcej rzeczową była mowa ks. Lutosławskiego. Dla dobra

Polski, dla dobra tych samych Kresów, nawoływał z zapalem Skargi do ofiarności życia i mienia dla odzyskania Kresów, bez których Polska nigdy silną i bezpieczną nie będzie. W imieniu Kresów południowych przemawiał hr. Zdzisław Grocholski. Nastrój zebrania był podniosły. O 10-ej wieczór tegoż dnia zaszedłem, chociaż z pewnem opóźnieniem, do szambelana Michała Karskiego, na posiedzenie Stronnictwa Pracy Narodowej — „Realistów” i delegatów z Galicji i Księstwa Poznańskiego, którego rezultatem było postanowienie zjednoczenia się stronnictw zachowawczych i umiarkowanych z trzech zaborów w Sejmie Ustawodawczym. W przemówieniu swoim hr. A. Żółtowski z Poznańskiego podkreślał solidarność wszystkich kierunków politycznych Księstwa w pracy nad odbudowaniem „całej i wielkiej” Polski, a co wszystkich, mniej znających warunki gospodarcze Księstwa, zdziwiło, zapewniał, że tam ziemi prywatnej niemieckiej, ziemi komisji kolonizacyjnej i rządowej zupełnie starczy na zadośćuczynienie potrzebom agrarnym ludności. Wszyscy się cieszyli dekretem o poborze rekruta w granicach Kongresówki, której ludność od początku wojny, a zatem przez lat cztery nie nosła powinności wojskowej.

21 stycznia 1919 roku. Odkonano się zwykłe tygodniowe posiedzenie naszego związku pod moim przewodnictwem. Uczczono przez powstanie pamięć poległych na Litwie i Białorusi w walce z bolszewikami. Zdecydowano wziąć możliwie żywy udział, wobec zmiany rządu na lepsze, w zapisywaniu się na ogłoszoną pożyczkę państwową i zebraną sumę użyć przede wszystkim na zlikwidowanie 20.000.000, asygnowanych przez rząd na dywizję Litewsko-Białoruską generała Iwaszkiewicza. Lista członków naszego związku doszła do 410, a wpisy wyniosły 16.200 marek.

23 stycznia 1919 roku. Odkonano się zwykłe czwartkowe zebranie związku. „Komisja Litewska” się zlikwidowała: gubernje litewskie wybrały także swoje „Rady Polskie”, których delegaci wspólnie z naszymi utworzyli „wspólną delegację Litewsko-Białoruską”. Przewodniczyłem na tem zebraniu i na 24 stycznia zwołałem do swego mieszkania przedstawicieli Rady Towarzystwa Rolniczego Mińskiego i Związku Ziemi Mińskich dla odnowienia działalności



tych instytucyj i wypracowania wspólnego programu reform agrarnych.

24 stycznia 1919 roku. Odbył się u mnie wyżej zapowiedziane zebranie, na które przybył świeżo uszły z Porzecza Roman Skirmuntt. Przedtem pierwszy odwiedził mnie wielce szanowny prezes Centralnego Tow. Rolniczego, Marjan Kiniorski i, dowiedziawszy się, że nasz związek doszedł już do 800 członków i tłoczyć się musi na ogólnych zebraniach na Długiej Nr. 50, zaproponował udzielić nam sali posiedzeń w gmachu Centralnego Tow. Roln. na ulicy Kopernika Nr. 30, zastrzegając, że godziny i dni posiedzeń muszą być w sekretarjacie zgóry omówione, aby jedno posiedzenie drugiemu nie przeszkadzało. Wydelegowaliśmy od Tow. Roln. R. Skirmuntta i hr. Henryka Grabowskiego, a od Związku Ziemiań hr. Jerzego Czapskiego i Ludwika Uniechowskiego, dla omówienia z prezesem Kiniorskim sprawy wyżej wymienionej; postanowiliśmy zbierać się raz na tydzień i, wszedłszy w porozumienie z przedstawicielami Królestwa i Kresów południowych, sprawę reform agrarnych wypracować.

25 stycznia 1919 r. Przyszli do mnie P.P. Dominik Dowgiałło i hr. Stanisław Czacki, syn Feliksa, z zaproszeniem do Czackiego, aby wspólnie z przedstawicielami Kresów południowych rozpatrzyć projekt utworzenia kasy „wkładowo-pożyczkowej” dla rzeszy uchodźczej, w coraz to trudniejszych warunkach zostającej.

26 stycznia 1919 roku. Dzień wyborów do sejmu; wstaliśmy z żoną wcześniej, aby jedni z pierwszych rzucić nasze kartki w biurze wyborczem Nowy Świat 35, do którego nasz okręg był przypisany. Była już spora garstka głosujących, a gdyśmy wychodzili, stały już ogony oczekujących kolei na dziedzińcu. Okazało się jednak, że można było nie śpieszyć, bo około godziny 3-ciej biura już były prawie puste. Przebieg wyborów i wygląd miasta, naogół był spokojny. Jutro ma przyjść do mnie parę osób wpływowych, aby omówić program, z którym ewentualnie posłowie z Litwy i Rusi stawiłby się mogli w sejmie ustawodawczym po wyborach.

29 stycznia 1919 roku. Odbył się u mnie parę zebrań członków Rady Tow. Rolniczego i Związku Ziemiań

w sprawie agrarnej. Doszliśmy do przeświadczenia, że przeciwko zasadzie wywłaszczenia jakiejkolwiek własności całą siłą walczyć należy, mając przytem zapewnienie, że będziemy w tym względzie mieć podtrzymanie w delegacji poznańskiej i nawet w Związku Ziemiaków z Kongresówki. Wywłaszczenia drobne mogą być tylko dopuszczane przy regulowaniu granic, usunięciu szachownic i serwitutów. Na wezwanie prezesa Kiniorskiego, na trójdzielnicowe obrady w tej sprawie delegowaliśmy M. Jastrzębskiego i K. Niezabytowskiego. Obrady są w toku i w niedzielę będziemy mieli pierwsze z nich sprawozdanie. Doszła do mnie przygnębiająca wiadomość, że siostra moja Kostrowicka została przez bolszewików w Mińsku wypędzona z własnego mieszkania, a ruchomość jej skonfiskowana. Ogłoszono dzisiaj listę wybranych do sejmu posłów z Warszawy: 11-stu narodowców, 2-ch socjalistów, 3-ch żydów. Na prowincji wybory bodaj przeszły mniej pomyślnie.

2 lutego 1919 roku. Odbyło się pod mojem przewodnictwem zwykle tygodniowe zebranie naszego związku, po raz pierwszy w sali Centralnego Tow. Rolniczego na Kopenika 30 w ilości 150-ciu z górą członków. Ze sprawozdania osób, przybyłych z Moskwy i Mińska widać, że bolszewicy coraz to silniej ciemiężą zajęte prowincje, i że pośród nich, niestety, sporo jest Polaków, którzy głośno się odzywają, że dążą do Warszawy, gdzie na ich przyście oczekują niecierpliwie rozmaite lewicowe organizacje. W pismach dzisiejszych wydrukowane było oświadczenie „Rad Polskich Litwy i Białorusi”, że jedynym przedstawicielstwem tych organizacji będzie odtąd delegacja, składająca się z 5-ciu przedstawicieli Białorusi i 10-ciu z Litwy. To oświadczenie było konieczne, albowiem co chwila zjawiały się rozmaite samowolne delegacje, oddziaływujące w sferach rządowych w niepożądanym i nieuznanym przez ogół kierunku. Zarząd związku zdawał sprawę z pertraktacyj z wyjeżdżającym w tych dniach do Paryża z „Biura Kongresowego” p. Pułaskim, co do granic przyszłych Polski: jednogłośnie postanowiono żądać Litwy i Białorusi po Dniepr i Dźwinę. W sprawie agrarnej, omówionej wspólnie z przedstawicielami 3-ch zaborów, postanowiono następnie: odrzucając, z małemi wyjątkami, przymusowość

wywłaszczenia, skierować je w sensie utworzenia „wspólnej instytucji państwowej urzędzeń rolnych” z szerokim i ułatwionym kredytem dla drobnej własności i aparatem racjonalnej parcelacji. Otrzymałem z Mińska ciekawy dekret rządu bolszewickiego, polecający chwytanie i dostawianie do „czrezwyczajek” wszystkich ziemian.

6 lutego 1919 roku. Zebrałem u siebie członków Rady Tow. Rolniczego i Związku Ziemi, tudzież przedstawicieli „Rady Polskiej Ziemi Mińskiej” i członka „Delegacji Kresowej” Ed. Iwaszkiewicza, dla omówienia wobec przyjazdu delegacji koalicji z generałem Botha na czele, stanowiska naszego jako przedstawicieli Kresów, żądając, aby przedstawiciele Tow. Rolniczego i Związku Ziemi, tak poważnych w kraju instytucyj, weszli jako stali członkowie delegacyj kresowych, stanowili o wszystkich sprawach, dotyczących się Kresów i wszędzie je reprezentowali. Pomimo wszelkich argumentacyj „Delegacja Kresowa” zgodzić się na to nie chciała i tylko w sprawach ekonomicznych przyrzekła pobierać od nas potrzebne informacje. Naturalnie takie rozwiązanie kwestji zadowolnić nas nie mogło i rozeszliśmy się, nie stawiając jednak sprawy na ostrzu noża aby, jak to już raz zaznaczyłem, nie wzbudzić wśród emigracji niewczesnych swarów.

7 lutego 1919 roku. Odbyło się pod mojem przewodnictwem tygodniowe zebranie naszego Związku Polaków z Kresów Białoruskich z udziałem przedstawicieli „Kresów Ukraińskich”. Z powodu strajku pracowników elektrowni, protestujących przeciwko zajęciu Cieszyzna przez Czechów, zebranie było przerwane brakiem światła. Na tem posiedzeniu była referowana sprawa zastawu własności ziemskiej, przy pośrednictwie rządu w bankach zagranicznych dla dostarczenia temuż rządowi środków na potrzeby administracji i wojny obecnej. Projektodawcy prowadzili akcję z pewnym naciskiem na ofiarność patrijotyczną i pewnem odsądzaniem od uczuć narodowych opornych. Zamierzano „stante pede” uzyskać uchwałę w tym kierunku zgromadzenia, ale ku wielkiemu oburzeniu inicjatorów udało się mnie sprawę odłożyć, aby projekt wydrukować i rozesłać członkom dla dokładniejszego przestudjowania i świadomego następnie stanowienia.

Wogóle od pewnego czasu w naszych zebraniach zaczął się przejawiać sposób przeprowadzania uchwał i określania zapatrywań nie na podstawie motywów rzeczowych, ale na podstawie rzekomo patriotycznych poglądów, przez liczną grupę członków, uważających siebie za upoważnionych do wydawania patentów prawomyślności. Ta metoda mnie oburza i zamierzam przestać przydywować, aby nie uświęcać tej metody, nie być w kolizji z sobą i w niezgodzie z własnym sumieniem.

9 lutego 1919 roku. Zebrałem w Hotelu Europejskim grono poważniejszych osób, aby te moje powyższe wątpliwości rozstrzygnąć. Jednogłośnie nie pozwolono mi ustępować, a tylko uznano konieczność silniej się zorganizować w odnowionej działalności „Związku Ziemiaków”, opierając się o także organizacje Królestwa i Poznańskiego. Wieczorem tygodniowe posiedzenie Związku naszego przeszło w nastroju już więcej pożądanym dla orientacji naszej. Rano tegoż dnia uroczyste nabożeństwo w katedrze i poświęcenie gmachu sejmowego, a wieczorem raut w Zamku dla posłów i zaproszonych gości. Po stu kilkudziesięciu latach mamy znowu Sejm Polski w Warszawie, a prawdziwej radości na twarzach jakoś mało, widać i mało nadziei, aby ten sejm, nie z prawdziwej inteligencji narodu złożony, mógł horyzont polityczny rozjaśnić i kraj uporządkować. Będą tam rozprawy mityngowe lub wiecowe, a nie radzenie o potrzebach kraju. Spotykałem posłów, idących do katedry i do gmachu sejmowego. Widocznie było, że to idą przedstawiciele partji, a nie przedstawiciele narodu: szli przeważnie chłopci, z myślą o cudzej koniczynie, o cudzym lesie a nie z troską o Ojczyznę. Bodajbym się mylił w swych poglądach.

10 lutego 1919 roku. Otwarcie sejmu: najstarszy wiekiem, doświadczony działacz parlamentarny z Berlina, ks. Ferdynand Radziwiłł, przewodniczy i trwać to będzie aż do wyboru marszałka. Ks. Ferdynand zjechał do Warszawy z żoną i zamieszkał na Bielańskiej u syna swego ks. Janusza, w domu niegdyś zawiszyńskim. Dowiedziawszy się o mojej bytności w Warszawie, pierwszy z żoną nas odwiedził, przypominając bytność swoją w Sawiczach. Postać szlachetna i wspaniała, nadająca się do delji i kontusza, ale już



w nazbyt podeszłym wieku, na przewodniczącego w sejmie nie wskazany.

11 lutego 1919 roku. Byłem na zebraniu u Ekscele. Madeyskiego w sprawie agrarnej. Zebranie liczne, 30 — 40 osób, przewodniczył marszałek Galicji Niezabitowski, przy udziale przedstawicieli Galicji i Poznańskiego, tudzież wybitnych ludzi z Królestwa. Według zdania większości zebranych należy stać na gruncie prawa własności, a sprawa agrarna może być najzupełniej celowo i legalnie rozstrzygnięta przy udziale i poparciu Banku Rolnego. Pierwszy raz spotkałem się tam z ministrem rolnictwa Janickim i byłem zdziwiony, co i jemu wypowiedziałem, jego zupełnie racjonalnem, pomimo wpływów Moraczewskiego, zapatrywaniem się na sprawy rolne. Mianowicie dowodził, że wprzód należy uporządkować istniejące stosunki scaleniem gruntów oddzielnych siedzib włościańskich, usunięciem szachownic i serwitutów, a wtedy dopiero myśleć o nowych nadziałach i t. p., a w każdym razie nie podtrzymywać, tak nazwanej, dziwnej parcelacji. Zebranie odbyło się w jednej z kamienic Krakowskiego Przedmieścia, naprzeciw Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, datującej z czasów „Króla Stasia” i jakoby będącej własnością niegdyś jednej z boginek ks. Józefa, przyczem pozostały ówczesne malowidła sufitów, wykładania marmurowe ścian i przeważna część umeblowania.

12 lutego 1919 roku. Przyjazd delegacji mocarstw koalicyjnych z Noulens'em na czele, od przedstawienia której zależeć będzie cały przebieg sprawy polskiej na kongresie w Paryżu, a zatem i sprawa przyszłych granic Polski. Delegacja była owacyjnie spotykana przez ludność miasta Warszawy.

13 lutego 1919 roku. Miałem wezwanie od prezesa Centralnego Towarzystwa Rolniczego na posiedzenie komisji w sprawie agrarnej, zapadło postanowienie jednoznaczne z postanowieniem z dnia 11 lutego.

14 lutego 1919 roku. Walne zebranie naszego Związku pod moją prezydenturą; gorące rozprawy w sprawie subskrypcji, zapoczątkowanej 7 lutego, co do pewnych zobowiązań względem Rządu, które następnie dałyby się zdyskontować w bankach zagranicznych, przyczem subskrypcja powinna dać nie mniej 100.000.000 marek.

16 lutego 1919 roku. Wielkie przyjęcie w Ratuszu dla przedstawicieli koalicji i posłów sejmowych. Zwykle zebranie tygodniowe Związku pod moim przewodnictwem, zajmujący odczyt profesora Kamienieckiego i zarazem posła na sejm o konieczności dla Polski granic 1772 r.

19 lutego 1919 r. Wielki raut w pałacu Namiestnikowskim u Paderewskiego dla posłów sejmowych i delegatów koalicji. Zrana byłem w Bristolu u Konstantego Skirmuntta, członka Komitetu Narodowego w Paryżu, który przyjechał w misji do Rządu Polskiego. Komunikował koncepcje koalicji w sprawie losu organizmów państwowych lub narodowościowych, chcących się emancypować od sąsiednich mocarstw zaborczych i których prawa do samoistnego bytu miały odtąd być rozważane w „Lidze Narodów”.

20 lutego 1919 roku. Bardzo miarodajne zebranie u mnie przedstawicieli Litwy i Białorusi. Uznana konieczność zredegowania i przedstawienia delegacji koalicyjnej memoriału w sprawach politycznych i ekonomicznych naszych Kresów Wschodnich, tudzież kwestji waluty, w której mają się regulować rachunki wojsk, wkraczających z Królestwa na Kresy. Przedstawiciele Rad Kresowych wspólnie z przedstawicielami Towarzystwa Rolniczego Mińskiego i Związku Ziemiaków wybrali komisję redakcyjną, która miała się zbierać i opracowywać memoriał pod moim przewodnictwem.

23 lutego 1919 roku. Wielki obiad, a następnie raut u Henryka hr. Potockiego dla ambasadora francuskiego Noulens'a wydany. Prowadziłem do stołu margrabinę Wielopolską i miałem dłuższą rozmowę z attache wojskowym francuskim o granicach wschodnich Rzeczypospolitej. Zrana był u mnie ordynat nieświeski w mundurze ułanów. Wszyscy trzej moi byli pupilowie z Zamku, zapisali się do wojska polskiego. Przewodniczyłem na zwykłym naszym zebraniu kresowców. Słuchaliśmy zajmujących poglądów: R. Skirmuntta, M. Porowskiego i Studnickiego o domniemanym w przyszłości ustroju Kresów naszych i związku ich z państwem polskim.

27 lutego 1919 roku. Dzisiaj otrzymałem wstrząsającą wiadomość z Mińska, iż najukochańsza siostra moja Kostrowicka została aresztowana przez bolszewików w Mińsku,

żądających od niej miliona okupu, wówczas gdy ona i 10.000 rs. dać nie jest dzisiaj w stanie. I tego ciosu los mi nie oszczędził... Przez ostatnie dni kilka ciągle narady u realistów, reorganizujących się w „Stronnictwo Pracy Konstytucyjnej” i pragnących wciągnąć do niego i Kresy Wschodnie.

2 marca 1919 roku. Zwyczajne tygodniowe posiedzenie Związku pod moim przewodnictwem. Sprawozdanie Rogalewicza, przybyłego z Mińska, o miejscowych warunkach bytu, był on świadkiem aresztowania mej siostry i przywiózł potajemnie pisane listy od niej pełne wielkości jej ducha i poddanie się woli Bożej, tudzież uczuć rodzinnych dla mnie. Pierwsze dekrety sejmowe, ustanawiające możliwość sekwestru lasów i tartaków prywatnych, jest to przedsmak dalszych rozporządzeń.

3 marca 1919 roku. Wielki raut w Resursie Obywatelskiej na Krakowskim Przedmieściu na korzyść Kresów: tłok, stroje, zbytki, a ze Lwowa coraz to gorsze wieści, miasto w strasznym niebezpieczeństwie. Misja koalicji co do rozejmu spełzła na niczem.

5 marca 1919 roku. Posiedzenie komisji u mnie w sprawie „memorjału”. Spotkanie się moje z agentem Mickiewiczem w sprawie możliwego uwolnienia siostry Kostrowickiej.

9 marca 1919 roku. Prezydowałem na zwykłym posiedzeniu naszego związku. Zaprojektowano przystąpić wspólnie z kresowcami z Ukrainy, do wydawnictwa „Głosu Kresowego”. Wilją sejm uchwalił przymusowe wydzierżawienie gruntów dworskich, rzekomo odłogiem leżących. Uchwała ta zupełnie prawie jednobrzmiąca z „dekretem o ziemi”, przez rządy bolszewickie wydanym i przed rokiem w Mińszczyźnie obowiązującym. Że większość sejmowa to uchwaliła wobec składu Sejmu, dziwić się niema czemu, ale, że w Sejmie ani jeden głos przeciwko temu nie zaprotestował, to podkreślić należy.

10 marca 1919 roku. Zebranie u Antoniego Łuniewskiego, zgórą 40 osób, posłowie z Sejmu zdają sprawę z biegu obrad sejmowych. Praca w Sejmie trudna, albowiem przeważają nieuzdolnieni do spraw publicznych chłopci, a inteligencja miejska w Sejmie im schlebia dla zyskania popularności i dostania się na krzesła ministerjalne, następnie ministrowie

pod presją swych partij nie reagują na anarchiczne zachcianki większości sejmowej. Robiłem zarzut posłom, że brak im odwagi cywilnej, którą okazał R. Skirmuntt w Dumie, nie mogli mi nic odpowiedzieć na swoje usprawiedliwienie. Narzekali na przeciążenie jednych i tych samych pracami w komisjach, do których nie starczy kompetentnych członków: komisje z 30 członków, mają pracujących po 5—8, a reszta nic nie rozumie i zasypia na posiedzeniach.

14 marca 1919 roku. Liczne zebranie u mnie dla omówienia sprawy przystąpienia ziemian kresowych do powstałego „Stronnictwa Pracy Konstytucyjnej”, postanowiono werbować zwolenników.

15 marca 1919 roku. Skirmuntt, Meysztowicz i ja byliśmy rano u ordynata Zamoyskiego, jako u wice-prezesa Komitetu Paryskiego, w sprawie granic wschodnich przyszłego państwa polskiego. Pokazywał nam memorjał Komitetu Narodowego, który nas więcej zadowolnił od pierwotnego projektu Dmowskiego. Zauważyliśmy, że ujście Prypeci do Dniepru koło Czarnobyła, powinnyby należeć do Polski, jako rodzaj Gdańska Białoruskiego. Ordynat nie wierzy, aby projekty agrarne sejmowe mogły kiedykolwiek być w życie wprowadzone w całej swej rozciągłości.

16 marca 1919 roku. Zwykle niedzielne posiedzenie naszego związku pod mojem przewodnictwem. Ciekawe sprawozdanie dziekana pińskiego ks. Bukraby o zajęciu Pińska przez wojska polskie; legjony sprawiły się nadzwyczaj dzielnie, niestety, zarzucano im rabunek. Sejm, coraz to błędniej obraduje w sprawach agrarnych i niema tam nikogo, któryby się ujął o prawa własności. Endecy ze Stanisławem i Władysławem Grabskimi na czele płacą naszą ziemią za pojednanie z ludowcami i dla zdobycia tek ministerjalnych.

22 marca 1919 r. Posiedzenie w sprawie wznowienia działalności „Związku Ziemiaków” na gruncie warszawskim, postanowiono utworzyć: „Związek Ziemiaków Litwy i Białorusi w Warszawie”, wybrany zostałem do komisji redakcyjnej odpowiedniego statutu.

24 marca 1919 roku. Posiedzenie w sali Towarzystwa Kredytowego Miejskiego „głównego Komitetu popierania pożyczki państwowej”, na które otrzymałem wezwanie



od Ministerjum Skarbu w charakterze członka. Prezydował mój dawny kolega z Rady Państwa baron L. Kronenberg.

25 marca 1919 roku. Zwiastowanie. Niema komu zajrzeć, czy siądą bociany na gnieździe na stajni w Sawiczach. Coraz to gorzej na świecie. Wybuch bolszewizmu na Węgrzech nic dobrego nie wróży, głucho z Mińska.

26 marca 1919 roku. Posiedzenie Związku Kowieńskiego, na które byłem zaproszony. Nie mogą się zdecydować, czy dążyć do Litwy odrębnej, czy w związku z Białorusią. Pragnęliby mieć Wilno, lecz wiedzą, że tam Litwinów nie znajdują. Naogół wszystkie organizacje kresowe posyłają do Komitetu Narodowego w Paryżu oświadczenia, iż pragną Litwy połączonej z Białorusią w granicach 1772 roku i w unji z Polską. Sejm przyjął prawo o stemplowaniu asygnat.

28 marca 1919 roku. Pierwszy raz byłem na posiedzeniu Sejmu. Wchodziłem z uczuciem, że nie wchodzę na zgromadzenie przede wszystkim obrońców Ojczyzny. Trafiłem na posiedzenie bardzo zajmujące, bo referowana była sprawa 5 miliardowej pożyczki, którą ludzono siebie otrzymać zagranicą. Referował prezes komisji finansowej Radziszewski wobec ziewających i znudzonych chłopów, podkreślał bogactwa nieprzebrane Polski, której jedna kopalnia węgla, nie pamiętam już która, mogłaby za całą pożyczkę zapłacić, odwoływał się do ofiarności i patriotyzmu posłów, żądając uchwalenia. Na trybunę wszedł poseł Diamand i pomimo braku sympatji dla jego partji przyznać muszę, że zdruzgotał referenta, ironizując wciąż jego przesłanki. „Chyba jest prawdą, że, jak mówi p. Radziszewski, Polska jest bogatą, wołał Diamand, kiedy może żyć bez budżetu, wówczas gdy najzamożniejsze państwa bez budżetu obejść się nie mogą, chyba że kopalniami będzie płaciła za pożyczkę, bo nie z dochodów państwowych, które wszystkiego są obliczone na 750.000.000 marek, a procenty od 5 miliardów, których mniej jak 7% po potrąceniu kosztów finansowania, różnicy kursów, różnych kurtażów i amortyzacji liczyć nie można, zatem 350.000.000 mar., czyli połowę dochodów wyniosą. Dziwię się, mówił dalej Diamand, że w sejmie nikt nawet nie zapyta, na jaki cel potrzebna ta pożyczka, jakim sposobem będzie sfinansowana, oprocentowana, amortyzowana, z jakich źródeł podatkowych będą płacone pro-

centy? Słyszę, że prezes komisji finansowej odwołuje się do zapalu, ofiarności i patriotyzmu Sejmu, to są rzeczy bardzo piękne i podniosłe, ale w jakiej rubryce handlowej lub finansowej księgi długów państwowych, każe p. Radziszewski te pozycje zarejestrować? i t. p.” Radziszewski z widoczną niecierpliwością słuchał tych replik Diamanda. Gdy wstąpił na trybunę, byłem zaciekawiony, w jaki sposób będzie odpарowywał, lecz, gdy p. Radziszewski nie znalazł innych argumentów, jak że „p. Diamand lekceważy ofiarność i zapal i patriotyzm, a czyż bez tych cnót mielibyśmy Somosierrę”..., włożyłem kapelusz i opuściłem z najcięższem wrażeniem salę posiedzeń sejmowych. I ci to posłowie mają stanowić o losach państwa? Pamiętam, w komisji finansowej Rady Państwa, kiedy Rosja ze 150 milionami ludności, sięgająca od Kalisza do Władywostoku, miała zawrzeć miliardową pożyczkę, męczyliśmy głowy z takim finansistą jak hr. Witte, przez miesiąc cały, jak tę sprawę najkorzystniej załatwić, tutaj załatwia się ją prostym atakiem szwoleżerów, co z tego być może?

30 marca 1919 roku. Przyjęcie w Centralnem Tow. Rolniczem misji koalicyjnej. Sąsiad mój, rządca klucza cimkowickiego, Czerwiński, próbuje dzisiaj wyjechać do Cimkowicz. Zobaczymy, czy uda się jemu dojechać, może przywiezie mnie jaką wiadomość od siostry mojej marszałkowej Horwattowej, która, nie chcąc daleko odjeżdżać od stron rodzinnych, incognito zamieszkała w odległym dworku w Nieświeżu, u byłego ogrodnika zamkowego Postaremczyka.

7 kwietnia 1919 roku. Ogólne zebranie tygodniowe naszego związku pod mojem przewodnictwem. Smutne wiadomości z Mińska o przewiezieniu siostry Kostrowickiej z Mińska do więzienia poprawczego w Smoleńsku.

9 i 10 kwietnia 1919 roku. Zebranie i wybory w domu hr. St. Łubieńskiego „Stronnictwa Pracy Konstytucyjnej”. Zrana tego dnia liczne zebranie u mnie, które dało z Litwy i Białorusi 30 członków do tego stronnictwa. Na delegatów od Kresów wybrano Al. Meysztowicza i mnie. W zebraniu u Łubieńskiego biorą udział przedstawiciele Galicji i Ukrainy. Poznałem Gołuchowskiego, robi wrażenie biurokraty wiedeńskiego. Daj Boże, aby z tych obrad jaka korzyść wypłynęła.

11 kwietnia 1919 roku. Byłem w ratuszu na otwarciu zjazdu przedstawicieli Macierzy Szkolnej z trzech zaborów, a wieczorem na wielkim raucie u Mich. Karskiego, gdzie spotkałem monsignora Ratti'ego, masę biskupów i ministra rolnictwa Janickiego, nawołującego ziemian, aby narazie ziemi nie odsprzedawali, albowiem nabywcami będą bogaci chłopci, a proletarjat zostanie niezaspokojny.

13 kwietnia 1919 roku. Zwykle tygodniowe posiedzenie naszego związku. Dowiadujemy się, iż nowy minister skarbu Karpiński odmawia wszelkich subsydjów uchodźcom. Nikogo to nie zadziwia, albowiem jest to normalny stosunek rządu i społeczeństwa polskiego do kresowców.

18 kwietnia 1919 roku. Wielki Piątek, uroczyste nabożeństwo w katedrze, celebrowane przez biskupa polowego Galla. Zajęcie Lidy przez wojska polskie.

19 kwietnia 1919 roku. Wieczorem o 8-ej byłem na uroczystej rezurekcji w katedrze. Straż u grobu Chrystusa trzymają w pełnym uzbrojeniu żołnierze polscy w hełmach bojowych.

20 kwietnia 1919 roku. Wielkanoc. Radosna wieść o zajęciu Wilna przez wojska polskie. Daj Boże, aby utrzymały. Niestety, na wielkorządcę Litwy mianowany Jerzy Osmałowski, obywatel z Pińszczyzny, ongi dyrektor nieszczęsnej fabryki korków, którą miałem w Pińsku wspólnie z dr. Kieniewiczem i Ed. Jeleńskim; człowiek uczciwy, ale ultra lewicowy i który nie miał sposobności wyrobienia w sobie zdolności administracyjnych, a tylko miał dawne stosunki z Piłsudskim. Jednocześnie z Wilnem zajęte Baranowicze i Nowogródek. Z Mińska jakoby ustąpili bolszewicy i był tam jakoby rodzaj pogromu. Nic nie wiadomo, co się z siostrą Kostrowicką stało. Byliśmy na święconem, gościnnie podejmowani przez Piotrostwo Wańkowiczów.

28 kwietnia 1919 roku. Zwykle pod mojem przewodnictwem posiedzenie naszego związku. Sprawozdanie przybyłych z Wilna i Piotrogradu o ciężkich warunkach bytu pod bolszewikami. Jutro ma wrócić, jako tryumfator, Piłsudski z wyprawy wileńskiej, zostawiwszy tam chaos administracyjny i samookreślenie przez czteroprzymiotnikowe głosowanie, przeciwko czemu nawet miejscowa ludność jakoby oponowała.

Zabroniono jakoby w Białymstoku werbowania ochotników do dywizji Litewsko-Białoruskiej. Wczoraj ukonstytuował się ostatecznie „Związek Ziemiaków z Litwy i Białejrusi w Warszawie”. Al. Meysztowicz i ja, pomimo natarczywego nacisku, odmówiliśmy się od prezydentury. Wybrany został na prezesa zacny Dominik Dowgiałło, na wiceprezesa Lud. Uniechowski. Grodzieńczycy swym zwyczajem od udziału w Związku się odmówili, wileńczycy jeszcze się wahają, dążąc do bezpośredniego związku z Królestwem. Potwierdzają się wiadomości o wywiezieniu przez bolszewików wielu zakładników z Wilna i Mińska do Smoleńska — w tej liczbie i siostry Kostrowickiej.

30 kwietnia 1919 roku. Solenne nabożeństwo dziękczynne w katedrze, celebrowane przez biskupa Jęłowickiego, z racji zajęcia Wilna.

3 maja 1919 roku. Manifestacje, pochody uliczne, w których przyjmuje udział cała Warszawa, pomimo nielicznej policji porządek niczem nie zakłócony.

4 maja 1919 roku. Zwykłe tygodniowe posiedzenie naszego związku pod moim przewodnictwem. Ciekawe sprawozdanie ziemianina z Nowogródzkiego, Romana Jodki, o 4 latach pobytu jego w domu na wsi wśród rozmaitych okupacji. Postanowiono wybrać delegację dla wystarania się u Naczelnika Państwa wymiany zobopólnej jeńców bolszewickich na zakładników z naszego grona pobranych. Alarmujące wieści z Wilna o powtórnem usiłowaniu bolszewików zajęcia miasta.

5 maja 1919 roku. Spotkał mnie na ulicy i zaczął Kurlów, były gubernator miński, następnie towarzysz ministra spraw wewnętrznych i naczelnik „ochrony” w Kijowie podczas zabójstwa Stołypina. Nie tylko on, ale wogóle wielu z dawnych dygnitarzy carskich uszło przed bolszewikami do Warszawy.

11 maja 1919 roku. W sali Techników, na Czackiego, odczyt Niemojewskiego o „Litwie i Polsce” na korzyść Macierzy Szkolnej. Prawił androny, dowodząc, że jeśliby Konrad Mazowiecki nie wezwał Krzyżaków, to możeby Litwa załała Polskę, słowem, rehabilitował to, co historia oddawna potępiła. Powrót Paderewskiego z Paryża i domniemany zamach na niego niedaleko dworca Wiedeńskiego.



16 maja 1919 roku. Zejście się moje i jeszcze paru osób u Al. Meysztowicza z niektórymi członkami izb prawodawczych rosyjskich, jak członkiem Rady Państwa ks. Szyryńskim - Szachmatowym, Iskryckim, Leluchinym, znanymi nacjonalistami z Dumy i t. p. dla pogawędki wywiadowczej. Marzą oni tylko o carskiej Rosji, innej nie rozumieją; do wielu błędów względem nas się przyznają, tylko starannie milczeniem obchodzą sprawę tak zwanych „prowincyj zachodnich”.

17 maja 1919 roku. Kolacja u ks. Mikołajowej Radziwiłłowej z biskupem O'Rourke i znanym delegatem rządu litewskiego dr. Szaulisem, zawziętym litwomaniem, żądającym Wilna i nie zgadzającym się na koncepcję, że Litwini tylko w państwowem współzyciu z Białorusią Wilno osiąść mogą.

21 maja 1919 roku. Na Długiej sprawozdanie hr. Leona Łubieńskiego z Paryża o sprawach polskich na konferencji pokojowej i o granicach wschodnich Rzeczypospolitej, mało nas zadawalniających.

23 maja 1919 roku. Liczne u mnie zebranie polityczne z powodu widocznego liczenia się koalicji z odradzającą się Rosją.

25 maja 1919 roku. Zwykle tygodniowe posiedzenie związku pod mojem przewodnictwem. Sprawozdanie W. Przygodzkiego z położenia w Nowogródzkim, a Krupskiego w Mińskiem.

26 maja 1919 roku. Zebranie liczne u mnie, jako dalszy ciąg obrad z dnia 23 maja. Postanowiono, niczem się nie wiążąc z Rosjanami, kontaktu z nimi nie unikać.

30 maja 1919 roku. W związku „Pracy Konstytucyjnej” na Krakowskiem Przedmieściu 5, odczyt ks. Janusza Radziwiłła w sprawie kresów ukraińskich, jako dopełnienie takiegoż odczytu w temże środowisku, w dniu 23 maja, Bohdana Kutylowskiego, przybyłego niedawno z Kijowa. Jak u nas na Litwie i Białorusi zarysowują się dwie orientacje: „aneksji” bezpośredniej, lub też „Unji” Kresów Wschodnich z Koroną, tak i na Kresach Ukraińskich istnieją dwie orientacje: podtrzymywania ruchu ukraińskiego i odrębności państwowej tych kresów, zwolennikami czego oświadczają się

ks. Janusz i Kutylowski, oraz niewiary w szczerść koncepcji ukraińskiej i prawdopodobne, kosztem żywołu polskiego na Rusi, zlanie się Ukrainy z wielką Macierzą Rosyjską, co uparcie przewiduje były członek Rady Państwa z gubernji kijowskiej, Stanisław Horwatt.

31 maja 1919 roku. Zebranie członków Tow. Akc. Rzeźni łódzkiej, następnie zebranie u prezesa Tow. Kredyt. Ziemskiego Glinki, Mazowiecka 4, składające się przeważnie z radców Towarzystwa i innych wybitnych starszych przedstawicieli społeczeństwa. Następnie 1-sze zebranie Towarzystwa Polsko-Białoruskiego na Szpitalnej 1, z inicjatywy Leona Dubiejkowskiego, z zawodu architekta, prezesa związku Białoruskiego, mającego za zadanie specjalne niesienie pomocy jeńcom, z pochodzenia Białorusinom, internowanym w obozie na Powązkach. P. Dubiejkowski, człowiek bardzo porządny, zrównoważony, z którym, bezstronnie sprawy traktując, zawsze do porozumienia dojść można. Z Białorusinów obecni tylko Dubiejkowski i Smolicz, działacz z terenu jeszcze mińskiego, z Polaków obecni Gordziakowski, Cywiński, Obiezierski i t. p. Spotkałem się tam z ministrem Iwanowskim, jak się okazało, synem mojego kolegi z Technologicznego Instytutu w Piotrogradzie, usposobionym bardzo lewicowo. Jak już wyżej wspomniałem, nastąpił pewien przełom czy w zapatrywaniach, czy w taktyce Białorusinów, i o ile w Mińsku zzymali się na samo wspomnienie „legjonów”, o tyle teraz postanowili pracować na gruncie warszawskim, aby te legjony zajmowały Białoruś aż poza Dniepr i Dźwinę. Przekonali się z praktyki bolszewickiej, że ci marzą wciąż i wszędzie o „jedynoj i niedielimoj”, wówczas gdy Polska ze swą historyczną tolerancją i swobodą rozwoju wszelkich odrębności narodowościowych jedynie może zapewnić przyszłość kulturalną narodowości białoruskiej. Ponieważ cała ta akcja miała się rozwinąć na gruncie warszawskim, Białorusini, zupełnie słusznie, zrozumieli, że trzeba do niej wciągnąć elementy polskie z kresów i zainteresować sobą społeczeństwo warszawskie. Dla wypełnienia pierwszego zadania miało służyć to stowarzyszenie, czy raczej „Związek Polsko-Białoruski w Warszawie”, w dniu dzisiejszym zapoczątkowany, i jak zwykle wymagający opracowania statutu, ku czemu była wybrana komisja redakcyjna, a na-

stępnie wybrane już prezydjum miało przedsięwziąć odpowiednie kroki w kierunku wytworzenia przychylnego usposobienia dla koncepcji białoruskiej wśród społeczeństwa warszawskiego.

1 czerwca 1919 roku. Zwykle posiedzenie związku: rozprawy nad niektórymi niefortunnymi rozporządzeniami Osmałowskiego w Wilnie i stąd projektowanie przeniesienia zarządów niektórych organizacyj naszych kresowych do Wilna dla łatwiejszego oddziaływania na władze.

6 czerwca 1919 roku. W „Stronnictwie Pracy Konstytucyjnej” sprawozdanie hr. Żółtowskiego, wracającego z Paryża: życzliwe bardzo stanowisko Francji do Polski, a mniej życzliwe Anglii, jakoby na gruncie stosunków osobistych Dmowskiego z misją angielską powstałe.

7 czerwca 1919 roku. Zebranie sobotnie u Glinki, poznałem tam marszałka Sejmu Trąmpczyńskiego, wrażenie dodatnie, chociaż o sprawach kresowych mniej chętnie słucha. Na zwykłej sobocie u generałostwa Jacynów spotkałem ex-vice generał-gubernatora warszawskiego Lubimowa z żoną; nieswojsko im widać w roli zwykłych śmiertelników i to na gruncie warszawskim.

8 czerwca 1919 roku. Zielone Świątki ale bez brzózek na ganku w Sawiczach i bez wysypanej ajerem sieni. Zwykle posiedzenie tygodniowe związku naszego.

11 czerwca 1919 roku. Z przedartej kieszeni straciłem na ulicy półtora tysiąca rs., zawsze byłaby to strata dotkliwa, a cóż dopiero na wygnaniu.

14 czerwca 1919 roku. Posiedzenie prezydów towarzystw rolniczych z 3-ch zaborów: wyłania się projekt utworzenia „Izby Rolniczej”.

15 czerwca 1919 roku. Zwykle posiedzenie naszego związku. Czesław Krupski zdawał sprawę ze zjazdu Białorusinów w Wilnie: wyraziło się na nim ciężenie ku Polsce, ale z silną orjentacją socjalno - rewolucyjną.

16 czerwca 1919 roku. Walne posiedzenie Centralnego Tow. Rolniczego pod prezydencją M. Kiniorskiego, który w świetnym przemówieniu scharakteryzował całą niedolność pracy i programów sejmowych, tudzież rządu. Przy ogólnych oklaskach zebranie wyraziło życzenie, aby swe przemówienie podał do druku.

21 czerwca 1919 roku. Zebranie sobotnie u Glinki: komendant twierdzy grodzieńskiej generał Falewicz narzekał na nakazaną beczynność wojska polskiego, które obecnie poradziłoby sobie łatwo z Niemcami i boszewikami, nie czekając aż Niemcy do reszty ze wszystkiego kraj ogołocą. Jan Niemcewicz narzekał na demoralizujące wpływy na służbę folwarczną i ludność wiejską przysłanej na Grodzieńszczyznę, niby dla porządku i bezpieczeństwa, „Milicji Ludowej”, która popularyzuje strajki służby folwarcznej i odradza chłopom dostarczanie żywności dla konsystującego tam wojska. Niedobre też sprawozdanie o sprawowaniu się wojska na kresach, szczególnie oficerów w okupacji litewskiej: wymagania rekwizycyjne graniczą często z grabieżą przedmiotów nie pierwszej potrzeby, ale raczej przedmiotów zbytku.

22 czerwca 1919 roku. Doszła do mnie i została sprawdzona wiadomość o wydostaniu się z więzienia smoleńskiego siostry mojej Kostrowickiej, bliższych szczegółów brak.

29 czerwca 1919 roku. Zwykle zebranie tygodniowe związku, jak zawsze pod mojem przewodnictwem: działacz białoruski Pauluk Aleksyuk przemawiał po białorusku, ożywiona dyskusja nad sprawą porozumienia polsko-białoruskiego, rypostował trochę szowinistycznie przedstawiciel „Straży Kresowej” Melchjor Wańkowicz.

1 lipca 1919 roku. Walne zebranie „Stronnictwa Pracy Konstytucyjnej”, następnie kolacja u prezesa Henryka hr. Potockiego, na tej kolacji zbliżył się do mnie vice-minister spraw zagranicznych i, zaznajomiwszy się zemną, twierdził, że bardzo by pragnął mieć ze mną parogodziną konferencję, prosząc, abym nazaczył miejsce i godzinę. Będąc bardzo zaciekawiony, o co ministrowi chodzićby mogło, i, wiedząc, że Skrzyński, chociaż wobec ciągłych rozjazdów Paderewskiego, faktycznie był ministrem spraw zagranicznych, jednak nie ograniczał się kompetencją swego ministerjum, a wyczuwać się dawały wszędzie jego sprężyny, przez niego naciskane, odpowiedziałem, że mam czas wolny i będę czekał jego wezwania na Miodową do jego gabinetu.

2 lipca 1919 roku. Zakończenie posiedzeń „Stronnictwa Pracy Konstytucyjnej”, przemówienie Agenora hr. Gołuchowskiego, nawołujące do obstawania przy zasadzie



nienaruszalności prawa własności. Wilją byłem w ratuszu na wielkiej „Akademii” z racji 350-letniej rocznicy Unji Lubelskiej. Zrana o 10-tej, otrzymawszy listowne zaproszenie, byłem u ministra Skrzyńskiego w Ministerjum Spraw Zagranicznych na Miodowej, gdzie niegdyś rezydowali archijereje i pomocnicy generał-gubernatorów warszawskich. W poczekalni, jak zwykle kręcili się młodzi kandydaci na posady dyplomatyczne, w charakterze urzędników przybocznych; zanotowałem Der-nałowicza i hr. Przeździeckiego. Skrzyński przeproszał, że przyjmował mnie w kostjumie porannym w gabinecie, który mu służył za sypialnię zarazem, tłumacząc się, że położył się spać dopiero o 3-ciej rano, tak są zajęci, a szczególnie teraz przy kończących się debatach w sprawie rolnej. Zaczął od rozpytywania się o Osmałowskiego i jego rządu na kresach. Powiedziałem, że kierunek, któremu ulega, nie jest wskazany dla dobra sprawy polskiej na kresach, ale niestety, jest to chyba kierunek obecnych sfer rządzących, więc i wielkorządca innym być nie może, że zresztą trzymaliśmy się tej taktyki za czasów carskich, iż kiedy się dostało złego gubernatora, to każdy pragnął, aby go nie zmieniano jaknaj-dłużej, albowiem zawsze się udawało z czasem znaleźć ten, lub inny sposób oddziaływania na niego, aby mniej był szkodliwy. Więc mamy nadzieję, że potrafią ludziska znaleźć sposób wpływania i na Osmałowskiego, wówczas gdy naznaczony nowy administrator, dla zyskania marki w sferach miarodajnych, zechce prześcignąć poprzednika w kierunku lewicowym. W dalszym biegu konferencji przeszedł Skrzyński do sprawy agrarnej i zapytał o moje zdanie co do zasady określenia „maximum” władania ziemią. Powołałem się na to, że to wynalazek nie nowy: hasło to było rzucone w pierwszej Dumie przez twórcę partji, tak zwanej, „Mirnawo obnowlenja” barona Hejdena, człowieka bardzo wytrawnego i rozumnego. Kiedy go raz zapytałem, jak on mógł iść na takie absurdum, odpowiedział: „zebrałem dotychczas tylko 17-tu adeptów w Dumie, gdybym tego hasła nie wywiesił, miałbym ledwie 3-ch, zwalczymy wywłaszczenie, a wtedy damy radę z resztą i to hasło uczynimy nieszkodliwym”. Co się tyczy mego zdania, to muszę „maximum” bezwarunkowo potępić, jako uznające wywłaszczenie poza tą normą, jako stawiające rogatkę, poza

którą przedsiębiorczość prywatna przejść nie będzie mogła, jako środek tamujący wszelkie prace i inicjatywy, tudzież dążność jednostki do zwiększenia stanu posiadania, tak dla siebie, jak i dla swego potomstwa i t. p. Skrzyński odpowiedział, iż moje zapatrywania najzupełniej rozumie i podziela, albowiem sam ma nieszczęście posiadać w Galicji koło 5-ciu tysięcy morgów, ale według niego to „maximum” stało się takim popularnem hasłem, iż wyrzec się jego na razie niepodobna bez wprowadzenia pewnego zamieszania w kraju, do uporządkowania którego trzebaby może było użyć i wojska, a to, rzecz wątpliwa, czy wszędzie byłoby posłuszne, a mając zaś nieprzyjaciół, czyhających na frontach zachodnim i wschodnim, byłaby ta impreza więcej niż ryzykowna. Dalej powiadał, iż rząd jest w tych warunkach, że może jednym lub dwoma głosami sprawę „maximum” w tę lub drugą stronę przechylić i że zaraz jedzie na posiedzenie gabinetu, gdzie ta sprawa będzie omawiana, i że wypadnie przyjąć „maximum”, ale że przyjęcie tak ważnej uchwały paru tylko głosami już przez to samo jej powagę zdyskredytuje i można będzie w dalszem zastosowaniu tej uchwały pożądane zmiany przeprowadzić, co wszystko zważywszy, trzeba się zgodzić na „maximum”. Powinszowałem Skrzyńskiemu, że nareszcie znalazł się rząd, który się czuje panem opozycji, bo dotychczas mieliśmy wrażenie, że rządu niema, że ten co jest, tylko się przysłuchuje czego żąda ulica, i jest kierowany przez partje, ale nie jest ponad niemi stojącym. Dalej pytał Skrzyński, czy znam R. Skirmuntta, co o nim myślę i czy w razie wezwania Skirmuntt by do Warszawy przyjechał? Odpowiedziałem, że znam go równie dobrze jak siebie i tak jak za siebie w każdym wypadku ręczyć mogę; w razie zaś wezwania, ręczę, że go sprowadzę. Rozstaliśmy się bardzo przyjaźnie z zapewnieniem, iż zawsze gotów jestem służyć memi informacjami i poglądami, ile razy ministerby to uważał za pożyteczne, albowiem o to prosił.

3 lipca 1919 roku. Niespodziewanie przyjechał Skirmuntt. Obiad białoruski u ks. Magdaleny Radziwiłłowej, Skirmuntt, ks. Harasymowicz, Aleksiuł i ja. Demonstracje ludowe na placu Teatralnym i przed Sejmem na Wiejskiej, strzelanie do tłumów.

4 lipca 1919 roku. Jako protest przeciwko represjom wczorajszym, strajk ogólny tramwajów, elektryczności i wiele innych — brak światła w teatrach, z tego powodu święto amerykańskie odłożone do niedzieli 6 lipca.

6 lipca 1919 roku. Zwykle tygodniowe zebranie naszego związku pod moim przewodnictwem. Przybyły z Rygi Friezendorff zdaje sprawę o życiu w Rydze i o formowaniu przez ks. Liewena w okolicach Rygi oddziałów zbrojnych dla admirała Kołczaka.

7 lipca 1919 roku. Wspólnie ze Zdzisławem hr. Grocholskim jesteśmy proszeni przez Al. Lednickiego jako sekundanci w nieporozumieniu jego ze Żwanem. W głównych zarysach nieporozumienie zaszło na tle następującem: regencja polska, operująca pod auspicjami mocarstw centralnych, mianowała p. Al. Lednickiego swym pełnomocnikiem w Moskwie. Wskutek swych stosunków z Kiereńskim i miru, którego zażywał wśród demokracji rosyjskiej, Lednicki dużo zaważył na losach emigracji polskiej w Moskwie; niejednen jemu zachowanie swego życia i mienia zawdzięczał. Lednicki prowadził dom otwarty, w którym się ogniskowało życie rodaków w Moskwie i którego Żwan był codziennym prawie gościem. W tym czasie nastąpiła likwidacja oddziałów polskich, wyłonionych z wojska rosyjskiego na południu Rosji, i uchodźstwo tych niedobitków przez Moskwę i Murman do wojsk koalicji. Lednicki, pomimo iż niejednemu prywatnie tę ucieczkę ułatwił, jako przedstawiciel Rady Regencyjnej, będącej w gruncie emanacją niemiecką, powziął skrupuły oficjalne względem swoich mocodawców i, przypuszczając, że należy o tem, co się dzieje, informować władze niemieckie, napisał bruljon raportu do Lerchenfelda w Warszawie, który przesłał do Regencji z zapytaniem, czy taki raport jest wskazany, czy też można bez niego się obejść; Regencja konieczności nie uznała i raport nie został wysłany. Ale w trakcie tego przez władze moskiewskie, zaczynające powątpiewać o prawomyślności Lednickiego, w jego nieobecności zarządzona była nader ścisła rewizja i znaleziony bruljon na biurku był przez ludzi niezycziwych mecenasowi pochwycony i dokument wydrukowany nie jako bruljon, a jako list napisany i wysłany do Lerchenfelda. Na tem tle nastąpiły rozmaite insynuacje

zakulisowe, któremi wciąż zatruwano życie Lednickiemu, który, jak mi powiadał, czekał tylko możliwości wyprowadzenia swej sprawy przed forum ludzi, powagi wśród społeczeństwa używających. Sposobność ku temu dał p. Żwan, stały i popularny członek Klubu Myśliwskiego, który jakoby w klubie publicznie miał czynić zarzuty Lednickiemu, tak, iż ten miał przedstawić Niemcom spisy osób, udających się ongi na Murman, oraz tych, którzy im w tem pomagali. Doniesiono o tem Lednickiemu, który chwycił się dawno oczekiwanej zręczności rozplątania całej sieci i zażądał od p. Żwana bądź odwołania uwłaczających mu insynuacji, bądź dania satysfakcji honorowej, ku czemu mnie i hr. Grocholskiego jako sekundantów uprosił. Wyznaję, że nigdy w takich sprawach udziału nie przyjmowałem, lecz wiedziałem, iż w tym wypadku odmawiać nie należy i, ufny w kompetencje hr. Grocholskiego, obowiązek przyjąłem.

9 lipca 1919 roku. Udaliśmy się ze Skirmunttem, na skutek zaproszenia, na konferencję do Ministerjum na Miodową. Skrzyński ogromnie zajęty zbliżającą się chwilą głosowania w sprawie agrarnej, marudził z przyjęciem nas, a że miałem naznaczoną godzinę spotkania się z sekundantami Żwana, a w tym wypadku o minutę spóźnić się nie wolno, więc pozostawiłem Skirmuntta, aby odbył naradę ze Skrzyńskim i dalszą w Belwederze z Piłsudskim, a sam śpiesznie wróciłem do siebie.

Sejm zawotował upaństwowienie lasów. Jeszcze jedno źródło bogactwa krajowego idzie na zatracenie. U mnie liczne zebranie dla osądzenia celowości domniemanego wejścia posłów z Litwy i Białorusi do Sejmu, azali to wejście nie przesądzałoby „unji” lub „aneksji” Kresów przez Państwo Polskie? Skirmuntt zdawał mnie sprawę z bytności swojej w Belwederze. Wrażenie raczej dodatnie. Piłsudski przyznawał wyłączność sprawy agrarnej u nas, przesądzającej poniekąd sprawę narodowościową i siłę polskiego stanu posiadania na Kresach.

10 lipca 1919 roku. Głosowanie w Sejmie w sprawie agrarnej. Wszystko poszło według batuty Skrzyńskiego, „maximum” przeszło większością jednego głosu, mogłoby przejść inaczej, bo zwolennicy odwrotnego wyniku, jak poseł



Abrahamowicz i nie pamiętam drugiego, celowo nie przyszli na posiedzenie Sejmu. W Sejmie, po obliczeniu głosów, ktoś krzyknął „Skrzyński zwyciężył”, ja o tym wyniku wiedziałem już kilka dni naprzód, lecz, mając zastrzeżoną dyskrecję, milczałem. Daj Boże, aby ta kombinacja wyszła na dobre.

13 lipca 1919 roku. Zwyczajne tygodniowe posiedzenie związku naszego; referował przybyły z Mińska mecenas Ancuta o stanie rozpaczliwym Mińska, a mecenas Objeziński odczytał wstrząsający list o zamęczeniu diatwy polskiej w Mohylow-szczyźnie.

14 lipca 1919 roku. Wielka uroczystość na cześć Francji. Poseł francuski Prallon składa wieniec u stóp pomnika Mickiewicza; wielki raut wieczorem na Foksalu u hr. Adama Zamoyskiego; nie mogłem tam być obecnym z powodu braku fraka.

15 lipca 1919 roku. Piłsudski wybiera się do Wilna, gdzie przedstawiciele Kresów mają mu złożyć memorjał o swoich potrzebach. Polecono mnie wypracować memorjał, co uskuteczniłem, delegaci go akceptowali, pojechali do Wilna i złożyli Naczelnikowi Państwa.

21 lipca 1919 roku. Złe wiadomości z pod Mińska: od Wilejki, Radoszkowicz, Mołodeczna silne następowanie bolszewików; rozstrzygają się losy Mińska. Wciągnięty zostałem do akcji Czerwonego Krzyża w biurach na Mazowieckiej.

27 lipca 1919 roku. Byłem na wielkim raucie, wydawanym w resursie kupieckiej przez marszałka sejmu Trąpczyńskiego; zaproszenia otrzymało 1.500 osób, a było pewno z tysiąc. Niestety, w mieszkaniu naszym u p. Pułjanowskiego zarekwirovano dla oficerów dwa pokoje, z których nas wyrzuciono, wielka stąd niewygoda i kłopot dla naszych zacnych gospodarzy.

28 lipca 1919 roku. Wielki podwieczorek, a raczej kolacja w hotelu Europejskim, urządzona przez „Komitet Białoruski” z Leonem Dubiejkowskim na czele. Myśl tego zebrania, mającego zapoznać osoby, mogące wpływać na społeczeństwo warszawskie, z ruchem białoruskim, powstała na posiedzeniu 30 maja, o czem było wyżej. Przychodził do mnie Dubiejkowski przedtem, abym wziął na siebie obowiązek organizowania tego zebrania, na co przystać nie mogłem,

albowiem uważałem za właściwe, aby pierwszy odruch w kierunku wspólnej pracy polsko-białoruskiej od Białorusinów pochodził. Dawałem tylko swoje wskazówki co do szczegółów urządzenia i zapraszania na kolację, tudzież wziąłem na siebie obowiązek zapraszania tych, których za pożądanych uważać mogę. Trzeba wiedzieć, że i sfery rządzące zapatrywały się życzliwie na te kroki ku wspólnemu zbliżeniu; dowodem czego obecność ministra Iwanowskiego, przedstawicieli Ministerstwa Spraw Zagranicznych, prezesa zarządu miasta Balińskiego i wielu innych osobistości, noszących charakter urzędowy. Były nawet wersje, że cała ta, dosyć kosztowna uczta, była ze skarbu państwa opłacona. Zebrało się osób zgórą 50. Pierwsze przemówienie po polsku, było prezesa Dubiejkowskiego, prosto, szczerze, ale serdecznie wypowiedziane, żądające połączenia „jednej i nierozdzielnej” Białorusi z Polską, jako wolnej z wolną i równej z równą. Następnie musiałem przemawiać, zaznaczając swą wiarę w szczerść intencyj białoruskich, o ile one stoją na gruncie odrodzenia swojej narodowości, albowiem mają do tego możność tylko w państwie polskiem, które nigdy nie dążyło do wynaradawiania swych ludów, a dawało nawet im przewagę tam, gdzie dana narodowość liczebnie przeważała. Najlepszym tego dowodem było to, że nawet szlachcic polski musiał się uczyć po białorusku, chcąc się prawować, co niestety lubił, albowiem Statut Litewski w tym języku był napisany i aż do rozbioru kraju w tym języku na kresach wyroki sądowe ferowano. Przeciwnie, rząd rosyjski tak kraj rusyfikował, że gdyby jeszcze parę pokoleń przeszło przez ludowe szkoły, język białoruski zupełnieby zaginął i Moskwa przez półtora stulecia panowania zatarłaby ślady wszelkiej odrębności plemiennej. Przemówienie moje było bardzo życzliwie przez Białorusinów przyjęte, otrzymałem gorące oklaski i podziękowania. W imieniu miasta przemawiał Baliński, następnie przedstawiciel Białorusi, nie pamiętam Aleksyuk czy Łuckiewicz i jeżeli w poprzednich przemówieniach unikano starannie wszelkich aluzyj do rządu obecnego, mowa ta była jednym hymnem pochwalnym dla Piłsudskiego. Potem się okazało, że Naczelnik tegoż dnia przyjmował delegację białoruską i obiecał jej dać pozwolenie na tworzenie armji białoruskiej.

Rozeszliśmy się wszyscy w najlepszym nastroju i wierze w możliwość zgodnego współżycia i pracy polsko-białoruskiej.

29 lipca 1919 roku. Odwiedziły mnie dwie panny Jodkówny, które przez cały czas inwazji bolszewickiej przebyły w Nieświeżu, z którego wyszły w ubraniu włościańskim, z koszykami niby po grzyby do lasu, przedarły się przez front i dobrały się do Warszawy; przyniosły one mnie pierwsze wiadomości, że siostra moja Horwattowa żyje i mieszka wciąż w Nieświeżu.

3 sierpnia 1919 roku. Zwykle tygodniowe posiedzenie związku, jak zawsze ja prezyduję. Ze Słucka dwie panny Krupskie potrafiły przez poleskie okolice przekroczyć front i dostać się do Warszawy, zdawały sprawę z przygód swej podróży.

5 sierpnia 1919 r. Posiedzenie „Związku Polsko-Białoruskiego” na Szpitalnej Nr.1, statut już uprzednio został przyjęty i wybory prezydium dokonane. Pomimo silnego nacisku odmówiłem się od prezesostwa, został wybrany zasłużony działacz Mirosław Objeziński, a wice-prezesem Leon Dubiejkowski. Debaty nad odezwą, którą ma wydać Związek przy wejściu wojsk polskich do stolicy Białorusi Mińska; przyjęta została odezwa w duchu życzliwym dla legjonów. Mocno w lewicowym nastroju wypowiedziane enuncjacje dr. Dłuskiego i Motza, przybyłych z Paryża, gdzie byli delegowani przez Piłsudskiego.

9 sierpnia 1919 roku. Książę Michał Mirski z Mira przyszedł mi oznajmić o zajęciu przez wojska polskie Słucka i Mińska.

10 sierpnia 1919 r. Zwykle posiedzenie Związku: wyjaśnia się, że Słuck był wzięty z 5 na 6 sierpnia, przyczem na rynku padł śmiercią walecznych rotmistrz Stanisław Krużewski, którego ludność zaraz zaniósła do kościoła. Sprawiony był wspaniały pogrzeb i tablicę pamiątkową przybito w kościele. Mińsk zaś zajęty był 8 sierpnia. Posiedzenie przeszło z małym ożywieniem, bo każdy miał troskę, jak się do domu dobierze, co tam znajdzie i jak tam da sobie radę, szczególnie wobec praw agrarnych przez Sejm zawotowanych.

13 sierpnia 1919 r. Nabożeństwo solenne w Katedrze z odśpiewaniem „Te Deum”, w obecności ambasadorów

i Piłsudskiego z racji zajęcia Mińska. Pochód z katedry i złożenie wieńców przy pomniku Mickiewicza.

14 sierpnia 1919 r. Dochodzą wiadomości o walkach, które jeszcze się toczą między Mińskiem, Borysowem, Kojdanowem, Szackiem, a Słuckiem, z silnymi bandami bolszewików. Przyjechał nasz organista z cimkowickiego kościoła; opowiada, że walki między Słuckiem, Kojdanowem i Nieświeżem jeszcze trwają, z wielkim niszczeniem kraju, a przed zajęciem Nieświeża przez wojska polskie bolszewicy wprowadzili z miasta wielu zakładników, w ich liczbie i najukochańszą siostrę moją Horwattową, osobę zgórą 70-cioletnią, na wpół ślepą i schorowaną. Uprowadzono zakładników w kierunku Słuck-Bobrujsk. Bóg wie, co się z nią dzieje, ciężkie wciąż ciosy na naszą rodzinę spadają.

16 sierpnia 1919 roku. Pierwsze, bezpośrednie wiadomości z Sawicz, od pocziwego Michała Jaroszewicza, którego bolszewicy osadzili jako rządcę w Sawiczach. Wiem zatem, że wszystko u nas zniszczone, w Puzowie ani jednego konia nie zostawili i to w same żniwa. Aż głowa pęka na myśl, co się tam dzieć musi i jak wszystkiemu zaradzić, gdy koń tam u nas już się płaci 8—12 tysięcy rubli.

17 sierpnia 1919 roku. Zwykle tygodniowe zebranie naszego Związku. Dowiaduję się od Emeryka hr. Czapskiego i Karola Niezabytowskiego, że siostra moja Kostrowicka, więziona w Smoleńsku, jest już w Mińsku, tudzież o rozmaitych szczegółach objęcia Mińska. Bolszewicy do ostatniej chwili pastwili się nad miejscową ludnością, którą pakowano do piwnic i tam do niej strzelano, zostawiając na miejscu bez pogrzebu. Najgorszymi byli zawsze żydzi, a zwłaszcza żydówki.

19 sierpnia 1919 roku. Otrzymałem bezpośrednią wiadomość z Mińska od siostry Kostrowickiej; od 10 sierpnia jest już na miejscu, innych szczegółów brak.

22 sierpnia 1919 roku. Zabiegi i starania koło wyjazdu z Warszawy. Zamierzam jechać w pierw do Mińska, aby z siostrą się spotkać i zarazem dowiedzieć się, czy fundusze nasze w gotówce, będące pod jej opieką ocalały. Nieprzewyciężone trudności ze strony władz polskich, zabraniających przywozić do Warszawy kapitały w walorach



rosyjskich, a zatem to, co udało się uchować od bolszewików, ma znowu być narażone na straty i czyż doprawdy będzie to zyskiem dla państwa polskiego, jeżeli obywatel polski będzie biedniejszy i mienie polskie zostanie w ręku bolszewikiem.

23 sierpnia 1919 roku. Zebranie wieczorne u Lednickiego w sprawie wyświetlenia sprawy żydowskiej w Polsce przed wysłanym z Ameryki senatorem Morgenthau, podobno też żydem.

## X.

26 sierpnia 1919 roku. Wyjazd żony mojej z Warszawy przez Ateczyznę, Nieśwież do Sawicz, ze wszystkiego ogołoconych; jutro mam jechać do Mińska.

27 sierpnia 1919 roku. Wyjazd mój do Mińska, droga względnie wygodna, dzięki uprzejmości Karola Niezabytowskiego, rozporządzającego wagonem Czerwonego Krzyża, który mnie miejsce w nim zapewnił.

28 sierpnia 1919 roku. Przyjazd do Mińska. Dorożkarz zamiast rs. 1 zażądał za dojazd do miasta rs. 60. Spotkanie z siostrą po jej wyjściu z więzienia. Mińsk jak wymarły, magazyny zamknięte, na twarzach przechodniów nie widać pewności, że zło już minęło, a raczej obawa tego, co przyszłość jeszcze gotuje. Bolszewicy miejscowi jakby przypadli do ziemi i czekają tylko zręczności, aby zmartwychwstać.

29 sierpnia 1919 roku. Pierwsze posiedzenie Rady Tow. Roln. w nawpół zrujnowanym domu Towarzystwa; spotkanie z członkami rady, którzy podczas panowania bolszewików, jeżeli nie na miejscu w domach, to przynajmniej w Mińsku pozostawali. Jedni ukrywając się to tu, to ówdzie, pod rozmaitemi przebrańiami i postaciami, drudzy zajmując pewne odpowiedzialne nawet stanowiska w zarządzie bolszewickim, co im pewne rękojmie bezpieczeństwa dawało z jednej strony, a z drugiej strony pozwalało rozmaite rozporządzenia sowietów czynić mniej szkodliwymi dla swych współobywateli. Nie można powiedzieć, aby atmosfera, którą oddychali, na ich światopoglądy zupełnie nie oddziaływała. Działając najzupełniej w dobrej wierze, wydali pewną enuncjację w sprawie agrarnej, zgadzającą się na pewną ingerencję państwa w sprawach własności ziemskiej, na prawa pierwokupu i inne kompromisy i po usunięciu bolszewików, zamiast przepro-

wadzać zasadę, że rząd polski kasuje wszelkie rozporządzenia bolszewików, ich władzę i rozporządzenia uważa za bezprawne i nikogo nie obowiązujące, żądali, aby właściciele, wracający do swych siedzib, wypełniali wszelkie układy, zawarte między zarządami bolszewickimi, a pracownikami rolnymi, co tylko mogłoby utwierdzić ludność w pojęciu o wielkiej potędze bolszewickiej. A gdy Niemcy ignorowali rozporządzenia carskie, Polacy — niemieckie, czyżby jedynie bolszewickich nikt nie śmiał poruszać? Kierunek ten został następnie przez Towarzystwo Rolnicze potępiony i komisarz okręgowy miński, Raczkiewicz, odnośne rozporządzenie uchylił.

3 września 1919 roku. Nowe posiedzenie Rady Tow. Roln. Postanowiono składy i magazyny Syndykatu Rolniczego oddać w dzierżawę Karolowi Niezabytowskiemu, pozwalając prowadzić interes pod firmą „Miński Syndykat Ziemiański”. Opowiadanie siostry Kostrowickiej o jej pełnym poświęceniu i stoicyzmu zachowaniu się w więzieniu smoleńskim, z którego wykupiwszy się za 25.000 rs., gdy ją znowu zamierzano aresztować w Mińsku, zmuszona była przez dwa miesiące ukrywać się w zaścianku Słobódce, niedaleko od traktu Borysowskiego.

4 września 1919 roku. Powrót niespodziewany siostry, marszałkowej Horwattowej, do Mińska z więzienia bobrujskiego, z którego uwolniło ją zajęcie Bobrujska przez wojska polskie. Opatrzność nad nią czuwała, albowiem o dzień później byłaby wysłana z partją więźniów do Smoleńska, skąd niewiadomo, kiedy by się uwolniła i czy by uszła z życiem. Wyjazd mój z Mińska do Warszawy.

5 września 1919 roku. Powrót mój do Warszawy. Podczas mojej nieobecności zredagowany był przez Steckiego i podany przez wybitnych przedstawicieli rolnictwa, handlu, przemysłu i finansów memoriał, wręczony przy odpowiednim przemówieniu Juljana Tołłoczki, Paderewskiemu, Trąpczyńskiemu i Piłsudskiemu, wskazujący mylny kierunek rządu i konieczność podniesienia sił produkujących kraju wobec grożącego bankructwa we wszelkich dziedzinach. Był to pierwszy zdrowy odruch sił społecznych. Paderewski był tym memoriałem silnie podrażniony, Trąpczyński przyjął memoriał życzliwie, Piłsudski — ponuro.

8 września 1919 roku. Wyjazd z Warszawy do domu. Pożegnanie znacznych naszych gospodarzy pp. Pułjanowskich, u których czuliśmy się bezpieczni i spokojni, jakby u najbliższych krewnych. Powrót do domu bez zwykłego w takich razach uszczęśliwienia, bo wiadomo, co ten dom zrujnowany w zanarchizowanym kraju, w zniszczonym gospodarstwie przyniesie.

9 września 1919 roku. W Horodzieju oczekiwał furman, który niegdyś powozami i dobraną czwórką powoził, a teraz parą marnych podjezdaków, i wóz drabiniasty, bo żadnej nawet bryczki nam nie zostawiono. Wjechałem na dziedziniec pod pałac po zarośniętej trawą drodze. Powitała żona, która już od tygodnia w domu była, i parę służ z niekłamana radością, reszta z pewnym zażenowaniem, a niejeden może i z żalem za minioną rozpustą i samowolą, tudzież za urwaniem się zysków nieuprawnionych. Park opuszczony i zdziczały, pola po większej części nieuprawne, urodzaj lichej, brak kompletny inwentarza i narzędzi. Wszystko by się zniosło i z czasem wszystkiemu by się zaradziło, gdyby mieć pewność jutra, pewność praw własności, pewność przynależności państwowej, ustroju praworządnego.

17 września 1919 roku. Pierwszy dzień siejby żyta. Przed laty siejba o tej porze byłaby już od 2—3-tych tygodni skończona, a nie dopiero rozpoczynana. Rola licha, sucha jak popiół, nieodležała, brak roboczego inwentarza, jak tu liczyć na urodzaj? Ale, wola Boża — bywało człowiek posiał jaknajpiękniej, a plonu się nie doczekał. Wogóle nie mam wrażenia, że wróciłem w progi ojczyste, a raczej mam wrażenie jakiegoś etapu, pobytu tymczasowego w dalszej wędrówce życiowej. Nie widzę koło siebie tego, na co przez lat 72 patrzyłem. Ściany nagie, meble połamane, buty na mnie dziurawe, archiwum i biblioteka rozgrabione, parę talerzy i kilka sztuków na stole do kaszy i kartofli, wieczory bez światła żadnego, sąsiedztwo rozproszone — i przed nami nie maj i czerwiec, ale ciemne i słotne dni październikowe i listopadowe, a rzecz główna — równie posępne horoskopy polityczne i społeczne.

19 września 1919 roku. Otrzymałem nagle wezwanie ze starostwa, abym przyjechał do Słucka dla spotkania tam



Piłsudskiego, który bawił w Mińsku i przez Baranowicze zapowiedział swoją bytność w naszym mieście powiatowem.

20 września 1919 roku. Szabas. Na rogu ulicy Szosowej i Mostowej przygotowana brama tryumfalna, zebrana straż ogniowa, orkiestra, czekamy dzień cały z chlebem i solą. Władze miejscowe w mundurach wyglądają jak przebrani aktorzy z jakiego teatru amatorskiego, których te nowe role bawią: brak powagi i małe przejęcie się swemi obowiązkami, a więcej atrybutami władzy. Ku wieczorowi przychodzi depesza, że Naczelnik, wezwany ważnemi sprawami do Warszawy, do Słucka nie zajedzie. Wieczorem panie miejscowe idą do „gospody żołnierskiej” na tańce z żołnierzami miejscowego garnizonu. Nazajutrz 3-ci pułk ułanów miał wyjść z miasta w kierunku wschodnim. Poczta nie działa, brak gazet, szerokie pole do najrozmaitszych gawęd i domysłów.

26 września 1919 roku. Powoli wracają sąsiedzi, dzisiaj był u mnie na śniadaniu ordynat nieświeski w powrocie z Paryża.

1 października 1919 roku. Pierwszy, ale silny przymrozek; woda zamarzła w korycie, a dopiero zaczynamy jutro wybierać kartofle. Wielki kiermasz w sąsiednich Cimkowiczach, wracają zbyt wcześnie z miasteczka chłopci, narzekają na odbieranie płócien, owczyn, sukna przez przybyłych samochodem ze Słucka żołnierzy, niby to za opłatą, nie stanowiącą i  $\frac{1}{4}$  części wartości. Trzeba o tem donieść władzy, aby autorytet rządów polskich zachować.

16 października 1919 roku. Pojechałem do Mińska, opowiedziałem o incydencie cimkowickim Raczkiewiczowi; pobrał notatki i wysłał depesze, aby odrazu na takie nadużycia i ekscesy zareagować. Władysław Raczkiewicz, aczkolwiek lewicowych orjentacyj, robi wrażenie człowieka energicznego, czystego i bezwarunkowo dobra kraju naszego żadnego; niechby takich administratorów dawano na Kresy, inny byłby autorytet rządów polskich. Mińsk się dziwnie prędko spolszczył; nazwy ulic polskie, szyldy wprawdzie chananejską polszczyzną pisane, ale polskie, szkoły polskie, nawet żydzi po polsku zaczynają mówić na ulicach, aczkolwiek niezupełnie pewni, czy obecne „status quo” będzie długotrwałe. Tylko

rubel nie kapituluje, wciąż idzie w górę, marka spada. Z Mińska pojechałem do Warszawy. Zapowiedziany w całym Królestwie strajk służby folwarcznej się nie udał, dzięki po części protestowi w tym względzie ludności miejskiej, zagrożonej głodem w razie nie wybrania w porę kartofli, które jednak w wielu miejscach wskutek chwilowego zamieszania w robotach zamarzyły. Trochę też i rząd jakby zaczął rozumieć, że folgując anarchji niedaleko zajdzie.

8 listopada 1919 roku. Pojechałem do Mińska na zebranie Tow. Rolniczego, mało liczne, złożone przeważnie z tej części ziemiaństwa, która bądź w Mińsku pozostawała, bądź jeszcze do swych majątków dojechać nie zdążyła.

9 listopada 1919 roku. Uroczyste nabożeństwo w katedrze, jako w rocznicę wyzwolenia Polski, w obecności władz wojennych i cywilnych. W pierwszym rzędzie zajmuje fotel generał Żeligowski, chlubnie znany ze swego odwrotu z Odesy, obecnie głównodowodzący odcinkiem frontu białoruskiego w Mińsku; z drugiej strony, naczelnik Zarządu Cywilnego Władysław Raczkiewicz ze swym zastępcą Olgierdem Jeleńskim, synem mego sąsiada, ziemianina Edwarda Jeleńskiego, który, pomimo swego pochodzenia ziemiańskiego, jest silnie zabarwiony poglądami wywrotowemi, i w tym zakresie władzy, który podlegał jego kompetencji, chyba w dobrej wierze, ale nader szkodliwie na porządek społeczny i sprawy ziemiańskie oddziaływający. Celebryjący biskup Łoziński, wpływom białorusko-demagogicznym ulegający, w przemowie swojej z kazalnicy między innymi, czynił zarzuty ziemiaństwu za rzekomy brak ofiarności. Po nabożeństwie posiedzenie Tow. Rolniczego, oburzonego przemówieniem biskupa, które zamierzam odparować na raucie, wydanym tegoż dnia przez generała Żeligowskiego i Raczkiewicza w sali Szlacheckiej, na który przysłano mnie zaproszenie. Raut liczny, najwięcej wojskowych, pomimo nieopalaných sąsiednich pokojów, tańczą w nich wydekoltowane kobiety z ochoczymi porucznikami pod dźwięki aż 2 orkiestr wojskowych. W liczbie obecnych i miejscowy archijerej, który bardzo serdecznie witał Piłsudskiego podczas jego obecności w Mińsku. Tłumaczę biskupowi, jak mylny jest jego pogląd na ofiarność ziemiaństwa, nie mówiąc już o tem, że ono jedno podczas zmieniających się

okupacji, niosło cały ciężar wojny, wówczas gdy włościanstwo tylko się bogaciło, ale przecież największą ofiarą, jest ofiara krwi, którą nad wszelkie moje oczekiwanie tak szeroko i ochotnie poniosło ziemianstwo nasze; wszak np. w słuckim powiecie niema ani jednego dworu, w którymby syn pozostał. I tak — poszło z powiatu do szeregów: 3 Radziwiłłów, 3 Woyniłłowiczów, 2 Zaleskich, 2 Domańskich, 2 Okołówów, 2 Czarnockich i t. d. Biskup słuchał uważnie i, nie znajdując na to odpowiedzi, mówi, że jakoby jego mowę źle zrozumiałem, że on tak nie myślał i t. p. W końcu rautu kolacja w ścisłym kółku: Żeligowski, Raczkiewicz z żoną, ja i jeszcze parę osób; zamiana kilku toastów z przemówieniami i na tem koniec. Żeligowski, widać żołnierz z profesji, nie politykujący, ale dbały o żołnierza i o honor sztandaru.

13 listopada 1919 r. Posiedzenie „Rady Ludowej Białoruskiej Rzeczypospolitej”, złożone z samych „socjalrewolucjonistów”, wygłaszających najbardziej skrajne teorie. Podczas posiedzeń Tow. Rolniczego wysłano, z upoważnienia Raczkiewicza, trzy depesze za moim podpisem, przezemnie uprzednio zredagowane, a następującej treści: Do Piłsudskiego: „Zebrane po raz pierwszy w oswobodzonym z pod obcej przemocy kraju, Mińskie Towarzystwo Rolnicze, najstarsze z kresowych, śle Ci, dostojny Naczelniku, uczucia hołdu i uznania za posuwanie się zwycięskich wojsk polskich ku granicom 1772 roku i zapewnienia ludom kraj ten zamieszkującym warunków bytu, określonych ich kulturą i przeszłością historyczną”. Do Trąpczyńskiego: „Zgromadzone w Mińsku Towarzystwo Rolnicze wita w osobie Twojej, dostojny Marszałku, Sejm Ustawodawczy. Powołując się na tradycje nieprzedawnione, kresy białoruskie zapewniają, iż w przywróconych granicach 1772 roku, których żąda ludność miejscowa, kresy te będą podawnemu przedmurzem Najjaśniejszej Rzeczypospolitej! Do Paderewskiego: „Mińskie Towarzystwo Rolnicze”, łącząc się do wyrażenia czci i wdzięczności całego narodu za Twą pracę polityczną na zachodzie, ufa niezłomnie, że nieomieszkasz przywrócić Ojczyźnie granice 1772 r. na wschodzie”. Ongi cesarz odpowiedział na depeszę naszą, przy początku wojny wysłaną. Dygnitarze Najjaśniejszej Rzeczypospolitej zaszczyć nas odpowiedzią nie raczyli.

15 listopada 1919 roku. Wróciłem do domu i znalazłem ułanów 3 pułku, rekwirujących u mnie i w okolicy zboże dla wojska. Przesiedzieli u mnie 2 tygodnie z końmi, musiałem ich żywić, sam mając tak niewiele, iż wątpię, czy mnie chleba dla służby do nowego ziarna wystarczy.

29 i 30 listopada 1919 roku. Byłem w Słucku. Pierwsze zebranie organizacyjne wskrzeszonego „Związku Ziemiaków” po wyjściu bolszewików. Nabożeństwo uroczyste, parada wojskowa, pochód uroczysty na Rynek, gdzie wzniesiona trybuna. Przemawiał starosta, a następnie szlachcic zagonowy z Kaczanowicy Kraszewski o znaczeniu dla narodu tych dni pamiątkowych; ludność cała przyglądała się zupełnie obojętnie i udziału nie przyjmowała, a gdy jeden z mówców wspomniał, że Polska niesie ludowi „wolę” w sensie swobody, ktoś z tłumu zawołał: niechby lepiej przyniosła nam „soli”. Wogóle te manifestacje, wobec obojętności ludu, uważam za przedwczesne i wykazujące tylko odrębność orientacji tej nielicznej grupy manifestujących.

11 grudnia 1919 roku. Ponieważ od paru tygodni pociągi osobowe nie kursują z racji przewozu wojsk z frontu wschodniego do Warszawy, i zastąpienia ich przez świeże siły, wybrałem się do Mińska końmi przez Starzycę na posiedzenia na dzień 12, 13, 14, 15 i 16 grudnia rozmaitych instytucyj, jak Syndykatu, Towarzystwa Rolniczego, Wzajemnych Ubezpieczeń, Związku Ziemiaków, Deputatów Szlachty i t. p. Konferencja z naczelnikiem okręgu Raczkiewiczem w sprawie opłaty robotników rolnych, przez bolszewików umówionych, została rozstrzygnięta pomyślnie, w sensie przez Towarzystwo Rolnicze pożądanym. Areszty niektórych moskalofilskich Białorusinów.

20 grudnia 1919 r. Posiedzenie w Słucku Związku Ziemiaków.

1 styczeń 1920 roku. Ułan, trochę nietrzeźwy, wewrwał się w ogrodzenie cmentarza i do przedsionka cerkwi Sawickiej konno i ludność zebrana ściągnęła go z konia i mocno poturbowała, tak, że krwią zbroczonego i nieprzytomnego przyniesiono go do domu naszego, gdzie żona moja i przywieziony felczer pierwszy opatrunek nałożyli.



7 stycznia 1920 roku. Wybrałem się do Mińska i Warszawy, nocowałem w Zamku nieświeskim, ale, dowiedziawszy się, iż Piłsudskiego nie zastanę w Warszawie, bo wyjechał na front wołyński, a na pociąg miński zbyt długo czekałoby trzeba było, wróciłem do domu. Zaczął się powrót zakładników z bolszewji do Mińska i okolic. Śmierć Antoniowej Pułjanowskiej, Edwarda Jeleńskiego, ks. Hieronima Druckiego-Lubeckiego. Wspomniałem o posiedzeniu deputatów szlachty w dniach 13—16 grudnia zeszłego roku. Dla ścisłości podać trzeba genezę rzekomego odrodzenia instytucji szlacheckich, która nastąpiła podczas okupacji niemieckiej, głównie z inicjatywy p. Ludwika Uniechowskiego. Deputacja wywodowa w Mińsku, posiadająca nadzwyczaj bogate i względnie uporządkowane archiwa, tyżące się rodowodów szlacheckich, i zatem niejednokrotnie rozstrzygające sprawę nie tylko filjacji rodzinnej, ale i prawa spadkobrania, szczęśliwym trafem uszła od anarchji bolszewickiej, lecz zostawała na Boskiej opiece, li tylko pod bliższym nadzorem byłego sekretarza marszałka gubernjalnego Molibożki, który pozostał bez pensji i władzy nad sobą. Przytem, gdy Niemcy zaczęli się odzywać, że wcale nie myślą tak prędko z kraju się wynosić i zaczęli się oglądać na pozostałe resztki rozmaitych urzędów i instytucji społecznych, przy odnowieniu działalności których dałoby się krajem zarządzać, w Związku Ziemi powstały obawy, aby te instytucje i urzędy, za czasów Kiereńskiego i bolszewizmu powstałe, znowu krajem nie zawładnęły, szerząc swoje wywrotowe koncepcje. Trzeba było zatem im przeciwstawić jakąś organizację, mającą swą przeszłość w kraju i swoje znaczenie w czasach przedrewolucyjnych. Taką organizacją były urzędy powiatowych i gubernjalnych marszałków szlachty, wprowadzie przez rząd mianowanych, ale przewodniczących we wszystkich urzędach administracyjnych i sądowych kraju naszego. Nie chęć więc powrotu do ustroju klasowego, przeciwstawionego instytucjom wszechstanowym, ale nadzieja, że Niemcy, wówczas monarchiczne, zechcą ucześcić się tych resztek dawnego ustroju konserwatywnego, powodowały inicjatorów odnowienia instytucji szlacheckich do poczynienia odpowiednich starań u władz okupacyjnych, co było uwieńczone pomyślnym rezultatem. W Mińsku zebrana szlachta,

o ile tylko ówczesne warunki komunikacyjne na to pozwalały, w sali swego domu dokonała wyborów, przyczem na marszałka gubernjalnego wybrany został, szanowany ogólnie prezes Związku Ziemian, Jerzy hr. Czapski. Ja swojej kandydatury stawiać nie chciałem, albowiem nigdybym się nie zgodził zamieszkać w Mińsku, szczególnie po stracie takiej części mego funduszu, przy pogromie, a gdy niektórzy moi przyjaciele kandydaturę moją postawili, przy dwukrotnem głosowaniu upadłem, wnosząc, że wskutek opornego mego stanowiska przy formowaniu się „Rad Polskich” i ich początkowej orientacji. Pozostałem, jak dawniej, deputatem tylko od szlachty powiatu słuckiego, o co mnie wciąż chodziło. Marszałek gubernjalny mieszkania w domu szlacheckim nie zajął, albowiem oddane ono było czasowo biskupowi, ale archiwa szlacheckie zyskały opiekuna urzędowego, wprawdzie bez uposażenia, tak że marszałkowie i deputaci musieli łożyć z własnej kieszeni, aż przyszli bolszewicy powtórnie i nikt dotychczas nie wie, jaki los spotkał archiwa deputacji wywodowej.

29 stycznia 1920 roku. Wyjazd do Mińska, znowu końmi 20 mil, przez Starzycę. W Mińsku posiedzenia u Raczkiewicza w sprawach gospodarczych i aprowizacyjnych. Dla ciągłej porady Raczkiewicza, bardzo bystro się orientującego, ale ze sprawami ekonomicznymi jeszcze nie dosyć obeznanego, za jego zgodą wybraliśmy stałych przedstawicieli: od Tow. Rolniczego Zygm. Rewieńskiego i Olgierda Swidę; od Związku zaś Ziemian Ludw. Uniechowskiego i Józefa Święcickiego. Omawiana też była sprawa uwłaszczenia drobnych dzierżawców, dosyć zgodnie, bez wielkiego sprzeciwu większych właścicieli ziemskich. Z Mińska do Warszawy ruszyłem na Wilno, bo innych pociągów nie było. W „ciepłuszce”, przeznaczony na 40 osób, jechało nas 100; po dwóch dobach takiej podróży dobiłem się do Warszawy. Przedtem, na śniadaniu wspólnem, na które byłem zaproszony przez kuzyna mego Aleks. Wańkowicza w Mińsku, poznałem się ze słynnym Mereżkowskim, którego utwory wszystkie prawie czytałem bądź w tłumaczeniach, bądź w oryginałach. Z Mereżkowskim jechała jego żona, publicysta Filosofow i poeta Zołow, czy Zoryn, dobrze nie pamiętam. Cała ta kompanja mieszkała

w Mińsku w monasterze monaszek i rozpoczynała objazd: Mińsk, Wilno, Warszawa — zagranica, z myślą przewodnią: Rosja sama powstać i odrodzić się nie może, trzeba nowych „Wariagów”, tymi wariagami muszą być Polacy; muszą bolszewików pobić, Moskwę zdobyć, Rosję uporządkować, zorganizować i wprowadzić w federację narodów słowiańskich. Jeżeli Polska nie podejmie się tej misji dziejowej obecnie, nigdy się ta chwila już nie powtórzy i Rosja będzie musiała wpaść w objęcia Niemiec, które następnie, wspólnie z Rosją, Polskę zduszą. Z tą orientacją był Merezkowski u generała Żeligowskiego, dowódcy grupy operacyjnej na froncie białoruskim, ten, prosty żołnierz, wysłuchawszy rzekł: „bardzo dobrze, wezmę 10 dywizyj i za dwa tygodnie Moskwa będzie w polskim ręku; ale ona nam nie potrzebna, więc po wzięciu komu, profesorze, każesz ją oddać?”. Merezkowski nie potrafił na to dać odpowiedzi, i w tem bodaj leży cały tragizm pozycji Rosji. W Warszawie kwestją dnia była sprawa pokoju, z propozycją którego wystąpili bolszewicy. Nazajutrz po przyjeździe byłem na licznych zebraniach „Stronnictwa Pracy Konstytucyjnej”, dla którego baron Kronenberg udzielił gościnnie swych apartamentów. Poseł z Galicji, a zarazem członek komisji do spraw zagranicznych w Sejmie, Starowiejski, zdawał sprawę z posiedzenia komisji, na którym minister spraw zagranicznych, Patek, w obecności najwyższych władz wojskowych referował o wrażeniach i wynikach swej bytności w Paryżu i Londynie, tudzież żądał wypowiedzenia się komisji w sprawie pokoju z bolszewikami. Stało w komisji na tem, że odmownej odpowiedzi wysyłać nie należy, ale zwlekać, by się sprawa sama przez się lepiej wyklarowała i chyba za 3—4 tygodni coś odpisać. Władze wojskowe twierdziły, że mają siły na froncie aż nadto dostateczne, aby stawić czoło bolszewikom i pobić ich należycie. Nastrój zebrania naogół wyczuwał się pokojowy. Ja przemawiałem „contra”, dowodząc, że pokój bez kompletnego rozbicia bolszewików, to tylko otwarcie granic naszych ku propagandzie na Białorusi i tak już zasypanej proklamacjami bolszewickimi. Zdawało się, że otrzymałem uznanie, ale gdy wychodziłem, bar. Kronenberg wziął mnie za łokieć i szepnął: Polska dalej wojować nie może, bo wojna kosztuje ją miliard miesięcznie,

a grosza niema w kieszeni. Nazajutrz dla orjentacji w nastrojach warszawskich, poszedłem do hr. Józefa Potockiego. Ten także był pokojowo usposobiony, zresztą twierdził, „że skoro losy nasze spoczywają w ręku człowieka tej miary, co Piłsudski, możemy być zupełnie bezpieczni, że wszystko przewidzianem zostanie”. Następnie udałem się do byłego członka Rady Państwa, wielce dla mnie przyjaznego Ign. Szebeki, świeżo mianowanego na posła do Berlina, pomimo jego nastroju germanofobskiego, więcej bodaj odpowiedniego dla terenów Paryża lub Londynu, gdzie przedtem długo przebywał i liczne stosunki i wpływy sobie wyrobił. Ten także dosyć pokojowo był nastrojony, dowodząc, że bolszewicy będąc bardzo osłabieni, obecnie wszelkie warunki przyjmą, można więc im stawić jak najtwardsze, albowiem odkładając ryzykujemy, iż w razie dojścia do władzy w Polsce elementów jeszcze więcej lewicowych, te, jako same przez się pokojowo usposobione, same gotowe zagabnąć o pokój bolszewików i na gorsze warunki się zgodzą. Za dwa dni miał Szebeko już wyjechać do Berlina, był na audjencji u Piłsudskiego, od którego usłyszał, że „Polska nie jest tak bogata, aby mogła sobie pozwolić na zbytek rewolucji, on nigdy do tej ostateczności nie dopuści, a przez ewolucję kraj do porządku doprowadzi”. Szebeko w Paryżu i Londynie spotykał się często z dawnymi carskimi mężami stanu, a swymi dawnymi kolegami z izb prawodawczych, jak: Sazonowym, Lwowem, Milukowym i t. p. i tłumaczył im błędność polityki rosyjskiej, wyobrażającej sobie, że ma misję na Zachodzie. Wówczas gdy jej misja cała na Wschodzie, gdzie zabrany kawał kraju stokrotnieby wynagrodził stratę kilku ubogich białoruskich gubernij. Poszedłem szukać innych nastrojów. Spotkałem się z nimi tylko na obiedzie u Lednickiego i na zwykłym sobotniem zebraniu u prezesa Glinki. Tam mnie gwałtem namawiano, abym szedł z mojami poglądami do Belwederu i dobijał się niemożliwości zawarcia pokoju w tej dobie, ale, że miałem termin wyjazdu ściśle określony, i nie mogłem liczyć na otrzymanie posłuchania w tejże chwili, kiedy tego zażadam, wyjechałem i po 3-ch dobach niemożliwej podróży, cudem tylko, nie nabawiwszy się choroby lub zarazy w przepelnionych żołnierzami wagonach, dobrałem



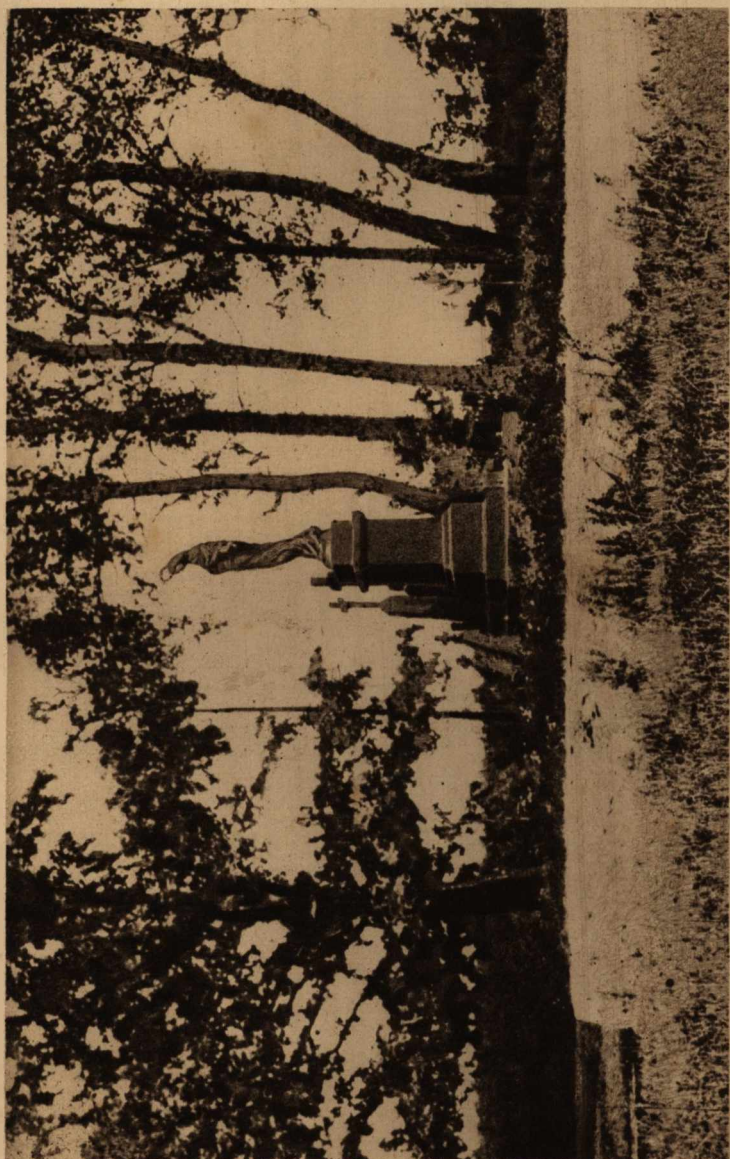
się do domu. W czasie mego pobytu w Warszawie miał miejsce strajk piekarzy i wielu innych, spowodowany, według opowiadań, instrukcjami, otrzymanymi bezpośrednio z Moskwy od Lenina i Trockiego. Wogóle bolszewizm na wschodzie mniej dla nas straszny, ale gorszy stokroć i niebezpieczniejszy jest ten, który zaczyna nurtować i przesączać się do wojska. Podczas mojej bytności w Warszawie była wielka delegacja z sejmowych stronnictw lewicowych u Piłsudskiego, żądająca zawarcia pokoju w terminie trzydniowym i grożąca strajkiem generalnym w razie odmowy. Piłsudski bardzo trafnie odpowiedział, że „z bolszewikami łatwiej wojować, niż o pokój traktować”.

4 marca 1920 roku. Pojechałem do Słucka na zjazd organizacyjny w sprawach samorządowych, który miał się odbyć w obecności naczelnika okręgu mińskiego Wł. Raczkiewicza. Debatowano o najpilniejszych potrzebach powiatu, a tych okazało się tak wiele, że i miliarduby na zaspokojenie nie starczyło. Wybrano z powiatu 4-ch delegatów, na takich sam zjazd w gubernji, w ich liczbie i mnie. Wydaliśmy kolację dla Raczkiewicza, a nazajutrz byłem na obiedzie wydanym dla niego przez starostę Grabowskiego, a że musiałem koniecznie nazajutrz być w Mińsku dla posiedzeń Tow. Rolniczego, Raczkiewicz zaproponował zabrać mnie z sobą samochodem do Bobrujska, skąd już konsystujący tam generał Konarzewski miał mi w jakim pociągu wojskowym dalszą drogę ułatwić. Droga nie udała się zbyt pomyślnie, wciąż psuły się obręcze gumowe tak, że zamiast o 10-tej wieczorem, stanęliśmy w Bobrujsku o 3-ciej nad ranem, oczekiwani z kolacją przez prezesa czasowego samorządu Regulskiego i zastępcę starosty Jerzego Czarnockiego, który mnie następnie na parogodzinny odpoczynek do siebie zaprosił, bo już jakoby o 7-mej rano mieliśmy wyjechać do Mińska. W Bobrujsku otrzymaliśmy pomyślną wiadomość o posunięciu się oddziałów gen. Konarzewskiego aż ku Rohaczewowi i gdyby nie nadeszły rozkazy cofnięcia się, konie ullańskie pierwszy raz napłyły się wody Dniepru. Zamiast o 7-ej dopiero o 11-tej udało się wyruszyć z Bobrujska w towarzystwie Raczkiewicza i jego 2-ch przybocznych urzędników: do spraw cywilnych hr. Eme-ryka Czapskiego i do spraw wojskowych porucznika Godlew-

skiego, obu bardzo inteligentnych i sympatycznych młodych ludzi, których praca przy naczelniku okręgu na zdolnych i wyrobionych urzędników wyrobić nieomieszka.

W Mińsku 7, 8 marca 1920 roku. Posiedzenie Tow. Rolniczego i Związku Ziemiaków. Głównie debaty nad projektem prawa do uwłaszczenia drobnych dzierżawców, który, nieudolnie przez Osmałowskiego opracowany, udało się czasowo powstrzymać, aby w nim konieczne zmiany przeprowadzić. Przemawiałem na zebraniu, popierając samą zasadę, uważając za wskazane, aby prawo, za rządów rosyjskich przysługujące tylko dzierżawcom prawosławnym, przy nowym ustroju państwowym było rozszerzone i na katolików, czyniąc w niem tylko niezbędne poprawki. Ogólne zebranie podzieliło te poglądy i wybrało od siebie, jako delegatów na konferencję w tym przedmiocie do generalnego komisariatu do Wilna, Zygm. Rewieńskiego, Ludw. Uniechowskiego, Henr. hr. Grabowskiego i Siemaszkę. Mnie naglono o przyjęcie udziału, ale wobec uciążliwości podróży i konieczności posiedzenia trochę w domu, wymówiłem się i nazajutrz po najfatalniejszej drodze, idąc najczęściej pieszo, końmi, przez Starzycę, wróciłem do domu.

12 marca 1920 roku. Nie danem mnie było długo popasać, bo przyjechał do mnie na śniadanie ordynat nieświeski ze swym plenipotentem Al. Oskierką i przywiózł depeszę z Wilna, naglącą od hr. Jerzego Czapskiego i Dom. Dowgiałły, abym najkonieczniej przyjeżdżał na 15-sty, który to termin przeniesiony został z 20-go na 15-ty, aby właśnie dać mi możliwość przyjęcia udziału w naradach wileńskich, albowiem 20-go miałem być w Mińsku na sejmiku okręgowym. Nie mogłem się odmówić, szczególnie wobec Dowgiałły, którego zniewoliłem przyjąć prezesostwo Związku Ziemiaków w Warszawie, zobowiązawszy się posłuszeństwem względem niego, gdy będę wzywany w nagłej potrzebie. Zabawiwszy więc w domu tylko 1½ doby, ruszyłem przez Zamek, Mińsk do Wilna. Wskutek nieporządków kolejowych, podróż ta pochłonęła dwie noce bezsenne. Zmęczony, przy kompletnym braku mieszkań w hotelach, zatrzymałem się u mego brata ciotecznego Stanisława Wańkowicza, niegdyś posła do Dumy, a obecnie prezesa zarządu Banku Handlowego w Wilnie i zaraz udałem się po wskazówki do zacnego Dom.



KURHAN GROBOWY W SAWICZACH







Dowgiałły. Dowgiałło zupełnie racjonalnie uzasadnił, iż robota Związku Ziemi z Litwy i Białorusi zupełnie straciła rację bytu w Warszawie, albowiem Zarząd Cywilny Ziem Wschodnich z Osмоłowskim na czele, przeniósł się do Wilna, gdzie, wydając, w złą lub dobrą wiarę, rozmaite dekryty, nieraz dla ziemiaństwa nader szkodliwe, potrzebuje mieć na miejscu stały kontakt z organizacją tegoż ziemiaństwa, aby być należycie poinformowanym, a nieraz i dopilnowanym. Zatem należy związek, powstały w Warszawie, rozwiązać (prezes Dowgiałło, wice-prezesi: Uniechowski i Lednicki), a ponieważ związki ziemian w gubernjach już odnowiły swe czynności, wyłonić z nich „Związek Związków” z ekspozyturą stałą w Wilnie i naczelnikiem biura, należycie opłaconym, któryby wciąż dopilnowywał interesów ziemiańskich w „Zarządzie Cywilnym Ziem Wschodnich”. Dla zorganizowania takiej instytucji właśnie zostało wezwane to ogólne zebranie ziemian z Wilna, Grodna, Kowna, Mińska, Mohylowa, Witebska i Inflant Polskich, na które niezwłocznie już iść trzeba i które wobec pewnych kolizyj i pewnego nieskoordynowania elementów miejscowych, chce mnie mieć za przewodniczącego i dlatego tak gwałtowno mnie o przyjazd. A więc 15, o 5 wieczorem zasiadło grono przedstawicieli ziemian, osób 40—50, w sali „Lnu Kresowego”, któremu, zmęczony drogą, niewyspany i mało wtajemniczony w atmosferę wileńską, przewodniczyć musiałem i wymawiałem zebrany, że mnie do tego zniewolili, wówczas gdy na tem samym zebraniu było tyle osób, któreby pewno nie gorzej odemnie z tego zadania się wywiązały, że wspomnę tylko obecnych: Dowgiałłę, H. Giecewicza, Al. Meysztowicza, Wagnera, Al. Chomińskiego, St. Wańkowicza, Czesława hr. Krasickiego, Marjana Platara i wielu innych. Zebranie uznało za konieczne organizowanie takiego „Związku Związków”, z biurem w Wilnie, i wybrało komisję redakcyjną, mającą być zarazem tymczasowym zarządem Związku, która miała opracować statut i zebrać następnie ogólne zebranie dla wybrania stałego zarządu. Nadanie komisji redakcyjnej atrybucji „Tymczasowego Zarządu”, uznano za konieczne, ponieważ prawie codziennie zjawia się konieczność oddziaływania w sferach miarodajnych Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich. O ile się nie mylę, do komisji powołani zostali: Dow-

gialło, St. Wańkowicz, Marjan Plater, Kołłątaj, Adamowicz, Skinder, Mohl i na tem się zebranie skończyło. Nazajutrz 16 marca 1920 r. była bardzo ważna narada w generalnym komisarjacie, półoficjalna, ze stenografistami w sprawie wypracowania dekretu o drobnych dzierżawcach i ewentualnego ich uwłaszczenia. Wobec nieobecności Osмоłowskiego, chorującego w Warszawie, przewodniczył jego zastępca Edmund Iwaszkiewicz w otoczeniu głównych swoich współpracowników z urzędu. Od ziemi Wileńskiej delegatami byli: St. Wańkowicz i mecenas Skinder; od Mińszczyzny: Ludwik Uniechowski, Zygmunt Rewieński, hr. Grabowski, Siemaszko i ja. Delegaci polecieli mnie przemówić w ich imieniu, przed przystąpieniem do obrad. Zacząłem od podkreślenia dobrej woli ziemiaństwa w urzędzeniu losu drobnych dzierżawców, lecz z drugiej strony, niezupełną legalność rządu w przeprowadzeniu zmian w prawach cywilnych okupowanego, a do tychczas żadnym dekretem nieanektowanego kraju, co wręcz się sprzeciwia konwencji haskiej. Gdyby nie względy legalności, ziemiaństwo samo dałoby inicjatywę do tej noweli prawnej i t. p. Mówić mi o tem było bardzo łatwo, albowiem ongiś podobny projekt uwłaszczenia drobnych dzierżawców miał być podany przezemnie Stołypinowi i tylko był wstrzymany decyzją Koła Polskiego w Radzie Państwa. Iwaszkiewicz był bardzo rad z mego przemówienia i twierdził, że nazajutrz będzie ono przetelefonowane do komisji sejmowej, aby jej dać pojęcie o poglądach ziemiaństwa kresowego, które, jak niegdyś pierwsze podało projekt uwłaszczenia włościan, tak teraz rozumie konieczność pewnych reform agrarnych. Nawet nazajutrz przychodzili do mnie koledzy, dziękując za moje przemówienie. Potem zaczęły się już rozprawy „in merito” nad niektórymi §§ noweli prawnej, które bardzo rzeczowo przeprowadzali p.p.: Rewieński, Uniechowski i inni, którzy sprawę doskonale przestudjowali, przodując bezwarunkowo wileńskim delegatom, co nawet Iwaszkiewicz, ku niezadowoleniu tych ostatnich, podkreślił. Z Wilna wróciłem do Mińska, na tak zwany „sejm okręgowy”, alias „zjazd okręgowy przedstawicieli ludności ziemi mińskiej”, alias: „zjazd samorządów powiatowych”, albowiem nomenklatura miała się dopiero następnie ustalić, w zależności od

decyzji, którą zebranie wyniesie i od wniosków, które na posiedzeniach dominować będą, a przez rząd akceptowane zostaną. Zjazd był otwarty 21 marca 1920 roku przez Raczkiewicza, w sali Sądu Okręgowego, w obecności przedstawicieli po 4-ch z każdego powiatu, i 4-ch przedstawicieli od towarzystw, pracujących na terenie Mińszczyzny: więc od Towarzystwa Rolniczego byłem ja, od Związku Ziemiań Uniechowski, od Towarzystwa Lekarskiego dr. Offenberg, od kooperatyw ksiądz Harasymowicz. Oprócz tego pierwszy raz wzięli udział w obradach mińskich, przedstawiciele świeżo przyłączonego do Mińszczyzny powiatu Iepelsko-połockiego. Obrady nosiły charakter więcej akademicki niż praktyczny, albowiem rozprawiano przeważnie o tem, czego nam brakuje dla normalnego biegu życia w kraju i co trzeba zrobić, nie licząc się wcale z tem, co zrobić można przy ruinie gospodarstw i wyczerpaniu sił produkcyjnych kraju. Byli i tacy uczestnicy zjazdu, których mniej obchodziły sprawy publiczne, a którzy wyobrażali sobie, że potrafią wyzyskać okoliczności, aby swoje osobiste interesy załatwić, jak np. jakiś drobny dzierżawca z pod Łohojska głosem płacziwym zaczął się uskarżać, że pierwaj płacił za 20 dzieścin czterdzieści rbl. dzierżawy, a teraz p. Niezabytowski naznaczył 60 rbl., przez co on i dzieci jego pozbawieni są najprostszycy potrzeb życiowych. Chociaż takie sprawy nie mogły być przedmiotem obrad obecnych, jednak przewodniczący Raczkiewicz wysłuchał tych skarg cierpliwie, jako od „przedstawiciela ludu” pochodzących, a znakomitą replikę mu dał p. Regulski, który, niby uznając wyzysk „obszarników”, radził temu dzierżawcy kupić kurę, a że zupełnie średniońska kura daje rocznie 50 jaj, które sprzedają w Mińsku po rs. 3 za sztukę, więc ta kura da 150 rs., z których, po odtrąceniu 60 rs. dzierżawy, jeszcze 90 rs. pozostanie na potrzeby rodziny rolnika. Z wielkim aplauzem ta replika przyjęta przez zgromadzenie została i niefortunny interpelant usiadł skonfundowany na miejscu. Podczas zebrania na sali znajdował się były minister Wróblewski\*), który miał jechać

---

\*) Był minister pełnomocny w Stanach Zjednoczonych, obecnie prezes Banku Polskiego. p. w.

następnie z Raczkiewiczem do Borysowa dla pertraktacji z bolszewikami, które jednak z powodu niezgodzenia się bolszewików na ten punkt zejścia się do skutku nie doszły. Wobec przypuszczenia, że bolszewicy zechcą grać przy konferencji na strunach białoruskich, chodziło o to, aby uprzednio pewne „modus vivendi” z menerami białoruskimi przeprowadzić, co i zostało dokonane przy udziale tegoż Raczkiewicza. Białorusini otrzymali zapewnienie swobodnego rozwoju narodowościowego i pewnego ustroju autonomicznego w Państwie Polskiem, przytem na potrzeby chwili bieżącej 9.000.000 marek, z których im 2.00.000 marek „ex nunc” wypłacone zostały. Z ich strony prowadził pertraktacje poważnie Iwanowski. Obrady szły przyspieszonym tempem wobec kombinacji borysowskich, ostatniego dnia, 22 marca 1920 roku, skończyły się dopiero o godzinie 3-ej rano, a że już było we zwyczaju kończyć takie zebrania adresem do Piłsudskiego, albo Sejmu, więc i tutaj nie obeszło się bez tego. Ponieważ, miałem zaszczyt być zaproszony do stołu prezydjalnego, delegaci lepelscy, myśląc, że jestem jaką figurą zwrócili się pierwsi do mnie z propozycją zredagowania i wysłania takiego adresu. Przyrzekłem im tem się zająć. Debaty nad takimi enuncjacjami nigdy nie są właściwe; na ogólnem zebraniu, na którem mogą czasami niespodziewanie wyniknąć drażliwe kwestje i zastrzone zdania; adresy takie muszą być redagowane przez upoważnionych mężów zaufania rozmaitych partij i przyjęte jednogłośnie na ogólnem zebraniu. Ponieważ tego dnia byłem zaproszony na obiad przez Raczkiewicza, więc tam tę sprawę poruszyłem. Raczkiewicz roześmiewszy się powiedział, że ten adres już jest u zecera, aby już mógł w rannem wydaniu dziennika w Mińsku być przeczytany, jako uchwała zgromadzenia. Gdyśmy po obiedzie się znaleźli w sali, drobny szlachcic zagonowy wystąpił z propozycją adresu, niby z własnej inicjatywy, powołując się na tekst adresu, jakoby na zebraniu prywatnem gdzieś przedyskutowany. Naturalnie wszystko było naprzód ukartowane, albowiem chodziło o to, aby inicjatywa pochodziła ze sfer demokratycznych. Redakcja drukującego się już adresu, była jednogłośnie okrzykami na cześć Naczelnika Państwa przyjęta i wysłana. Przypomniały się mnie carskie



czasu, gdyżmy także podobne „wiernopoddańcze” uczucia manifestować musieli. Widocznie sposoby rządzenia niezależnie od ustroju państwowego są wszędzie jedne i te same; dobrze że obecny Rząd Rzeczypospolitej ich się uczyć zaczyna. Wogóle przebieg spraw na tym sejmie okręgowym był spokojny. Delegaci bobrujscy, jeden ex-pisarz gminny, drugi ex-nauczyciel wiejski, tłómaczyli się nieznajomością języka polskiego i przemawiali nie po białorusku nawet, ale po rosyjsku i występowali z propozycją upaństwowienia lasów, ale to było dysonansem zręcznie przez przewodniczącego uchylonym. Na tem zebraniu ledwie mogłem dosiedzieć do końca; zmęczony podróżą do Wilna i ciągłym naprężeniem umysłu przy ciągłych obradach, naprzód w Mińsku, następnie w Wilnie, i znowu w Mińsku, a w dodatku może gdzie w tłoku wagonowym zarażony, zapadłem na hiszpankę i, sprawdzwszy, że mam 39<sup>o</sup> gorączki, śpiesznie 25 marca 1920 r. wyjechałem, aby broń Boże, poza domem nie chorować i nie zamrzeć.

5 kwietnia 1920 roku na drugi dzień Wielkiejnocy, według dawnego zwyczaju, zjechało do nas z życzeniami całe sąsiedztwo. Zasiadło do stołu 24 osoby i każdy tylko myślał o tem, czy to już wróciliśmy na zawsze pod dachy rodzinne. Zdrów już byłem zupełnie, tylko przewlekającą się gorączką jeszcze osłabiony.

8 maja 1920 roku. Wybrałem się do Warszawy. Trafiłem na rozmaite manifestacje z powodu sukcesów na Ukrainie i wzięcia Kijowa. Była to raczej przechadzka niż wyprawa wojenna, ryzykowna w zasadzie, bo z Kijowem, jak z Moskwą, według słów Żeligowskiego, wziąć nie kłopot, ale co potem z tem zrobić? Wzięcie Kijowa bezwątpienia zaimponowało Europie i wykazało, że Polska, w sprawach międzynarodowych nie jest „quahtité négligeable”, ale z drugiej strony, zaczęto ją posądzać o skrajnie „imperjalistyczne tendencje”. W komisji sejmowej do spraw zagranicznych haniebne wystąpienia pewnego odłamu ze St. Grabskim na czele, przeciwko aspiracjom polskim na kresach wschodnich i pewnych obowiązków względem ich Macierzy: „der Mohr hat seine Pflicht gethan — der Mohr kann gehen”; odwieczne hasło względem nas Polski. W roku 1863 kazano

nam krwią naszą znaczyć granice dawnej Rzeczypospolitej; szliśmy beznadziejnie, ponosząc następnie skutki powstania w ucisku, konfiskatach i prawach wyjątkowych, a teraz już ojczyzna Kościuszki, Reytana, Mickiewicza i t. p. im niepotrzebna. W opinii miasta stołecznego Warszawy koncepcja St. Grabskiego upadła, bo powodzenie wojenne dogadzało szowinizmowi narodowemu i aureoli Naczelnika Państwa, więc śpiewano uroczyste „Te Deum” w katedrze warszawskiej z powodu wzięcia Kijowa. Wszyscy oczekiwali, w jaki sposób sejm będzie reagował na ten ewenement, ale sejm przeszedł nad tą sprawą do porządku dziennego. Trąpczyński ani słowem się nie odezwał i zaczęto posiedzenie od „kasy chorych”. Przypomniało mnie to żywo przebieg spraw w Dumie Państwowej, gdy naród cały z drżeniem oczekiwał pierwszego odruchu zebranych po tylu latach milczenia i niedoli przedstawicieli narodu i pierwszą sprawą, wniesioną na porządek dzienny obrad, była sprawa „urządzenia pralni przy uniwersytecie dorpackim” (sic). Powtarzam, sposoby rządzenia pozostają zawsze jednostajne, chyba od czasu Machiawela. Zwycięstwa ukraińskie były pierwszym posunięciem samodzielnem bez ogłądania się na Europę na szachownicy światowej, ale dalsze losy Ukrainy, ugody z przewrotnymi zawsze Rusinami z Petlurą na czele, są to wszystko sprawy bardzo wątpliwej jeszcze orjentacji i korzyści realnej. W każdym razie było to posunięcie w kierunku myśli politycznej ks. Janusza Radziwiłła i Bohd. Kutyłowskiego. Odbyło się w Warszawie podczas mojej bytności posiedzenie zarządu Związku „Polsko-Białoruskiego”, ponieważ w rozmaitych odezwach Białorusini wciąż głosili o suwerennej Białorusi, zwróciłem uwagę zebrania, iż wobec tego, że Białoruś ani jednego grosza na ten cel nie dała, ani jednego żołnierza na front nie wysłała, jest absurdem wyobrażać sobie, iż Polska za nich wszystkie kasztany z ognia powyciąga. Gdy ofiarami swego życia i mienia dojdzie do granic etnograficznych Białorusi od wschodu, wówczas da Białorusinom do rozstrzygnięcia dylemat: „czy chcecie należeć do nas, czy do Rosji?”. Więc należy odrazu wyrzec się samoistności, dążyć do związku z Polską na podstawie wybitnej autonomji, którą zależnie od warunków współżycia, można będzie zwęzać lub rozszerzać według

okoliczności dziejowych. Stojąc więc na podstawowej zasadzie niepodzielności Białorusi, która nigdy nie może się zgodzić na zostanie objektem targu lub umowy między Polską i bolszewikami, należy wydać odpowiednią deklarację w pismach z przedstawieniem jej sferom miarodajnym rządu polskiego. Obecni, uznali słuszność tych argumentów, polecono prezydium zredagować odnośne podanie, co było wykonane i zaraz po powrocie do domu, wyczytałem je w gazetach, przyczem zasada niepodległości Białorusi była podkreślona, ale suwerenność przemilczana.

26 maja 1920 roku. Gdy 24-go maja, na drugi dzień Zielonych Świątek, liczne zebrane u nas było sąsiedztwo, przysłała zatrważająca wiadomość o przerwaniu frontu przez bolszewików koło Ihumenia i Borysowa. 25-go maja pojechałem rano do Nieświeża, wezwany na obrzęd złożenia w podziemiach Fary zwłok ś. p. pierwszego ordynata dawidgródeckiego, ks. Stanisława Radziwiłła, rotmistrza 3-go pułku ułanów i najbliższego adjutanta Naczelnika kraju. Ks. Stanisław był żołnierzem niepospolitej odwagi, słyszałem opowiadania ułanów, że gdy raz szło o zdobycie niemożliwej jakiejś pozycji i zapanowało wahanie się w szeregach, ks. Stanisław, odrzuciwszy wszelkie uzbrojenie, ze szpicrutą w ręku rzucił się naprzód, pociągnął za sobą swych żołnierzy i zdobył, co należało. Więc i tutaj, pomimo, iż jako osobisty adjutant Piłsudskiego, wolny był od wszelkiej akcji na froncie, gwałtownie się napał, aby mu powierzono oddział kawalerji, szarżując na czele którego pod Malinem, koło Kijowa, został ciężko ranny i złożony w chacie chłopskiej, następnie okrążonej przeważającymi siłami bolszewików, której gospodarz zdradził, jakiego gościa ukrywa, i księżę został kolbami i bagnietami dobity. Szwagier jego, ks. Hieronim Radziwiłł z Balic, ożeniony z arcyksiężniczką z Żywca, i w swoim czasie wskazywany na domniemanego króla polskiego, pojechał następnie na Ukrainę i ciało odgrzebał. Pogrzeb oficjalny, przy udziale w ceremonji Piłsudskiego, odbył się w kościele św. Krzyża w Warszawie, a obecnie przewieziono zwłoki do Nieświeża. Towarzyszyli trumnie z Warszawy księżęta Leon, Hieronim i Janusz (syn Karola) Radziwiłłowie. Smutny był pogrzeb, albowiem miasto z cechami i urzędami miej-

skiem i nie przyjęło w nim udziału, jakby to należało uczynić dla syna zamku nieświeskiego, i jednego z najdzielniejszych oficerów armii polskiej. Tłómaczono to następnie obawą, aby przy nadchodzącej już nawale bolszewickiej demonstranci nie byli przez ukrytych bolszewików obliczeni i ponotowani, ale wnoszę, że przy panującym nastroju demagogicznym, nie chciano podkreślać zasług obszarnika i w dodatku księcia, co jest prawdopodobniejsze.

26 maja 1920 roku. Ponieważ z powodu niepomyślnych wieści z frontu wschodniego masę wojska wysyłano na wschód, pociągi dla osób prywatnych były wstrzymane, musiałem wyjechać końmi, słuckim traktem, przez Starzycę do Mińska na posiedzenie Tow. Rolniczego i inne. Po drodze spotkałem tabuny rasowego bydła, pędzonego z pod Ihumienia, z majątków zajętych przez bolszewików i długie tabory wozów uchodźczych, dążących w odwrotnym kierunku niż przed paru laty, bo ze wschodu na zachód. Twarze powożących beznadziejne, wystraszone, a przy drodze kupy chłopów, naradzających się, jak się mają zachować w danym wypadku, mających jedną pewność niezbitą, że im, w żadnym razie, nic się złego nie stanie. Nigdy chyba, jak podczas tych lat „potopu” nie okazały się tak prawdziwymi orzeczenia W. Pola: „że co małe — to bywa i całe”. Krążyły częściowo przesadzone wieści o dymiących się zgliszczach dworów i folwarków, o pogromach i rzeziach ludności polskiej po wsiach i miasteczkach. W Mińsku popłoch ogólny, znalazłem siostrę Kostrowicką, zaledwie ochłoniętą od niewoli bolszewickiej, pakującą znów swoje ruchomości i wysyłającą je ku Brześciowi, do siostrzana Bielskiego w Ateczyźnie. W nocy rozesłane rozporządzenie głównodowodzącego w Mińsku, generała Szeptyckiego, aby rodziny urzędników i pracujących w rozmaitych organizacjach społecznych ewakuowały się na zachód, ku czemu przeznaczone są wagony i t. p. Miasto w dzień i w nocy tętniało przemarszem wojsk wszelkiej broni, dążących na pomoc ku Berezynie. Imponowała wszystkim świetna postawa artylerji wielkopolskiej, zaprzężonej w dzielne konie i silne muły; nikt jednak się nie spodziewał, że to jest już początek końca. Drugi dzień mego pobytu był już trochę spokojniejszy, wskutek wiadomości o załamaniu się ofensywy bolszewickiej



koło Iłumienia i Borysowa, taborom uchodźczym kazano okrążyć Mińsk, aby przejazdem przez ulice nie oddziaływać na upadek ducha mieszkańców, ale zato gorsze szły wieści od Lepła, skąd nawała bolszewicka przerwała się już na blisko 150 w. na zachód i szły krwawe boje między Mołodecznem, Głębokiem, Budslawiem i Pleszczenicami, które miały stanowić o losie całej kampanji białoruskiej i o losach tego kraju. Akcja ta miała być podtrzymana przez Tarybę Litewską dla odcięcia Wilna, jako ekwiwalentu za stolicę kijowską. Wszędzie uwydatniała się ręka niemiecka: na strąconych samolotach znajdowano pilotów niemieckich, w szeregach bolszewickich instruktorów niemieckich, a na czele zastępów czerwonej gwardji stanął generał carski Brusilow. Ponieważ w tym czasie były naznaczone posiedzenia Tow. Rolniczego, Syndykatu, Związku Ziemiaków i Wzajemnych Ubezpieczeń i prowadzenie obrad w zgromadzeniu, ogarniętem paniką i niepewnością jutra, było wręcz niemożliwe, postanowiłem udać się do źródła, aby zamiast plotek, słowami autorytetu oddziaływać na zebranych. Głównodowodzącym był, jak już wspominałem, generał Szeptycki, mieszkający w oddzielnym domu na Podgórznej ulicy, silnie strzeżony, albowiem bolszewicy, mający wszędzie swych agentów, starali się go zgładzić i raz nawet wznieśli pożar w tym domu, aby z aeroplanu można było, mając punkt wytyczny, rzucić na ten dom pocisk wybuchający. Pożar był na razie stłumiony, bomba była rzucona, ale chybiła celu. Nie licząc się zbytnio z formalnościami udałem się na Skobelewską ulicę do domu, gdzie się mieścił sztab główny. Przepuszczono: adjutant Szeptyckiego ks. Konst. Lubomirski mnie zaanonsował i generał nie kazał długo czekać, a zaprosił do gabinetu. Wysokiego wzrostu i arystokratycznego wyglądu, uprzejmy, w mowie ścisły i bystrego umysłu generał zrobił na mnie dodatnie wrażenie. Powołałem się na znajomość brata metropolity, który przyjeżdżał umyślnie do Mińska, jak to już wyżej wspominałem i mnie do przyjęcia obrządku unickiego nakłaniał i odrazu powiedziałem, w jakim celu o audjencję jego prosiłem. Generał najzupełniej wyrozumiał moje motywy i zapewnił, że przerwanie frontu Iłumeń — Borysów jest zupełnie zlikwidowane, że wprawdzie wałęsają się jeszcze tam gdzieś resztki band rozproszonych,

ale nawet ewakuowane władze z Iłumienia otrzymały rozkaz powrotu na swe stanowiska i że sprawy Mołodeczno—Lepel idą ciężko, są poważne, ale już nastąpił przełom pomyślniejszy i niema żadnego powodu wnioskować, iż i na tym froncie do porządku się nie wróci. W dodatku pozwolił wszystkie te szczegóły w jego imieniu zakomunikować zgromadzonemu ziemiaństwu i prosić o uspokojenie. Było to przezemnie spełnione i mogliśmy przystąpić wszędzie do porządku dziennego. Ale nazajutrz rozeszła się fatalna wiadomość o samobójstwie w więzieniu najbliższego adjutanta generała, niejakiego Markowa, rusina galicyjskiego, któremu Szeptycki specjalnie ufał, i przez którego szły najbardziej poufne rozkazy do wojska. Od pewnego czasu, w rzeczy samej, jakoby w sferach armji czynnej chodziły dziwne pogłoski, że wszelkie rozkazy Szeptyckiego były jakby uprzedzane przez bolszewików: tam kazano przejść przez rzekę, tam zbudować most lub zniszczyć, lecz gdy przystępowano do wykonania rozkazu, zawsze się znajdował we wskazanem miejscu jakiś oddział bolszewicki, udaremniający robotę. Zjawiły się podejrzenia, nakazano rewizję u Markowa, podczas której natrafiono na silnie obciążające „corpus delicti”. Markow został przeprowadzony do więzienia, w którym się zastrzelił odrazu w celi z miniaturowego brauninga, który zdołał ukryć przy rewizji osobistej w więzieniu. Wypadek ten ogromnie przygnębiające wywarł wrażenie, nasamprzód na samym Szeptyckim, który nie mógł wskutek śmierci Markowa dotrzeć jak daleko zdrada się w jego otoczeniu zagnieździła, powtóre w wojsku zaczęli agenci bolszewicy wpływać na demoralizację dowodzeniem, że wszędzie jest zdrada w dowództwie, że poco żołnierz ma się bić w okopach, skoro jest zgóry zaprzędany i t. p. Na szczęście iść zaczęły wcióż nowe posiłki z Warszawy, szczególnie silniejsze duchem oddziały wielkopolskie. Przyjechał generał Sosnkowski, szeregi bolszewickie zostały odsunięte, mniej więcej stare „status quo ante” zapanowało.

16 czerwca 1920 roku. Koło godziny 2-iej w nocy w Sawiczach, zostałem zbudzony przez przysłanego żandarma ze Słucka z depeszą, wzywającą mnie do Wilna na 18-ty do Generalnego Komisarjatu na konferencję w sprawie agrarnej. Ponieważ pociąg do Wilna via Mińsk, wychodził z Ho-

rodzaja o 6-ej rano, zatem już zdążyć nie mogłem, ale wobec ważności sprawy postanowiłem jechać chociaż nazajutrz, tem więcej, że dzisiaj jeszcze miałem u siebie mieć liczne zebranie dla omówienia tejże sprawy, powstałej wskutek odezwy Piłsudskiego do komisarza generalnego Ziem Wschodnich Osmołowskiego, polecającej temu ostatniemu przedstawienie noweli prawa agrarnego dla Kresów Wschodnich, mniej więcej analogicznego z prawem zawotowanym 10 lipca 1919 r. w sejmie warszawskim. Stałem w Wilnie 19-go rano. Dowiedziałem się, że Osmołowski jest w Warszawie, a sprawa agrarna oddana w ręce jego zastępcy Edmunda Iwaszkiewicza, który tegoż dnia na południe naznaczył konferencję specjalną z przedstawicielami gubernji mińskiej, na którą zaraz się udałem, i znalazłem się tam z delegatami naszego Tow. Rolniczego Zygm. Rewieńskim i Olg. Swidą, tudzież delegowanym przez Związek Ziemiańców Witoldem Wańkiewiczem. Projekt prawa redagowany „na kolanie” przez Dąbskiego w Warszawie, bez najmniejszej znajomości warunków miejscowych, stawiający ziemian kresowych w daleko gorszych warunkach, niż było postawione ziemiaństwo polskie prawem 10-go lipca, był przedmiotem dyskusji przez kilka godzin z Iwaszkiewiczem, przyczem obie strony okazały się daleko mniej ustępliwe, niż podczas obrad nad prawem uwłaszczenia drobnych dzierżawców. Oprócz zasadniczej obrony praw własności, nie mogliśmy pominąć niezaprzeczonego faktu, że na kresach muszą być uwzględnione i sprawy narodowościowe, że ekspropriacja ziemian, zmniejsza wogóle stan polskiego posiadania na kresach, nadzielenie zaś odciętemi od własności większej ziemiemi żołnierzy polskich, wytworzyłoby silnie zaakcentowany antagonizm narodowościowy u Białorusinów, uważających siebie za najwięcej uprawnionych spadkobierców tych obszarów. Iwaszkiewicz, doceniając jednak uwagi nasze, wobec tego, iż wypracowanie noweli prawa zajmie co najmniej dwa tygodnie czasu, zniewolił nas dać obietnicę, iż gdy projekt w Komisarjacie Generalnym zostanie opracowany, na wezwanie jego stawimy się znów w Wilnie dla ostatecznego omówienia. Delegaci mińscy wyjechali do domów, ja, na życzenie Iwaszkiewicza, zostałem jeszcze na dzień jeden w Wilnie, aby wypracować wspólnie

z Hip. Korwin-Milewskim projekt rządowy regulacji serwitutów, projekt również fatalny i niesprawiedliwy i tak niefortunnie sprawę ujmujący, jak i projekt rządowy reformy agrarnej. Spełniwszy swe zadanie, nazajutrz spakowałem się, kupiłem bilet kolejowy na powrót do domu i miałem wyjeżdżać, gdy dopadł do mnie przybyły z Warszawy Ludwik Uniechowski z żądaniem, w imieniu zarządów naszych organizacji kresowych: Rad Kresowych, Związku Ziemiaków, Komitetu Obrony Kresów i t. p., abym koniecznie przyjeżdżał do Warszawy, albowiem w Warszawie jeszcze, a nie w Wilnie waży się losy ustawy agrarnej, więc w Belwederze jeszcze pora oddziaływać. Musiałem ulec, kupiłem bilet nowy i po nader uciążliwych formalnościach paszportowych i nie mniej uciążliwej podróży 22 czerwca rano stanąłem w Warszawie, opanowanej atmosferą strajków i przesileń ministerjalnych. Nie zwlekając ruszyłem do Belwederu, aby za pośrednictwem Cara, jako szefa biura Naczelnika Państwa otrzymać możliwie prędko posłuchanie. Car, człowiek uprzejmy, wyraził powątpiewanie, aby to się udać mogło, wobec zaprzątnięcia Naczelnika Państwa sprawami kryzysu ministerjalnego, traktowała się właśnie kandydatura Wład. Grabskiego, jako premiera, ale, wysłuchawszy moje przedstawienia, obiecał przelożyć Piłsudskiemu. Zostawiłem swój adres i telefon i nim wróciłem do domu, już przez telefon oznajmiono mi, że Naczelnik przyjmie mnie 24-go o 1<sup>1</sup>/<sub>2</sub> godz. po południu. Nazajutrz o 2-giej na Długiej Nr. 50 zebrali się ci wszyscy, na których wezwanie się stawilem w Warszawie. Wypowiedziałem im swoje poglądy, zupełnie zresztą zgodne z ich orientacją, dali oni mi wskazówki pewnych 'szczegółów audjencyj belwederskich, wyrazili tylko ubolewanie, że audjencja będzie zbyt krótka, albowiem o 2-jej już jest śniadanie w Belwederze, na które adjutanci bardzo akuratnie wzywają Naczelnika, trzymającego się ściśle godziny. Panowie ci zniewolili mnie, abym prosto z Belwederu zaszedł do nich dla zdania sprawy z posłuchania.

24 czerwca 1920 r. Na kwadrans przed naznaczoną godziną byłem już w Belwederze, którego podwórze znalazłem wypełnione karetami i automobilami. Jedni mówią, że to jakies misje zagraniczne, inni, że to z powodu kryzysu ministerjal-



nego. Przychodzi moja godzina, ale mnie nikt nie prosi. Cisną się do głowy wspomnienia w. ks. Konstantego i nocy listopadowej, potem pobytu wielkorządców rosyjskich; bije 2-ga, słyszę jak w sąsiednim pokoju wysyłają do Naczelnika z oznajmieniem o śniadaniu. Nie juściż mam tu siedzieć, aż nim skończą? Porównywan, iż u dygnitarzy najwyższych w Piotrogradzie tak długo czekać się nie zdarzało, ale na to rządy demokratyczne. Aż wtem wpada adjutant i prowadzi mnie na górę do gabinetu Piłsudskiego. Wyznaję, że byłem ciekawy zobaczyć tę twarz pomarszczoną, zpedelba spoglądającą, jak ją zwykle na oleodrukach przedstawiano. Zobaczyłem człowieka średniego wzrostu, prawie bez zmarszczek, raczej z twarzą nalaną, oliwkową, trochę nawet typu mongolskiego. Po podaniu ręki usiedliśmy na 2-ch obok stojących fotelach i zaczęła się rozmowa, która, pomimo obiadowej pory i tupania adjutantów poza drzwiami, trwała omal całą godzinę, i którą sam przerwałem koło 3-ej, nie chcąc nadużywać posłuchania. Zacząłem od tego, iż jak przed tygodniem udałem się do Mińska po przerwaniu frontu Lepel-Budśław - Głębokie do generała Szeptyckiego po bliższe informacje, słowa prawdy i otuchy o położeniu na froncie, aby przerwać panikę w Mińsku i dać możność dalszej pracy rozmaitym organizacjom społecznym, tak obecnie prosilem o posłuchanie u Naczelnika Państwa, aby usunąć jeszcze silniejsze przygnębienie, które między ziemiaństwem zapanowało wskutek projektów reform agrarnych, na rozkaz Naczelnika, przez Osмоłowskiego zapoczątkowanych. Przygnębienie tem silniejsze, że przerwanie frontu może być już na drugi dzień przez kontrofensywę naprawione, wówczas gdy akt prawodawczy zawsze na dłuższą metę jest obliczony. Zwróciłem uwagę, iż już drugie pokolenie na kresach wyrosło pod jarzmem praw wyjątkowych i miało w swoim katechizmie wypisane, jako grzech główny antynarodowy, pozbywanie się ziemi, i że kiedy, przeżywszy Murawjewych, Kaufmanów, Orzewskich i innych wielkorządców i, utrzymawszy prawie nienaruszony stan posiadania polskiego na Białorusi, doczekaliśmy się nareszcie rządów polskich, ani nam się śniło, że może raptem na nas spaść grom ze strony Macierzy. Trudno nam wierzyć, iżby było wskazane żołnierzowi

X polskiemu zdobywać kresy na to, aby tam uszczuplić obszar ziemi w rękach polskich będący. Nie wchodząc w szczegóły projektu, naprędce przez Dąbskiego skreślonego, sama chwila zapoczątkowania tej reformy jest niefortunnie wybrana. Wszak Naczelnikowi są niewątpliwie znane zasady budowlu betonowych; cienka i napozór wątła siatka żelazna nadaje tym konstrukcjom główną konsystencję, taką siatką w armjach, stojących na kresach jest młodzież ziemiańska z kresów, bez której armja nasza uległaby bolszewizmowi. Proszę Naczelnika przejechać przez dwory nasze na Białorusi i Naczelnik nie znajdzie tam jednego syna w domu; wszystko to siedzi w okopach, wie za co walczy i całą wagę Kresów Wschodnich dla państwa rozumie. Nasi to synowie głównie ducha w armji utrzymują. Ziemię ojcowską zabrali im bolszewicy, oni krew swą przelewają, aby ją wywalczyć i rodzicom swoim do stóp złożyć, nie juściż do nich ma dojść wieść, że gdy wroga za rubieżę przepędzą, to wróciwszy do domów znajdą, iż to, co ojcowie ich przez czas praw wyjątkowych przechowywali i za co synowie głowy swoje kładli, Państwo Polskie im odebrało. Obecnie kwestją bytu dla państwa jest udanie się pożyczki państwowej, którą staramy się usilnie popierać na kresach. Przy tych warunkach, czyż można żądać od ziemianina, którego pozbawiają ojcowizny, aby tracąc swój warsztat pracy, pozbywał się w dodatku gotówki w kieszeni? Może Naczelnik myśli, że to tylko synowie tak ofiarni, a ojcowie poparcia pańskiego nie warci? Proszę Naczelnika przejechać przez dwory nasze i zobaczyć, cośmy, wróciwszy przed 9-ciu miesiącami do domów po inwazji bolszewickiej, bez inwentarzy, narzędzi i wszelkiej pomocy państwowej, dokonali: potrafiliśmy zorać, zasiać i odłogów prawie nie mamy.... X Tutaj Piłsudski, który z widoczną niecierpliwością słuchał mego dowodzenia, przerwał z impetem: „żadne, najwięcej przekonywające „frazesy” nie zmieniają poglądów, ani żadna statystyka (o której ani razu nie wspomniałem) mnie nie zmyli. Ziemiaństwo nic nie pracuje na roli, tylko przyszywa orzełki na czapkach i guziki do mundurów, aby zajmować sownie opłacane posady rządowe. Ziemie leżą odłogiem, porastają brzoźkami, a kraj bez chleba!” Wysłuchałem tego wybuchu cierpliwie, ale gdy skończył, powie-

działem: „Naczelniku, pierwszy raz jestem w Belwederze, więc nie mogę się dziwić, że Naczelnik mnie nie zna dostatecznie, ale ci, co mnie znają, wiedzą, że frazesami nie operuję, a za każde swe słowo przywykłem odpowiadać”.

X I wyznaję, iż przy tych ostatnich słowach z gorączki ręką o stół uderzyłem. Ten epizod poskutkował i odrazu zmienił się cały nastrój rozmowy. Widocznie Piłsudski już przywykł do obcowania przeważnie z tymi, którzy go otaczają, od niego zależą i krescytywy oczekują, a tutaj niespodziewanie trafił no człowieka innej miary, niezależnego i zaczęła się rozmowa, że tak powiem sąsiedzka, albo raczej akademicka, między ludźmi odrębnych przekonań i poglądów. Tłumaczył mnie, że klasa ziemiańska musi zejść z pola bytu narodowego, że wszędzie własność większa się kurczy itp., co doskonale rozumiałem, ale chciałem, aby ta metamorfoza odbyła się tym sposobem jak na zachodzie, ale nie według modły bolszewickiej. Tłumaczyłem mu, że wcale nie jestem przeciwnikiem reformy agrarnej, owszem, wolę ją nawet przeprowadzać z Piłsudskim, jako Naczelnikiem Państwa, z którym zawsze w ten lub inny sposób porozumieć się można, aniżeli „z suwerennymi” analfabetami w sejmie, do którego by jeszcze weszli posłowie z Białorusi, wybrani na podstawie 4-o przymiotnikowego głosowania i t. p. W biegu dalszej rozmowy \* Naczelnik zadał mnie pytanie: „Może Sz. Pan nie wie, iż pochodzę z tej samej sfery, co i Pan, albowiem rodzina moja od wieków osiadła na Litwie, musieliśmy tam być nawet poganami, a Sz. Pan pewno był Rusinem”. Odpowiedziałem, iż wiem, że z tej samej sfery, a nawet lepszej, bo ja mam tylko 1.500 dziesięcin, a Naczelnik wiem, że miał 9.000 dziesięcin, jak się o tem w Wilnie onegdaj dowiedziałem, a że nie jestem żadnym żubrem, to Naczelnik musiał się przekonać ze stanowiska, które zająłem podczas konferencji wileńskiej w sprawie uwłaszczenia drobnych dzierżawców, co on z zadowoleniem potwierdził. Na takie próżne tory, gdy rozmowa weszła, a spojrzawszy na zegarek zobaczyłem, iż jest już nie 2-ga obiadowa godzina, ale 3-cia nadeszła, pierwszy wstałem i, aby nie odejść z próżnymi rękami prosiłem Naczelnika, aby gdy nowela prawa agrarnego będzie w Wilnie ostatecznie opracowana, przed ostatecznem jej



podpisaniem zgodził się wezwać przedstawicieli ziemiaństwa dla wspólnego jeszcze przejrzenia sprawy. Naczelnik odpowiedział, że, o ile to będzie narazie możebne, to przychyli się do mej prośby, wyraził ukontentowanie, że mnie poznał, i, o ile mi się to zdało, w przyjaznem usposobieniu podaliśmy sobie ręce przy pożegnaniu. Wracając do siebie, porządkowałem swe wrażenia. Były raczej ujemne, bezwarunkowo musi to przecież być człowiek niepospolity, bo czemuż on, a nie kto inny zasiadł w Belwederze, ale był to raczej człowiek partji, a nie prawdziwy mąż stanu. Miałem przecież w życiu wiele styczności z ludźmi, którzy w rządach państwa odgrywali decydującą rolę, wychodząc od nich czułem, że miałem do czynienia z ludźmi, u których coś leżało głębszego, coś nowego, a silnego, co mnie imponowało, pomimo, iż nieraz było coś wręcz przeciwnego mojemu światopoglądowi, w tem, co od nich słyszałem, było coś, co mnie zastanawiało i zamysłu się kazało. Tutaj spotykałem doktryny, a nie argumenty, któreby zwalczały moje przesłanki. Naturalnie, za powrotem z Belwederu musiałem się udać do czekających na me sprawozdanie przedstawicieli naszych organizacji społecznych w Warszawie i, otrzymawszy od nich zupełne absolutorjum, wróciłem do domu do Sawicz, przywożąc niestety w kupionych na stacji kurjerkach pierwsze alarmujące wieści, o wzięciu Żmerynki, Koziatyna, Żytomierza, Berdyczowa i t. p., za któremi poszła Rzeczyca, Mozyrz, Kalenkiewicz i reszta.

X 5 lipca 1920 roku. Byliśmy w Bielewiczach u Zenonostwa Domańskich na obchodzie 20 rocznicy ich ślubu. Zapisuję ten fakt dlatego, iż było to ostatnie zebranie sąsiedzkie w dawnych warunkach dobrobytu ziemiańskiego i stosunków na wsi odbyte. Wobec zatrważających wieści z frontu, którym się wierzyć nie chciało, wobec beznadziejności naszej w tym wypadku, jadąc przez znajome pola i wioski i przejeżdżając przez Borki, w których 32 lata ciężkiej swojej pracy włożyłem, mimowoli nasuwała się wciąż obawa, czy nie widzę ja tych okolic już po raz ostatni, lecz usuwając te myśli, nie przeczuwałem, iż tak prędko staną się one ciałem. Albowiem, gdy 6 lipca 1920 roku wieczorem wróciłem z Puzowa do Sawicz, około godziny 10 zjawił się posterunkowy żandarm



z Cimkowicz z poleceniem od starosty słuckiego, abyśmy ewakuowali nasze majątki z inwentarzami, psując maszyny rolnicze, aby one w ręce bolszewickie się nie dostały i abyśmy na godzinę 10 rano z taborami naszymi stawili się w Kijewiczach 8 lipca, skąd mamy się udać razem z innymi uchodźcami do powiatu słonimskiego. Jak grom spadła na nas ta wiadomość, a że miałem zaprzężoną kałamaszkę razem z żoną pojechaliśmy na nasz kurhan grobowy, aby pożegnać tych, którzy tam spoczywają i prosić Pana Zastępów, aby pozwolił jednak nam kiedykolwiek głowy nasze tam, w przygotowanych zawczasu już katakumbach złożyć! Po nocy bezsennie na rozpamiętywaniach spędzonej, zabraliśmy się od rana do zbierania i pakowania najpotrzebniejszych na wygnaniu ruchomości. Tymczasem rządca sawicki Dymitr Szkućko i ekonom z Puzowa Konstanty Jarmoliński, którzy ofiarowali się nam towarzyszyć, zajęli się kuciem koni, zbieraniem wozów i uprzęży, albowiem dla uniknięcia tłoku w podróży, postanowiliśmy wyjechać jeszcze tegoż dnia wieczorem, razem z siostrą marszałkową Ottonową Horwattową, co i zostało spełnione i 7-go lipca 1920 roku o godzinie 8½ wieczorem ojczyce tej ziemi po 350-ciu latach pracy w Sawiczach, tak ukochanych, tak wspomnieniami tylu pokoleń otoczonych, opuścili ziemię ojczystą, z wewnętrznym jednak poczuciem spełnionego obowiązku względem dziedzictwa swojego. Drugi to raz musieliśmy ustępować przed nawałą bolszewicką, ale ten wyjazd tem się różnił od poprzedniego (2 grudnia 1918 roku), iż odbywał się on jawnie, ze świadomością całego dworu i ludności miejscowej. I trzeba wiedzieć, iż opuszczenie Sawicz, przejazd przez wioskę naszą Bratków i dalej dwór puzowski był raczej triumfalną procesją, niż ucieczką. Cała ludność dworska, zebrana przy ganku pałacowym i u bramy, z płaczem i błogosławieństwem nas żegnała, a we wsi włościanie zebrani przed chatami wołali: „niechaj pan prędzej wraca”. Był to odruch zupełnie zrozumiały, wiedzieli, że przyjdą po nas bolszewicy, od których grożą pobory do wojska, rekwizycje, mordy i rabunki. Naturalnie były i żywyły anarchiczne, które oczekiwały bezkarności za wszelką samowolę, ale te jeszcze nie podnosiły głowy. Wyjechaliśmy w 4 furgony parokonne, jeden brek resorowy

i dwie pojedynki, na jednym furgonie jechał Dymitr, na drugim Jarmoliński, na trzecim służąca mojej siostry Mania Skorodźko, na czwartym ja; brekiem powoziła moja żona, a konie w pojedynkach były zaczepione arkanami za poprzedzające furgony. Można sobie wyobrazić, jak musiała iść podróż przy skwarze niebywałym, przy bąkach tnących niemiłosiernie konie, przy marnej, a zatem wciąż rwącej się uprzęży i przy ludziach, zmęczonych ciągłym czuwaniem, bośmy jechali dzień i noc, popasując tylko co 5—6 mil konie, z których nawet część była niekutą, a więc musiała się podbić na szosie, tak zwanej moskiewsko-brzeskiej. Po odpoczynkach w Sienawce, Miłowidach, Iwacewiczach, Kartuskiej-Berezie, Zaprudach, na 4-ty dzień dopiero stanęliśmy w Ateczyźnie, majątności mego siostrzeńca Edwarda Bielskiego, położonej o 16 wiorst za Kobryniem w kierunku Brześcia, a zgorą 30 mil od Sawicz. Przyjęci, witani z gościnnością staropolską i sercem rodzinnem postanowiliśmy odpocząć tutaj czas jakiś i stąd dopiero o naszych dalszych losach decydować, doczekawszy się przyjazdu z Mińska siostry mojej Kostrowickiej, też od bolszewików uchodzącej.

19 lipca 1920 roku. Przyjechała siostra Kostrowicka z Białej Siedleckiej, gdzie kilka dni przesiedziała, czekając nadaremnie na swe kufry, które przy ewakuacji Mińska gdzieś się zawieruszyły. Ateczyzna przy samej szosie położona; wciąż napastowana przez tabory uchodźców, maruderów i pojedyncze grupy odchodzących żołnierzy. Maruderzy zabierają konie po drodze i następnie je sprzedają za byle co z uprzężą i zarekwirowanemi wozami, czem naturalnie krzywdzą i drażnią ludność wiejską. Uprzedzeni o tem żandarmi gonią, odbierają, ale rzadko koń wraca do prawego właściciela. Wpadają także i kozacy, którzy pod Lidą przeszli na stronę wojsk polskich, tak nazwani „Bałachowcy”, zostawiają swoje wymęczone konie, a zabierają lepsze miejscowe.

22 lipca 1920 roku. Wobec coraz to trwożliwszych wieści od władz Kobrynia, raniutko opuszczamy Ateczyznę, udając się z taborami przez Żabinę, szosą janowską za Bug, gdzie niby ma być spokojniej i po 8-milowej drodze, przez kraj dziwnie pusty i jałowy, przebywszy most wiorstowy na Bugu, płynącym wśród wyjątkowo pięknej i malowniczej

doliny, wkraczamy w granice dawnej Kongresówki, której terytorjum ma jakoby być uszanowane przez zastępy bolszewickie wskutek nalegań koalicji. Nocleg w Pratulinie, majątności hr. Jakóba Potockiego, dzierżawionej przez p. Zaborowskiego, ale zniszczonej przez Niemców tak, że wozy i konie nocują pod gołym niebem, a my w szopie z sianem razem z miejscowymi fornalami. Ładny i schludnie utrzymany kościółek murowany, wzniesiony na miejsce drewnianego, niegdyś unickiego, był jakiś czas we władaniu popów, którzy nawet w ogrodzeniu cmentarza zostawili parę nagrobków z rosyjskimi napisami. Według opowiadań miejscowych, ludność unicka była w Pratulinie siłą wojskową do przyjmowania komunji prawosławnej zmuszana, z rozlewem krwi i ofiarami życia \*).

23 lipca 1920 r. Dojechaliśmy do Cieleśnicy, wspinałej posiadłości Rosenwerthów. Dom, raczej pałac piętrowy w stylu stanisławowskim, wśród parku, przypominającego Łazienki, właściciel znany i szeroko ceniony działacz społeczny, tudzież gospodarz intensywny. W majątku gorzelnia, rektyfikacja, młyn parowy, tartak, cegielnia itp. itp. Sama pani z doma ks. Światopełk-Mirska, rządna gospodyni, matka 4-ch tęgich chłopców, zastępująca w domu męża przy ciągłych jego wycieczkach, przyjęła nas po staropolsku, niechcąc słyszeć o jakichkolwiek rachunkach. Spotkałem tam Bryndzę-Nackiego, posła do Dumy, gdym w Radzie Państwa zasiadał.

27 lipca 1920 roku. Byłoby tu bardzo dobrze, gdyby nie wciąż coraz to więcej alarmujące wieści z frontu o zbliżaniu się bolszewików, zajęciu Grodna, Sokółki, tudzież o coraz to więcej zdemoralizowanym wojsku, dezercerującym całymi oddziałami, i dającym się coraz to więcej we znaki miejscowej ludności. Gospodarze nasi zaczynają się pakować, wypadnie i nam wyjeżdżać, niewiadomo tylko gdzie, do kogo, w jaką stronę, prawdziwi ludzie bezdomni.

30 lipca 1920 roku. Wyjechaliśmy z Cieleśnicy, via Biała, do Worońca Światopełk - Mirskich, po drodze nad-

---

\*) Pratulin, wieś w pow. konstantynowskim nad Bugiem, pamiętna krwawą rzezią, dokonaną przez władze rosyjskie dnia 24 stycznia 1874 r. przy nawracaniu przymusowem na prawosławie. p. w.

pędziliśmy stado państwowe, ewakuowane z Janowa; słońca najokropniejsza, która zniszczyła wszelkie nasze ruchomości, zabrane przez nas z Sawicz, przez Horwattową z Puzowa, i Kostrowicką z Mińska; straty nieobliczalne jedyne już naszego majątku. Wieczorem późno dobiliśmy do Worońska, pod dach gościnny ks. Mirskiej, z domu Fraget.)

31 lipca 1920 roku. Z Worońca, także w słońce przez Międzyrzec dojechaliśmy do Turowa, majątku Potocznego Andrzeja, dzierżawionego przez p. Bontemps, 1-go sierpnia stanęliśmy wcześniej w majątku Białce z opuszczonym wielkim domem, gdzieśmy dniówkę sobie założyli, chcąc podkuć zmęczone nasze konie.

3 sierpnia 1920 roku. Zatrzymaliśmy się na nocleg w Polecznicy pod Lubartowem u Chromińskich, gdzie nie tylko my, ale co w Królestwie rzadko się zdarza, i ludzie nasi nakarmieni i dopatrzeni zostali.

4-go sierpnia 1920 roku. Przez Lubartów i Lublin zapelniony, w słońce, wśród piorunów, stanęliśmy na nocleg w Wierzchowinach Koźmianów, rezydencji pańskiej i na stopie zamożnej prowadzonej.

5-go sierpnia 1920 roku. Po niedługiej wędrówce stanęliśmy z noclegiem w Fajslawicach Florkowskich, gdzie nazajutrz 6-go sierpnia byliśmy na Mszy w kościele, świeżo po zrujnowaniu odbudowanym, i gdzie gościnność gospodarzy nad wszelkie pochwały się okazała. Brat gospodarza był posłem z Wołynia do I-szej Dumy, tegoż dnia wieczorem po długiej i bardzo męczącej drodze bocznej w nocy dobiliśmy się do Bzowca, oczekiwani i witani przez kochaną i zącą naszą siostrzenicę Elizę Mogilnicką, gdzieśmy zamierzali odpocząć dłużej; niestety, w niedzielę 8 sierpnia przyjechał porucznik Rzychowski z oznajmieniem, iż Brześć jest zajęty, bolszewicy przeszli Bug w Świerzbie i zostało wydane przez starostę z Krasnego Stawu polecenie, aby ewakuować dwory. Pomimo przemęczonych koni i ludzi musieliśmy złożyć manatki i 9 sierpnia wyjechać z Bzowca przez Turowin do Chrzanowa, gdzie w budynku zarządu gminnego gościnnie przyjęci przez pisarza, spędziliśmy noc nie bardzo spokojnie, bo słyhać było ciągle tętent taborów wojennych, odstępujących z Rejowa do Janowa. Następnie zaś



wczesnym rankiem odbyła się rekwizycja koni, której o mało nie uległa para naszych koni, i wówczas dalsza nasza peregrynacja byłaby niemożliwa. Pisarz opowiadał nam, iż chłopci okropnie są zrażeni istniejącymi porządkami, od wojska uciekają i z upragnieniem oczekują powrotu władz rosyjskich, cośmy i sami z rozmów podróżnych mogli się domyślać.

10 sierpnia 1920 roku. Przez Janów stanęliśmy w Modliborzycach (zamku), majątku mego kolegi z Rady Państwa Konst. Przewłockiego, przyjęci gościnnie przez jego plenipotentą p. Kiwerskiego, gdzieśmy znowu dniówkę założyli. Następnie 12 sierpnia oparliśmy się o Gościeradów, majątek z zapisu Suchodolskiego, będący własnością Warsz. Tow. Dobroczyńności, gdzieśmy kilka dni zabawili dla podkucia koni, bardzo przemęczonych ciąglą drogą po szosie. Znaleźliśmy tam kilka już taborów uchodźców i wobec wciąż nadchodzących wieści o następowaniu bolszewików na Warszawę, zajmowania od południa linii Bugu i nacierania na Lwów, postanowiliśmy przejechać nakoniec Wisłę, pod Annopolem po jedynym w tych okolicach moście, zbudowanym nader misternie z drzewa przez Austriaków. Mieliśmy wielką obawę jak nam się to uda wobec natłoku uchodźców i rozmaitych taborów wojskowych, odstępujących za Wisłę, tymczasem znaleźliśmy się prawie sami na moście, mało turbowani przez straż wojskową, przejazd ten dozorującą. Przejeżdżaliśmy z uczuciem niepewności azali ta rzeka potrafi zatrzymać nawałę bolszewicką nie tylko na Polskę, ale i na całą Europę i odeprzeć ją tak daleko, abyśmy i my kiedyś na naszą Białoruś powrócić mogli; z drugiej strony, nie mając zapewnionego, ani wskazanego nigdzie miejsca pobytu, przejeżdżaliśmy z uczuciem dręczącej nas niepewności najbliższego jutra. O kilka wiorst za Wisłą stanęliśmy w majątku Linowie 18 sierpnia, własności spadkobierców fabrykanta znanych powszechnie pługów „Cichockiego”, tam, dowiedziawszy się, iż całe Opatowskie jest przepelnione oddziałami wojskowymi i uchodźcami, za poradą dziedzica p. Jana Cichockiego puściliśmy się brzegiem Wisły w kierunku południowym ku Sandomierzowi, przed którym zatrzymaliśmy się w majątku donacyjnym Mokoszynie, Paszczenko-Rozwadowskich, dzierzawionym przez kilka dziesiątków lat przez rodzinę Kamockich,

a obecnie przez rząd odebrany i oddany komisji rolnej dla parcelacji, gdzieśmy około tygodnia przesiedzieli. Żałowałem silnie, że nie było ze mną jakiej komisji sejmowej, któraby się mogła przekonać, co dają rozmaite koncepty agrarne przy ich urzeczywistnieniu. Pan Kamocki, herbu Jelita, ojciec zabitego pod Lwowem młodego, a znanego już autora, wykazywał rachunkami, co ten majątek 10-ciowlókowy przedniej sandomierskiej ziemi produkował; obecnie i  $\frac{1}{10}$  części tego nie dawał. Pola pocięte na parcele, słabo uprawione, zaperzone, nienawiezione, nie mogły nawet zapewnić utrzymania tym 15 koniom, które za sobą prowadziłem. Majątek bez płotów, budowle pod psem, niedające nawet ochrony przed deszczem; ogród owocowy w dzierżawie u żyda, który z jednego drzewa zdejmował owoce, a drugie ścinał dla zasilenia ogniska, słowem kompletne spustoszenie warsztatu, niegdyś produkcyjnego. Nie jest zadaniem mojem opracowywać monografię Sandomierza; wybitnie nosi piętno czasów piastowskich i przypomina położenie Wawelu. Zastanawiałem się więcej nad tem, czy nie wracają te czasy, gdy racja stanu wskazywała więcej troszczyć się o ratowanie państwa przed zachłannością germanizmu, o losy Śląska i Pomorza, niż nieść zadanie cywilizacji zachodniej na obszary litewsko-ruskie. A czy przemoże orientacja piastowska czy jagiellońska, stanowić ona będzie o losach kraju mojego podczas rokowań pokojowych, które właśnie w naszym Mińsku rozpoczęte zostały. Na wstępie samym w Mokoszynie spotkaliśmy pułkownika Mazowskiego ze sztabu 4-tej armji, który nam zwiastował pocieszającą wiadomość, iż najście bolszewickie powstrzymane pod Warszawą i ma nastąpić ofenzywa z naszej strony, którą kieruje przysłany z Paryża generał Weygand, co się zaraz sprawdzić miało, albowiem zaczęły do Sandomierza przychodzić krakowskie gazety z coraz to pomyślniejszemi komunikatami o cofaniu się bolszewików za Bug, o powrocie władz polskich do ewakuowanych powiatów lubelskich i udzieleniu uchodźcom pozwolenia prawa powrotu znowu za Wisłę, z czegośmy odrazu skorzystali i już 30-go sierpnia przez Linów, znowu w Annopolu Wisłę przejechali, w zamiarze powrotu do Bzowca, via Kraśnik, Straże. W przejeździe przez Studziankę, przypadkowo natknęliśmy

się na kochaną naszą sąsiadkę z Sawicz p. Skolimowską, od której zaczerpnąwszy języka, iż raptem generał bolszewicki Budienny, na czele kawalerji otoczył Zamość i grasuje w jego okolicy, postanowiliśmy zatrzymać się i stanęliśmy 1 września 1920 roku w majątku Wola Studziennicza, w zamiarze przeczekania ofenzywy pod Zamościem.

5 września 1920 roku. Zasmuceni głęboko zostaliśmy wiadomością o niespodziewanej i niczem niespowodowanej ofenzywie litewskiej w Suwalszczyźnie. Intryga to i robota niemiecko-bolszewicka. Doszła do nas wieść o zabiciu przez bolszewików młodego St. Rzuchowskiego, tego samego, który przed paru tygodniami zwiastował nam w Bzowcu rozporządzenie starosty o zarządzonej ewakuacji powiatu krasnostawskiego, jednak.

19 września 1920 roku. Wyjechaliśmy z Woli Studziańskiej i przez Turobin stanęliśmy wieczorem w Bzowcu pod dachem gościnnym siostrzenicy naszej Elizy Mogilnickiej.

6 października 1920 roku. Byłem dla załatwienia drobnych sprawunków w Zamościu, gdzie w kupionej gazecie wyczytałem o zajęciu przez legjony Klecka i Nieświeża, zatem stron moich rodzinnych. Błysnęła nadzieja powrotu do kraju, o ile naturalnie Mińsk i Słuck zajęte zostaną, bo przecież na samą linię frontu wyjeżdżać niepodobna.

10 października 1920 roku. Wiadomość o zajęciu Kojdanowa i Stańkowa, zatem wojska zbliżają się ku Mińskowi. Wielki cud Boży się dopełni, prędzej niżem się mógł spodziewać, bo wyjeżdżałem z domu w usposobieniu beznadziejnem.

---

## XI.

13 października 1920 roku. Dzisiaj zaczynam rok 74, nigdy jeszcze w tak smutnym nastroju dnia tego nie spędzałem; doszła wiadomość o podpisaniu w Rydze preliminarzy pokojowych, w których granica kresów wschodnich pozostawia w ręku bolszewików Mińsk, stolicę Białorusi!!! Okropna rzecz, Polska przekreśla całą swą kilkowiekową kulturalną pracę na wschodzie; misja nasza skończona, „murzyn może odejść”. Przez stokilkadziesiąt lat porozbiorowych przechowywaliśmy na Białorusi wiarę katolicką, ideę polską, tradycje narodowe, znosiliśmy prawa wyjątkowe, prześladowania, krwią określaliśmy granice 1772 roku, w ostatnich latach oddaliśmy wszystkich synów naszych do szeregów, plony ziemi naszej na potrzeby armji, a rozporządzalną gotówkę na pożyczkę państwową, a w ostatniej chwili w żądaniach pokojowych Polska wyrzekła się Mińska, gdzie tyle pracy naszej organizacyjnej poszło na marne, że przytoczę nasze Tow. Rolnicze, Ubezpieczenia Wzajemne, Towarzystwo Kredytowe Miejskie, Macierz, szkoły i szkoły. Czemu było tę całą trudną, żmudną, a tak narodową pracę naszą na marne puszczać, nie wskutek niepowodzeń wojennych, nie wskutek oporu wroga, a wskutek niezrozumienia całej ważności kresów naszych dla siły i wzrostu państwa, bo przecież komisja nasza pokojowa w Rydze nie „musiała ustąpić”, ale od samego początku, w założeniu „nie chciała żądać Mińska”. Wstyd nam będzie nawet oczy pokazać w kraju, żeśmy byli pionierami idei, nieuznanej przez samą metropolję, która się nas wyparła i ciężko za to odpokutuje. Polska traci nasze obszary, któreby przez kolonizację upust jej przeludnieniu dostarczyły, przepoławiając Białoruś, stwarza wieczną irredentę, jak gdyby przykład Galicji wschodniej nie był miarodajnym. Wieczna hańba tej komisji pokojowej, złożonej nie



z mężów stanu, a tylko według klucza partyjnego Sejmu wyłonionej, temu Sejmowi, któremu całą anarchję w Polsce, całe niepowodzenia wewnętrzne i zewnętrzne państwa przypisać należy, Sejmowi, który ledwo się zdobył na „quorum”, przy ratyfikowaniu traktatu wersalskiego, a miał ławy przepełnione przy sprawie koszenia potrawu koniczyny w Galicji... To jest nowy, czwarty rozbiór kraju, przez samą Polskę zaproponowany, wszak pierwszy, tak okrzyczany jako zbrodnia, rozbiór kraju nie odciął tyle od ciała Polski, ile obecna komisja w Rydze dobrowolnie bolszewikom oddała. Wszak ani razu Sejm Polski, pierwszy po rozbiórce kraju zebrany, nie odezwał się głosem wielkim [o prawa Polski do granic 1772 roku.] Nie tak rozumiała swe zadania Francja, która wciąż pamiętała o Alzacji i Lotaryngji i bez żadnych plebiscytów, o prawa swoje do tych ziem się dopominała.

14 października 1920 roku. Prędzej niż marzyć nawet można było, życie samo wykazało całą nieudolność kombinacyj ryzyk. Gazety przyniosły wiadomość o wzięciu Mińska przez oddział kozaków generała Bałachowicza, a Wilna przez korpus litewsko-białoruski generała Żeligowskiego. Pierwszy chce jakoby tworzyć „Białoruską Rzeczpospolitą”, drugi takąż samą „Środkowo-Litewską”, a niedołączny rząd i sejm nie wiedzą, co z temi fantami począć. Stracił „złoty róg” i niech się wieszają na sznurze. Jednocześnie strajk kolejowy przerywa dostarczenie wiadomości dziennikarskich.

20 października 1920 roku. Wiadomości sprawdzone twierdzą, że linja pokojowa przechodzi na wschód od Nieświeża, na pół drogi między Nieświeżem a Cimkowiczami, na pół drogi między Kleckiem i Cimkowiczami i skierowuje się do rzeki Łani, zatem gniazdo moje rodowe oddane w ręce bolszewików... Bóg tak chciał, gdzie ja głowę swoją położę, bezdomny, ze środkami niewystarczającymi dla dokończenia żywota w warunkach możliwego bytu?...

22 października 1920 roku. Muszę jechać do Warszawy, wezwany opóźnioną o dwa dni depeszą Romana Skirmuntta; nie wiem co możemy jeszcze zrobić, ale „kiedyś grzyb, leż do kosza”. Wysyłam do Sawicz pojutrze rządęcę swego Zmitruka, aby mieć dokładną wiadomość co się u nas dzieje.

23 października 1920 roku. Zdobywając szturmem miejsca w wagonie, przeplacając tragarzy, dorożki i t. p. udało się wieczorem przez stację „Ruskie Piaski”, dostać się do Warszawy. Wjeżdżałem koło godziny 7 wieczorem; uderzył mnie widok pustych prawie ulic, nawet w największej ruchliwych częściach miasta, co przy słabym oświetleniu gazowym, robiło wrażenie martwego miasta, pomimo przeludnienia, którego dowodem niemożność zdobycia pokoju, bądź w hotelach, bądź w prywatnych domach. Widocznie przebyte oblężenie bolszewickie i okropna drożyzna wycisnęły swe piętno nawet w płochym syrenim grodzie; okna cukierni i modnych restauracyj nie świeciły też przepelnieniem gości.

24 października 1920 roku. Trafiłem na wielkie zebranie Związku Polaków z kresów białoruskich. Dowiedziałem się tam, że „Sejm Suwerenny” jednogłośnie potwierdził haniebne warunki rozejmowe w Rydze; nie było tam ani jednego Reytana, któryby zaprotestował przeciwko czwartemu podziałowi kraju. I co mamy teraz począć, ziemianie polscy na Białorusi? Idea polska, której tam byliśmy pionierami, zbankrutowała, bo sama Polska kresów się wyrzekła. Białorusini nas nie przyjmą, bośmy sami narzekając przez lat tyle na podział kraju między 3-ch sąsiadów, teraz, bez zapytania Białorusinów kraj ich przepołowili. Sala była przepelniona po brzegi, pewno zebrało się było 500—600 osób. Wszystko się tłoczyło, a twarz każda wymęczona, beznadziejna, pełna poczucia krzywdy doznanej. Pomimo opierania się, wezwany przez aklamację, musiałem przydować i w przemówieniu podniosłem różnicę nastroju, który w zebraniu wyczuwałem przed rokiem, kiedy nieraz podkreślał niedorastający do swych zadań poziom orjentacji sejmu i rządu, co zwykle wywoływało szmer protestu w zebraniu, a obecnie, gdy musząc łagodzić objawy oburzenia i zgrozy, pocieszając, że gdy w Sejmie usłyszymy nie głos partji, nie głos jednej tylko klasy społecznej, a głos narodu, nie może być, aby się nie obudziło serce Polski i jej sumienie i za kresami nie przemówiło. Gwoździem zebrania było sprawozdanie Mirosława Obiezińskiego, delegowanego, dzięki zabiegom naszych organizacyj kresowych, przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych do Rygi jako rzeczoznawcy spraw białoruskich. Sprawozdawca

publicznie, nie lękając się zaprzeczenia, dowodził, że Joffe ustępował chętnie kresy po Dniepr i Dźwinę, ale St. Grabski, który poza plecami delegacji wszelkie pertraktacje z Joffem prowadził, wyraził się, „że trzeba raz Polsce pozbyć się tego wrzodu białoruskiego” i zadowolnił się linią obecnego rozjemcu, zostawiającą Mińsk bolszewikom i dążącą koło Nieświeża, na pół drogi między Nieświeżem a Cimkowiczami do rzeki Łani, a z nią do Prypeci. Rzeczoznawcy, w ich liczbie i wojskowy generał Kuliński, nie byli prawie powoływani do opinjowania, a wice-minister Dąbski, jak złośliwi mówią, zresztą pewnie niesłusznie, tylko próbował podpisywać rozmaitemi piórami, aby nabyć wprawę wykrętasów przy podpisaniu ostatecznego dokumentu. Sejmowi chodziło tylko o to, aby każda partja miała w delegacji swego przedstawiciela, a czy to będą ludzie politycznie i dyplomatycznie uzdolnieni, nikt się nie potroszczył. Temi zaletami górowała delegacja bolszewicka, z Talleyrandem-Joffem na czele. Po przemówieniu Obiezińskiego była przyjęta przez ogólne zebranie rezolucja, dająca wyraz oburzenia ludności kresowej, [wyzykiwanej przez cały okres porozbiorowy na korzyść sprawy odrodzenia Polski, a w chwili decydującej przez tę Polskę zaprzędanej]. Rezolucja ta, prawdopodobnie pozostanie tylko w aktach, albowiem fakt znamieny, żadne pismo warszawskie nie chce teraz pisać o kresach — tak, jak się nie chce wspominać o krzywdzie bliźniemu zadanej. Przemawiał jeszcze R. Skirmuntt, ilustrując nastroje w miejscowościach, z których bolszewicy ustąpili i których ludność pod świeżem jeszcze wrażeniem przebytej trwogi, pewnieby chętnie w stronę polską się orjentowała. Zebranie przetrwało w tej ciężkiej atmosferze od godziny 5 do 10 wieczór i rozeszło się, polecając prezydjum organizacyj kresowych dalszą troskę o swych sprawach. Zapewne w innym nastroju wysłuchało zebranie w Kremlu sprawozdania Joffego, w którym się chwalił, że więcej otrzymał w Rydze niż zamierzał, iż nakoniec Polska wyrzekła się idei jagiellońskiej i pierwszy sejm wolnej Polski zatwierdził rozbiór kraju, przeciwko któremu naród przez zgórą sto lat oponował.

Wskutek uchwały tego zebrania miały miejsce długie narady, odbyte u prezesa Kieniewicza, ostatnia z udziałem

Wł. Raczkiewicza, naczelnika „terenów przyfrontowych i etapowych”, mianowanego świeżo z tym tytułem, na miejsce Osmałowskiego, wielkorządcy „Ziem Wschodnich”, który tam dobrej pamięci ani jako administrator, ani jako organizator, nie zostawił. Przeciwnie, zaś Wł. Raczkiewicz dał dowód wielkiej sprężystości i wielkiej miłości kraju, powierzonego swej pieczy. Atrybucje władzy tak jednego, jak i drugiego, tem się jednak zasadniczo różniły, iż Osmałowski zależny był tylko od Naczelnego Wodza w osobie Piłsudskiego, wówczas gdy Raczkiewicz był poddany władzy ministra spraw wewnętrznych Skulskiego, zatem od rządu i przez to samo od sejmu zależnym się stawał, co nietyle było ważne w stosunku osobistym, ale że przesądzało po części stosunek zależności państwowej zarządzanych terenów. Albowiem i w nastrojach sejmowych i społecznych w Kongresówce i w samej orjentacji kresowej wciąż kołatały się dwie koncepcje, o których nieraz wspominałem: [orientacja aneksji], której hołdowały powiaty pograniczne grodzieńskie, tudzież przeważna część gubernji wileńskiej i orientacja unji (lub szerokiej autonomji), której hołdowała cała Białoruś. W Warszawie, trzeba dodać, krążyły rozmaite wersje, następnie niepotwierdzone, iż podobnie, jak Żeligowski Wilno, niby buntowniczo, a w gruncie rzeczy z błogosławieństwem i pomocą rządu, tak samo gen. Bałachowicz zajął już Mińsk i Białoruś, i takową samostanowiącą o sobie, proklamować będzie. Już nawet tam rząd tymczasowy miano utworzyć w osobach: mojej, R. Skirmuntta, Jerzego Czapskiego i Olgierda Świdy, co naturalnie było wierutnym fałszem, albowiem Bałachowicz znajdował się między Pińskiem a Mozyrzem, a w Mińsku bolszewicy, po podpisaniu rozejmu, rozstrzelali 140 osób, których nazwiska były podane Raczkiewiczowi i co było pierwszym rezultatem ryskiej linii rozejmowej. Oprócz tego w Warszawie, pod egidą hr. Władysława Tyszkiewicza, a z inicjatywy Sawinkowa, Mereżkowskiego, Filosofowa i innych, powstało towarzystwo rosyjsko-polskie, będące w kontakcie z generałem Wranglem, nieuznające Białorusi i wobec bezpośredniej granicy rosyjsko-polskiej, dążące przy orientacji wogóle lewicowej do wytworzenia pewnego „modus vivendi” między temi narodowościami. Koniecznem się



zatem stawało nakreślenie pewnej „ligne de conduite” dla społeczeństwa kresowego, pozostawionego poza nawiasem przez traktat ryski, tem więcej, iż i Białorusini od niego się usuwali, zrażeni do Polski podpisaniem linii rozejmowej, tworzącej rozdział Białorusi. Po długich i wyczerpujących debatach postanowiliśmy „trzymać się koncepcji granic 1772 r., z małemi chyba odstępstwami, i w tych granicach, ziemiom dawnego W. K. Litewskiego, przyznać bardzo szeroką autonomję”. Tę koncepcję wszelkiemi siłami mieliśmy przeprowadzać w sferach społecznych i rządowych, jak kto umie i może. W tej myśli poszedłem do Belwederu zapisać się na audjencję do Naczelnika Państwa i w ministerjum spraw zagranicznych u wice-ministra Erazma Piltza, jako jednego z najwięcej wpływowych działaczy ministerstwa. Miałem przed odjazdem tylko parę dni czasu; czy dlatego, iż Piłsudski gdzieś wyjeżdżał, czy dlatego, że nie chciał może powtórzenia mojej bytności, ale wezwanie do Belwederu nie nadeszło. Zamiast tego miałem trzygodzinną rozprawę z Piltzem, którego znałem oddawna z czasów jeszcze redakcji „Kraju” i profesora Spasowicza, a z którym rozmaitemi czasy, ostatni raz bodaj na Lido się spotkałem. Chodziło obecnie głównie o to, aby poczynić możliwe zmiany na lepsze w linii granicznej, już obecnie przy jej przeprowadzaniu na miejscu, a następnie przy podpisaniu stałego pokoju, dla czego uważaliśmy za rzecz konieczną, aby były powoływane komisje z miejscowych ziemian przy wytykaniu granicy, a następnie, przy zawarciu pokoju, aby byli powołani do składu delegacji pokojowej przedstawiciele organizacji kresowych, z prawem głosu. Piltz po wysłuchaniu wszelkich wyjaśnień, które streściłem w dodatku piśmiennie w krótkim memorjale, zapewnił, iż uznaje najzupełniej słuszność mych żądań i wszystko uczyni, co tylko w jego mocy, aby pomyślne rozwiązanie tej sprawy zapewnić, ale, ponieważ wyjeżdżam, więc prosi, abym wskazał kogoś, do którego by się mógł zwracać po informacje. Wskazałem mu Obiezińskiego, jako delegata naszego w Rydze i prezesa, w swoim czasie, Towarzystwa Polsko-Białoruskiego. Z tem nazajutrz rano wyjechałem z Warszawy do Bzowca, gdzie miałem wyczekiwać wiadomości z domu od rządcy, którego tam wysłałem. Dodać dla ścisłości wypadu, że akcja doraźnej

zmiany granic na południo-zachód od Mińska, już z kilku źródeł zapoczątkowana została. Ordynacja nieświeska przedstawiła do Ministra Spraw Zewnętrznych Sapiehy, poparty planami i dokumentami, projekt linii granicznej od Mińska, po rzece Ptyczy na południe, za Prypeć, coby obejmowało wszystkie ziemie ordynacji nieświeskiej i dawidgrodeckiej, obecnie linją rozejmową rozdzielone, bo zamek w Nieświeżu pozostawał przy Polsce, a dziesiątki tysięcy dziesięcin odchodziły do bolszewików. Drugi projekt granicy od rzeki Ptyczy ku rzece Słuczy, z mapą, podany był przez Raczkiewicza min. Skulskiemu, a w kopji złożony był przezemnie Piltzowi, w którym się wskazuje, iż wszelkie zaścianki szlacheckie, które dały masę ochotników do wojska polskiego, tak w okolicach ihumeńsko-mińskich jak i słuckich, byłyby tą linją objęte i na zemstę bolszewicką nie narażone, co szczególnie musi być podkreślone po wiadomych egzekucjach mińskich. Potrzebie, granica ryska idzie prawie wyłącznie lądem, co wymaga koło 100 ludzi na wiorstę, wówczas gdy granica biegiem rzeki zadawalnia się jakoby 10 ludźmi straży granicznej na wiorstę. Przytem Raczkiewicz zwraca uwagę, iż linja Słuczy daje ze 250.000 dziesięcin ziemi, należącej do Agarkowa i innych ruskich nowych nabywców, zdatnej na kolonizację dla żołnierza polskiego. Może więc Bóg pozwoli, że rodzinne moje Sawicze i Puzow w granicach Rzeczypospolitej się znajdują. Tymczasem doszła do mnie wiadomość, że dom mój w Mińsku ma dach i górne piętro zniszone wybuchem; w Sawiczach gorzelnia spalona, ludzie zaufania rozpędzeni i gospodarstwo zniszczone. Wątpię, czy w najpomyślniejszych warunkach starczy mnie sił i środków na doprowadzenie do porządku.

30 października 1920 roku. Podczas pobytu mego w Warszawie była wielka demonstracja: procesja po ulicach ze sztandarami i napisami: wiwat senat! Wilno nasze! Wilno, Mińsk i Kamieniec Podolski muszą być nasze! Tego ostatniego napisu, kurjerki nie podały, bo kresy nie w modzie.

2 listopada 1920 roku. Nabożeństwo żałobne na cmentarzu w Chłaniewie w kaplicy Mogilnickich, mróz 10<sup>o</sup> z wiatrem. Dodać do uprzedniego sprawozdania muszę,

że podczas mojej bytności w Warszawie, przybyła tam deputacja z drobnej własności i mieszczan mińskich złożona z petycją do Piłsudskiego, o włączenie Mińska do linii rozejmowej. Otrzymać mieli audjencję za powrotem Piłsudskiego, który właśnie wyjeżdżał na front południowy dla spotkania się jakoby z Petlurą, po rozbiciu Wrangla przez bolszewików. Miała delegacja tę prośbę, przez nich samych zredagowaną, bardzo dobitnie popierać, najciężej było dla serca polskiego usłyszeć z ich ust skargę: „a my, panoczku, tym Polakom tak wierzyli...” Opowiadali oni o aresztowaniu w Wilnie hr. Ant. Tyszkiewicza i wywiezieniu go przed oddaniem Wilna w ręce Litwinów, przez bolszewików do Mińska, gdzie był trzymany w piwnicy domu siostry mojej Kostrowickiej. Cały ten dom był na potrzeby głównej „czrezwyczajki” zajęty. Gdy z Wilna przyjechała deputacja robotników, żądając uwolnienia Tyszkiewicza, deputację wtrącono do lochu, a Tyszkiewicza wywieziono wgłąb Rosji. Liczbę wyroków śmierci w Mińsku podają na 2.000 osób.

6 listopada 1920 r. W otrzymanym dzisiaj kurjerku szczegóły porażki Wrangla przez bolszewików, wzmocnionych oddziałami, które dzięki rozejmowi ryskiemu uwolniły się z frontu białoruskiego i na południe poszły. Teraz, pobiwszy Wrangla, pójdą znowu na Polskę i powtórzy się historia 7-mioletniej wojny, gdy Fryderyk bił pokolei każdego ze sprzymierzonych, bo ci nigdy na wspólną akcję zdobyć się nie mogli.

7 listopada 1920 r. Byłem wczoraj w Suchrowie, majątku, należącym do Cieszkowskiego, syna Augusta. Pałac w stylu empire, z freskami na ścianach i sufitach. Depesze generała Bałachowicza i Sawinkowa do Piłsudskiego, uświadamiające o walce z bolszewikami o „niezależną Białoruś”, tudzież odezwy Lenina i Trockiego, grożące nową wojną bolszewików z Polską. Wszystko to świadczy, że rozwiązanie całego światowego chaosu, jeszcze tak prędko nie nastąpi i niewiadomo, gdzie głowy nasze złożyć wypadnie.

16 listopada 1920 r. Porażka Wrangla kompletna. Teraz wojska sowieckie będą mogły pobić Petlurę i Bałachowicza i następnie całe siły przerzucić na front polski, z czym się nie tają, i w Rydze już Joffe innym językiem przemawia

do wysłanej tam delegacji pokojowej polskiej. W Warszawie zabawiają tłumy ceremonją wręczenia buławy marszałkowskiej Piłsudskiemu. Już to nikt tak, jak Warszawa nie umie „demonstrować”, „manifestować”, a tu „Hannibal ante portas”. Piłsudski, przez endecję nieaprobowany, szukając oparcia, widocznie coraz to więcej ku lewicy się przychyła. Sejm burzliwymi burdami coraz to więcej się dyskredytuje i z „Senatu” chce uczynić powolne sobie narzędzie przez system wyborczy.

18 listopada 1920 roku. Wobec potwierdzenia hiobowej wiadomości o stratach w Sawiczach i Puzowie i doniesień w dziennikach o ustępowaniu wojsk polskich okupacyjnych na linię rozejmową, postanowiłem pojechać na miejsce w zamiarze, czy nie uda się jeszcze co wyrwać z domu, coby spieniężone dało środki do życia. Jadę do Krasnegostawu po przepustkę komisarjatu, czyli starosty.

20 listopada 1920 roku. Jadę do Zamościa, aby zaszcześcić tam tyfus i cholere; bez świadectwa o tem doktora powiatowego bowiem nie wydają biletu kolejowego.

27 listopada 1920 roku. Wyjechawszy z Bzowca 23 listopada, ledwo 26 stanąłem w Sawiczach. Jadąc z Nieświeża o kilka wiorst od domu spotkałem 2-ch ułanów, jadących z Cimkowicz, którzy mnie wstrzymali od dalszej jazdy, albowiem już ostatnie wojska polskie przeszły przez Cimkowicze i ostatnie władze polskie je opuściły, zatem cały pas kraju oddany bolszewikom i w tę strefę „pól dzikich” wchodziły i Sawicze. Ale zrobiwszy tyle drogi, tyle się namęczywszy, cofać się o kilka wiorst przed domem, wydało się mi niemożliwym, tem więcej, iż, zostawiwszy w Sawiczach gotową trumnę dla siebie, a mając na polach sawickich kurhan nasz grobowy, wciąż myślałem, iż sądzono mi tu przyjechać i tu głowę położyć. Sądzono było inaczej, widocznie jeszcze nie nadeszła pora. Z Sawicz już mój rządca Zmitruk był wyjechał do Puzowa, który jakoby ma pozostać po polskiej stronie. Zabawiłem tylko trzy godziny, zajrzałem do pałacu, zrujnowanego wewnątrz, zabrukanego pobylem bolszewików, a jeszcze więcej pobylem ciąglým zajeżdżających i nocujących żołnierzy polskich, jakie były resztki mebli i te połamane, ani jednego materaca, ani jednego sprzętu w całości. Poszedłem szukać ukrytego jeszcze srebra i innych kosztow-



ności, nic nie znalazłem. Zakopane w piwnicy trunki wydo-  
byte, okna potłuczone. Ludzie, którzy przysli mnie powitać,  
wystraszeni, niepewni, co jutro im przyniesie. Nastrój wogóle  
mniej wyraźny, niż kiedy przed rokiem witali mnie po pierw-  
szym bolszewizmie. Wielu zmarło od tyfusu przez te 5 mie-  
sięcy. Gorzelnia stała spalona. Ciężkie było uczucie wracać  
w progi domowe, nie jako dziedzic, ale jako złodziej, myślący  
tylko o tem, czy nie udałoby się jeszcze czego zabrać, coś  
uratować przed groźnym jutrem. Zabawiłem tylko trzy godziny  
i z powrotem ruszyłem do zamku do Nieświeża, spotykając  
po drodze szeregi fur chłopskich, wiozących w nocy z moich  
lasów najpiękniejsze dęby i sosny, które kilka pokoleń hodo-  
wało, a ja musiałem się odwracać w drugą stronę, niby nie  
widząc, albowiem ukrócić nadużycia nie było żadnego sposobu.

Starosta naznaczony do Nieświeża od 2-ch już miesięcy,  
dotychczas nie raczył przyjechać. Brak wszelkiej władzy,  
wszelkiego porządku. Już zaczęły się tworzyć bandy, rabujące  
bezkarnie wszelki dobytek. Wojska polskie wycofały się ku  
zachodowi, zostawiwszy w Nieświeżu i Klecku, zatem o wiorst  
10—20 od linii rozejmowej, dwa szwadrony ułanów wielko-  
polskich, co pozwala bolszewikom grasować bezkarnie w tej  
strefie. Nim wyjechałem z Nieświeża, dowiedziałem się, że  
w Puzowie schwycono parę koni i zabrano zboże ze śpichrza,  
wprawdzie to byli Polacy, ale od tego mnie lżej nie było,  
bo to były resztki ziarna, a karm dla inwentarza już tam  
dawno był zabrany. W Słucku spalono gimnazjum realne, że  
niby tam zły duch panował i sporą część miasta, między  
innemi dom Towarzystwa Dobroczyńności z tem skrzydłem,  
które wybudowałem dla uczczenia pamięci syna mego i t. p.  
W Bobowni też dom spaliły władze wojenne polskie przez  
karygodną nieostrożność. Masę zażaleń wszędzie się spoty-  
kało po drodze za rekwizycje i branie wszystkiego na kwity,  
z którymi ludność rzucała się na wszystkie strony, nie znaj-  
dując już oddziałów, które już Bóg wie gdzie się wybrały.  
Z Nieświeża końmi ruszyłem do Baranowicz, przejeżdżając  
przez miejscowości, będące do niedawna terenem walki  
rosyjsko-niemieckiej. Na polach mogiły poległych, okopy,  
druty, przejeżdżałem przez miejscowość, na której stało mia-  
steczko Darew i nikt by nie dał wiary, że tam cokolwiek

istniało, została tylko poorana pociskami ziemia, a miejscami już porosły brzoźki, przez wiatr zasiane. W Baranowiczach ledwo wcisnąłem się do „ciepluszki”, wagonu towarowego, pełnego brudu i rozpasanego żołnierstwa, jadącego na urlopy i wysiadłem w Żabince, aby zjechać do siostrzeńca mojego Bielskiego w Ateczyźnie, u którego zabawiwszy prawie tydzień i wstąpiwszy do drugiego siostrzana, też Bielskiego, w Hrubieszowskim, w Trzeszczanach, wróciłem 12 grudnia 1920 roku do Bzowca. Po drodze w Brześciu spotkałem ludzi, wysłanych przez moich sąsiadów, będących w polskim kordonie, po ich konie, jeszcze pozostałe w Kongresówce. Ludzie ci byli telegraficznie cofnięci z powrotem; widocznie coś zaszło takiego na linii rozejmowej, iż nastąpiła obawa sprowadzania dobytku na miejsce.

17 grudnia 1920 roku. Otrzymałem list z Nieświeża, donoszący, iż jakoby i Sawicze wejdą w granice Rzeczypospolitej, więc wielką to mnie natchnęło otuchą, choć być może byłyby to tylko granice chwilowe, dające możliwość wyciągnięcia czegokolwiek z majątku, a nie stałe, albowiem widoczna jest chęć bolszewików przeciągania rokowań w Rydze, aby mieć czas dla uformowania nowych armij, które mają ruszyć na Polskę. U nas zaś tylko myślą o demobilizacji, jak gdyby pokój był zapewniony na wieki. Już i obecnie wojsko bolszewickie, pobiwszy oddziały białoruskie pod Wyzną i Siemieżowem, zapędziły się daleko za linię rozejmową, bo aż za Puzow, pod Jodczyce, napędziwszy dużo popłochu w okolicy. Wszystko to dzięki temu, że wojska nasze nie stoją na linii rozejmowej, a o kilkanaście wiorst na zachód. Taka bezkarność bolszewików daje przekonanie ludności miejscowej o ich władzy i potędze.

22 grudnia 1920 r. Rocznicą śmierci ojca. Chyba pierwszy raz w życiu nie byłem w ten dzień na Mszy. Doszła wiadomość przez gazety, iż Dąbski w Rydze interpelował nawet Joffego w sprawie zrabowania dworów w Smoliczach i Pałowkowiczach, tudzież obsadzenia Puzowa. Zatem to wszystko, co jeszcze z ruchomości, bydła, koni i ziarna przewiozłem z Sawicz do Puzowa, jako leżącego bezsprzecznie na polskiej stronie linii rozejmowej, wpadło w ręce bolszewików, którzy już nie potrzebowali szukać po zakątkach, bo

wszystko w jednym miejscu zgromadzone znaleźli. Byleby tylko mój rządca, poczciwy Zmitruk w porę umknął. Siostra Kostrowicka wróciła z Warszawy, mówią tam wciąż o spodziewanej wojnie na wiosnę, ale gotują się tam więcej do nocy sylwestrowej, niż do zabezpieczenia granic wschodnich.

23 grudnia 1920 roku. List od Mirosława Obiezińskiego. Píše, że wysłani przez Związek Obrony Mienia Polaków poszkodowanych na terytorjum Rosji mecenas Poniwicki i Wawelberg (Bank), jako rzeczoznawcy, dotychczas przez Dąbskiego zapytywani nie byli. Sam zaś Obieziński pomimo zapewnień, iż będzie wezwany w chwili stanowczej do Rygi, wzywany nie był i ma wrażenie, iż nie będzie, bo delegacja pokojowa wyjechała z przesądzoną najzupełniej sprawą kresów wschodnich.

2 stycznia 1921 roku. Otrzymałem list od rządcy mego z Puzowa, iż banda z 50 bolszewików złożona, wpadła do Puzowa 21 grudnia i aresztowała mnóstwo ludzi, między innymi i jego, ale potem, widocznie rozpatrzywszy, że Puzów leży na polskiej stronie, wypuściła aresztowanych. Sawicze, pomimo różnych sprzecznych komentarzy, faktycznie są po stronie bolszewickiej i przez nich obsadzone i rządzone.

20 stycznia 1921 roku. Miałem list od członka urzędu starościńskiego z Nieświeża, potwierdzający wiadomość o tych wszystkich nadużyciach bolszewickich, rabunkach przekraczaniach granicy i t. p. Wszystko to jest wiadomem w starostwie, które wciąż to donosi do władz centralnych i wojskowych, ale nikt na to nie reaguje. Widocznie siły niema egzekucyjnej, więc wolą udawać, że nie wiedzą. Już to na każdym kroku widoczna nieudolność rządu i schlebianie tym, których się obawiają, lub z którymi liczyć się potrzebują. Mieszkam w majątku Bzowcu, gmina Rudnik, powiat krasnostawski i przypatruję się skutkom projektów agrarnych, przez Sejm zawotowanych. Z Bzowca szwagier mój, ś. p. Mogilnicki, sprzedawał zgórą 30 wagonów pszenicy, teraz w skutku zaszłych wypadków wojennych, strajków, niepewności praw władania wobec określonego „maximum”, nakładów nikt nie robi, budynków nie wznosi, ani restauruje, bo kiedy urząd ziemski zostawi tylko 300 hektarów, to i tych połowa okaże się zbyteczna. Cóż więc dziwnego, że bułeczki drogie w War-

szawie i że marka spadła, kiedy pszeniczka zamiast iść do Gdańska i otrzymać tam markę niemiecką lub funt szterling angielski, musi oczekiwać okrętu z Ameryki i płacić dolarem, za który 850 marek, według kursu dzisiejszego, zapłacić trzeba. Gdyby zaradzić złemu, nikt nic innego nie wymyśli, ponadto że trzeba podnieść produkcję, a produkcję podnieść może tylko energja i inicjatywa prywatna, upewniona prawami, zabezpieczającemi własność i wolność rozporządzania tą własnością. Czy może właściciel irygować łąki, drenować pola, zalesić pustki, kiedy musi się oglądać, czy ziemski komitet gminny, z samych włościan złożony, nie zechce jego własności przedstawić właśnie do parcelacji. Czy mogą powstawać nowe domy w mieście, kiedy właściciel nie ma pewności, czy jemu samemu wolno tam będzie mieszkać, a dom nie pójdzie pod rekwizycję na urzędy lub mieszkania dla wojskowych, a ewentualnie, kiedy nie on sam ma prawo wyciągania procentów od własnego kapitału, ale to określi związek lokatorów? Uprzedzając możliwe ewentualności, siostrzenica moja z majątku w najpiękniejszej ziemi, ogółem zgórą 95 włók, oddała przez „Związek Ziemian” na parcelację 45 włók. Zdawałoby się w tych warunkach, sprawa bezrolnych i małorolnych, już w tej okolicy, powinna byłaby być rozstrzygnięta, przynajmniej na okres tego jednego pokolenia. Fornale wszyscy zapisali się jako kontrahenci i pownosili zadatki, ziemia została objęta przez nowych gospodarzy i liczba służby folwarcznej na obszarze tych 95 włók powinny się zmniejszyć o połowę. Tymczasem fornale z mieszkań, pomimo wyroków sądowych nie ustępują i, otrzymawszy wskazówki od swych związków zawodowych, kartek zwolnienia, wydawanych na rok nowy, nie przyjmują, bo widzą, że nie będą w możności utrzymać się tak na nabytej ziemi, jak u „burżuja” dziedzica. W dodatku ci bezrolni, jak i większość małorolnych, wyzyskują tylko przywilej, przez prawo agrarne otrzymane. Oni są fikcyjnymi nabywcami, pobierającymi duże komisowe od bogatych miejscowych gospodarzy, którzy poza ich plecami kupują te parcele albo też od fernali wydzierżawiają, naturalnie prowadzą na tych parcelach rabunkowe gospodarstwo, niszczą i eksploatują do niemożliwości, ściągając wszystko na swe ojczyście zagrody, tak że z czasem te odprzedane



45 włók istną pustką się okażą i produkcja krajowa z tego źródła nigdy się nie podniesie. Bo jeżeli się kto zechce powoływać na prawo, zabraniające aljenacji nabytych parceli, przez pewien okres czasu, to niech zjedzie na prowincję i nauczy, jak to prawo się obchodzi. Naturalnie z wielkimi trudnościami dekret sądowy, wysiedlający fernali, będzie dokonany, ale jakież rezultaty? Kontyngens bezrolnych tylko w ten sposób nowym proletarjatem się powiększy, a co do produkcji, to wczoraj czytałem sprawozdanie z powiatu grójeckiego, w którym kontyngens dostarczył metr zboża z 5 morgów większej własności, oto zwiększenie produkcji krajowej!!! To samo ma miejsce i z gospodarstwem leśnym, przyjeżdżał przy mnie taki „jegomość od lasów”, pomimo, że włościanie w Bzowcu otrzymali spory i piękny kawał lasu za serwituty, wyznaczył pewną ilość budulcu i opału z lasu dworskiego, za ledwie opędzającego swe potrzeby i potrzeby służby dworskiej. Spotykało się wkrótce furmanki włościańskie, wiozące drzewo do sąsiednich miasteczek na pasek: „nie będzie nas, ale, czy będzie las?”, przy takich porządkach.

22 stycznia 1921 r. Te kilka dni spędziłem w Warszawie, dokąd się udałem w sprawie mej siostrzenicy p. Weyherowej z p. Arturem Dobieckim z powodu kupna-sprzedazy majątku „Kossewo”. Warszawę znalazłem całą przejętą sprawą plebiscytu na Górnym Śląsku: kwestują, koncertują, tańczą, wiecują na rzecz Śląska. Wszystko inne na stronę, o biednych naszych kresach wschodnich nawet wspomnieć nie wolno. Jeżeli uprzednio już nie byliśmy w modzie, to teraz jesteśmy „niepoprawnymi natrętami”. Ponieważ ordynat nieświeski wciąż bawi w Nizy, a w umowie rodzinnej ordynacja przejść miała po jego zejściu na ks. Karola, nastąpił na tego, aby starał się ratować Nieśwież. Ks. Karol zaznaczył, że nie myśli pretendować o Nieśwież, ponieważ ma ustąpić ordynację nieświeską najmłodszemu bratu ks. Leonowi, dotychczas jedynemu z braci, mającemu syna. Jednak zwróciłem mu uwagę, iż, aby coś ustępować, trzeba w pierw samemu posiadać i że granice ku wschodowi można przesunąć i całą ordynację nieświeską w granicach polskich zostawić, na tej zasadzie, że masa zaścianków katolickich, szlacheckich znajduje się tuż poza linią projektowaną w Rydze i że ta linja, prowadzona mie-

dzami, drożkami, jest linią lądową, dla utrzymania kordonu granicznego, najmniej 80-ciu ludzi na wiorstę wymagającą, wówczas gdy przesunięta nawet niewiele na wschód, choćby do górnej Ptyczy, po Słuczy, słowem rzekami już tylko 8-ciu ludzi na wiorstę wymagać będzie i pod względem strategicznym pewne kombinacje frontowe już zaspokoi. Nie wysuwając więc wcale nie będących na dobie aspiracyj ordynackich, należy pracować w sferach miarodajnych, wojując wyżej wymienionemi argumentami. Trafiło to do przekonania ks. Karolowi i przyrzekł przedstawić te poglądy szefowi generalnego sztabu, generałowi Rozwadowskiemu i u niego wyjednać depeszę do Dąbskiego do Rygi, aby w tym kierunku oddziaływał na Joffego, co nie powinno być nawet przedstawić żadnych niepokonanych trudności, albowiem z Rygi wciąż nadchodziły sprawozdania, iż bolszewicy wciąż się targują, aby co najmniej dać złota z byłego zasobu banku państwa, a wzamian gotowi ustąpić ziem białoruskich, na co, ku hańbie delegacji pokojowej polskiej zaznaczyć należy, ta ostatnia mało jest skłonna. Nazajutrz z powodu 25-cioletniej rocznicy ślubu p.p. Stanisławostwa Horwattów i Hieronimostwa Kieniewiczów, zostałem zaproszony przez tego ostatniego na obiad i od gospodarza, jako prezesa organizacyj naszych polskich z Białorusi, dowiedziałem się, iż pomimo wszelkich starań i zabiegów nie udało się wyjednać u ministra spraw zagranicznych ks. Sapięhy delegowania przedstawicieli z Białorusi do Rygi, chociażby w charakterze rzeczoznawców, wówczas gdy kresy ukraińskie i litewskie takich przedstawicieli swych interesów posiadały. Jeździli do Rygi wprawdzie Tytus Ponikwicki, mecenas z Mińska, i p. Wawelberg, ale jako przedstawiciele związku „obrony mienia Polaków poszkodowanych na terytorjum Rosji”, na czele którego stoi znany mecenas Al. Lednicki, ale ci przez nikogo niewzywani, niepytani, wrócili z niczem z Rygi, co tak zniechęciło prezydjum związków naszych, iż żadnych już więcej kroków czynić nie zamierzali. Ale mnie to w najwyższym stopniu oburzało, iż obecnie kiedy Liga Narodów wzywa nie wiem kogo: gruzinów, kałmyków, bodaj zulusów i hotentotów do samookreślenia swej narodowości i przynależności państwowej, jedynie Białoruś miała być pominięta i samowolnie w Rydze poćwiartowana,

wówczas gdy kilkomiljonowa ludność polska w niej ciąży ku Polsce, a białoruska dopomina się wciąż pozostania w całości swych granic i prawa wypowiedzenia się bądź ku wschodowi, bądź ku zachodowi, ale zawsze niepodzielnie. Postanowiłem zatem robić, co tylko można, aby wyjść z tego błędnego koła, ku czemu dało mnie dużo animuszu spotkanie w Warszawie z Romanem Skirmunttem, którego uważałem jakby stworzonego do spełnienia tej misji i który pomimo, że przyjechał do Warszawy w bardzo poważnym interesie, jednak ze zwykłą ofiarnością, przyciskany przeze mnie, zgadzał się na tę wyprawę: szło więc tylko o wyrobienie glejtu do Rygi. Udałem się do Ministerjum Spraw Zagranicznych na Miodową, do ministra Piltza. Trafiłem źle, bo to był dzień głosowania w sprawie senatu w sejmie. W ministerjum bieganina, konferowanie Piltza z Sapiehą, gra telefonów, gorączka, przygotowywanie papierów i wskazówek dla wyprawy Naczelnika Państwa do Paryża, obawy o upadek całego gabinetu i t. p. Nakoniec wyszedł Piltz zmęczony, przygnębiony i poprosił, abym zaszedł do niego do mieszkania wieczorem na dłuższą i spokojniejszą konferencję, z czego naturalnie nieomieszkałem skorzystać. Przychodzę wieczorem: Piltz wychodzi odmłodzony, uśmiechnięty, pomimo, że prezes gabinetu Witos przedstawieniem swego „exposé” rządowego chciał zagwoździć posiedzenie i obrady nad senatem, a raczej głosowanie odłożyć, Trąpczyński głosowanie zarządził i senat większością 11-tu głosów został uchwalony, a zatem wszystko w porządku. Według twierdzenia Piltza rzecz jeszcze znamienita — Witos, pomimo przegranej na całym froncie, nie podał się do dymisji, zatem uznał, że może rządzić, nie opierając się na socjalistach, którzy głównie szli przeciwko senatowi, co może nawet oddziaływać na ukształtowanie się sejmu przy przyszłych wyborach. Przy dalszej rozmowie dowiedziałem się o ustąpieniu Szebeki ze stanowiska ambasadora w Berlinie, wynikiem, wskutek naganki na niego za stosunki rzekomo utrzymywane z byłymi działaczami i dygnitarzami carskimi. Było to rzeczą bardzo naturalną, bo Szebeko z tytułu członka Rady Państwa w Piotrogradzie, musiał z nimi być znajomy, a jeżeli konferował kiedy zagranicą, to tylko pewno na korzyść Państwa Polskiego. Szebeko był znanym germanofobem, trzeba tylko

nieudolności rządu polskiego, aby niechcieć wykorzystać jego zdolności w Paryżu lub Londynie, ale pakować go do Berlina. Wiedząc, że dymisja postanowiona, Piltz telegrafował do Szekbeki zawczasu, aby rzekomo sam się podał do dymisji. Jakoby na jego miejsce ma być naznaczony Popławski, a do Londynu przeniesiony K. Skirmuntt z Rzymu. Wobec dobrego nastroju ministra zażądałem od niego, aby dla nas zrobił co dobrego, powołując się na dawne jego stanowisko i sympatię dla naszego kraju, jeszcze za redaktorstwa „Kraju”. Piltz się zastrzegł, że stanowisko Dąbskiego w Rydze jest zupełnie wyłączone: opiera się o większość sejmową, mało dba o ministra spraw zagranicznych, wiedząc, że w sejmie absolutorjum zawsze otrzyma; jest zupełnie samowładny, kogo chce, tego puszcza do Rygi, kogo nie chce, nie puszcza, jak np. nie puścił delegacji sejmowej: że np. wzywał dla spraw Białorusi Lednickiego, lecz ten nie pojechał, motywując swoją odmowę stanowiskiem odpowiedzialnym jakoby posła polskiego w Moskwie, więc że i obecnie tylko, jako delegat rządu polskiego byłby gotów jechać, a nie jako zawezwany tylko przez p. Dąbskiego, co według mnie było błędem, albowiem Lednicki uprzednią swoją działalnością w Moskwie pewnie nie z jednym z wysłanników rosyjskich w Rydze był zestosunkowany i byłby przez obie strony mile widziany, a zatem dla kraju nader pożyteczny. Ale to się już stało i Sapieha pod żadnym warunkiem paszportów delegatom naszym nie wyda, ale gdy Sapieha 1-go lutego z Piłsudskim wyjedzie do Paryża i ministerjum przejdzie pod zarząd Piltza, ten zaryzykuje i ofiaruje się wydać papier urzędowy i obok tego list prywatny 2-m delegatom naszym, tudzież prawo przejazdu przez Wilno i Dynaburg, jako agentom dyplomatycznym do Rygi. Naturalnie z wielką wdzięcznością przyjąłem to oświadczenie ministra i nazajutrz udałem się na Długą Nr. 50 i zakomunikowałem prezydjum organizacyj kresowych wszystko, co udało się zrobić dla wysłania delegatów od Białorusi na konferencję ryską. Obecni tam p.p. Wasilewski, Obiezierski, W. Dowgiałło, Ign. Porębski, Kieniewicz nie było. Zauważyłem pewne jakby zdetonowanie, że to, co potrzeba, zrobiło się bez ich udziału i wiedzy, uznali jednak, że zaniedbanie tej sprawy zawszeby rzuciło pewien cień



na działalność prezydium naszych organizacji, że p. Skirmuntt bezwątpienia bardzo zdolny i pożądanym byłby jako rzecznik interesów krajowych, ale że wybrany już był na takiego delegata przez prezydium p. Porębski, więc ten musiałby jechać i t. p. Upewniłem, że p. Skirmuntt chętnie się zgodzi na wspólną pracę z p. Porębskim i zresztą trzeba jeszcze rozmówić się z p. Kieniewiczem w tej materji. Nastąpiło to nazajutrz przed ogólnym zebraniem, w Centralnym Towarzystwie Rolniczym, członków Związku Ziemiaków z Kresów Białoruskich, któremu przewodniczyłem. Zapytałem Kieniewicza, aby mi szczerze powiedział, czemu ja pewien chłód na konferencji na Długiej wyczułem. Ten mi powiedział, że na posłanie jednego Skirmuntta prezydium by nie przystało, bo Skirmuntt w pracach „Rad Polskich” na kresach udziału nie brał, ale gdy pojedzie we 2-ch, to prezydium się zgodzi bardzo chętnie na delegowanie. Wobec takiego odczuwania całej sprawy przez prezydium, gdy w dodatku i Piltz wyraził obawy, czy cała ta akcja nie jest spóźniona, gdy przytem Skirmuntt zgadzał się jechać pod moją tylko presją, i mógł wiele uciepieć materialnie, mitrząc sprzedaż swoich dębów, uważałem za właściwe zwolnić Skirmuntta od jechania, i całą tę akcję złożyć niepodzielnie w ręce prezydium. Na zebraniu tem niedzielnym, o którym wyżej wspomniałem, Skirmuntt zdawał sprawę ze stosunków miejscowych, jakie się ułożyły w tej połaci kraju kresowego, która pod władzą polską się znalazła, i które wcale na korzyść tej władzy nie świadczyły. Delegat zaś do Rygi z Litwy Środkowej dr. Kopeć w kilku słowach zaznajomił zebranych o nieprzychylnym nastroju dla spraw kresowych delegacji polskiej pokojowej w Rydze, co zresztą dla nikogo nie było tajemnicą, bo zewsząd transpirowały wieści, że bolszewicy chcieliby dać jaknajmniej złota, a więcej ustąpić kraju, a Dąbski twierdził, że kresów mają za wiele, a złota za mało. Zebranie trzeba było prowadzić w tempie przyśpieszonym, albowiem należało zdążyć na obiad, który prezydium nasze wydawało dla zebranych w Warszawie starostów kresowych z przedstawicielem ministerjum Jamonttem na czele. Obiad odbył się w hotelu Francuskim, na którym i ja się znalazłem w liczbie zaproszonych i wielokrotnie głos zabierać musiałem, prostując

błędne przekonanie kół rządowych, co do rzekomego absentizmu ziemian kresowych, co do celowości nadawania ziemi na kresach żołnierzom z Królestwa i co do możliwego doboru posłów do Sejmu z kresów przy istnjącem prawie wyborczem. Poważnych objekcyj moje dowodzenia nie napotkały i obiad w nastroju wzajemnej zyczliwości przeciągnął się od 8-ej do 12-ej prawie, tak, że wracając mieliśmy obawę aresztu ze względu na spóźnioną porę ruchu ulicznego. Z rozmowy z Piltzem wyniosłem wrażenie, że jest on ceniony w rządzie nie za swoją orientację, ale za swoją kompetencję w dziedzinie polityki, np. gdy poseł francuski zakomunikował w Ministerjum zaproszenie przez Prezydenta Francji Naczelnika Państwa do Paryża, Piltz, nie skomunikowawszy się z Belwederem, wydrukował to zaproszenie, które przyjęte z takim zapałem przez społeczeństwo, nie dało możliwości rozmysłu Piłsudskiemu, ani czasu do oddziaływania na niego otoczeniu, przeważnie z aktywistów złożonego, i wyjazd do Francji został odrazu postanowiony. Jakoby Naczelnik Państwa niezadowolone swoje w tym względzie wyraził, ale Piltz swe stanowisko zatrzymał, bo potrzebny. Wogóle Piltz jedyny w składzie rządu, który sprawy kresowe obejmuje i całą wagę kresów dla Państwa Polskiego wyczuwa. Podczas bytności tej w Warszawie nie było żadnego posiedzenia Związku Polsko-Białoruskiego, ale od prezesa M. Obiezińskiego dowiedziałem się, iż pp. Dubiejkowski i Smolicz utrzymują wciąż nastrój przyjazny Polsce, a p. Aleksyuk stracił markę, jako krążący w orbicie Bałachowicza, idącego przeciw na flanku „jedynoj i niedielimoj Rosiji”, ten sam Aleksyuk, który ongi w Mińsku za polskie pieniądze werbował zaciągi białoruskie. Podczas mojej bytności urządzona była w salach „Zachęty Sztuk Pięknych” bogato obesłana wystawa rozmaitych zabytków kultury, sztuki i dokumentów, pochodzących z Kresów Wschodnich. Między innymi oglądano tam oryginały dokumentów Unji Horodelskiej i Lubelskiej, pisane po polsku i obficie pieczęciami obwieszane. Zrana 1-go lutego wyjechałem z powrotem do Bzowca. Wieczorem tegoż dnia Piłsudski w otoczeniu wyższych wojskowych i ministrów wyjechał via Drezno - Kolonja do Paryża.

13 lutego 1921 roku. Wyczytaliśmy w „Gazecie Warszawskiej”, że delegacje z Mińszczyzny z petycjami, podpisanymi przez zgórą 25.000 osób, były przyjęte przez przedstawicieli klubów sejmowych. Ciężko musiało być posłom słuchać, gdy delegaci prosili o przesunięcie granic dalej na wschód, obowiązując się wzamian dać złoto, bo to świadczyło o ustępstwach terytorjalnych, czynionych w Rydze przez Dąbskiego, wzamian za złoto bolszewickie, z byłego banku państwa pochodzące. Sprawa granic wschodnich miała być przedmiotem interpelacji w Sejmie. Zobaczymy.

15-go lutego 1921 roku. Wśród śnieżnej zamieci wróciłem do Bzowca, gdzie czekał na mnie list mego rządcy z Sawicz, niewesoły. Bolszewicy wciąż są panami pozycji, władze polskie zupełnie granic nie strzegą. Znowu 8-miu, niby przez omyłkę, wpadło do Puzowa, czemu nasze strażę tych omyłek nie czynią? W Sawiczach w nowej gorzelnii, w mieszkaniu starej matki rządcy, zapewne przez nieuwagę, upuścili bombę, która wybiła okna i drzwi, podłogę i sufit, zniszczyła wszelkie sprzęty i raniła około 10-ciu żołnierzy. Stara Paulina uszła bez szwanku, ale jej wierna służąca miała czaszkę strzaskaną i w stanie beznadziejnym odesłano do Nieświeża do szpitala. Na naszym kurhanie z grobami rodzinnymi uszkodzono pomniki. Nawet umarli pokoju nie mają. Niema co się ludzi nadzieją powrotu na wiosnę do domów.

17-go lutego 1921 roku. Drugi list od Zmitruka. Las w Kucowszczyźnie towarowy i opałowy rozsprzedaje się przez Porchomczyka, którego, uwięzionego jako bolszewika, wystarałem się uwolnić z więzienia polskiego, taka to wdzięczność. W Sawiczach stawiają stopy w lesie dla opału sąsiednich miasteczek, pomimo, że na własne potrzeby ledwo starczy. W Dubownicy, w lesie, jakby w parku, przy dworze, robią materjał na 15 chat; ze dworu nawet sprzedają starą słomę, do czego to będzie wracać. Uprzednio bolszewicy tak nie pustoszyli dworów, uważając je za „narodnoje dobro”, czem zrażali ludność łupów chciwą; obecnie dla zaskarwienia sobie ludności pozwalają grabić na wszystkie strony, a sami się bogacą.

20 lutego 1921 roku. Otrzymałem list od prezesa Kieniewicza, donoszący, iż, chociaż przy wyjeździe ks. Sa-

piehy z Piłsudskim do Paryża, oficjalnie objął niby Ministerjum Spraw Zagranicznych Witos, jednak faktycznie zarządzał Piltz... i zatem według obietnicy mógł Porębskiemu i Skirmunttowi wydać pismo polecające do Dąbskiego w Rydze; ale Skirmuntt, jakoby pomimo trzydniowego nalegania prezydjum, nie zgodził się jechać; więc pojechał jeden Porębski z małą jednak nadzieją wskórania czegokolwiek wobec oporności członków delegacji polskiej. Pisze też Kieniewicz o delegacji organizacyj słucluch i mozyrskich pod firmą „Zielonyj Dub”, która wszędzie agituje w Warszawie, jednak przez Piłsudskiego przyjętą nie była. W Rydze od Białorusinów, idących pod auspicjami bolszewików, siedzi jakoby Łastowski. Polska delegacja z Białorusinami tam nie traktuje, uznając za przedstawicieli Białorusi te elementy, z którymi się styka w Warszawie, ale odłam przeciwny, niby od siebie, wydał pełnomocnictwa Joffemu, nieuznane przez delegację polską i zatem Joffe wszędzie występuje tylko w imieniu Rosyjskiej i Ukraińskiej Sowieckiej Rzeczypospolitej.

26 lutego 1921 roku. Liza Mogilnicka z p. Kostrowicką wyjechały dzisiaj do Warszawy w obawie jak dojadą z powodu strajku kolejowego. Wprawdzie rząd nie zamierza być tylko obojętnym widzem, jak dotychczas bywało: zamierza zmilitaryzować koleje, to jest postawił służbę kolejową w warunkach odpowiedzialności służby wojskowej i aresztował niektórych mernerów, ale sprawcy puszczenia „dzikiej lokomotywy” bez żadnej obsługi na stojący pociąg na dworcu Wiedeńskim, co spowodowało rozbitcie pociągu i śmierć wielu osób, pozostali niewykrzy. Tak zwany „Polski Związek Zawodowy Kolejarzy” nie aprobeuje strajku wobec sytuacji Wilna, plebiscytu na Górnym Śląsku, ogładzania miast i wogóle niepewnej sytuacji politycznej, wobec rokowań w Rydze.

3 marca 1921 roku. Jak widać z dzienników, strajk maszynistów kolejowych sięgał głębiej, aż do podstaw istnienia Rzeczypospolitej, subwencjonowany przez Berlin i Moskwę. Otwarcie o tem mówi prezes ministrów Witos w Sejmie, gazety drukują przechwycone w drodze radjodepesze bolszewickie, obiecujące podtrzymanie strajkującym w Warszawie, gdzie zaczęły się już przejawiać zakusy terrorystyczne, póki co, dosyć odpornie traktowane przez robotników. Tramwajarze



jednak do strajku przystąpili i jest ferment w urzędach pocztowych. W Moskwie i Piotrogradzie rozruchy antybolszewickie. Mrozy ustały, słoty, widoczne dążenie ku wiosnie. Ks. Sapieha w Bukareszcie dąży do zawarcia przymierza z Rumunją. Doszły wiadomości z Warszawy, iż delegacja ludności z pod Mińska była przyjęta po raz pierwszy na Wiejskiej przez leaderów partji i klubów sejmowych. Złą polszczyzną przemawiała delegacja, ale chyba w pięty pójść musiało posłom sejmowym, gdy usłyszeli: „panoczki, nie sprzedawajcie nas za złoto, kiedy wam tego potrzeba, to my sami za siebie zapłacimy”. Jeżeli posłowie mieli przodków, to ci musieli się w grobach przewrócić, usłyszawszy, co ich potomkom zarzucają. Była to aluzja do powtarzanej wciąż wersji, że Joffe chciałby oddać szeroką połać kraju, aby tylko Polska wyrzekła się swych praw do części zapasu złota dawnego Banku Państwa. Dąbski zaś nie chce brać kraju, a żąda większego udziału w zapasie złota.

8 marca 1921 roku. W gazetach wiadomość, że 4 marca wydrukowano w „Monitorze” prawo o utworzeniu na terenach, ze wschodu do Polski przyłączonych, trzech województw: białostockiego, poleskiego z siedzibą w Pińsku i nowogródzkiego, podległych rządowi w Warszawie, z zastosowaniem praw, przez Sejm zawotowanych i mających wybrać posłów do Sejmu warszawskiego. Zatem jest to nie unja, a aneksja. Ten kierunek zatem zwyciężył. O żadnej autonomji niema mowy. Wówczas, gdy w zamierzonym urządzeniu Śląska, po plebiscycie projektowany jest daleko idący ustrój autonomiczny, chociaż lud śląski, to Polacy i katolicy, a w tych 3-ch województwach, to przeważnie białorusini i prawosławni. Daj Boże, aby to nie była błędna orientacja. Rozruchy antybolszewickie w Piotrogradzie i Moskwie, krwawo tłumione przez bolszewików. Kto wie — może to jaki początek końca na bolszewików?

10 marca 1921 roku. Przyjechał urzędnik leśny dla wyznaczenia z lasu dworskiego w Bzowcu budulca na odbudowę wsi. Rząd płaci właścicielowi śmiesznie małą cenę, a włościanom daje bezpłatnie. Zasada przez Sejm uchwalona, ale czy sprawdził kto, że włościanie w Bzowcu mają własny las, otrzymany wzamian za serwitut, który aż nadto wystarcza

na budowę, a wielu, drzewo otrzymane darmo, powiozą do miasteczka. (Takich Bzowców jest tysiące, więc na ten cel wydatek państwa wyniesie miliony, obciążając budżet państwa i księgę długów państwowych.) Przy tych porządkach cóż dziwnego, że marka polska coraz to mniej warta.

11 marca 1921 r. Silna walka trwa dalej w Moskwie i Piotrogradzie. Jednak rokowania w Rydze idą dalej swoim trybem; Polacy mogliby teraz wyzyskać niepomyślne dla bolszewików okoliczności wojenne. Rokowania w Londynie koalicji z Niemcami zerwane, koalicja przeszła przez Ren, zajmując Düsseldorf, Duisburg i zagłębie Ruhry.

18 marca 1921 roku. Wilją imienin Piłsudskiego traktat pokojowy podpisany został, aby go jako wiązanie na imieniny Naczelnikowi Państwa u podnóżka Belwederu złożyć. 18-go marca miliony ludności z dawnych kresów Rzeczypospolitej odpadły od macierzy polskiej i rzucone zostały w paszczę molocha bolszewickiego przez „Braci polaków”. Podpis na cyrografie ma Marszałek solenizant położyć!

20 marca 1921 roku. 17-go została zawotowana w sejmie konstytucja, powinienby zatem sejm konstytucyjny się rozwiązać. Uroczystości w Warszawie. Marszałek Sejmu składa wieniec u grobu Małachowskiego, widocznie chcą nawiązać nić tradycji między sejmem 4-letnim, a obecnym i pominąć tę wielką różnicę, że tamten sejm składał się z tego, co naród miał najlepszego i najrozumniejszego i był przejęty miłością do wszelkich warstw społecznych, a Sejm obecny składa się w większej części z „suverenów i analfabetów”, przejętych nienawiścią klasową. Sejm czteroletni zacieśnił węzły dawnej unji z W. Ks. Litewsko-Ruskiem, a Sejm obecny wysłał delegatów do Rygi, aby zatwierdzić dawne pierwsze dwa rozbiory Polski przez Rosję dokonane, przekasować tradycje jagiellońskie, pracę 3-ch wiekową idei polskiej na kresach, męki i poświęcenie pionierów tej idei w czasach porozbiorowych na kresach. Pokój zawierał się z rządem, który własny naród zwał na Kremlu i na wybrzeżach Piotrogradu, który sam niepewny jutra, umiał jednak zaimponować panom Dąbskim & Comp. i za 30 milionów kupił Białoruś, a traktując w imieniu Białorusi z przedstawicielami „sowietów białoruskich” samozwańczą instytucję, o której nikt na miejsu

nie słyisał, do stanowiska rządu podniósł. Jest to nie dzień chwały, a dzień hańby narodowej, za którą aby przyszłość nie karała całego narodu za niepoczytalnych jego przedstawicieli.

21 marca 1921 roku. Wiadomość o zajęciu Kronszztatu przez bolszewików, zatem ruch powstańczy wstrzymany. Chociaż z opublikowanego programu powstańców mała byłaby pociecha, jeśliby zwyciężyli, bo to socjał-rewolucjonerzy; mógłby wypłynąć znowu Kiereński ze swemi „komitetami rolnemi” i t. p. Dawni działacze rosyjscy za granicą protestują przeciwko traktatowi ryskiemu, zaznaczając, że żaden rząd rosyjski w przyszłości związanym się nie będzie poczuwał, albowiem zgodzono się na ustąpienie Polsce prowincyj rosyjskich w kraju zachodnim.

22 marca 1921 roku. Byłem w Zamościu; mówią, że plebiscyt na Śląsku przechodzi pomyślnie dla Polski. Dzienniki warszawskie zachwycone zawartym pokojem w Rydze; żadnych wyrzutów sumienia z powodu wyrzeczenia się kresów wschodnich nie odczuwają, uważając, że zadania polityczne Polski są w porządku.

23 marca 1921 roku. Doszła wiadomość o niezbyt pomyślnym wyniku plebiscytu na Śląsku, z czego Anglja niewątpliwie skorzysta, aby zadośćuczynić aspiracjom niemieckim. W Warszawie delegacje śluckiego, bobrujskiego i ihumeńskiego powiatu podają petycje i protesty reprezentacjom mocarstw sprzymierzonych przeciw traktatowi ryskiemu, który je oddał w ręce bolszewików.

24 marca 1921 roku. Przyjechał z Poznania Witold Mogilnicki i przywiózł piorunującą wiadomość, że rodzinne moje Sawicze i Puzów zostawione w traktacie po stronie rosyjskiej, wówczas, gdy czytając gazety, w których było wyrażone, że granica pójdzie rzeką Moroczą aż do jej ujścia w Słuczy, liczyłem, że chociaż ostatecznie zniszczone, ale zawsze mogące dać mi dach nad głową, kaszę i kartofle w misce, łany moje rodzinne, wrócą do dawnych ojców. Gubię się w domysłach, co się tam dzieje, co rządca mój tam postanawia, co zamyśla, jak się orjentuje, a wskazówek żadnych dać nie mogę, ani poradzić, nie znając warunków miejscowych. Bóg jeszcze chciał i w tem doświadczyć.

27 marca 1921 roku. Wielkanoc, nie pojechałem na rezurekcję, bo usłyszeć śpiew „Wesoły nam dzień dziś nastał”, nie było w mojem usposobieniu. Jak uczniowie Pańscy przed rozproszeniem się po świecie zgromadzili się w wieczorniku, tak cała rodzina nasza zebrała się pod gościnnym dachem siostrzenicy naszej Mogilnickiej przed rozproszeniem się, bo każdemu wypadnie szukać sobie gdzieś miejsca na świecie, gdzieby przy tak ograniczonych środkach, jak te, któremi każdy z nas rozporządza, możnaby sobie możliwe życie urządzić. Dobrze, że rodzice nasi nie patrzą na los swych dzieci. Tak Bóg chciał.

29 marca 1921 roku. Otrzymałem list z domu od rządcy; biedacy, jeszcze nie wiedzą o losie naszej ziemi. Pisze mnie o przygotowaniach do robót wiosennych, o sprowadzonych rzemieślnikach, okopanym ogrodzie, oczyszczonych drzewach owocowych, aby z nich bolszewicy lepsze owoce zbierali... Pisze, że jakieś oddziały białoruskie wyparły bolszewików z Sawicz, w których rujnowanie pałacu do niemożliwych dochodzi rozmiarów.

31 marca 1921 roku. List od Stefana Czarnockiego, potwierdzający wiadomość, otrzymaną w starostwie nieświeżkiem o objęciu Puzowa przez bolszewików. Zajęte również Zarakowce i Kukowicze, uprzednio linją rozejmową przy Polsce pozostawione, więc nawet granic rozejmowych delegacja polska w Rydze nie potrafiła obronić.

4 kwietnia 1921 r. List z domu od mego rządcy Zmitruka. Gdy go doszła wiadomość, że odbierają od nas Puzów, który nam linją rozejmową był odstąpiony, i że cała jego praca ku przygotowaniu gospodarki na wiosnę, wszystkie niewygody, trwogi i zabiegi, poszły na marne, wziął rewolwer, aby sobie życie odebrać. Na szczęście wchodząca panna służąca p. marszałkowej go powstrzymała. Przedtem pisał o śmierci matki swojej, dawniejszej praczki naszej Pauliny, osoby prawie 90-ioletniej, która na łaskawym chlebie w Sawiczach mieszkała, aż bolszewicy zabrali jej krowę, wieprza i ją samą wypędzili do wsi Bratkowa, też przez bolszewików zajętej, gdzie u córki zmarła, a syn o parę wiorst od niej mieszkający nie mógł nawet być na jej pogrzebie, jako kordonem oddzielony. Znowu zgarnianie niedobitków mienia



i uchodzenie gdzieś w głąb terytorjum Polsce przysądnego. Otrzymałem wezwanie do Warszawy na 8 kwietnia, może uda się nawiązać rokowania o sprzedaż akcji rzeźni miejskich, coby nam warunki egzystencji dalszej ułatwiało. Warunki Traktatu Ryskiego z dnia 18 marca dokładnie w „Rzeczypospolitej” podane, nie pozostawiają żadnej wątpliwości, że moje Sawicze i Puzów odchodzą do Białorusi sowieckiej.

W Warszawie trafiłem na ogólne zebranie „Związku Polaków z kresów Białoruskich”, któremu, jak zazwyczaj przewodniczyłem (10 kwietnia). P. Barylski, przewodniczący w jakimś Komitecie, mającym na celu sprawy więźniów polskich w Moskwie, zdawał sprawę z warunków bytu tych nieszczęśliwych u bolszewików i z własnego kilkumiesięcznego w więzieniu butyryjskim zamknięcia. Ponieważ rzadko kto z obecnych nie miał w rodzinie własnej osób, które przez to samo przechodziły, sprawozdanie jego niezbyt wielkie wzbudziło zajęcie; ciekawszem było zestawienie warunków, w których się znaleźli powracający więźniowie, gdy się znaleźli na kresach i w Warszawie. Sprawozdawca z wielkiem rozrzewnieniem wspominał przyjęcie więźniów w Baranowiczach, które, jak się wyraził, zniewoliło ich zapomnieć o przeżytej niedoli wśród tej serdecznej atmosfery, wśród tej pieczy o najmniejszych potrzebach, któremi ich otoczyli kresowcy. W Warszawie pociąg ich zatrzymano o dwie wiorsty od dworca, nikt ich nie spotkał, ani o nich się nie zatroszczył. Matki, niosące dzieci, musiały iść pieszo do dworca, dźwigając tobołki; chorzy przystawali w drodze. Prosił więc zebranych, aby swojemi wpływami u władz i społeczeństwa miejscowego postarali się wyrobić lepsze warunki przyjmowania powracających więźniów, przeważnie kresowców, w Warszawie. Podziękowaliśmy mówcy za sprawozdanie, lecz podkreśliliśmy, iż, jako świeżo przybyły, nie orientuje się w jakim środowisku przemawia. Gdyby kresowcy mieli jakie wpływy w sferach rządzących lub poparcie w społeczeństwie polskim, nie widziałby on w zebraniu tyłu twarzy wymęczonych, beznadziejnych, które się tylko spotyka u ludzi bezdomnych. Gdyby mówca pożył w Warszawie, przekonałby się, jak kresowiec jest tu niechętnie spotykany, jak go unikają, tak, jak się unika tych, którym się krzywdę wyrządziło. War-

szawa chciałaby o kresach, rzuconych dobrowolnie na żer bolszewikom, zapomnieć, Warszawa cieszy się pokojem, kosztem kresów osiągniętym i tylko rachuje zyski, jakie z otwartej granicy rosyjskiej osiągnąć potrafi. Jeżeliby np. niespodzianie wyszedł dekret, usuwający kresowców z Warszawy, nikogo by to nie zadziwiło przy panującym nastroju. Na trybunę wszedł prezes Komitetu Obrony Kresów, Wasilewski, i z ciężkiem uczuciem zaznaczył, że organizacje kresowe miały fundusze i chciały urządzić dla wracających punkt obiadowy, urządzić dla nich czytelnię i t. p., ale otrzymały od władz formalne oświadczenie, że jest na to organizacja rządowa „Jur” i że organizacjom kresowym do tego wtrącać się nie należy. Ponieważ na zebraniu był obecny mecenas Porębski, który jako delegat kresowców jeździł do Rygi, podjąłem sprawę traktatu pokojowego z dnia 18-go marca, w którym interesy kresowców zupełnie zaniedbane zostały, a specjalnie tych, którzy na terytorjum Kongresówki się schronili, czyli prawie wszystkich, albowiem § VI głównie tyczy się tych, którzy znajdują się na terytorjach Białorusi i Ukrainy. Mecenas Porębski naprzód protestował, że źle interpretuję tekst traktatu, a gdy odczytaniem tekstu słowa swoje potwierdziłem, dowodził, że w „Rzeczypospolitej” omyłkowo było wydrukowane. Nie chcąc pogłębiać i tak ciężkiego i beznadziejnego nastroju zebrania, odłożyłem wyjaśnienie do bytności mojej w prezydjum naszych organizacji na Długiej. I tam jeszcze spotkałem się z zarzutem pesymistycznej interpretacji, aż dopiero interpelacja posła Seydy na posiedzeniu komisji sejmowej spraw zagranicznych w dniu 11 kwietnia, mojami prawie słowami wypowiedziana, oprzytomniła zainteresowanych, a rzecz znamienita, rząd przyznał się do niemożności wyjaśnienia sprawy i polecił ks. Sapieżę przyspieszyć dochodzenie. Z tego jednego faktu wywnioskować można, jak dalece Joffe wiedział, czego chce, jak dalece delegacja ryska polska stała niżej od rosyjskiej, skoro nie rozumiała, co podpisuje i jak jej sprawy, tyżące się kresów, były obojętne. Niewyjaśniona też i dotychczas pozostała sprawa, czy nam kresowcom, dla obrony naszych spraw majątkowych, wskazane jest lepiej brać świadectwo w odnośnych urzędach, że jesteśmy obywatelami polskimi, czy też raczej uważać

siebie za poddanych Bolszewji i, korzystając z praw opcji prosić o przyjęcie do poddaństwa polskiego, ponieważ optanci mają zastrzeżone traktatem pewne prawa majątkowe, zaś obywatele polscy korzystają w Bolszewji tylko z praw najbardziej uprzywilejowanych narodowości. Jaki wogóle nastrój panował dla kresowców w Warszawie, dosyć będzie stwierdzić, że, gdy w komisji sejmowej była podjęta sprawa obrony mienia kresowców w Bolszewji i omawiano, azali nie należy przed ratyfikacją pokoju sprawy tej poruszyć, większością jednego głosu interpelacja zamierzona upadła i co dziwniejsza, jakoby tym jednym głosem był poseł Kamieniecki, widocznie antykresowym duchem zarażony. Więc też z wielkim aplauzem sprawa pokoju w sejmie przeszła: zgrzytem tylko było, wyrzucone przez obecnego na galerji sejmowej hr. Henryka Grabowskiego, prawnuka po kądzieli Reytana, słowo „hańba” i wyrzucone przez niego na głowy posłów sejmowych proklamacje. Demonstrant został przez milicję zatrzymany, a pisma warszawskie zajęcie zbagatelizowały, jako tylko niewłaściwe zakłócenie porządku obrad sejmowych. Traktat był trzy razy odczytany i ratyfikowany. Cześć wam, posłowie suwerenni, za 4-ty rozbiór kraju! Zaiste, dziwne to jest niezrozumienie całej ważności kresów dla Polski, tak ze strony władzy, jak społeczeństwa w Warszawie i ciągłego lekceważenia interesów kresowych, graniczące nieraz z niesumiennością, że się powołam chociażby na fakt następujący: 3-go listopada 1918 r. był wydany dekret o pierwszej pożyczce państwowej, która miała być wypłacona dłużnikom 1-go listopada 1919 r. „w takiej walucie, w jakiej wydana została, a jeśli będzie ustalona inna waluta w państwie, to w takiej walucie”. Koroniarze i wielkopolanie subskrybowali naturalnie w markach; galicjanie w koronach; kresowcy w rublach. Ponieważ państwo gwałtownie potrzebowało pieniędzy, a myśmy jeszcze nie wiedzieli, że będziemy, jako „wrzód białoruski” operowani, szła między nami silna propaganda możliwie usilnej subskrypcji i chude kieszenie białoruskie wypróżniały się do dna. Nie będę mówił już o tem, że kwestja walutowa i dotąd nierozstrzygnięta. Nie oto nawet chodzi, że gdyśmy, wracając chwilowo do siedzib naszych w jesieni 1919 roku i, licząc na sukurs w zwróconej według dekretu 3-go listopada 1918 r. pożyczce,



pomocy tej nie otrzymali, bo może skarb nie był w możności wypłaty, ale niesprawiedliwość w tem niedodarowania, że ta niesłowność tyczyła się tylko kresów. Kto wniósł pożyczkę w markach, ten mógł ją otrzymać w terminie ogłoszonym 1-go listopada 1919 r. Więc pomocy pozbawieni byli tylko ci, którzy jej najwięcej potrzebowali, zatem kresowcy. I rzecz znamienna; gdy chciałem tę sprawę podjąć w prasie, żadne pismo nie chciało przyjąć mej interpelacji i nawet p. Niemojewski, niby w sądach swoich niezależny, nie chciał iść przeciw ogólnemu prądowi lekceważenia spraw kresowych. Nie bardzo świetnie dzieje się i na tych kresach, które objęte zostały przez Najjaśniejszą Rzeczpospolitą. Przy ordynacji nieświeskiej pozostały jeszcze dwa klucze, albański i radziwiłłmontowski, zniszczone kompletnie. Zarząd główny wydał zgórą siedem milionów na kupno uprzęży, nasion i t. p., aby z całą siłą na wiosnę warsztat rolny uruchomić. Podczas mego pobytu w Warszawie wpadł przysłany urzędnik ordynacki po informację, czy warto orać i siać, czy może lepiej nakłady zlikwidować. Czemu? Bo wskutek dekretu sejmowego z dnia 17-go stycznia o kolonizacji kresów żołnierzem polskim, oddziały wojskowe samorzutnie zajmują majątki, nota bene te, które są najlepiej zagospodarowane, dzielą „stante pede” pośród szeregowców, a że ci nie mają ani czem urabiać, ani ochoty do pracy, więc od siebie poddzierzawiają miejscowym włościanom. Losowi temu uległy zdrenowane, zirrygowane Szczorse chreptowiczowskie, Zamirze ks. Światopełk-Mirskiego, Korelicze hr. Puttkamera na Białorusi, majątki hr. Stanisława Czackiego na Wołyniu i wiele innych. Wprawdzie jakoby posłano instrukcję z Warszawy zaprzestania tych eksproprijacji, ale dekret sejmowy pozostaje dekretem i czeka odpowiedniej chwili dla wprowadzenia w życie. Korzystając, że kilku członków Rady Towarzystwa Rolniczego Mińskiego było obecnych w Warszawie, zebrałem prowizoryczne posiedzenie, na którym postanowiono, na 1-szy maj zwołać ogólne zebranie członków Towarzystwa i zdać sprawę ze stanu tej instytucji, tudzież i innych z inicjatywy Towarzystwa Rolniczego powstałych, lub od niego zależnych, jak „Syndykatu”, „Wzajemnych Ubezpieczeń” i t.p. Przyczem przedstawiłem zebranym członkom Rady, opracowany prze-



zemnie projekt, że się tak wyrażę „manifestu”, zamykający przeszłą naszą działalność, tudzież dający wyraz naszym uczuciom, wobec traktatu 18 marca 1921 roku. Będzie to opracowanie przedmiotem obrad majowych. Wilją wyjazdu byłem u ministra Piltza, gdzie spotkałem się z dawnym, a zawsze dla mnie nader życzliwym kolegą z Rady Państwa, a obecnie posłem w Brazylii, hr. Ksawerym Orłowskim. U Piltza podjąłem sprawę stanowiska rządu wobec duchowieństwa prawosławnego. Minister prosił, abym krótki memorjał w tej materji opracował i jemu przedstawił, co postaram się uskutecznić\*). Na parę dni przedtem, na przyjęciu u p. Piltzowej spotkałem między innymi posła Jugosławji, członka poselstwa francuskiego i p. Zaleskiego, członka delegacji pokojowej w Rydze. Ten ostatni opowiadał o strojach, klejnotach, samochodach i świetnym trybie życia Joffego z żoną i córkami w Rydze, a dyplomaci debatowali o swoim zachowaniu się wobec przyjazdu do Warszawy poselstwa bolszewickiego. Zgodzili się na to, aby nie przyjmując możliwej wizyty posła rosyjskiego i nie mieć z nim oficjalnych stosunków, albowiem ani Jugosławja, ani Francja rządu bolszewickiego nie uznały, a jeśliby ks. Sapięha zaprosił posłów na obiad, przyczem nie mógłby ignorować posła rządu bolszewickiego, przez Państwo Polskie uznanego, oniby go traktowali tak, jak stosunek towarzyski obowiązuje gości, zaproszonych przez jednego i tego samego gospodarza. Bolszewickie poselstwo wydzierżawiło na ulicy Chmielnej cały dom, w którym się mieścił „Hotel Royal” za 9.000.000 marek rocznie. Będzie to jak obóz ufortyfikowany, miejsce propagandy i schronienia dla wszystkich działaczy bolszewickich, którzy bodaj grunt podatny sobie znajdują w Warszawie.

22 kwietnia 1921 roku. Wiadomość w dziennikach, że z prawa opcji, dającego możność rozporządzania i władania własnością nieruchomą za kordonem, nie mogą korzystać uchodźcy z kresów na terytorjum Królestwa zamieszkali, a zatem musimy brać świadectwa obywatelstwa polskiego, dające nam w Bolszewji tylko warunki osób najwięcej uprzywilejowanych, co wobec negocjowania przez bolsze-

---

\*) Memorjał W. podano w aneksach. p. w.

wików wszelkich praw międzynarodowych, jest przywilejem wielce problematycznym. Jeszcze jeden dowód, jak Joffe wiedział, co pisał, a jak delegacja pokojowa polska o kresowców mało się troszczyła.

27 kwietnia 1921 roku. Przyspieszam swój wyjazd do Warszawy, aby przed 1 maja otrzymać świadectwo na obywatelstwo polskie. Prawa opcji, i zatem likwidowania swego mienia za kordonem, traktat ryski nam nie daje.

28 kwietnia 1921 roku. Zabiegi w Warszawie w sprawie otrzymania świadectwa obywatelstwa polskiego, co uznałem za wskazane, o ile nastąpi przed ratyfikacją pokoju, mającą być dopełnioną przez wymianę dokumentów w Mińsku w dniu 30 kwietnia, albowiem po 1 maja spisy nowych obywateli polskich na zasadzie punktu 5 § 6, muszą być przedstawiane do wiadomości bolszewików, a co oni względem mienia tych nowych obywateli zarządzają, przewidzieć trudno. Wówczas, gdy obywatele, którzy otrzymają zaświadczenia przed 1 maja, temu rygorowi nie podlegają i w razie, jeśliby obywatelstwo polskie stawiało ich w pozycję niewygodną względem władz bolszewickich, można przedarciem świadectwa ślady jego posiadania zniszczyć.

29 kwietnia 1921 roku. Powitanie, pełne uprzejmości, przez delegata Ministerjum Spraw Zagranicznych St. Korsaka, delegacji bolszewickiej w Warszawie i odpowiedź pełna buty i lekceważenia przedstawiciela rosyjskiego Ignatowa. Wieczorem posiedzenie Rady Towarzystwa Rolniczego Mińskiego, na którym był odczytany i aprobowany protokół Rady, że się tak wyrażę „testamentowy”, wyrażający zapatrywania Rady na całą ubiegłą działalność Towarzystwa, tudzież na stosunek Rządu i społeczeństwa polskiego do Kresów Wschodnich. Redakcja moja pozyskała ogólne uznanie i postanowiono przedstawić ją 1 maja, na ogólnym zebraniu członków Towarzystwa dla przyjęcia. Towarzystwo Rolnicze Mińskie postanowiono czasowo zawiesić i, gdy podobna instytucja w Nowogródku, ewentualnie w Baranowiczach lub Nieświeżu powstanie, a nie będzie możliwości pracowania w Mińsku, wszelkie fundusze i samą firmę tam przekazać, co pozostawić do uznania Rady, w okolicznościach przez nią za odpowiednie uznanych.

W sali Centralnego Towarzystwa Rolniczego na ulicy Kopernika 30, odbyło się ogólne zebranie członków Mińskiego Towarzystwa Rolniczego, które zagailem dłuższem przemówieniem, a następnie odczytałem protokół posiedzenia i decyzję Rady z dnia 29 kwietnia. Wszystko z wielkiem przejęciem się i powagą było wysłuchane i ze szczerym aplauzem przez ogólne zebranie przyjęte zostało; część polityczną postanowiono przez prasę rozpowszechnić, o ile się uda w Krakowie i Poznaniu, albowiem dzienniki warszawskie ostentacyjnie sprawy kresowe pomijają.

KONIEC I CZĘŚCI WSPOMNIENI.

## PRZYPISEK WYDAWCY.

W ostatniem posiedzeniu Rady Mińskiego Towarzystwa Rolniczego dnia 29 kwietnia 1921 roku w Warszawie, brali udział: (prezes ś. p. Edward Woyniłłowicz, ś. p. Jerzy hr. Czapski, Henryk Grabowski, ś. p. Witold Łopot, Mieczysław Porowski, Zygmunt Rewieński, Piotr Wańkowicz i Ignacy Witkiewicz).

Tekst enuncjacji opracowany przez ś. p. Edwarda Woyniłłowicza, z drobnymi zmianami, wprowadzonymi na posiedzeniu Rady brzmi, jak następuje :

Wskutek warunków pokoju, zawartego w Rydze dnia 18-go marca 1921 roku i niepewności powrotu do kraju, zebrana w dniu dzisiejszym na wezwanie swego prezesa Rada Mińskiego Towarzystwa Rolniczego, jako przedstawicielka organizacji, jednoczącej najlepsze siły społeczne ziemiaństwa kresowego, po dokładnem rozejrzeniu się w warunkach chwili obecnej postanowiła :

Dać wyraz swym zapatrywaniom na stosunek społeczeństwa i Rządu Polskiego do kresów i wytworzony wskutek ostatnich przewrotów politycznych porządek rzeczy na terenie, działalnością Mińskiego Towarzystwa Rolniczego objętym.

Mińskie Towarzystwo Rolnicze, powstałe w roku 1876-m, było wśród ziemiaństwa kresowego pierwszym przejawem zjednoczonej myśli i pracy społecznej po wypadkach 1863-go roku i zamknięciu Towarzystwa Rolniczego w Królestwie, którego dążenia i hasła pracy organicznej legły w osnowę powstałej na Kresach Litewsko-Białoruskich organizacji. A ponieważ kresy były wówczas pozbawione instytucyj samorządowych i prawa wyborów szlacheckich, zatem wszystkie wybitniejsze jednostki z inteligencji miejscowej znajdowały ujście dla swych aspiracyj i energii w rozwijającym się coraz to więcej zakresie prac Towarzystwa; teren zaś objęty tą organizacją zajmował całe niemal Kresy Litewsko-Białoruskie, wkraczając nawet od czasu do czasu w granice Kongresówki i wszędzie dając wzór sprawnej pracy społeczno-rolniczej.

Wskutek tych warunków miejscowych Mińskie Towarzystwo Rolnicze zajęło dominujące stanowisko w życiu kraju: dawało wyraz opinii publicznej, wpływało w swoim czasie na wybory do izb prawodawczych, wyłaniało z siebie rozmaite organizacje społeczne i ekonomiczne i t. p.



Dzisiaj zatem prezydjum Tow. Rolniczego, wobec chwili przełomowej w życiu Kresów Wschodnich i zawieszenia do pomyślniejszej chwili działalności Towarzystwa, uważało za wskazane dać należną ocenę tym warunkom, które na zawieszenie tej działalności wpłynęły.

W dobie porozbiorowej ziemiaństwo kresowe, z elementów szlacheckich prawie wyłącznie złożone, tracąc powoli, dzięki prawom wyjątkowym, wszelki wpływ na życie polityczne kraju, nie przestawało jednak nadawać cechę polskości Kresom Wschodnim, tem więcej, że inteligencja miejska przeważnie z łona tegoż ziemiaństwa wychodziła i nader chętnie, w razie pomyślnego dorobku, w szeregi tegoż ziemiaństwa wracała.

Po zamknięciu Uniwersytetu Wileńskiego, gdy stolica W. Ks. Litewskiego zesłała do poziomu zwykłych miast gubernjalnych, z natury rzeczy, wszelkie przejawy życia umysłowego i narodowego, które tylko w ówczesnych warunkach były możebne musiały się zogniskować w Warszawie. Warszawa nadawała ton całemu krajowi: w Warszawie wychodziły gazety, drukowano książki, pielęgnowano sztuki piękne, w Warszawie radzono pocichu o losach narodu, z Warszawy szły hasła, szły rozkazy, wszyscy oglądali się tylko na Warszawę, prowincja wpatrzona była w warszawskie słońce, wsłuchana w warszawskie hejnały. Życie prawie zamarło na prowincji i biło tylko tętnem serca warszawskiego, to też, gdy w roku 1863-m przyszedł z Warszawy na dalekie rozlegi białoruskie rozkaz zbrojnego powstania, w którym krew przelana miała zaznaczyć przyszłe granice Rzeczypospolitej bez żadnego plebiscytu, zaczerwieniły się brzegi rubieżnych rzek Dniepru i Dźwiny, tudzież jezior inflanckich. Poszli w lasy nie tylko młodzi ludzie, poszli i starzy, nie tylko wierzący w zbrojną wygraną, ale i wątpiący w zawodną zawsze interwencję europejską. Szli, bo taki był rozkaz z Warszawy, a Warszawa przecież myśli i pracuje za kraj cały i całą Polskę z przed 1772-go roku sercem swoim obejmuje... Koniec wszystkim wiadomy. Jeżeli w kopalniach nerczyńskich pracowali skuci przy jednym łańcuchu koroniarz z kresowcem, to tej równości w traktowaniu spraw krajowych przez zwycięzcę nie było: posypały się specjalnie na kresy: kontrybucje, sekwestry, konfiskaty, obowiązkowe sprzedaże majątków, zakazy kupna lub zapisów i t. p. prawa wyjątkowe. Był wprawdzie sposób ulżenia złej doli: wystarczało wyrzec się polskości, ale odstępców nie było. Matki wpały w swe dzieci poczucie krzywdy, przez rozbiory kraju dokonanej, i za grzech narodowy uważało się odprzedanie chociażby jednej morgi ziemi, bo to uszczuplało stan polskiego posiadania na kresach.

Przyszła wreszcie zapowiadana przez wieszczów wojna narodów 1914-go roku; przebyły kresy katastrofę odstępujących wojsk rosyjskich, a z nimi wygnane przez wroga, niszczące wszystko po drodze rzesze uchodźców, przebyły kresy rządy komitetów Kiereńskiego, a potem pogromy i okupację niemiecką, następnie dwukrotną okupację bolszewicką, aż na koniec zaszumiały proporce ułanów polskich nad Dźwiną i napiłiby ułani swe konie i w Dnieprze, gdyby ich rozkazem nad brzegami Berezyny nie zatrzymano.

To nie była już żadna okupacja, to nie były tylko rekwizycje i świadczenia wojenne, to było objęcie kraju w posiadanie. Zaczęły się

formalne rządy polskie wszędzie, gdzie tylko stanął żołnierz polski. Zaprowadzano język polski, szkoły polskie, prawa polskie, urzędy i podział administracyjny. Zarządzono nakoniec silny werbunek ludności do wojska polskiego, do którego garnęła się nietylko ludność z miast i zaścianków szlacheckich, ale przeważnie młodzież ziemiańska. Niemożna było, przejechawszy Białoruś wzdłuż i wszerz, znaleźć we dworze ziemiańskim chociażby jednego syna, zdatego do noszenia broni, któryby się chował w domu. Szli synowie licznych rodzin, szli jedynacy, dziedzice olbrzymich fortun, szli oni nie na tyłach armji z taborami, ale występując w chwilach krytycznych na czoło szeregów i okrywając żalobą liczne rodziny ziemiańskie, a przy niefortunnem odstępowaniu latem 1920 r., utrzymując ducha karności i miłości kraju w zdemoralizowanych klęskami szeregach i broniąc tej Warszawy, od której przez lat tyle otrzymywano hasła i wskazówki, że rozbiory kraju muszą być przekreślone, że Polska musi być wskrzeszona w granicach z przed 1772-go roku, że zdradą jest wobec kraju i narodu myśleć inaczej. I trwał w okopach młodzieniec z kresów w nadziei, że w tych okopach wywalczy swoją ziemię ojczystą, przez bolszewika zabraną, w nadziei, że ją wywojuje i złoży u stóp swych rodziców, jako krwią własną zdobytą; nikt lepiej od kresowca nie rozumiał, o co idzie bój krwawy.

I stał się cud nad Wisłą. Dywizja Litewsko-Białoruska bodaj pierwsza front przelamała. Bolszewik został odparty i można było go odeprzeć aż za dawne rubieże Rzeczypospolitej, gdyby zawczasu nie zażądał rozejmu. I wtedy to kresowiec ze zdumieniem usłyszał w okopach, że kiedy trupem słał każdą piędź ziemi, zdobywaną na wrogu, wniesiony został projekt pozostawienia mu tylko półtorasta dziesięcin z ojcowizny i wywłaszczenia reszty. Zasłyszał, że Joffe miał prawo ustępować Kresy aż po naturalne granice Dniepru i Dźwiny, ale delegat polski, p. Stanisław Grabski, postanowił się wyzbyć „wrzodu białoruskiego”, znajdując, że świeże okopy niemieckie są właściwszą granicą Rzeczypospolitej i, gdy delegacja polska pokojowa w Rydze z p. Dąbskim na czele traktowała ze zwyciężonym wrogiem, niepewnym nawet w owej dobie Kremlu i Kronsztadtu, zatem mogła żądać i otrzymać, coby tylko zechciała, delegacja za domniemane złoto potwierdziła dwa rozbiory kraju, odstępując bolszewikom zabrane niegdyś prowincje, rzucając na pastwę dzicyż życia i mienie ludności polskiej na Kresach. Przekreślając wszelkie tradycje historyczne, wszelką ideę jagiellońską, wszelkie cierpienia i prześladowania porozbiorowe na Kresach, całą pracę organiczną i kulturalną wielu pokoleń, wyrzekając się przez to wszelkiej misji Polski na Wschodzie i przepolawiając, w dodatku bez jej woli i wiedzy, prowincję białoruską i oddając na zemstę bolszewicką te zagrody i dwory, z których wyszli obrońcy tej wielkiej Ojczyzny, którą każdy w sercu nosił, za którą trwał w okopach i za którą całe pokolenia ginęły w tajgach syberyjskich lub kazamatach fortyfikacyjnych.

Wszak przy rozstrzygnięciu losów Kresów Wschodnich żadne przedstawicielstwo tych Kresów nie było powoływane, ani nawet dopuszczane w charakterze rzeczoznawczym lub doradczym; wszak wszelkie sprawy kresowców, którzy schronili się na terytorjum Królestwa i oczekiwali

wy wzajemnienia się za gościnność, względem uchodźców z Korony w 1915 roku okazaną, były do tego stopnia zapoznane, że prawo opcji, dające możność władania majątkiem za nową granicą wschodnią, było zapewnione traktatem tylko tym kresowcom, których traktat zastał na Białorusi lub Ukrainie, zatem tym, którzy z reżymem bolszewickim pogodzić się chcieli. Tak traktowano interesy kresowców w Rydze, tak lekceważono ich życie i mienie i te 6—7 milionów hektarów ziemi polskiej dobrowolnie bolszewikom oddano.

Gdyby pokój w Rydze był dziełem pewnych tylko partyj, możnaby odpowiedzialności zań nie wkładać na naród cały, ale naród nigdzie się nie odezwał, nigdzie nie zaproteutował; nie odezwało się nigdzie ani serce, ani sumienie narodu polskiego Sejm jednogłośnie bez żadnych restrykcji traktat ratyfikował; prasa stołeczna pokrywała milczeniem wszelkie protesty, z organizacji kresowych pochodzące, wszelkie wiece kresowców o twarzach białych, beznadziejnych, zrozpaczonych, że idea polska, której byli pionierami na Kresach, zbankrutowała u samej maciędzy, i ofiary, które dla niej niosło tyle pokoleń, poszły na marne, że kresowcy są tymi „murzynami, którzy mogą odejść, bo spełnili swe zadanie”.

Mogła nawet była Polska, wskutek konieczności dziejowej, wyrzec się idei jagiellońskiej, ale trzeba to było zaznaczyć zawczasu, nie zaś, pociągawszy całą ludność polską na Kresach do współdziałania, następnie ją rzucić, bez żadnych zastrzeżeń obrony życia i mienia, na pastwę dzikiej tłuszczy.

Tłała jeszcze wśród kresowców słaba nadzieja, że wśród wybrańców narodu w suwerennym Sejmie znajdzie się choć jeden poseł, który zaprotetuje przeciwko dobrowolnemu czwartemu podziałowi kraju, który się upomni o krzywdę, wyrządzoną mieniu i samookreśleniu narodowemu współbraci, co o tyle byłoby łatwiejsze, że przez nawpół otwarte podwoje sejmowe nie zaglądały bagnety jęgrów Siwersa, jak na obrazie Matejki, który zapewne Warszawa powita owacyjnie po rewindykowaniu go z Wiednia, ale chyba się nie odważy zawiesić go w sali sejmowej, aż się nie odezwie sumienie narodu i nie przemówi przez swych wybrańców „za kraj nasz krwią bratnią zbryzgań”. Nastąpić to musi, byleby tylko nie było zapóźno, gdy wszelkie ślady kultury zachodniej zmiecione już będą z Kresów Białoruskich i gdy pionierów tej kultury już nie stanie.

Nie umiały czynniki kierownicze młodego państwa sprostać swym obowiązkom i tym zadaniom, które były nakazem historii; nie chciały, czy nie zdołały wyzyskać biegu wypadków i owoców zwycięstwa nad wrogiem. Nadejdzie czas, gdy sąd historii wyda swój wyrok i napiętnuje tych, którzy przypieczętowali rozbiory Polski i zaprzepaścili jej granice. I wówczas nadejdzie chwila, gdy Kresy Wschodnie Rzeczypospolitej, których się Polska dzisiaj wyparła, znajdą się znowu w jej granicach i dzielić z nią będą wspólną dolę i niedolę, tak, jak od czasów unji dzieliły.

Ogólne zebranie Mińskiego Towarzystwa Rolniczego, które odbyło się dnia 1-go maja, tekst powyższej uchwały, zwanej „testamentem politycznym”, jednogłośnie przyjęło.

Z pośród siedemdziesięciu osób, biorących udział w zebraniu, 54 figuruje na liście obecności. Nazwiska te w kolejności podpisywania są następujące: 1) Mieczysław Porowski, 2) Henryk Grabowski, 3) Edward Woyniłłowicz (†), 4) Witold Łopott (†), 5) Stanisław Kleczkowski, 6) Ignacy Korybut-Daszkievicz, 7) Kazimierz Chrzanowski, 8) Wacław Wasilewski, 9) Edward Bielski, 10) podpis nieczytelny, 11) Prószyński, 12) Konstanty Okołów, 13) Zygmunt Rewieński, 14) Marjan Obieziński, 15) Edwin Piotrowski, 16) Ksawery Woyniłłowicz, 17) Szczesny Bronowski, 18) podpis nieczytelny, 19) Piotr Henryksen, 20) Aleksander Puciata, 21) Florjan Świda, 22) Ignacy Witkiewicz, 23) Hieronim Kieniewicz (†), 24) Michalina Radwan-Fieduszkowa, 25) Piotr Wańkowiec, 26) Jerzy Kotwicki, 27) Witold Wańkowiec z Kalużyc, 28) Karol Niezabytowski, 29) Leon Wańkowiec, 30) Ludwik Uniechowski, 31) Leon Jelski, 32) Bolesław Święcicki, 33) Jerzy Wyganowski, 34) W. Pietraszkiewicz, 35) B. Sławiński, 36) M. Prószyński, 37) Bohdan Ratyński, 38) Wanda Kotwicka, 39) A. Helmersen, 40) J. Zaleska, 41) Jerzy Czapski (†), 42) Janusz Radogost-Uniechowski, 43) L. Janowski, 44) M. Adamowicz, 45) J. Adamowicz, 46) Olgierd Jeleński, 47) Stefanja Wańkowiecowa, 48) Dr. Giedroyć-Juraha, 49) Witold Górski, 50) Czesław Dobrowolski, 51) Włodzimierz Skirmuntt, 52) Roman Jelski, 53) Stanisław Jelski, 54) Wacław Cywiński.

---



## A N E K S Y.

### I.

List J. Ostrowskiego do E. Woyniłłowicza.

*Warszawa, 25 lipca (7 sierpnia) 1906 r.*

Szanowny Panie Prezesie, po przyjeździe moim do Warszawy na 3 dzień spotkaliśmy się z p.p.: Dobieckim, Kronenbergiem i Jełowickim, którzy byli zdania, aby zawezwać wszystkich. Przedwczoraj przyjechali wezwani p.p.: Gawroński, Przewłocki, Napiórkowski, a także hr. Olizar przejazdem zagranicę i w komplecie 8-miu złożyliśmy naradę. Część główną wyniku tej narady przesłałem dziś Panu Prezesowi telegraficznie, obecnie zaś w imieniu wyżej wymienionych składam następujące wyrażenie naszych myśli.

Narada nasza wypadła na chwilę, kiedy już nadzieje utworzenia teraz Ministerjum z udziałem działaczy społecznych prawie zupełnie upadły. Dziś rano znów telegram doniósł nam treść komunikatu urzędowego, tłumaczącego powody nieutworzenia się takiego gabinetu. Pomimo to, z uwagi, że wypadki szybko po sobie następują, że mogą wyniknąć nawet w bliższej przyszłości różne nowe kombinacje, rozpatrzyliśmy sprawę uczynioną Panu przez Prezesa Ministrów propozycji wszechstronnie i zasadniczo i doszliśmy do następujących wniosków, mogą powiedzieć, jednogłośnie:

- 1) Przyjęcie udziału w Rządzie przez Polaka wogóle uważamy za pożyteczne i pożądane dla nas, raz ze względu na zyskany prejudykat, a powtóre z powodu wpływu, jaki ten udział winien zapewnić powołanemu. To przyjęcie ma być w każdym pojedyńczym wypadku zależne od tego, czy program Ministerjum odpowiada naszym przekonaniom politycznym, wyrażanym niejednokrotnie w naradach i postanowieniach Związku Kół Królestwa Polskiego i Krajów Litwy i Rusi.
- 2) W specjalnej sprawie zaproponowania Edwardowi Woyniłłowiczowi przez Prezesa Rady Ministrów Stołypina stanowiska towarzysza Ministra Rolnictwa, uważamy:
  - a) że zasadniczo stanowisko Towarzysza Ministra nie jest dostateczne, aby zapewnić wpływ w Radzie Ministrów, gdyż Towarzysz Ministra nie jest z urzędu jej członkiem, a tylko może zastępować ministra z jego delegacji, że stanowisko Ministra bez teki z prawem głosu w Ra-

- dzie Ministrów byłoby odpowiedniejsze celowi, jaki pragniemy osiągnąć w razie powołania nas do Rządu;
- b) że należy jednak uczynić wyjątek dla stanowiska Towarzysza Ministra Rolnictwa z powodu wyjątkowej ważności sprawy agrarnej i wielkiej pożyteczności wpływu naszego na tą sprawę, wpływu ludzi Zachodu, broniących się od poglądów wschodnich i dążących do tego, aby te poglądy uległy cywilizacyjnemu wpływowi zdrowych zachodnio-europejskich stosunków ekonomicznych, jakie my przedstawiamy. Szczególnie Pan Prezes Woyniłłowicz jest usposobiony przez swoje stanowisko pośrednie i ściśle wyrozumowane w sprawie agrarnej, jak również przez swoją osobistą energję i potrzebną w tym razie stanowczość, do pozyskania należytego wpływu nawet na stanowisku Towarzysza Ministra Rolnictwa;
  - c) że przyjęcie tego stanowiska może nastąpić tylko pod warunkiem, a mianowicie: utworzenia ministerjum z członków centrum Rady Państwa i prawicy byłej Dumy Państwowej lub zbliżonych do niej elementów i przyjęcia przez ministerjum co najmniej programu, jaki był wnoszony przez p. Prezesa Woyniłłowicza w centrum Rady Państwa.
- 3) Wobec trudności utworzenia gabinetu przez p. Stołypina, uważamy za wskazane, aby prezes Woyniłłowicz wszedł w porozumienie z działaczami społecznymi, którzy byli powoływani do Rządu i wogóle z całym tworzącym się stronnictwem „pokojuowego odrodzenia” („mirnago obnowlenja”) i starał się o przekonanie ich, że jest palącą sprawą utworzenia ministerjum, któremu kraj mógł, choć częściowo, zaufać już przed wyborami i w czasie wyborów i, że jest patriotycznym obowiązkiem każdego dobrego obywatela z zaparciem się siebie samego ratować społeczeństwo i państwo od anarchji i rewolucji. Te wnioski odnoszą się tak samo do położenia, jakiego powstało przez powołanie innego prezesa Rady Ministrów. Może właśnie takie postąpienie Władzy Najwyższej mogłoby jeszcze doprowadzić do większej celowości w działaniu Rządu i skłonić liberalne czynniki porządku do wzięcia władzy w rękę.

Dobiecki dzisiaj wyjechał do Karlsbadu, potem Wiesbadenu, ma wrócić dopiero 1 października. Ja zamierzam jechać na wieś, jak tylko się skńczy zebranie ogólne Towarzystwa Kredytowego. Ze względu na nasze nieszczęsne stosunki w kraju różne osoby w Warszawie wyrażają życzenie, abyśmy razem z Wład. Wielopolskim jechali wkrótce do Petersburga.

Zobaczymy w miarę okoliczności, co nam wypadnie przedsięwziąć. Gdybyśmy wtedy potrzebowali rady lub współdziałania Pana Prezesa, pozwolę sobie odwołać się do Jego łaskawości. Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego uszanowania z jakim się dla Prezesa piszę i pozostaję  
(—) Józef Ostrowski.

II.

Odezwa w sprawie pozbywania się ojcowizny na Kresach.

RODACY!

Z wielu stron kraju dowiadujemy się o częstych objawach wyzbywania się ziemi przez ludność naszą. Objaw ten jest karygodny nie mniej, niż każde inne zaprzaństwo lub odstępstwo narodowe, a jako taki nie może pozostać bez należytego potępienia, o ile uświadamiamy sobie zło, stąd wynikające.

Ziemia nasza, w rozległych granicach Rzeczypospolitej zawarta, była od wieków cnót obywatelskich krzewicielką. Stanowiła sobą ostoję naszego bytu. Była warownią, z której nieprzerwanie wychodzili obywatele, krwią i mieniem dla dobra sprawy narodowej ofiarni. Pokolenia, od Piastów i Jagiellonów począwszy, czerpały z niej siły i bodźce do walki o rozwój narodowy. Dziś wielu z nas ziemi uszanować nie umie, wielu nie chce wartości istotnej nadawać tej drogocennej relikwji, przekazanej nam w skarbcu naszym. Powodując się zaślepieniem, lub złym instynktem, sprzedawczycy nie widzą w ziemi nic ponad jej wartość rynkową, a dla wygod życiowych zamieniają ziemię na pieniądze, świadomi tego, że, wyprzedając ją w ręce obce, zmniejszają tem na zawsze nasze posiadanie.

W tem zatraceniu poczucia obowiązków wobec społeczeństwa upatrujemy poważne niedomaganie naszego ogółu. A życie zbiorowe narodu, o ile o sumienie obywateli nie jest oparte, nie może rokować lepszego jutra. Nasza wartość istotna, nasza konstytucja duchowa uzależnione są od ciągłej naszej podniosłości ducha i ustawicznej czujności. Jeżeli nie ma po nas pozostać „wielka cisza na ziemi”, jeżeli nie mamy zakończyć naszej misji dziejowej dobrowolną abdykacją, zejściem do roli przeżytków, którzy z siebie dać mogą tyle tylko, że założą sobą nowych narodów początek, jak tegoby pragnął od nas niejeden nasz wróg jawny lub ukryty, — to winniśmy posiadać tę dojrzałość uczucia, która się zwie ofiarą, i jak nieugięta straż nie ustawać w utrudnionem częstokroć, lecz po wsze czasy niezmiennem, przekazanem nam pokoleniami, trwaniu przy ziemi.

Nie ludźmy się, że tem lub innem dorywczem wezwaniem zdołamy zło wypłenić. Zbyt wiele czynników rozkładowych wpływa na osłabienie naszego ducha narodowego, na paczenie naszej wewnętrznej wartości, by smutne objawy, tu zaznaczone, mogły być wytępione radykalnie. Albowiem, gdy nad przyćmieniem oświaty, nad zatraceniem elementów, warunkujących nasz rozwój duchowy, nad zaszczepieniem w nas przeróżnych zgubnych nowotworów — doktryn pracuje tyle wrogich nam środowisk, — w warunkach takich wszelkie ostrzeżenia, każde nawoływanie mogą częstokroć pozostać bez echa.

Tych obojętnych na głos sumienia i wezwanie ogółu nie powinniśmy uważać za naszych braci.

Tym kupczącym naszą ziemią sprzedawczykom damy teraz odpór należyty. Każdy Polak odwróci się od nich, odtrąci od siebie ze wzdrganą i będzie odtąd ich piętnował na czarnych listach zdrajców i odstępców, by wieść o nich poszła po całym narodzie, i by imiona ich przeszły do potomności.

*Grono spółobywateli.*

1914 r.

### III.

## Szkic do historii powstania Polskich Rad Narodowych na Białej Rusi.

*(Rada Ziemi Mińskiej).*

Myśl stworzenia organu kierowniczego do wszystkich spraw polskich w pierw w każdej gubernji z osobna, a następnie na całym terenie Białej Rusi powstała w pierwszych dniach rewolucji rosyjskiej. W Mińsku samym już w marcu roku 1917 poczęto odpowiednie zabiegi z zamiarem urzeczywistnienia tego projektu. W tym celu na licznym wiecu polskim wyłoniony został Tymczasowy Komitet Organizacyjny, któremu poruczono zorganizowanie wyborów wśród ludności polskiej w Ziemi Mińskiej i zwołanie zjazdu narodowego. Podjęte zostały prace przygotowawcze w celu uświadomienia szerokich warstw ludności polskiej, zwłaszcza wiejskiej, o konieczności zrzeszenia się na gruncie interesów narodowych. Myśl ta napotykała w najodleglejszych zakątkach nad podziw przychylne przyjęcie.

Całą Mińszczyznę w celu otrzymania możliwie dokładnego przedstawicielstwa na zaprojektowanym zjeździe podzielono na kilkadziesiąt (około 40) okręgów, odpowiadających mniej więcej granicom gmin, lub najczęściej parafij. Też same okręgi służyły za terytorjalne jednostki wyborcze. W celu obesłania zjazdu przez delegatów od wszystkich okręgów, w każdym z nich dokonano głosowania, do wzięcia udziału w którym wezwana była cała ludność polska, dany okręg zamieszkująca, drogą powiadomienia uprzednio wszystkich osad, zaścianków, miasteczek, wsi i dworów, gdzie tylko przeważające skupienia tej ludności się znajdowały. Każdy okręg był upoważniony do wysłania na zjazd po dwóch przedstawicieli.

W drugiej połowie maja 1917 roku (21—23 maja) stało się możliwe zwołanie w Mińsku zjazdu polskiego z udziałem przedstawicieli wybitnej większości całej ziemi mińskiej od różnych warstw ludności. Miasto Mińsk otrzymało na zjeździe  $\frac{1}{5}$  miejsc.

Po dokonanych w ten sposób wyborach i zwołaniu na 21 maja 1917 r. Zjazdu Polskiego w Mińsku, w dniu tym stawiło się na zjazd 74 delegatów ludności polskiej w Mińszczyźnie, mających prawomocne i sprawdzone mandaty.

W skład obecnych 74 delegatów wchodziło: 31 drobnych rolników (szlachta zaściankowa i włościanie), 15 ziemian, 10 inteligencji pracującej



(adwokaci, lekarze, inżynierowie, nauczyciele), 7 księży, 6 administracji rolnej i służby dworskiej i 5 mieszczan i rzemieślników. W ten sposób zjazd powyższy w osobach swych delegatów reprezentował liczne i szerokie koła ludności polskiej z najbardziej odległych zakątków gubernji.

Delegowani do Mińska na pierwszy zjazd polski przedstawiciele podczas trwania trzydniowych obrad proklamowali między innymi utworzenie Rady Polskiej Ziemi Mińskiej, wyłaniając drogą wyborów Komitet Wykonawczy.

Dokonane w tym celu wybory dały następujące wyniki, powołując do utworzonego w ten sposób przedstawicielstwa narodowego następujących ludzi :

Na Prezesa Rady Polskiej Ziemi Mińskiej obrany został p. Hieronim Kieniewicz. Pozatem obrani zostali w porządku otrzymanej ilości głosów : P. P. Edmund Iwaszkiewicz, Witold Wańkowicz, Włodzimierz Kryński, Czesław Krupski, Zygmunt Rewieński, ksiądz Michał Majewski, Konstanty Demidecki - Demidowicz, Feliks Hilchen, Ignacy Porębski, Marjan Massonius, Tomasz Szalewicz, Emanuel Obrąpalski, Maurycy Potocki i Józef Święcicki.

W ciągu roku pracy zaszły pewne zmiany w składzie Rady, głównie z powodu usunięcia się kilku osób z powodu braku czasu lub wyjazdu z Mińska, to też przed powtórny zjazdem polskim już nie cały zespół osób, wybranych uprzednio, stanął w komplecie.

Zjazd powtórny w podobny sposób jak i pierwszy organizowany, z tą różnicą, że wobec istnienia od roku przeszło na całym terenie Mińszczyzny w okręgach tak zw. Rad Okręgowych, coby w innych warunkach znacznie mogło ułatwić jego zwołanie, odbył się w czerwcu roku 1918 (18 i 19 czerwca). Był on mniej nieco liczny, aniżeli pierwszy, gdyż miało to miejsce tym razem w warunkach okupacji niemieckiej. Jednak wzięło w nim udział 63 delegatów ze znacznej większości okręgów. Skład jego był mniej więcej zbliżony do poprzedniego, a mianowicie : 25 drobnych rolników (zaścianki i wsie), 15 inteligencji pracującej, 12 ziemian, 5 mieszczan i rzemieślników, 4 księży i 2 administracji rolnej.

Skład Komitetu Rady Polskiej Ziemi Mińskiej po dokonanych na drugim zjeździe ponownych wyborach przedstawia się jak następuje :

Prezes Rady p. Hieronim Kieniewicz, Członkowie : p. p. Edmund Iwaszkiewicz, Witold Wańkowicz, Czesław Krupski, ksiądz Michał Majewski, Józef Święcicki, Emanuel Obrąpalski, Konstanty Demidecki - Demidowicz, Ignacy Porębski, Marjan Massonius, Konstanty Prószyński, Ignacy Witkiewicz, Kazimierz Rybiński, Edmund Jeśman, Kazimierz Petrusiewicz, Mieczysław Porowski, Stanisław Dobraszczyc, Władysław Osiecimski, Władysław Raczkiwicz, Andrzej Tupalski, Józef Iwaszkiewicz, Tomasz Szalewicz, Polikowski, Piotrowski, T. Błażejewicz, Konstanty Rdułtowski, ks. Józef Herget, Witold Wańkowicz (II), Karol Niezabytowski.

Z powyższego składu przebywa obecnie w Warszawie 22 członków Komitetu Rady Polskiej Ziemi Mińskiej.

IV.

Zobowiązanie Polaków z Kresów Wschodnich o zadłużeniu hipotecznem majątków ziemskich na zabezpieczenie pożyczki zagranicznej, zaciągniętej przez Skarb Polski.

Na ogólnem zebraniu Związku Polaków z Kresów Białoruskich, odbytem w dniu 14 lutego r. b., uchwalono, że każdy Polak, posiadający nieruchomość ziemską na Litwie, Białej Rusi i Inflantach, obowiązany jest wziąć udział w podpisie gwarancyjnej, ułatwiającej zaciągnięcie przez skarb Polski pożyczki zagranicznej i w tym celu winien złożyć: 1) oświadczenie, wykazujące szacunek posiadanego majątku oraz zadłużenie hipoteczne takowego i 2) zobowiązanie płatne w 1924 r. w walucie francuskiej na sumę mniej więcej 25%0 czystej wartości swoich posiadłości.

Dla oszacowania majątku przyjęte zostały normy od 40 do 200 franków za dziesięcinę, jakowe normy każdy zgodnie ze swoim sumieniem zastosować powinien. Wykaz posiadanych prócz tego aktywów i długów prywatnych obowiązujący nie jest i pozostawia się w zupełności do dobrej woli podpisującego. — Wzamian wyżej wskazanego zobowiązania Skarb Polski wydaje kontrrewers z obowiązkiem zwrócenia całkowicie przez Skarb opłaconego zobowiązania przed upływem oznaczonego w nim terminu. — W wykonaniu przytoczonej wyżej uchwały Zarząd Związku Polaków z Kresów Białoruskich uprzejmie prosi Szanownego Pana, wypełnić załączone przytem dwa blankiety i przybyć z niemi na ulicę Długą Nr. 50, do pokoju Nr. 401, dnia 12 marca od godziny 6 do 8 wieczór, dla podpisania takowych dokumentów przed rejentem, który dla stwierdzenia własnoręcznych podpisów zawezwany przez Zarząd na ten czas został.

*Zarząd.*

V.

Rada Narodowa Polska Ziem Białoruskich do Sejmu Ustawodawczego w sprawie kooptowania posłów z Kresów.

*Wysoki Sejmie Ustawodawczy!*

Polski Sejm Ustawodawczy, powołany do odbudowy Państwa Polskiego, powstającego dziś, w wyniku wojny powszechnej, musi mieć w swoim składzie przedstawicieli wszystkich ziem, to Państwo niegdyś stanowiących. Brak przedstawicieli którejkolwiek z dzielnic Polski czyniłby Sejm Ustawodawczy nie zupełny, nie obejmujący całokształtu stosunków i interesów odradzającego się Państwa.

Wobec tego, że granice zmartwychwstałej Polski nie są jeszcze

ustalone, zwołanie Sejmu Ustawodawczego winno być oparte na tej zasadzie, że cały dawny obszar Rzeczypospolitej, przez potęgi zaborcze podzielony, winien stanowić ten teren, z którego mają być powołani posłowie do Sejmu.

Zasady te zostały uznane w zupełności przez Naczelną Władzę Państwową Polskie, o czym najwymowniej świadczy dekret o zwołaniu Sejmu Ustawodawczego z dnia 28-go listopada 1918 roku, stwierdzający konieczność wprowadzenia do Sejmu przedstawicieli Ziem Litewsko-Ruskich, Wschodniej Galicji i zaboru Pruskiego.

Ziemie te, nie wyzwolone jeszcze z obcej przemocy, nie są w stanie zadośćuczynić wszystkim wymaganiom ordynacji wyborczej i, gdyby wymagania te w całej rozciągłości stosowane być miały, to tylko Polska Kongresowa i Galicja Zachodnia otrzymałyby prawo przedstawicielstwa do Sejmu Ustawodawczego.

Trudności te przewidział dekret sejmowy i stwierdził konieczność wprowadzenia przedstawicielstwa Ziem Litewsko-Ruskich do Sejmu na zasadzie porozumienia z miejscowem społeczeństwem polskiem. (Dekret o wyborach do Sejmu z dnia 28 listopada).

Na ziemiach białoruskich społeczeństwo polskie zorganizowało już w r. 1917 własną reprezentację, opartą na podstawie wyborów powszechnych, pod nazwą Rad Narodowych Polskich. Rady te przy swem ukonstytuowaniu zostały upelnomocnione do decydowania we wszystkich sprawach polskich, zarówno politycznych jak społecznych, i z tego tytułu kierowały całokształtem życia polskiego na Białorusi (stanowiąc reprezentację polityczną społeczeństwa nazewnątrż, kierując wyborami do samorządów ziemskich, rad miejskich, konstyтуanty rosyjskiej, organizując szkolnictwo, samoopodatkowanie); wszystkie odłamy społeczeństwa miejscowego innych narodowości, jak również instytucje porewolucyjne rządowe i samorządowe stałe widziały w Radach Polskich naczelną władzę społeczeństwa polskiego. Wobec tego Rady te przedstawiają wolę ludności miejscowej i jako takie muszą być uważane w obecnych warunkach za ciało jedynie miarodajne do wyłonienia przedstawicielstwa sejmowego.

Przedstawicielstwo to co do samej liczebności powinno być obliczone w tym samym stosunku do miejscowej ludności polskiej, jaki przyjęty jest dla całej Polski, t. j. po jednym pośle na 50 tysięcy ludności polskiej. Przyjmując te zasady i obliczając, nawet na podstawie niekorzystnych dla nas źródeł rosyjskich, ludność polską obszarów białoruskich i Inflant na przeszło 600 tysięcy, otrzymujemy dwanaście (12) mandatów, do których kresy białoruskie mają prawo.

Mandaty te Zjednoczone Rady Polskie Ziem Białoruskich i Inflant zamierzają obsadzić w ilości wskazanej, przez dwunastu kandydatów wymienionych w załączniku, zaznaczając, iż przedstawicielstwo to powinno być uważane za czasowe, do chwili możliwości przeprowadzenia na tych ziemiach wyborów na zasadach ogólnych.

Na zasadzie powyższego Rada Narodowa Polska Ziem Białoruskich, jako jedyne przedstawicielstwo polskie z Kresów Białoruskich, ma zaszczyt prosić, by

*Wysoki Sejm Ustawodawczy uchwalić raczył:*

kandydatów na posłów, zgłoszonych przez Radę Narodową Polską Ziemi Białoruskich, a mianowicie:

1. *Bujnickiego Adama* — dyrektora banku w Witebsku.
  2. *Dobraszczyca Stanisława* — szewca, rzemieślnika z Mińska.
  3. *Dowgiałło Wojciecha* — inżyniera z Inflant.
  4. *Gordziałkowskiego Konstantego* — rolnika gub. mohylowskiej.
  5. *Iwaszkiewicza Edmunda* — adwokata z Mińska.
  6. *Krupskiego Czesława* — redaktora „Dziennika Mińskiego”.
  7. *Łubieńskiego Leona* — ziemianina gub. mohylowskiej.
  8. *Obiezińskiego Mirosława* — adwokata z Mohylowa.
  9. *Porowskiego Mieczysława* — dyrektora Syndykatu Rolniczego w Mińsku.
  10. *Raczkiewicza Władysława* — adwokata z Mińska.
  11. *Rożnowskiego Aleksandra* — adwokata z Witebska i
  12. *Wasilewskiego Wacława* — ziemianina gub. mohylowskiej,
- powołuje się do Sejmu Ustawodawczego, zaliczając ich w poczet równoprawnionych posłów.

VI.

W sprawie Duchowieństwa Prawosławnego na Kresach.

*Memoriał napisany w r. 1921 przez ś. p. E. Woyniłłowicza na żądanie p. ministra E. Piltza.*

Zakreślając granice wschodnie odradzającej się Polski, daleko nie sięgające do przedrozbiorowych, Rząd Rzeczypospolitej zapewne musiał się kierować względami ogarnięcia połaci kraju z możliwie silnym procentem ludności katolickiej i następnie postanowił element ten wzmocnić uchwaleniem rozdawnictwa ziemi zasłużonym żołnierzom, przyczem nawet względy strategiczne, dążące do opanowania brzegów większych arterij wodnych, w części zapoznane zostały.

Nie mówiąc już o tem, zajmwszy część Kresów Wschodnich najwięcej zaludnioną i w posiadaniu ziemiaństwa polskiego będącą, którego prawomysłność państwowa nie mogła ulegać żadnej wątpliwości i uszczuplając jej stan posiadania na rzecz elementu ekonomicznie słabego i w nowych warunkach bytu mało się orjentującego, państwo nie przewidziało powrotu tych placówek do ludności miejscowej, inowierczej, przez ustępowanie swych parceli przez obdarowanych żołnierzów na rzecz włościan sąsiednich, a z drugiej strony, nie liczyło się z niechęcią autochtonów do przybyszów i do kolportowanej przez nich idei, albowiem ludność tubylcza przywykła się uważać za najbardziej uprawnionych spadkobierców większej własności. Propagandy w tym kierunku nigdy jej nie brakowało: ale przykłady kolonizacji w innych państwach, chociażby nawet z tak wyrobionym mecha-



nizmem administracyjnym jak Rzeszy świadczą, że rezultaty tej metody są zbyt nikle w porównaniu z zatraconemi funduszami: osady wielkorusyjskie koło fortec w Królestwie, dobra donacyjne, nie zmieniły oblicza kraju. Liczne zaścianki szlacheckie na Białorusi, używające języka polskiego tylko w kościele, świadczą na samem miejscu, jak silną jest atrakcja żywołu tubylczego na ludność przybyłą. Mechaniczne unarodowienie wszędzie wykazało swoją bezcelowość. Ważniejsze są wpływy waluty psychicznej. Dla potęgi zatem Państwa ważniejszym jest mieć zaludnienie niekoniecznie mówiące językiem państwowym, ale czujące się dobrze pod władzą tego państwa, od którego ma zapewnione warunki rozwoju narodowościowego, tudzież podstawy materialnego i moralnego dobrobytu. Przy zapewnieniu tych warunków państwo na elemencie, chociaż inoplemiennym, spokojnie polegać może.

Przy tak długiej linii granicznej, przepoławiającej w dodatku kraje białoruskie, rzecz naturalna, że porównywanie warunków panujących po jednej i po drugiej granicy, ogromnie na nastrój ludności oddziaływać musi. Chaos ogromny, panujący w Bolszewji, dla niektórych może i ponętny, w rachunek wchodzić nie może: naprzód, że anarchja póty tylko dla żywołów wywrotowych jest korzystną, póki zasoby, starym ładem zgromadzone, się nie wyczerpią, powtóre, na takich żywołach żaden ustrój państwowy dłużej opierać się nie może. Przeciwnie, trzeba zawsze żywołom państwowotwórczym dać przewagę — potrzeba ich aspiracjom zadość uczynić.

W objętej części kraju białoruskiego, Rząd Polski znajdzie i ziemiaństwo polskie, ludność miejską, prawie wyłącznie żydowską i ludność wiejską białoruską z pewnym odcieniem grupy poleskiej. Ziemiaństwo polskie, zjednoczone w towarzystwach rolniczych, tudzież, „związku ziemian” wytrwaniem na zajętych placówkach i utrzymaniem charakteru polskości objętego traktatem ryskim kraju dało dowód swej odporności na wszelkie wynarodowiające wpływy. Sprawa żydowska wchodzi w zakres interesów wszechświatowych i na brak opieki i oświetlenia wszechstronnego uskarżać się chyba nie może. Pozostają sprawy ludności wiejskiej za Bugiem, ludności przeważnie inoplemiennej i inowierczej, wciągniętej obecnie w orbitę państwowości polskiej, której orientacje i aspiracje muszą być przyjęte w rachubę, tak, aby się wszystkim, w tej nowej Polsce dobrze działo.

Skoro się mówi o ludności wiejskiej, zawsze na pierwszy plan wysuwa się kwestja agrarna i po za nią nie widzi się innych potrzeb życia włościańskiego. Że każdemu przedewszystkiem chleb potrzebny, rzecz oczywista, ale, że nie jednym tylko chlebem człowiek żyje, też oddawna wiadomo i korzystanie z posiadanego chleba i zdobycie tego chleba, nie przemocą, nie w sposób krzywdzący bliźniego, ale w sposób uszlachetniający pracownika jest czynnikiem tak ważnym w ustroju każdego państwa i każdego społeczeństwa, iż lekceważyć tej strony życia ludu wiejskiego nie należy, a przeciwnie, oddziaływać wypada nowemu organizmowi państwowemu w sposób właściwy, dla uspołecznienia tej licznej kategorii swych obywateli i wprowadzenia w ich środowisko uszanowania tych praw ludzkich i boskich, które z natury swojej spokojna i pragnąca ładu ludność,

białoruska w swem sumieniu nosi, lecz które anarchją, obecnie panującą we wszelkich dziedzinach ducha i życia społecznego, zachwiane zostały.

Co się tyczy praw ludzkich, to nowy ustrój państwowy może się poszczycić zaufaniem, które sądownictwo polskie w objętych Kresach sobie zdobyło, lecz co się tyczy utrwalenia praw Boskich, to sprawy wyznaniowe dotychczas lekceważone były i stanowisko duchowieństwa prawosławnego nie było dotychczas przedmiotem szczególnej pieczy administracji państwowej, a jednak to sprawa wymagająca głębszego zastanowienia, bo pomimo całej bezduszności urzędowej cerkwi rosyjskiej i sprowadzenia jej duchowieństwa do roli urzędników synodalnych, jednak wpływ duchowieństwa na ludność wiejską już wskutek połączenia jej obrzędów z najważniejszymi chwilami życia ludzkiego, nie może być zapoznany.

Stanowisko prawno - państwowe duchowieństwa prawosławnego wskutek wypadków doby ostatniej, uległo zasadniczej zmianie: otoczony za czasów caryzmu specjalną opieką władz, jako nietylko wyznawca religii panującej, ale jako przedstawiciel panującej narodowości, panującego reżymu, wspominający co chwila w nabożeństwie na równi ze świętymi cerkwi członków rodziny panującej, duchowny prawosławny nagle przy przejściu kraju pod władze polskie uczuł się wykolejony, bez specjalnej opieki policyjnej, do której już się był przyzwyczał, bez zorganizowanej hierarchji, której nie wiedział gdzie szukać, bez wskazówek nawet kogo w molebstwach wspominać należy. Dochodziły go tylko od czasu do czasu wieści o zabieranych powtórnie przez katolików, lub burzonych świątyniach.

Ta zmiana stanowiska, naturalnie, jeszcze więcej niepomysłnie na usposobieniu duchowieństwa względem nowych stosunków byłaby się odbiła, jeśliby to duchowieństwo nie przeżyło doby przejściowej, panowania bolszewików, których stosunek do duchowieństwa był szczytem lekceważenia, a nieraz i brutalności, tak, że w wielu miejscowościach kult prawosławny wstąpił w otwierające się podwoje cerkwi, dopiero po objęciu kraju przez wojska polskie, co z wdzięcznością zaznaczył w swem przemówieniu miejscowy archierej w Mińsku do Naczelnika Państwa.

Ta chwila pewnego odpoczynku pod opieką władz polskich, po naigraniach bolszewickich, powinnyby zostać wykorzystaną przez rządy polskie, które zainteresowaniem się pozycją materjalną duchowieństwa, podniesieniem jego dobrobytu i autorytetu w parafji, mogłyby łącno zdobyć w tem duchowieństwie adeptów nowego porządku rzeczy, a zgłoszeniem się do wybitniejszych hierarchów, zwołaniem zjazdu lub quasi soboru, mogłyby przeprowadzić w ich środowisku koncepcję wyzwolenia cerkwi prawosławnej na terenie Kresów Wschodnich od nienawidzonego przez większość, a mogącego się w przyszłości jeszcze się odrodzić Synodu, lub od będącego w cięższej zależności od bolszewików patriarchy moskiewskiego, bądź to przez utworzenie autocefalji, bądź to przez poddanie się władzy patriarchy w Carogrodzie. Wszystko to w chwili obecnego rozproszenia owczarni prawosławnej nie byłoby może sprawą tak trudną, tem więcej, że konieczność reformy cerkwi dawała się wyczuwać wśród wiernych, jeszcze przed wojną światową, w tak nazwanej dobie wolnościowej państwa rosyjskiego, gdy światlejsi wyznawcy kościoła wschodniego,

widząc całą martwość ówczesnego prawosławia, nie mogącego zadowolnić aspiracji duchownych narodu i rozbijającej się na coraz to potworniejsze sekty cerkwi, dążyli wciąż do reformy, którą miał przeprowadzić pożądanym przez wszystkich sobór, nieodzowność którego uznawał i rząd ówczesny, ale, jak zwykle, działając półśrodkami i z brakiem szczerości w zamiarach, chciał zebrać w składzie, przez siebie ułożonym, a nie przez wybór narodu wskazanym. Ten nastrój ogólny, tę chwilę przełomową, należałoby wyzykskać, aby w duszpasterstwie obrządku wschodniego uzyskać siły i poparcie nie wrogo, ale na korzyść państwa działające, aby nie tak, jak za Stanisława Augusta, Sadkowski wznosił modły za carycę w monasterze słuckim, lecz gdyby w soborach bito w dzwony na rocznice narodowe.

Że we wszelkich okazjach występowania poza obrębem kościołów lub cerkwi, duchowieństwo obu obrządków powinno być jednostajnie na Kresach uważane i traktowane przez władze państwowe, nie ulega wątpliwości. Wspomnienia historyczne dają ku temu miarodajne wskazówki: niedopuszczenie duchowieństwa unickiego do krzesel w senacie w dawnej Polsce nie mało autorytetu samej Unji odjęło: historia musi być mistrzynią życia.

## VII.

### Głos ziemianina \*).

Z ojców mych ziemi przez wroga wygnany... zamieszkały na przeciwniejszych kresach Rzeczypospolitej, straciwszy przez to stałe zetknięcie z życiem i prasą Litewsko-Białoruskich kresów, dziwnym zbiegiem okoliczności, natknąłem się, wprawdzie z wielkim opóźnieniem na Nr. 93 „Gazety Wileńskiej”, z dnia 26 kwietnia 1922 r. i w odcinku natrafiłem na zdanie, iż ziemianstwo kresów wschodnich było uprzywilejowane w państwie rosyjskim w swoich interesach stanowych i gospodarczych, z czego wynik jest jasny: iż więcej dać mogło — niż dało.

Gdybym to był wyczytał w organach prasy warszawskiej, albo też mała lub wielkopolskiej, mała byłbym zdziwiony, albowiem w twierdzeniach swoich prasa ta nieraz dawniej odznaczała się zupełną nieznaną się stosunków kresowych na Wschodzie, a w dobie obecnej, jeśli prawie zupełnie o nich nie wspomina, to nie dla braku informacji, ale dlatego, że zwykle niechętnie wspomina się o tych — którym krzywda się stała: niechęć ta sięga tak głęboko, że kiedy przed rokiem ogólne zebranie członków Mińskiego Towarzystwa Rolniczego w Warszawie, na Kopernika 30, zaprotokółowało w dniu 1 maja swój, rzekłbym, testamentowy pogląd na swoją wieloletnią działalność i osiągnięte rezultaty — żadne pismo warszawskie, poznańskie, krakowskie ani lwowskie, protokołu tego umieścić na swych szpaltach się nie zgodziło, pomimo bardzo poważnych nalegań i pomimo, że sprawa się dotyczyła instytucji, która tak znaczącą rolę odegrała

---

\*) „Słowo” Nr. 27, piątek 1-go września 1922 r. i Nr. 32, czwartek 7-go września 1922 roku. Wilno.

w życiu społecznym i narodowym kresów wschodnich. Pisma nie lubią niemiłą prawdą drażnić sumienia czytelników.

Że wyżej przytoczony wyjątek wyczytałem w organie wydawanym na kresach, zatem więcej świadomym warunków miejscowych — i wyczytałem bez zwykłych w takich razach zastrzeżeń redakcji — byłem tem mocno zdziwiony ale, będąc do pióra nie skory, milczałem, myśląc, iż artykuł ten pochodzi od przygodnego jakiego korespondenta z Kongresówki, lecz kiedy przy końcu artykułu w Nr. 96, wyczytałem podpisane nazwisko znanego ziemianina z nad Berezyny, z autorytetem którego liczyć się mogą — uważałem za swój obowiązek umoczyć pióro, aby nie ponieść zarzutu „qui tacet, consentire videtur”: obowiązek ten dla mnie stał się poniekąd poważniejszym, iż niegdyś stanąłem do pracy społecznej i to nie w ostatnim szeregu z ojcem szanownego autora, który za udział swój w wypadkach 1863 roku wiele wycierpiał.

Nie mam zamiaru polemizować ze wszystkimi przesłankami szanownego autora, zamieszczonemi w jego artykułach „o naszym ziemiaństwie kresowem” — podejmą się może tego lepiej odemnie ci, na których on się powołuje, jak np. ów ziemianin wracający ze Sztokholmu, a może p. p. Dmowski lub Korwin-Milewski—o ile z poglądami autora zgodzić się nie zechcą, lub dotkniętymi się uczują; co się tyczy ogólnikowego zarzutu, iż ziemiaństwo kresowe nie starało się wychowywać swych synów w Warszawie, to tylko przypomnę autorowi, iż rządy ówczesne wydały były zakaz przyjmowania do zakładów średnich i wyższych w Warszawie młodzieży kresowej, a jeżeli przytem istniały jakie inne pobudki, to niech je wskażą rodzice z Kongresówki, którzy i teraz posyłają swe dzieci do Krakowa, Poznania i Bydgoszczy. Ja chcę się tylko ograniczyć wykazaniem, iż podstawy, z których szanowny autor wysnuł swe następne twierdzenia, a mianowicie, iż „ziemiaństwo kresowe było za rządów carskich uprzywilejowane w swych interesach stanowych i gospodarczych”, były zasadniczo błędne i zatem nie jest wykluczona mylność wprowadzonych z nich wniosków.

Zacznijmy od „przywilejów stanowych”. Wiadome jest każdemu, iż ziemiaństwo kresowe, składające się wyłącznie ze szlachty, pozbawione było od lat 60-ciu głównego swego przywileju, a mianowicie wyborów, tak zwanych „elekcyj”, podczas których miało prawo podawać petycje do tronu w swoich potrzebach i aspiracjach: np. szlachta gubernji mińskiej—bo kiedy mowa o kresach Białoruskich, Mińszczyznę, jako jej centrum, szczególnie trzeba mieć na względzie, kiedy zatem szlachta mińska, podczas ostatnich elekcyj 1862 roku, powzięła zamiar podania petycji do tronu o połączeniu swej gubernji z Królestwem Polskiem—elekcje zostały przez Rząd zerwane i: świeżo przez szlachtę nabyty, dla pomieszczenia Deputacji „Wywodowej” i marszałka gubernjalnego, dom — został obrócony na więzienie dla więcej opornych aspirantów. Odtąd szlachta została pozbawiona swych przedstawicieli z wyborów—i sprawy stanu szlacheckiego powierzone „predwoditielom” z nominacji, nieraz nawet nie ze stanu szlacheckiego pochodzącym: pozostało zatem tylko szlachcie „privilegium odiosum” — obowiązek płacenia kontrybucji, od której każdy ziemianin,



choćby katolik i pan najobszerniejszych włości — byleby nie szlachcic — był uwolniony; wątpię, aby to były przywileje stanowe, na które chciał powoływać się szanowny autor — albo też za specjalny przywilej miał uważać ograniczenie udziału ziemiaństwa polskiego w organizacjach samorządowych lub Izbach prawodawczych — co zaraz nastąpiło, gdy gubernia mińska samych Polaków do I-ej Dumy i Rady Państwa wysłała; zapytać zatem wypada, a gdzież te przywileje stanowe ?

Jeżeli zwrócimy się do przywilejów gospodarczych, to nie przypuszczam, aby szanowny autor chciał podkreślić, iż szlachta kresowa była więcej uprzywilejowana 10 grudnia 1865 r., niż 20 lipca 1919 r., albowiem można porównywać doniosłość aktów prawodawczych tylko na tle epoki ich wydania, a nie w zmienionych, z biegiem czasu, warunkach bytu. Jeżeli dekret 20 lipca 1919 roku, zachwiawszy prawo własności, tak zgubnie oddziałł na produkcję rolną większych gospodarstw w Królestwie i zachwiane prawo własności zabiło wszelką inicjatywę do nakładów i meljoracji — to ukazy 10 grudnia i następne, aczkolwiek nie groziły wywłaszczeniem, ale ograniczając prawo rozporządzania się testamentowego, prawo zastawu i wogóle prawo wszelkich tranzakcyj majątkowych między osobami, tak zwanego „pochodzenia polskiego”, ukazy które zapadły bezpośrednio prawie po wstrząśnieniach powstaniowych 1863-go roku i uwłaszczeniu włościan, przy niesłychanej podówczas niżce cen zbożowych, ukazy te powtarzam, ciężkiem brzemieniem padły na stosunki ekonomiczne Kresów Wschodnich i nigdy chyba do przywilejów gospodarczych zaliczone być nie mogą. Jeżeli wszystko to ziemiaństwo nasze na Kresach przetrwało i ziemi z rąk nie wypuściło, a synów swoich w Ojczyznę potrzebie w okopy posłać mogło, to do wręcz innych niż szanowny autor muszę dojść konkluzji — i powiem, że nie znajduję dosyć słów uznania dla ziemiaństwa polskiego na Kresach, a sam do jednej tylko względem tego ziemiaństwa poczuwam się winy, a mianowicie, iż, jako niegdyś, przez lat pięćdziesiąt zaszczytany wyborami tegoż ziemiaństwa na różne zaszczytne stanowiska i zatem mogący liczyć na swoją znajomość społeczeństwa kresowego, dostatecznie nie doceniałem jego wartości i energii życiowej i nigdy się nie spodziewałem, że ziemiaństwo kresowe zda tak świetnie swój egzamin dziejowy w tej ciężkiej chwili potopu — szczególnie, po ciężkich przejściach doby poprzedzającej.

A któż, jeśli nie ziemiańskie syny, chociaż beznadziejnie, ale szli na rozkaz z Warszawy znaczyć w 1863 roku krwią przelaną dawne rubieże Rzeczypospolitej, bo wówczas w Polsce trwało rozumienie, że granic Ojczyzny nie obroni się nad Bugiem, a tylko nad Dnieprem i Dźwiną — to też spisy skazańców nerczyńskich mało się różniły od spisów deputacji wywodowych — i szereg majątków skonfiskowanych o tyle zmniejszył stan posiadania polskiego na Kresach, na co wtedy nie zapatrywano się tak obojętnie jak obecnie, bo któż wówczas śmiałby przypuścić, że Sejm Warszawski jednogłośnie potwierdzi te granice, przeciwko którym Reytan w Grodnie\*)

---

\*) Protest Reytana miał miejsce na sejmie warszawskim, p. w.

tak protestował, i że dla Polski może być obojętne, co się tam za nowym kordonem dzieć będzie.

Po wypadkach 1863 roku spadły na kresy prawa wyjątkowe, o których w Kongresówce rzadko kto nawet miał pojęcie: ale ziemiaństwo kresowe nie ustępowało, za zbrodnię narodową uważało odprzedanie chociażby jednej dziesięciny ziemi, a jednak za tę ziemię można byłoby wziąć ładny grosz i urządzić sobie życie bez troski w niejednej stolicy europejskiej, a gdy śruba ucisku w pierwszych latach wieku bieżącego trochę słabnąć zaczęła, zaroily się dwory ziemiańskie dziatwą z elementarzami Promyka, który miał może z czasem i „złoty ołtarzyk” dostępnym uczynić...

Przyszła nawała bolszewicka i Białoruś załała — lecz, gdy te fale samej Macierzy grozić zaczęły, nie czekając aż będą zapalone wicie na trwozę, powstałi, jak jeden mąż, synowie tych okrzyczanych żubrów białoruskich i pociągnęli za sobą tych wszystkich, którym ojczyzna jeszcze drogą była i którzy Warszawę za jej serce uważali. I nie można było znaleźć na kresach we dworze ziemiańskim choćby jednego syna, zdatnego do noszenia broni, któryby w domu pozostał; dla przykładu wymienię chociażby powiat słucki, jako mi lepiej znany: poszło do wojska 3-ch Radziwiłłów, 3-ch Woyniłłowiczów, 2-ch Okołówów, 2-ch Zaleskich, 2-ch Domańskich, 2-ch Helmersenów, 2-ch Czarnockich, 2-ch Jodków, 2-ch Krupskich i t. d.; niech wybaczą ci, których przepomniałem, niech każdy w swoim powiecie taką listę przedstawi, a całość imponująca się złoży i niech każda dzielnica podobną się poszczyci: zresztą nie potrzebuję o tem wspominać szanownemu autorowi, albowiem sam z bratem swoim niepoślednie zadanie przy objęciu Mińska wypełnił. Może kto zechce zmniejszyć zasługi młodzieży kresowej, zwracając uwagę, iż idąc na obronę ojczyzny, miała na widoku i obronę ojcowizny, posiadanie której bolszewicy kwestjonowali? Ale to przecież zasługi nie zmniejsza, lecz owszem stanowisko ziemiaństwa kresowego podnosi — albowiem skoro interesy żywotne pewnej klasy społecznej są identyczne z interesami państwa, państwowotwórczość tej klasy tylko się uwidocznia, zresztą, kiedy młodzież kresowa walczyła o Warszawę i gdy dywizja Litewsko-Białoruska w dniach sierpniowych bódaj pierwsza front bolszewicki załamywała, młodzież kresowa w okopach wiedziała już o dekreście sejmowym z dnia 20 lipca i jednak w szeregach, aż poza dzień 18 marca pozostała.

Zawsze byłem głęboko przeświadczony, iż główną ostoją polszczyzny na kresach były dwory ziemiańskie; nie musiało to przekonanie być tak dalece błędne, skoro je podzieliali mężowie stanu rosyjscy, prześcigający się w swoim czasie w pomysłach zniszczenia tych nieprawomyślnych placówek; zachowanie tych placówek może dzisiaj stało się dla spraw państwowości polskiej także obojętne, skoro zwyciężka Polska wyrzekła się, tak chętnie jej w Rydze udzielanych granic historycznych, i przyjęła setki kilometrów granicy, idącej dróżkami, miedzami, a tak trudnej do obrony, jak widzimy z codziennych napadów bolszewickich poza linię frontową. A dzisiaj niechby kto, mogący otrzymać przepustkę od bolszewików, udał się poza kordon graniczny i zdał sprawę jak tam polskość

wygląda i na jakie prowadzą „...bytu niwy chłopcy i żydowie, albo mieszczan też synowie, *nie* ród szlachty nieszczęśliwy?”

Zaiste, ciężką niespodzianką dla ziemiaństwa kresowego był, po zwycięskim odparciu bolszewików, wynik pertraktacji ryskich, do udziału w których nie tylko że nikt z przedstawicieli kresów nie był powoływany, chociażby z głosem doradczym, ale nawet wysłańcy rozmaitych organizacji kresowych przez delegatów polskich, przedstawiciele rozmaitych partji sejmowych na prywatne narady dopuszczani nie byli: po tym traktacie, większa część ziemiaństwa kresowego znalazła się bez ziemi, którą tak broniła—bez dachu nad głową— w warunkach bodaj gorszych niż po Sejmie Grodzieńskim, bo chociaż granice 2-go rozbioru od granic ryskich mało się różniły — ale łatwiej było wracać do ojczyzny, pod panowanie „Semiramidy północy” niż pod „czerezwyczajkę”.

I zaczęło się życie tułacze ziemian kresowych z codzienną troską o chleb powszedni, o wychowanie dzieci, i t. p. Humboldt kiedyś powiedział, „iż niema człowieka, któryby przeniesiony nagle z Sachary na Syberję, nie straciłby przytomności”. Może więc kto z ziemiaństwa kresowego, przy tym kataklizmie i stracił równowagę i dał się opanować miazmatom atmosfery powojennej, wśród których się znalazł, bo tym żubrom bezwarunkowo łatwiejsze było życie wśród rozłogów białoruskich — niż na bruku miejskim, ale to były nieliczne wyjątki, które należy uwzględnić, wchodząc w psychologję bezdomnych, wywołaną uczuciem krzywdy doznanej i zapoznanych przez Macierz cierpień i pracy tyłu pokoleń w dobie porozbiorowej.

Spotykał chyba każdy tych dawnych obszarników, noszących opał i wodę, lub wyczekujących w długich ogonkach na chleb kartkowy, ale każdy z nich powie, iż to było łatwiejsze do zniesienia, niż zetknięcie się z tymi, krórch ci obszarnicy swoim przykładem i poczuciem ku wspólnej akcji pociągęli — i którzy obecnie, pozostawieni poza kordonem, wystawieni są w swych siedzibach lub rodzinach na zemstę bolszewików: musiał i szanowny autor spotykać na bruku warszawskim te deputacje „chodackowe” — z Mińska do władz państwowych: te oblicza martwe z suplikami małopismiennemi w ręku, a na ustach zapytanie: „a myż panoczku tym Polakom tak wierzyli?... Kiedy im złota tak potrzeba, to my im i te 30 miljonów przyniesiem” i kto wie, może byłyby one pewniejsze niż u bolszewików? Co im odpowiedzieć?

Kończę, powtarzając raz jeszcze wyznanie swej winy, iż pracując tak długo i nieraz na czele społeczeństwa ziemiańskiego na kresach, obecnie w przeważnej swojej części zakordonowego, i mając możność oznajomienia się z jego światopoglądami, nie doceniałem tego ziemiaństwa tak, jakby należało i nie spodziewałem się nigdy, że, pomimo ciężkich doświadczeń 1863-go roku, stanie ono, jak jeden mąż, w ojczyściej potrzebie, pomimo nieprzyjaznego środowiska, w którym swe wychowanie otrzymało. Jeżeli nieraz się słyszało, iż błędy swoje dziejowe szlachta niegdyś okupiła, głosując Konstytucję 3-go Maja, której rocznica stała się świętem narodowym, to chyba błędy swoje ziemiaństwo kresowe zmaszało swem ostatniem bohaterskiem „pospolitem ruszeniem”, a jeśli potem

posłyszało, jak murzyn szekspirowski: „możecie teraz odejść — bo spełniście powinność swoją”, to tragizm chyba tem większy.

I odeszło ziemiaństwo kresowe, ale spełniwszy swą powinność.  
Cześć jego pamięci!

*E. Woyniłłowicz.*

### VIII.

Protokół posiedzenia Rady Mińskiego Towarzystwa Rolniczego, z dnia 20 października 1925 roku, w sprawie aktu darowizny Tuhanowicz, dokonanej przez p. Tuhanowską na rzecz Skarbu Państwa Polskiego.

Rada Towarzystwa Rolniczego Mińskiego, zebrana na wezwanie prezesa pod przewodnictwem tegoż prezesa Edwarda Woyniłłowicza, przy udziale radcy prawnego mecenasa Ponikwickiego przystąpiła do rozpatrzenia spraw, postawionych na porządku dziennym: 1) mecenas Ponikwicki przedłożył Radzie, iż kiedy w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych przedsięwziął był kroki ku utwierdzeniu przez władze rządowe polskie statutu Towarzystwa Rolniczego Mińskiego, działającego dotychczas na podstawie statutu, zatwierdzonego przez władze carskie, został on poinformowany przez naczelnika wydziału dr. Łacha, iż p. Józefa Tuhanowska, niepomna, iż w r. 1901 dobra swe Tuhanowicze, w powiecie nowogródzkim położone, przekazała aktem sprzedażnym Mińskiemu Towarzystwu Rolniczemu, ku czemu odpowiedni dokument został notarialnie sporządzony i przez odnośne władze zatwierdzony, obecnie też Tuhanowska weszła z przedstawieniem podarowania tychże dóbr Tuhanowicze skarbowi polskiemu. Minister Rolnictwa i Dóbr Państwowych ofiarę tę przyjął i polecił władzom województwa nowogródzkiego dobra te objąć.

2) Wysłuchawszy referat mecenasu Ponikwickiego, Rada Mińskiego Towarzystwa Rolniczego, biorąc pod uwagę, iż chociaż akt przejścia dóbr Tuhanowicze na rzecz Towarzystwa podczas zamieszek wojny światowej zaginął, jednak mogły pozostać księgi, do których został zaciągnięty, tudzież licznymi świadkami prawo własności może być udowodnione, przyczem p. Tuhanowska od roku 1901 włada Tuhanowiczami na podstawie kontraktów dzierżawnych przez Towarzystwo jej wydawanych, z których ostatni podczas rządów polskich w Mińsku w roku 1920 był jej przyznany u notariusza Chrzastowskiego na lat dwanaście, zatem p. Tuhanowska nie mogła przekazywać praw własności, których nie posiadała, a tylko prawa użytkowania, kontraktem jej zapewnione. Jednak ponieważ ofiarodawczyni w swoim czasie miała na względzie nie tyle wzmocnienie funduszów Tow. Rolniczego, ile przechowanie pamiętek, po Mickiewiczu tam pozostałych, tudzież sprawy użyteczności publicznej i poparcie rozwoju przemysłu rolniczego, w którym to kierunku postępując, Mińskie Tow. Rolnicze założyło w swoim czasie, zabudowało i odpowiednimi instalacjami uposażyło stację doświadczalną w folwarku tuhanowickim Nowy Świat,



co podczas działań wojennych zostało zniszczone, przy obecnym zaś stanie swoich interesów, gdy domy i place w Mińsku pozostały za kordonem, Towarzystwo odnowić nie ma możliwości. Przypuszczając zatem, iż p. Tuhanowska i obecnie te same postulaty Ministerstwu Rolnictwa postawiła, o sprawdzenie czego uproszony jest mecenas Ponikwicki, Rada Mińskiego Tow. Rolniczego postanawia: nie czynić żadnych trudności, a przeciwnie, współdziałać w przeprowadzeniu praw własności dóbr Tuhanowicze na rzecz państwa i niezwłocznemu objęciu tych dóbr przez odnośne władze województwa nowogródzkiego i upoważnia mecenasa Ponikwickiego być przedstawicielem interesów Mińskiego Tow. Rolniczego w tej sprawie przy utrzymaniu praw i warunków, osiągniętych przez p. Tuhanowską przy ofercie tych dóbr Tuhanowicze skarbowi polskiemu.

IX.

Dnia 14-go października 1929 r. sumptem Ordynata nieświeskiego, księcia Albrechta Radziwiłła, jako prezesa komitetu uczczenia ś. p. Edwarda Woyniłłowicza, została ufundowana w farze nieświeskiej tablica pamiątkowa treści następującej:

ś. † p.

EDWARD WOYNIŁŁOWICZ

PREZES MIŃSKIEGO TOWARZYSTWA ROLNICZEGO,  
PREZES KOŁA POLSKIEGO RADY PAŃSTWA W PETERSBURGU,  
KOMANDOR ORDERU „POLONIA RESTITUTA”,  
FUNDATOR KOŚCIOŁA ŚW. ŚW. SYMEONA I HELENY W MIŃSKU,  
WŁAŚCICIEL DÓBR SAWICZE I PUZÓW  
W POW. SŁUCKIM ZIEMI MIŃSKIEJ.  
URODZONY W SAWICZACH 13/X 1847  
ZMARŁ W BYDGOSZCZY 16/VI 1928 ROKU.  
MĘŻOWI WIELKIEGO SERCA I ZASŁUG,  
WZOROWEMU OBYWATELOWI — PATRYOCIE, PRZYJACIELOWI  
I OPIEKUNOWI LUDU, WIERNEMU SYNOWI KOŚCIOŁA ŚW.  
JAKO WYRAZ CZCI I WDZIĘCZNOŚCI ORAZ DLA PAMIĘCI  
POTOMNYCH NAPIS TEN POŁOŻONY.  
WIECZNY ODPOCZYNEK RACZ MU DAĆ PANIE, A ŚWIATŁOŚĆ  
WIEKUISTA NIECHAJ MU ŚWIECI. AMEN.



## T R E Ś Ć .

Od Kom. Uczcz. Pam. ś. p. E. Woyniłłowicza . Str.—V.

Przedmowa . . . . . Str.—VII.

Rozdział I. Szczegóły biograficzne, majątkowe, rodowe. — Reforma włościańska. — Demonstracje. — Rok 1863. — Czasy szkolne. — Tradycje słuckie a nieświeskie. — Prawa wyjątkowe. — Układy w Chaumont i dobra wittgenstejnowskie. — Wybór uczelni i czasy studenckie w Instytucie Technologicznym. — Pierwszy wyjazd zagranicę. — Praktyka w Hannowerze. — Wojna prusko-francuska.—Lucjan Woyniłłowicz i wyjazd powtórny zagranicę. — Wenecja, Rzym, Florencja, Paryż. — Proszkowska akademja. — Praktyka w Mochelu. — Powrót do domu. . . . . Str. 1 — 34

Rozdział II. Śmierć ojca. — Objęcie zarządu majątkiem. — Kampanja turecka 1877—1878. — Wystawa Paryska 1878 r. — Stan kraju po r. 1863. — Mińskie Towarzystwo Rolnicze. — Zjazd w Smoleńsku. — Bank klecki. — Komisja żydowska. — Księża rytualiści. — Komisja kontrybucyjna. — Likwidacja instytucyj szlacheckich. — W. ks. Włodzimierz w Mińsku. — Wybór na wice-prezesa. — Sędziostwo honorowe. — Członkowie Rady Tow. Roln. — Hr. Karol Czapski. — Dostawy do intendentury. — Ubezpieczenia wzajemne. — Zabiegi w sprawie utworzenia Towarzystwa Kredytowego Ziemińskiego. . . . Str. 35 — 65

Rozdział III. Praca w Mińskim Tow. Rolniczem, członkostwo honorowe. — Rzeźnia miejska. — Syndykat. — Sprawa serwitutów. — Wystawa Jubileuszowa. — Tuhanowicze. — Sekcje Tow. Rolniczego. — Rolnictwo. — Ofiara 100.000 rubli dla ludności Królestwa. — Obrady w języku polskim. — Jadwiga Kostrowicka. . . . . Str. 66 — 84

Rozdział IV. Plehwe. — Ziemstwa. — Opieka radziwiłłowska. — Ks. Antoniostwo Radziwiłłowie. — Ks. Leon. — Pogrzeb ordynata. — Budowa kościoła w Mińsku. . . . . Str. 85 — 99

Rozdział V. Wojna japońska. — Cesarz w Baranowiczach i Mińsku. — Ruch wolnościowy. — Ogólnopństwowy strajk. — Gubernator Kurłow. — Ukazy wolnościowe. — Arcybiskup Szembek. — Wybory do izb prawodawczych. — Otwarcie izb. — Polacy w Radzie Państwa. — Propozycje Stołypina. — Hr. Witte. — Grupa centrum. — Wybitni Rosjanie w Radzie Państwa. . . . . Str. 100 — 146

Rozdział VI. Stosunek posłów do Rady Państwa do posłów do Dumy z Litwy i Rusi. — Stosunek kół posełskich z Litwy i Rusi do posłów z Korony. — Władysław Grabski i Jan Stecki. — Roman Skirmunt. — Zjazd w Warszawie u Techników. — Sprawa agrarna. — Klub polityczny na Mochowej. — Schlüsselburg. — Stosunki towarzyskie w stolicy. — Audjencja w Carskiem Siole. — Zamach w Radzie Państwa na Stołypina. — Etaty morskie. — Specjalna podkomisja finansowa. — Rozwiązanie Dumy. — Nowe prawo wyborcze. — Decyzja wybrania Rosjanina. — Wybór ks. Lubeckiego. . . . . Str. 147 — 172

Rozdział VII. Zjazdy w Wilnie i Kijowie. — Stronictwo krajowe. — Praca w ziemstwie. — Wojna 1914 r. — Mobilizacja. — Adres miński. — Organizacja warszawska. — W. ks. Mikołaj w Baranowiczach. — Uciekinierzy z Królestwa w Nieświeżu i Mińsku. — Generał Daniłow. — Rekwizycje. — Uniechowski i Związek Ziemi. — Towarzystwo Pomocy Ofiarom Wojny i Lednicki. — Petersburg i zjazd w Mińsku. . . . . Str. 173 — 195

Rozdział VIII. Wypadki marcowe i demonstracje mińskie. — Kiereński. — Rady Polskie. — Komitety dworskie. — Pogrom w Sawiczach. — Powrót do majątku. — Okupacja niemiecka. — Von Tettau. — Von Falkenhayn. — Strefy ustępowania. — Kwestja białoruska. — Ks. Łomnicki i metropolita Szeptycki. — Legjony. — Ułani w Swojatykach. . . . . Str. 196 — 216



Rozdział IX. Wyjazd z domu. — Morderstwo Czarnockich. — Warszawa. — Trudności mieszkaniowe. — Związek Polaków z Białorusi. — Fundusze na dywizję Litewsko-Białoruską. — Generał Iwaszkiewicz. — Zebrania tygodniowe Związku. — Nastrój Korony względem Kresów. — Stanisław Grabski. — Ks. Chełmicki, realisci. — Zamach Sapiehy. — Paderewski. — Moszyński. — Usuwanie kresowców. — Maciej Radziwiłł. — Zmiana Rządu. — Posłowie z Kresów do Sejmu. — Kapitan Foster. — Wiec kresowy w Filharmonji. — Zjednoczenie Rad Polskich z Litwy i Białorusi. — Opracowywanie sprawy agrarnej. — Otwarcie Sejmu. — Zebranie u Madeyskiego. — Memorjał dla Noulensa. — Obiad u Henryka Potockiego. — Aresztowanie Kostrowickiej. — Raut kresowy. — Zebranie u Łuniewskiego. — Stronnictwo pracy konstytucyjnej. — Ordynat Zamoyski. — Związek Ziemi Kresowych. — Propaganda pożyczki państwowej. — Posiedzenie Sejmu. — Zajęcie Wilna. — Rosjanie w Warszawie. — Koncepcje ukraińskie. — Związek Polsko-Białoruski. — Walne zebranie Centralnego Towarzystwa Rolniczego. — Zebranie u Wł. Glinki. — Skrzyński. — Wotowanie spraw agrarnych w Sejmie. — Sprawa Lednickiego. — Białorusini. — Raut u Trąmpczyńskiego. — Zajęcie Mińska. . . . . Str. 217 — 259

Rozdział X. Wyjazd do Mińska. — Nastroje w Tow. Rolniczem. — Przyjazd do Sawicz. — Oczekiwanie Piłsudskiego w Słucku. — Biskup Łoziński. — Raut dla generała Żeligowskiego. — Adresy Tow. Rolniczego. — Demonstracje w Słucku. — Wybory szlacheckie. — Uwłaszczenie dzierżawców. — Merezkowski. — Pobyt w Warszawie. — Nastroje pokojowe. — Szebeko. — Sejmik słucki. — Bobrujsk. — Mińsk. — Zjazd w Wilnie. — Konferencja w Głównym Komisarjacie. — Sejmik w Mińsku. — Układy borysowskie. — Adres do Piłsudskiego. — Znowu Warszawa. — Impreza kijowska. — Stanisław Grabski. — Deklaracja białoruska. — Pogrzeb ks. Stanisława Radziwiłła. — Mińsk. — Gen. Szeptycki. — Nowa konferencja w Wilnie w sprawie agrarnej. — Warszawa. — Audjencja u Piłsudskiego. — Bielewicz. — Wyjazd z domu. — Ateczyzna. — Ofenzywa bolszewicka. — Przejazd przez Bug. — Cieleśnica. —

Białka. — Lublin. — Bzowiec. — Znowu bolszewicy. —  
Gościeradów. — Przejazd za Wisłę. — Linów. — Sando-  
mierz. — Cud nad Wisłą. — Budienny koło Zamościa. —  
Woła Studzieńska. — Znowu Bzowiec. — Legjony  
w Mińsku. . . . . Str. 260 — 295

Rozdział XI. Zawieszenie broni w Rydze.—Granice.—  
Warszawa. — Kresy za złoto. — Orientacja kresowców. —  
Związek Polsko-Rosyjski. — Piltz. — Delegacje mińskie. —  
Bałachowicz i Sawinkow. — Sprawa Senatu. — Nieśwież  
i Sawicze. — Ateczyzna i Tereszczany. — Bzowiec. —  
Wpadanie bolszewików do Puzowa. — Stan gospodarstw  
w Królestwie. — Parcelacja. — Znowu Warszawa. — Piltz  
i delegacja do Rygi. — Wyjazd Piłsudskiego do Paryża.—  
Zniszczenie w Sawiczach. — Podział Kresów na woje-  
wództwa. — Traktat pokojowy 18 marca. — Konstytucja  
17 marca. — Ruch antybolszewicki w Piotrogradzie. —  
Plebiscyt śląski. — Odcięcie Sawicz i Puzowa do bolsze-  
wików. — Wyjazd do Warszawy. — Posiedzenie kresowców  
i sprawa opcji. — Stosunek Królestwa do Kresów. —  
Protest Grabowskiego w Sejmie. — Bytność u Piltza  
i sprawa duchowieństwa prawosławnego. — Oczekiwany  
przyjazd poselstwa bolszewickiego do Warszawy. —  
Świadectwo obywatelstwa polskiego. — Testamentowe  
posiedzenie Mińskiego Tow. Rolniczego. . . Str. 296 — 332

Aneksy . . . . . Str. 333 — 349  
Indeks nazwisk . . . . . „ 355 — 365  
Spis ilustracyj . . . . . Str. 367  
Errata . . . . . „ 368

## INDEKS NAZWISK.

---

- A**blamowicz Kazimierz 58.  
Abrahamowicz Dawid 255.  
Adamowicz J. 332.  
Adamowicz M. 332.  
Adamowicz 216, 274.  
Agarkow 302.  
Akimow 138, 142, 146, 164—5.  
Aleksander I 9, 23—4, 55.  
Aleksander II 25, 36 — 7, 40, 44, 47,  
54—5, 93, 100, 141.  
Aleksander III 23—4, 41, 100.  
Aleksandra Teodorówna 117, 160—1,  
163.  
Aleksiejew 102, 116.  
Aleksiuk 215, 250, 252, 256, 314.  
Alvensleben 91.  
Ancuta 255.  
Antonjusz 154.  
Arsenjusz 160—1.  
Astachow 19.
- B**adeni Ignacy 29.  
Baliński Ignacy 256.  
Bałachowicz 290, 297, 300, 303, 314.  
Bałaszow 87, 124, 143.  
Bariatyński Aleksander 47.  
Bartholomei 42.  
Barylski 321.  
Bąkowski Aleksander 60—1.  
Benckendorf 188.  
Beseler 207.  
Bezak Aleksander 62.  
Bezobrazow 102.  
Białobrzesci ks. 17.  
Bielajew Al. 75—6.  
Bielska Marja 9, 28—30.  
Bielski Edward 33, 280, 290, 306, 332.  
Bielski Jan 306.  
Bielski Ksawery 9.
- B**ismarck 62.  
Błażejewicz T. 337.  
Błudow 28.  
Bobyński 190.  
Boguszewski Mieczysław 220.  
Bohdanowicz A. 65.  
Bohdaszewski Otton 50, 58—60.  
Bołtuć Aleksander 98.  
Bompard 159.  
Bontemps 292.  
Borsig 27.  
Bortkiewicz Edmund 174.  
Botha 237.  
Brandt Józef 161.  
Branicka z Sapiehów Marja 89—91.  
Branicki Władysław 90.  
Brazol 160.  
Bronowski Szczęsny 332.  
Bronstejn 172.  
Brusiłow 281.  
Bruzdowicz Franciszek 98.  
Bryndza-Nacki 291.  
Brzeski Mikołaj 112—3.  
Budberg 141.  
Budienny 295.  
Bujnicki Adam 340.  
Bukraba ks. 242.  
Bułygin 146, 164.  
Burnaszew 209.  
Butienjew Chreptowicz K. 169.  
Butlerow 160.  
Büdel 26.
- C**ar 284.  
Castellane Henryk 89.  
Castellane Marja 89.  
Castellane Paulina 89.  
Chamiec Marjan 33.  
Chanenko 143.

- Chelmiecki Zygmunt ks. 226—7.  
Chmarowie 7.  
Chomiakow Mikołaj 145—6, 153, 159.  
Chomiński Aleksander 273.  
Chotek hr. 92.  
Chreptowicz Joachim 169.  
Chromińscy 292.  
Chrustalew Nosar 196.  
Chrzanowski Kazimierz 332.  
Chrzastowski 196, 348.  
Cichocki Jan 293.  
Cieszkowski August 303.  
Ciundziewicki M. 78.  
Cubat 142.  
Cybulski 57, 68.  
Czywiński Wacław 248, 338.  
Czacki Feliks 235.  
Czacki Stanisław 235, 324.  
Czajkowski 163.  
Czapski Emeryk I 18.  
Czapski Emeryk II 258, 271.  
Czapski Jerzy 71—2, 189, 209, 235, 268,  
272, 300, 328, 332.  
Czapski Karol 50—7, 58—60, 66, 72.  
Czarnoccy 265, 346.  
Czarnocki Jerzy 271.  
Czarnocki Michał 218.  
Czarnocki Stefan 46, 320.  
Czartoryscy 97.  
Czczcott 210.  
Czczcott Ignacy 69.  
Czczcott Witold ks. 97, 158.  
Czerewañski 166.  
Czerkaskij ks. 36—7.  
Czerniawski 38.  
Czerwiński 244.  
Czetwertyńska Róża 90.  
Czetwertyński Ludwik 90, 188, 221.  
Czetwertyński Seweryn 188, 194.  
Czewatti 52.
- D**amel 55.  
Daniłow 188.  
Daszkiewicz Dymitr 121, 133, 168.  
Daszkiewicz 332.  
Daszyński Ignacy 227.  
Dąbski Jan 283, 286, 299, 306—7, 310,  
312—3, 315—9, 330.
- Dederko Jakób ks. 109.  
Dejtrych W. 143.  
Dellinghausen 141.  
Demidecki-Demidowicz Konstanty 337.  
Denisow 144.  
Dernałowicz 251.  
Diamand 243—4.  
Dino 89.  
Dłuski Kazimierz 257.  
Dmitrjew M. 143.  
Dmowski Roman 150—2, 180—2, 229,  
242, 249, 344.  
Dobiecki Artur 309.  
Dobiecki Eustachy 121—3, 158, 168,  
333—4.  
Dobrowolski Czesław 332.  
Dobraszyc Stanisław 337, 340.  
Dołgowo-Saburow 112, 183.  
Domańscy 15, 265, 288, 346.  
Domański Zenon 288.  
Doniecki 144.  
Donon 132, 144.  
Dowbor Muśnicki 188—9.  
Dowbor Muśnicki Józef 215.  
Dowgiałło Dominik 235, 246, 272—4,  
312.  
Dowgiałło Woyciech 340.  
Drenteln 91—2.  
Dubasow 107, 116.  
Dubiejkowski Leon 248, 255—7, 314.  
Dubois 36.  
Durnowo 116.  
Durnowo Piotr 137—8, 146, 150, 164, 166.  
Dymiński 47.  
Dymowski 229.
- E**ngelhardt A. 42—4.  
Engelhardt Platon 43.  
Erdelli 98.  
Ernroth 42.  
Eulogiusz 154, 191.  
Ewert 80—1, 189.
- F**alewicz 250.  
Falkenhayn 207—209, 213.  
Falz-Fein 105.  
Fałat Julian 94—5.  
Fieduszkowa Michalina 332.



- Filosofow 269, 300.  
Fiodorow 155.  
Foster 233.  
Florkowski 292.  
Fraget 292.  
Friesendorf 253.  
Frisch 119.  
Fryderyk Wielki 303.  
Fryderyk Wilhelm III 23.  
Fryderyk cesarz 206.  
Fryderyks 125, 170.
- G**all ks. 245.  
Gawroński Stanisław 121, 133.  
Gay 97.  
Gerngros 42.  
Gieczewicz 27, 273.  
Giedymin 3.  
Girs 179.  
Glezmer 121.  
Glinka 248—50, 270.  
Gliński 20, 121.  
Godlewski 271.  
Godunow Borys 42.  
Göldner 33—4.  
Gołwin 129—30.  
Gołubiew 163.  
Gołuchowski Agenor 244, 250.  
Gonczarow 125.  
Goremykin 120, 128.  
Gordziałkowski Konstanty 219, 248, 340.  
Gordziałkowski Olgierd 220.  
Górski Witold 332.  
Grabowski Bolesław 46, 72.  
Grabowski Henryk 221, 235, 272, 274, 323, 328, 332.  
Grabski Stanisław 225—6, 228—9, 242, 277—8, 299, 330.  
Grabski Władysław 149—50, 194, 242, 284.  
Graewenitz 120.  
Grimm 140.  
Grocholski Zdzisław 234, 253—4.  
Grudziński 112.  
Gruzewski Bronisław 61.  
Guczkwow 132.  
Günther Adam 8.
- H**alpert 26.  
Harasymowicz ks. 252, 275.  
Hattowska 157.  
Hausman 52.  
Hejden 132, 251.  
Helmersen 332, 346.  
Heljodor 176.  
Henryksen Piotr 332.  
Hendrykow 161.  
Henrycy 25, 54.  
Herget Józef ks. 337.  
Hiszpański 17.  
Hohenlohe Chlodwig 24.  
Hohenlohe Marja 24.  
Hohenzolernowie 23.  
Hołowczyc 112.  
Horn 42.  
Hilchen Feliks 337.  
Horwatt Otton 9, 54—55.  
Horwatt Stanisław 248, 310.  
Horwattowa Ludwika 55.  
Horwattowa Michalina 9, 201—2, 206, 244, 257—8, 261, 289, 292.  
Hryckiewiczowie 7.  
Hulewicz 42.  
Humboldt 347.
- I**gnatow 326.  
Iskrycki 247.  
Iwan VI 157.  
Iwanow 198.  
Iwanowicz Wojciech 64.  
Iwanowski 210, 248, 256, 276.  
Iwaszkiewicz Edmund 220, 237, 274, 283, 337, 340.  
Iwaszkiewicz Józef 337.  
Iwaszkiewicz Waclaw 219—23, 230.  
Iwaszkiewicz Witalis 220.  
Izmajłowicz 107.
- J**abłoński 134.  
Jacyna 158, 249.  
Jakubowicz 175.  
Jamontt Maciej 45, 313.  
Jałowiecki Bolesław 147.  
Janczewski Wiktor 112—3.  
Janicki 239, 245.  
Janowski L. 332.

- Januszajtis 229.  
Januszkiewicz 184.  
Jarmoliński Konstanty 289—90.  
Jaroszewicz Michał 258.  
Jasiukowicz Ignacy 27.  
Jastrzębski Michał 88, 176, 236.  
Jeleński Edward 245, 264, 267.  
Jeleński Olgierd 264, 332.  
Jelski Adam 50.  
Jelski Aleksander 20, 54.  
Jelski Ksawery 66.  
Jelski Leon 332.  
Jelski Roman 332.  
Jelski Stanisław 332.  
Jełowicki Wacław 121, 123, 133, 170, 333.  
Jełowicki ks. biskup 246.  
Jengałyczew 180.  
Jentys Adam 107.  
Jermołow 126, 140, 153.  
Jeśman Edmund 337.  
Jewrejnow 160.  
Jeziorański 150.  
Jodko-Narkiewicz Henryk 26.  
Jodko-Narkiewicz Jan 27.  
Jodko-Narkiewicz Ludwik 78.  
Jodko-Narkiewicz Roman 169, 246.  
Jodko-Narkiewicz Tomasz 26.  
Jodko-Narkiewicz Walerjan 26.  
Jodkowie 346.  
Jodkówna Kazimiera 15.  
Jodkówny 257.  
Joffe 299, 306, 310, 316—7, 322, 325—6, 330.  
  
Kajserling 141.  
Kamieniecki Witold 240, 323.  
Kamocki 293—4.  
Kankryn 25.  
Karakozow 25, 42.  
Karol Stefan 188.  
Karpiński 245.  
Karpow 166.  
Karpowicz Józef 64.  
Karski Michał 234, 245.  
Katarzyna II 118, 157.  
Kaufman 285.  
Kieniewicz dr. 245.  
Kieniewicz Hieronim 31, 198, 224, 299, 310, 312—3, 315—6, 332, 337.  
Kiereński 189—90, 196, 198—9, 207, 253, 267, 319, 329.  
Kiniorski 235—6, 249.  
Kirjakow 169.  
Kiwerski 293.  
Kleczkowski Stanisław 332.  
Kleinmichel 158.  
Knobelsdorf 175.  
Kobylański 137.  
Kokowcew 145, 171.  
Kończak 253.  
Kołłataj 274.  
Konarzewski 271.  
Koni A. 140.  
Kończa Paweł 174.  
Konopnicka Marja 180.  
Konrad Mazowiecki 246.  
Konstanty Pawłowicz 8, 15, 285.  
Kopeć dr. 313.  
Korf P. L. 144.  
Korsak St. 326.  
Korzon Tadeusz 150, 225.  
Kosicz A. 63, 144.  
Kossakowski Michał St. 220.  
Kościuszko Tadeusz 8, 17, 55, 150, 225, 278.  
Kostrowicy 7.  
Kostrowicka Jadwiga 9, 57, 83, 111, 113, 236, 240—1, 245—6, 258, 260—1, 280, 290—2, 303, 307, 316.  
Kostrowicki Stanisław 64—5, 79.  
Kostrowicki Wacław 9.  
Kostrowicki 210.  
Kotwicki Jerzy 332.  
Kotwicka Wanda 332.  
Kowalewski Eugenjusz 64, 68.  
Kowalewski Maksym 142.  
Kozmianowie 292.  
Krasicka Marja 194.  
Krasicki Czesław 220.  
Kraśńska Magdalena 31.  
Kraśński Adam 151.  
Kraśński Ludwik 212.  
Krasowskij 155.  
Kraszewski 266.  
Kristi 126.

Kronenberg Leopold 17, 121, 123, 157,  
160, 168, 243, 269, 333.  
Krupscy 346.  
Krupski Czesław 220, 247, 249, 337,  
340.  
Krupskie 257.  
Kruszewski Stanisław 257.  
Kryński Włodzimierz 337.  
Kryżanowski 137—8.  
Kukiewicz Jan 50—51, 54.  
Kuliński 299.  
Kułakowski ks. 48, 110.  
Kułozin 144.  
Kurlów 106—8, 246.  
Kutyłowski Bohdan 155, 247—8, 278.  
  
Lebiediew 57.  
Lednicki Aleksander 112—4, 191—3,  
195, 227, 253—4, 259, 270, 273, 310,  
312.  
Leluchin 247.  
Lenartowicz Teofil 31.  
Lenin 199, 271, 303.  
Leontowicz 70, 144.  
Lerchenfeld 253.  
Lewin 57, 68.  
Lieven 253.  
Lipiński 16.  
Loris Melikow 41, 44, 100—1.  
Lubański Eustachy 78, 112.  
Lubecki-Drucki Hieronim 69, 112, 169,  
267.  
Lubimow 85, 249.  
Lubomirska Teresa 90.  
Lubomirski Hubert 90.  
Lubomirski Konstanty 281.  
Lutosławski Kazimierz ks. 233.  
Lwow 132, 270.  
  
Łach 348.  
Łappa 55.  
Łastowski 316.  
Łaskarew 170, 175.  
Łęski Michał 58.  
Łomnicki ks. 211—2.  
Łopieńscy 99.  
Łopotł Witold 64, 98, 328, 332.  
Łopaciński Stanisław 121, 143, 168.

Łosik 214—5,  
Łoziński ks. 264.  
Łubiński Leon 64, 79, 231, 247, 340.  
Łubiński Stanisław 228, 244.  
Łubkin 17.  
Łuckiewicz Jan 210, 212, 256.  
Łuniewski Antoni 241.  
Łykoszyn 70, 144.  
  
Macchiawelli 278.  
Madeyski 239.  
Majewski ks. 224, 337.  
Makow Lew 39, 72—3.  
Maleszewski Bolesław 65, 157—8.  
Małachowski Stanisław 318.  
Manuchin 142.  
Marcinkiewicz Dunin 210.  
Marja Antonina 117.  
Marja Pawłówna 34, 54.  
Marja Teodorówna 117.  
Markow 282.  
Massalski 70.  
Massonius Marjan 112, 337.  
Maszewski Władysław 18.  
Matejko 331.  
Mazewski 294.  
Medeksza 64.  
Mendelejew 26.  
Mereżkowski 268—9, 300.  
Meysztowicz Aleksander 61, 143, 181,  
194, 233, 242, 246—7, 273.  
Meysztowicz 11.  
Mężyński 42, 44.  
Michalkiewicz ks. 98.  
Michał w. ks. 196.  
Mickiewicz 241.  
Mickiewicz Adam 76—7, 150, 225, 255,  
258, 278, 346.  
Miecznikow 142.  
Mierzejewski Michał 45.  
Mierzejewski Szymon 27.  
Mikołaj I 93—4.  
Mikołaj II 102—3, 117—20, 136, 159,  
160—5, 170—1, 179, 182.  
Mikołaj arch. 145.  
Mikołaj Mikołajewicz I 9, 24.  
Mikołaj Mikołajewicz II 178, 182—4,  
187, 190.

- Milewski-Korwin Hipolit, 121, 168, 284, 344.  
Milukow 270.  
Minin 172.  
Mirska Czesławowa 231—2.  
Mirski-Światopełk Czesław 291.  
Mirski-Światopełk Michał 257, 324.  
Mirski-Światopełk 96.  
Mogilniccy 302.  
Mogilnicka Gabryela 9.  
Mogilnicka Eliza 228, 292, 295, 307—8, 316, 320.  
Mogilnicki Jerzy 9, 18, 307.  
Mogilnicki Witold 319.  
Mohl 274.  
Molibożko 267.  
Moniuszko  
Moniuszko Dominik 2.  
Moniuszko Stanisław 2, 150, 225.  
Montwiłł Józef 168, 174.  
Moraczewski Jędrzej 222, 226—7, 229, 239.  
Morawska 8.  
Morawski 6.  
Morawski K. 228—9.  
Morgenthau 259.  
Morozow 60.  
Moszyński Jerzy 230.  
Motz 257.  
Możejko 19.  
Mrozowski Jan 195.  
Murawjew M. 1, 3—5, 14—6, 49, 51—2, 70, 76, 285.  
Muromec S. 119, 120.  
Musin-Puszkina 101, 108.  
Münich 157.  
  
Nachamkes 172.  
Namysłowski 172.  
Napiórkowski Antoni 121, 168, 333.  
Napoleon I 21, 109.  
Napoleon III 28.  
Naryszkin 145.  
Nejhardt Aleksy 62, 87, 124, 128, 144, 165.  
Nejhardt Borys 128.  
Nejhardt Olga 128.  
Niemcewicz Jan 250.  
Niemcewicz 216.  
Niemojewski Andrzej 246, 324.  
Niepokojczycki Artur 36.  
Niezabytowska 158.  
Niezabytowski 239.  
Niezabytowski Karol 169, 233, 236, 258, 260—1, 275, 332, 337.  
Nolde E. 146.  
Noulens 239—40.  
Nowicka 27.  
Nowicki Józef 27.  
  
Obieziński Mirosław 219—20, 248, 255, 257, 298—9, 301, 307, 312—4, 332, 340.  
Obieziński Michał 220.  
Oboleński Srebrny 42—4.  
Obrąpalski Emanuel 68—9, 337.  
Obuch-Woszczatyński 216.  
Obuchowicz Napoleon 18.  
Odyńcowie 6.  
Odyńcówna Teofila 6—7.  
Odyniec Antoni-Edward 150, 225.  
Odrowąż Izidor 26.  
Offenberg Jan 275.  
Ogińska Michałowa 158.  
Okińczycowa 10.  
Okółow Konstanty 37, 224, 332.  
Okółow Leonard 37.  
Okółowowie 265, 346.  
Olelkowicz Aleksander 3.  
Olelkowicz Jerzy 3.  
Olelkowicz Symeon 3—4, 21—2.  
Olelkowicze 15, 21.  
Olelkowiczowa Barbara 3.  
Olelkowiczówna Zofja 3, 21.  
Olizar 70, 121, 123, 133, 166, 168, 181, 333.  
Ołsufjew 140.  
Oraczewski ks. 229.  
Orda 53.  
Orłowski Ksawery 168, 170, 325.  
O'Rourke ks. 247.  
Orzewski 70, 285.  
Osiecimski Władysław 337.  
Oskierko Aleksander 272.  
Osmołowski Jerzy 245, 249, 250—1, 272—4, 283, 285, 300.



- Ossowiecki 158.  
Osterman 157.  
Ostrowski Józef 121—3, 132—3, 207,  
333—4.  
Ostrowski 198.  
Osztorp Leon 2.  
Otto Zygmunt 98.
- P**aderewski Ignacy 223—33, 240, 246,  
250, 261, 265.  
Pajzderski 97.  
Pajzderska Helena 97.  
Parafjanowicz Marjan 220.  
Parchomczyk 315.  
Patek 269.  
Paulina 315, 320.  
Paweł I 109, 134.  
Pawlikowski Kazimierz 195.  
Pawłow 39—40, 53.  
Pawłowski 57—8, 71.  
Petlura 278, 303.  
Petrażycki Leon 129.  
Petrozolin Erazm 19, 58.  
Petrozolinówna 54.  
Petruniewiczowie 119.  
Petruszewicz Kazimierz 108, 337.  
Pichno 137, 143, 166—7.  
Pietraszkiewicz W. 332.  
Pietrow A. 44, 46, 47—8.  
Pilawski Ignacy 12.  
Piltz Erazm 182, 229, 301, 311—4, 316,  
325, 340.  
Piltzowa 325.  
Piłsudski 215, 220, 222, 227, 229—31,  
232, 245, 254—7, 261, 263—5, 267,  
270—1, 276, 278—9, 283—8, 300—1,  
303—4, 312—14, 316, 318.  
Piotr III 156—7.  
Piotrowski 332.  
Pius VI 109.  
Pius IX 31.  
Pius XI 245.  
Plater Adam 70, 116.  
Plater Feliks 158.  
Plater Marjan 274.  
Plehwe Wacław 85.  
Pobiedonoszew 144.  
Podfilipski 148—9.
- Poklewski-Kozieli Wincenty 121, 157.  
Polikowski 337.  
Poniatowski Józef 239.  
Ponikwicki Tytus 307, 310, 348—9.  
Popławski August 312.  
Porchomczyk 315.  
Porębski Ignacy 312—3, 316, 322, 337.  
Porowski Mieczysław 69, 80, 178, 209,  
240, 328, 332, 337, 340.  
Postaremczyk 244.  
Potiemkin 118.  
Potocka Elżbieta 90, 92.  
Potocka Helena 90, 92, 158—9.  
Potocki Andrzej 292.  
Potocki August 35.  
Potocki Henryk 233, 240, 250.  
Potocki Jakób 291.  
Potocki Józef 90, 151, 158—9, 231,  
270.  
Potocki Maurycy 337.  
Potocki Roman 90.  
Powerzak 22.  
Pożarski 171.  
Prallon 255.  
Prądyński 33.  
Prokop ks. 30.  
Prozorowie 55.  
Prószyński Eustachy 56.  
Prószyński Konstanty 337.  
Prószyński M. 332.  
Przewłocki Konstanty 121, 123, 152,  
293, 333.  
Przeździecki St. 251.  
Przygodzki W. 247.  
Puciata 332.  
Pugaczew 171.  
Pułaski Franciszek 236.  
Pulichow 107.  
Pułjanowski Antoni 219, 255, 262, 267.  
Pusłowski Władysław 220—1.  
Puttkamer Wawrzyniec 181, 324.  
Puzyna 64.
- R**aczkiewicz Władysław 220, 261, 263—5,  
268, 271, 275—6, 300, 302, 337, 340.  
Radziszewski Henryk 243—4.  
Radziwiłł Albrecht 90, 216, 221, 223,  
263, 309, 349.

Radziwiłł Antoni I 23—4.  
Radziwiłł Antoni II-gi 36, 54, 55, 72,  
89—94, 110—1.  
Radziwiłł Dominik I 23—4.  
Radziwiłł Dominik II 90, 187.  
Radziwiłł Ferdynand 187, 238.  
Radziwiłł Hieronim 20, 188, 279.  
Radziwiłł Janusz I 3.  
Radziwiłł Janusz II 227, 238, 247—8,  
278—9.  
Radziwiłł Jerzy 36, 89—93, 110, 178.  
Radziwiłł Józef 94.  
Radziwiłł Karol I 4, 6, 8, 23, 89.  
Radziwiłł Karol II 90, 110, 216, 279,  
309—10.  
Radziwiłł Konstanty 188.  
Radziwiłł Leon I 9, 36—7, 93—4.  
Radziwiłł Leon II 90, 279, 309.  
Radziwiłł Ludwik 94.  
Radziwiłł Maciej 93, 194, 231, 233.  
Radziwiłł Michał 94.  
Radziwiłł Mikołaj 212.  
Radziwiłł Stanisław 89—90, 92, 216,  
279—80.  
Radziwiłł Wilhelm 212.  
Radziwiłłowie 4, 5, 16, 21, 91, 95, 187,  
265, 346.  
Radziwiłłowa Antoniodowa 36, 54, 89, 92.  
Radziwiłłowa Jerzowa 36, 89—93, 158.  
Radziwiłłowa Luiza 23.  
Radziwiłłowa Magdalena 212, 246, 252.  
Radziwiłłowa Michałowa 31.  
Radziwiłłówna Elżbieta 90.  
Radziwiłłówna Helena 90.  
Radziwiłłówna Stefania 23—4.  
Radziwiłłówna Teresa 90.  
Ramułt Baldwin 67.  
Rasputin 162, 176, 197.  
Ratti nuncjusz 245.  
Ratyński 332.  
Rausch v. Traubenberg 81, 179—80.  
Rdułtowski Konstanty 337.  
Regiel 162.  
Regulski 271, 275.  
Rejman ks. 145.  
Reütern-Nolken 134, 141.  
Reytan Tadeusz 3, 150, 225, 278, 343,

323, 345.

Reytanowie 4.  
Rewieńska Julja 10.  
Rewieński Kazimierz 10.  
Rewieński Zygmunt 78, 209, 268, 272,  
274, 283, 328, 332, 337.  
Rodzianko 129, 196.  
Rogalewicz Kazimierz 241.  
Romanow 93, 143, 161.  
Romanowowie 161, 214.  
Roop Edward bs. 114, 147, 174.  
Rossudowski 37.  
Rotwand Stanisław 121, 152, 166, 168.  
Rozenbaum 112—3.  
Rozenwerth 291.  
Rozwadowscy Paszczenko 293.  
Rozwadowski 310.  
Różnowski Aleksander 340.  
Rybiński Kazimierz 337.  
Rychter 125.  
Rymsza Romuald 45.  
Ryntowt 38.  
Rzuchowski 292 i 298.

Saburow A. 140—1.  
Sadkowski Wiktor 343.  
Samojlenko 220.  
Sapieha Eustachy 219—221, 229—30,  
302, 310—2, 315, 317, 322, 325.  
Saulewicz 115.  
Sawicz ks. 7.  
Sawinkow 300, 303.  
Sazonow 270.  
Settegast 32.  
Seyda Marjan 322.  
Sęczykowski ks. 48, 63, 110.  
Sianożęcki Aleksander 42.  
Sianożęcki - Woynicz Władysław 121,  
160, 168.  
Siemaszko 272, 274.  
Siemionow 153.  
Siemiradzki Henryk 225.  
Sienkiewicz Henryk 4, 141.  
Sierakowski Adam 31.  
Siwers 331.  
Skarga Piotr ks. 234.  
Skinder 274.  
Skirmunt Aleksander 40, 47, 50, 54,  
112.

- Skirmunt Konstanty 143, 194, 240, 312.  
Skirmunt Roman 47, 88, 112, 151, 169,  
176, 195, 197, 212, 214, 235, 240, 242,  
252, 254, 297, 299, 300, 311—3, 316.  
Skirmunt Włodzimierz 332.  
Skirmuntowie 98.  
Skolimowska 295.  
Skorodźko Marja 290.  
Skrodzki 38.  
Skrzyński Aleksander 233.  
Skrzyński Władysław 250—2, 254—5.  
Skulski L. 300.  
Sławiński B. 332.  
Słotwiński Ludwik 35.  
Słowacki Juliusz 150, 225.  
Smolicz 212, 248, 314.  
Sokoliński-Drucki 196.  
Solski 119.  
Sołtanowie 31.  
Sosnkowski 282.  
Spasowicz Włodzimierz 26, 150, 225,  
229.  
Spejchert 33.  
Stachowicz Michał 132, 145.  
Stanisław August 6, 239, 343.  
Starzyński 233.  
Staszic 229.  
Steblin-Kamiński 70.  
Stecki Jan 149—50, 261.  
Steńka Razin 171.  
Stołypin Arkadiusz 127.  
Stołypin Piotr 62, 70, 87—8, 106—8,  
116, 118—9, 124, 127—40, 144—5,  
153, 163, 165, 167, 170—2, 175, 177,  
246, 274, 333—4.  
Stołypina Olga 128.  
Stroganow 153, 155.  
Stroussberg 27.  
Studnicki Władysław 240.  
Suchodolski N. 42.  
Suchodolski 293.  
Sulistrowska Karolina 6.  
Suworow Aleksander 41—2.  
Suworowa 41—2.  
Suworyn A. 65.  
Syroczyński St. 121, 168.  
Syrokomla 150, 210, 225.  
Szalewicz Tomasz 337.  
Szalkiewicz Marek 11.  
Szantyrówna 98.  
Szaulis 247.  
Szawelski 183.  
Szebeko Ignacy 270, 311—2.  
Szelutta 15.  
Szembek biskup 109—111.  
Szeptycki metropolita 191, 211.  
Szeptycki 299—30, 280—2, 285.  
Szkucsko Dymitr 202, 205, 289—90,  
297, 304, 307, 315.  
Szmidt Gustaw 166—7.  
Szmit 29.  
Szypillo Epimach 210.  
Szyryński-Szachmatow 247.
- Śniadeccy 225.  
Śnitko Andrzej 63.  
Śnitko Konstanty 63.  
Świacki Karol 208.  
Święcicki 97.  
Święcicki Józef 224, 268, 332, 337.  
Święcicki Zygmunt 40, 47, 58, 64.  
Świeżyński Józef 227.  
Świda Florjan 74, 78, 332.  
Świda Michał 91, 93.  
Świda Olgierd 268, 283, 300.  
Świda Wiktor 40—1.
- Tagancew 140.  
Talleyrand 89, 91, 299.  
Talleyrand Paulina 89.  
Tatiszczew W. 64.  
Telszewska Anna 3, 5.  
Telszewski Walenty 3.  
Tereszczenko 144.  
Tettau 206—7.  
Thugutt Stanisław 222, 226, 229.  
Tichon 154, 214.  
Tilen 42.  
Timiriaziew 139.  
Titow 43.  
Tolłoczko Juljan 261.  
Tolstoj 144.  
Tomaza 42, 44.  
Trampczyński 249, 255, 261, 265, 278,  
311, 318.  
Trepow 164.

- Trocki 63.  
Trocki Lejba 271, 303.  
Trubecki Eugenjusz 126.  
Trubecki Grzegorz 169.  
Trubecki Mikołaj 126.  
Trubecki M. 53, 56, 62, 72—3, 76.  
Trubecki Piotr 125—6, 140.  
Trubecki 20.  
Trubnikow 129.  
Trypolska 3, 5.  
Tuhanowska Józefa 76—7, 348—9.  
Tuhanowski Konstanty 76.  
Tupalski Andrzej 337.  
Tyszkiewicz Alfred 90.  
Tyszkiewicz Aleksander 121, 123, 126.  
Tyszkiewicz Antoni 303.  
Tyszkiewicz Władysław 300.  
Tyzenhauzen 141.  
Tyzenhauzówna 8.
- U**eksüll v. Hildenbandt J. 134, 136—7, 162, 170.  
Uniechowski Janusz 332.  
Uniechowski Ludwik 56, 189, 235, 246, 267—8, 272—5, 284, 332.  
Urusowa Leonowa Radziwiłłowa 93.  
Uzłowska Matylda 37, 98.  
Uzłowska Olimpja 37, 98—99.  
Uzłowski Marek 37, 98.
- W**agner 273.  
Wallenrod 142.  
Wannowski 8, 16.  
Wańkowicz Aleksander 268.  
Wańkowicz Edward 18.  
Wańkowicz Jan 36.  
Wańkowicz Leon 40, 332.  
Wańkowicz Melchjor I 58.  
Wańkowicz Melchjor II 250.  
Wańkowicz Piotr 78, 245, 328, 332.  
Wańkowicz Stanisław 2, 151, 272—4.  
Wańkowicz Witold 283, 332, 337.  
Wańkowiczowa Michalina 1, 2.  
Wańkowiczowa Stefanja 332.  
Wasilczykow 133—5, 153.  
Wasilewski Leon 229.  
Wasilewski Wacław 220, 312, 322, 332, 337.
- Wasiljew 142.  
Wawelberg 152, 307, 310.  
Weber 207.  
Weygand 294.  
Weyherowa 309.  
Weyszenhoff Jan 29, 32.  
Weyszenhoff Józef 30, 150.  
Weyszenhoff Włodzimierz 29—30.  
Weyszenhoff Helena 29.  
Weytko 230.  
Węclawowicz 64.  
Wielopolska 240.  
Wielopolski Aleksander 149.  
Wielopolski Władysław 334.  
Wielopolski Zygmunt 151, 180—1, 194.  
Wiktor Emanuel 31.  
Wilczewski Tallen 228.  
Wilhelm I 54, 89, 91.  
Wilhelm II 91, 94—5, 139, 209.  
Wilson Woodrow 233.  
Winogradow 19.  
Wiszniewski 112.  
Wiśniowiecka 5.  
Witkiewicz Ignacy 65, 68, 197, 220, 328, 332, 337.  
Witos 311, 316.  
Wit-Stwosz 20, 98.  
Witte Sergjusz 27, 65, 90, 100—1, 116, 118, 125, 128, 138—9, 140, 142, 145, 244.  
Wittgenstein Ludwik 23.  
Wittgenstein Piotr 24.  
Wittgenstein Stefanja 23—4.  
Włodzimierz Aleksandrowicz 53—4.  
Wollny 32.  
Wołkoński M. S. 145.  
Wołowicz Michał 71, 95.  
Wołodkowiczówna 8.  
Wostorgow 176.  
Woyniłłowicz Adam 1, 4, 6, 8—12, 19, 26—8, 30, 35, 306.  
Woyniłłowicz Aleksander 8.  
Woyniłłowicz Antoni 1 5—8, 29, 35.  
Woyniłłowicz Bohdan 5.  
Woyniłłowicz Borys 5.  
Woyniłłowicz Franciszek 48.  
Woyniłłowicz Gabryel 4.  
Woyniłłowicz Hreghory 5.



- Woyniłłowicz Jan 8, 29.  
Woyniłłowicz Józef 15, 47.  
Woyniłłowicz Ksawery 332.  
Woyniłłowicz Krzysztof 5.  
Woyniłłowicz Lucjan 29—32, 37.  
Woyniłłowicz Ludwik 5.  
Woyniłłowicz Melchjor 5.  
Woyniłłowicz Mikołaj ks. 29.  
Woyniłłowicz Stecko 5.  
Woyniłłowicz Szymon 5.  
Woyniłłowicz Symeon 96, 99.  
Woyniłłowicz Tadeusz 8, 15—6, 19—20,  
37, 51.  
Woyniłłowicz Zmayıło 5.  
Woyniłłowiczowa Anna 1, 11, 18—9.  
Woyniłłowiczowa Olimpia 38, 98, 260,  
289—90.  
Woyniłłowiczówna Helena 96, 99.  
Woyniłłowiczówna Matylda 37, 98.  
Woyniłłowiczówna 10.  
Woyniłłowiczowie 4, 5, 265, 346.  
Woytkiewicz Adam 109.  
Wrangel 300, 303.  
Wróblewski 275.  
Wyganowski Jerzy 332.  
Wykowski Aleksander 121, 160.  
Wysznegradzki 26.
- Zabłocki 25.  
Zaborowski 291.
- Zalescy 265.  
Zaleska J. 332.  
Zaleski Bronisław 32.  
Zaleski 325.  
Zamoyski Adam 184, 255.  
Zamoyski Andrzej 17.  
Zamoyski Maurycy 182, 242.  
Zamoyski Władysław 44.  
Zamoyski 17.  
Zan Tomasz 210.  
Zawadzki Władysław 220.  
Zawisza Jan 31.  
Zawiszanka Magdalena 31, 212.  
Zawiszanka Marja 31.  
Zdziechowski Fortunat 231.  
Zdziechowski Jerzy 229.  
Zdziechowski Marjan 112, 169.  
Ziegel 42.  
Zinowjew 85.  
Zołow Zoryn 268.  
Zygmunt Kiejstutowicz 20, 98.
- Żeligowski Lucjan 264—5, 269, 277,  
297, 300.  
Żołądkowski ks. 99, 224.  
Żółtowski Adam 234, 249.  
Żółtowski Leon 44.  
Żwan Antoni 253—4.  
Żyliński 72, 162.  
Żyrkiewicz 63.



## SPIS ILUSTRACJI.

- 1) ś. p. Edward Woyniłłowicz, fotografia z ostatnich lat życia . . . . . przed tytułem
- 2) Drzewo genealogiczne rodziny Woyniłłowiczów, płasko-rzeźba pomysłu ś. p. E. Woyniłłowicza, wykonana przez firmę Br. Łopieńskich w Warszawie . . . . . str. 8—9
- 3) Antoni Woyniłłowicz marszałek szlachty pow. słuckiego i podprefekt słucki w roku 1812, z portretu, zniszczonego podczas pogromu w Sawiczach w r. 1918, fotogr. ze zbiorów prof. H. Mościckiego . . . . . „ 16—17
- 4) Tadeusz Woyniłłowicz ostatni marszałek szlachty z wyboru pow. słuckiego, z portretu, zniszczonego podczas pogromu w Sawiczach w r. 1918, fotogr. ze zbiorów prof. H. Mościckiego . . . . . „ 32—33
- 5) ś. p. Edward Woyniłłowicz w r. 1903, fotogr. ze zbiorów Wileńskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk . . . . . „ 72—73
- 6) Plakieta, podług projektu H. Weysenhoffa, ofiarowana ś. p. Edwardowi Woyniłłowiczowi z powodu 25-lecia pracy w Towarzystwie Rolniczem Mińskiem . . . . . „ 80—81
- 7) Dwór w Sawiczach . . . . . „
- 8) Kościół pod wezwaniem św. Symeona i Heleny w Mińsku Lit., fundowany przez ś. p. Edwarda Woyniłłowicza . . „
- 9) Kurhan grobowy w Sawiczach . . . . . „ 288—289

} 96—97

# E R R A T A.

<i>Str.</i>	<i>wiersz</i>	<i>jest</i>	<i>ma być</i>
8	8 od dołu	Wanowskiego	Wannowskiego
12	16 " "	agentów	agentów
33	13 " "	instytucji	instytucyj
40	9 " góry	restrykcji	restrykcji
42—44	passim	Engielhardt	Engelhardt
42	8 od dołu	Herngross	Gerngross
59	13 " góry	monopól	monopol
60	12 " "	przedświadczenia	przeświadczenia
—	17 " dołu	Pónocne	Północne
62	17 " góry	regime	régime
62	9 " dołu	Bismarkiem	Bismarckiem
66	17 " góry	aprobata	aprobate
71	17 " dołu	subsydij	subsydjów
91	13 " "	Alvenleben	Alvensleben
99	4 " "	MDCCLXXXV	MDCCCLXXXV
119	2 " "	Maromcew	Muromcew
113	3 " "	pierwiej	pierwej
138	12 " "	wódczannego	wódczanego
140	7 " "	Grim	Grimm
151	3 " "	za tem	zatem
161	10 " "	éparher	épargner
162	16 " góry	generałe	generała
165	2 " "	stawił	stawiął
168	20 " dołu	równouprawienia	równouprawnienia
173	5 " góry	na	w
176	5 " "	samorządneho	samorządowego
181	14 " dołu	dycyzję	decyzję
182	18 " "	tak	jak
187	7 " góry	jej	tej
199	7 " dołu	króre	które
200	16 " góry	gosodarowania	gospodarowania
206	5 " dołu	Tetlau	Tettau
207	7 " góry	Tetlau	Tettau
213	16 " "	rezpędził	rozpędził
219	9 " "	w ogóle	wogóle
222	3 " dołu	względem	względem
224	5 " góry	Heronim	Hieronim
228	7 " dołu	Tallien	Tallen
245	7 " góry	niezaspokojny	niezaspokojony
266	12 " "	Kaczanowicy	Kaczanowicz
284	17 " dołu	przełożyć	przedłożyć
287	10 " góry	na	na
292	10 " dołu	odpocząc	odpocząć
292	5 " góry	Worońska	Worońca
292	1 " dołu	Rejowa	Rejowca
294	13 " "	Mazowskiego	Mazewskiego
306	14 " "	Puzow	Puzów
310	1 " góry	drożkami	dróżkami
314	10 " "	orjentacje	orientację
316	12 " "	bolszewikow	bolszewików
318	18 " "	polaków	Polaków
319	8 " "	sociał	socjal
320	6 " "	wieczorniku	wieczorniku
338	3 " dołu	nie zupełny	niezupełny
352	18 " góry	stosunkie	stosunki.











Biblioteka Uniwersytecka  
JANINA SKŁODOWSKIEJ  
w Lublinie

BAA 585 | 1

Do użytku tylko w obrębie  
Biblioteki



1005017382